
3 1761 05974895 4









* 1831 † 1862.

NOWA BIBLIOTEKA

PISARZY POLSKICH.

TOM XIII.

POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA
(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM I.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.


LIBRARY
MAR 13 1967
UNIVERSITY OF TORONTO

Ludwik Kondratowicz.

(WŁADYSŁAW SYROKOMLA).

Zaiste jest to znamienne, że z chwilą gdy kraj nasz podupadł, zaczęła się nawięcej rozwijać literatura polska, a zwłaszcza poezya. Szczególnie po upadku powstania listopadowego w roku 1831 pisze Mickiewicz najlepsze swe utwory, a równocześnie wypływają na widownię świata tak znakomici poeci, jak Juliusz Słowacki i Zygmunt Krasiński, tworząc dzieła o tyle śliczne i podniosłe, jakich w polskim języku dotychczas nigdy nie słyszano. Nie zamierzali oni przez to zyskać sławy wielkich poetów, ale pragnęli przysłużyć się sprawie ojczystej, pouczyć swych ziomków i w imię tej sprawy zachęcić rodaków do wspólnej pracy nad własnem dobrem. Atoli dzieła te wszystkie powstały na tak zwanej emigracyi czyli wygnaniu, poza granicami kraju, gdyż wonczas liczna część Polaków musiała udać się na obczyznę, gwoli schronienia przed srogą karą, jaką państwa interesowane na nich naznaczyły z powodu uczestniczenia w powstaniu. Ponieważ zaś w kraju panował srogi ucisk pod względem

wolngo słowa, natomiast utwory naszych poetów, niosące pociechę zbolałym duszom ziomków, z powodu surowego zakazu tutaj nie dochodziły, stąd pozostali w kraju znajdowali się w położeniu bardzo przykrem. Wiedząc, że nie mogą działać jakby należało, na wzór kolegów swoich poza granicami kraju, obrali inną drogę, aby swym współbraciom nie dozwolić ostygnąć w miłości Ojczyzny. Oto postanowili zachęcać do postępu i naprawy, co w naszem społeczeństwie było złe, a miłość kraju rodzinnego szerzyć przez wskazywanie na wielkie czyny przodków naszych. Zadanie to jak najsumienniej spełniły powieść i poezya, których głównymi przedstawicielami byli Józef Ignacy Kraszewski, Wincenty Pol i Ludwik Kondratowicz, znany powszechnie pod nazwiskiem Władysława Syrokomli. Zwłaszcza ci dwaj ostatni są twórcami nowego u nas rodzaju poezyi opowiadającej, zwanej „gawęda“, w której opisywali obrazy naszej przeszłości dziejowej. Syrokomla nigdy nie uważając się za wielkiego poetę, mimo to w skromnym zakresie swego działania tworzył dzieła prawdziwie piękne, bez jakiejkolwiek przesady, proste a szczere, serdeczne, płynące z duszy na wskroś poczciwej. Słusznie też przynależy mu się przydomek „lirnika litewskiego“, a sam poeta jest nam tak miły i blizki i drogi, poniekąd może i droższy, niż wielu innych większych i zdolniejszych jego kolegów. Gdyż jak utwory jego, również on sam był zawsze uczciwym i szlachetnym, a jak bohaterowie jego, tak i on był nieszczęśliwym i niezrozumianym. Nie od rzeczy więc będzie nieco bliżej się z nim zapoznać.

Ludwik Władysław Kondratowicz urodził się dnia 17 września roku 1823 na Litwie we wsi Smolhowie, w powiecie Bobrujskim. Ojciec jego, Aleksander, należał do ubogiej rodziny szlacheckiej herbu „Syrokomla", który Ludwik później przybrał wraz z drugiem swem imieniem jako zmyślone nazwisko, podpisując niem utwory wychodzące z pod jego pióra. Ojciec Kondratowicza był człowiekiem zacnym i wykształconym, ale najrozmaitsze okoliczności, przedewszystkiem zaś brak silniejszej woli, sprawiły, że nie zajął stanowiska odpowiadającego jego zdolnościom. Nasamprzód był prywatnym komornikiem, później zaś dzierżawił jednę z wsi, należących do książąt Radziwiłłów.

Pierwsze lata dzieciństwa upłynęły Ludwikowi w domu rodziców, wpośród średnich dostatków, graniczących z ubóstwem. Wkrótce po jego urodzeniu przenieśli się rodzice do poblizkich Jaśkowicz. Dziecię swobodnie biegało wśród bujnych pól i starych lasów litewskich, ucząc się już wcześnie kochać przyrodę ojczystą, lub słuchało chciwie podań ludowych i baśni, opowiadanych przez służbę dworska. Pierwszych liter nauczyła go matka na drukowanym kalendarzu, w ogólności jednak rodzice zajeci swymi kłopotami gospodarskimi, nie mogli zbyt wiele czasu poświęcać jego wychowaniu.

Kiedy Ludwik ukończył dziesiąty rok życia, wypadało pomyśleć o oddaniu go do szkoły. Najbliższa zaś istniała w Nieświeżu, utrzymywana przez księży Dominikanów. Do niej wyprawiono tedy Ludwika na sposób staroświecki, z kobiałką zaopatrzoną w najrozmaitsze zapasy i łakocie, na jakie tylko domek ubogiego dzierżawcy mógł się zdobyć.

Matka dała mu przy pożegnaniu trochę pieniędzy, zawiniętych w kawałek papieru, a zebranych za sprzedaż mleka i warzywa i tak uposażony przyszły twórca licznych poematów wyruszył ze łzami w oczach i z ciężkiem sercem w nowy dla niego świat.

Zakres nauk wykładanych w szkole księży Dominikanów, był dosyć znaczny i obejmował mniejwięcej to, co nasze dzisiejsze szkoły średnie. Czytano dosyć dużo, lecz najważniejszym i najbardziej doniosłym w życiu naszego poety był sposób religijnego patrzenia na cały świat i tłomaczenia wszystkich zagadnień na podstawie katechizmu, albowiem księża Dominikanie przedewszystkiem dbali o to, aby swych uczniów wychować na ludzi bogobojnych. Sposób ten umocnił jeszcze wychowanie domowe, od którego się nie różnił, a dzięki temu stało się ono trwałą zasadą, której Syrokomla trzymał się przez całe życie.

Po czteroletnim pobycie w Nieświeżu i po ukończeniu szkoły ks. Dominikanów, udał się Kondratowicz do Nowogródka i tam uczęszczał jeszcze do piątej klasy szkoły powiatowej. Na tem ukończyło się jego wykształcenie szkolne, albowiem wyższych szkół średnich nie było w pobliżu, wszechnica zaś Wileńska już wówczas nie istniała, a na wysłanie go do innej, odleglejszej, nie było pieniędzy. Wrócił tedy do domu rodzinnego, ale rozumiejąc dobrze potrzebę lepszego wykształcenia, zabrał się do pilnego czytania książek i za ich pomocą uzupełnił braki krótkiej i niedokładnej nauki szkolnej.

Trwało to lat siedm, od roku 1836—1842, wśród warunków tak ciężkich, że podziwiać trzeba niezwy-

klą wytrwałość i pilność młodego Ludwika, która pozwoliła mu zdobyć takie wiadomości, jakie widzimy w późniejszych jego dziełach. Rodzice byli ubodzy, przeto nie mogli więcej łożyć na wychowanie syna, ale natomiast potrzebowali jego pomocy w gospodarstwie domowem. Przyszły wierszokleta musiał zatem brać osobiście udział w ciężkiej doli ziemianina, doglądać ludzi pracujących w polu, a w domu pisać rachunki i sprawozdania gospodarskie. Mimo to każdą wolną chwilę obracał na czytanie dzieł naukowych, poetycznych lub powieściowych, kryjąc się z tem przed rodzicami, którzy zajęcie takie uważali za marnowanie drogiego czasu.

Do dwudziestego roku życia przebywał Ludwik w dworku ojcowskim, po którym to czasie dostał się na posadę do zarządu dóbr Radziwiłłowskich Jak na początek zatrudniono tutaj Kondratowicza bezmyślnem przepisywaniem, lecz niezadługo przełożeni poznali się na jego zdolnościach i polecili spisanie starych aktów zamku Kopylskiego, których zażądał sad powiatowy w Słucku. Przyjemniejszego zajęcia nie mógłby Kondratowicz sobie nawet wymarzyć, albowiem w ten sposób zapoznawał się dokładnie z przeszłością kraju rodzinnego, wnikając w drobne nawet szczegóły codziennego życia, których dzieje nie mogą przed nami odsłonić. Korzystając z tych wiadomości, skreślił później swoje gawedy, a przedewszystkiem „Zaścianek Podkowa" i „Kradziony wór."

Atoli duchowe życie Kondratowicza nie ograniczało się jedynie na zajęciach biurowych i pisaniu wierszy lub wspomnień dziejowych. Oto zakochał się on w pewnej młodej i pięknej panience, którą

poznał w Nieświeżu — gdy jednak wyznał jej swą miłość, spotkał się ze stanowczą odmową. Urażony do żywego, chciał okazać, że doznana odmowa zbyt wiele go nie dotknęła, oświadczając się prawie bez namysłu pierwszej dziewicy, którą w towarzystwie zobaczył. Była nią panna Paulina Mitraszewska, krewna pełnomocnika nieświeskiego, Adolfa Dobrowolskiego. Lecz małżeństwo to było głównym powodem późniejszych nieszczęść poety, a już samo przez się było dowodem wielkiej nierozwagi. Młodzieniec 21 letni, bez majątku i zajęcia, którego dochody mogłyby starczyć na wyżywienie rodziny, wiaże się na zawsze z kobietą, której nie kocha i która oprócz poczciwego serca nic więcej dać mu nie może. W ten sposób skazuje ją i siebie na życie w niedostatku, a wszystko to dla fałszywej dumy i źle zrozumianej zemsty. Wobec takich warunków trzeba było opuścić Nieśwież i przenieść się z młodą małżonką na wieś, do Załucza, aby przy boku rodziców szukać środków do życia, których nie mogło mu zapewnić skromne wynagrodzenie za pracę biurową.

W Załuczu uśmiechało się do młodego poety życie wśród pól i lasów litewskich, otoczone urokiem wspomnień dziecinnych. Ale Kondratowicz nie korzystał z niego wiele, bowiem żądza wiedzy i zapał do poezyi zatrzymywały go w ubogim dworku rodzicielskim nawet wtedy, kiedy obowiązek nakazywał mu wyjść w pole i zastąpić starego ojca w pracach gospodarczych. Stosunki przeto zazwyczaj układały się w ten sposób, że zgarbiony p. Aleksander chodził za pługiem, wspierając się na kiju, a syn tymczasem siedział w domu za stołem, zato

piony w czytaniu. Wszelkie trudy i kłopoty, na które ciągle był narażony, nie tylko nie zniechęcały go do tej pracy umysłowej, ale przeciwnie zachęcały do zupełniejszego jeszcze poświęcenia się jej i szukania w niej pociechy. To też zwykł mawiać, że „na nudy i zmartwienia, jako też na tysiączne gorycze powszechnego żywota nie zna skuteczniejszego lekarstwa nad zamknięcie się z książką, zaczytanie, zamarzenie i umarcie dla świata.“

Tutaj w przeciągu trzech lat przełożył Kondratowicz na język polski wszystkie utwory łacińskie Klemensa Janickiego, Jana Kochanowskiego, Macieja Kazimierza Sarbiewskiego, Mikołaja Smoguleckiego, Joachima Bielskiego i Sebastyana Klonowicza, a w wyjątkach utwory Szymona Szymonowicza, Jana Dantyszka, Jędrzeja Krzyckiego, Grzegorza z Sambora, Jana Dersznіaka, Adama Świńki i wielu jeszcze innych. A praca ta odbywała się w warunkach tak uciążliwych, tak odstraszających prawie, że tem bardziej trzeba było podziwiać wytrwałość młodego poety i siłę woli. Oto wyobraźmy sobie stary i mały dworeczek szlachecki w Załuczu, a w nim niewielki pokoik, dokąd ustawicznie dolatuje krzyk i płacz dzieci, jako też krzątanie się służby. Ale nie dosyć na tem. Ojciec Władysława postarzał się, że nie mógł już zajmować się gospodarstwem, przeto wszystkie kłopoty ciążą na głowie syna. Co chwila otwierają się drzwi do jego pokoju i wchodził ktoś ze służby z zapytaniem lub doniesieniem, trzeba więc było rzucić pióro i myśl przenosić z dawnych czasów, które mu przypomniały książki, do trudów i kłopotów codziennego życia. Trzeba bowiem wiedzieć, że przez cały czas pracy

nad „przekładami“ żył poeta duchowo nie w dziewiętnastym, lecz w szesnastym wieku i z ówczesnymi pisarzami obcował, czuł i marzył, a ciałem tylko przebywał na Litwie. To też czasy owe poznał bardzo dokładnie, dokładniej nawet niż te, które mu były o wiele bliższe, a nawet współczesne.

Powiadają, że chcąc odczuć cudzą boleść i cudze nieszczęście, trzeba ich najpierw samemu doświadczyć, bo to jest koniecznym warunkiem zrozumienia drugich; zastosowawszy to do Syrokomli, łatwo zrozumiemy jego utwory. Oto życie nauczyło go przestawać na małem i walczyć z niedostatkiem, a oswojony z tą codzienną troską o chleb, nie uważał jej za nieszczęście, byleby tylko serce i umysł były spokojne. Na to zaś trzeba mu było przedewszystkiem przywiązania i miłości najbliższych i — niezależności. To też widok ciężkiej pracy, zdobywania z mozołem kawałka codziennego chleba, rozrzewniał go może, ale nie wzbudzał wielkiej litości, jako rzecz zwyczajna. Gdy jednak widział brak wzajemnej miłości, brak serca dla tych, którym je zupełnie powinniśmy poświęcić, wtedy czuł, że w takim stanie i z takimi ludźmi żyćby nie mógł, przypuszczając, że i drugim życie takie musi być tylko ciężarem. Niezależność zaś od niczyjej łaski była zawsze jego najgorętszem pragnieniem, a posiadanie jej największym skarbem. Sam nazywał siebie skromnym śpiewakiem — „lirnikiem wioskowym“, którego jedynym celem jest „grać od serca, Panu Bogu w kościele i dobrym ludziom w gospodzie.“ Ale na tem skromnem stanowisku podnosił hardo głowę i przed nikim jej nie chciał „zniżyć“, wolałby raczej umrzeć. Z takich zapatrywań pochodzą wier-

szyki jego i wyrażone w nich myśli. Jest w nich tylko żal i współczucie dla ludzi, którzy nie posiadają, co on uważał za konieczny, niezbędny warunek już nie szczęśliwego, ale choćby tylko znośnego życia.

Przy mozolnej pracy upływało więc naszemu poecie życie w Załuczu. Z ubogiego dworku swego wypuszczał jakoby ptaki, utwory swoje w świat daleki, a one wszędzie jednały mu przyjaciół i wielbicieli. Cała Litwa czytywała z zapałem jego poezye, po czasopismach oceniano je bardzo życzliwie i zachęcano ich twórcę do dalszej pracy nad sobą, wróżąc mu wielką przyszłość. To też nic dziwnego, że Syrokomli kochającemu ludzi całem swem poczciwem sercem, zaczęło nie wystarczać szczupłe grono wiejskich przyjaciół, lecz rwał się pomiędzy szersze warstwy ludzi, w świat inny, gdzie mu się uśmiechało życie z tymi, którzy z daleka tak serdecznie wyciągali ku niemu przyjazne dłonie. Niedoświadczony, naiwny poeta nie wiedział i nie przeczuwał, że jak wszystko na świecie, tak i ludzie z swą życzliwością inaczej wyglądają z daleka, a gdy się wszystkiemu przypatrzymy dokładniej, giną ponętne barwy, a pozostałość okazuje się w świetle zupełnie odmiennem.

Zaczęły się tedy marzenia o przesiedleniu do miasta, podniecane jeszcze kłopotami codziennego życia. Wydatki zwiększały się ciągle wskutek choroby matki i innych członków rodziny, dochody z roli były bardzo szczupłe, więc trzeba było pracować piórem nie dla przyjemności, idąc za wewnętrznym pociągiem i natchnieniem, ale licząc się z tem, za co księgarze więcej płacili. Wśród takich

warunków życia przeniósł się nasz poeta w r. 1852 do Wilna, stolicy Litwy, w nadziei że tu będzie mu lepiej i swobodniej. Ale doznając zewsząd obłudy, wkrótce przekonał się, że zastęp prawdziwych przyjaciół jest nieliczny, więc zaledwie po kilkumiesięcznym pobycie porzucił gwar miejski i osiadł znowu w zaciszu wiejskiej.

Nową siedzibą Syrokomli był niewielki folwark, zwany Borejkowszczyzną, odległy o dwie mile od Wilna. Z przyjaciołmi zatem przepędzał Syrokomla czas wolny od pracy i goił rany, jakie mu zadała obojętność i złośliwość ludzi wielkomiejskich. Gdy zaś Pan Bóg obdarzył go synem, poeta tak był tem uradowany, że już zupełnie pogodził się ze światem i sam przyznawał, że jest to jeden powód więcej do odżycia jego zbolałym piersiom. To też w przeciągu niecałych czterech lat, jakie Syrokomla przeżył w Borejkowszczyźnie, powstały prawie wszystkie te dzieła, którym zawdzięcza swą sławę. Prócz tego napisał takie mnóstwo innych, zarówno obszernych jak drobniejszych, że aż podziw zbiera, jak w tak stosunkowo krótkim czasie można było tyle napisać.

Tymczasem w życiu nadal nie szczęściło mu się. Przyszła ciężka słabość i powaliła go na łoże, z którego przez trzy miesiące nie mógł powstać. A gdy wreszcie wyzdrowiał nieco, przyszły gorsze jeszcze cierpienia. Oto zaczęły się przykrości i kłopoty domowe, które zatruwały mu życie, pozbawiały swobody umysłu i odrywały od pracy. A pracować trzeba było ciężko, bo rola nie dawała dochodów potrzebnych na utrzymanie domu i wyżywienie rodziny. Więc też pracował biedny poeta, pracował

z całych sił, prawie bez wytchnienia. Praca stała się dla niego nałogiem, bez którego prawie żyć nie mógł, wszystkie bóle znękanego serca powierzając swoim pieśniom. A pisał ich niezmiernie wiele, pisał o wszystkiem i dla wszystkich, bo nigdy nie umiał odmówić nikomu. Korzystano też z tego i wszyscy, którzy go znali choćby nawet bardzo krótko, prosili go o wiersze, odzierając w ten sposób poetę z tego jedynego skarbu, jaki posiadał i często wyczerpywali jego natchnienie.

Wreszcie Syrokomla postanowił zbliżyć się znowu do miasta, z którem wiązały go ustawiczne stosunki, więc w r. 1857 wynajął sobie na przedmieściu Wilna, zwanem Popowszczyzną, mały domek i tam się sprowadził, zostawiwszy rodziców w Borejkowszczyźnie. Ale niestety, nadzieje zawiodły naszego poetę zupełnie, nadto życie Syrokomli było w tym czasie tak przykrem, tyle w niem było cierni, że głebokie, prawdziwe i szczere uczucie zaczęło w piersiach Syrokomli powoli zamierać. Wyobraźmy sobie bowiem człowieka bardzo chorego, którego chwile były już policzone, zmuszonego troszczyć się o chleb powszedni dla siebie i swojej rodziny, liczącej prawie 20 głów, gdyż było potrzeba także przygarnąć nie mającą środków do życia siostrę wraz z dziećmi.

To też ze zdrowiem było coraz gorzej, zwyczajnie jak w piersiowej chorobie nieuleczalnej, a objawy choroby były przykre bardzo. Czasem zupełna bezsilność, niedozwalająca nawet podźwignąć się z łóżka, to znowu uczucie ogromnego zimna, które nie ustępowało nawet przy silnie ogrzanym piecu i to w lecie, wreszcie jakieś niezmierne cięże-

nie nóg, najgorszą zaś była bezsenność, trwająca ciągle, bo ona wycieńczała go najwięcej. A przy tem wszystkiem panowała w domu bieda taka, że czasem do ust nie było co włożyć, synek poety leżał również chory, żona zaś była wycieńczona ustawicznem czuwaniem, doglądaniem chorych i kłopotami domowymi, troską o jutro.

Chwilami ogarniała Kondratowicza nadzieja, że zdrowie wróci, że ta ciężka choroba ustąpi i cieszył się już naprzód, że teraz inaczej sobie życie urządzi. Jeszcze w dniu zgonu, 15 września 1862 r., zaczął dyktować list do przyjaciela swego, Kraszewskiego, i wyraził w nim nadzieję, że „w pełnem zdrowiu rozwinie znowu sztandar pracy“ i to pracy innej, rozumniejszej niż dotychczasowa — ale jeszcze podczas dalszego dyktowania tego listu myśli zaczęły się plątać, przytomność go opuściła i zaczęło się konanie. W dwie godziny później zakończył życie...

Wieść o śmierci ukochanego „lirnika litewskiego“ rozeszła się szybko i wywołała powszechny żal i przygnębienie wśród społeczeństwa polskiego. Najlepszym dowodem tego był pogrzeb, na który zgromadziło się kilkanaście tysięcy ludzi. Każdy chciał oddać ostatnią usługę poecie, którego jedyną myślą i jedynem pragnieniem było zapewnienie jak największego szczęścia nie sobie, lecz drugim.



„I już chłopcy w jednej chwili — Stosy chróstu nanosili . . .“

(Illustr. do poematu: „Urodzony Jan Dęboróg“ Tom I str. 69).

UTWORY EPICKIE.



POCZTYLION.

GAWĘDA GMINNA.

Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz jak jeniec w niewoli; —
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie,
I powiedz, co ciebie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół jak wprzódy.

— O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Niemiło na świecie, niemiło!
Daj czarkę! przy czarce odważniej mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszczem był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Woziłem pakiety i pany; —
Dostałem złotówkę, — o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt, i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem jak z równym i kwita;
I konie mię znały — jak gwizdnął, jak zaciął,
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieźć pocztę! zatrąbię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka!

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie, —
Mieszkała w wioseczce o milę;
Bywało, wracając, nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz w północnej coś porze,
Natychmiast się budzę, przychodzę, —
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.

— Powieziesz sztafetę! — Oj, licho przywiodło! —
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem.

A tutaj wiatr świszcze, śnieg kręci i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże.
Dwa słupy wiorstowe mignęły przede mną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichru poświstów, głos z płaczem zmieszany
W bok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza: — Pomogę! ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia — wtem jakby mi zda się
Ktoś szepnął: A tobież co po tem?
Ej lepiej godzinkę zyskawszy na czasie,
Odwiedzić swą dziewę z powrotem.

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem.
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie — trzy wiorsty od domu,
Strach znowu ogarnął mię skryty:
Duch zamarł, a serce, szepcąc pokryjomu,
Stukało jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń parsknął — zjeżyła się grzywa —
Na drodze, pod płachtą powiewną,

Pod warstwą zamieci — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica... — To była... Ach! bracie,
Daj czarkę, dokończyć nie mogę.

1844 w kwietniu. Załucze.

BŁOGOSŁAWIONY SADOCH.

LEGENDA KRAJOWA (1260 r.)

I.

Nad Polską słońce poranne płynie —
Nie nad żyznemi pola rozłogi,
Bo same pustki, trupy, pożogi
W błogosławionej Piastów krainie;
Bo plenne niwy, zamożne wioski,
Bogate miasta kwitnącej Polski
Nawiedził srogi miecz kary Boskiej,
Wróg chrześcijaństwa, zbójca mongolski.
Kędy przeleci Tatarzyn dziki,
Szlak swój naznacza krwi polskiej falą;
Co noc to szerzej łuny się palą,
Co dzień straszliwsze rozpaczy krzyki.
Już na popiołach zielsko zarasta,
Już kości trupów w polach bieleją,
A jeszcze nowe wioski i miasta
Kąpią się we krwi i popieleją.
Wróg swe zagony dalej zapuszcza,
Morduje, więzi, łupi, bezcześci;
A jak donoszą codzienne wieści,
To już w Lublinie pogańska tłuszcza.
Niepłonne wieści popłoch rozszerza —
Zwiastuny nieszczęść lecą przed wrogi,

I można szlachta, i kmieć ubogi
Tłumem się sparli do Sandomierza.
Bo w Sandomierzu pewniejsze wsparcie:
Zamek kamienny, wysokie wieże,
Gruby ostrokół warowni strzeże,
A zbrojny zastęp stoi na warcie.
Dzielnych łuczników skaliste łona
Zniosły miecz Niemca, Litwina topór:
Oni Tatarom postawią opór,
W nich cała ufność, cała obrona.

II.

Nad Sandomierzem poranek płynie —
Ale tak cicho, tak głucho wszędzie,
Że w całem mieście, w całej krainie
Z żadnej się piersi głos nie dobędzie.
Tak głucho w mieście w porannej chwili,
Że ci, co bramy zamkowej strzegą,
Mogliby słyszeć szelest motyli
I liczyć bicie serca własnego.
Jeden głos tylko, jeden ślad ludzi, —
Dzwonek kościelny milczenie budzi.
Rój Dominika zakonnych braci
Niedawno jeszcze w tych stronach gości;
A już sercami narodu włada,
Już lud cudowne rzeczy powiada:
O białych szatach, świętej postaci,
Nauce, cnotach i pobożności.
I teraz nawet Pańscy kapłani,
Tłumiąc odważnie postrach powszedni,
Co się wokoło rozchodził wszędy,
W bezludnem mieście zostali jedni.
I w swoich celach modłom oddani,
Sprawują śmiało święte obrzędy.
Dzwonią na jutrznię — i całą rzeszą
Na ranne modły do chóru spieszą, —
Każdy z różańcem, z księgą, schylony,

Z okiem pobożnie utkwionem w ziemi,
Młodsi po przedzie, starsi za niemi,
A dalej starzec, ich Przełożony.
  Imię mu Sadoch — i lat już wiele,
Jak nosi szatę swego zakonu,
Jak niesie modły do Niebios tronu
I ostrą włosień nosi na ciele.
Z młodu wiódł żywot niemniej surowy,
Bo dzieląc Jacka z Czesławem trudy,
Przebiegał boso pogańskie ludy
I szczepił u nich krzyż Chrystusowy.
A choć mu teraz prace i lata
Zbieliły brodę, zorały czoło,
Gotówby jeszcze pobiedz wesoło,
Ogłaszać wiarę na krańce świata.
Ale starszyzna wolą niepłonną
Dała mu w rządy karność zakonną.
  Czterdzieści dziewięć zakonnych celi,
Tyluż w nich braci — w ustawach ściśli,
Może ni jednej światowej myśli,
Może jednego grzechu nie mieli.
Bo pod świętego starca rozkazem,
Zajęci pracą swojego stanu,
W postach, modlitwie, ostrej pokucie
Tłumili wszelkie ziemskie uczucie,
A duch każdego był świętym w Panu.

III.

  I otoż wszyscy, z świętym wyrazem,
Zasiedli w chóru ciemnem sklepieniu, —
Wszystkie się oczy wzniosły do Nieba,
I wszystkie usta zabrzmiały razem:
Boże! pospiesz się ku wspomożeniu,
Panie, ratunku Twego nam trzeba! —
I dalej modły wyznawców Pańskich
W jedno donośne spłynęły brzmienie,
Czterdzieści dziewięć głosów kapłańskich,

Jak gdyby jednej piersi westchnienie;
Bo ich uczucia w jedno się zlały,
Jedna w nich żądza — niebieskiej chwały.
Zmilkła na chwilę cała gromada, —
I wedle ustaw, najmłodszy z grona
Czyta tych Świętych Pańskich imiona,
Których pamiątka dzisiaj przypada.
Miał już zakończyć — cóż to? błąd oka?
Zdjęła go trwoga, przytomność traci;
Widzi w swych ręku cud oczywisty,
W księdze, gdzie czytał, napis ognisty:
— Dziś w Sandomierzu męka Sadoka,
A z nim czterdziestu dziewięciu braci. —
Przeczytał słowa. — Cóż to on gada? —
Woła z podziwem cała gromada;
I wszyscy spieszą oglądać głoski,
I wszyscy widzą wielki cud Boski.
Wtem znikły z karty wyrazy wieszcze,
Jak sługi Boże poniknąć miały,
I znowu w chórze modły zabrzmiały,
Jeszcze gorętsze i szczersze jeszcze.
Po modłach Sadoch z twarzą radosną
Do najmłodszego przyszedł kapłana,
I pełen skruchy padł na kolana,
I świętą Spowiedź odprawił głośno.
Potem każdemu bratu koleją
Rozwiązał grzechy, udzielił rady,
Pokrzepił wiarą, wzmocnił nadzieją
I świętym Chlebem Pańskiej biesiady.
I znów przed Zbawcy klękli obrazem;
Jak niegdyś Chrystus za dusze zbójcze,
Święci Wyznawcy wołają razem:
Nawróć ich, Ojcze! przepuść im, Ojcze!

IV.

I otoż wieczór, już po nieszporze,
Sadoch ze swymi w środku kościoła

Klęczy na ziemi, do Maryi woła,
I pieśń Maryi nuci w pokorze:

PIEŚŃ.

Zawitaj Królowo, o Matko i Pani!
Zawitaj o nasza Nadziejo!
Do Ciebie Adama synowie wygnani,
Z ziemskiego padołu, ze łzawej otchłani,
Wzdychają i gorzkie łzy leją.
Nam serce obsiadły i kolce i ciernie,
I burze szaleją, i gromy w nas biją;
Zwróć ku nam Twe oczy! o zwróć miłosiernie!
Pospiesz nam ku wsparciu Maryo!

V.

Wtem z trzaskiem wrota kościelne pękły, —
Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,
Wyrznąwszy w zamku zastęp przelękły,
Wpadł z dzikim wrzaskiem na dom modlitwy.
Jedni już łupią ołtarze Boże,
Drugich zbójecka wściekłość rozżarza,
I utłuszczone krwią polską noże
Wpychają w piersi sługom ołtarza.
Tryskają z piersi krwawe fontanny
I białe szaty szkarłatem broczą.
Święci pod noże idą ochoczo,
I kończą pieśnią Maryi Panny:
A owo po ziemskiem wygnaniu tułaczem,
Gdy pójdziem na wieczność służebną gromadką,
Niech Jezus nad naszym zlituje się płaczem,
Niech Jego Najświętsze Oblicze obaczym,
Ukaż nam Twe Dziecię, o Matko!
Na łonie Jezusa, światłością odziani,
Odetchną strapieni, umarli ożyją.
Lecz módl się za nami o Matko, o Pani!
O słodka Dziewico Maryo!... —

12 września 1845. Załucze.

TRZY GWIAZDKI.

GAWĘDA GMINNA.

I.

— Obdarzcie dziada, co pod waszą chatą!
Dajcie mi chleba, o więcej nie pytam;
Bóg was nagrodzi, a ja biedny za to
Z mojej książeczki rozdział wam przeczytam.
— O! toś uczony, gdy nosisz księgi,
Widać, żeś szlachcic, a więc nie dziwy;
Widać po twarzy, żeś zuch był tęgi,
Widać po oczach, żeś nieszczęśliwy.
— At! litościwy człeku, kiedyś to inaczej
Było ze mną — i szczęście, i postawa hoża;
Dziś za młodość, za szczęście — ot ten kij żebraczy!
Cóż robić? chodzę z kijem, dziej się wola Boża!
Myślisz, widzę, że noszę książeczki światowe?
Nie, to Ewangeliczka, Słowa Chrystusowe!
W niej rozdział po rozdziale przebiegam koleją...
Są mędrcy, co światowe księgi rozumieją.
Widziałem ja tych mędrców własnemi oczyma:
Świecą, jak zimny kamień, przysypany dziarstwą.
Ich księgi... mocny Boże!... ach czegoż tam niema? —
Cha, cha, cha! tylko prawdy ani na lekarstwo!
Nad niemi mędrcy łamią swe uczone głowy,
Nie wierząc w innych ludzi doświadczenie stare;
A chcąc wszystko wyłożyć przez rozum książkowy,
Tylko serca swe suszą, tylko tracą wiarę.
Ejże! źle im bez serca! — Ich oschła nauka
Sama im wykazuje swą lichotę biedną;
Czuje mędrzec ból w sercu, i w głowę swą puka, —
Ej panie! głowa... serce... to nie wszystko jedno!

II.

— Ot ja powiem o sobie: Służyłem, mospanie,
W zacnym domu — tak sobie, służyłem z nałogu,

Choć była własna chatka, a w niej, dzięki Bogu,
Na szlacheckie starcowi wyżywienie stanie.
Miałem wtedy trzech synów i sam byłem krzepki;
Bywało my we czterech choć czartu podążym.
Najmłodszy z nich chłopczyka już miał u kolebki,
Najstarszy był zaścianku naszego chorążym.
Przyszła wojna ze Szwedem... krótka szlachcie rada,
Już nie siedzieć za piecem, nie pilnować pola;
Przyszła wić od hetmana — wola czy nie wola,
Siadaj na koń, kto szlachcic i kto szablą włada.
— Ot jedźcie, synki! — rzekłem, wywiodłem za wrota,
I pobłogosławiłem. Padli na kolana,
Potem siedli na konie i ruszyli kłusa.
Zapłakałem ukradkiem, żem stary sierota,
Zmówiłem pięć pacierzy do Pana Jezusa,
I poszedłem na służbę do dawnego pana.

III.

— Mój pan, młodszy ode mnie, ciągle czytał księgi,
I miał głowę nabitą mądrością niemiecką;
Ale umiał szanować stare niedołęgi.
Ja mu bywało bajam, on słucha jak dziecko.
Słucha, lecz mówi czasem: Ja temu nie wierzę —
Bo w księgach nie tak stoi. — Ot dziwak uczony!
Pomawiali go ludzie, że trzymał z masony;
Lecz to fałsz: sam widziałem, jak mówił pacierze.
Dobrze mi było: dość chleba i czasu,
Niekiedy panu stare rzeczy plotę,
Czasem kuflową podzielam ochotę,
Najczęściej idę ze strzelbą do lasu.
Bywało sobie w wieczornej godzinie,
Mówiąc koronkę, usiadam na dworze;
Liczę Zdrowaśki, patrzając na zorzę, —
Ni stąd ni zowąd i łza mi popłynie!
A była u mnie ta przywyczka marna,
Żem trzy gwiazdeczki polubił z zapałem;

Malutkie gwiazdki, jak... makowe ziarna,
Ja tylko jeden znaleźć je umiałem.
Jam je odróżniał z innych gwiazdek grona,
Drżałem, gdy która niedość jasno świeci,
Ponadawałem im synów imiona,
Wierząc, że one, to gwiazdki mych dzieci.
Tak się to w serce wrosło, wkorzeniło,
Że gdy pochmurna albo mglista pora,
I moich gwiazdek nie ujrzę z wieczora, —
To coś mi w duszy tęskno i niemiło.

IV.

Pan był tęgi myśliwy. Raz — było to w maju,
Het przed świtem, — ze strzelbą poszliśmy do gaju
Bić cietrzewie na tokach. Przybyliśmy wcześnie,
Siedliśmy w swoich budach, — wszystko było we śnie.
Czasem chruściel chrapliwy ozwie się gdzie z błota,
Czasem wietrzyk zawieje, słowik zaszczebiota.
Tak cicho! ani szaśnie... tak pięknie w tej dobie,
Żem niewolnie znak krzyża położył na sobie,
I począł mówić pacierz strzelisty, głęboki.
Spuściłem kurek strzelby na pierwszym odwodzie,
I czekając cietrzewi, patrzałem w obłoki,
Jak zawsze na trzy gwiazdki — te były na wschodzie.
Igrały ze mną starym: błysną, to przygasną,
To zapłyną obłokiem, to zaświecą jasno,
Istne dziatki swawolne...
Ot razem coś mignie,
Coś jak sznurek ognisty po Niebie przeleci.
Spojrzałem... dreszcz mnie przeszedł... i krew w ży-
łach stygnie —
Spadły trzy gwiazdki moje... gwiazdki moich dzieci!...
Począłem płakać głośno, sam nie wiedząc za czem,
Począłem Anioł Pański — aż pan krzyknął w gniewie:
Czego tam Janie chlipiesz? pospłaszasz cietrzewie,
Z twojej łaski zwierzyny w oczy nie obaczym!

— Ej panie! — powiedziałem — mnie nie do zwie-
[rzyny;
Ot się trzy małe gwiazdki stoczyły z Niebiosów.
— Cóż z tego? — Ach te gwiazdy! to były me syny!
To gwiazdy moich synów, światełka ich losów!
— Skądże to wziąłeś? — Hola! wszakże mówią ludzie,
Że każdy człek na Niebie ma gwiazdeczkę własną:
Że jej bystra źreniczka pogląda z daleka,
I strzela promykami tak ciemno lub jasno,
Jak jasna albo ciemna dola jej człowieka.
Że gwiazdy tych, co idą szczęśliwą koleją,
Piękną iskrą na sinem Niebie płomienieją,
Ot jak ta, co pan widzisz... co się w lewo żarzy...
A te gwiazdy drobniutkie — to gwiazdy nędzarzy,
Tleją... at! jak dogarek lampy na pogrzebie.
I mówią: że gdy człowiek snem śmiertelnym zaśnie,
Wtenczas i gwiazda jego stoczy się po Niebie,
Błyśnie wężykiem... i zgaśnie.
Oj dożyłem na starość! — Widziałem w tej chwili,
Jak gwiazdy moich dzieci zgasły na błękicie.
Ejże biedne me syny! — już mi nie wrócicie...
Gdzieś was na cudzej ziemi wrogowie zabili!!

V.

Pan począł śmiać się ze mnie: Ech! jesteś dziwa-
[kiem!
Wstydź się wierzyć w te duby, co plecie prostota!
Człek swoim, gwiazda swoim postępuje szlakiem,
I losami ludzkiemi nic się nie kłopota.
Każda gwiazda na Niebie, co ją wzrok doścignie,
To planeta lub słońce przysłonione mgiełką,
A to, co widzisz czasem, jak przeleci, mignie,
To po prostu meteor — lub błędne światełko.
To fosfor, albo gazy. Próżno głupcy bredzą:
Gwiazdy o twoich synach... nic a nic nie wiedzą.
I począł dalej mówić, tłomaczyć na nowo,
Po mądremu, z łacińska, fizyką książkową.

Chciałem wierzyć i umysł pocieszyć stroskany;
Lecz gdzie tam! łza jak na złość po oczach się kręci.
Mądre słowa, to prawda — lecz jak groch do ściany,
Nie przylgnęły do serca, ani do pamięci.
Smutnie kiwnąłem głową, i westchnąłem z cicha.
Wtem szast!! cietrzew przyleciał tak blizko aż miło...
Złożyłem się — palnąłem — ej pudło u licha!
Oko łzami zabiegło i cel prześlepiło!...

VI.

— Upłynął miesiąc — drugi... Aż oto —
(Czyż mi tej chwili dożyć potrzeba?)
Wyszło na prawdę, co ludzie plotą
O upadaniu gwiazd z Nieba!...
Do pana przyszły listy z obozu,
On mi o synach wieści udziela:
Że raz na czatach wszyscy trzej razem
Wpadli w zasadzkę nieprzyjaciela
I poginęli kulą, żelazem...
A poginęli jak raz w tej porze,
Kiedyśmy z rana byli na tokach,
Gdym widział gwiazdy zgasłe w obłokach,
A pan rozprawiał o meteorze!!...

VII.

— Ot zapłakałem, potrząsłem czołem,
Oddałem chatę moją rodzinie,
Ewangeliczkę i torbę wziąłem,
I ruszam sobie po żebraninie.
Z wioski do wioski, z dwora do dwora,
Wędruję sobie w słotę i spiekę;
A gdy uczuję, że umrzeć pora,
W rodzinne strony znów się powlekę.

VIII.

— Lecz już was nudzi, co stary gada,
Więc Ewangelię czytać wam będę;
A wy czem łaska obdarzcie dziada
I za czytanie, i za gawędę, —

Grosz na tabakę, suchar dziadowski,
Dość tego na mój zapas podróżny.
  Starzec przeczytał, dostał jałmużny,
I poszedł z Bogiem do drugiej wioski.

31 marca 1846. Załucze.

O CHWALE BOŻEJ
I CHWALE KRÓLEWSKIEJ.
GAWĘDA Z ŻEBRACKIEGO ŻYWOTA.

I.

W kruchcie jednej Niedzieli, wynędzniali, nieśmieli,
    Dwaj żebracy siedzieli.

A że wcześnie dość było, a gawędzić tak miło,
    Więc się sobie gwarzyło.

Gwarzą różnie a różnie, satyrycznie, ostrożnie,
    O panach, o jałmużnie,

O kalectwie i latach, o szatach i o łatach,
    O dziadowskich intratach,

O żebrackim swym stanie, o dzwonach, o organie,
    I o Księdzu Plebanie.

I rzekł Szczudło koledze: Wiesz, że doma nie siedzę,
    Czasem wioski odwiedzę.

Czasem sobie zachodzę pod figurę przy drodze,
    I tam piosnki wywodzę.

Jest przychód jaki taki, na dzień ze dwa szostaki
    Na kupienie tabaki.

Ale najlepsza rada, iść gdzie odpust wypada,
    Gdzie narodu gromada;

Mówić święte pacierze i śpiewać piosnki szczerze, —
    A pewno się grosz zbierze.

Ale jedna przestroga: módl się tylko do Boga,
Nie patrz, czy kwota mnoga;

Bierz jak podarek Boży, kto co do ręki włoży,
A Pan Bóg ci przymnoży,

I twych modłów nie straci, za jałmużnę spółbraci
Dobrodziejom zapłaci! —

Słuchał Kostyl tej mowy: Rozum — rzecze — wart
Koncept wielce jałowy. [głowy,

Iść pod krzyżyk... a może... zbierzesz skarby nieboże,
Pan Bóg ci dopomoże.

A ja idę we dwory, choć żebrackie ubiory
Psy szarpają ze sfory.

Mam jałmużny do syta. Król mię żywi — i kwita,
Pełna moja kaleta.

Człek się wesprze na kuli, idzie pod zamek króli,
Do muru się przytuli.

Tam zjeżdżają się pany, wojewody, hetmany,
Każdy w złoto przybrany.

Spojrzy który k'tej stronie, ja się nizko pokłonię
I wyciągam me dłonie.

Z panami trudna rada, czasem jasna gromada
Ani spojrzy na dziada.

Czasem bywa człek w biedzie, gdy się wymknie po
Bo ktoś koniem najedzie. [przedzie,

Albo gorzej się zdarzy, kiedy żołdak ze straży
Halabardą nędzarzy!

Czasem — dworskie swawole — rzuci kamień pacholę,
Wlepi siniec na czole.

Lecz często, zamiast psoty, ze szczególnej szczodroty,
Rzuci czerwony złoty.

Albo pan jaki raczy dać do ręki żebraczej
Sto złotych — nie inaczej.

Ha! każdy ma swe gusty: ja wolę kąsek tłusty,
A ty — sielskie odpusty.

Bóg dobry! tak kolego, lecz król... to co innego,
Król to żywi biednego!

Nie król, to dwór, co hula; ciebie Pan Bóg rozczula,
Co do mnie, wolę króla.

Wejdź pod królewskie znamię, siądź przy zamkowej
Obaczysz, czy ja kłamię? [bramie,

Szczudło głową coś kiwa, wtem organ głos przerywa,
Wyszła święta Wotywa.

Boga, ten króla chwali, — a król, stojąc w oddali,
Podsłuchał, co gadali.

II.

W tydzień — znów dziady społem; król z senatorskiem
Wysiada przed kościołem. [kołem

Idzie gdzie dwaj żebracy; za nim niosą dworacy
Dwa bocheny na tacy.

Król, z uśmiechem na twarzy, obu biednych nędzarzy
Własnoręcznie obdarzy.

Szczudło, co chwalił Boga, dostał bochen pieroga, —
Bułka cienka i droga.

Kostyl z królewskiej chwały, wziął chleb czarny i mały,
Ciężki jakby ze skały.

Szczudło w rogu cmentarza tylko pacierz powtarza,
Na podarek nie zważa.

Oparł ręce u kija, wzrokiem Niebo przebija,
Mówi Zdrowaś Marya!

Kostyl, chwalca królowy, nie rad z bułki razowej,
Szedł po rozum do głowy:

Skradł się cicho, i zaczem Szczudło modli się z płaczem,
Zmienił bułkę cichaczem.

Szczudło w rogu cmentarza ciągle pacierz powtarza,
Zamiany nie uważa.

Po Mszy świętej, po Summie, modląc się jak kto umie,
Ludzie wychodzą w tłumie.

Mniej już ludu co chwila, każdy gdzieś się posila, —
Rzekł Szczudło do Kostyla:

Czas nam użyć swobody, weźmiem chleba i wody,
Siądziem wedle gospody.

Zjemy obiad żebraczy, niech Bóg nagrodzić raczy
Naszych dobrych wspieraczy! —

Dobył chleb z za pazuchy, czarny, ciężki i suchy,
Aż się sypią okruchy.

— No, syć się Bożą chwałą — rzekł mu Kostyl zu-
Patrz, co mi się dostało! [chwało,

Ja za królewskie zdrowie, mam bułkę co się zowie,
Jadam jako panowie.

Szczudło spojrzał przez ramię, chleb swój suchy rozła-
Boże! czy wzrok mój kłamie?! [mie:

Cóż to? skąd się to wzięło? Opatrznościż to dzieło? —
Z chleba złoto sypnęło!

Bo król, hojny w potrzebie, wdzięczen pochwał dla sie-
Zapiekł złoto we chlebie, — [bie,

Ze dwie garści niemałe, by okazać swą chwałę,
Że ma serce wspaniałe!

I Kostyla nędzarza, co na Boga nie zważa,
Własnoręcznie obdarza.

Lecz Pan Bóg przeinacza: On podarek bogacza
Swemu chwalcy przeznacza.

Więc się Szczudło rozczula, choć chromieje i kula,
Szedł dziękować do króla.

Król krzyknął: Precz beznogu! do kościelnego progu,
Dziękuj tam Panu Bogu!

Bo wstyd się w oczach zdradza, że nie królewska wła-
Lecz Pan Bóg wynagradza. [dza.

III.

Szczudło za swe dukaty wyniósł kościół bogaty,
Dał złote aparaty,

Zbudował dwa szpitale, i sam przy Bożej chwale
Żył pobożnie, wspaniale.

Aż syt Pańskiej opieki, poszedł na kraj daleki.
Królować z Nim na wieki.

28 maja 1846. Załucze.

DYFERENCYA.

GAWĘDA ZAŚCIANKOWA.

I.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnej siedzą,
A wokoło młodzież wrząca
Tysiąc gniewnych słów wytrąca. —
Lud się na dwie strony dzieli,
Błyszczą ostrza karabeli.
Pan komornik z sznurem stawa;
Woźny wznosi papier w górę,
Słowem, jakaś tu rozprawa,
I de hajda, i de jure.

At mospanie, któż i kiedy
Przywileje szlachty zaćmi?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojej schedy.
A u szlachty takie chucie:
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa, tam i bitwa,
Potem kończą na statucie,
Potem kielich i modlitwa.
Szlachcic poczciw — bo ma duszę,
A wrzaskliwy — bo szlachetny,
Urodzony — nie sławetny,
I nie straszne mu ratusze!
Proces w sądzie — to nie boli,
A zabawka niezła wcale; —
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.
  Ich się ojcu niegdyś szczęści,
Dość zostawił dla nich mienia,
Co dziś dzielą na dwie części,
Wedle Boga i sumienia.
Dzielą słusznie, jak wystarczy,
I grosiwo, i śpiżarnię,
I oborę, i owczarnię,
I nabytek gospodarczy.
Potem, z obu stron namowy,
Pan komornik przez zagony
Ciągnie sznurem na dwie strony
I wydziela dwie połowy.
  Zatknął wiechę strojną w liście,
Wsunął cyrkiel za popręgę,
I zawołał zamaszyście:
No, skończyliśmy mitręgę!
Waść, sądowy g e n e r a l e,
Mości strony i starszyzna!
Niech mi teraz każdy przyzna,
Żem wydzielił doskonale.

Ot jak z boru do sosenki
Idzie ścianką ta drożyna,
Stefanowe z prawej ręki,
A co z lewej — to Marcina,
A zaś młynek i zatoka
Służą obu jednostajnie.
Równe schedy, jak dwa oka,
Nawet pręta nikt nie stracił;
Mierzę słusznie, nieprzedajnie,
Bo mię żaden nie zapłacił,
Nie skaptował, nie przyodział, —
Ot i sprawa i rozprawa!
Pytam trzykroć wedle prawa:
Czyli zgoda na mój podział?
Stefan krzyknął: — Nie masz zgody!
Bo mi krzywda w oczy kole, —
U mnie piasek — a tu pole,
Że choć zaraz siej ogrody!
Morg pod lasem... tak daleko...
Co ja zrobię z tym kawałkiem?
Wezmę raczej morg nad rzeką
I zatoka do mnie całkiem!...
— O!! zatoka za głęboka! —
Krzyknął Marcin — Panie bracie!
Wcześnie siatkę zapuszczacie,
Nie dam ryby ani oka!
Morg mój, Mości Dobrodzieje,
Co nad rzeczką, tam pod drogą.
Nie pytając tu nikogo,
Sam zaorzę i zasieję.
Bo pomiarem...
— Co mi pomiar?
Kto się krzywdzić mię ośmieli,
W klindze mojej karabeli
Słusznej kary znajdzie domiar.
— Panie woźny!...
— Woźny płazem!

A mierniczy — w łeb żelazem!
Niema pana dla Stefana —
Zaraz wszystkich stąd wypłoszę!
Morg nad rzeką i toń rybna
Moje!...
— Moje, rzecz niechybna!...
— Ja zasieję.
— A ja skoszę!
— No, bratuniu, to za śmiało!
A czy znasz ty moją rękę?
— A czy znasz ty, świszczypało,
Moją szablę damascenkę? —
— Za mną szlachta!
— Bij, kto sprzyja!!... —
Szlachta w dwie się strony ściska,
Walka w zabój... aż krew tryska...
Pan komornik wiechą zwija,
Woźny pozwem broni duszę;
Papier, wiecha w zawierusze
Popękały się od kija.
Aż skrwawiona, zapocona,
Porąbana, zadyszana,
Ta i owa padła strona,
Wypoczywać na murawie;
Jeszcze w jęku i we wrzawie
Słychać głosy: To Stefana...
— To Marcina... morg przy drodze...
— Morg nad rzeką i zatoka...
— I okopię, i ogrodzę...
— Nie doczekasz! nie pozwolę!
Będę bronił moje pole,
Jak źrenicę mego oka!
— Nie o pole, nie o szkodę,
Lecz tu idzie o bezprawie.
— A ja mówię i dowiodę,
Że na swojem rzecz postawię.
— Ciężko skarzę upór bratni!...

— Wara leźć mi w moją grzędę!...
— Krwią słuszności bronić będę,
Do kropelki, do ostatniej!

II.

— Cyt mi szerszniе! tfu do kata —
Huknął stary pan Ambroży.
— Taki rankor brat na brata!
Mospanowie, to gniew Boży!
Bić się z bratem jakby z wrogiem!
Jakiem okiem, jakiem czołem,
Staniesz jutro przed kościołem,
A pojutrze i przed Bogiem?
Uściśnijcie mi się szczerze,
I wypijmy pojednanie. —
Jutro spowiedź!...
— O mospanie!
A zatokę kto zabierze?
— Nie chcę morga, co pod lasem!
— Nie dam morga, co przy drodze!
— No, uciszcie się z hałasem.
Ja wam całą rzecz pogodzę.
— A to jaki śmiałek groźny
Medytacyę swoją wnosi?!
— Sza panowie! — krzyknął woźny —
Pan Ambroży o głos prosi!
Więc Ambroży siadł na miedzy,
Brzęknął czarą po butelce:
Bracia szlachta i koledzy,
Mościwi wielce a wielce!
Za zatokę i za pole
Będzie zawsze wrzawa sroga.
Będą skargi i zatargi,
I procesa, i swawole,
I obraza Pana Boga.
Bracia zniszczą się ze szczętem
Przez rankory i rozpusty;

Będą dzieciom testamentem
Przekazywać proces pusty;
Na braterskich karkach — szpetnie
Czynić próbę szabel hartu,
Mazać herb swój nieszlachetnie
I oddawać duszę czartu!
— By więc zetrzeć plamę z czoła,
Zmazać karę nieochybną,
Radzę oddać do kościoła
Oba morgi i toń rybną.
Za tę skruchę Pan Bóg — jużci
Grzech dzisiejszy wam odpuści,
I ofiarę przyjmie wdzięcznie
Za zgładzenie tych bezprawi, —
A ksiądz Proboszcz comiesięcznie
Za was świętą Mszę odprawi.
Bóg okryje Swem ramieniem
Tarczę herbu starożytną,
Wasze domy z pokoleniem
Pomyślnością wam zakwitną...
No! czy zgoda?
— Mądra rada —
Już inaczej nie wypada;
Oba morgi niepodzielne
I zatoka koło młyna
Ni Stefana, ni Marcina,
Ale odtąd już — kościelne.
Niech pan woźny tu posiedzi,
I dokument spisze żywo —
Jutro idziem do spowiedzi
Z tą pobożną donatywą.
— A salarya?
— To nie minie,
To Proboszcza rzecz, nie nasza, —
A za cięcia od pałasza
Damyć żyta po ośminie.
— Zgoda! — krzyknął woźny żwawie —

Teraz kielich do roboty! —
D i c t u m, f a c t u m, i po sprawie
Wykonano co do joty.

III.

Dwie już setki lat się zaczną,
Jak braterskie kości społem
Gniją w ziemi pod kościołem,
A mogiły ani znaczno.
Ale ród ich gęsty w Litwie,
I poczciwy, i zamożny;
Bo co miesiąc głos pobożny
W Mszalnej wzmieniał ich modlitwie.
A na morgach w pszennym plonie
Pleban piękne żął owoce,
Stawił kopy na zagonie,
Łowił rybkę na zatoce...
Teraz słyszę, inne dzieje:
Ktoś już inny morgi trzyma,
I pszeniczkę inny sieje,
I za zmarłych Mszy już niema.
Słyszał nawet dzwonnik głuchy,
Z pod grobowca u parkana,
Jakieś krzyki i rozruchy —
Spór Marcina i Stefana.

5 października 1846. Załucze.

CHODYKA.

GAWĘDA Z TRADYCYI POLESKIEJ.

I.

Zagrano w trąby i naród ciekawie
Na zamek słucki ciśnie się jak woda.
Oto zasiada na sędziowskiej ławie
Dziedzic na Słucku, książe wojewoda,

I wedle mocy swoich przywilei,
Zbrojny prawami i łaski, i miecza,
Kmieci i szlachtę sądząc po kolei,
Gromi, uwalnia, karze, zabezpiecza.
Książę daleko od natłoku gości
Siedzi za stołem oddzielony kratą,
Tam krzyż i statut oprawny bogato,
Opodal pisarz i pan podstarości —
A w izbie gwarno.
Wtem pośród hałasu,
Pomimo ciżby i oporu warty,
Wszedł jakiś starzec, znędzniały, odarty,
Z kijem sękatym — jak rozbójnik z lasu.
Strach było patrzeć; pod wielkiemi brwiami
Oczy się dziko iskrzyły dziadowi,
Włosy jak mleko, splątane kudłami,
Rysy kościste, ramiona garbate.
Starzec jak błędny wcisnął się za kratę,
Padł... ciężko dycha... ale nic nie mówi.
Książę się cofnął... pisarz się przestrasza...
Krzyknął i rozsiał strach w całej drużynie —
Pan podstarości jął się do pałasza
I szepce jakiś pacierz po łacinie.
A starzec leży skulony na ziemi,
Głucho coś jęczy i szepce grobowo,
Dycha — jak gdyby pierśmi chrypiącemi
Chciał nabrać siły, by wyrzec choć słowo.
Odetchnął wreszcie — spoczął bez przeszkody.
Nabiera głosu, sili się widocznie,
Pełznie do kolan księcia wojewody,
I płacząc, tak mówić poczenie:

II.

Nie bój się, Jaśnie Oświecony Książę!
Ja z twojej wioski, ja tu z niedalcka,
Ja zbójca jestem, ja zabiłem człeka,
Znam, że mą głowę miecz katowski czeka.

Niech się przynajmniej sumienie rozwiąże!
O! bo to ciężko... tak ciężko... nie wiecie —
Nosić na rękach krew w złości rozlaną;
O! tak to dręczy, tak pali, tak gniecie,
Jak gdyby w piersi żaru nasypano...
Zdaje się dawno — przed trzydziestu laty,
Ale sumienia nie przedawnić marnie...
Zdejmijcie tylko z mej duszy męczarnie,
A głowę sobie oddajcie na katy;
Może toporem odbita od szyje
Przestanie płonąć od gorących myśli,
Może krew moja krew niewinną zmyje.
Każcie mię skować, uwięzić najściślej,
Tylko z sumienia rozwiążcie mi pęta —
Bo jak to ciężko, nie daj Panie Boże!
  — Któż ty snadź jesteś?
                                        — Zwali mię Chodyką.
Rodem z Polesia — w mojej wiosce może
Który ze starych dotąd mię pamięta;
Choć to już dawno na bezludnym borze
Żyję jak zwierzę ze zwierzyną dziką,
Lecz długo żyje pamiątka zbrodniarzy!
Może, dawniejsze wspominając lata,
Któryś mój sąsiad i dziś jeszcze gwarzy
O tym Chodyce, co zgładził ze świata
Niewinną duszę!...
                                        — Kiedy? jak to było?
Gadaj mi, starcze!
                                        — Oj ty jasny Książę!
Niemiło przeszłość wspominać, niemiło,
Kiedy się zbrodnia do wspomnień uwiąże.
Odkąd poszedłem na bezludną puszczę,
Nie wyjawiłem mej zbrodni przed nikim;
Lecz dziś, jak w cerkwi, jak przed spowiednikiem,
Wszystko z pod serca, a wszystko wyłuszczę.
Chciejcie posłuchać, co wyznam otwarcie,
A potem zróbcie co trzeba, sędziowie;

Dekret śmiertelny napiszcie na karcie,
I dajcie spełnić na zbrodniczej głowie.

III.

Ja byłem osacznikiem, miałem chatę w lesie —
Chatka nad Żyd Jeziorem, stara i pochyła...
Boże mój! jak tę chatkę obaczyć mi chce się!
Czy jeszcze dotąd stoi, czy może już zgniła,
Czy kto inny w niej mieszka? — Ja, grzeszny zabójca!
Nie śmiem do niej się zbliżyć, bo ktokolwiek zoczy.
Tam miałem młodą żonę i starego ojca...
Bóg ich wie, kto im piasku nasypał na oczy?
Gdzie na mogiłach leżą?! pewno już ich niema!
Lat trzydzieści... dla życia starca i kobiety!?
Ot zdaje się, jak żywo widzę przed oczyma
To jezioro, te mszary, ten las nieprzebyty,
Gdzie niegdyś jasnych panów na obławę wiedziem,
Gdzie ludzie i zwierzęta znali mię po głosie,
Gdzie się nieraz zdarzało borykać z niedźwiedziem,
Wbijać na sztych odyńce lub wytrapiać łosie...
Byłem silny jak niedźwiedź, a prędki jak dziecko,
A ochoczy do łowów! — ani dnia, ni nocy.
Ej drogoż przypłaciłem ochotę łowiecką!
Czemuż mi nie dał Pan Bóg przeleżeć w niemocy
Raczej, niż iść na łowy!?...

IV.

Raz — było to w zimie —
Pan łowczy mię przywołał swoim obyczajem,
(A był to człowiek drobny, lecz ramię olbrzymie,
Dobrze władał oszczepem, a lepiej nahajem).
Otoż woła i mówi: Niech cię Pan Bóg strzeże,
Abyś miał niesprawnością popsuć polowanie!
Dajem tutaj obławę wielkiemu Sapiesze,
Jest to hetman litewski — nie żarty mospanie!
Czy masz w twoim obchodzie coś z bujniejszych zwie-
[rzy

— Są, panie, dwa kudłacze, przepyszne niedźwiadki.
— Otoż na przyszłą środę spraw się, jak należy;
Wziąć obławę, osaczyć, urządzić połatki,
Bo pan hetman przybędzie, — staraj się a żwawo,
Aby mu się zwierzyna pod strzał nawinęła;
Ja przybędę, mospanie, kierować obławą,
A tymczasem ty będziesz naczelnikiem dzieła.
Masz tynfa na gorzałkę — i spraw mi się gracko!
Bo inaczej, Chodyko, ty znasz moją rękę!
Ja nie umiem żartować z plecionką kozacką:
Dwieście! choćby sam szatan brał cię na porękę.
Marsz! i spraw się! — (Pan łowczy sam nie bywał [w lesie,
Bo miał młodą małżonkę i bał się niedźwiedzi).
Wyszedłem — mając tynfa — ej pohulać chce się!
Ot powiem szczerą prawdę, jakby na spowiedzi:
Trzy dni piłem gorzałkę. Przyszedł dzień wskazany:
At, myślę, wszak zwierzyna jakoś się osoczy;
Ale niedźwiedź zrozumiał, że strzelec pijany,
Szedł cichaczem z ostępu, uciekł w żywe oczy.
Ja milczę — aż we środę — mój Boże jedyny!
Zebrała się obława, zjechały się pany,
I pan hetman litewski ze swojemi syny,
Strojno, dworno, hałaśnie. Mój domek drewniany
Przemienił się na pałac — oświecono wrota.
Jaki dwór! jaka służba zebrała się wcześnie!
Jaka psiarnia dobrana! co srebra, co złota!
To w bajce nie wygadać, ani przyśnić we śnie.
Ruszyli do ostępu — ja wiem, co się święci —
Ale nie zdradzam siebie mężnemi oczyma.
Obława strzela, huka, trąbi bez pamięci,
Pany ziębną w połatkach, a niedźwiedzia niema.
Ot i słonko już zaszło — już się zmierzchać bierze,
Hetman się zniecierpliwił, jakby Bóg wie o co.
Złajał pana łowczego, a zjadłszy wieczerzę,
Kazał zwinąć swój obóz i ruszył przed nocą.

Tutaj dopiero łowczy, korzystając z pory,
Rozkazał mię pochwycić, przywiązać do drzewa, —
Bito mię harapami, żelaznemi sfory.
Próżno człowiek krwią spłynął, daremnie omdlewa,
Daremnie stary ojciec po ziemi się tarza,
Daremnie żona płacze... Ach! ten jęk przewlekły
Ponure, leśne echo słyszy i powtarza!
Ale łowczy nie słyszał — tak był gniewem wściekły.

V.

Ot nakoniec oprawcy zbitego puścili...
Wyrwałem się... tu szatan szepnął mi nad uchem.
Miałem topór za pasem, więc, nie tracąc chwili,
Ciąłem w głowę łowczego zamasznym obuchem,
A potem w piersi ostrzem...
Padł... krew mu lunęła...
Trysnęła w moje oczy, zalała sukmanę.
Ot jeszcze na odzieży pamięć mego dzieła!
Czy widzisz, mości Książę, plamy niezmazane?
Zbutwiała mi siermięga, choć się raz w rok bierze,
Straciła swoją barwę od czasu i słoty, —
A ślady krwi niewinnej... patrzcie, jakby świeże,
Nie starły się aż dotąd, jak pieczęć sromoty!...
— Uciekaj! — ktoś mi szepnął. — Ujrzałem, że zginę,
Bo strzelcy obces do mnie; — ja z toporem w dłoni
Poleciałem do lasu, skryłem się w gęstwinę.
Ho! w lesie osacznika nie każdy dogoni!
Biegłem nocą i lasem jak po równej drodze;
Ukryłem się przed ludźmi, zginąłem bez wieści.
Żaden mię nie dośledził całe lat trzydzieści,
Aż dzisiaj dobrowolnie z kryjówki wychodzę.
Bo fraszka sądy ludzkie — tam w piersiach głęboko
Gorszy sąd... gdzie sumienie władzę rozpostarło!
Ząb za ząb trzeba oddać, a oko za oko...
Skowajcie mię w łańcuchy, osądźcie na gardło.
Lecz póki kat nadejdzie, poważni sędziowie,
Raczcie jeszcze posłuchać, radzi czy nie radzi!

Jam człowiek nieuczony, roił czasem w głowie.
Że pokuta i praca moją winę zgładzi.
Otóż jam pokutował jak duch tajemniczy,
Co jęczy w suchej wierzbie i wzdycha do Nieba;
Pracowałem ze łzami, jadłem chleb goryczy...
Gdzie tam chleb?! co ja jadłem za kawałek chleba!
Bo co to kawał chleba w rodzinnym zakątku!
Co to chata! spokojność! i chleb na wieczerzę?!
Bez chleba człek zapomniał, że jeszcze nie zwierzę...
Lecz słuchajcie mię, pany, słuchajcie z początku.

VI.

Darłem się przez gęstwinę, zmykając pogoni:
Czy wiatr w zlodowaciałe gałęzie zadzwoni,
Czy śnieg skrzypnie pod nogą, czy zawadzę o co,
Czy puszczyki na dębach w skrzydła załopocą,
Mnie się widzi tuż pogoń — pod piersią zdrętwiałą
Sam w sobie niosłem pogoń, bo sumienie gnało,
Gnała jakaś obawa, jakaś myśl zwierzęca.
A tutaj wiatr ze śniegiem w gęstwinach się skręca.
Zawiewa moje ślady — choć odzieża ciepła,
Cały skrzepłem od chłodu, tylko myśl nie skrzepła.
Wreszcie, choć w głowie szumi, choć pod sercem boli,
Zimny wiatr krew gorącą ostudził powoli.
Spojrzałem wkoło siebie, wspomniałem o strzesie.
Nie pierwszyzna strzelcowi zanocować w lesie!
Patrzę... rozpierzchłe myśli zbieram pomaleńku...
Jest hubka i krzesiwo, jest siekiera w ręku,
Jest strzelba za plecami i mieszek borsuczy.
No — myślę — przez dni kilka nędza nie dokuczy.
Przetułam się dni kilka! a potem?... O Boże!
Śmierć z głodu albo z chłodu na bezludnym borze!...
Ot tutaj ciemna jodła z kudły rzęsistemi
Opuściła gałęzie aż do samej ziemi,
Tu będzie na noc chata! to i cóż, że chata?
Nie zasnę, bo mi serce okropnie kołata, —
Ale trochę wypocznę. — Podsuwam się blizko...

Wtem ogromne wypada z pod nóg niedźwiedzisko,
Ryknął i pobiegł w puszczę. Śledząc go oczyma:
Ej szkoda, myślę sobie, że hetmana niema!
Ej szkoda, że pan łowczy nie wiedział łożyska!...
Krew mu z rozbitych piersi czarnym sznurem tryska,
A młoda jego żona... nieszczęsna kobieta!
Jęczy teraz w rozpaczy i zębami zgrzyta!
I tuli się do męża, całuje go w usta...
A mąż... zimny jak kamień i blady jak chusta...
Krew mu obryzgła piersi — o szczęśliwy człecze!
Krew zakrzepła od zimna w sercu ci nie piecze;
A u mnie w sercu pożar nad wszystkie pożary!
A mojaż biedna żona!... a mój ojciec stary!...
I tak całą noc Bożą zlewałem się potem,
Myśli szumiały w głowie i biły z łoskotem.
Nazajutrz weszła jutrznia, i słonko jak złoto
Nie rozpędziło myśli sczerniałych zgryzotą!
Wstałem i biegłem dalej, gdzie doniesie oko,
Zabiłem się w gęstwinę i puszczę głęboką —
Tu bezpieczno od ludzi na głębokiej puszczy.
Ale cóż? gdy sumienie czarną myśl poduszczy,
Nigdzie niema schronienia!
Po gęstwinach sosny
Błąkałem się jak mara aż do ciepłej wiosny.
Kiedy zimno dokuczy, zaczajony w borze
Wykrzeszę sobie ogień i płomień rozłożę.
Gdy głodno, nabój prochu i kawał ołowiu:
Tutaj ptak się nadarzy, tu zwierz w pogotowiu.
Gdy wyszedł proch i kule, jadłem drzewną korę,
Czasem z zębów wilkowi zająca odbiorę,
Czasem puhacz wyparty z wypróchniałej choi,
Albo skoczna wiewiórka głód mój zaspokoi,
A czasem... głód dni kilka.
Gdy nic nie znachodzę:
Ej Chodyko — czart szeptał — siądź tylko przy dro-
A tam bitym gościńcem idą karawany, [dze,
Jeżdżą pieniężne kupcy i wielmożne pany:

Wyskoczysz na przesmyku... i zdobycz bogata;
Wszak twój topór stalowy niezawodnie płata!
Zdobędziesz kawał chleba, jak doma we żniwie,
Toż rozkosz chleb pieczony pożerać łapczywie!
A nie chcesz? zamiast cierpieć, zamiast znosić nędzę,
Czy widzisz sznur rzemienny na twojej poprędze?
Zrób stryczek i odważ się, — skończysz w samą porę...
A ja ci co najlepszą osinę wybiorę. —
Tak mi szeptał kusiciel — daremne staranie!
— Krzyż na cię Chrystusowy! odczep się, szatanie!
Idź kusić suche wierzby, albo dzikie skały! —
Czart uciekł — a głód został i myśli zostały.
I tak do samej wiosny, pod Niebem otwartem,
Walczyłem z głodem, chłodem, sumieniem i czartem.

VII.

Ot zawiośniało, pocieplało w lesie,
Woda z pagórków sparła się w dolinie.
Szumno i huczno lód i śniegi niesie.
Po mokrych mszarach jakby morze płynie...
Nielepsze życie miałem i na wiosnę:
Rozpacz rozrywa, głód człowieka suszy,
Lecz czasem myśli nadpłyną radosne,
Rzewniej na sercu i nadziejniej w duszy.
Czasem się ocknę przy jakiej zatoce,
Gdzie woda huczy i ptactwo strzekoce,
A tam straciwszy i zmysły, i wiedzę,
W głuchych dumaniach całe dni przesiedzę!
Czasem w bagnistej oczeretnej trawie
Wierzbowy więcierz na ryby postawię,
I chwytam, świętą upojony ciszą,
Pluskanie rybek, albo fali dźwięki,
Lub, nie zważając, że ludzie posłyszą,
Tnę bezprzytomny rodzinne piosenki.
Dotąd, bywało, gdy wieczór się zbliża,
Nie mogłem biedny odważyć się dosyć

Zmówić pacierza lub położyć krzyża,
Albo spojrzenie do Niebios podnosić.
A wiosną, panie, samemu i w lesie,
Ot, nie wytrzymasz bez modlitwy Bożej!
Tak ci zapłakać i pomodlić chce się,
Że krzyż na piersiach nie chcąc się położy.
O! wam nie pojąć, jak się zbrodniarz modli,
Kiedy mu w sercu odezwie się skrucha!
Choć szatan szepce, że się człek upodli,
Wzywają Ojca i Syna i Ducha,
Że trzeba hardo postawić się Bogu,
Gdy już nadziei w miłosierdziu niema, —
Poczniesz modlitwę, jak gdyby z nałogu,
A skończysz płaczem, aż serce się wzdyma.
Tak było ze mną...
Tymczasem od słonka
Wiosenne listki puściły na drzewie,
Począłem słyszeć śpiewanie skowronka,
Już po zaroślach tokują cietrzewie;
Zaśpiewał słowik — już częściej się spotka
Borowy kwiatek, lub grzyb i jagoda.
Lecz zły to pokarm, choć zebrać tak blizko:
Człek jako zwierzę pragnie krwi i mięsa;
Nieraz bywało, jak głodne wilczysko,
Człek się za mięsną zdobyczą wałęsa...
Lecz trudno zdobyć! — nie służą dla człeka
Ni orle skrzydła, ani rysie szpony;
Nieraz, zwietrzywszy zwierzynę z daleka,
Trzeba fortelić jak kot zaczajony.
Czasem się ptaszki usidlą jak więźnie,
Czasem mój topór w łeb wilczy zagrzęźnie, —
O! wtenczas uczta! przy takiej biesiadzie
Ze stosu łomów ogień się nakładzie —
A tam śpiewając i ćwiertując zwierzę,
Przybieram myśli weselsze i żwawsze...
Lecz rzadkie, rzadkie zbytkowne wieczerze,
Głód co najczęściej, a złe myśli — zawsze.

VIII.

Przyszło lato — spalone od słońca powietrze,
Ledwie daje odetchnąć osłabionej sile;
Był to pewnie sianokos, czas po świętym Pietrze,
Bo leśny bąk i owad dokuczał nietyle.
Błąkałem się w gęstwinach, snadź blizko gdzie błoto,
Bo obecność szatana czuła się jak plaga;
Złe myśli tak mi czoło, tak mi serce gniotą —
Chciałem je spędzić krzyżem, i krzyż nie pomaga.
Nuda, głód, czarna rozpacz i zwątpienie ducha,
Nawet topór wypadał z osłabionej ręki.
— A widzisz — szeptał szatan — jak źle kto nie słu-
Już dzisiaj, stary głupcze, nie znosiłbyś męki! [cha!
Wszak tobie trzeba wisieć, bo któż tego nie wie?
Zbrodnia się prędzej później wyjawi przed rzeszą,
Lepiejż na szubienicy wisieć, niż na drzewie?
Kiedy lepiej — to czekaj, aż ciebie powieszą!
— Nie — rzekłem — czekać nie chcę, bo życie tak
Ot, poszukam gałęzi, co się nie obłamie... [dręczy!
Podniósłem w górę oczy — coś huczy, coś brzęczy,
Aż tu pszczółka lecąca ukłóła mię w ramię.
Patrzę, a tu na drzewo rój spuścił się pszczelny,
Piękny rój... krew poleska wzięła swoją władzę...
Czekajcie... nim pomyślę o drodze śmiertelnej,
Pierwej rój ten obiorę i w ulu osadzę.
Bo wy, państwo, nie znacie poleskiego rodu:
U nas pszczoła to rozkosz, to bogactwo człeka,
I mój dziad, i mój ojciec, i ja sam za młodu
Znałem się na pszczelnictwie. — Ot będzie pasieka!
Skoczyłem do roboty żwawo i radośnie,
Zebrałem rój do czapki, jak powiedzieć słowo,
I wydrążywszy kłodę w niedalekiej sośnie,
Wpuściłem moje pszczółki na siedzibę nową.
To mi zabrało czasu cały dzień wesoły;
Wieczorem już do śmierci ochota nie bierze,
Chce się jutro obaczyć, czy przyjmą się pszczoły?
Więc przeżegnałem pszczoły, zmówiłem pacierze,

I począłem rozmyślać: Kiedy Bóg pozwoli,
Może się więcej rojów nadybać gdzie zdarzy;
Zaprowadzę pasiekę, i w mojej niedoli
Będę leśny gospodarz, cudo gospodarzy!
Nie dla siebie, bo gdzież mi? nie przedawać w mieście
Miodu z mojej pasieki; to ciekawość wzbudzi, —
Lecz dla pracy, pożytku... ot tak sobie wreszcie...
Praca dla Pana Boga, pożytek dla ludzi.
Teraz człowiek bez pracy wałęsać się musi,
I karmić brzydkie myśli, ażby serce zgniło...
Nad błotem krzyż postawię, to czart nie spokusi,
A pod krzyżem niekiedy pomodlić się miło;
A jak głód mię pokona, albo zmrozi zima,
Ktoś znajdzie moje kości i zapłacze może —
Zapłacze ani wątpić, bo w spadku otrzyma
Całą pszczelną pasiekę — dopomagaj Boże!

IX.

A nasze lasy, to jak koniec świata,
Ciemna, wysoka i rozległa puszcza;
Tam nie objechać przez całe trzy lata,
A tam zabłądzić — niech Bóg nie dopuszcza.
Nie shukasz ludzi, nie trafisz do domu,
Echo zamiera, choć puka i stuka;
Tam całe życie przesiedzisz kryjomu,
A nikt i z psiarnią ciebie nie odszuka,
Szerokie mszary i mokre bagniska,
Jak okiem rzucić, ścielą się z daleka;
Gęstą olszyną ocieniona rzeka
Pomiędzy karcze jak loch się przeciska.
Nikt cię nie znajdzie, — chyba czasem w lecie
Syknie gadzina w mokrym oczerecie,
Chyba przy zdroju u mokrych wybrzeży
Niedźwiedź zamruczy, albo lis przebieży;
A zresztą cicho — sam jeno bór stary
Szumi odwiecznie i chwieje konary.
O! w takich borach urodzaj bogaty

Na wonne zioła i miodowe kwiaty!
W spróchniałych drzewach, bez ludzkiej opieki,
Pszczół co niemiara lęgnie się i roi;
Więc by je zebrać do przyszłej pasieki,
Chodzę uważnie od choi do choi —
I tuż przy pierwszym dalsze ule żłobię,
I tam osadzam me jeńce skrzydlate;
I sam jak pszczoła na zimę już sobie
W ogromnym dębie wydrążyłem chatę.
Przy niej zrąbawszy jodłowe polana,
Krzyż postawiłem — tarczę od szatana.
  Ej wierzcie pany! gdzie modły i praca,
Ze złemi myślmi szatan nie powraca.
Ot nic bywało nie przyjdzie do głowy,
Kiedy pracuję cały dzionek Boży,
Tępą siekierą rąbię pień sosnowy,
Lub się wieczorne ognisko nałoży,
I tam się modlę, — żal mi tylko szczerze,
Że mało modłów umiałem z pamięci,
Jeden Ojczenasz, ot całe pacierze,
Ten wciąż powtarzam, a tu łza się kręci,
Serce klekoce, i w rozlicznych głosach
Szepcę: „Ojcze nasz, któryś jest w Niebiosach!"
  Nadeszła zima, mój leśny zakątek
W pośrodku mszarów zakwitnął jak wianek.
Zliczyłem ule, było ich dziesiątek,
Tu nowa praca: jak przyjdzie poranek,
Tam się oczyszcza, ówdzie brzęku bada,
Czy silne pszczółki? czy karmu nie mało?
Czy się gdzie żołna lub szczur nie zakrada?
Czy się otulić od zimna udało?
  Czasem zapłaczę, widząc, jak przy matce
Tulą się pszczółki w wesołej gromadce;
Bo moja chatka w pamięci mi stoi,
Mój ojciec, żona, sąsiedzi wioskowi,
Jakbym ich widział: O serdeczni moi!
Jak się miewacie? czy żywi? czy zdrowi!? —

O! z jakiem szczęściem, o! z jaką pociechą
Gwarzyłbym, gwarzył, gdzie ludzi gromada!
A tutaj gwarzysz, to zamruczy echo,
Hukniesz — odhuknie, samo nie zagada.
Czy jęczysz we łzach, czy pracujesz w pocie,
Mógłbyś tu przebyć od wieku do wieku,
Echo nie przyjdzie osłodzić w robocie,
Nie powie tobie: „Pomagaj Bóg, człeku!“...
Lecz poco żądać, co stać się nie może?
Płakałem długo, wkońcu... mniejsza o to,
Człek się odziczył borową głuchotą,
Jakby się w wilczej wyhodował norze.

X.

Tak przeżyłem na puszczy całe lat trzydzieści:
Prędko w myśli podumać, wygwarzyć w powieści,
Ale przeżyć nieprędko! mocna dusza człeka
Z wyniszczałego cielska niełatwo ucieka!
Na pracy i pokucie, na głodzie i zimnie,
Kiedy wszystko starzało, umierało przy mnie,
Gdy dęby, które pomnę z zieleniuchnem czołem,
Poschły i poginęły — a ja nie zginąłem.
Nieraz sosnę, co była świadkiem mojej pracy,
Wypróchniła zgnilizna, podgryźli robacy:
A mój robak, co trupa wietrzył już z daleka,
Dotąd się spragnionego żeru nie doczeka.
Już oniemiały język przyschnął mi do gardła,
Mój się topór wyszczerbił, siermięga podarła.
Cóż począć? — myślę sobie — zgon idzie powoli,
Lecz trzeba żyć dla pracy i pokucie gwoli.
Nie rzucę cię sam przez się, mój dobry pszczelniku!
Siekiera się jakkolwiek zostrzy na kamyku,
A zakrwawiony łachman niech już w kącie leży,
Bo mi kudłacz zabity dostarczy odzieży.
Nie trzeba było szukać, bo nieraz otwarcie
Przychodził straszny niedźwiedź wydzierać mi barcie.
I cóż państwo powiecie? — ot zajdę mu drogę,

I kijem lub toporem na śmierć go przemogę!
Nie nosiłem na piersiach, jak ty Książę, zbroi:
Nieraz mię okaleczył... lecz to się zagoi;
Nieraz w szponach niedźwiedzich jak przyczaję ducha,
On mię łapą potrąci, obwącha, posłucha,
A sądząc, żem nieżywy, już zemsty nie szuka,
Och! człowiek odziczały, to przemyślna sztuka...
Co tam wam opowiadać? bo któż mi uwierzy,
Jakem ja się przyczajał do ptactwa i zwierzy,
Jakem dostrzegł z daleka, jak nacierał z blizka? —
Ściągnąć orła z obłoków, zwierza z legowiska,
Zdławić łosia w objęciach — na co tu narzędzie?
Głód rozumu nauczy i siły dobędzie!
Co rok, gdy śnieg wypadnie w jednostajnej porze,
Kreskę na moim dębie wyciosam na korze —
I tak znaczyłem lata — ej niemiłe dzieło,
Nim się dwadzieścia karbów na korze wycięło!
Czas płynie — a ja ufny w Najwyższej opiece,
Modlę się, zbieram roje, albo barci klecę.
Moje pszczółki kochane znały moją władzę:
Wyjdzie rój — ot i czeka, nim go sam osadzę;
Wiedziały, że wsadzone rękami mojemi,
Czy wysoko na drzewie, czy nizko na ziemi,
Znajdą dobrą siedzibę; — gdy karmu niewiele.
Od starych miód odetnę, a młodszym udzielę.
I tak co rok, a co rok.
Od ziarnka do ziarnka
Mnożyła się i ręką szła mi gospodarka; —
W lat dwadzieścia i kilka — w szerokim zakresie
Trzy kopy moich barci naliczyłem w lesie.

XI.

Ależ trzeba nieszczęścia! Wszak mówiłem o tem,
Żem niegdyś krzyż drewniany postawił nad błotem,
Jak tarczę od szatana; — ot niszczał leciuchno,
Podgnił, upadł na ziemię, rozbił się na próchno.
I już trawa zarosła na ubitej drodze,

Gdzie bywało wieczorem pomodlić się chodzę.
Więc znowu, Boże odpuść! byłem w sidłach dyabła —
Mój topór się potrzaskał — i ręka osłabła,
Nie miałem sił na nowo odbudować krzyża,
A już czułem, jak starość, jak śmierć się przybliża.
I zapragnąłem śmierci. — Nie sposób żyć dłużej —
Kiedy już drżąca ręka do pracy nie służy,
Kiedy nie mam siekiery — ej nie przeżyć wcale!
Czem ja kłodę rozrąbię? czem zwierza powalę?
Wszak już i głód dokucza — już niedźwiedź kudłaty,
Co mi służył za odzież, podarł się na szmaty.
Cóż począć? śmierć nadchodzi — ot szepcąc pacierze,
W mojej dębowej klatce do śmierci przeleżę.
Więc powlokłem kościska w wypróchniałą jamę;
Lecz tu poczęły dręczyć okropności same,
Tutaj czarna tęsknota do świata i ludzi,
Tu pragnienie rozpali, tu się głód obudzi,
Szatan po zgniciu krzyża, ufny w swej potędze,
Przeszkadzał mi w modlitwie i wyśmiewał nędzę.
W oczy się naigrawał: to wychodzi z błota,
To huczy w oczeresie, to dziko chichota,
To wejdzie mi do serca, i tam ślad swój znaczy
Ponuremi myślami grzechu i rozpaczy.
Gdy ja myślę o Bogu, chcę pokrzepić ducha,
On mi ogień sumienia pod sercem rozdmucha,
I krew mi przypomina, albo ryczy wściekle:
Żegnaj się, czy nie żegnaj, obaczym się w piekle!
Och! wtenczas, jasne pany, ucierpiałem dosyć.
Nie! — rzekłem — niepodobna takich mąk przenosić!
Czyż zniosłem tyle pokus i prac nadaremno,
Aby wkońcu duch czarny wziął górę nade mną?
Nie zdołam się mu oprzeć, ratuj Matko święta!
Bo w tej puszczy przed śmiercią szatan mię opęta,
I weźmie duszę moją. — Wyjdę z tej gęstwini,
Niech się już sądom ludzkim zadosyć uczyni.
Może, kiedy mię spotka zasłużona plaga,
Szatan się ułagodzi, albo Bóg przebłaga!...

I wziąłem moją zgniłą, podartą sukmanę,
Pożegnałem pasiekę i pszczółki kochane,
I płacząc po mym lesie i klnąc moją dolę,
Poszedłem, by jakkolwiek wybłąkać się w pole.

XII.

Błądziłem długo... aż jednego ranka,
Las się przerzedził nad szeroką rzeką,
I zawidniała piasczysta polanka,
A dalej wzgórek i wieś niedaleko.
Wszedłem na wzgórek, las zniknął w oddali;
Było mi straszno, gdy wyszedłem w pole...
Drżałem z obawy, że mię wiatr obali,
Że zbytnia jasność oczy mi wykole...
Powiodłem okiem po błękitnem Niebie,
Potem spojrzałem na ustroń wieśniaczą:
Mży się w źrenicach, widzę wkoło siebie,
Dęby i sosny na powietrzu skaczą...
Wszedłem do wioski, strach ogarnął piersi,
Lecz razem w piersiach tak słodko, tak rzewnie!
Ludzie — mój Boże — to bracia najszczersi!
Ja wszystkich ludzi uściskałbym pewnie!
Lecz wszyscy ludzie, na całej ulicy,
Z krzykiem, ze strachem, uciekli ode mnie,
Dzieci i starsi, wszyscy bez różnicy,
Wołam ich, płaczę, wszystko nadaremnie.
Czy to twarz moja zniszczona przez nędzę,
Czy leśna postać straszyła z daleka?
Czy krew błyszcząca na zgniłej siermiędze?
Czy ślady w oczach, że zabiłem człeka?
Gorzko mi było, że ludzkie postacie
Stronią ode mnie jakby od zarazy —
Każdy mię zdala żegna po trzy razy,
I bieży z krzykiem zamykać się w chacie.
Pierwszy z ulicy stał domek schylony,
Puknąłem w okno, zakrzyczano z chaty.

Ja się oparłem na mój kij sękaty,
Rzekłem: Niech będzie Chrystus pochwalony! —
Nikt się nie ozwał, ale drżące dziecko
Kawałek chleba rzuciło mi w ręce...
Oj pany! pany! nigdy tak zbójecko
Wilk nie poglądał na zwłoki jagnięce,
Ani połykał tak żarłocznem gardłem
Krwawej zdobyczy na wioskowej niwie,
Jak ja na chleb ten patrzałem łapczywie,
I jak go żarłem...
Z wioski do wioski błąkam się mizerny,
Ludzie się lękli jak dzikiego gadu;
Nakoniec człowiek jakiś miłosierny
Spytał się u mnie: Kto ty jesteś, dziadu? —
I wezwał na noc, i dał ciepłej strawy,
Starą sukmanę dał mi na przykrycie,
I gwarzył ze mną — o Boże łaskawy,
Szczęść temu człeku całe jego życie!
(Najlepszy datek — o wierzcie mi, wierzcie!
Kto swojem sercem biedaka obdarzy).
On mi powiedział: że w tutejszem mieście
Zasiadłeś, Książę, by sądzić zbrodniarzy,
Więc tu przyszedłem.
Jak zbrodniarze warci,
Każ mię ukarać przykładnie a srodze,
A ja cię za to sowicie nagrodzę:
Weź moje pszczoły, — te trzy kopy barci!
Jam je hodował na bezludnym borze,
Strzegłem, czy letnia, czy zimowa pora;
Dziś tego miejsca nie znalazłbym może,
Lecz każ wyszukać, gdzieś koło jeziora,
Las jakby wyspa — bagna idą w kółko,
Przy jednem bagnie jest krzyża ułomek,
A w środku wyspy, nad samą rzeczułką
W spróchniałym dębie wydrążony domek.
Nie gardź podarkiem, miłościwy książę!
A mnie na gardle skaraj jak mordercę;

Może się śmiercią sumienie rozwiąże,
Może ciężaru pozbędzie się serce! —

XIII.

Chodyka zamilkł, — a ciżba milcząca
Patrzy na dziada okiem zadumania. —
Książę z powagą wysłuchał do końca,
Westchnął ukradkiem i oczy zasłania.
Cóż to? czy Książę myślami się troska,
Że zakrył oczy i poruszył głową? —
Łza mu spłynęła... O! łza Radźwiłłowska
Łacno złagodzi srogość statutową. —
Radziwiłł dumał — powstał naostatek,
Uderzył w dzwonek, szmer rozległ się w tłumie.
— Mości panowie! — krzykł woźny u kratek —
Solvitur sessia na jutro po Summie! —

XIV.

Nie wiem końca powieści. We dwa lata blizko
Umarł jakiś pokutnik w słuckim monasterze;
A dzwonnik rozpowiadał, dzwoniąc na pacierze,
Że podobno Chodyka było mu nazwisko, —
Że aż strach było patrzeć, jak pokutę czyni,
Jak o chlebie i wodzie stare kości suszy;
Że podobno coś zgrzeszył, że był na pustyni,
A zresztą Bóg go tam wie — pokój jego duszy!
A w lesie między mszarem jest wysepka dzika,
Na niej ogromny pszczelnik — pasieka nielada, —
A naród o tej wyspie dziwy rozpowiada,
A ten pszczelnik od wieków nazwano Chodyka.

17 września 1844 roku.

KRADZIONE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

(Podsłuchano).

W ręce aspana, panie Jakóbie!
Mówisz: kradzione lepsze, i chcesz tego dowieść;

Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
Powiem aspanu przypowieść:

W samym końcu zaścianku, pilnując swej niwy,
Żył sobie szlachcic poczciwy, —
A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa.
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie za to
Okropnie było pstrokato,
Zwyczajnie jak u młokosa.
A tuż, mój mospaneńku, obok ich stodoły
Ciągnął się wygon sąsiada,
Na którym pasły się stada:
Konie, owieczki i woły.
Czy wiecie co, tatulu? — tak mówił raz młody —
Fraszki to — praca i cnota.
U nas, panie, poczciwość, trudy, niewygody,
A w domu wieczna hołota.
Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
Poczciwym nie da talarka,
Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,
Drugiemu liczy na ziarnka.
Naprzykład choćby u nas: ot idą zapusty,
A w domu ni to, ni owo;
Hola! jakby to dobrze, by na Czwartek tłusty
Utuczyć pieczeń wołową!
— A skądże weźmiesz wołu?

— Czy to wielka sztuka?
Niby to dostać nie możem!
Chodzą woły sąsiada — po gardlisku nożem,
Niech potem sąsiad poszuka.
— Cóż to! — zawołał ojciec — to kradzież wyraźnie.
To jakaś sztuka zbójecka;
A siódme przykazanie? a sumienie? błaźnie!
A nasza wiara szlachecka?...
— At myśleć, co się godzi, a co się nie godzi?
Za cóż my biedni i głodni?

Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni;
Czy to po ludziach nie chodzi?

Na takie argumentum ojciec mruknął z cicha:
Cóż robić? szatan cię uczy;
Ukradniem jutro wołu, lecz pomnij do licha,
Nigdy kradzione nie tuczy!

Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się borysza;
Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,
I z wołem... het! do zacisza.
Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,
Rozćwiartowali w stodole,
I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
Wołowa pieczeń na stole.

Wiesz co teraz, mój synku? — odmierzym się w pasie:
Zjadając mięsko tak cudnie,
Będziem wiedzieć, mospanie, po niejakim czasie,
Kto z nas utyje? kto schudnie?
Zmierzyli się i każdy na swojej poprędze
Naznaczył kreskę czerwoną.
Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,
Teraz utuczym się pono!

Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
Codzień przysmaczek od wołu:
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.
A tu rozruch w zaścianku, sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie...
Syn dręczy się obawą, jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie.
Czy kto skrzypnie we wrotach — on w nocy i we dnie
Marzy o przyjściu sąsiada;
W obiedzie... strach, zgryzota, co chwila pobladnie,
A ojciec smaczno zajada.

Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
    Ojca wiek zniszczył i znoje;
Lecz kiedy zjedli wołu, syn wysechł jak szczepka,
    A ojciec utył we dwoje.
A co, błaźnie — rzekł stary — pamiętaj przysłowie,
    Że male parta do czarta.
Ja zakupiłem wołu, — toć mi szło na zdrowie,
    Ty, kradnąc, schudłeś na charta.

* *
*

A cóż, panie Jakóbie, jak przypowieść zda się?
— Moralna! sens na wierzchu jakby gwiazda świeci.
— Ja umiem jeszcze lepsze — a w swobodnym czasie
    Więcej opowiem waszeci.

12 marca 1849. Załucze.

ZALOTNICY.

GAWĘDA.

Onego czasu, młodziuchna, słodka,
Żyła dziewica, Niebios pieszczotka,
    Piękna jak gwiazda na Niebie;
Cóż więc dziwnego, że serca żarzy,
Że wszyscy młodzi, że wszyscy starzy
    Skarbią jej względy dla siebie?

Młodzi poeci, starzy statyści,
Ludzie rycerscy i bióraliści
    Króla Popiela czy Piasta,
Na jej spojrzenie biegli zawodem,
Jak gdyby muchy do czary z miodem,
    Wołali: Cudo niewiasta!

Wołali chórem: O krasna dziewo!
Spojrzyj na prawo, spojrzyj na lewo,
    My wszyscy twoi poddani!

Dla twoich wdzięków, dla twych przymiotów
Każdy choć w ogień polecieć gotów,
Daj dobre słówko, o pani!

Który z nas godzien (choć wszyscy życzą)
Posiadać twoją miłość dziewiczą,
Wybierz po dobrym rozmyśle;
A gdy jednego z grona wybiorą,
Reszta nieszczęsnych pójdzie z pokorą,
Pójdzie — utopić się w Wiśle!

Jęczą, wzdychają, czysto waryaci —
Biedna dziewica przytomność traci,
Spuściła oczki i słucha;
Nie wie, jak pozbyć czułą gromadę,
Więc prosi w myślach o dobrą radę
Ojca i Syna i Ducha.

Duch święty radą wspomógł dziewicę:
Przez jej urocze, lecz blade lice
Przebiegły krasne kolory;
Skinęła rączką drobną i białą,
I wznosząc oczki, rzekła nieśmiało:
Moje wy czułe amory!

Jak was nie kochać, powiedzcie sami?
Każdy o miłość prosi ze łzami,
Każdy jak z wosku odlany;
A taki kształtny, hoży, stateczny,
A taki dobry, a taki grzeczny,
Choćby przyłożyć do rany.

Lecz jak was kochać, moi panowie?
Dziś wiecie sami, że Tatarowie
Kraj najechali w drużynie —
Mieczem i ogniem grożą ojczyźnie,
We krwi niewinnej i w spaleniźnie
Biedna ojczyzna zaginie.

Dziś właśnie pora wesprzeć brat brata,
A wy, mężczyźni, obrońcy świata,
Wznosicie jeno toasty!
A zamiast spieszyć ojczyźnie gwoli,
Ubrani w atłas i puch soboli,
Klęczycie u stóp niewiasty!

Chcecie miłości? któż was pokocha?
Chyba kobieta wietrzna i płocha
Takim zachwyci się mężem;
Dać komu rękę — cóż gdy się zdarzy,
Że domowisko najdą Tatarzy,
A mąż nie włada orężem?

Kto chce miłości, wnet mu uwierzę:
Zrzućcie złotogłów, włóżcie pancerze,
Na koń i przeciw Tatara!
Wszak wasza liczba dosyć jest mnoga,
Moich kochanków pułk przeciw wroga
Niech się odznaczyć postara.

Kto więcej szczerbów na swem żelezie,
Kto więcej znaków i ran przywiezie,
Choćby zrąbany, kaleki, —
Niech jeno weźmie tryumf nad wrogiem,
Ja go przysięgam przed Panem Bogiem
Kochać na wieki, na wieki!

Tupnęła nóżką — ogień uroczy,
Ogień zapału wstąpił w jej oczy,
I padł na ciżbę w iskierce;
I zapłomienił ciżbę zdumioną —
Duch bohaterski wstąpił w ich łono,
Jak proch buchnęło ich serce.

I wzniósł się okrzyk w prawo i w lewo:
Cześć, bohaterko! cześć tobie, dziewo!
Spełnią się twoje zamiary! —

Rzekli, wybiegli, chwycili bronie,
Wdziali pancerze, siedli na konie,
I cwałem walczyć z Tatary!

Pomimo siły, mimo przemocy,
Walczyli z wrogiem trzy dni, trzy nocy,
Zbili zastępów trzydzieści;
Lecz sława przyszła drogim okupem,
Bo wkońcu wszyscy polegli trupem
Na polu walki i cześci.

Tylko pozostał jeden z ich grona,
Przez niego bratnia klęska pomszczona,
Przez niego Tatarzyn ginie.
Jednych rozdzielił z życiem lub bronią,
Drugich zapędził dzielną pogonią
Gdzieś na dalekie pustynie.

Jeńcem tatarskim zmurował mury,
Ustroił ściany w łup armatury,
Wzięty własnemi rękoma;
A wystroiwszy zamek po pańsku,
Dwie beczki wina zakupił w Gdańsku,
Dwie beczki miodu miał doma.

I z dziewosłęby szedł do niebogi,
— Nagródź zwycięzcę, pobite wrogi,
Ja wszędzie byłem na czele! —
Dziewica oczkiem przyjaznem błyska,
Rękę rycerza w swych rączkach ściska —
I wkrótce było wesele.

Wesele huczne — i ja tam byłem,
I miodek słodki, i wino piłem,
Lecz mi nie wiedzie się wszędzie;
Bo smakowity miodek i wino
Po brodzie ciekną, do ust nie płyną, —
Ot i po całej gawędzie.

1849. Załucze.

URODZONY
JAN DĘBORÓG.

DZIEJE JEGO RODU, GŁOWY I SERCA, PRZEZ NIEGO SAMEGO OPOWIADANE.

PRZEDŚPIEWEK
DO LITEWSKIEGO CZYTELNIKA.

Ziemio moja rodzona, Litwo moja święta,
Żółtym piaskiem i drobną trawą przytrząśnięta!
Niepokaźne na oko dzikie twe zacisze,
Nie tak jak u Auzońców i Helwetów słyszę,
Gdzie pola jak raj ziemski, jako świata dziwo,
Gdzie lasy zarastają mirtem i oliwą,
Gdzie góry od Ponarskich wyższe tysiąc razy,
Takie cudne co chwila stawi krajobrazy,
Takie rzeki, kaskady i jeziora tworzą,
Że je Włosi malują i na dziw rozwożą
Po litewskich jarmarkach, gdzie je naród chwyta...
Ty nie dojdziesz tej sławy, Litwo rodowita!
Twoja ziemia posępna, twe Niebo bez blasku,
Ciebie do Włoch na pokaz nie powieźć w obrazku.
Nie spada w katarakty twoja woda sina,
Na twych wzgórkach jałowiec, po lasach sośnina, —
Z nieociosanych bierwion klecone twe domy,
Kwitnie mech zielonawy na strzechach ze słomy,
A pod strzechą lud pełen prostoty i dziczy,
Rzekłbyś, patrząc na niego, że do trzech nie zliczy.
A jednak do twej treści gdy zajrzeć głęboko,
Litwo! tyś więcej warta, niż zda się na oko:
Pieszczota Oceanu, dziwowisko świata,
Z twych sosen wyciosana brytańska fregata;
Siermiężny syn twych wiosek po to ziemię kopie,
Aby głodno nie było pięknej Europie;

Nie zląkł się prosty szlachcic, karmiony twem żytem,
Ani Turków pod Wiedniem, ni skał pod Madrytem.
 Cicho Niemen przebiega rodzinne siedziby,
Nie straszny dla żeglarza i spokojny niby,
Pozwala siebie łodziom deptać całe lato,
Zimą da się w ciemnicę zakuć lodowatą;
Nie stawi groźno czoła — nie rwie się, nie ryczy,
Taki zda się pokorny, taki niewolniczy!
O! nie wierz tej pokorze — i patrz kiedy łaska,
Gdy się na wiosnę wzburzy i lody potrzaska, —
Biada! ocknął się olbrzym — wie, kto go znieważa:
Gruchoce dom rybaka i statek żeglarza,
Falą zalewa błonie, echem grzmi po borze,
A gdyby jeszcze chwila — świat zniszczyłby może.
Lecz gniew jego przekipał, już krzywd zapomina...
Ot tak samo jak Niemen i serce Litwina.
Tu gdzie Niebo posępne, gdzie chłodnawe klima,
Zda się żadna namiętność wrząca nie wytrzyma,
Zda się ludzie drzemali, a całe ich życie
Upływało powoli i nierozmaicie,
Tak Litwin niepoczesny, tak zwiesił coś głowę.
Ho! ho! zapytaj dziejów, zbierz wieści domowe,
I co mędrzec zapisał, i co prządka gwarzy,
A poznasz, jak na zimnej i spokojnej twarzy
Odkryć gorącej myśli tajemnicze piętno.
 O! i poważna Litwa umie być namiętną:
Tutaj chrobrym zapałem pierś męża oddycha,
Tutaj miłość dziewicza gorąca choć cicha,
Tutaj znać burze życia na obliczu starem...
Kolejno z pługiem, z krzyżem, z mieczem, lub z puha-
To rąbiąc się wzajemnie, jak rozkażą starszy, [rem,
To wiodąc w gronie dziatwy żywot patryarszy,
To w modlitwie, to doma, to między cudzemi
Ruchawe pędził chwile mieszkaniec tej ziemi.
A ile doznał przygód! — i sam nie spamięta.
Czasem bywa ich powieść serdeczna i święta,
Czasem wypadek krwawy lub tchnący swawolą,

Niekiedy taki śmieszny, że aż boki bolą.
A pamiątkę tych przygód — co krok to znachodzę!
Każdy kopiec na gruncie, każdy krzyż przy drodze,
Stos łomów na gościńcu, kaplica, gospoda,
Wszystko tu jest pamiątką — i wszystko ci poda
Jakąś ciekawą powieść o życiu Litwina.
A ileż się tych podań codzień zapomina,
Albo widząc nie widzi, a słysząc nie słucha,
Kto rodzinnem powietrzem nie napoił ducha?!
Ej, bolesno, bolesno! — Czemuż to, mój Boże,
Lirników i gęślarzów miało Zaporoże?
Czemu na naszych polach nie zjawią się tacy,
Jak bardy kaledońscy, jak greccy żebracy,
Co to każdą pamiątkę w rodzinnym zakresie
Zaraz w pieśnię ułoży i na świat rozniesie?...
Nas Pan Bóg nie obdarzył talentem śpiewaczym:
My domowe pamiątki kamieniami znaczym.
Co ten kamień?? — zaginie, jako ziemia marna,
Zarośnie mchem zgrzybiałym lub pójdzie na żarna,
A podanie zginęło. — Ejże, jako żywo!
Lirnik miałby tu piękne i bogate żniwo:
Opiewać nasze krzyże, kurhany i groby,
Od czasów Mendogowych do dzisiajszej doby,
Od baszty w krewskim zamku, gdzie legł Kiejstut stary,
Aż do krzyża nad brzegiem Prypeci lub Szczary,
Co wzniosła po topielcu wioskowa gromada
I dotąd o tym krzyżu cuda rozpowiada.
Ej, każda taka powieść dla piewcy ciekawa!
Z każdej ludziom nauka, płacz albo zabawa;
A pamiątka i pieśnia, przywiązana do niej,
Zawsze duszy litewskiej choć cząstkę odsłoni.

* *
*

Otóż podanie z jednej litewskiej mogiły
Składam dzisiaj w twe ręce, czytelniku miły.
Choć kształtem rymowanym oblokłem to dzieło,
Nic się gwoli końcówce prawdzie nie ujęło.

Prawdziwa, w rymotwórcze koncepta uboga,
Powieść urodzonego Jana Dęboroga:
O rotmistrzu pancernym i jego mogile,
I jako się upiorem błąkał przez lat tyle;
O starym Dęborogów z Brochwiczami sporze
I o zgodzie serdecznej, — o definitorze,
O świętych jego cnotach, nauce i pracy,
(Czemuż częściej kapłani nie bywają tacy?),
Słowem, całą gawędę z upłynionej chwili,
Jako niżej ujrzycie, czytelnicy mili,
Powiadał mi obszernie i w niedawnym czasie
Urodzony Dęboróg, kiedy na popasie
Poznałem go raz pierwszy. — Zda się człek statysta,
Z oczu widać szlachetność, mina zawiesista,
A dziś już obywatel, małżonek i ojciec.
Ale czy prawdę mówił — skąd ja mogę dociec?
Więc nie chcąc odpowiedzi brać na własną głowę,
Żem coś zmyślił lub dodał w powieści osnowę,
A pragnąc w całym kształcie oddać tę gawędę,
Własnemi jego słowy opowiadać będę.

URODZONY JAN DĘBORÓG.

I.

Pod niegminną i niepodłą
Urodziliśmy się gwiazdą:
Herb Dęboróg nasze godło,
Stary Poleś nasze gniazdo.
Z dziadów, z ojców w naszym rodzie
Zawsze były łaski Boże;
Szlachta drobna, lecz zasobna,
Krzywo pisze, prosto orze,
Procesuje, strzeże kopców,
Lasy pali, Boga chwali
I hoduje walnych chłopców.
W naszym rodzie, jak w ogrodzie,

Pełno główek, jak makówek;
Znają ludzie każdą głowę,
I urzędów mamy dosyć;
Ale cóż się z nich wynosić,
Kiedy wszystko powiatowe?
Każdy urząd, chociaż ludzki,
Ani grzmiący ani groźny,
Rotmistrz lidzki lub oboźny,
Albo cześnik nowogródzki.
Herb się naszej parenteli
Ani razu nie doporał,
By po mieczu lub kądzieli
Wziął buławę lub pastorał,
Albo mitrę; — naszej tarczy
Taki luxus nie obarczy.
Prosto sobie herb dziadowski,
Przy nim sztandar i armata,
Hełm lub czapeczka rogata,
Albo biret proboszczowski, —
Ot i basta.
Protoplasta,
Od którego my pochodzim,
Za Chrobrego czy za Wazy,
Deputatem był dwa razy
I wileńskim podwojwodzim.
Ale z takich antenatów
Niema poco dąć się w pysze:
Bo nasz przodek, był to, słyszę,
Mimo sławę wiekopomną,
Curtum visum do stu katów!
Więc nie lubim gdy go wspomną.
Za to w rodzie naszym słynie
Ów pancerny rotmistrz stary,
Który walczył w Ukrainie
Z hajdamaki i Tatary,
A ugodzon kulą w głowę,
Jak bohater zginął śmiało.

O nim podanie domowe
Taką powieść zachowało:
  Że ostatnią czyniąc wolę,
Kazał przewieźć swoje kości
Do ojczystej posiadłości,
Na wioskową naszą rolę;
Że pogrzebu kościom życzy
Nie we sklepie lub w kościele,
Lecz gdzie żytni łan się ściele,
Gdzie z sąsiadem grunt graniczy;
Aby kurhan nad mogiłą,
Niby kopiec stał ochrończy,
A na wieki znaczno było,
Gdzie poletek nasz się kończy.
Jego wola uroczysta
Wypełniona jak należy.
Przeminęło lat ze trzysta,
A od starca do młodzieży
Każdy jeszcze dziś pamięta
Grób rotmistrza — kopiec z darni;
A sąsiedzi gospodarni
Wiedzą, że to miedza święta,
Że przywłaszczyć stąd nie wolno
Choćby jednę skibę rolną.
  Tuż za kopcem stał dwór cudzy,
Ale gruntów nam nie spaszą:
Bo panowie i ich słudzy
Szanowali własność naszą,
Bo wiedziano, że wybrzeże
Stary dziedzic z grobu strzeże.

II.

Jak mogę zapamiętać — od najrańszej chwili
Z sąsiadami z za kopca nigdyśmy nie żyli;
Nigdy na naszych ucztach nie byli przytomni,
Mój ojciec nigdy o nich i słówkiem nie wspomni:

Dwa dworki, choć od siebie w mecie niedalekiej,
Zdaje się grób rotmistrza rozdzielił na wieki.
Jeszcze dzieckiem pamiętam, jak to było gwarno,
Kiedy ściany domowe gości nie ogarną:
Tam przy matce matrony, tu przy ojcu męże,
Wre gwar, brzęczą kielichy, stukają oręże;
Wije się krasnych strojów barwa uroczysta,
Jako kwiaty na łące, gdy je wietrzyk chysta.
Ojciec wesół, że strzecha ożywiona nasza,
Miód i wino rozlewa i gości zaprasza;
A sam z gośćmi zasiadłszy przy winie lub miodzie,
Rozpowiada o panu trockim wojewodzie,
Przy którym, jak zwyczajnie szlachta niebogata,
Szukając klienteli, spędził młode lata.
I promienieje starzec, kiedy gwarzyć zacznie...
Niechże kto o sąsiadach przypomni niebacznie,
Lub o grobie rotmistrza — wnet się ojciec zmienia,
Jak gdyby go ubodły ciężkie przypomnienia.
Wnet poblednie jak ściana, głowę spuści smutnie,
I oblicze nachmurzy, i rozmowę utnie,
I gryzie gniewnie wargi — nudzą go przytomni;
Chyba że ktoś trockiego wojewodę wspomni,
Wtedy ojciec, nie bacząc, że go serce boli,
Odzyskiwa wesołość powoli... powoli...
Wkońcu umarł nasz sąsiad — cóż państwo powiecie?
Ojciec, co go nie lubił, póki żył na świecie,
Po śmierci mu wypłacał, jak gdyby hołd dłużny,
Zapomogę z modlitwy, postu i jałmużny;
Zakupił Msze żałobne, krył się od gromady,
A chodził zamyślony, ponury i blady.
Bywało, kto w sąsiedztwie zamknie w Panu oczy,
Mój ojciec, w uczynności braterskiej ochoczy,
Spieszy i losem sierot troska się najczulej,
Owdzie wdowę pocieszy, tam dziatwę utuli,
Zajmuje się pogrzebem, gospodarzy w stypie,
I gawędki o trockim wojewodzie sypie;
A tutaj, chociaż smutek wpił się mu do głowy,

Nie pojechał na pogrzeb, nie pocieszył wdowy,
I odzywał się słowy gniewnego rankoru,
Kiedy wspomną nazwisko sąsiada lub dworu.
Raz, widząc, że ochłonął z gniewu i rozpaczy,
Spytałem go nieśmiało: Co to wszystko znaczy?
Czemu zwykle tak dobry, ochoczy z usługą,
Na sąsiadów z za kopca gniewa się tak długo?
Dlaczego, gdy się gniewa w jednostajnej mierze,
Umarłego sąsiada żałuje tak szczerze?
Dlaczego, gdy żałuje, dwór omija zdala,
Nic o zmarłym nie wspomni i nam nie pozwala?
Tu się ojciec zapłonił, potem zbladł jak ściana:
A skądże ta ciekawość? At, p r o s z ę a s p a n a,
Młokos jesteś i kwita, wścibiasz nosa wszędzie!
Jak ci z laty rozumu do głowy przybędzie,
Jak na skórze zużyjesz rózeg całą puszczę,
Wtenczas, proszę aspana, całą rzecz wyłuszczę;
A tymczasem wiedz, błaźnie, i zapisz to w głowie,
Że nie ja, ani sąsiad, lecz nasi przodkowie,
Może to prapradziady, mieli z sobą waśnie,
I wnukom przekazali gniew, co nie wygaśnie
Póty z naszego serca, dopóki wystarczy
Naszych imion szlacheckich i herbów na tarczy.
Wiele wody upłynie, długie przejdą lata,
Nim się wkońcu Dęboróg z Brochwiczem pobrata;
A o tamtych zatargach pamięć i nauka
Z ojca pójdzie na syna, a z syna na wnuka,
I chyba który z rodu... At i gadać szkoda!
Coby to rzekł, mospanie, trocki wojewoda,
Że się młokos u starca tak zuchwale pyta?
Nie rozumiesz tych rzeczy — więc milczeć i kwita.

III.

Byłem już sobie rosłe pacholę,
Runiał mi wąsik na krasnej twarzy;
Czas był do szkoły, ale o szkole

Mojemu ojcu ani się marzy.
A kiedy wspomni, to zawsze w gniewie:
  Proszę aspana, czas wyśmienity,
Młodzież głupieje, nic a nic nie wie,
A gdzie się uczyć bez Jezuity?
Minęła wiara i karność stara,
Po szkołach jakieś nowotne dzieło,
Nie masz łaciny, nie masz Alwara,
Równo z Alwarem — wszystko zginęło.
Ksiądz Jezuita niegdyś dobitnie
Wrażał łacinę i karność w dziecię;
Przetoż bywało i mądrość kwitnie,
I lepiej jakoś było na świecie.
Przodkowie nasi stąd mieli ducha,
Stąd wiekopomne tworzyli cuda;
Dzisiaj bez rózgi moralność krucha,
Z pijarskich książek łacina chuda.
Syna bym w domu nie trzymał dłużej,
Lecz Pan Bóg widzi, że pusto w kiesie:
Dać do konwiktu możność nie służy,
Uczyć przy farze jakoś nie chce się;
Zwłaszcza gdy człowiek z dawna pamięta,
Że dom nasz bywał w świetniejszym stanie:
Byliśmy w szkole między panięta,
Chłostę na perskim brali dywanie.
A dziś... mój dziedzic... biada nam, biada!
Daremno człowiek ratunku szuka:
Codzień to ciężej ród podupada
Z ojca na syna, z syna na wnuka.
Proszę aspana, uczyć się pora,
Lecz nie masz za co, nie masz widocznie.
Uproszę księdza definitora,
Niech bakałarzyć nad tobą pocznie.
Kształć się w łacinie i świętej wierze,
Nim pójdziesz do szkół wedle zwyczaju —
Może się u mnie grosiwo zbierze
I Jezuici wrócą do kraju.

IV.

O milę w wiosce był dom Plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek Boży mieszkał w tej chacie.
Ksiądz definitor, święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wioskowe progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłócz gruntu — i na tej ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz bywało widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon lub sieje zboże!
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była jego cała posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kołków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
Masz waszeć, bratku, prace domowe,
Ja sam chcę orać pole ojczyste! —
I tak modlitwę szepcąc pobożnie,
Sam sobie zorze, zasieje, pożnie.
Na jego sznurach najlepiej rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota
Jakby wyrocznię mieli kmiotkowie:
Drożyzna, pomór, pogoda, słota,

Ksiądz definitor zawsze przepowie.
I cóż dziwnego? — wszak jego oko
Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
Myślami w Niebo wsiąknął głęboko,
Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
Może mu nawet w samotnej celi
I Święci Pańscy coś poszepnęli.
Kiedy śpiew starca zadrżał w kościele,
Jakoś cię zawsze skrucha ogarnie.
Rzekłbyś: Apostoł — kiedy w Niedzielę
Prostemi słowy uczył owczarnię,
Kiedy tłomaczył ze świętej księgi:
Jak to pokorny Zbawiciel świata
Składa Majestat Bożej potęgi
I w ciele ludzkiem z człekiem się brata,
Bóg z nędzarzami żyje pospołu,
Między grzeszniki siada do stołu,
I daje Siebie przybić do krzyża,
I składa ciało w człowieczym grobie.
Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
By nas uzacnił, podniósł ku Sobie;
A u nas, szlachcic — jasne wielmożę,
Rad, że mu herby dała ojczyzna,
Bóg został człekiem, a On nie może,
Kmiotków za bliźnich Swoich nie przyzna;
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
Za jeden puhar starego wina
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rok by miała chleba i soli.
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
Pany się waśnią, idą na noże;
Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
Bo nie dla niego honor człowieczy!
  Tak to, bywało, głośno i śmiele
Ksiądz definitor gadał w kościele.

Słów jego świętych nigdy nie zaćmi
Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
W oczach — do braci prośba za braćmi,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawia przed oczy.
Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.
A spowiedź jego — wieczna nauka!
Nim rozgrzeszenia krzyżyk nakreśli,
Nim w trybunału kratkę zapuka,
Wynajdzie nitkę najskrytszych myśli,
I tak przekona, i tak poruszy,
Tak wpoi miłość, wiarę, nadzieję,
Że choćby grzesznik miał skałę w duszy,
Łzami z pod serca trzykroć się zleje.
A po spowiedzi długo, ach! długo
Będzie spokojne sumienie twoje, —
Będziesz skwapliwy z bratnią usługą,
Krzywdę bliźniemu wrócisz we troje;
Wesołe serce... och! popamięta,
Że w niem złożona Hostya święta!

Kiedy wieczorna szarzeje pora,
On pieszo zwiedzał poblizkie domy.
Zdala poznałeś definitora
Po kapeluszu z zielonej słomy.
Za cieniem wzniosłej świętej postawy
Szło zawsze wierne, pieszczone psisko,
Jak owca biały i kędzierzawy,
Pamiętam, Servus jego nazwisko.
A ksiądz czeczotką kroki podpiera,
Idzie powoli i kwiatki zbiera.
On i w pałacu i w prostej chacie
Pomagał, radził, krzepił na duchu;
Z panem i z chłopem za-panie-bracie,
Jakby ogniwo w bratnim łańcuchu.

V.

Ksiądz definitor był kapłanów wzorem —
Ojciec mój chodził najpoczciwszą drogą;
Rzecz jednak dziwna, że z definitorem
Nigdy bywało zgodzić się nie mogą.
Ojciec mój w mieście zawsze się spowiada,
Ksiądz definitor wiecznie nas ominie,
A gdy się zejdą trafem u sąsiada,
Zawsze się z sobą kłócą po łacinie.
A ojciec mówi:
At, proszę aspana,
Ksiądz i poczciwy, lecz pożal się Boże,
Tak mu do grzbietu przyrosła sutana,
Że o szlacheckim zapomniał honorze.
Nie sztuka zrzędzić — ale Bogu dzięki,
Moje sumienie nieskalane wcale;
Gdyby przynajmniej statut wziął do ręki,
Proszę aspana, tam w czwartym rozdziale,
Jak wołem pisze o ziemskiej dawności:
Kto przez lat dziesięć dóbr się nie dopomni,
Niech później do nich i prawa nie rości,
Ni on, ni dzieci, ni dalsi potomni.
A toż, mospanie, od początku dzieła
Może dziesiąta dawność upłynęła.
Z dziadów, z prawnuków szło dalej i dalej,
Czemuż się pierwej nie upominali?
Co wziąłem z ojców, muszę strzedz jak głowy,
Muszę w całości przekazać mej dziatwie
Grunta po miedzę, gdzie grób rotmistrzowy,
I całą sprawę, której nie załatwię, —
Bo jest przysłowie: że do końca świata
Herb się Dęboróg z Brochwiczem nie zbrata.
Ksiądz definitor napomina srodze,
Bym oddał grunta aż do samej rzeki;
Proszę aspana, toż minęły wieki!
Nie jam ukrzywdził, nie ja wynagrodzę.
Przodkowie nasi graniczyli miedzą

I mieli proces o sąsiednie niwy;
Przodkowie nasi Bogu odpowiedzą,
Pan Bóg rozezna, kto prawy, kto krzywy.
Może już dotąd gdzieś przed Panem Bogiem
Dawno się Brochwicz zbratał z Dęborogiem;
Lecz tu na ziemi... to wcale inaczej,
Proszę aspana, i honor coś znaczy,
Honor szlachecki.
Ale to najgorzej,
Że ksiądz tak żywo bierze sprawę wdowy,
Puka mi w serce swojemi namowy
W imię sumienia i bojaźni Bożej,
Bym zwrócił grunta; — ja gruntów nie zwrócę,
Proszę aspana, lecz tu sęk u licha,
Że trzeba z prośbą udać się do mnicha,
By chciał mi syna przyjąć ku nauce.
Bo już, co prawda, to wyznać potrzeba,
Że jego głowa przemądra choć stara, —
Łaciny jeszcze uczył się z Alwara,
A cnoty — chyba od samego Nieba;
Uczony, skromny, pracowity, szczery,
Czysto jak święty Franciszek Ksawery.
O! dla młodego taki mistrz nielada,
Święte w tych rękach boćkowskie narzędzie...
Lecz iść i prosić, nie wiem czy wypada,
Bo jak odmówi, to jeno wstyd będzie.
Taka w mym ojcu toczyła się walka,
Wreszcie kabała rozstrzygnie ją może;
Więc ujął karty, liczy: tuz... król... kralka...
Z kart wyszło dobrze — idźmy w Imię Boże.

VI.

Ksiądz definitor prośby wysłuchał wesoło,
Ściskał ojca, mnie ściskał, ucałował w czoło,
I rzekł: Zostań tu, chłopcze, ucz się w Imię Boże!
Wszystką miłością w sercu, chlebem, co w komorze,
I nauką, co w głowie — choć jej tak niewiele,

Co Bóg dał, wszystkiem chętnie z tobą się podzielę! —
Tylko że widzi Waszmość — rzekł do ojca dalej —
Ja stary mam narowy, a szlachcice mali
Zwykle przynoszą z domu dwa początki liche,
Bo dwa grzechy śmiertelne: lenistwo i pychę;
A u mnie chleb pożywać trzeba w ciężkim trudzie,
Przekonać się, że równi sobie wszyscy ludzie,
Czy kto ma herb, czy nie ma — braciaś my po prostu,
Czy kto żyje w pałacu, czy w lepiance z chróstu,
Chłopyś my i parobki przed Bożem obliczem! —
Nikt cię tutaj nie będzie nazywał paniczem,
Jeść będziesz razem ze mną, z nami czeladź jada,
W zakrystyi wyręczać kulawego dziada,
Na polu mnie się w pracy nieraz dopomoże:
Ja będę żął, ty w snopy związywał mi zboże;
A żeby się nie nudzić, to na pole ruszym
Z gramatyką łacińską i Wirgiliuszem,
Z konwią mleka i z chlebem. Toż to będzie cudnie,
Siadłszy pod kopą żyta we znojne południe,
Posilając się sobie, póki skwaru chwila,
Titire! tu patule... tłomaczyć z Wirgila!
Bo sielanki najlepiej w polu się wydadzą, —
A szlachcic, co ma dzierżeć lud Boży pod władzą,
Gdy sam pozna w rolnictwie i róże, i osty,
Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
Równiejsze będą skiby...

VII.

Miłościwy księże! —
Tak mu przerwał mój ojciec nadąsany srodze —
— Na to, proszę aspana, nigdy się nie zgodzę.
Pracować to pracować, lecz herbowne dziecko
Winno zawsze zachować powagę szlachecką
Wobec gminnych plebejów, co z wioski ród wiodą.
Ot powiem jegomości — z trockim wojewodą
Raz taki był przypadek: — Jak jegomość wiecie,

Na poleskich jeziorach, w bujnym oczerecie,
Lęgną się stada kaczek. Panu wojewodzie
Zamarzyło się z wioski sprowadzić dwie łodzie
I ruszyć na jezioro. W jednej szuhalei
Byłem ja, pan Belina i dojeżdżacz z kniei;
A w drugiem czołnie starem i popsutem wielce
Jechał sam wojewoda, wyżeł i dwa strzelce.
Wpływamy na głębinę, — wtem... zawietrzył w stronę
Wyżeł, psisko niekarne a wielce pieszczone,
Zobaczył stado kaczek — więc bestya skora
Machnął tylko kosmykiem... i buch do jeziora!...
Stara łódź się pochyla, już złopnęła wody,
Tonie... gwałtu! ratujcie! nie masz wojewody!
Jeno kędyś pluchoczą w rozhukanej fali
I on sam, i myśliwcy, którzy z nim jechali, —
Jeno, proszę aspana, z falami się miesza
Jego suta, zielona ze srebrem bekiesza. —
Pan nie pływał, bo tusza była na przeszkodzie:
Lecz Poleszuk, jak ryba, nie zatonie w wodzie.
Strzelcy się wydobyli za spólną pomocą,
Nogami depcą fale, pięściami je grzmocą,
Płyną, proszę aspana, że aż widok miły.
Jeden z nich, jak dziś pomnę, Hrycko, syn Kiryłły,
Wynurzył się... odetchnął... dał nurka na nowo...
I jako zgryźć orzecha, jak powiedzieć słowo,
Wybrnął z głębi i za czub wojewodę wlecze,
Na którym ledwie piętno rozpoznać człowiecze.
My wpław i do topielca... siłami wszystkiemi
Dawaj na brzeg wynosić i tarzać po ziemi,
Aż struga z wojewody leje się jak z kadzi.
Pan bez zmysłów, bez pulsu — więc w całej czeladzi
Przerażenie i popłoch; aż po długiej męce,
Wojewoda odetchnął, wzniósł do góry ręce,
I choć zaledwie żyje, zaledwie oddycha,
Te Deum laudamus zabełkotał z cicha.
Zaraz go nieść do zamku na barkiś my wzięli.

Nazajutrz wojewoda był zdrów po kąpieli,
I wydał dla nas ucztę.
Kiedyśmy przy miodzie
Wszystko opowiedzieli panu wojewodzie:
Jak się czółen wywrócił, jak on wpadł do toni,
Jak go fala unosi, jak go Hryćko goni,
Jak nakoniec (niech będą wielbione Niebiosy)
Strzelec go z topieliska wyciągnął za włosy;
— Jakto! (krzyknął gniewliwie, nasrożywszy minę)
Śmiała mię chamska ręka dzierżeć za czuprynę!
Trockiego wojewodę! pana! dygnitarza!
Gdzie ów śmiałek? — Sto batów! niech się nie odważa
Na podobne zuchwalstwa — bo krew szlachty święta.
Sto batów myśliwcowi! — niechaj zapamięta,
Że szlachcic, chociaż w ogniu, albo w wodzie ginie,
Wara przedsię chłopowi ku jego czuprynie! —
Wkońcu nieco ochłonął — musnął się po głowie:
Ale żem ja niewdzięczen, niechaj nikt nie powie.
Panie rządzco! ja Hryćkę kwituję z pańszczyzną —
Dać mu na całe życie włókę gruntu żyzną,
Niechaj wiedzą włościanie, że jeden w ich rodzie
Trockiego wojewodę salwował w przygodzie!
Lecz że za czub mię dzierżał swoją chamską dłonią.
Sto batów niech wyliczą, a liczby nie ronią.

Więc Hryćko syn Kiryłły wziął sute nahaje,
A nam szlachcie na wieki nauka zostaje,
Co rozumieć o naszym szlacheckim splendorze.
Lecz jegomość się zżymasz?... Ej definitorze!
Wybij z szanownej głowy swe dziwne pochopy,
I dziecka szlacheckiego nie zrównywaj z chłopy,
Bo na to nie pozwolę. Łaska Waszmościna
Za mój grosz jako tako poduczyć mi syna:
Dobrze, proszę aspana; lecz jeśli mój Janek
Ma się uczyć przy snopach łacińskich sielanek.
Razem z chłopstwem zasiadać do misy i chleba,
Dziękuję, — mnie łaciny takiej nie potrzeba.

Niechaj się sobie w domu choć po prostu modli,
Lepiej niech będzie głupim, — a rodu nie spodli.

VIII.

— Znam, panie Pawle, te szlacheckie pieśnie —
Rzekł definitor, śmiejąc się boleśnie —
Lecz pozwól Waszmość... — Co tam mówił dalej,
Mogli zrozumieć chyba wszyscy Święci;
Bo po łacinie starce już gadali,
Obadwaj żwawi, obadwaj zawzięci.
Ksiądz głową kiwa, ojciec ręką trzęsie,
Godzina, druga upływa na swarze;
Wkońcu przy piwku i przy sztukamięsie
Podali sobie ręce adwersarze.
Snadź się mój ojciec wysilił w gawędzie.
Dał się pokonać chociaż z wielką biedą,
Bo tylko mówił: Concedo! concedo!
Proszę aspana, niech już i tak będzie. —
Potem rzekł do mnie: Tutaj cię porzucę;
Słuchaj i kochaj cnotliwego księdza,
Sprawiaj się pilno w pracy i nauce,
Honor szlachecki niechaj cię napędza,
Zresztą leniwca ksiądz niech smaga batem,
Bo mu paternam zdaję potestatem! —
To mówiąc, ręką do kieszeni zmierza, —
Spojrzałem, zbladłem, zadrżałem od mrowi:
Boćkowski rzemień zwinął do talerza
I przez stół podał definitorowi.
A ów rzekł, biorąc straszliwe narzędzie:
Ufam, że nigdy potrzebny nie będzie.

IX.

Nie taki szatan straszny, za jakiego słynie,
Jak go czasem malują węglem na kominie, —
Tak i z moją nauką. Pojętność, pokora,
Prędko jakoś trafiły w myśl definitora:
Nie posłyszałem nigdy ostrego wyrazu,
Rzemień boćkowski nie był w robocie ni razu...

Bywało, skoro jutrznia błyśnie na lazurze,
Stary ksiądz już w kościele — ja mu do Mszy służę,
Potem dziady grzanego piwka nam przyniosą,
I ruszamy na łąkę z grabiami i z kosą,
Albo wziąwszy wiéncierze, idziem ku zatoce
Patrzeć, gdzie hula płotka, gdzie szczupak pluchoce.
Poranek lekki, rzeźwy, a woda tak cicha,
Fala falę ugania i naprzód popycha,
Snuje się nad wodami obłok tajemniczy,
W obłoku słowik śpiewa lub żóraw zakrzyczy.
Wtedy mi starzec siwy, jakby duch z nad wody,
Objaśnia tajemnice i cuda przyrody.
Wprzódy uniosłszy ducha, wspomina imiona
I prace Kopernika, Lineja, Newtona,
I tłomaczy mniej z książki a więcej z pamięci:
Wedle jakich praw ruchu nasz globus się kręci?
Jak snują się w przestrzeni światów miryady?
Co jest grom, błyskawica, i śniegi, i grady?
Jak się obiega ziemię w żeglarskiej podróży?
Jak się ów ptak nazywa? k'czemu kwiat ten służy? —
A ja, siedząc oparty o kłodę olchową,
Piję łapczywem uchem każde starca słowo,
I pilno każde słowo w pamięci zasklepię.
A tymczasem już szczupak w wiéncierzu się trzepie, —
Więc wyciągamy kosze, powracam do chaty
Z pełnem sercem i w nową wiadomość bogaty;
A starzec kontent ze mnie, na końcu mi gwarzy,
Z jakiemi przyprawami szczupak się uwarzy,
Aby smaczny był obiad. Dalej kształcąc wiedzę,
Godzinę albo drugą nad książką przesiedzę,
I znowu do roboty na łąkę zieloną,
Lub na pole szerokie z sierpami lub broną.
Tam dla mnie wszystko nowość kędy okiem rzucę;
Starzec wszystko obracał ku mojej nauce,
Opowiadał dobitnie, jasno a powoli,
O własnościach powietrza, klimatu i roli,

O pracach ludzkiej ręki i bydlęcej szyje,
Ile się jeszcze bogactw w łonie ziemi kryje...
  Na takich pogadankach płynie chwila hyża,
Ani ujrzysz jak słońce ku ziemi się zniża.
Jak całodzienna praca już do końca blisko,
Jako się snop przy snopie składa na ściernisko.
Wtedy, złożywszy kopy, wracamy do wczasu,
Nucąc Psalm staroświecki Jana z Czarnolasu;
Wtórują nam dziadowie i żniwiarze z wioski,
Aż się puszcza rozlega od hucznej pogłoski.

X.

Niekiedy w nocy, gdy maj się pocznie,
Słowik wieczorną piosnkę zadzwoni,
Z wiejskiemi chłopcy, z tabunem koni,
Lecim na nocleg śpiewając skocznie.
Aż za wioskę, aż za zboże,
Na wygonie lub ugorze,
Konie w paszę z rąk, —
I już chłopcy w jednej chwili
Stosy chróstu naznosili
I zasiedli w krąg;
I ziemniaki w żarze pieką. —
Płomień bucha — ej daleko
Widać ogień nasz!
Co tam śmiechu, co tam wrzasku!
Ktoś upiorem straszy z lasku. —
O to ani dbasz.
Choć kto w dzień się namozoli,
Choć drugiego serce boli,
To najmniejsza rzecz.
Bo gdy ludno, pusto, gwarnie,
Smutek duszy nie ogarnie,
Wszelka bojaźń precz.
Na rosnej trawie rozściełamy suknie,
Zjemy ziemniaki i chleba po kęsie,

I chór: Dobranoc o Jezu! — jak huknie,
Tak aż się echo w olszniaku zatrzęsie.
I daleko po równinie
Świętej pieśni echo płynie.
Czasem słowik wtór nam poda,
W sercu rzewność tak głęboka,
Ani ujrzysz, gdy ci z oka
Łzy poleją się jak woda.
Człowiek rzeźwiejszy po świętej pieśni
Do nowych śmiechów, do pogadanek;
We wsi już kury pieją poranek,
A o spoczynku żaden z nas nie śni.
Bo jakże usnąć w majowe noce?
Tu konie zarżą, tu ogień błyśnie,
A tutaj ptactwo, jak naumyślnie,
Na tysiąc tonów piosnkę szczebioce.
Chróst na stosie, ogień bucha,
Księżyc świeci, — a gromada
Pieśni, gadki opowiada,
Gadek, pieśni bacznie słucha.
Miłoż w kółku siąść na ziemię!
Gwarzyć w ptactwa słodkiej wrzawie!
Jeden, drugi niby zdrzemie, —
Miłoż drzemać na murawie!
Ptactwo milknie po kolei,
Ogień zwolna gasnąć zacznie,
A nam sen powieki klei,
Ale czujnie, ale bacznie!
Każdy słyszy jako żywo,
Czy koń parsknie, czy podskoczy,
Brzęknie tręzlą, wstrząśnie grzywą.
Albo zarży na uboczy.
Po chwilce drzemki oko się przetrze,
Blizko poranek, znać już po wietrze,
Znać już po gwiazdach, po szumie rzeczki,
Po głosie drozda i przepióreczki;
I koń już częściej stuka w kopyta,

Zroszoną trawę pospieszniej chwyta.
Cyt! już i słowik strzela piosenką,
Już i skowronek wita się z dzionkiem;
My za słowikiem i za skowronkiem
Nucim: Zawitaj ranna Jutrzenko!

Ot i szaro, ot i dnieje,
Ot i gaśnie blask księżyca,
Ot i zorza jak dziewica
Miłą barwą rumienieje;
Ot i we wsi ruch niedzielny,
Kogut głosi czas świtania;
Ranny ptaszek, dziad kościelny
Na pacierze już wydzwania.
Jakże pięknie dzwon daleki
W mgłach porannych się rozpływa!
Rzeźwy chłodek wieje z rzeki,
Z oczu resztę snu obmywa!

Słońce ognistym błysło promieniem,
Oblało ziemię światłem i cieniem,
A Niebo w złocie, w różach, w błękicie.
Ziemia w zieloność strojna wesołą,
A człowiek wtedy, patrząc wokoło,
Stałby jak wryty przez całe życie.
Z pacierzem w duszy, łzami zalany,
Ani by sobie przypomniał kiedy,
Że gdzieś jest ziemia i ziemskie biedy,
Że on nic więcej — zlepek gliniany.

Hej! do domu czas już pewnie:
Konie syte nocną paszą, —
My weseli, hukniem śpiewnie
I porzucim łąkę naszą.
I wtórując trąbką z rogu,
Na wyścigi, hej przez rowy! —
Ot i nocleg nasz majowy, —
Spieszmy oddać chwałę Bogu.

XI.

A kiedy święto, lub deszcz z pola spędza,
Chłopcy się tłoczym, ile chata zmieści,
I ciasnem kółkiem otaczamy księdza,
By nam gawędził odwieczne powieści.
A jego pamięć uczona, bogata,
Odsłania dzieje biblijne, najstarsze,
Kreśli nam potop lub stworzenie świata,
Albo szczęśliwe wieki Patryarsze.
Jesteśmy zda się w rozmarzeniu złotem
Pod Abrahama pasterskim namiotem,
Płaczem z Józefem, gdy się więźniem czyni,
Błądzim z Mojżeszem w arabskiej pustyni.
Dopieroż słuchaj, kiedy głos podnasza,
Gdy stare piersi zapałem odżyją,
Głosząc z Proroków przyjście Mesyasza!
Aż się radujem z Anioły, z Maryą,
Tężymy słuch nasz, jak zgłodniała rzesza,
Gdy tysiącami za Chrystem pospiesza.
My w Wieczerniku, my z Panem w ogrodzie,
Z Matką pod krzyżem nasza dusza gości. —
W świętej boleści, co nam duszę bodzie,
Uczym się ducha niebiańskiej miłości.
Tak nas ów obraz do Niebios przybliża,
Człekby się chętnie dał przybić do krzyża...
Niekiedy starzec, na dłoni oparty,
Rzekłbyś Herodot śród pokoleń nowych,
Kreśli nam dzieje Aten albo Sparty,
Czasów Likurga lub Peryklesowych.
Gdy kreśli przeszłość, to w takim kolorze,
Że ci się żywa przed oczyma wyda,
Że tylko westchniesz: O ześlij mi, Boże!
Życie Solona, albo Arystyda! —
Ileż to razy w długą noc zimową
Słyszane dzieje stawały mi we śnie!
Upior przeszłości latał nad mą głową,
Było mi błogo, a czasem boleśnie.

Strach! gdy się głowa, gdy serce rozmarzy!
We krwi gorącej wre jakby w ukropie.
To śnię zborzysko italskich zbrodniarzy,
Jak wieczne Rzymu fundamenta kopie;
To zda się widzę, że krok ku mnie czyni
Pobożny Numa lub hardy Tarkwini;
Lub się w kościele Jowiszowym baczę.
Rzym jeszcze nie jest zepsutym służalcem,
W krzesłach senatu zasiedli brodacze.
Cycero zdrajców ukazuje palcem:
Drży Katylina... A tam złoto ważą,
I leżą trupy, pływają krwi fale.
Na rzymskiem forum Galle gospodarzą.
Kwiryci złoto niosą im na szalę,
A na tem złocie arcydziełem dłuta
Twarz rzymskich bogów i przodków wykuta.
Wtem szczęk żelaza, otwarły się wrota,
Nowa kohorta Rzymian się przeciska.
Kamillus wpada i szalę gruchota,
I dzikich Gallów spędza z targowiska;
Słychać jak giną, jak pierzchają dzicy.
Słychać szczęk mieczów po stalnej zbroicy.
A owo widzę, jakby wiejska chata,
I widzę starca co orze z daleka,
Idę — poznaję Kwinta Cyncynata,
Przy nim miecz we krwi i konewka mleka.
Póki się woły popasły pod lasem,
On wrogów Rzymu zwyciężył tymczasem;
Precz zrzucił pancerz, znowu wziął opończę.
Śmieje się stary w wesołej gawędzie:
Oto jeszcze dzisiaj zagonu dokończę,
Posieję żyto — i niezgorsze będzie. —
Rzymski szlachcicu, dopomóż ci Boże!
Tak sobie myślę i znowu śpię smaczno.
Wtem nowe mary na młodzieńcze łoże
W innych postaciach nalatywać zaczną.
Wiją się hufce i obcych i braci,

Płynie krew, pole trupami się ściele,
A wtem dziewica anielskiej postaci
Rękę przez Niemen podaje Jagielle;
Słychać organy, i mężowie w bieli
Z pięknem rycerstwem bratnio się objęli.
Wtem nowe widmo: wśród blasku oręży
Siedzą poważni państwa dostojnicy,
I w obrzędowej dalmatyce księżej,
W koronie, z berłem, na ojców stolicy
Siadł Zygmunt August z postawą młodzieńczą.
Wkoło tłum ludzi daleko, daleko;
Swoi coś gwarzą, a wrogowie klęczą,
A u stóp tronu płynie miód i mleko...
Ten piękny widok pobledniał i skonał,
Zniknęły tłumy, wrogowie, pancerni;
Na miejscu tronu stoi konfesyonał,
W nim siedzi postać obleczona w czerni,
Postać zbiedniona, pokorna i blada,
A Zygmunt Trzeci przed nią się spowiada...
I tak kolejno myśli mojej głowy
Na tysiąc sennych widziadeł się dzielą.
Wtem przeraźliwie ach! sen mój dziejowy
Rozproszył kogut, piejąc nad pościelą.
— Czas do roboty! — poznaję głos dziada.
Co zwykł mię budzić gdy godzina szara;
— Ksiądz definitor dawno już spowiada,
Czas do Mszy służyć — sen mara, Bóg wiara.

XII.

Biegły me dni jak w Niebie na takiej nauce,
Mniemałem, że już księdza nigdy nie porzucę;
Bo przeznać całą mądrość, którą starzec głosił,
A przejąć wszystkie cnoty, które w sercu nosił,
I za rok i za drugi to jeszcze niewiele.
Ojciec przychodził do nas prawie co Niedzielę,

Zaczepiał mię z łaciny — znać było po minie,
Że się cieszył, że widział jak postępy czynię;
Ale gdyśmy sam na sam, strach co wygadywa
Na owe z wieśniakami noclegi i żniwa!

Muszę, proszę aspana, oddać cię do miasta,
Bo tutaj twe szlachectwo na nic się rozszasta,
A tarcza z Dęborogiem, wśród chłopstwa wytarta,
Co kapelusz żydowski tyle będzie warta.
Kiedy ksiądz definitor żąda natarczywie,
Ażebyś z prostakami pracował na niwie,
Staremu trzeba uledz, bo mi zrzędzić zacznie;
Lecz pamiętaj w robocie zostać się nieznacznie
I folgować swym rękom — by znał gmin ciekawy,
Że pracujesz nie z musu, jeno dla zabawy.
Dłoń szlachcica stworzona do miecza, nie żniwa,
Krom rycerskiej zabawy niech wolno spoczywa.

Tak zacni dwaj starcowie w niezgodnej rozterce
Każdy w inną krainę ciągnął moje serce.
W krainie herbów jakoś i zimno i ciemno;
Inszy świat definitor rozjaśniał przede mną,
Tam dla duszy przestronniej i sercu weselej.
Ojciec to zauważył, — więc jednej Niedzieli
Na Mszę przyjechał wózkiem i oświadczył żywo,
Że mię oddać do szkoły zebrał już grosiwo,
I syna już zabierze. — Ja w płacz — nic nie służy:
Już wybiła bolesna godzina podróży.

Ksiądz mnie rzewnie uściskał, a tknięty mym płaczem,
Łzie ze starego oka dał płynąć cichaczem;
Żegnał i błogosławił ojcowskiemi słowy,
I dał mi poświęcony medal z Częstochowy,
Przeprowadził z pół mili aż ku wielkiej sośnie;
Stary Servus zaszczekał, zaskomlił żałośnie
Po dobrym towarzyszu — ruszyliśmy drogą,
Skrył się za górą domek, gdziem przeżył tak błogo.
Tylko krzyżyk kościelny z za lasu migota,
Jakby błogosławieństwo na drogę żywota.

XIII.

Czem w polu zasiew, czem zawiązek w kwiecie,
Tem w życiu męża szkolne sześciolecie.
Trudno dziś skupić te drogie obrazy,
Choć się ich tyle do wspomnienia ciśnie,
Choć jeszcze teraz, po ileż to razy!
Szkolną ławicę albo dzwonek przyśnię!
Niekiedy marzę, że nie umiem Składni
A tu za chwilę wejdzie ksiądz Łacina.
Szydzą z mej biedy uczniowie przykładni,
Truchleję — blednę, aż krew mi się ścina,
Aż się rozbudzę, — ale gdy na jawie
Ochłonę nieco ze strachu szkolarza,
To w gorzkiem życiu słodko się zabawię,
Pierś orzeźwioną wspomnienie rozmarza.
Tak w skwarne lato oddychamy miło
Pod ciemnym klonem lub brzozą pochyłą.
Pomnę, raz pierwszy gdym jechał do szkoły,
Jaką się trwogę w sercu przezwycięża!
A ojciec prawi w gawędzie wesołej,
Jak to chłostali Jezuiccy księża.
Przed rozognioną wyobraźnią dziecka
Stał Jezuita i poglądał srogo.
Ukrywał kańczug pod wełnianą togą.
A w jego rękach gramatyka grecka.
Takiemi strachy napełnia się głowa,
Chór Jezuitów groźnie mię otacza.
Tak gdy niebaczna piastunka wioskowa
Postraszy dziadem małego krzykacza,
To dziecko płacze gdy go w cerkiew wiodą,
Choć tam Pan Jezus we złocie i srebrze,
Lecz strach u progu — dziad z torbą i brodą
Wyciąga rękę i śpiewając żebrze.
Od tego dziecka nie weselszy zgoła
Ujrzałem mury gdzie klasztor i szkoła,
Kędy mnie wiedli. Z bojaźliwą trwogą
Wszedłem za ojcem za furtę klasztorną...

Na kurytarzach nie było nikogo;
Przyległe cele godziną wieczorną
Grzmiały w sto głosów; widać, żeśmy w szkole. —
Owdzie nauki, tam śmiech i swawole.
  Tedyśmy weszli do jednej z tych celi.
Tutaj ksiądz Prefekt mego ojca wita,
Z miłym uśmiechem, obleczony w bieli,
Całkiem nie taki, jak ów Jezuita,
Co w czarnej szacie i z groźbą na twarzy
Od kilku nocy w moich snach się marzy.
Pewno wyczytał przestrach z mojej miny,
Bo mię pod brodę pogłaskał łaskawie,
Potem z nienacka zapytał z łaciny,
Ja mu Pijarską gramatykę prawię,
Jakby przed ojcem, odważnie, tak samo,
Bo wzrok łaskawy rozbudził mą wenę —
Odmieniam terra, konjuguję amo,
Ksiądz prefekt chwali: Bene, puer bene!
Aż ojciec wesół, że syn tak rozbiera
Nomen, pronomen, verbum, et caetĕra.
A jaka szkoda, o Boże mój, Boże!
Że tu nie wszyscy kogo serce kocha!
Czemuż cię niema, o definitorze!
Moim tryumfem pocieszyć się trocha!
Widzieć jak rośnie, rośnie mi odwaga,
Jak mi się czoło rozjaśnia, choć potnie...
Ksiądz Prefekt bada — Bóg mi dopomaga,
Ja odpowiadam przytomnie i lotnie.
Przebiegł tablice Pytagoresowe,
Kazał Rzym święty znaleźć na atlasie,
I rzekł poważnie, całując mię w głowę:
Wybornie chłopcze — będziesz w drugiej klasie! —
Ojciec wesoły, że nam w jednej chwili
Koszt całoroczny i honor ocalał,
Wziął mię w objęcia — do swych piersi chyli:
Proszę aspana!... — i łzami się zalał.

XIV.

Gdzie wy jasne dni moje, moje szkolne czasy,
Kiedy serce dziecinne z wiarą i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klasy
Przylgło, przyrosło na głucho?!
Gdzie wy drobne a wzniosłe mojej pychy cele,
By zrównać i prześcignąć najpierwszych w nauce?
Gdzie owo wśród igraszek serdeczne wesele,
Kiedy piłkę wysoko... wysoko wyrzucę?
Kiedy w gronie swawolnem po równinach lecę,
By schwytać wyrzuconą albo odbić w górze?
Gdzie pobożność i wiara w najwyższej opiece,
Gdy się modlę w kaplicy albo do Mszy służę?
Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało,
Bóg to wie — krew po sercu ślizga się powoli,
Serce wiele wymaga, a wrażeń tak mało,
Dobre nie bardzo cieszy, złe nie bardzo boli.
Gdy się dusza zbłąkana w niepewnościach miota,
A książka ich objaśnić, zwalczyć nie pomoże,
Zapłaczesz: gdzie jest owa dziecinna prostota?
Gdzie wiara w twoją mądrość, księże Profesorze?
Wiara, z jaką słuchałem na szkolnej ławicy,
Kiedy ksiądz Matematyk zadanie rozbiera,
Lub kiedy ksiądz Łacina, mistrz na kazalnicy,
W błoto strąca Buffona, Russa i Woltera?
Lub kiedy najdziwniejszą zagadkę przyrody
Ksiądz Fizyk wnet objaśni przez płyny i gazy?
Przysiągłbyś, że to prawda, wychowańcze młody!
Że Pan Bóg księdzowskiemi przemawia wyrazy.
Dziś, gdy człowiek sam nie wie, choć usilnie bada,
Co jest biało? co czarno? co prosto? co krzywo?
Jako chmiel bez podpory na ziemię upada,
Aż zginie przygłuszony ostem i pokrzywą.
Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz, a co prawda? co szpetne, co piękne?
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać a przed czem uklęknę?

Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna,
Kiedy wierzyłem w przyszłość płomienistą duszą,
Że choć nauka trudna, choć praca mozolna,
Lecz cele nasze wielkie i spełnić się muszą!
A tu młodzież ochocza bada, czyta, pisze,
Złote bryły nauki wydobywa w trudzie;
Jeno spojrzysz na siebie i na towarzysze,
I pomyślisz: Doprawdy, będziem wielcy ludzie! —
Jeden — dziecię pobożne, z zapałem na twarzy,
Będzie Doktor kościelny — tak Pismo przenika;
Drugi biegły w rachunku, o przyrodzie marzy,
Przejdzie z czasem Newtona, dojdzie Kopernika;
To będzie Archimedes, cześć tutejszej ziemi,
On kwadraturę koła zgłębi i rozwiąże;
Inszy słynie na ławach wierszyki zręcznemi,
Będzie nowy Krasicki, rymotwórców książę.
Gdzie wy teraz jesteście, towarzysze moi?
Cicho o was na świecie! bo świat ciężka próba!
Żal się Boże bywało co ksiądz Prefekt roi,
Że przybędzie krajowi światło i ozdoba.
Spotkasz czasem którego — spojrzysz na oblicze:
Nie on, nie on szlachetne spodziewania ziści!
Porwany w namiętności koło tajemnicze,
Oddał przyszłość za marne obecne korzyści!
Zszargały mu oblicze nałogi lub nędza, —
Ów co miał drogę słońca odmienić na Niebie,
Ów co miał zostać wieszczem — w śnie życie przepędza,
Chodzi mrówczemi drogi — i kontent sam z siebie.
A toż bywało o nim ksiądz Retoryk szepce,
Że ów chłopiec rozwija olbrzymie talenta,
Że Pan Bóg wielkich ludzi naznacza w kolebce,
Że Cezar dzieckiem jaśniał nad rzymskie chłopięta.
A ów teraz bohater poluje na zwierza,
Miłość go rozbydlęca, kielich z nóg obala,
Pan wioski — srogie chłosty wieśniakom wymierza,
Albo drzemie po uczcie Heliogabala.
Aż ci się serce ściśnie, aż się łza poleje...

Precz te smutne uwagi o człowieczej doli!
Ja miałem opowiadać moje szkolne dzieje,
Teraz siła nie starczy i żal nie pozwoli...
Ot sześć latek przebiegło jakby chwila cicha.
Corocznie nowe trudy i nowe rozkosze,
Co rok głowa bogatsza a serce usycha,
Co rok nowe świadectwa na mądrość przynoszę.
A gdy po chlubnym roku przyjadę na lato,
Niebem mi się wydaje nasza wieś uboga;
Składam ojcu świadectwa — dziękuje mi za to,
I mówi, żem dostojen herbu Dęboroga.
W Niedzielę idziem z ojcem do starego mnicha —
Tam, gdy gradem mądrości na przytomnych rzucę,
Aż się ojciec raduje i wesół uśmiecha,
Aż się dziady kościelne dziwią mej nauce.
Tylko ksiądz definitor na te korowody
Potrząsa siwą głową — więc ojciec go pyta:
Nie prawdaż, zacny księże, iż Dęboróg młody
Skończy szkoły uczony jakby Jezuita?
— Tak — rzecze definitor — zna wszystko po trosze,
A gdzie nie ma zdolności, tam pracą okupi;
Braknie mu jednej rzeczy... — A czegoż to proszę? —
— Mądrości sokratycznej — poznania, że głupi.
Lecz z czasem i to przyjdzie — duma zniży rogi,
Kiedy prawdziwa mądrość przetrawi się w głowie...
Tymczasem daj mi rękę, wychowańcze drogi,
Nie gniewaj się na starca, gdy ci prawdę powie.

XV.

Gdym skończył szkołę — po świętym Pietrze,
Ojciec mię lekko trzepiąc po grzbiecie:
Słuchaj — rzekł — Janie! nim ci się przetrze
Jakiś tam zawód na Bożym świecie,
Dam ci zabawkę — i co się zowie,
Co przyozdobi herbowne dziecko,
Przez którą starzy Dęborogowie
Zyskali niegdyś godność szlachecką.

Bartosz Paprocki w swych herbów zbiorze
Pisze skąd nasze godło urasta:
Jak na Zygmunta Augusta dworze
Był quondam strzelcem nasz protoplasta;
(Proszę aspana, dzielny myśliwy
Na pańskich dworach zawsze jest w cenie).
Razu jednego znalazł — o dziwy!
Wrosłe do dębu rogi jelenie.
Rzecz taka rzadka i niewiadoma,
Więc gdy ją złożył królowi w darze,
Król mu szlacheckie nadał dyploma
I Dęborogiem nazwać się każe.
I od tej pory chętka myśliwska
Szła w naszym rodzie z ojca na dziecię;
Każdy Dęboróg chlubny z nazwiska,
Choć nie senator, venator przecię.
Ja sam za młodu strzelałem dużo,
Świadkiem nieboszczyk trocki wojewoda.
Dzisiaj, mospanie, oczy nie służą,
A jednak pola zależeć szkoda;
Więc się chowają, proszę aspana,
Strzelby i pieski dobre do pola,
Stara myśliwska szkapa bułana,
Wojewodzińska trąbka bawola
I zasłużona torba borsucza.
Otóż ta cała strzelcza spuścizna
Dziś się waścinym rękom porucza,
Żeś ty Dęboróg, świat niechaj przyzna.
Mamyć tu przecię las jaki taki,
W zatoce kaczek bywają stada,
W naszych zaroślach skaczą szaraki,
Czasem z pod żyta wilk się wykrada.
Będziesz polował, — wy młodzieniaszki
Winniście wprawiać oko do strzału;
Proszę aspana — tylko po mału,
Strzeż się jak ognia dziewcząt i flaszki.
Za naszych czasów, za Jezuitą,

I kiedy pańskie świetniały dwory,
Proszę aspana, tęgo nas bito
Za gorzalinę i za amory.
Kiedy to trocki żył wojewoda,
Ja sam, pamiętam, cięgę dostałem;
Proszę aspana... krew była młoda
A jam okropnym był sowizdrzałem.
Otóż... —
Lecz dalszą powieść jak z karty
Ojciec już gadał do głuchej ściany:
Bom z podarunku uradowany
Żwawo poleciał oglądać charty,
Tropić w zaroślach prześlad zajęczy,
Konno to pieszo zwijam się szlakiem,
Bułany tętni, a trąbka brzęczy,
I strzał po strzale wstrząsa chróśniakiem.

XVI.

Moja rusznica pali donośnie,
Bije zające, kaczki, cietrzewie;
Ojcu z radości aż dusza rośnie,
Jak mię uściskać sam stary nie wie.
— Proszę aspana, ej szkoda, szkoda!
Gdyby to trocki żył wojewoda,
Ty byłbyś w łaskach: bo jako żywo
On szczerze kochał młodzież myśliwą,
A nawet z każdym, co pewien w strzale,
Lubił, mospanie, żyć poufale.
Proszę aspana, na jego dworze
Raz pan Belina w dobrym humorze
Prawił, jak skakał do głuszca w toku,
A wojewoda słuchał go z boku.
Ten pan Belina, człowiek ruchawy,
Gdy o myśliwstwie rozprawiać pocznie,
To choćbyś głuchy, poznasz widocznie
Z jego podskoków, ruchów, postawy.
To w dłoń zatrąbi — psy nawoływa,

To się jak zając czai do ziela,
To niby tropi, prześlad okrywa,
Nabija, pełźnie, mierzy się, strzela.
Otóż z tym głuszcem kiedy się chwali,
Czasem tokuje, podskoczy czasem,
Tak się uwinął, że w pańskiej sali
Wielkie zwierciadło strzaskał obcasem.
Pan się nasrożył, uczuł nad szkodą,
Lecz pan Belina, jakby w igrzysku,
Z cicha mu szepnął: Cyt wojewodo!
Bo spłoszysz głuszca na tokowisku. —
My w śmiech — pan także, nawet mu za to
Darował pyszną strzelbę turecką,
Puścił w niepamięć szkodę bogatą
I długo, długo śmiał się jak dziecko.
Czasyż to były!!
Otóż mospanie,
Gdybyś za czasów żył wojewody...
Lecz może jeszcze — wszak jesteś młody...
Ruszajże sobie na polowanie.

XVII.

Hejże znowu ja do kniei!
Jesień — zima — wciąż na łowy.
Raz zabiegłem po kolei
Aż na wzgórek rotmistrzowy,
Aż na kopce cudzych granic.
Była wiosna — zachód słońca,
Lecz nie zwykłem zważać na nic,
Kiedy ruszą psy zająca.
Dalej, dalej, — a tu ciemno,
Czas do domu, zmrok zapada;
Patrzę wkoło — tuż przede mną
Dwór sąsiadki czy sąsiada.
Tu Brochwiczów gniazdo rodu,
Ród szlachecki, choć ubogi.
Nasłuchałem się za młodu,

Żeśmy sobie wieczne wrogi,
Że Dęboróg — póki świata,
Z Brochwiczami się nie zbrata.
Grób rotmistrzów, jakieś pole,
Były źródłem wiecznej waśni;
Lecz o całym tym warchole
Kiedyż ojciec mię objaśni?
Dziś nieprzyjaźń nie jest jawną,
Tylko zawsze siebie stronim —
Stary Brochwicz umarł dawno,
A tu mieszka wdowa po nim.
Ojciec mówi, że Brochwicze
To wrogowie nam wieczyści;
Coś im jednak źle nie życzę,
Żadnej nie mam nienawiści;
Coś mi szepce — pomóż Boże,
A ja rankor ten umorzę.
Dworzec mały — a tak schludno,
Tak coś miło w każdej stronie,
Że źle trzymać o nich trudno,
Poczciwością zewsząd wionie.
Stary domek, stara strzecha,
Kędy mieszka stara wdowa,
A do okna się uśmiecha
Stara gałąź topolowa.
Lecz w ogrodzie — ach, mój Boże!
Same kwiaty, same róże,
Pięknie wokół — przez częstokół
Patrzę, aż tu hoża dziewa
Sadzi kwiaty i polewa,
I piosenkę, jakąś śpiewa.
Słucham... słucham, serce gubię,
Za jej głosem myślą idę;
Ona śpiewa jak na biedę
Tę piosenkę, co ja lubię.
Długom patrzał między liście,
Coraz baczniej, coraz milej...

Krótko mówiąc — od tej chwili
Zakochałem się ogniście....
Gdym odchodził, pokryjomu,
Aby znak zostawić jaki,
Na topoli koło domu
Zawiesiłem dwa szaraki.

XVIII.

Codzień w pole, — ej! nie w pole,
Lecz do dworku pod topole.
Już znajomość — cóż za dziwy,
Blizki sąsiad i myśliwy,
Że zajedzie niedaleko
Na poziomki i na mleko?
Że zwierzynę mamie nosi
I zagląda w oczki Zosi?
Ej poziomki! ej to mleko!
Ej ten dworek niedaleko!
Ej te oczki! — mówiąc krótko,
Poglądały tak słodziutko,
Tak miluchno! — Z wolna... z wolna...
Już w nas chętka zobopólna
Spojrzeć razem, westchnąć razem,
Poszczebiotać półwyrazem,
Przyjacielsko ścisnąć dłonie,
Razem wybiedz na ustronie,
Pisać kartki potajemnie
I o sobie śnić wzajemnie.
Cicho, z wolna, niewidomie
Gore dusza, gdy spodoba;
Z małej iskry bucha płomię
I zażega serca oba.
Mgnienie oka, śmiech, swawole,
Zadumanie, gniew i zgoda,
Zda się fraszki — daj mi wolę,
A zgubiona dusza młoda!
Taka biedna, tak szczęśliwa.

Gdy w tych fraszkach się rozpływa!
Już dla świata żyć nie może,
Jedną myślą się otoczy,
By wciąż patrzeć w lube oczy,
By żyć w lubym rozhoworze
Wieki wieków. Czas przeleci
Stokroć hyżej od motyla:
Bo szczęśliwi to jak dzieci,
Dni ich lecą jako chwila.
Precz godziny! gdy słodyczą
Młoda dusza się rozmarzy;
Jedna bieda — że ci starzy
Na zegarach czas swój liczą.
  Ani śni się ojcu, matce,
Co ci miło? co cię bodzie?
Dusza rwie się jak ptak w klatce,
A tu gadaj o pogodzie.
Dobra matka karty kładnie
Na los dziecka — lecz nie zgadnie,
Co tam dziecka myśl kołycha?
Czego dziewczę ciągle wzdycha?
Czego młodzian smutny bladnie?
Na niepokój snu twojego
Dają leki, warzą ziela,
A broń Boże gdy postrzegą,
Gdzie najczęściej oko strzela!
Wnet witają chmurną twarzą,
Dają rady i przestrogi,
I zachmurzą dzień twój błogi,
I uczuciom zmilknąć każą.
Zimnem okiem wrzące łono
Chcą przemierzyć aż do głębi;
Przyzwoitym chłodem wioną,
Aż ci serce się wyziębi.
  Matka Zosi — święta dusza!
Polubiła mię jak syna,
Jednak czasem głową rusza:

Częsta moja tam gościna
Snadź się matce nie podoba.
Gdzie tam częsta? — trudno w drogę!
Czasem przejdzie cała doba,
A ja wymknąć się nie mogę.
Ho, ho! gdyby ojciec wiedział,
Gdzie mnie codzień kroki wiodą,
Wnetby z trockim wojewodą
Dał mi uczuć cały przedział,
Co rozróżnia nasze domy
Z wieków wiecznych, od pradziada.
Koniec rzeczy już wiadomy:
Bo przysłowie zapowiada,
Że Dęboróg póki świata
Z Brochwiczami się nie zbrata.
At zwyczajnie ludzie starzy!
Ale miłość, pełna szału,
Nie zagląda do herbarzy,
Ni w dekreta trybunału.
Po swojemu łączy pary,
Innym taktem pieśń zaczyna;
Stary proces lub herb stary
Fraszka w oczach Kupidyna.
Dzisiaj szczęsno!
Lecz niestety!
Jaka przyszłość? serce boli:
Upór starca lub kobiety
Na nasz związek nie pozwoli.
Bo mój ojciec nigdy zgoła
O Brochwiczach ani gada:
Matka Zosi niewesoła,
Bo żal czuje do sąsiada.
Jakieś kłótnie tajemnicze
Dzierżą starych pod swą władzą.
Dęborogi i Brochwicze
Ręki sobie nie podadzą.
A cóż dla mnie — śmierć z rozpaczy!...

Precz te mary zapaleńcze!
Choć przycierpię, choć się zdręczę,
Lecz zapomnę... nie inaczej.
  Ot na sercu rękę kładę
I tamuję jego bicie:
Nigdy... nigdy... póki życie,
Już na łowy nie pojadę,
Ani spojrzę k'tamtej stronie,
Ani myślą nie pogonię.
Co jest w sercu, to się zatrze,
I zapomnieć jestem gotów;
W jasne oczy nie popatrzę,
Nie usłyszę jej szczebiotów,
Co to płyną dźwięcznie, z cicha,
Aż się serce rozkołycha...
  Takem roił zamyślony,
Ciągle patrząc w lube strony;
Potem kojąc serca bole,
Marsz do dworku pod topole!
A przed bramą wiem, że spotka
Niespodzianka jaka słodka,
Albo wianek na brzezinie,
Albo kartka na tyczynie,
Albo czasem, gdy podchodzę,
Zosia spotka mię na drodze.
Wtedy smutek się rozproszy,
Wstrząśnie duszę miłość święta,
Duch, pijany od rozkoszy,
Rannych zaklęć nie pamięta.

XIX.

Raz, jak dziś pomnę — wieczór był świeży,
Szedłem dumając pod lube sioło,
Zosia jak zwykle spotkać mię bieży,
Ale w jej oczach coś nie wesoło.
  — Czy wiesz? — mówiła ze łzami dziewa —
Niedobre wieści: mama się gniewa.

Ja wczora, licząc na dobroć mamy,
A chcąc ją zdziwić niespodziewanie,
Szczerze wyznałam, że się kochamy,
Jak tylko serce pokochać w stanie.
Mama mi rzekła, że się nie dziwi,
Lecz pragnie płochość wstrzymać w zapędzie,
Bo cóż, że młodzi dzisiaj szczęśliwi?
Rozdrażnią serce i gorzko będzie.
Trzeba się rozstać, choć serce pęka:
Bo ty mię kochasz bez ojca wiedzy,
A moje serce... i moja ręka
Nie dla sąsiadów z za waszej miedzy.
Tak mówi matka (przebacz mój drogi!),
Że my odwieczne dla siebie wrogi,
Że lat ze trzysta od owej chwili,
Jak z Brochwiczami Dęborogowie
O jakieś grunta się pokłócili,
I proces spadał po męskiej głowie
Z ojca na syna, jak powieść niesie.
Ach cóż te grunta? nie dopuść Boże!
Ot tylko śmiać się i płakać chce się;
Miłość grunt rzeczy — nie prawda może?
Wielkie mi święto, że spór się toczy!
Śmieszne te sądy i trybunały... —
I z głośnym śmiechem zakryła oczy,
Bo z modrych oczu łzy się polały.
  Jam drżącą ręką schwycił jej dłonie,
Gorąca głowa zwisła mi z szyje,
Czuję — w jej rękach twarz moja płonie,
A serce w piersiach z łoskotem bije.
  — O Zosiu moja! — rzekłem w rozpaczy —
Przed tobą młodość, życia rozkosze,
Ty mię zapomnisz... Bóg mi przebaczy,
Ja żyć nie mogę...
                                        — O! bardzo proszę;
To coś jak w książce — my chrześcijanie,
Ufać nam, ufać w Pańską opiekę!

Jest Bóg, jest przyszłość — ej panie Janie!
Gdy będziesz płakał, to wnet ucieknę.
Spieszę do matki, matka się gniewa,
A my tu marnie kwilim jak dzieci.
Kto na kominek przyniesie drzewa?
Kto jej tak jasno ogień nanieci?
Kto ją beze mnie do snu ugada?
Ja kocham mamę jak własną duszę;
Dziś mi na wieki pana sąsiada
Każe pożegnać — i spełnić muszę.
Bo tam źli ludzie jeszcze powiedzą,
Żeśmy znęciły młodego ptaszka,
By wam wyłudzić pole za miedzą,
Że nasza miłość — at sobie... fraszka.
Piękna to fraszka... serce tak boli,
Matce się zdaje, że to daremno!...
Czyż nigdy ojciec twój nie dozwoli,
Aby Dęboróg łączył się ze mną,
Z córką Brochwicza?... Ej te przestrogi!
Niby twój ojciec taki już srogi,
Niby ja nie wiem, że ciebie pieści,
Chociaż się zdaje trzymać na wodzy?
Ej ci rodzice! niby to srodzy,
A znieść nie mogą naszych boleści.
Ot jestem pewna — o rękę Zosi
Ojciec przyjedzie i sam poprosi.
Wtedy się chyba... wtedy obaczym!...
Bądź zdrów — nie traćmy dobrej nadziei...
 I tak szczebiocąc z śmiechem i płaczem,
Znikła w zaroślach ciemnej alei;
Tylko jej piosnkę słychać z daleka —
Czy chce łzy pokryć? czy marzy świetnie
Może ode mnie rada ucieka —
O serce! serce szesnastoletnie!
Jak bezprzytomny padłem na ziemię
I bolejące szarpałem łono.
Księżyc, co dotąd za lasem drzemie,

Wychylił na świat głowę czerwoną,
I drżącem światłem trysnąwszy w oczy,
Trochę mi ulżył cierpień ogromu.
Choć w piersiach ciężar, głowa się mroczy,
Niepewnym krokiem szedłem do domu.

XX.

Księżyc z za chmury przyświeca mgławo,
Gdzieś tam ogniska błyszczą za milę,
A tutaj sterczą w lewo i w prawo
Drzew i chat wiejskich czarne profile.
Droga znajoma, ach! i jak jeszcze...
Znam każdą trawkę, w nocnej pomroce,
Wiem jak tutejsza olcha szeleszcze,
Jak tu pod olchą strumień pluchoce.
Tu każda trawka, fala i listek
Zda się żegnają, coś do mnie kwilą.
Tyle wspomnienia! tu świat mój wszystek,
Tu moje Niebo było przed chwilą!
A teraz, teraz... piekielne bóle
Nad memi pierśmi pastwią się srodze...
Idę jak martwy — wbiegam na pole,
Pod rotmistrzowy kurhan przychodzę.
Wśród czarnej nocy brnę nieprzytomnie, —
Wtem coś jęknęło — dreszcz przebiegł po mnie.
Spojrzę: dziad jakiś... biały, wysoki,
Stoi ode mnie tuż o dwa kroki.
— Kto tu? i poco? — krzyknę do dziada,
Bo w trwożnych piersiach zamiera słowo.
Starzec jak martwy nic odpowiada,
A tylko głośniej jęknął grobowo.
Wzrostem jak olbrzym — jak leśna jodła,
Ubrany w białej, grubej opończy,
Snadź kula czoło jego przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy,
Na piersiach stalna błyszczy się łuska,
Szeroką ręką po wąsach muska;

A taki straszny wyraz oblicza,
Że gdy go przyśnię i dziś mi trwożno...
Wskazał prawicą na dwór Brochwicza,
Potem na naszą miedzę przydrożną,
Otworzył usta, wlepił wzrok we mnie,
I trzy wyrazy jęknął podziemnie:
Redde quod debes!!
— Kto tu?! — krzyknąłem.
Choć pierś zamarła ledwie kołata,
Czuję pot zimny leje się czołem —
Wtem zniknął upiór z tamtego świata.
Lecz wyobraźnia, strachem nabita,
Jeszcze go widzi na ciemnej błoni!
Uciekam polem, ot zda się goni
I trupią ręką za szyję chwyta.
Wbiegłem do domu — wszyscy już spali,
Więc bez pamięci na łoże padłem.
Chłód mię przejmuje, gorączka pali —
To zda się walczę z jakiemś widziadłem,
To widzę matkę Zosi surową,
To mię mój ojciec przeklina marnie,
To zważam każde kochanki słowo,
A w każdem słowie nowe męczarnie.
W takich torturach duszy i ciała
Chciałem gdzieś uciec, lecz się nie dźwignę, —
Nakoniec jutrznia gdy zaświtała,
Sen ukołysał ciężką malignę...

XXI.

Przespałem tydzień — strach co mi się marzy!
Ciało jak kamień, a dusza — jak w piekle,
Modlę się we śnie, to przeklinam wściekle,
I widzę ojca, domowych, lekarzy,
A choć się ocknę, to w myślach nie sprawię,
Co było we śnie, co było na jawie.
Gdym wreszcie oczy otworzył przytomnie,
Dwóch dobrych starców przy mem łożu baczę:

Ksiądz definitor modli się koło mnie,
A ojciec ręce załamał i płacze.
Gdym przemknął oczy i pot otarł z czoła,
Ojciec wzniósł ręce i głośno zawoła:
  Witaj nam z grobu młody Dęborogu!
Proszę aspana — siedm dni jak chwila
Byłeś w gorączce — ale dzięki Bogu,
Dziś się choroba stanowczo przesila.
Boże mych przodków, o wielki Jehowo!
Puść mię w pokoju! niech starzec już skona,
Kiedy żyć będzie na świetność herbową
Mojego domu latorośl zielona.
A ja o mojem rozpaczałem dziecku,
Że w tych męczarniach rozstanie się z duszą,
Ja umrę z żalu — i po staroświecku
Herb mego rodu przy trumnie pokruszą...
Dziś jest nadzieja, że mię syn pochowa
I weźmie po mnie zaszczyty ojczyste.
Dzięki Ci, Matko święta z Poczajowa!
Dzięki'ć cudowny boromelski Chryste!
Lecz dosyć stękać nad twoją mogiłą;
Wyszedłeś we dnie, powróciłeś w nocy,
Proszę aspana, powiedz, jak to było,
Kto ci napędził tak ciężkiej niemocy?
  — A dajcież pokój, a bądźcież uważni! —
Rzekł definitor, ocierając oczy,
— Jeszcze go powieść na nowo rozdraźni,
I znów gorączka głowę mu zamroczy.
  — Nie, Ojcze — rzekłem — pozwala mi zdrowie,
Mogę przypomnieć minione obrazy,
A gdy przed wami wszystko się rozpowie,
To lżej mi będzie, lżej będzie sto razy.
  Ot kiedym z łowów powracał w noc ciemną,
Z grobu rotmistrza opadły mię strachy, —
Straszny dziad jakiś stanął tuż przede mną,
Wielkiego wzrostu i w odzieniu z blachy;
A krew mu ciekła po twarzy i brodzie,

A kiedy jęknie, to aż w serce bodzie.
Tchnie groźbą cała postać tajemnicza,
I skinął ręką przed oczami memi
Na nasze grunta i na dwór Brochwicza:
Redde quod debes! — wyjęknął z pod ziemi.
A jam bez ducha uciekał po błoni,
A tutaj zda się, że dziad za mną goni.
Wbiegłem do domu o samej północy,
Krew lodem krzepnie, to żarem się pali,
Padłem jak martwy na łoże niemocy,
I nie pamiętam, co już było dalej;
Tylko w gorączce ani chwili niema,
Aby mi starzec nie stał przed oczyma.
— No, dosyć tego — rzekł mi ojciec smutno —
Zapomnij widma, bo ci to niezdrowo. —
Ale widziałem, że zbledniał jak płótno,
Wzniósł w górę oczy, a kiwając głową
Szeptał z westchnieniem: Miłosierny Panie!
Kiedyż to widmo dręczyć nas przestanie?

XXII.

Coś moje ozdrowienie szło krokiem niesporym:
Ojciec i definitor troszczą się nad chorym,
Ów przez czułość rodzica i względy herbowe,
Drugi, pełniąc po prostu prawo Chrystusowe.
Czy mi gorzej, czy lepiej, czy usnę, czy wstanę,
Przy mnie dobrzy starcowie byli na przemianę,
A straszne moje dumki chcąc rozpędzić szczerze,
Grali ze mną warcaby, mówili pacierze.
Lecz ojciec coś mi nie zdrów, coś twarz jego blada.
O trockim wojewodzie nic nie opowiada,
Gdy siądzie do maryasza, choć to gra tak łatwa,
Zamiast bić ze czterdziestu, Bóg wie jak się gmatwa;
A pomnę jak to dawniej było z nim inaczej,
Okładał pacierzami najzawziętszych graczy.
Dzisiaj snadź jego duszę tłoczą jakieś bole,
Nawet puharek miodu, co pijał przy stole,

Stoi czasem nietknięty aż do jutra rana,
A miód stary od szwedzkich wojen Sudermana
Wiekował w naszym lochu.
Ach, co mu się stało!
W oczy definitora pogląda nieśmiało,
Zamyśla się, i widać po całej postaci,
Że chciałby o coś pytać — a odwagę traci.
— Księże definitorze! — wreszcie go zagadnie —
Żyjesz, proszę aspana, święcie i przykładnie,
Spieszysz z usługą bliźnim ilekroć się zdarza,
Ot i tu od tygodnia pilnujesz Łazarza,
Uciekasz od podzięki, jakby od napaści.
Ale stary Dęboróg modli się za waści,
A pomimo dawniejsze z waszmością zatargi,
Wyznam, żeś taki święty, jak w żywotach Skargi.
Nie zżymaj się, nie bluźnię — niech mię Bóg zachowa!
Bo to, proszę aspana... lecz nie o tem mowa...
Chciałem mówić, żeś kapłan ze słowa i czynu,
A teolog zawzięty, jak Tomasz z Akwinu,
A łacinnik, mospanie, to jak Jezuita;
Jednak... proszę nie śmiej się... gdy cię prostak spyta:
Czy waszmość wierzysz w strachy i nocne upiory,
O których Jaś mój gada... zwyczajnie jak chory?
Wierzysz mu, czy nie wierzysz? —
Ksiądz na to odpowie:
Są cuda, panie Pawle, o których mędrcowie
Ani śnili na jawie — jest gra wyobraźni,
Czasem szatan widmami do złego nas drażni.
Tak piszą stare księgi — liczyć je nie pora:
Ot, prosto z duszy naszej wyrobi upiora
I postawi przed oczy — nie dziw. że przestrasza!
A są widma i święte: czytaj Tobiasza,
Czytaj o świętym Pawle, toć twój Patron przecie.
Są marne przywidzenia, są cuda na świecie,
Poznacie je z owoców — Bóg jest miłosierny.
— A ja wierzę! — rzekł ojciec — że rotmistrz pan-
Wyszedł z grobu i stanął przed Jasia oczyma. [cerny

Dziś, wyznam jegomości... wszak nikogo niema:
Ot! jak chciałbym bez zmazy przejść niebieską bramą,
Że ze trzy razy w życiu widmo takie samo
Widziałem, jak was widzę — krew mu płynie z czoła,
Jęcząc, Redde quod debes! po łacinie woła,
Wskazuje dwór Brochwicza i na nasze miedze.
Mniemałem, że to figiel, że sprawcę dośledzę,
Ale nie było czasu — bo to owej daty
Ciągnęła mię krew młoda iść z konfederaty.
Myślę sobie: na wojnie nim kulą w łeb palną,
Bezpieczniej będzie odbyć spowiedź generalną.
Przed spowiedzią, wieczorem, kiedy grzechy liczę,
Mignęło się na polu widmo tajemnicze.
Upłynęło lat kilka, przeszły wojen burze,
Ja na dworze trockiego wojewody służę,
Parzę zęby, jak mówią, na dworackiej kaszy;
Kiedy umarł mój ojciec, słonimski strukczaszy.
Więc przyjechałem tutaj w wiosennej coś porze,
By gniazdo Dęborogów, dworzec Dęboroże,
Objąć w moje dziedzictwo naturali jure.
Późnym jakoś wieczorem wyszedłem na górę,
Patrzę na grób rotmistrza, — aż przy grobie stoi
Widmo wzniosłej postaci i w żelaznej zbroi,
Muska wąsy skrwawione i swą brodę białą,
Znowu: Redde quod debes! z jękiem zawołało.
Zbladłem... serce zamarło... i trwożliwie puka;
Lecz mówię sam do siebie: To znów czyjaś sztuka!
A nawet się domyślam...
Lat kilka omija,
Zapomniałem o strachach — bo krasna Marya
Herbu Łabędź, łowczanka zakroczymskiej ziemi,
Snuła się jako widmo przed oczyma memi.
Począłem konkurować — zezwolili starzy —
Szczęśliwym się sukcesem nasz związek kojarzy.
Tu wesele, tu miłość, tam trud gospodarczy,
Tylu różnym kłopotom ledwie człek wystarczy;
Nie dziw, proszę aspana, że w tak ważnej dobie

Wieczyście zapomniałem o rotmistrza grobie.
Lecz oto... w rok po ślubie, w dzień Jana Chrzciciela,
Pan Bóg nową radością mój dom uwesela:
Bo nam się syn urodził zdrowo i pomyślnie.
Do rozrzewnionej duszy modlitwa się ciśnie.
Więc wyszedłem w noc letnią pomodlić się Panu,
I znowu słyszę jęki od strony kurhanu,
I znowu takież widmo, z temże groźnem słowem:
Redde, redde quod debes! — aż echem grobowem
Zadrgał las wśród północnej uroczystej głuszy...
Choćby kazano przysiądz na zbawienie duszy,
To przysięgnę, że głos ten nie z naszego świata...
Struchlały padłem na twarz.

XXIII.

Przyszły starsze lata.
Z razu dobrze się wiodło — potem źle najczęściej,
Człowiek jak wół pracuje, a Pan Bóg nie szczęści;
To mi żona umarła, to grad wybił zboże,
Straszna nędza poczęła ściskać Dęboroże.
Dawniej, proszę aspana, człek uczty wydawał,
Dziś na kufel podpiwka i na chleba kawał
Ledwie starczy staremu — dajże radę biedzie!
Ot nic, proszę aspana, ręką się nie wiedzie.
Idzie od śmierci żony jesień siedmnasta,
Ja stary bezsilnieję — a tu syn podrasta,
On młodszy, mógłby kiedyś za pomocą Boga
Okryć nową świetnością tarczę Dęboroga;
Ale coś zły prognostyk od ojca na syna:
Widmo się ukazywać młodemu poczyna,
I grozi, że mu wszystkie zamiary rozprzęże...
Czy wasze wierzysz w strachy, miłościwy księże?
— Wierzę — rzekł definitor — wierzę całą duszą!
W waszmościnej fortunie ludzkie łzy być muszą.
Gospodarstwo nie idzie, giną urodzaje,
Widmo jakieś czyścowe zasnąć wam nie daje;
Może to grzechy przodków — wiadomo waszeci:

Za nieprawości ojców pokutują dzieci. —
Może herb Dęborogów w czasie niepamiętnym
Nieszlachetnego czynu pokalany piętnem.
— Jakto, proszę aspana!!...
— Powoli! powoli!
Ja jestem ksiądz i starzec, mój wiek nie pozwoli
Grać ze szlachtą w szablice, — bić się rzecz człowiecza,
A kto mieczem wojuje, ten zginie od miecza,
Tak stoi w Piśmie świętem. Nie rwij się z zapałem:
Waszmościnego herbu obmawiać nie chciałem;
Lecz memu posłannictwu i przyjaźni gwoli
Pragnę położyć koniec tej waszej niedoli.
Wielkie są skutki złego, choć początek marny. —
Tak mówił definitor — a uśmiech figlarny
Przebiegł po jego uściech.
— Nie gniewaj się wasze,
Że ci sen mój rozpowiem i może nastraszę.
Oto wczora wieczorem, zmówiwszy pacierze,
Chciałem zasnąć, lecz starca zawsze sen nie bierze;
Więc począłem rozmyślać... od nudów... tak sobie...
O domu Dęborogów, o rotmistrza grobie,
Począłem przypominać, co doszło mej wiedzy,
Za co on kazał siebie pochować na miedzy,
Dlaczego mara jego błąka się u drogi?
Proces co z Brochwiczami toczą Dęborogi —
Wszystko, coś mi powiadał o starej intrydze
I co ze staroświeckich dokumentów widzę.
Ot tak mi się te myśli po głowie dziwaczą,
Że przyśniłem rotmistrza i wojnę kozaczą.
— Usnąłem... widzę zastęp na zastęp uderza,
Dęboróg wiedzie hufce Jana Kazimierza;
Łamią tabor Dnieprowców pancernicy młodzi,
Których dziad siwobrody chorągwią dowodzi.
Wtem k'niemu Zaporożec mierzy z samopału,
Wystrzelił — siwy rotmistrz zachwiał się pomału,
Podjął kratę od hełmu z wejrzeniem ponurem,
Z czoła jego krew czarna wytrysnęła sznurem,

Upadł, ale nie jęknął, jak gdyby był z głazu...
Lecz walka się usuwa niby w głąb obrazu,
Błyska ogień wystrzałów, migają pałasze,
I widziałem zgon starca — posłuchaj mię wasze.

XXIV.

SEN DEFINITORA.

Ze wzgórza widać, jak dym się czerni,
Słychać z daleka strzelbę armatnią,
A na pagórku bracia pancerni
Oddają komuś posługę bratnią;
Kształtem namiotu rozpięli płótno,
Stanęli kołem i gwarzą smutno.
A pod namiotem, z głową u siodła,
Leży dziad siwy w grubej opończy;
Kula mu stare czoło przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy;
Na piersiach stalna łyszczy się łuska,
A starzec z dumą po wąsach muska.
A wkoło starca cisz uroczysta.
Trzech zbrojnej szlachty otacza łoże:
Jeden coś pisze — pewno jurysta;
Drugi puls maca — to lekarz może:
A trzeci skłonił głowę do łona, —
To syn żałosny tego, co kona.
— Cóż? — jęknął chory — mijają chwile,
A księdza niema, ach! ani blizko:
Jeden Bernardyn a rannych tyle.
Pewno obchodzi pobojowisko...
O duszo moja, o duszo biedna!
Któż cię rozgrzeszy, z Bogiem pojedna?
— Bredzisz rotmistrzu, ot byle skrucha,
Bylebyś w sercu nie miał rozpaczy,
Sam Bóg spowiedzi twojej wysłucha,
Sam Bóg i grzechy twoje przebaczy;
Odbyłeś spowiedź tuż przed potrzebą.
Umierasz w boju — toć pewne Niebo.

Tak to jurysta cieszył chorego —
Temu rumieńcem zaszła twarz blada,
Po siwych rzęsach łzy ze krwią biegą,
Oczy w niebiosach — snadź się spowiada.
Nagle dostojne oblicze zmienia,
Wyrazem bolu czy przypomnienia.
I głucho jęknął: Grzeszyłem dosyć,
Lecz żal otwiera niebieskie wrota.
Umiałem ciernie życia przenosić
Jako ofiarę grzechów żywota,
Strzegłem jak mogłem grzesznego łona,
Reszty niech Męka Pańska dokona.
Jeden grzech tylko, grzech to nie świeży,
Moją śmiertelną godzinę plami,
Ciężkim kamieniem na sercu leży
I stawia piekło tuż przed oczami.
Któż mię rozgrzeszy, kto mi przebaczy!
Boże mój, Boże! chroń mnie rozpaczy.
Zbliżcie się tutaj dopóki pora,
Głośno go wyznam, o bracia moi!
Może skruszona moja pokora
Gniewne oblicze Boga rozbroi.
Zbliż się mój synu, zważ każde słowo:
Bo waść nagrodzisz winę ojcową.

* *
*

Burzliwy byłem w młodości mojej —
Jeno przy czarce, jeno we zbroi,
Niekiedy tylko znużony szałem
Litewski Statut w przemian czytałem:
Obcą mi była wszelka zabawa,
Okrom oręża, kufla i prawa.
Z takich rozrywek — z naprawy czarta,
Idzie nieprawość siłą poparta;
Było to grzechem, lecz w owej chwili
Temi grzechami wszyscy grzeszyli.
Ksiądz na spowiedzi, a Pan Bóg w duszy

Wciąż nam szeptali, cośmy powinni;
Lecz choć się człowiek Spowiedzią skruszy,
Z młodemi laty, z duchem Sarmaty,
Idzie tak samo jak inni.
Mijały wiosny, mijały lata,
Szumiał jak wicher wiek mój swawolny,
Kiedy mój ojciec zeszedł ze świata,
A ja zostałem ziemianin rolny.
Tutaj zbytkując huczno i gwarnie,
Nabyłem sobie nielekkiej sławy:
Nie było psiarni nad moją psiarnię,
Nie było konia jak mój cisawy;
Nie było miodu jako mój lipiec,
Nikt wkoło nie miał takiego wąsa,
A przy odgłosie rzęsistych skrzypiec
Nikt tak polotnie w tanku nie pląsa.
A biada temu, kto mi zawczasu
Nie umknął z drogi, — młodzi czy starzy!
A trzykroć biada, kto mi do lasu,
Kto mi do pola wedrzeć się waży,
Kto mi wśród tanka parę odbija,
Albo mi mruknie słówko sromotne!
Bo wnet, jak zmówić Zdrowaś Marya,
Wyzwę na rękę i uszy otnę.
A jak na biedę, miałem sąsiada:
Pan Maciej Brochwicz o mnie nie stoi.
On mi bywało do lasu wpada,
On się przymila mojej dziewoi,
A na pałasze bił się tak świetnie,
Że mię i nieraz ciężko obetnie.
  Wtem weszli Szwedzi — w wojennej porze
Któż o prywatnym myśli rankorze?
I my z Brochwiczem, bracia koledzy,
Złożyli z serca kłótnię zawziętą:
Nie pora myśleć o swojej miedzy,
Kiedy z miedzami ojczyzny kręto.
Rycerska szlachta na konia siada —

Ja szedłem walczyć obok sąsiada.
A wojna szwedzka waściom wiadoma,
Lecz opowiadać nie pora wcale;
Dość, że po wojnie zasiadłem doma,
A sąsiad jeszcze bije Wandale.
 Poczekaj, myślę — póki przyjedzie,
Figiel za figiel, panie sąsiedzie!
Pod ciemną nockę zbieram gromadę,
W kije i rydle uzbrajam chłopy,
I w dziesięć koni na pole jadę,
Tam gdzie graniczne stały okopy.
Nuż burzyć kopce, przenosić wiechy
Na grunt sąsiada z pracą, z mozołem.
Boże mój, Boże! odpuść mi grzechy,
Za morg zabrany — dziesięć odjąłem;
I nowe kopce (piekielna rada!)
Tuż się przymknęły pod dwór sąsiada.
Nazajutrz tedy o rannym świcie
W sto moich pługów ruszyłem żywo,
Orze się skiba na cudzem życie,
Krusząc z korzeńmi dojrzałe żniwo, —
Kopiec graniczny gdzieindziej stoi,
Miedzę i zboże zorali chłopi;
Już ani znaku dawniejszej Troi,
Starej granicy nikt nie wytropi.
 Lecz myślę sobie: Zabrałem jawnie,
Tylu jest świadków, wszystko widocznie,
Jakże zabory moje uprawnię,
Kiedy mnie sąsiad pozywać pocznie?
Począłem dumać — sprawą szatana
Znowu mi przyszła myśl niespodziana.
Sąsiad miał lamus w środku zagrody,
Co prapradziadów pamiętał jeszcze,
Ściany ciosane z dębowej kłody,
Drzwi kute blachą, zamki jak kleszcze,
Miał postać baszty pięknego gmachu,
Chorągiew z herbem skrzypi na dachu.

W takich lamusach w wojennej chwili
Przodkowie nasi skarby swe kryli.
Sąsiad mój sobie szlachcic biedota,
Pereł, brylantów nie miał i sztuki;
Lecz miał papiery droższe od złota,
Pamiątka dziadów, spadek na wnuki.
A waszmość wiecie, — takiego plika
Szlachcic pilnuje jak serca w łonie:
Tu się szlachecka pewność zamyka,
Że jesteś dziedzic na tym zagonie;
Tu pergaminy odwiecznej daty,
W nich bezpieczeństwo dla twojej głowy,
Że były szlachtą twe antenaty,
Że nosisz prawnie klejnot herbowy.
Zniszczyć papiery — to znaczy może
Zniszczyć na mieniu i na honorze.
A ja w szaleństwie... i z jakiem czołem
Ja się na świętą własność targnąłem!
Gdybyż to w zwadzie, albo rozterce,
I po rycersku, zbrojno, otwarcie...
Ale to spodlić szlacheckie serce,
Podłych włóczęgów użyć na wsparcie!
  Bo oto w nocy z mojej namowy
Szedł tam z krzesiwem żebrak odarty,
Podpalił głownią lamus dębowy,
I poszły z ogniem odwieczne karty.
  Ja stałem w oknie — noc była czarna,
I z niepokojem patrzę k'tej stronie. —
Oto buchnęła łuna pożarna,
Pewno graniczny dokument spłonie.
Uprawnię tedy mój zabór cały...
Sumienie jękło... padłem omdlały.
  Powraca sąsiad — załamał ręce,
I mnie obwinia sprawcą pożogi;
Ale ja pewien, że się wykręcę,
Hardo stawiłem bezczelne rogi.
Kopce zniesione, ślad jeszcze świeży,

Lecz jakże dowieść nocnej kradzieży?
Jednak zapozwał przed trybunałem,
Żem sprawca gwałtu i konflagraty:
Ale ja w sądzie sprawę wygrałem —
On bez dowodów, a ja bogaty;
Kopce granicą z obojej strony,
Więc cały zabór mnie przysądzony.
Czułem zgryzoty w sercu i w głowie,
Alem sumienie skałą zawalił.
Powrócić krzywdę — toć każdy powie,
Żem zabrał grunta i lamus spalił.
A on bez chleba, z proga do proga
Pełzał po sędziach dziesięć lat prawie;
Wkońcu zdał pomstę na Pana Boga,
I tak mi uszło moje bezprawie.

* * *

Tak stary rotmistrz prawił swe dzieła —
Głos jego słaby zamrze niedługo;
Krew mu obficiej z czoła trysnęła,
Płynie po zbroi czerwoną strugą,
Płynie po wąsach i usta klei,
Trup — tylko w oczach iskra nadziei.
Tchnął — żyje jeszcze, natęża płuca,
Chce jeszcze mówić, co duszę boli,
Ale już słabo, cicho, powoli,
Słówko po słówku ledwie wyrzuca:
Synu! to moja spowiedź — ty napraw me grzechy,
A wy bracia nade mną miłosierdzia proście.
Umieram bez kapłańskiej kościelnej pociechy...
Na święconych mogiłkach nie spoczną me koście.
Synu, wieź je do domu — chcesz ulżyć mej duszy?
To je pogrzeb pod lasem, na polu, przy gruszy,
Tam były stare kopce granicy sąsiada.
Dziesięć morgów na prawo — to grunt, co zabrałem,
Oddaj je Brochwiczowi — i biada ci biada,
Jeśli nie tak postąpisz z rodzicielskiem ciałem!

Zburzyłem stare kopce, niechże grób mój przecie
Będzie kopcem granicznym zobopólnej miedzy...
A gdy gruntów sąsiada nie odda me dziecię,
Wnet wyrodka do sądu pozwijcie koledzy;
Rozpowiedzcie rzecz całą ojcowskiemi słowy,
A ja go sam oskarżę przed sądem Jehowy...
Synu, oddaj grunt cudzy, zaklinam na życie...
Grób mój... kopiec graniczny... pod gruszką... sły-
[szycie?
— Rrzekł, uderzył się w piersi i opuścił szyję.
Krew się przestała sączyć... Rotmistrz już nie żyje.
Poklękli nad umarłym uzbrojeni męże,
A jam się modląc ocknął.

XXV.

— Bałamucisz, księże!
Ja poznałem od razu — to nie było we śnie;
Lecz śpiewasz nowym tonem staroświecką pieśnię:
Abym powrócił grunta Brochwiczowej wdowie,
Choć je z kilku pokoleń dzierżę urzędowie,
Chociaż — proszę aspana — rzecz jasna jak złoto...
— Nie sroż się, panie Pawle, tu nie idzie o to,
Czy to sen marny, albo rzeczywista jawa,
Czy grunt dzierżysz bezprawnie, albo wedle prawa:
Ale kapłan cię pyta o sumienne słowo,
Jak kochasz swe zbawienie i tarczę herbową,
Jakeś ojciec, jak szlachcic, jak potomek wierny
Walecznego rotmistrza chorągwi pancernej —
Powiedz mi (boś się nigdy kłamstwami nie zmazał),
Czy ów syn zwrócił grunta, jak mu ojciec kazał?
I czy tam, gdzie kazano, pogrzebł ojca kości?
— Jużci... proszę aspana, w tem nie masz pewności...
Ów syn... pan Piotr Dęboróg... a mój pradziad prosto,
Był za Jana Trzeciego rzeczyckim starostą
I człekiem wielce skąpym — pokój jego duszy:
Więc może zamiast ojca pochować przy gruszy,
Pochował go za rzeczką dziesięć morgów dalej,

Tam, kędy *violenter* kopce usypali —
A tak uprawnił zabór. Trudno dociec z dzieła,
Gdzie wtedy gruszka rosła, jak rzeczka płynęła.
Kto to wie? w ciągu wieków wszak przemiana bywa.
Lecz tylko poświadczają domowe archiwa,
Że syn Piotra, Mateusz, piwniczy nadworny,
Miał proces z Brochwiczami o poletek sporny.
— I cóż? wygrał, czy przegrał? — definitor spyta.
— Ani wygrał, ni przegrał — forsował i kwita.
Bo to, proszę aspana, jest sztuka w palestrze,
Że jak sprawę zahaczą w taktowym regestrze,
Można tworzyć przeszkody wciąż nowe i nowe,
Komportacye papierów, badania miejscowe;
Czas idzie jakoś prędko, a proces pomału
Od sądów podkomorskich do spraw trybunału.
Kiedy mądry obrońca umiejętnie zwleka,
Niełacno się pan Brochwicz dekretu doczeka,
Niełacno się w Temidy dokołatać wrota.
Dęboróg miał pieniądze — a Brochwicz hołota —
Pan Mateusz wziął górę. Za pamięci naszej,
Tymoteusz Dęboróg, słonimski strukczaszy,
Jego syn a mój ojciec — jako ślad znachodzę,
Chciał załatwić rozterki w polubownej drodze;
Lecz potem się rozmyślił — obliczył z chudobą:
Nikt się nie dopomina, dawność miał za sobą,
A grunta tak wybornie zarodziły latem,
Że zostawił przy sobie ich *haereditatem*,
A jam po ojcu objął całe Dęboroże.
— Wielkie — rzekł definitor — miłosierdzie Boże!
Pociesz się, panie Pawle, twa dola szczęśliwa,
Wielkich rzeczy dopełnić Bóg cię powoływa:
Co ciężko praojcowie przed Panem zgrzeszyli,
Zbrodnię czterech pokoleń zmazać w jednej chwili,
Rozbroić chmurę gniewu Pańskiego nad domem,
Co gotowa wybuchnąć piorunem i gromem,
Ulżyć własnemu sercu, odrzuciwszy z dala
Kamień grzechu i zgryzot, co-ć piersi przywala.

Obaczysz... w twojej duszy jaka będzie zmiana,
Gdy wrócisz cudze grunta.
— Ot, proszę aspana.
Któż powiedział, że z taką wystąpię szczodrotą?
Wszak wdowa po Brochwiczu nie prosi mię o to,
I co powie, mospanie, onych przodków oblicze,
Po których Dęboroże ojczyste dziedziczę,
Żem uszczuplił odwieczną praojców siedzibę
Choćby o jeden zagon? choć o jednę skibę?...

XXVI.

Tu definitor powstał jak w stanowczej dobie,
I ojca po bratersku wziął za ręce obie,
W jego ustach był uśmiech błagalny i słodki:
Ej, wara, panie Pawle, wspominać twe przodki!
Bo czy Waszmość masz serce, czy masz Wasze głowę
Skazywać twoich przodków na męki czyścowe?
Widziałeś cień rotmistrza, co cierpi tak srodze:
Czy myślisz, że on dotąd na zbawiennej drodze?
Nie pomogły mu cnoty, ni dzielna odwaga:
Ot! błąka się po nocach i potomków błaga,
Aby zwrócili własność sierocie i wdowie,
Co niesłusznie przywłaszczył. Czyż dalsi przodkowie
I całe pokolenie parenteli waszej,
Pan starosta rzeczycki, piwniczy, strukczaszy,
Sprawę przed Panem Bogiem wygrali przemocą?
Czy tam nie pokutują za krzywdę sierocą?
Czy myślisz, panie Pawle, że zbiór ich katuszy
Nie spadnie na rachunek waszmościnej duszy?
Syn, wnuk i chrześcijanin, szlachcic jak należy,
Czyż tobie użytkować z owoców łupieży?
Czy to po chrześcijańsku? pytam: czy to pięknie?
— Dosyć... proszę aspana... bo serce rozmięknie —
Rzekł ojciec, bo go mowa zwyciężyła taka,
I ocierał łzy bujne rękawem kubraka.
Zamyślił się i dodał: Prawda, prawda święta,
Lecz są ważne przeszkody, są i m p e d i m e n t a:

Pro primo, trzeba wyznać i powrócić jawnie,
Co ojciec, dziad i pradziad trzymali nieprawnie,
I za grzechy pradziadów mnie świecić oczyma;
Secundo, starych kopców i śladu już niema,
Cudze mogę powrócić, ale swego szkoda:
Oddaj kurowi grzędę, to zechce ogroda.
Potrzecie... grób rotmistrza... święte przodków kości,
Czyż zostawić na gruncie obcych posiadłości?
Potem... proszę aspana... w szlacheckiej chudobie
Dziesięć morgów nie żarty — pomyśl tylko sobie!
Toż i tak Dęboroże już nas nie przeżywi.
Na taką szczodrobliwość i mój syn się skrzywi,
Bo on po mnie dziedziczy — a z czego żyć będzie?
— Gdzie rzecz o cudzą własność, nic nie masz na
[względzie! —
Zawołał definitor ze świętą powagą; —
Bóg dobry, i nikogo nie opuścił nago;
A zresztą choćby żebrzeć przy kościelnej wieży,
Jednak redde quod debes, oddaj co należy!
Ale nie pójdziesz z torbą, już moja w tem rada.
Jest sposób i powrócić grunta do sąsiada,
I honor twoich przodków ocalić najściślej,
Że grabieży i zwrotu nikt się nie domyśli,
I syna zaspokoić zręcznie a korzystnie,
Że na oddanie gruntów i słówka nie piśnie.
Słowem: przebłagasz Nieba, a dom twój, widocznie
Zubożon krzywdą ludzką, podnosić się pocznie;
Otrzymasz przebaczenie za twe antenaty,
Zysk w Niebie, a na ziemi — ani na grosz straty.

XXVII.

Jakiż to dziwny sposób? ot, proszę aspana,
Oto ręka szlachecka niczem, nieskalana,
Oto nobile verbum, słowa nie zmitręże,
Daj tylko dobrą radę, miłościwy księże,
A na wszystko przystanę! Niech odetchnie stary.
Te zgryzoty sumienia, te widma i mary,

Co dawniej mię dręczyły, a dziś mego syna,
Ta domu Dęborogów widzialna ruina —
Och! to mi rani serce okropniej od noża.
Poradź mi!
— Niechaj przyszły dziedzic Dęboroża
A godny syn Waszmości za mnie już dogada,
Czy chce wojny, czy zgody z rodziną sąsiada?
Jeżeli jest za zgodą, to niechże obwieści,
Jak ją spełnić bez ujmy rodowitej cześci,
Wedle Boga, sumienia i słuszności całej,
Aby się dusze przodków w Panu radowały.
— Jak to zrobić — rzekł ojciec — nie widzę dokładnie,
Gdy ja zgadnąć nie mogę, to jakże syn zgadnie?
Wszak starość przed młodością rozumem się szczyci.
Tak trzymali pobożni księża Jezuici.
Przy trockim wojewodzie niech-no się odważy
Młodzieniaszek mieć więcej rozumu niż starzy!...
— O! — rzecze definitor — i ja przy tem stoję.
Starość ma swoje prawa, a młodość ma swoje.
My starzy mamy rozum z doświadczeń i biedy,
A oni sercem widzą — i jaśniej niekiedy;
A więc gdy nasze mądre nie wiodą się plany,
Posłuchajmy serc młodych — tam skarb nieprzebrany!
No! śmiało, panie Janie, niepróżno cię dręczę,
W rozterkach z Brochwiczami daj radę, młodzieńcze.
Podsłuchałem w gorączce twe marzenia chore,
I dobrze jestem świadom, gdzie twe serce gore.
Wszakże miłość cnotliwa żadnym nie jest grzechem. —
Tak mówił definitor z łagodnym uśmiechem,
Przywodząc mię za rękę do ojcowskiej ławy,
A jam blednął i kraśniał i drżałem z obawy
Srożej niźli przed owem rotmistrza widziadłem.
Wreszcie jak bezprzytomny na kolana padłem.
— Ojcze! — rzekłem nieśmiało, jak młode pacholę —
Przebacz, że bez twej wiedzy dałem sercu wolę:
Kocham córkę Brochwicza — bo chodząc na łowy,
Często m odwiedzał dworek sieroty i wdowy.

Zawsze mię przyjmowały z uprzejmą słodyczą;
One ród nasz szanują i dobrze nam życzą,
Nie pamiętają krzywdy, co nasi przodkowie...
— Ależ, proszę aspana — co aspanu w głowie? —
Przerwał mi ojciec mowę z uśmiechem, lecz srogo; —
Zdaje się taki sensat... pokochał... i kogo?...
Córkę tych, co od wieków... co może lat dwieście...
Byli nieprzyjaciołmi... Ej sidła niewieście!!
Oplątać mi młodzieńca, w którym ród nasz tleje
I herbu Dęboroga jedyne nadzieje...
Bratać się z Brochwiczami... O! nie! żart na stronę:
Musisz puścić per non sunt zapały szalone.
— Nie, mój ojcze — odpowiem z błagalnym wyrazem:
— Już nie wydrzeć ich z serca, chyba z sercem razem.
Dałem słowo — i żadną nie shańbię się zmianą.
Ja pierwszy pokochałem... i... mnie pokochano.
Święte uczucia serca — to nie mary senne,
A miłość nasza czysta, jak Niebo wiosenne.
— No! zręcznie-ć ułowiono! — to zuch jakaś dziewa.
Ależ, proszę aspana — przysłowie opiewa,
Że dopóki dwóch rodów, póki starczy świata,
Nigdy się z Brochwiczami Dęboróg nie zbrata —
Co tu począć z przysłowiem?
— Cóż to! czy my dzieci? —
Zawołał definitor. — Ktoś dwa słowa skleci,
To dlatego zapomnieć przykazania Boga!
Cóż to! związek z Brochwiczem skrzywdzi Dęboroga?
Oba rody szlacheckie przez pokoleń wiele,
(Tylko oni skrzywdzeni, a wy krzywdziciele),
W obu domach mieszkańcy poczciwi choć prości.
Nikt tam nie stawił sideł na syna waszmości,
A wdowa po Brochwiczu, gdy się dowiedziała,
Że serce dwojga młodych wzajemnością pała,
Jak niewiasta szlachecka i wielce pobożna,
Dała uczuć swej córce, że odtąd niemożna
Ani widzieć kochanka, ni się pismem znosić.
Chyba przyjdzie Dęboróg sam o rękę prosić

Dla swego jedynaka. — I cóż waszmość na to?-
Grzechy kończą się karą, a cnota zapłatą.
Pamiętaj, panie Pawle, że kara łupieży,
Że grzech kilku pokoleń na twej głowie leży,
Że dom wasz podupada — i niech Bóg zachowa,
Ostatnia jego gałąź zawiędnąć gotowa.
Młode serce, jak ogień paląc się wyniszcza —
Miłyż ci będzie widok domowego zgliszcza!
Po niem błąka się widmo i przemawia do cię:
R e d d e! r e d d e q u o d d e b e s! — wróć krzywdę [sierocie!
Ojciec zalał się łzami, — za rękę go chwyta:
— Błogosławionyś, księże, jakby Jezuita!
Nawet, proszę aspana, trocki wojewoda
Przyznałby, że masz słuszność... A zgoda już! zgoda!
Niech się młodzi kojarzą, ja sam tego życzę,
Niech się z Dęborogami zbratają Brochwicze.
To mówiąc, ojciec powstał rzeźwy i ochoczy;
Ucałował mię w czoło i w usta i w oczy,
Modlił się, gdym uściskał rodzicielskie nogi:
Boże! coś miał w opiece stare Dęborogi,
Błogosław moje dziecię w jego losu zmianie,
Niech szczęsnym i cnotliwym na zawsze zostanie,
Niech będzie godzien swego herbu i nazwiska.
Potem definitora serdecznie uściska.
Popłakali się rzewnie starcowie weseli
I miodem z czasów szwedzkich tę sprawę zaleli.

XXVIII.

Tak się skończyła sprawa tajemnicza.
Ojciec pojechał do dworku Brochwicza,
Polubił Zosię i jej matkę starą,
Złożył mój afekt — a serca ofiarą
Nie pogardzono. Tak w jednym obchodzie,
I młodym sercom, i rodowej zgodzie,
I cieniom przodków spełniło się zadość.
Było wesele, miód, wino i radość.

W sporne grunta, zarośla i pasze
Zlały się w jedno, jak dwa domy nasze.
Młodzi się sercem bez przeszkody dzielą,
A starzy szczęściem młodych się weselą,
Mówią pacierze, lub grają w drużbarta.
A kiedy ojcu poszczęści się karta,
Popija miodek i z ogniem nielada
O wojewodzie trockim rozpowiada.
  A gdy już sporna zaorana miedza,
Ksiądz definitor rzadko nas odwiedza,
Choć go błagamy raz, drugi i trzeci,
Aby zamieszkał u nas, jak u dzieci.
Ale ze starem sprawa nie tak łatwa,
Mówi: że cała społeczność mu dziatwa,
W niejednej wiosce i w niejednym dworze
Są nieszczęśliwi — a któż im pomoże?
Tam sąsiad cierpi niechęć do sąsiada,
Tam ktoś w rozpaczy na duchu upada,
Tam pełno starych i chorych Łazarzy,
Któż ich nawiedzi, kto ziółek nawarzy?
A tam już może puka kto we wrota
O pokarm ciała, lub o Chleb Żywota.
Ksiądz wszędzie czuwa, zasila i strzeże,
Bronuje pole i mówi pacierze.

XXIX.

  Gdyśmy w miłości i bojaźni Bożej,
Widmo rotmistrza nigdy nas nie trwoży.
Gdzie stała jego mogiła wśród pola,
Dzisiaj kaplica z modrzewiu i sosny.
Tam, gdy domowa dola lub niedola,
Idziem się modlić — a Pan Bóg litosny,
Czy głód, czy wojna, czy grad, czy posucha,
Zawsze gorącej modlitwy wysłucha,
Albo odwróci, gdzie groziła szkoda,
Lub serce wzmocni i otuchy doda.

1847—1850. Załucze.

EPILOGOS DO DRUGIEGO WYDANIA.

Kiedym przed dwoma laty (toć niedawne czasy)
Oddawał Dęboroga pod drukarskie prasy,
Nie tuszyłem, że pismu poszczęści się w świecie,
Że je tak dobrem sercem łaskawie przyjmiecie.
Dziś, kiedy rozrzewniony jak na dłoni baczę,
Że warto dla was śpiewać, litewscy słuchacze!
Że można choć niekształtnie złożonemi rymy
Zagrać na waszych sercach, kreśląc kraj rodzimy, —
Rumieniec zawstydzenia do twarzy mi bije,
Żem tak mało ulepszył drugą edycyę.
Może przynajmniej z łaski posłuchać zechcecie,
Co się z Dęborogami stało przez dwulecie.
Stary Dęboróg umarł ku powszechnej szkodzie,
Gwarząc jakąś powiastkę o trockim wojwodzie;
Ale, proszę aspana, jako człowiek święty,
Oczyszczony pokutą, wzmocnion Sakramenty,
Gdzieś na łonie swych przodków, wśród herbowej rze-
Ze trockim wojewodą pospołu się cieszy. [szy,
Bo tam już stary Brochwicz, niegdyś wódz pancerny,
Wymodlił mu w niebiosach dekret miłosierny,
I obaj z wyżyn patrząc na litewską stronę,
Błogosławią swych herbów tarcze skojarzone.
Dąb, godło Dęborogów, jest ozdobą lasa,
Jeleń w herbie Brochwicza posuwisto hasa,
I troje małych wnuków, nowe pokolenie,
Rośnie krzepkie jak dęby, zwinne jak jelenie.
Lecz może pamiętacie, że Dęboróg stary
Miał swoje uprzedzenia, miał dawne przywary;
Naprzykład, wierzył mocno w katechizm jedyny:
Że szlachcic stworzon z inszej, a chłop z inszej gliny.
Przebaczmy starej głowie — przebaczmy tem szczerzej,
Że dziś po jego śmierci nikt temu nie wierzy.
Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości,
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości;

W wioskach, słyszę, dostatek, wyplenione chwasty,
Zakwitnął bujnem kwieciem nasz wiek dziewiętnasty;
Obruszać się na szlachtę nie miałby sposobu
Nawet ksiądz definitor, gdyby powstał z grobu.
Och! bo już upłynęła druga wiosna pono,
Jak grób jego porasta darniną zieloną.
Młodzi Dęborogowie i naród z daleka
Odwiedzają mogiłę świętego człowieka.
O nim serdeczna pamięć łzy im sączy z oka;
A jego miłość bratnia i wiara głęboka,
A przykład jego cnoty nie zaginął marnie,
Bo długo jeszcze będzie umacniał owczarnię.
Była to w swoje czasy postać nader rzadka;
Lecz dzisiaj Kościół święty, prawowiernych matka,
Liczy garstkę pasterzów sporą a przykładną,
Co własne swoje dusze za owczarnię kładną,
Co pracują na polu, znoją się w kościele,
Dzielą ze smutnym smutek, z wesołym wesele,
Z ubogim chleb powszedni, a z każdym chleb ducha,
A lud Boży przykładnie ich nauki słucha,
Z ich serca, jak ze źródła, czerpiąc dobre wzory
Dostojnego ubóstwa i świętej pokory.
Grób po grobie pochłania czyjeś stare kości.
Zapadaj, dawny wieku, na łono przeszłości;
Ty zasię strojna w barwę różową, tęczową,
Młoda jutrznio postępu, świtaj nad mą głową!
A gdy już twoje słońce u południa stanie
I oświeci grobowej ciemności otchłanie,
Gdy promienni twem światłem zajrzym do podziemi, —
Niechaj się nie zawstydzim przed ojcy naszemi.
Bo biada naszej głowie i twym blaskom biada,
Jeśli stanie przed nami postać prapradziada
I głosem uroczystym zagrobowej mary
Rzecze: — Redde qoud debes, płaćcie dług wasz [stary!...
Spuściliśmy prostacy naszą piękną stronę
Na wasze ręce silne, na głowy uczone, —
Od zgonu waszych przodków do dzisiajszej chwili,

Obliczcie coście wzięli, coście przymnożyli?
Musi być w wasze czasy, które postęp budzi,
I więcej kwiatów w polu, i cnót w sercach ludzi;
Lubiliśmy procesa i pieniacze matnie,
U was pewnie zakwitło miłowanie bratnie,
Równych synów ludzkości odkupionych z krzyża
U was pycha herbowna pewno nie poniża;
Porzuciliście puhar, co ku złemu kusi,
Z trzeźwych piersi modlitwa gorętsza być musi;
A skoro Bóg nagradza cnotę zasłużoną,
Toć i wasze Niebiosa błękitniejsze pono...
  Och! bolesno posłyszeć taki głos z mogiły:
Jeszcze nasze zasiewy kłosów nie puściły,
A choć zda się dokoła zielone przestworza,
Po trawce nie rozeznać kąkolu od zboża.
A pieśniarz, co gotuje piosenkę do żniwa,
Przebaczcie, że niepewnym tonem pobrząkiwa:
Bo nie zgadnie do jakiej nastroić się nuty,
Czy tworzyć pieśń wesela, czy żalu wyrzuty.

7 maja 1855. Borejkowszczyzna.

ZAŚCIANEK PODKOWA.

GAWĘDA SZLACHECKA z 1812 r.

PODRÓŻNY.

Boże, co za spiekota! pot czoło opływa...
Prędkoż mię do gospody zawiedzie ta ścieżka?
Ziemio rodzinna moja! szczęsny, kto tu mieszka,
  Biedny, kto podróż odbywa!
Hop mój koniu! choć pianą i potem okryty,
Choć pan twój ledwie żyje ze skwaru, z niewczasu!
Tam za górą, na łące widać jakieś szczyty:
  To może strzecha popasu.
Mylę się... to są gruzy starego kościoła.
Tynk opadł, okna puste, wyszczerbione mury.

Na dachu szkielet krokwi nie nakrytych zgoła,
  A w klonie dzwon sygnatury.
Co za rozkoszne miejsce! a pustkami stoi,
Odłogiem leży pasmo pól i sianożęci...
Jak tu pięknie w olszniaku ów strumień się kręci!
  On nas spragnionych napoi.
Puszczę konia na trawę, a sam wodą czystą
Orzeźwię się, umyję i ręce i skronie;
A ległszy na murawie, olszyną cienistą
  Spaloną głowę osłonię.

ŻEBRAK.

Dzień dobry, mój paniczu! Niech cię Pan Bóg broni,
  Niech chowa w Swojej opiece.
Wiedz, że tutaj na łące nie wolno paść koni,
  Nie wolno poić w tej rzece.

PODRÓŻNY.

Jak to! mówisz: nie wolno, — a czyjaż to łąka?
  Czy jesteś stróżem najętym?

ŻEBRAK.

Tak panie, jestem stróżem, jak pies, co się błąka,
  Czując nad skarbem zaklętym.
Stróżem jestem; ten kościół, te spalone krzyże,
  Cmentarz, skąd panisko dyba.
Te łąki, te poletki i te wody hyże,
  To moich przodków siedziba,
Czy widzisz za kaplicą gruz pieców ceglasty?
  Widzisz ten komin wyniosły?
Czy widzisz stosy węgla, pokrzywy i chwasty,
  Co na popiele wyrosły?
Czy widzisz tę w zagonach ziemię nieuprawną?
  Nie zawsze była jałową!
Przed trzydziestu latami... niezbyt jeszcze dawno
  Tu stał zaścianek Podkowa, —
Tak narzeczon od herbu, co rodu zaszczyty
  Głosił z niepamiętnej pory,

Bo my choć biedni, mamy klejnot rodowity,
 Co dał nam Stefan Batory.
Bo to za owych czasów nasz przodek Konstanty
 Nabył swój klejnot dostojnie:
Kiedy Stefan Batory zdobywał Inflanty,
 Zyskał szlachectwo na wojnie.
Od niego to pochodzi parentela nasza,
 Drzewo wspaniałej postaci:
Syn Konstantyna Krzysztof zrodził Tobiasza,
 Tobiasz zrodził trzech braci;
Najstarszy był Mikołaj, jego gałąź trzyma
 W rodzie pierwszeństwo ojczyste,
Mikołaj zrodził Pawła, Paweł Joachima,
 Joachim Jana Baptystę;
Jan, mosanie, Baptysta, zbaw mu Boże duszę,
 To był mój ojciec rodzony.
Ach! coby on powiedział, że ja spędzać muszę
 Gościa, co przybył w te strony!
Pan myślisz, że ja bronię łąki i pastwisko
 Z jakiejś nieludzkiej rachuby?
Nieprawda, jak Bóg żywy, nieprawda panisko!
 Ja tylko nie chcę twej zguby.
Ho! ho! gdybyś zawitał do tego ustronia,
 Gdy tu mieszkałem za młodu,
Miałbyś suto murogu i owsa dla konia,
 Miałbyś i piwa, i miodu.
Bo tu była zamożność i wiosną, i zimą,
 Wiesz, jaka była tu cnota?
Każdy, kto tu przyjechał, lub zabłądził mimo,
 Nie wyszedł trzeźwy za wrota.
A teraz, gdy zaścianek przyszedł ku zagubie,
 Wiesz, jak przeklęty okropnie?
Biada bydłu, co trawy z tej łąki uskubie!
 Biada, kto wody tej żłopnie!
A nawet kto tutejszy, mija to bezdroże,
 Bo wie, że ziemia zaklęta,

Albo koło się złamie, lub koń zaniemoże,
 Albo go niemoc opęta.
Mnie pan hrabia tutajszy trzyma za zapłatą,
 Bym stał jak wiecha przydrożna,
I ostrzegał podróżnych i zima, i lato:
 Że tędy jechać nie można.
Bywało — zorzą drogę — to jedzie kto nie wie,
 I klęskę sobie napyta;
W przeszłym roku, żebraka, ot tu przy tem drzewie,
 Roztrzaskał piorun i kwita.
Czy mało? co rok prawie coś się komuś stanie,
 Kto w to zabłądzi bezdroże.

PODRÓŻNY.

Cóż to jest? czary jakieś?

ŻEBRAK.

Nie czary, mój panie,
 Lecz pomsta musi być Boża.

PODRÓŻNY.

Za co?

ŻEBRAK.

Ha! długo gadać, koń trendzlami dzwoni
 Na długie gawędy nasze.
Wiesz pan co? przebrnij rzekę i na tamtej błoni
 Puść swego konia na paszę.
Tam już grunt nie zaklęty i dobre pastwisko;
 Widzisz tę kłodę dębową?
Siądźmy, ja ci opowiem, skąd to uroczysko
 Zaklętem i Pomstą zową.

II.

Tandem więc, jak mówiłem i ja widzisz ślady,
 Tu był zaścianek Podkowa,
Tu żyły moje dziady i moje pradziady,
 Poczciwa szlachta czynszowa.
A tam dalej za lasem stał dwór murowany,
 Z zamkiem, wałami i fosą;

Tu jeńcowie tatarscy budowali ściany,
   Jak dawne powieści niosą.
Pan dzisiajszy zmurował pałac znakomity,
   Ślad zamku zarosły chwasty,
Ale jeszcze jest brama, a na niej wyryty
   Rok tysiąc sześćset szesnasty.
Jeszcze pamiętam zamek i pana starostę.
   Kiedy to jedzie na sejmy,
Przysyła tu hajduka i szlachcice proste
   Sprasza na obiad uprzejmy.
Było w naszym zaścianku domów ze dwanaście.
   Płacących czynsze za ziemię;
Dziedzic jak grunt wydzielił ojcu protoplaście.
   Z wiekiem... rozrosło się plemię.
A czynsz, mospanie, lekki, opłacać aż miło.
   Lub służyć w bandzie ochoczej;
Najczęściej się do zamku rycersko służyło —
   Koń i pachołek z pół-włoczy.
Ale co to za służba? to i znaleźć rzadko!
   Wojna, czy sprawa domowa,
Każą jednemu jechać, to całą gromadką
   Wali zaścianek Podkowa.
Dziedzic bywało krzyknie: Pomóżcie mi, chłopcy! —
   My lecim z ciałem i duszą,
Czy gdzie karczmę zapalić, czy rozrzucić kopcy.
   Wszyscy z zaścianku wyruszą.
Czasem się aż starszyzna rozgniewała nasza,
   Kiedy w sianokos lub żniwa
Jaśnie wielmożny dziedzic na sejmik zaprasza
   Lub na obławę przyzywa.
Któż pogardzi sejmikiem albo polowaniem?
   Więc krzyczy młodzież wesoła:
Murem, mospanie! murem naszych piersi staniem.
   Gdzie pan starosta powoła! —
Mój ojciec (wieczny pokój!) czasem podziwaczy:
   Ej! młodzi! żnijcie i koście! —

Ale sam się uśmiecha, bo wie, co to znaczy
Wskarbić się w łaskę staroście.
Tylko wolę starosty miej za rozkaz święty,
A wszystko uzyskać można:
Łąka ci nieskoszona, albo morg nieżżęty, —
Dworscy włościanie go pożną.
Jedno słowo: Wy bracia, wy sąsiedzi moi! —
Było na ustach paniska;
Bywało zbierze szlachtę, nakarmi, napoi,
Jeszcze do piersi przyciska.
Czasem, gdy stary szlachcic w uroczystym czasie
Zanadto spełnia wiwaty
I upadnie pod ławę, — to w pańskiej kolasie
Odwiozą starca do chaty.

III.

Tak wiek z wieków, od czasów któregoś Zygmunta,
Szlachta osiadła te grunta;
A ten strumień, co płynie pomiędzy parowy
W kształcie herbowej Podkowy,
Pamięta, choć wkoło ślady się zatarły,
Jak dziady i wnuki marły,
Jak prawnuki wzrastały; on powiedzieć może
Wszystkie dopuszczenia Boże,
Wszystkie lata wesołe, wszystkie czarne biedy,
Jak szły Tatary i Szwedy;
W którym roku był pomór, w którym znak niebieski,
Sejm, czy trybunał litewski?
Bo nieraz tu starcowie o wieczornej chwili
Swoje przygody gwarzyli.
Strumień pewno pamięta... dowiedzieć się muszę,
Kto to zaszczepił te grusze,
Które ot tam, usechłszy na zaklętej ziemi,
Sterczą szkielety nagiemi?
A smaczny miały owoc!... aż dotąd mi w duszy
Smak tych jabłoni i gruszy,

Com je niegdyś obijał z tej gałęzi dużej,
  Co krukom za gniazdo służy.
Strumień mi kiedyś powie, z jakiej to ofiary
  Wzniesiono kościołek stary,
Który tam właśnie sterczał sosnowemi ściany,
  Gdzie dzisiaj ten gruz ceglany?
Pamiętam tę kapliczkę drewnianą, nadgniłą,
  Gdzie to się do Mszy służyło,
Gdziem z pod samej wieżyczki, dla marnej uciechy,
  Wykręcał wróble z pod strzechy;
Gdzie z chóru jakby z tronu poglądałem dumnie,
  Gdziem ojca zakopał w trumnie,
Gdzie brałem ślub, gdzie dla mnie starzy, i mali
  Veni Creator śpiewali.
Jasny był dzień! ej jasny! lecz w oczach mi ciemno...
  Panie! zlituj się nade mną!
Stare oczy a głupie — wspomnisz dawne dzieje,
  To z nich się i łza poleje.
Fraszka łza i wspominek! — tylko duch rozżarzy,
  Wypala zmarszczki na twarzy;
A jeszcze cudzy człowiek, widząc, że my płaczem,
  Gotów się zaśmiać cichaczem.

IV.

Po starych dobrych czasach — ot przyszedł wiek nowy.
Nastały czarne lata na szlachtę z Podkowy,
Przeminął czas sejmików, jak mija sen marny.
Zhardział nasz pan starosta niegdyś popularny.
Zostaliśmy magnatom niezdatni i biedni,
Minęła łaska pańska, minął chleb powszedni.
Tam grad pola wybije, owdzie chata spłonie,
Trudno już było wyżyć na naszym zagonie,
Gdzie się nowe kłopoty zjawiały co chwilę,
Gdzie czynszmi obłożono we dwójnasób tyle,
Gdzie, nie bacząc na starca lub niewiastę chorą.
W dzień świętego Marcina okna ci wybiorą.

Ej, te nieszczęsne czynsze! jakby kość do gardła...
Przez nie to w rok po ślubie żona mi umarła,
A gdyśmy wieźli trupa, pachołek pijany
Konia mi z pod śmiertelnej wyprzągł karawany.
Znosili twardą biedę Podkowianie starzy,
Gniew trząsł się na ich wąsach i zmarszczkach na twarzy,
Nieraz pobiedz do zamku i rąbać się chcieli;
Do boku! och! na teraz szkoda karabeli!
Szkoda poczciwej broni! Choć cię w sztuki potną,
Cierp, szlachto podkowiańska, zelżywość sromotną.
Pan starosta, co naszej urągał się biedzie,
Rozumiał, że na niego śmierć nigdy nie przyjdzie;
Śmierć przyszła swoją drogą — pan leży w kościele...
On wiele uszczęśliwił i ukrzywdził wiele;
Niech mu Bóg dobrotliwy jego win nie baczy,
Niech mu jedno nagrodzi, a drugie przebaczy!...
Źle nam było pod koniec — lecz gniew nastał Boski,
Gdy syn jego, pan hrabia, odziedziczył wioski:
Sam z człekiem i nie gadał, a dworskie kozaki
Krwawo i łzawo szlachcie dali się we znaki.
Szlachta lubi polować, a tuż las graniczy.
Biada, jeśli ze strzelbą spotkał cię leśniczy!
Biada, jeśli dziewczęta niebaczne, bo młode,
Zerwą kwiatek na łące lub w lesie jagodę!
Biada, jeżeli trzoda za rzeczkę choć wbieży!
Nie unikniesz pogróżek, gwałtów i grabieży!
Kiedyśmy szli do hrabi skarżyć się na zgraję,
Psami szczwały nas z zamku francuskie lokaje;
A pan, jeśli do niego docisnąć się zdarzy,
Obelgą cię nakarmi lub czynem znieważy.
Myślisz — hrabia, co bronił swe lasy i pasze,
Wzajemnie kiedy miedze uszanował nasze?
Gdzie tam! — konno, ze psami, z harapem u pasa,
Codzień po naszych łąkach i pastwiskach hasa,
Nasze zboże tratuje, poniewiera marnie,
Lub na naszych owieczkach zaprawia swe psiarnie.
A jeśli się pożalisz, to cię sfuka o to:

A milczeć mi! zuchwała, niewdzięczna hołoto!
Jeżeli wam niedobrze na tutejszej stronie,
Precz mi z mojego gruntu! ja odejść nie bronię!
Próżno się człowiek modli i litości czeka
Wciąż jedna sprawiedliwość i jedna opieka.

V.

Wtem dziwne wieści krążą po powiecie,
Trąby francuskie poza Niemnem dzwonią,
Dwa groźne wojska stanęły pod bronią,
I hrabia wspomniał, żeśmy ludzie przecie.
Czy to z nadziei, czy z jakiegoś strachu,
Wnet powziął ku nam najżyczliwsze chęci:
Ot! jak chorągiew na zamkowym dachu,
Tak serce hrabi za wiatrem się kręci.
Grzecznie się kłaniał, aż jednej Niedzieli
Odwiedził wszystkich czynszowych swej ziemi.
Uściskał młodzież, szeptał ze starszemi,
Kląkł przed kaplicą, i wszyscy klęknęli...
Modlą się, gwarzą — już i noc zapada.
A jeszcze trwają modły i narada.
Nazajutrz, ledwie poranek zabłyska,
Znikła z zaścianku młodzież od wyboru.
Zniknęły konie z naszego pastwiska,
Zniknął pan hrabia ze swojego dworu.
W siedzibach naszych jeno pozostali
Drżący starcowie albo chłopcy mali.
Kobiety słabe, lub kto mimo chęci
Pozostał doma z wiarą i otuchą;
W zaścianku naszym jak w grobowcu głucho.
Nie słyszał brzęku kos na sianożęci,
Nie zarżą konie na wieczornej paszy,
Trwożna niewiasta co godzina blednie.
Bo wyją wilki, których nikt nie straszy,
I puhacz puha czarne przepowiednie,
I smutno jakoś w chmurach się rozbija
Echo od dzwonka na Zdrowaś Marya.

VI.

Robocze lato wyzwało nas z domu.
Po ukraińsku rozrosło się żyto;
Kłos z Niebem gada i chleba obfito,
Tylko pracować i jeść niema komu.
Kilku staruszków — ot cała drużyna;
Dziad chce pracować, lecz mu ręka mdleje,
Tylko by śpiewał Godzinki za syna,
Lub przypominał starodawne dzieje;
Kilku młodzieńców, co niby to skoro
Rwą się do pracy, by rozerwać serce,
Ale na polu do kółka się zbiorą,
Gwarzą o bitwach, mundurach, żołnierce.
A pora schodzi — przeminął czas suszy,
Mgłami jesieni powlokło się słońce,
Zboże nieżżęte sypie się i kruszy,
Trawy stwardniały i zeschły na łące;
Ledwie gdzie niegdzie wytykają głowę
Kopice siana lub mendle zbożowe.
Nastała jesień, cały plon się kwasi,
I tak zmarniała całoroczna praca.
A gdzie pan hrabia? gdzie rycerze nasi?
Nie masz i wieści, gdzie kto się obraca.
Nastała zima o niezwykłej porze,
Pan Bóg na ziemię zagniewał się biedną —
Śniegi głębokie wypadły na dworze,
W białej zawiei i świata niewidno;
A mróz ognisty z jesieni jak chwyci,
To trwa do wiosny ku ludzkiej zagubie;
Niejeden zginął i w rysiowej szubie,
A cóż nędzarze łachmanem okryci?
Włóczą się wszędy i o każdej chwili
Przemarzłe dziady, żołnierze, Żydziska,
I częste wieści od pobojowiska:
Tu zbili jednych, tam drudzy pobili,
Owdzie wygrana, owdzie straszna klęska,
Owdzie pod tego, tam owego wodzą,

Z pod Borysowa, Możajska, Smoleńska,
Wieści po wieściach jak gromy dochodzą.
Jeden im wierzy, a drugi nie wierzy,
Lecz pełno westchnień, postów i pacierzy,
Codzień pod kościół ciśnie się gromada,
Modli się z płaczem i ofiary składa.

VII.

W początkach Adwentu, o szarej godzinie,
Do naszej chałupy zeszła się gromada,
I wkoło zasiadłszy przy ciepłym kominie;
Ten szczepie łuczywo, ten wzdycha, ów gada;
Mój ojciec przy oknie, w płóciennej opończy,
Sieć wiąże na ryby i pacierz swój kończy.
A był to czas mroźnej zamieci i słoty —
Wiatr silny — aż ściany łamią się i trzeszczą,
A wicher śnieg skręca i składa w sumioty,
I świszcze w kominie piosenkę złowieszczą.
Wtem drzwi się rozpadły: ktoś zziębły, wąsaty,
Przy szabli i w burce wtoczył się do chaty.
Przeraził nas wszystkich ten napad z nienacka,
Wiadomo, jak w wojnie żołnierze zuchwali;
Czy banda westfalska, czy sotnia kozacka,
Zrabuje, spustoszy, a może i spali.
— Niech będzie pochwalon! — zawołał przybyły.
— Na wieki i Amen! — odrzekła gromada.
Ot jakoś nieznacznie przybyło nam siły:
— Kto chwali Chrystusa, kto tak do nas gada,
Nie może być rabuś, — rzekł ojciec spokojnie.
Ot dzięki Ci, Boże, są wieści o wojnie!
I zatknął u pasa święcone paciorki
A żołnierz śnieg otrząsł z kaszkieta i burki,
I z lodu ocisnął namarzłe wąsiska...
To Stefan — to brat mój... Z pochmurnem obliczem
Podbieżał do ojca, kolana mu ściska,
I wita się z nami — my bieżym i krzyczym,
Witamy, ściskamy, radością wzruszeni:

No, cóż tam? jak idzie? jak się wam powodzi?
Tysiące zapytań, jak z procy kamieni,
Rzucają z pospiechem i starzy, i młodzi.

— Źle idzie — rzekł Stefan — skończyła się praca,
Już nasze rojenia minęły, uciekły;
Już Francuz w cieplejsze krainy powraca,
Przemarzły, przelękły, pobity i wściekły.
Bóg z nimi, mój ojcze! ja u was w gościnie.
Konika popasę i ruszam z kopyta:
Za Wisłą, za Niemnem, na cudzej krainie,
Być może, że słońce nam jeszcze zaświta.
O! wtedy to z hrabią rachunek uczynim —
On stchórzył na polu, gdzie ogień się krzesze,
Porzucił nas wszystkich, co byliśmy przy nim,
Zapragnął Paryża i powiózł depesze,
I żołd nasz zagarnął na domiar swej zbrodni.
Ej hrabio, nie ujdziesz pałasza lub kija!
My tutaj krew lejem, i głodni, i chłodni,
A waszeć w Paryżu gdzieś winko popija!
Jedź z Bogiem, pij z Bogiem wesoły i zdrowy,
Nie zginiem bez ciebie, kochany sąsiedzie!
Nas wzięto po pułkach — a szlachcie z Podkowy
Ze strzelbą czy z lancą niezgorzej się wiedzie.
Bo Pan Bóg nad nami litować się raczy.
Zwyczajnie jak wojna — wszelako się zdarzy:
Piotr został raniony od piki kozaczej,
Jan krzyżyk otrzymał za wzięcie bagaży,
Franciszek w szpitalu, bo rąbał się szczerze,
(Nie lękaj się ojcze, nie będzie kaleką),
Mikołaj kapralem przy głównej kwaterze;
O reszcie ja nie wiem, bo pułki daleko.
Dziś idziem do Niemiec, choć pędzą za nami,
Posłyszycie wkrótce nowiny rozgłosne,
A śladem za wieścią my do was, my sami,
Z jaskółką, z bocianem powrócim na wiosnę.

VIII.

Ale wiosna nie chybia, jak człowiecza dola.
Przyszło cieplejsze słońce, śnieg otopniał z pola.
Strumień otrząsł się z lodu i swobodnie płynie.
I bocian zaklekotał... ot na tej olszynie!
I przyleciała czarnych jaskółek gromada,
A każda coś szczebioce, każda rozpowiada...
Któż tam, proszę, potrafi dowiedzieć się od niej?
Może pokłon przynosi z krainy zachodniej?
Ale gdzie tam... dla Boga! — och! ku naszej strzesie
Czarny kruk chyba z wojny wiadomość przyniesie,
I rozpowie krakaniem żarłocznego gardła;
Matka głos ten pojęła, i szatę rozdarła,
I załamała ręce... Serce matki zgadnie,
Choć wojna za górami, gdzie kula upadnie.
Sprawdził się przestrach ojców i matek w Podkowie,
Sprawdziło się co czarni krakali krukowie:
Bo wszystka niemal młodzież, cała nasza siła
Gdzieś w niemieckiej krainie głowę położyła;
Kilku jeno wróciło poranionych srodze,
Z krzyżykami u piersi, na drewnianej nodze,
Lub na szczudłach żebraczych. Mała z nich usługa,
Okaleczałe ręce niezdolne do pługa,
Młode jeszcze, lecz kulą zgruchotane barki
Nie podźwigną ciężaru chatniej gospodarki.
Stary ojciec i matko! to cóż, że wy starzy?
Idźcie na chleb pracować dla biednych nędzarzy, —
Nie każdemu sądzono w jednostajnej mierze
Wypoczywać na starość, szeptając pacierze.
Ojcze, bierz się do pługa, matko, idź do żniwa.
Pracujcie i na syna, co z ran dogorywa,
I na czynsze, dworową zakreślone kartą,
Aby wam w dzień zimowy okien nie wydarto.
Co tam czynsze? wszak hrabia powrócił już, słyszę,
Wspomni na swojej broni wierne towarzysze
On niegdyś grosz ich zabrał, dziś w potrzebnej porze
I młodych pożałuje, i starych wspomoże.

Tak starcy, pocieszając swój frasunek srogi,
Powlekli się do zamku żebrzeć zapomogi.

IX.

Zajrzyj do ula ciemnego kąta:
Jak się rój cały przy matce krząta,
Jako tam w roju z życzliwych dzieci
Jedno drugiego w pracy wyściga,
To niesie matce balsamy z kwieci,
A drugie wody kropelkę dźwiga;
Każde się krząta, ile sił starczy,
A matka wiedzie ład gospodarczy.
Tak szlachcic czynszem, a kmiotek znojem
Karmią i poją dziedzica ziemi,
Żeby on za to czuwał nad niemi,
Jak matka pszczelna czuwa nad rojem;
Żeby miał litość dla naszej biedy,
Gdy się o litość poprosić zdarza, —
Żeby przynajmniej kiedy niekiedy
Choć dobrem słówkiem wspomógł nędzarza...
Lecz nasze pany to taka matka,
Co tylko miody ssie do ostatka!
A kiedy chciwość wstąpi mu w oczy,
Przed zimą wygna swój rój roboczy.
Więc nasi starcy, poczciwe dusze,
Przyszli do zamku w dobrej otusze,
W dobrej otusze weszli do sali
I za kolana hrabię ściskali.
A gdy się z płaczem boleść przekłada,
Gdy proszą wesprzeć ich biedne siły,
Przerwał im mowę ptaszek nielada,
Pański służebnik z Niemiec przybyły;
Zwał się A g r o n o m (Bóg wiedzieć raczy,
Czy to nazwisko, czy urząd znaczy).
Rzekł do hrabiego: O! w tej Podkowie
Widziałem jadąc wyborne zboże;

Kiedy nie płacą szlachta panowie,
Wygnawszy szlachtę, folwark założę.
— Zgadzam się na to — odpowie hrabia —
Piękna posiadłość z tego się sklei...
Wypędzić szlachtę, wszak grunt obrabia
Bez żadnych nadań i przywilei.
Wypędzić szlachtę! Aspan w tym względzie
Trafiłeś całkiem po mojej chęci;
Przynajmniej nadal szkody nie będzie
W lasach, na polach i sianożęci.
Tak! idźcie z Bogiem, panowie moi,
Wasze sąsiedztwo w gardle mi stoi!
Szlachta jęknęła: Za cóż nam, za co
Nie dają spocząć w ojców mogile
Tu każdy zagon spulchniło pracą,
Oblało potem pokoleń tyle!
Wszak my i w wojnie, wszak my i doma,
Biegli na każde pańskie skinienie,
Wierność szlachecka była wiadoma
Od pokolenia na pokolenie;
Niech naszych przodków poświadczą kości
I te portrety przodków waszmości.
Cofnij się, hrabio, w swoim zamiarze,
Nie daj się uwieść namową zdradną,
Bo za nieludzkość Pan Bóg pokarze,
Bo ci łzy nasze na głowę spadną!
Tak uroczyście, wznosząc ramiona,
Zawołał głośno najstarszy z grona.
Hrabia się gniewnie nasrożył za to,
A pan Agronom, co bliżej stoi,
Znieważył starca trzciną sękatą
I wygnał za drzwi z pańskich podwoi.

X.

I wypchnięto nas z gruntów rękami przemocy...
Zawitał święty Jerzy w sam dzień Wielkiejnocy,

Gdyśmy zdrowi i chorzy, i starzy i mali,
W kaplicy A l l e l u j a radośnie śpiewali.
Któż z nas nie zna tej chwili obfitej rozkoszą,
Gdy z rzewnego wesela aż piersi się wznoszą,
Kiedy dzwony podają uroczyste hasło,
A jeszcze na cmentarzu ognisko nie zgasło?
Lud się ciśnie z kościoła, jak mrowie z mrowiska,
Wszyscy się pozdrawiają, brat brata uściska,
Wszyscy serca z sercami, rękę spletli z ręką,
A skowronek drze piersi radosną piosenką;
Wiatr cię nawet świąteczny uściskiem ogarnie,
Serce ani poczuwa, że idą męczarnie.
Rankiem było na Niebie i w sercach różowo,
Wieczorem czarne chmury zwisły nad Podkową:
Oto groźni spojrzeniem a strojem wytworni,
Konno lecą pod kościół pachołkowie dworni,
Na czele pan Agronom. Ten z karty nam czyta,
Że dzisiaj święty Jerzy i z dzierżawy kwita,
Że grunt nasz już zajęty we dworskim obszarze,
A pan hrabia nam dzisiaj precz wyruszyć każe.
Szlachta gwarno zawrzała: Krzywda i sromota!
Lecz hałastra: P r e c z! krzyczy i kijmi nas grzmota,
Straszy końmi niewiasty i obala dzieci,
Jęk, płacz jakby w dzień sądu pod Niebiosa leci,
Miesza się z echem dzwonu, ściele się po ziemi;
Starzy zaleli oczy łzami gorącemi,
Oczy żarem błysnęły — a stara i śmiała
Krew szlachecka ukropem w sercach zakipiała.
Mój ojciec siwą czapkę nacisnął u czoła:
Bij, kto poczciw! — grzmotliwie do swoich zawoła:
I wnet tłumią się w ciżbę blizcy i dalecy,
Starcy ujęli kije, a szczudła kalecy,
I zakipiał bój wściekły; ale trudna rada —
Niemiec uciekł i wrócił, z nim chłopów gromada.
Rzucili się na chaty służalcy zuchwali,
Brzękły okna, sprzęt chatni na dworzec się wali,

Wyganiają dobytek, pastwią się siepacze,
Trzoda ryczy, dzwon jęczy, ciżba niewiast płacze...
Trudno pokonać siłę — więc starzy dokoła
Zbierają się i radzą. Jeden z nich zawoła:
Oj! piersiami nie przeprzeć, kędy woda płynie!
Sądzono nam na starość iść po żebraninie,
Idźmy, ładujmy wozy i zabierzmy dzieci;
Nie nad samą Podkową słońce Boże świeci.
Na ziemi dobrzy ludzie przygarną nam głowy,
Na Niebiosach jest Pan Bóg i grzmot piorunowy.
Oj, te odwieczne grunta, te zielone pasze,
Kaplica naszych ojców i te domy nasze!
Tutaj serce przyrosło... ależ w czarnej doli
Na co wróg ma się cieszyć, że nas serce boli?
Na złość sercu, po męsku, ot tak, w jednej chwili,
Niech i śladu nie będzie, żeśmy tutaj żyli!
Starzec otarł swe oczy roziskrzone śmiele,
Wbiegł na cmentarz, gdzie ogień tlał jeszcze w popiele,
Rozdmuchał czarną głownię i silnym zamachem
Rzucił ją na kaplicę ze słomianym dachem —
A ciżba przerażona jeno patrzy zdala,
A starzec wybiegł z ogniem i strzechy zapala.
Wiatr się wzdyma, zahuczał, skręca się nad jarem,
Ogień dymi się, czai i buchnął pożarem.
Trzeszczą belki i krokwie pod słupem ogniska,
Chałupa po chałupie w głownię się rozpryska,
Nikt pożaru nie gasi — bo nasza gromada
Krząta się koło wozów i tłomoki składa,
I ucieka z pożaru — a dworna czereda
Nie troszczy się o pożar, bo mu rady nie da.
I ogień coraz słabszy, coraz niżej błyska,
Sterczą kominy z cegieł i stos popieliska,
Sterczą zwęglone drzewa, i jeno do góry
Wspina się kolumnami dym czarny i bury,
I jeno czarny obłok, jak chusta grobowa,
Rozciąga się nad miejscem, gdzie stała P o d k o w a.

XI.

A mieszkańcy Podkowy za lasem daleko,
Pan Bóg wie dokąd się wleką —
Dym rodzinnego zgliszcza rozciąga się torem
Za ich sierocym taborem,
I głowę ściska bolem i przegryza oczy,
Aż łzę z pod serca wytłoczy.
Trzody ryczą, a wozy obarczone srodze
Skrzypią po gleistej drodze.
Mąż smutnie zwiesił głowę, a niewiasta kwili,
Żeśmy złej pory dożyli.
Gdzie się biedni przytulim? oto noc się zbliża...
Chyba pod ramiona krzyża,
Który stoi w równinie i trochę wesela
Biednemu sercu udziela. —
Zatrzymaliśmy wozy, i przed krzyżem z drewna
Klękła gromadka niepewna,
I piosnkę Alleluja w cześć Wielkiej Niedzieli
Wszyscyśmy sercem huknęli.
Och! tę samą piosenkę jeszcze dzisiaj rano
W naszej kaplicy śpiewano!
Któżby wtedy powiedział, że w wieczór zapłaczem
Nad naszem życiem tułaczem?
Że domy i kaplica, i wspomnień tak wiele
Zginą w pożarnym popiele?...
Lunął deszczyk wiosenny — jego święta władza
Zbolałe serca ochładza,
I słońce się przedarło z za obłocznej ściany,
Świat jakby złotem oblany, —
Krzyż zabłysnął, i świętem miłosierdziem płonie
Chrystus w cierniowej koronie!
A nadzieja na każdej zjawiła się twarzy,
Że Pan Bóg wesprze nędzarzy.
Zmówiliśmy pacierze, i siadłszy w oddali,
Chleb Wielkanocny łamali,

I spożyli baranka na ucztę ostatnią.
 I pożegnali się bratnio.
Cztery drogi rozstajne schodzą się przy krzyżu —
 Jeden miał krewnych w pobliżu,
Drugi miał nieco groszy, więc ruszył na wzwiady
 Gdzieindziej szukać posady,
Trzeci strzelał bez pudła, więc przy jakim dworze
 Myśliwcem zrobią go może...
Inny z nabożną książką kędyś przy plebanie
 Może dzwonnikiem zostanie
I będzie uczył dzieci... Tak radząc się w tłumie,
 Każdy przypomniał co umie.
I poszli w cztery strony Podkowianie biedni
 Pracować na chleb powszedni.
Tylko starzec bezdzietny, co w ciężkiej chorobie
 Oślepnął na oczy obie,
I młodzian, w bitwie lipskiej porąbany srodze,
 Siedli pod krzyżem przy drodze,
Czekając dobrych ludzi, którzy, idąc drogą,
 Żebraków chlebem wspomogą.

XII.

Hrabia z dwornemi złączył nasze pole
I gospodarzy jako tylko może.
Czasem i piękne udało się zboże,
Lecz z niego nie miał korzyści w stodole;
Bo jakaś klątwa, czy Boża niełaska,
Nie da mu z cudzej pożytkować pracy:
Jednego roku grad kłosy potrzaska,
Drugiego roku podgryzą robacy;
Czasem już żniwo i do sterty zwali,
To grzmotnie piorun i stertę zapali.
I bujno łąki zarastają nasze,
Lecz deszcz ich kosić i zebrać nie dawa;
Hrabia je kazał obrócić na paszę,
Lecz jadowita znalazła się trawa.

Gdzie były chaty, gdzie miejsca cmentarne,
Lęgną się węże i gadziny czarne.
Sumienie przecię skruszyło dziedzica,
Zrozumiał przecię, że to Niebios plaga:
Na starem miejscu, gdzie stała kaplica,
Zmurował kościół — i to nie pomaga.
Przypatrz się jeno tym gruzom kościoła:
Tu grom niebieski powyszczerbiał mury,
Na dachu krokwie niepokryte zgoła,
A tylko w drzewie dzwonek sygnatury;
Kiedy się wicher rozhula po błoni,
Dzwon się kołysze i ponuro dzwoni.
  Tak gdy Podkowa przyszła ku zagubie,
Boskie przekleçtwo ściga ją okropnie —
Biada, gdy bydło tu trawy uskubie,
Biada człekowi, co tu wody złopnie!
Gdy kto nieświadom zbłądzi w to bezdroże,
Musi przypłacić lub życiem, lub zdrowiem,
I hrabia uznał dopuszczenie Boże,
Kazał to miejsce zostawić pustkowiem,
Zaorać drogę i posadzić człeka,
By tędy stopa nie przeszła niczyja;
I lud tutejszy trwożliwie ucieka,
Przychodzień miejsce zaklęte omija.
I nasza stara podkowiańska niwa
Dziś U r o c z y s k i e m P o m s t ą się nazywa.

XIII.

Póki szlachta z zaścianków, święte przodki moje,
Byli panom potrzebni na sejmy i boje,
Głaskali nas, poili w uprzejmej postaci,
I nosiliśmy imię: miłościwych braci.
Minęły stare czasy, a wśród różnej zmiany,
I braterstwo, i miłość zapomniały pany.
Czytasz z pańskich postępków i na pańskiej twarzy
Pogardę i szyderstwo z herbowych nędzarzy.

Staroświeckiego szczęścia nieznaczno ni śladu.
Oj panisko! złe lata!...

PODRÓŻNY.

Daj pokój, mój dziadu!
Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
Świat — to szerokie pole; pełno na nim chleba;
Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba,
Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,
A herbem szlachetności wypiętnować serce...
Bywało, nasza szlachta, czy w wojennej chwili,
Czy rozprawia na sejmie, czy puhar wychyli, —
Znał ją świat i podziwiał potęgę olbrzyma.
Dzisiaj, gdy wojen, sejmów i puharów niema,
Niech nasz umysł u świata na podziw zasłuży.
Bądź zdrów, panie Podkowa!

ŻEBRAK.

Szczęśliwej podróży!

1 grudnia 1850.

ŻEBRAK-FUNDATOR.

GAWĘDA KLASZTORNA.

I.

Z torbą na plecach, w wypłowiałej kurcie,
Dziad siwobrody, schylony przez lata,
Stanął pokornie przy klasztornej furcie
I drżącą ręką we dzwonek kołata.
Stary kapelusz cienił starą głowę.
Na czarnym sznurku wisiały u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.
A u popręgi paciorki bukowe.
Żebrak czy pielgrzym? — a któż jego zbada?
I któżby zresztą troszczył się o dziada?

Starzec we dzwonek furciany kołata.
Była to furta Bernardyńskiej Braci —
Snadź musi pomnieć staroświeckie lata,
Snadź i Ojcowie tutaj nie bogaci.
Klasztor i kościół budowane z drzewa,
Czasy Witołda pamiętają pono;
Ściany się trzęsą, kiedy wiatr powiewa,
Dachy słomiane zakwitły zielono,
Przy starych ścianach rozrosły się chwasty,
Szorstka pokrzywa i oset kolczasty.
Starzec za sznurek pociągnął po trzecie.
Rozbity dzwonek gdzieś głucho kołata —
Wreszcie ktoś idzie — otwarła się krata —
Odźwierny spytał: A czego tam chcecie?
Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

II.

I rzekł: Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!
Oto do miejsc cudownych wybrałem się w drogę,
Ślubem po żebraninie obchodzę te strony,
Ale głodny, schorzały, dalej iść nie mogę.
Mam moje święte wota, chcę czynić im zadość,
Ale cóż? stare nogi nie służą mi sporno,
Stare kościska bolą... ej! starość nie radość;
Ojcowie! chcę gościny za furtą klasztorną,
A za dzionek, za drugi, orzeźwiwszy duszę,
Powiem szczerze: Bóg zapłać, i dalej wyruszę.
A może tutaj umrę, no! to zawsze lepiej
Umrzeć w świętym klasztorze, niż na drodze pono;
Przecię kapłańska ręka powieki zasklepi
I trupa choćby wodą pokropi święconą.
Ojcze! powiedz starszemu, że tu dziad w podróży
Prosi o miskę strawy i schronienie skromne;
A za to, czyli umrę, czy żyć będę dłużej,
Nigdy w moich modlitwach Ojców nie przepomnę.

Uczynność nie stracona — wszak wiesz Księdz Do-
[brodziej.
Kiedy żebrak przychodzi, sam Chrystus przychodzi;
Kropla wody, co podasz ze szczerego łona,
Na Sądzie Ostatecznym będzie policzona!

III.

Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.
Odźwierny fuknął: A toż co się znaczy?
Nie dobrześ trafił, morałów twych szkoda;
Tu klasztor księży, nie szpital żebraczy,
Ani zajezdna żydowska gospoda;
Tu niemasz chleba i kątka dla ciebie,
U nas ciasnota i ubóstwo wszędzie,
My sami żyjem o żebranym chlebie;
Ruszaj stąd, dziadu, nic z tego nie będzie!
A zresztą... zostań, odpocznij za bramą,
A ja się dowiem do starszyńskiej celi,
Możeć jałmużny gwardyan udzieli —
Lecz pewien jestem, że powie to samo.
I tak odźwierny z niechęcią na twarzy
Odszedł i zniknął w głębi kurytarzy.
Wkrótce powrócił: Mówiłem za pewno,
Że się nie wnęcisz pod klasztorne szczyty;
Ksiądz Przełożony ofuknął mnie gniewno:
Czy my bogacze? czy my Jezuity?
Czy widzą u nas pałace w klasztorze,
Że się włóczęgi chcą wnęcać bez pracy?
Na nas poddaństwo nie sieje, nie orze,
Sami jesteśmy w Chrystusie żebracy!
Dziad, mówisz, chory — umrze gdzie pod progiem,
To nowy kłopot, chować go potrzeba,
Dajcie mu piwa i krajankę chleba,
I niech co prędzej wynosi się z Bogiem.

Tak rzekł odźwierny i z sobą coś radzi,
W środek klasztoru żebraka przyzywa,
I dał mu w izbie klasztornej czeladzi
Krajankę chleba i szklanicę piwa.
Dziad się orzeźwił — i z Bożego Domu
Wyszedł pokornie cieniem kurytarzy,
I siwym wąsem mrugnął pokryjomu, —
Czy to był uśmiech, czy boleść na twarzy?
Potrząsnął głową, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

IV.

Pokulał w miasto — o kroków niewiele
Stała kaplica drewniana i nizka,
Z cmentarza brzydkie oczyszczono ziele,
Na dachu krzyżyk jak gwiazda połyska;
Kapliczka nowa, skromna i chędoga,
Że gwałtem pragniesz modlić się do Boga.
Tuż przy kaplicy stoi domek cichy,
Na dachu krzyżyk a u okien kraty,
Znać, że i tutaj zamieszkały mnichy,
Znać, że i tutaj zakon nie bogaty.
Nad furtą obraz: wielkiemi rozmiary
Skreśleni więźnie, księża i Tatary.
Starzec ukląknął i uchylił głowę;
Snadź do modlitwy zapalony szczerze,
Odpiął od pasa paciorki bukowe,
Bije się w piersi i liczy pacierze;
I słońce zaszło, i ciemno na dworze,
A starzec jeszcze z Bogiem w rozhoworze.

V.

Wtem ktoś mu rękę na ramię położy.
Dziad się obejrzał: oto kapłan przy nim —
Ubrany biało, jakby Anioł Boży,
Krzyż ma na piersi purpurowy z sinim.

Wybacz mi, dziadu, żeć przerywam modły.
Znać, że odbywasz pielgrzymkę pobożną,
Lecz kiedy ciebie losy tu przywiodły,
Wiedz, że przed nocą odejść stąd nie można.
Nie tobie ziębnąć na wieczornym chłodzie,
Nie jesteś młodzik, krew ci się nie żarzy,
Nie szukać kąta w żydowskiej gospodzie,
Gdy masz pod bokiem klasztor Trynitarzy.
Z łaski Najwyższej, choć dostatków niema,
Lecz nie jesteśmy ubodzy i głodni,
Znajdzie się szklanka wina dla pielgrzyma,
Znajdzie się kątek na noc dla przychodni.
Chodź za mną, stary! dam ci w szczupłej celi
Misę pokarmu i siennik pościeli.
Dziad się pokłonił i szepnął nieśmiało:
Ej! chciałbym spocząć we schronieniu świętem!
Miałem już dzwonić, lecz męstwa nie stało,
Człowiek w łachmanach nie chce być natrętem.
Wszak klasztor szczupły, jako z wierzchu baczę.
Och! dobry Księże! nieśmiałość mię bierze:
Gdzieby tam miejsce na szmaty żebracze?
Gdzieby tam waszą objadać wieczerzę?
Ksiądz się ofuknął, i podnosząc ręce:
Boże! — zawołał — co ten człowiek plecie?
Myż Trynitarze, wykupując jeńce,
I wzdłuż i w poprzek włóczym się po świecie;
Toć w Tureczyźnie i w Tatarskim Krymie,
Kiedy obaczą, żeś pielgrzym z daleka,
Proś o gospodę w Chrystusowe Imię,
Dadzą ci miskę kobylego mleka;
A tu, mój bracie, przecię nie Tatary,
Lecz klasztor polski, co w Chrystusa wierzy!
Niema co gadać, chodź ze mną, mój stary,
Resztę modlitew skończysz po wieczerzy.
Dziad się pokłonił, aż brzękły u szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

VI.

Nocował z bracią, a nazajutrz rano
Nie poszedł w drogę. Dni za dniami biegą,
Dziad nie odchodzi, bo i niema czego,
Gdy mu tak dobrze za kratą furcianą.
Pod bokiem kościół, — korzystając z pory,
Starzec się modli od samego ranka,
Dalej obiadek, a dalej Nieszpory,
I przyjacielska z Ojcy pogadanka.
Ma czysty siennik i wygodną celę,
Ma w refektarzu swój stolik, gdzie jada;
Nawet w drewnianym i szczupłym kościele
Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
Tydzień i drugi dziad bawi z rozkoszą,
Lecz być natrętnym nie wypada dłużej;
Jużby i poszedł, lecz go księża proszą:
Pozostań, starcze! wypocznij z podróży!
I tak do siebie przywykli nawzajem,
Że kiedy przyszło pożegnanie rzewne,
Dziad się nie kłaniał żebrackim zwyczajem,
Lecz ściskał ojców jakby swe pokrewne —
Przełożonemu oddał ze swej szyi
Krzyż Chrystusowy i medal Maryi.

VII.

Dziad powędrował — i wieść przepada,
I zapomniano starego dziada.
Aż oto... minął miesiąc nie dalej,
Pańska karoca po bruku pali,
A za nią wozów ładownych w zboże
Wązka ulica objąć nie może.
Strojny w bogate z futrem czamary,
W karocy siedzi pan jakiś stary.
On skinął ręką — i wozy staną
Przed Trynitarską furtą drewnianą;

Pan wysiadł z wozu, i przed kościołem
Zdjąwszy swój kołpak, uderzył czołem,
A jako dobrze świadom tej strony,
Poszedł do celi, gdzie Przełożony.
Widząc, że postać tak znakomita,
Ksiądz Przełożony u progu wita,
Prosi do celi, jeżeli łaska;
Pan się uśmiecha i brodę głaska:
Ej, dobry księże! czyż w nowej szacie
Starych znajomych już nie poznacie?
Patrzaj — jaż przecię żebrak ten samy,
Coś z przed kościelnej przywiódł mię bramy,
Coście tak długo, Ojcowie mili,
Chlebem karmili, winem poili;
Dziś znów przychodzę do was gościną,
Lecz niosę z sobą mój chleb i wino,
I was zapraszam do mego stołu;
Co Bóg udzielił, jedzmy pospołu,
A co zostanie, użyjem godnie:
Zjedzą ubodzy albo przychodnie!
Ksiądz Przełożony patrzy ciekawie,
Nie wie, czy we śnie, czy to na jawie,
Nie śmie zadawać pytań starcowi.
Ten się uśmiechnął i dalej mówi:

VIII.

Nazwisko moje: Paweł Maikowski,
Bóg mię na długie błogosławił lecie,
Mam piękny dworzec, przy nim cztery wioski,
Miłość u ludzi i urząd w powiecie.
Byłem szczęśliwy wpośród dziatwy grona,
Lecz sądów Bożych nikt nie zna, nikt nie wie;
Umarła dziatwa, umarła mi żona,
Zostałem jeden, jako liść na drzewie.
Gdy drodzy sercu, gdy zmarli jedyni,
Tęskno mi było w mym złoconym gmachu;

Jęczałem smutnie, jak ptak na pustyni,
Jako kruk nocny, co czuwa na dachu.
I rzekłem w duchu: Dopomóż mi, Panie!
Dolę, niedolę złożyć w Twoje ręce,
Niech dusza moja spokojną zostanie,
Na chwałę Twoją me włości poświęcę!
Bóg mię wysłuchał w utrapieniu mojem
I duszę świętym nawiedził spokojem.
A więc skwapliwy ze śluby mojemi,
Przed Sakramentem przysiągłem w kościele,
Grosz mego skarbca i majątek ziemi
Oddać na dobre dla ludzkości cele:
Na jakiś zakon, co w świętej pokorze,
Z otwartem sercem jako Zbawca stoi,
Pełni nad bliźnim miłosierdzie Boże,
Łaknących karmi, pragnących napoi,
Co garnie ludzi, jako Chrystus dzieci,
Słabych umocni, a ciemnych oświeci.
Jest pełno mnichów, wszystko nie bogaci,
Wszyscy gorliwi i święci być mogą;
Jak zrobić wybór między tylu braci?
I kogo wesprzeć moją zapomogą?
Więc jąłem czytać zakonnicze prawa,
I Patryarchów klasztornych statuta;
Widzę, że wszędzie zbawienna ustawa,
Jeśli występkiem ludzkim nie popsuta.
Jakiż tu wybór i różnica jaka?
Duch święty środek poszepnął mi na to:
Przywdzieję szmaty prostego żebraka,
Sam się przekonam za klasztorną kratą,
Gdzie ludzie bardziej w zakonie zupełni?
Kto piękniej cnotę miłosierdzia pełni?

IX.

Więc z kijem w ręku, w żebraczej odzieży,
Szedłem do miasta w pokornej postaci;

Zliczyłem krzyże od kościelnych wieży,
I zapukałem do najpierwszych braci.
Ojcze, szanując ich sukienkę świętą,
Tego klasztoru głośno nie nazowę —
Dość, że mnie stamtąd zelżywie wypchnięto,
Gdym prosił chleba w Imię Chrystusowe.
Poszedłem dalej — przed memi oczyma
Stanął klasztorek świętego Bernarda.
I tam do zbytku uprzejmości niema.
I tam mię gorzka spotkała pogarda,
Tylko mi dała ręka litościwa
Krajankę chleba i szklanicę piwa.
Tak mię to zimne przyjęcie odstrasza,
Że w waszą furtę nie pukałem zgoła —
Tylko ukląkłem, a uprzejmość wasza
Sama żebraka wzięła z pod kościoła;
Wyście mi dali ojcowską gościną
Chleb i gospodę, i serce, i wino.
Ślub mój spełniony — niech w waszym klasztorze
Zostanie moja posiadłość ojczysta;
Tu się wypełnia miłosierdzie Boże,
Tu z moich darów społeczność skorzysta;
Skorzysta więzień, co wykupu czeka,
Stary przechodzień i żebrak kaleka.

X.

Oto, mój Ojcze, przyznany w urzędzie
Akt fundacyjny księży Trynitarzy.
Ze czterech wiosek dostatecznie będzie
Przyjąć żebraka, kiedy się nadarzy,
I dźwignąć z muru kościelną budowę,
I monasteru kurytarze nowe.
Ja wszystek grosz mój składam w twoje ręce,
To będzie dla mnie starego na kaszę —
Bo ja się do was na gościnność wnęcę.
Dawny znajomy, wiem porządki wasze:

Dacie mi ciepłą choć malutką celę,
I w refektarzu stolik gdzie się jada,
Nawet pamiętam, że w waszym kościele
Jest wedle kruchty ławeczka dla dziada.
Potem mię pogrześć będziecie łaskawi,
Bo już przeczuwam swój kres niedaleki;
Niechaj się co rok kilka Mszy odprawi
Za mego życia i w potomne wieki.
A gdy z mych wiosek będziecie bogaci,
Spełnić wam jeden warunek potrzeba:
Złóżcie corocznie bernardyńskiej braci
Beczułkę piwa i bochenek chleba;
Bo oni w kuchni swego refektarza
Chlebem i piwem przyjęli nędzarza.

XI.

Obok zamku, co stare przypomina dzieje,
Murem obwiedzion kościół i klasztor bieleje.
Tak tu święcie, tak cicho, że westchniesz z rozkoszą!
W kruchcie siedzą żebracy i jałmużny proszą.
Zapytaj ich, przechodniu, a każdy ci powie,
Kto dał pierwszy początek ceglanej budowie:
Że bogaty fundator w żebraczym ubiorze,
Probując gościnności, był w każdym klasztorze.
Że zewsząd odepchnięty, choć kłaniał się nizko,
Tu jeno chrześcijańskie znalazł przytulisko;
Że przezeń Trynitarze zostali bogaci,
Że włożył obowiązek na zakonnych braci,
By Ojcom Bernardynom, jako rok upływa,
Składali bochen chleba i beczułkę piwa;
Że ten stary obyczaj aż dotąd się trzyma,
Że dziś Ojce gościnnie przyjmują pielgrzyma,
By snadź bogaty żebrak, jeżeli się zdarzy,
Nie powędrował dalej szukać Trynitarzy.

7 grudnia 1850. Załucze.

GRABARZ.

GAWĘDA.

W kościele trumna — słychać organy —
I śpiew szpitalnych nędzarzy;
A przy kościele grabarz wpół-pijany
Wsparł się na rydlu i gwarzy:

Poczciwy rydel!... służy mi godnie,
Kopie tu żwirek i kopie;
Raz... dwa... trzy... cztery... przez dwa tygodnie,
Dwie jamy pańskie, dwie chłopie.

I teraz umarł ktoś od waszeci,
Tak mu sądzono — i basta!
Zostawił żonę, zostawił dzieci,
O biedna... biedna niewiasta!...

Co tam niewiasta? póki odwyknie,
Płacze i mówi pacierze;
Potem... filozof... jak człowiek łyknie,
To zdrowiej te rzeczy bierze.

Na przykład... ktoś tam schodzi ze świata —
Grabarz mu jamę otworzy;
Mniej jednym człekiem... zdaje się strata,
A może zresztą niezgorzej!?

Człowiek stworzenie Boskie rozumne,
Toż go nie pogrześć jak bydło.
Szpital za dzwony, stolarz za trumnę,
Za lampy, świece, kadzidło.

Ksiądz za Msze święte, Psalmy pokutne,
Grabarz, że kopiąc się trudzi, —
Każdy grosz weźmie... śmierć — prawo smutne,
A z niej pożytek dla ludzi!

Jeden coś traci... to drugi zyska;
Bo wszyscy — Boża drużyna.
A tam pod ziemią... trupie kościska
Gniją — zwyczajnie jak glina.

Na trupie dziecka wąż się obwije,
Mędrcom — szczur wlezie do ucha,
I gniazdo złoży, i mózg mu wyje,
W piersiach dziewicy — ropucha.

Ej! łzy się kręcą... lecz niema rady;
Nie tylko człeka, co z duszą,
Lecz Pan Bóg stworzył płazy i gady,
I oneż przecię jeść muszą.

A potem z trupa korzysta bliźni,
Bo zgnije trumna i koście,
A od zgnilizny grunt się użyźni,
I bujniej trawa poroście.

Czyż tylko trawa? Na złego grobie
Rosną pokrzywy i chwasty;
A dobry człowiek wyda po sobie
Jagódkę, kwiatek krzewiasty.

Lub piękne drzewko wyskoczy hożo, —
Więc idzie korzyść koleją...
Czasem tak bywa... cmentarz zaorzą,
A na nim żyto posieją.

I kupa kłosów urośnie z ziarnka...
Och! jak to słodko i ładnie?
Na piersiach ojca córka żniwiarka
Mendel zbożowy nakładnie.

To cóż, że cielsko zjedzą robaki,
Kiedy grób chleba przymnaża?
Boże mój, Boże! gdyby zgon taki
Na przykład... dla mnie nędzarza!

Na chwałę Twoją niech idzie, Panie!
Com ja wycierpiał za młodu;
Teraz-na starość w zdartej sukmanie
Ginę od głodu i chłodu.

Wczora tak słodko, tak miłosiernie
Cieszył mię Pleban Dobrodziej,
Że za łzy moje, za moje ciernie
Pan Bóg mię Niebem nagrodzi.

Chcesz mię nagrodzić, Ojcze światłości?
Będę zapłacon obfito:
Niech z moich kości dla potomności
Wyrośnie kwiatek lub żyto.

1851. Załucze.

O SKARBCU ZAKLĘTYM.

GAWĘDA GMINNA.

I.

Ma swe powieści prostota wioskowa —
A tak im wierzy, że przysiądz gotowa!
Kłamią starcowie, dokłamują młodzi,
I tak się gminne podanie urodzi;
Z ojca na syna, a z syna na wnuka
Idzie naprzykład taka banialuka:

* *
*

Stał sobie zamek przed dawnemi laty,
Żył sobie w zamku kasztelan bogaty;
Znany po całym Wschodzie i Zachodzie,
Rąbał Tatarów jak zielsko w ogrodzie.
Zmurował kościół z miedzianemi szczyty,
Przy nim osadził Ojce Jezuity,

Sprawiał dla królów biesiady i łowy,
Wypędzał z gruntów sieroty i wdowy,
Z wielkimi pany żył *za panie bracie*,
Szlachciców chłostał na perskiej makacie,
Tysiąc mu chłopów uprawiało zboże,
I wielkie skarby zgromadził w komorze.
On żył — zwyczajnie jak książę udzielny,
Umarł — zwyczajnie jak człowiek śmiertelny;
Śladem za dziadem i ród jego ginie,
I groźny zamek stanął w rozwalinie.
Marmur i cegła z wieżycy wyniosłej
Opadły gruzem i chwastem zarosły;
Po bastyonach, skąd grzmiała potęga,
Szczur się zagnieżdża i żmija wylęga.
Bóg jeno tutaj przytułek naznacza
Na noc dla zbójcy, na dzień dla puhacza;
Słowem pustkowie!...
Nie całkiem pustkowie —
Spytaj się ludzi, a każdy ci powie:
Że pod gruzami, trzy sążnie od ziemi,
Jest loch zakuty sztaby żelaznemi,
A w lochu skrzynia zakowana młotem,
A w skrzyni skarbiec ze srebrem i złotem,
A na powietrzu, nad gruzami, nizko,
Sine i błędne pali się ognisko.

II.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi;
Zwiedzał to miejsce niejeden ochoczy,
I widział skarbiec na własne swe oczy,
Lecz brać nie można, bo w głębi pieczary
Jęczy duch jakiś czy pokutnik stary.
Twarz jego sucha, jakby trupia głowa,
W sobolą szubę i w kołpak się chowa;

Ma siwe kudły na brwiach i na brodzie.
Oczyma strzela aż duszę przebodzie;
Iskrzą brylanty u jego kaftana,
Na piersiach zbroja srebrem żwirowana.
On jęczy jękiem żywego człowieka,
A przecię grobem czuć odeń z daleka;
Postać nieznana, krój szaty nieświeży,
Rdza na pancerzu, a pleśń na odzieży.
Brzęcząc w ogniwa rdzawego łańcucha,
Pies z całych piersi groźnym rykiem bucha.
Szczeka i warczy, i pilnuje wnijście,
Z oczu mu patrzy krwawo i ogniście.
Niejeden z mieczem i szepcąc pacierze
Był tam w nadziei, że skarby zabierze;
Lecz byle trafił na jaskinię czarną,
Grobowe jęki strachem go ogarną;
Brytan się rzuca na piersi, na ramię,
Zakrwawi ręce i oręż połamie,
Aż biedny śmiałek, nie mogąc dać rady,
Ucieka z lochu zraniony i blady.

III.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi —
I mówił Prymas do pobożnych księży:
Niech egzorcyzmem piekło się zwycięży!
Śpiewajcie Psalmy i uderzcie w dzwony,
Znać że ów pieniądz na kościół sądzony.
O r a t e f r a t r e s! tę duszę coś boli;
Od mąk czyścowych modlitwa wyzwoli.
Zbrojny w modlitwę i święconą wodę,
Ja sam was, bracia, do zamku powiodę,
I skarb zabierzem.
I oto kapłani
Wychodzą, w szaty świąteczne przybrani;
Choć po ich czołach pot ocieka zimny,
Biją we dzwony i śpiewają Hymny,

Święcą zwaliska, i pełni popłochu,
Przy świetle gromnic tłoczą się do lochu.
I widzą postać zbrojnego widziadła —
Postać jęknęła i na twarz upadła;
Lecz kiedy Prymas, za którym szło grono,
Sięgnął rękoma, kędy skarb złożono,
Widmo powstaje, rękę mu odpycha,
Pies brzęknął w łańcuch i zawarczał z cicha.
Prymas nie wątpi, że strachy odegna,
Żegna upiora, i upiór się żegna;
Święconą wodą kropi go co chwila,
Upiór się modli i głowę uchyla.
Więc chrześcijanin... nie lęka się krzyża,
Lecz trąca, kto się do skarbu przybliża.
Próbują księża wszyscy po kolei,
Śpiewają Psalmy: „Miserere mei!“
I upiór śpiewa, i uklęka zdala,
Jeno do skarbca tknąć się nie dozwala.
Jęczy, aż echo odzywa się w gmachu.
Kapłani zbladli, umilkli ze strachu
I przerażeni wybiegli z podziemi,
A jęk grobowy ozwał się za niemi.

IV.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi —
I król zawołał: Skąd ten postrach płonny?
Ej, mości panie, podskarbi koronny!
Znając odwagę waszą nieomylną,
Wierności waszej polecamy pilno:
Ruszaj do zamku! to sprawa ojczysta,
Rzeczpospolita na skarbie skorzysta;
A jakieś widmo, co przestrasza księży,
Mego rycerstwa pewno nie zwycięży.
Więc uzbroiwszy i piersi, i głowę,
Lecą pancerni w zwaliska zamkowe,

Lecą w sto koni, na śmierć obojętni;
Wesołe echo po zwaliskach tętni,
Mieczami brzęczą, a tu nuta żwawa,
Bojowa surma serca im dodawa.
Zsiedli z rumaków i w szykownej parze
Tłoczą się w wązkiej i ciemnej pieczarze,
Weszli do lochu — cofnęli się w trwodze...
Widmo rycerza klęczy na podłodze.
Wbiega podskarbi (a śmiały był dosyć),
Każe rycerstwu cały skarb wynosić...
Widmo spojrzało strasznemi oczyma,
Wzniosło prawicę, do boku się ima,
I z dzikim zgrzytem, coby wzruszył skały,
Wyciąga z pochwy swój miecz zardzewiały.
Zwarli się bojem — szczękła stal na stali,
Trupie żelazo jakby ogniem pali,
Rąbie pancerze i gruchoce kości,
A brytan skuty wścieka się ze złości,
Skacze rycerstwu na piersi, na ramię,
Zakrwawia ręce i oręże łamie;
Kto się posunie, już na ziemi leży,
Widmo zrąbało secinę rycerzy.
Nie walczyć z duchem! — wykrzyknęli starzy —
Nas nie przemogli Szwedzi ni Tatarzy,
Przemogło widmo, na jawie czy we śnie...
Trudno dotrzymać, gdy rażą boleśnie!
Więc bladzi, we krwi, wybiegli z podziemi,
A jęk grobowy ozwał się za niemi.

V.

Mówią o skarbcu i starzy, i młodzi,
Po całym kraju powieść się rozchodzi;
A lud się dziwi, że nie dany zgoła,
Ni dla ojczyzny, ani dla Kościoła.
Jesienną nocą, sierota z poblizka,
Przyszła w ruinach szukać przytuliska.

Wicher się wkradał przez okna i szczyty,
Jęczał od gzemsów ceglanych odbity;
Puhacz wychylił ze strzelnicy głowę
I wydobywał jęki nadgrobowe.
Smutniej nad wichry, smutniej nad puhacze,
Młoda sierota narzeka i płacze:
O ludzie, ludzie! niech Bóg nie pamięta!
Jestże na ziemi sprawiedliwość święta?
Rodzice zmarli, zgorzał dach mej chaty,
Czyha na cnotę złoczyńca bogaty,
Abym służyła za hańby narzędzie,
Zbrojne pachołki ścigają mię wszędzie!...
Muszę uciekać i tułać się z dali,
Kryć się od ludzi, by mię nie wydali.
Straszno mi w nocy! przypadłam bez znaku
Na grobie matki w cmentarnym sośniaku;
Ach! przed zbrodniarza dzikiemi oczyma,
Nawet na grobie przytuliska niema;
I tam mię ścigał — biegnę na bezdroże,
Te puste gruzy ocalą mię może;
Lecz przyjdzie jutro — ja wyjść stąd się boję,
Umrę od głodu — o losyż wy moje!!
Za cóż ja, za co mam cierpieć tak srogo?
Nie mam na świecie nikogo! nikogo!
O! znam ja kogoś, co mi rękę poda:
Jemu dla biednej i życia nie szkoda!
On mię tak kocha, mnie przy nim tak miło,
Jeszczeby szczęście sierocie wróciło!
Lecz biednym myśleć o szczęściu nie wolno,
On sam na chleb swój pracuje mozolno,
Z pracy rąk jego wyżywienia czeka
Zgrzybiały ojciec i matka kaleka.
Och! marnych groszy gdyby choć niewiele,
Wnetbyśmy wiarę przysięgli w kościele,
Potem, gdzie oko, gdzie poniesie noga,
Na krajby świata uciekli od wroga.

W słomianej chacie, na ubogiej niwie.
Wiekby nam płynął, oj płynął szczęśliwie!
Bo niczem praca na polu lub w lesie,
Byle mieć szczęście, jako sercu chce się.
Mało co sercu! kiedy dola nie da...
Ot czeka hańba, albo gorzka bieda!
Wybierz, sieroto, dopóki masz porę —
Nie! ja śmierć głodną w tych gruzach wybiorę!

VI.

Wtem zagrzmiał tętent donośny i długi...
To prześladowca ze swoimi sługi...
Sierota drgnęła i pełna popłochu
Tuli się w gruzy... i wpadła do lochu.
I widzi skrzynię okutą w oddali,
Nad nią w powietrzu ognisko się pali,
Klęczy człek w starej rycerskiej odzieży
I pies łańcuchem przykowany leży.
Twarz jego sucha, jakby trupia głowa,
W sobolą szubę i w kołpak się chowa;
Ma siwe włosy, grobem z niego wieje,
Lecz w oczach widać słodycz i nadzieję.
Skinął na skrzynię, potem na dziewoję,
Jak gdyby mówił: „Zabieraj, to twoje!“
I wnet ze skrzyni, jakby cudu dzieło,
Rozpękły sztaby i wieko runęło.

VII.

Sierota w strachu zemdlała, upadła,
I słyszy we śnie, jakby głos widziadła:
Owo te skarby we srebrze i złocie,
Ja przed wiekami wydarłem sierocie;
Lecz za tom srogą ukaran pokutą,
Bo serce moje do skarbu przykuto.
I po mym zgonie zostawszy upiorem,
Musiałem jęczeć i czuwać nad zbiorem,

Aż nim sierota cnotliwa a biedna,
Zabrawszy złoto, zbawienie mi zjedna.
Zabierz i módl się — bo jest wyrok Boży,
Że twa modlitwa Niebiosa otworzy!
Dziewczę się budzi — i patrzy, i słucha;
Zniknął już upiór, zniknął pies z łańcucha,
Jeno we skrzyni migocą się starej
Czerwone złote i białe talary.
Sierota klękła, i łzami zalana,
Zaduszne Psalmy mówiła do rana.
Porankiem wyszła strwożona i blada,
Z płaczem, ze śmiechem swój cud opowiada.

VIII.

Zbiegli się ludzie poczciwi a prości —
Patrzą na złoto, lecz nikt nie zazdrości,
Szeptają owszem i młodzi i starzy:
Dawny kasztelan ukrzywdzał nędzarzy,
Zgromadził wiele srebra, i złota —
To łzy sieroce — niech bierze sierota!

IX.

W Niedzielę idą przed ołtarza progi
Biedna sierota i młodzian ubogi,
I świętych ślubów zaprzysięgli słowa,
I była huczna biesiada godowa. —
Zabrali skarbiec, i świętym zwyczajem
Dzielą się z Bogiem, bliźnimi i krajem,
Sypią jałmużny ku biednych potrzebie,
Murują kościół, że aż widno w Niebie;
W kościele zasię modlą się co rana
Za wieczny pokój duszy kasztelana.
Rzeczpospolitej dali na usługi
Hufiec pancerzy i jeden, i drugi,
A co zostało, to jakoś się sporzy...
Żyli w miłości i w bojaźni Bożej.

X.

Mówią o skarbcu i starzy i młodzi,
W całym się kraju przypowieść rozchodzi, —
A gdy ją każdy powtarzał jak zdoła,
Doszła nakoniec do naszego sioła.
By zaś w późniejszej nie zginęła dobie,
Ja wziąłem przed się utrwalić ją sobie,
I wedle ludzi statecznych rozmowy,
Spisałem wszystko rzetelnemi słowy.

25 lutego 1851. Załucze.

HETMAN POLNY.

GAWĘDA STARO-ŻOŁNIERSKA.

„Bo gdy doma lwami okrutnemi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami." P. Skarga.

I.

Poza pagórkiem, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg wypadnie.
Hej! gdy zawita dzicz hajdamacka,
Z poza pagórka wypaść z nienacka!
I broniąc nizkie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę!
Tak już uradził plan całej sprawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

II.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Nie zawżdy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza
Oto po wiosce zagon rozpuszcza:
Rabuje bratnie chaty, śpichlerze,
Robocze woły rznie na wieczerzę,

Znieważa krasne dziewy wieśniacze,
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

III.

A wtem pod wioskę nocną zaciszą
Naszli Tatarzy i jęki słyszą:
Ej, niemasz Boga jak Allah w Niebie!
Po bisurmańsku rzekli do siebie:
Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,
Sulejman-Murza od przedniej straży.
Niechże rabują, niech się ochocą,
Nam tu zajeżdżać już niema poco;
Dziś spalim zamek, gdzie wróg nasz krwawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

IV.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na Niebie gore łuna obszerna;
Hetman na Niebo spojrzał z oddali:
Na koń, rycerstwo! mój dwór się pali!
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:
Zamek spalony, służba wyrznięta,
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta...
Na zgliszczach domu modli się łzawy
Wielmożny hetman polnej buławy.

1851. Załucze.

WIEŚ LUBRANIEC.

— FRAGMENT.

I.

Przy staroświeckim gęślowym rozgwarze
Wyśpiewam powieść z oddalonej chwili:

Na toż wezwani zostali gęślarze,
By dzieje ojców potomkom prawili.
Kronika szkielet przeszłości ukaże,
Pieśń z martwych wskrzesza, gdy trumnę uchyli;
Przeto choć prostej, choć ubogiej treści
Z piastowskich czasów słuchajcie powieści.

II.

Cóż nam, spytacie, z owymi książęty,
Co siedm wieków jak próchnieją w grobie?
Pergaminowy, na klamry zamknięty
Wolumen dziejów niech spoczywa sobie;
Szanując przodków relikwiarz święty,
Oczy ku przyszłej wytężamy dobie.
Cóż mamy cenić, zapaśnicy młodzi:
Wczorajszy zachód czy jutrznię co wschodzi?

III.

Och, nie bluźnijcie! a uchylcie głowy!
Bo z piersi ojców i na ich kurhanie
Rośnie kłos żytni i konar dębowy,
Chleb i osłona, i czoła ubranie;
Tu w szumie liści tajemnemi słowy
Szepcą ojcowie wnukom przykazanie;
Tu przeszłość siwa, zakopcona, śniada,
Młodej przyszłości rzewnie się spowiada.

IV.

Czerwona cegła lub piaskowiec szary,
Strzaskana baszta lub ściana w ruinie,
To życia ojców zagrobowe mary:
Tu były twierdze, tu były świątynie.
Dziś te wieżyce i ciemne pieczary
Jękliwy puhacz zamieszkał jedynie,
A nikt z prawnuków wsłuchać się nie raczy
W treść tajemniczą piosenki puchaczej.

V.

W dębowych deskach foliant zbutwiały
Uszedł przed czasu zagładą zdradziecką;
W blade gzygzaki pokreślony cały,
Trudno wyczytać rękę staroświecką.
Stąd dusze ojców do dziatwy skarlałej
Zdają się wołać: Bohaterskie dziecko!
Przyjdź tutaj zgłębić minione koleje,
Posłuchać ducha, co z tej karty wieje.

VI.

Oj danaż, dana, piosenko kochana!
Zadzwońmy w gęśle, by zebrać słuchaczy;
Śpiewać będziemy sarmackiego pana,
O ile siły wystarczy śpiewaczej.
A słuchacz, prostym zwyczajem Słowiana,
Niech wdzięcznie przyjmie — a resztę wybaczy.
Przypomnim wnukom pradziadowskie lata,
Uraczym gości czem chata bogata.

VII.

Na tronie Piasta, z krzyżem Mieczysława,
Z Chrobrego szczerbcem, w pancerzu ze stali,
Królował w Polsce z dziedzicznego prawa
Bolesław, co go Krzywoustym zwali;
A jego imię — dla wrogów obawa,
A jego serce jak wulkan się pali,
A jego czoło rzadko się rozchmurzy,
A ramię w boju jak piorun wśród burzy.

VIII.

W dziewiątym roku w niemowlęce dłonie
Brał ciężki bardysz i topór kowany,
Czechów zwyciężał w bojowym zagonie,
Wilczym go synem zwały Pomorzany;
Szesnastoletni już siedział na tronie,
Piersmi podpierał swego państwa ściany;

Zawżdy wojując, wypoczynku nie zna
W stołecznych murach Krakowa i Gniezna.

IX.

Już cztery lata jak panował godnie
Krakowskiej, śląskiej, sandomierskiej ziemi;
Lecz niedość wrogi zwyciężać przychodnie,
Cięższy wróg — bezład, co doma się pleni:
Ujrzał Bolesław swego ludu zbrodnie,
Zrzucił przyłbicę ze szczerby gęstemi,
I w całym kraju wśród gwarnej Niedzieli
Sądy królewskie woźni okrzyknęli.

X.

Ciżby narodu nie zmieściłby Kraków,
W lesie sądowe naznaczono wiece;
Słychać szczęk mieczów i rżenie rumaków,
Okrzyki męskie i gwary kobiece;
Z bitych gościńców i z wioskowych szlaków
Płynie lud ufny w monarszej opiece;
Mżą się i kipią tłumy jak mrowiska,
Złoto, żelazo i szkarłat połyska.

XI.

Wokoło lasu pancerni skrzydlacze
Harcują raźnie, grając w róg bawoli;
Woźni, przybrawszy postawy junacze,
Szykują naród porządkowi gwoli,
A w gronie ciżby ktoś jęknie, zapłacze,
Spiesząc się skarżyć na to, co go boli.
Wiatr echo trąby daleko gdzieś niesie,
A jęk bolesny rozwiewa po lesie.

XII.

W lesie na trawie, pod zielonym cieniem
Dębu starego, co rozrósł się w chmury,
Siadł król młodzieniec z poważnem spojrzeniem
W szkarłatnej todze ze złotemi sznury;

Kowany pancerz srebrzystym promieniem
Żywo migotał z pod pańskiej purpury;
A u stóp pańskich i u pańskiej głowy
Wieją proporce zdobyczy bojowej.

XIII.

Po prawej ręce dla Biskupów ława —
Tam siedzą wedle starszeństwa różnicy:
Marcin gnieźnieński, mąż herbu Zabawa,
Baldwin z Krakowa i Paweł z Kruszwicy,
Święci Starcowie, Opiekuny prawa,
Boga, monarchy, ludu pośrednicy.
Och! nie jednemu wnet otuchy doda
Ich święta postać, ich twarz siwobroda!

XIV.

Zawierzaj świętej twarzy i postaci!
Słuchaj tych starców, o sarmacki panie!
Każdy za kmiotków i za szlachtę braci
I Pismem świętem, i piersiami stanie.
Drżyjcie przed nimi łupiezcy bogaci,
Do nich, nędzarzu, znajdziesz odwołanie.
Biskup Krakowski śmierci się nie lęka,
Dzierżąc pastorał, nie zadrży mu ręka...

. . . .

1851. Załucze.

KANONIK PRZEMYSKI.

GAWĘDA HISTORYCZNA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

WIECZÓR W LŚCINIE.

I.

O Boże moich ojców! coś jeszcze z przed wieka,
Świętem prawem miłości wiążąc ród człowieka,

Na kamiennej tablicy na synajskim szczycie
Wyrył cześć dla rodziców, co dali nam życie,
I wedle tegoż prawa we wszechmądrej myśli
Kazał kochać ziemicę, gdzieśmy na świat przyszli,
I prochy prapradziadów, i wszystkie ich słowa,
Czy co w uściech wiekuje, czy w księdze się chowa!
Och! wyrył się twój zakon, dany po ojcowsku,
Na miękkiem sercu mojem, jak gdyby na wosku —
Ja pokochałem przeszłość i praojców twarze,
I często je wspominam, często o nich marzę!
I z czasów staroświeckich, co już śpią pod pyłem,
Jedną chwilkę przelotną niedawno przyśniłem.
Więc stroję moją lutnię na pieśń wedle czasu,
Pod takt Reja, Acerna, Jana z Czarnolasu,
I modlę się: O Boże! daj mi wzrok proroczy!
Niech święta starożytność stanie mi przed oczy,
Uroczyście, dobitnie, we własnej postaci,
Bym, co przyśnił o ojcach, wygwarzył dla braci.

II.

Ubrane proporcami i żelazną zbroją,
Pod krakowską świątynią pańskie trumny stoją;
Trzeci rok jak w tej trumnie pomiędzy filary
Błogosławioną głowę złożył Zygmunt Stary —
Polska modli się po nim wedle obyczaju...
Ale młody monarcha — to jak ranek w maju:
Bóg wie co będzie latem, urodzaj czy susza?
Lecz w młody czas wiośniany weseli się dusza,
Raduje się nadzieją obfitego chleba;
Słowiki, kwiaty, ciepło — czegoż jeszcze trzeba?
Dobrze wróży latorośl Jagiellonów młoda —
Pod Zygmuntem Augustem wygoda, swoboda,
Polska słynie pałaszem i piórem, i srebrem,
Znają nas nad Sekwaną, znają i nad Tybrem.
A doma tak swobodno, że aż dusza hula,
Piszemy prawa z królem, piszemy dla króla;

Sejm wre — bo nie na rękę i Bonie, i Kmicie,
Że król piękną Litwinkę ukochał nad życie.
Lecz rozdarła się hydry nienawistnej paszcza,
Prymas czoło królowej chryzmatem namaszcza.
Piękny dzień! dajże hasło monarchini młoda,
Niech będzie w całym kraju kochanie i zgoda,
Niech się wszyscy weselą, jakeś ty wesoła...
Gdzież tam!! waśń między braćmi nie ucichnie zgoła;
Szlachta, wolą, rozumem i groszem bogata,
Pobratawszy się z królem, już się z Bogiem brata.
Oto od gór helweckich, od germańskiej rzeszy
Rój mistrzów zapalonych w Sarmacczyznę spieszy —
Wołają, że posiedli całą mądrość Bożą,
Wznoszą palec k'południu i Rzymowi grożą.
Już Stankar, już Blandrata rozbiegli się w dali,
Z nad kościołów, z nad cerkwi krzyże połamali,
Odarli z malowideł poświęcone ściany,
Na wieżach miasto krzyża już kogut blaszany
Urąga się Piotrowi, co Cię przeczył, Chryste!
Piotr rzucił z Watykanu spojrzenie ogniste
Na zbłąkaną owczarnię — w klucze Niebios dzwoni —
Wścieka się Lippomani, gniewa Kommendoni,
A mężowie, Biskupią obleczeni togą,
Na swych krzesłach w senacie dosiedzieć nie mogą,
I z pasterskiej mównicy, jak wyznawcy szczerzy,
Walczą głową i pierśmi, by przeprzeć kacerzy,
Grożą piorunem klątwy poroztrącać głowy,
Kto śpiewa po niemiecku Psałterz Dawidowy.

III.

Lecz nad klątwy jest Pan Bóg, co patrzy z daleka
A Pan Bóg się nie gniewa, czy poprawy czeka: —
Oto połowa lipca, patrz na polskie niwy,
I żyta, i pszenicy jaki plon szczęśliwy!
Płynie mlekiem i miodem w którą spojrzysz stronę
Owdzie soczyste śliwy, tam jabłka kraszone,

Tu lasem rośnie chmielnik na spulchnionej grzędzie,
Pszczółka żwawo się krząta, toć i miodek będzie;
A lud żwawy i czynny, jak mrówki w mrowisku,
Brzęczy w kosy na łące i w sierpy na rżysku,
Pracuje w świętym pocie i cieszy się głośno,
Ten śpiewa pieśń pobożną, a drugi miłosną,
Snadź słodkich jego uczuć serce nie ogarnie.
O Prymasie Dzierzgowski! patrz na twą owczarnię,
Patrzaj na tych żniwiarzy, kosarzy, oraczy,
I z gnieźnieńskiej stolice pobłogosław raczej,
Niech miecz klątew pasterskich jeszcze w pochwie
[drzemie,
Gdy Pan Bóg Swojej klątwy nie spuścił na ziemię.

IV.

Drogą pomiędzy zbożem, jakby wiodąc tany,
Harcuje młody jeździec złocisto przybrany;
Na jego piersiach igra z promieniami słońca
Jak zwierciadło weneckie półzbroja błyszcząca;
Z pod zbroi widać czarna aksamitna świta,
Szamerunkiem ze srebra wzorzyście wyszyta;
Czarny glancowany rzemień kibić mu przeciska,
A za świetny dyament, co u klamry błyska,
Kupiłbyś całą wioskę, albo całe miasto,
Jeżeli dodasz rubin, co kitę pierzastą
Do czarnego kołpaka przypina u boku.
Harcuje młody rycerz w cwale to w podskoku,
I jak gdyby ciekawa patrzała nań rzesza,
Ku lewemu ramieniu hardą głowę zwiesza.
Pięknie mu odbijają szkarłatem jagody
Od puchu czarnych wąsów i strzępionej brody;
A w oczach jeźdźca zapał, na czole nadzieja,
W ustach — piosnka biesiadna Mikołaja Reja.
Pod nim arabski rumak pieni się i żżyma,
Jakby wzięty od żłobów ze stajni Selima;
Gdy drobnemi kopyty jeno piasek zwiewa,

Rzekłbyś: sarna swawoli lub tańcuje dziewa.
A na piersiach rumaka, jak na piersiach pana,
Błyszczy stalowa blacha srebrem dźwirowana,
A na czole nagłównik, na nim herb się mieści,
U trendzli wiązka wstążek jedwabiem szeleści.
  O młodzieńcze! to oko, ten wąs, ta czamara
Niebezpieczne dla dziewcząt, groźne dla Tatara.
Na twym dzielnym rumaku i w stroju ze złota
Harcuj wesół po drodze twojego żywota;
Bo jako wróżę, patrząc na twą głowę wzniosłą,
Książka, pióro, różaniec — nie twoje rzemiosło.
Tyś zrodzony dla życia wdzięcznych krotochwili,
Żadna myśl, żadna troska twych bark nie uchyli;
Nawet miłość, ów robak co ssie pierś młodzieńczą,
Nie wpije się w twe serce — bo k'tobie się wdzięczą
Wszystkie oczy niewieście — ho! ho! i w tym dworze,
Dokąd spieszysz tak pilno — czekają cię może.
Przy krośnie siedzi w oknie jakaś dziewa słodka,
I pyta się u sroczki, pyta się u kotka,
Czy przyjedzie gość luby? Jakiś stukot w lesie —
Uradowanej dziewce śmiać się, płakać chce się,
Słucha, tamując oddech, porzuciwszy pracę,
Czy to tętni twój rumak — czy serce kołace?
Bo u niej serce żwawo i niesforno bucha.
  Harcerz pokręcił wąsa, poprawił łańcucha,
Spojrzał w dalekie okna znajomego domu,
Uśmiechnął się junacko, westchnął pokryjomu
I spiął konia ostrogą.

V.

Każdy przyznać musi,
Piękne są dworki w Polsce, w Litwie i na Rusi;
Bo piękne nasze wzgórki, strumienie i łany,
Jest kamieni i gliny na zamek ceglany,
Pięknych dębów i sosen obfitość tak mnoga,
Że z nich nie wstyd wznieść nawet świątynię dla Boga

Niech jeno biegłe oko i ręka bogata
Czarodziejską naturę ze sztuką pobrata,
A można w Polsce stworzyć taki cud piękności,
Że szlacheckiego domu sam król pozazdrości.
Lecz fraszka wszystkie sztuki i natury dziwa,
Najpiękniejszy ten dworzec, gdzie luba przebywa:
Tam się wszystko spodoba, wszystko wzrok zachwyci,
Choćby droga z krzemieni, most z pajęczych nici:
Jakby w raj Mahometa — piąć się — miła praca!
Och! tylko powrót ciężki, bo coś wstecz zawraca.
Tak marzył młody jeździec.
Wśród zboża i trawy
Skręca się bita droga, jakby wąż żółtawy,
I wije się pod lasek do strzeleckiej chaty,
I dalej gdzieś się skrywa za wzgórek garbaty.
Ze wzgórka widzisz groblę, kędy twoją głowę
Ocieni młody olszniak i liście wierzbowe;
W poprzek grobli pod mostem strumień sączy wodę,
Przezroczystą i wrzącą jako serce młode;
A po obojej stronie pokoszona trawa
Tchem balsamicznej woni rozkosznie napawa,
Strzekocze polny konik, a w takt strzekotania
Mżą się cienie olszniaku, co groblę osłania.
Za groblą u krzyżyka rozdziela się droga;
Lecz niepotrzebny munsztuk ni srebrna ostroga:
Zmyślny rumak wie czego twemu sercu chce się,
Rycerzu, on cię skokiem do lubej zaniesie!
Dwory polskie obronne — jedyna w tem rada,
Bo Tatar jak szarańcza co rok kraj napada,
I Kozak każdej wiosny rzuca Zaporoże,
Wiozące Lachom gościniec: płomienie i noże.
Lecz daremnie pan Chełmski od hord najezdnika
Swój dworzec ostrokołem i rowem zamyka:
Najezdnik, co po serce jego dziewki kroczy,
Szańców się nie przelęknie i pale przeskoczy.
Ale nie trzeba skakać przez szańce i rowy,
Gość przedsię nie Tatarzyn, ni Kozak stepowy.

Wrotny spojrzał przez szparę i poznał sąsiada,
Brama z dębowych desek na pół się rozpada,
I stanęła otworem pełna uprzejmości,
Jako serce szlachcica, kiedy wita gości.

VI.

Zbladło oblicze jeźdźca, uczuł bezład w duszy,
Kiedy ujrzał wśród klonów, jabłoni i gruszy,
W cieniu brzóz rozczochranych z białemi konary,
Dom italską strukturą, drewniany i stary,
Otoczony wokoło róż kolczystych płotem,
I ganek z ławicami, z herbownym klejnotem.
Fraszka wszystkie klejnoty, fraszka wszystkie róże!
Droższy skarb, świeższy kwiatek mieszka w lścińskim [dworze.
Hej, nie dziw, panie Chełmski, że codzień masz goście,
Że na twoim dziedzińcu trawa nie poroście!
O! nie znajdziesz spokoju na twe stare lata,
Dopóki modrookiej córce twego brata
Nie wynajdziesz Bogdana — w domu pana stryja
Młodzież kamienne progi czołem porozbija,
A pijąc zdrowie krasnej, do dna powytacza
Twój miodek Jagielloński i wino z Munkacza.
Ot i ten, co przyjechał, co złotem się żarzy,
Młody Prokop Zaręba, ozdoba usarzy,
Muska pieszczoną bródkę i nastraja minę;
Niby to do starego przybywa w gościnę,
Niby chce się poradzić na sejmik zawity,
Czy głosować za Kmitą, czyli przeciw Kmity?
Niby z Pisma świętego ciekawość go bierze,
Czy ma słuszność pan Stankar, czy rzymscy Papieże?
I nie zrozumiał tekstu świętego Łukasza...
Urodzony Zarębo! mądra miłość wasza;
Ale pan Chełmski mędrszy, zgadł po tonie pieśni,
Że Łukasz, Kmita, Stankar waszeci się nie śni,
Że cię tutaj nie sejmik, nie Papieska władza,
Lecz panny Magdaleny spojrzenie sprowadza.

Oho! starego wróbla nie złowić na plewie.
Niby to nie rozumie, niby to nic nie wie,
Lecz z uśmiechem już poszedł po rozum do głowy:
Bierze statut Herburta i kodeks sejmowy,
I Biblię łacińską, i Pawłowe listy,
I gościa poprowadził pod klon rozłożysty.
Tam na dębowej ławce, przy puharze wina,
I doczesne, i wieczne sprawy rozpoczyna,
A trunek i wyrazy tak powoli sączy,
Że do skończenia świata gawędy nie skończy.
Już i zorze błysnęły — młodzieniec w rozpaczy
Patrzy na dom, czy w oknach lubej nie zobaczy?
Próżno rwiesz się, młodzieńcze, i strzelasz oczyma,
Zorzy twego żywota jak niema, tak niema!

VII.

Wyszła nakoniec dziewa i skromnie się kłania,
Z uśmiechem rycerskiego słucha powitania,
I zaprasza do izby i gościa, i stryja,
Bo już na półzegarzu dziewiąta wybija,
I wieczerza gotowa — lecz cóż mu wieczerza?
Młodzieniec się prostuje, czuprynę najeża,
A świadom jak podbijać młodociane łona,
Potoczystym a gładkim stylem Cycerona
Zaleca swoje służby i powolne chęci,
I kłania się rycersko, i wąsiki kręci.
O! w chorągwi hetmańskiej, gdzie Zaręba służy,
Nikt nad niego junaczej oczu nie przymruży,
Nikt się wdzięczniej nie skłoni — nie podskoczy śmie-
Nikt sowitszemi słowy do serca nie strzeli; [lej,
A kiedy ku dziewczęciu niby nieumyślnie
Oko z pod ciemnej rzęsy promieniem wytryśnie,
Na gładkich licach dziewy taki wzrok junaczy
Wywoła pewnie kraskę — on wie, co to znaczy.
Wedle polskiej dworności grzecznego nałogu,
Pan Zaręba i Chełmski kłaniają się w progu,
I wciąż jeden drugiego k'pierwszeństwu zaprasza.

„Przodkujcie miły gościu!“ „Idźcie miłość wasza!“
Aż po długich ukłonach, wzajemnej podzięce,
Weszli obaj do izby, wziąwszy się za ręce.
W izbie ni zbyt ubogo, ni nazbyt bogato:
Na środku stół okryty turecką makatą,
Przy nim dębowe ławy z kraciastą poręczą,
A srebrzyste lichtarze ze świecą jarzęczą.
Komin, gdzie gorą z trzaskiem sosnowe polana,
Sieje blask po komnacie, aż miga się ściana;
Jest się od czego migać — bo w iskrach się pali
Bohaterski rynsztunek ze srebra i stali.
Niedarmo Chełmski bijał Turki i Wołoszę,
Ma płatnerskiej roboty wszystkiego po trosze:
Owdzie wisi hełm z kratą i ze strusią kitą,
Tu widzisz karacenę od kuli przebitą,
Owdzie krótki proporczyk, owdzie spisa długa,
Pancerz o karpiej łusce, druciana kolczuga,
Kołczan, szeroki topór i szabla wytworna —
Słowem, wszelka zaczepna, wszelka broń odporna.
A wszystko polerowne, zostrzone, jak nowe:
Choć dziś, panie hetmanie, daj hasło bojowe!
Zbroja pana Chełmskiego nie zawiedzie cześci.
Z jej blaskiem metalicznym gdy słońce się pieści,
Lub gdy ogniem wieczornym zabłyśnie komnata,
Rzekłbyś, że sto błyskawic na powietrzu lata.

VIII.

Przy wieczerzy gospodarz wciąż gwarzy i gwarzy:
Wykłada Pismo święte, sejmiki kojarzy,
Rzuca jakieś pytania i sam je tłomaczy.
Zaręba czy pojmuje? Bóg to wiedzieć raczy!
Zdaje się, że młodzieniec ku słuchaniu pilny;
Lecz mu lata po uściech uśmiech krotochwilny,
A kradzionem spojrzeniem ustawicznie goni
Tam, gdzie główka dziewczęcia, oparta na dłoni,
Drzemie albo coś duma. — Czy wiesz co, nieboże?
Gdyby odkraść tę dumkę — ciekawybyś może

Obaczyć, co tam duszę zajmuje kobiecą,
I poważne dumanie rozweselić nieco?
Bo też biorąc te rzeczy rycersko, młodzieńczo,
Bóg wie na co te myśli! — tylko serce dręczą,
Tylko od nich bezładno w głowie jakby w lesie —
Niech zresztą starzy myślą, kiedy im tak chce się.
Lecz młodemu człekowi i młodej kobiecie
Śmiać się, pląsać, poigrać — to coś warto przecię,
Umysł się nie utrudzi, a orzeźwi łono.
Tak marzył pan Zaręba, i miał słuszność pono.
Ależ szukaj, nieboże, słuszności u ludzi!
Synowica dumaniem, stryj gawędą nudzi!
Skończyć poważne nudy już ani nadziei —
Wtem pan Chełmski, postrzegłszy, że mu się nie klei,
Zawołał wielkim głosem: Cóż to jest u licha!
Waszeci drzemać chce się, mnie w gardle zasycha,
Więc pokrzepmy tę sprawę — wina! moja luba,
Nie jest ci to Falernum ni grecka Ekuba,
Przedsię wino węgierskie, które wam zalecim,
W tysiącznym czterechsetnym dziewięćdziesiąt trze-[cim
Zlane było do stągwi z dębowego drzewa,
Jak to napis łaciński na boku opiewa.
Czasem się tylko u mnie w uroczystej chwili,
I to z serdecznym gościem, puharek wychyli.
Dziś zajrzyjmy do dzbana, by rozjaśnić oczy! —
A więc dziewa z pospiechem do piwnicy kroczy,
I szyderczym uśmiechem nastroiwszy lice,
Wnosi gąsior wytłoczyn z węgierskiej winnice,
I dwa srebrne puhary z kłosami ze złota
(Norymberskich złotników misterna robota).
Więc nalano puhary, więc w srebro brząknięto,
I wychylono duszkiem przez powinność świętą
Zdrowie Rzeczpospolitej i królewskiej mości.
Oj, Prokopie Zarębo, szkoda mi waszmości!
Poco się tak skwapliwie bierzesz do kielicha?
Patrz, jako się dziewica posępnie uśmiecha.
Na twarz grzecznie figlarną rzuć jeno oczyma.

A od razu wyczytasz, co o tobie trzyma.
Myśli w duchu nieboga: Otóż to usarze,
Zepsuto wychowani w obozowym gwarze!
Nudzi się biedny żołdak, drzemkę ma u powiek, —
Nawet przy moim stryju, choć to mądry człowiek
W Boskich i ludzkich rzeczach — choć z ogniem nie-
Bitwę mu obertyńską ściśle opowiada; [lada
Pan Prokop niecierpliwy usnąłby na stole,
Nudno mu nawet przy mnie — o biedne pacholę!
Dajcież mu raczej kielich niźli stare dzieje,
Pustkę głowy i serca niech winem zaleje.
A szkoda... jasne oko... i twarz znakomita,
Niech jeno na oblicze jakaś myśl wyświta,
A byłby rycerz piękny i pełen ponęty...
Kochać go... czy nie kochać?... Bógże to wie święty!
I pokiwała główką jakby coś nierada.
Czyśmy zgadli jej myśli? i któż to wybada?
Ale sądząc z posępnie nadąsanej miny,
Takie dumki latały po głowie dziewczyny.

IX.

Wilcza natura ciągnie do głębokiej kniei,
Usarska do szklenicy — a gdy po kolei
Dwakroć, trzykroć brząknęli w srebrzyste puhary,
Młody się rozpromienił, a odmłodniał stary.
Chełmski zanucił piosnkę, jak bito Wołoszę;
Zaręba, już weselszy i śmielszy po trosze,
Zbliża się do dziewicy, oko na niej pieści
I potrząsa swój skarbiec śmiesznych przypowieści.
Prawi swoje przygody i pocieszne dzieła;
Ona — dąsa się — dąsa, i śmiać się poczęła:
Jak w Krakowie Zaręba, hulając przy miodzie,
O blasku księżycowym wracał ku gospodzie
I bił się z własnym cieniem bohaterską dłonią;
Jak drugi raz umykał przed Żydów pogonią
I wpadł do wyschłej studni, jakby wilk do dołu;
Jak zwaśnił dwie przekupki siedzące pospołu.

I insze płoche brednie. Lecz bredzi tak mile,
Tak do poważnej rzeczy wtrąci krotochwilę,
Że na dziewiczem czole już srogość nie taka;
Widać, że polubiła młodego pustaka.
Żartami płaci żarty, wesoła, szczęśliwa,
Już do pustej swawoli sama go wyzywa,
I gwarzy, i szczebioce — ej! po takim gwarze
Przyśni się młody harcerz w srebrzystej czamarze.

X.

Bogdajby wiecznie spleśniał matematyk stary,
Co wymierzył godziny i stworzył zegary!
Weźcież pod mądry cyrkiel, uniżenie proszę,
Boleść serca ludzkiego i jego rozkosze:
Kędy męża z daleka wygląda małżonka,
Kędy więzień pod ziemią łańcuchami brząka,
Kędy boleje chory z mizernem obliczem,
Kędy kochanek z lubą rozmawia o niczem,
Kędy dzieci swawolą — czas jednakoż płynie?
Fałsz, mędrcze! ach! godzina nie równa godzinie.

Oto na półzegarzu już północ uderza,
Darmo rumak pod gankiem czeka na harcerza.
Prokop przeklął godzinę — przypasał pałasza
I żegna gospodarzy; — pan Chełmski zaprasza,
Aby pozostał na noc — daremnie go prosić,
Lubych marzeń dla serca na dzisiaj już dosyć.
Bo grzech zbytnie nurtować w upojenia czarze,
Za przedłużenie szczęścia czasem Pan Bóg skarze:
Nie kosztować za życia wieczystego Nieba —
Przytem sercu co kocha samotności trzeba!
Słodkoż uśpiwszy rozum — wypuścić bez pana,
Niechaj sobie pohula myśl rozkołysana;
Niech to będzie na polu, albo jadąc lasem,
By snadź ciekawy człowiek nie podsłuchał czasem,
I nie wziął za szaleńca, gdy przyjdzie do głowy
Myśleć w niekształtnym śpiewie lub głośnemi słowy.

Rumak, spięty ostrogą, więc posłuszny panu,
Przeleciał groblę, mostek pędem huraganu,
Pod górę zwolnił biegu — udała się sztuka,
Począł iść wolnym krokiem, jakby wsparcia szuka;
A Prokop, rozmarzony jakąś dumką błogą,
Ani myśli figlarza ponaglić ostrogą.
Czemże przedsię ta głowa tak mocno zajęta?
Och! dzisiaj w jego duszy uroczystość święta,
Dzisiaj człowiek ciekawy łatwo zeń skorzysta;
Jego żelazny pancerz i pierś przezroczysta,
W ustach dziecinna słodycz, głowa mu się pali,
Samby wszystko wygadał, gdybyśmy spytali.
Lecz wara szperać w sercu, co się dziś wynurza,
Bo jutro...
Ot zagrzmiało — będzie deszcz i burza.

XI.

Noc ciemna — na Niebiosach od brzega do brzega
Wrząca chmura grobowym całunem zalega,
Lunęła rzeźkim deszczem, ozwała się grzmotem,
A w namiętnych jej piersiach zagrał puls z łoskotem;
Ciężko westchnęły szturmem nadęte jej płuca,
Wicher łamie gałęzie i piasek rozrzuca,
Leci duch spustoszenia — błysnęło jak wstęga,
I jak gdyby runęła niebieska potęga,
Piorun dwakroć i trzykroć zawarczał u głowy,
Drgnął i palnął ogniście w stary pień dębowy,
Aż jękła czarna puszcza — a po niej szeroko
Toczy się echo gromu, — choćby wykól oko
Nastała czarna ciemność, a z nią cisza głucha,
Jeno deszcz drga w powietrzu i po ziemi plucha
I po liściach łopocze. Błysnęło w oddali,
Znowu wzdyma się wicher, znowu piorun pali,
Posypały się z ogniów lodowate grady,
I organy niebieskie huczą pieśń zagłady,
I straszliwego sądu sygnały złowieszcze...

Hej! rycerzu Prokopie, czy ty żyjesz jeszcze?
Jeden, w nocy, wśród burzy, deszcz spluchał ci pono
I twoje pióro strusie, i brodę pieszczoną,
I srebrzystą czamarę. Ot widać trzy krzyże,
Rumak wspina się, parska i uszami strzyże,
Czy droga nieświadoma, czy się czego lęka?
Patrz... iskra nieruchoma — to światło z okienka.
Ach pomnę — jest tu chata strzelecka na lewo,
Może znajdziem przytułek przed straszną ulewą;
Strzelec tutaj znajomy — zapukajmy śmiało,
Pan Boksza Radoszewski, starzec jakich mało,
Biedny lecz zacny szlachcic — ej będąż nam radzi!
Kielich pieprznej gorzałki po deszczu nie wadzi,
A stary ma gorzałkę. Tak Zaręba marzy,
A deszcz oczy zalewa, grad chłoszcze po twarzy,
A rumak, choćby żebra przebić mu ostrogą,
Nie chce kroczyć inaczej jak noga za nogą,
Snadź trwożny błyskawicy, która wciąż migota.
Rycerz dobił się wreszcie pod strzeleckie wrota,
I silnie zakołatał, i słyszy w oddali:
Kto tam stuka? Wszelki duch Pana Boga chwali! —
Podróżny! wpuśćcie na noc! — Ot zaraz otworzę —
A cóż to za ulewa! — Nie dopuszczaj Boże!

PIEŚŃ DRUGA.

TRZEJ OKSZYCE.

I.

Kto ciekaw, niech w Bartoszu Paprockim przeczyta,
Że Boksze Radoszewscy szlachta znakomita.
Pieczętują się Okszą — to świetność nie mała,
Na czerwonej pawęży halabarda biała,
A ostrze halabardy służy na lewicę,
Z Czech, z rodziny Werszowców pochodzą Okszyce,
Lecz dobrze zsarmacieli przez wieków koleje,

Wątrobkowie, Bokszowie i Nagłowscy Reje,
I mnóstwo innych domów tejże paranteli
Zacną Okszę krwią swoją rzęsiście obleli,
Walcząc za sprawę polską.

Taki klejnot drogi
Posiadał Marcin Boksza, dziad stary, beznogi;
Wnuk pana z Siemikowic sławnego Stogniewa
Pilnował w lasach lścińskich zwierzyny i drzewa.
Ma kilku spółherbowych i stryjecznych braci,
Co na Węgrzech i w Polsce głośni a bogaci;
On strzelcem — lecz ma czystą herbowną siekierę,
Ubogi, to cóż robić? — sic fata tulere.
Marcin został sierotą, młodziutkie pacholę,
Nie pieszczony od matki, nie smagany w szkole,
Uciekł od opiekunów, wziąwszy szkapę łysą,
I pojechał na Węgry z toporkiem i spisą,
Gdzie pan Mikułasz Boksza, brat jego stryjeczny,
Miły królowi Węgier, Turkom niebezpieczny,
Przełamywał rycersko Selimowe szyki.
Marcin łatwo się wpisał między ochotniki —
A raz ująwszy w rękę swój topór i kosę,
Ścinał nie gorzej ludzi łby Turków bezwłose.
Gdy pod Mohaczem króla Ludwika zabito,
Pan Mikułasz powrócił w stronę rodowitą,
A pan Marcin gdzieś zginął — ot zwyczajnie młody,
Pojechał w świat szeroki, szukając przygody.
A same go przygody szukały widocznie;
Tylko bywało słuchaj, gdy rozprawiać pocznie:
Jak postrzelon z rusznice z ran już prawie kona,
Jak w Niemczech kochał córkę jakiegoś barona,
Jako potem wędrował, by zwiedzić Rzym święty,
Jako bywał od włoskich zbójców napadnięty;
Jako służył rycersko na hiszpańskim dworze...
Kłamie, czy prawdę mówi — któż to zgadnąć może?
Jeno że człek bywały, jak to z miny wnosim,
A nie było go w Polsce lat siedm czy osiem.

II.

Wreszcie się do ojczyzny przywałęsał zdala,
Wrócił pieszo o kiju, by dziad do szpitala;
Miasto łuku i miecza miał torbę przez plecy.
Gdzieś mu nogę urwano przy szturmie fortecy,
To chodził o drewnianej — jak żebrak z rzemiosła;
Broda mu kędzierzawa do piersi wyrosła,
Głowa hełmem przytarta świeci się łysiną,
Rany niezagojone jeszcze we krwi płyną;
Był blady, lecz wżdy z miną gęstą i szlachecką,
Miał za cały majątek Biblię niemiecką.
Zmarniała piękna młodość — gdzież wioska ojczysta!
Część spalili Kozacy, część zabrał jurysta;
Boksza, nie chcąc się pieniać, dał mu pokój święty.
Poszedł k'bogatym krewnym, tam zimno przyjęty.
Gdy mu dawał pieniądze pan Mikułasz stary,
Marcin cisnął na ziemię grosze i talary,
I poszedł szukać chleba z bliznami na czole.
Sromota rycerzowi bakałarzyć w szkole:
Łaciny, co mu jeszcze w głowie pozostało,
Na szlachcica aż nadto, na księdza za mało;
Że więc oszczep i topór pokochał jedynie,
Został beznogi rycerz leśniczym we Lścinie.
I już od lat dwudziestu zdrowy i wesoły
Wychowuje ogary gończe i sokoły.
To nic, że dziad kaleka — bo, panowie moi,
Śmiało jeszcze na oszczep z odyńcem dostoi.
A gdy stawi obławę lub urządza sieci,
Stary tak się uwija, jakby wicher leci;
Jeno się młodzi strzelcy dziwią nie pomału,
Skąd ta łowiecka biegłość? skąd tyle zapału!
A pan Chełmski, szanując rycerskiego ducha,
Pana Marcina Bokszy jak wyroczni słucha;
Lubią go w okolicy i młodzi i starzy,
A on im za to swoje wydarzenia gwarzy.

III.

Choć go z progów rodzinnych prawie odepchnięto,
On kocha herb swój Okszę, jak Biblię świętą,
Jako miłą ojczyznę, jak dobrego pana.
Nad gankiem jego chaty Oksza wyrzezana,
Okszę piastował w sercu i powtarzał w mowie,
„Jakem Okszyc z Okszyców!“ takie miał przysłowie.
Lubił, mając słuchaczów przy kominku zimą,
Powtarzać swego herbu kronikę rodzimą:
Skąd się początek godła i kształt jego bierze,
O sławnym Ratyborze, czeskim bohaterze,
Protoplaście ich rodu — potem gwarzył dalej
O Werszowcu, którego Geszkonem przezwali,
Potem o swoich dziadów rycerskiej ozdobie,
O swoim ojcu, stryju — nakoniec o sobie.
Wtedy, pięścią po stole bijąc z całą siłą,
Gromił Turków i końca gawędzie nie było.
W Krakowie jest gospoda — zowie się „pod
[Chmielem“,
Tam się zszedłszy pan Boksza z dawnym przyjacielem,
Dzieje swojego rodu kiedy mu powtarza,
Siedział z boku Paprocki, układacz herbarza,
Podsłuchał i zapisał o jego splendorze,
O wojennym Geszkonie, mężnym Ratyborze —
Lecz ze złości, że stary nie kupił mu wina,
Pan Bartosz w swym herbarzu opuścił Marcina.

IV.

Kiedy nie ma z kim gwarzyć — z dawnego nałogu
Marcin Boksza poświęca swój czas Panu Bogu.
Na półce jego chaty jest Biblia dawna,
W wielkie dębowe deski i w skórę oprawna
I na klamry mosiężne zapięta zamczysto.
Dziad wieczorem zasiada z twarzą uroczystą,
I przy jodłowym karczu lub smolnem łuczywie,
Słowa Pisma Bożego czyta zapalczywie

I rozbiera je w duszy — już z niemieckiej strony,
Gdzie bywał na wojaczce, powrócił zlutrzony.
Lekce sobie poważał Pańskie tajemnice,
I dzwonki loretańskie, i gromniczne świece;
A przedsię gdy niedawno piorun stuknął w lesie,
Stary zbladł — na odwagę przeżegnać się chce się.
Chce się zasłonić tarczą dawniejszych pacierzy,
I westchnął, że w Krzyż święty jak dawniej nie wierzy,
Bo dzwonek loretański i święcona woda
Pomoże, nie pomoże, a otuchy doda.
Tchórzysz, stary rycerzu! Boksza kiwnął głową,
Łyknął pieprznej gorzałki, i śmiały na nowo.

V.

Kołacze ktoś we wrota... dziad wesół się zrywa
I wybiega otworzyć — noc taka burzliwa!
Samemu tak coś straszno w bezludnej pustyni,
Że każdy, kto przybędzie, dobrodziejstwo czyni;
We dwóch jakoś weselej, kiedy ciemną nocą
Warczy grom błyskawiczny i deszcze pluchocą.
Więc Boksza wiedzie gościa w swoje nizkie ściany;
Wbiega rycerz nawalną powodzią oblany,
Z pięknej jego odzieży strumień deszczu płynie;
Dziad rzęsiste ognisko naniecił w kominie —
Z razu poznał przybylca — i głośno wykrzyka:
„*Jakem Okszyc z Okszyców!*“ witam poru-
Fortunna dla mnie burza — błogosławię bogi, [cznika!
Żeś spadł z chmury deszczowej na mój dom ubogi.
Cóż? przemokłeś do nitki — precz z ubiorem twoim!
Harcerza zaraz w kabat strzelecki przystroim,
I wnet będziesz wyglądał od stóp aż do głowy,
Jak Boksza Radoszewski, stary stróż gajowy.
Piękna ć metamorfoza — któż się to spodziewa?
Gdyby waści widziała... wiesz, ta czarnobrewa...
Śmiechuż byłoby, śmiechu!... ale w złej godzinie
Zrzuć ten pancerz, ten kaftan, niech z wody opłynie.
A tymczasem włóż delię, co od święta nosim.

Podpasaj się jak możesz moim pasem łosim,
I siadaj przy kominie, co tak mile nęci.
Dzięki wam, panie Boksza, za uprzejme chęci —
Odpowiedział Zaręba. — Lecz mój koń przy drodze
Moknie jeszcze w pluchocie...
Ubliżasz mi srodze!
Jakem Okszyc! znaj waszeć gospodarską władzę,
Rycerskiego rumaka ja sam odprowadzę
I szlacheckim obrokiem nakarmię przy żłobie.
Masz waszeć suchą odzież — przebieraj się sobie,
Ja do was wnet powrócę — chwila nie upłynie,
A pić będziem i gwarzyć przy ciepłym kominie.

VI.

I stary nie mieszkając uiścił się w słowie.
Zasiedli przy kominie i piją przez zdrowie!
Gospodarz w ręce gościa, gość do gospodarza,
Ciepło z ognia i miodu już członki rozmarza:
Młody Zaręba w drzemce ledwie głową ruszy,
Snadź że mu pilno przyśnić boginię swej duszy;
Pan Marcin przypomina swoje młode lata...
Wtem znowu ktoś gwałtownie do bramy kołata,
Pękły bramne zapory parte z całej mocy,
I zaturkotał brzękot kowanej karocy,
I zagrzmiał głos tubalny, co strwożył po trosze:
Miły panie leśniczy! a otwórzcież proszę!
Boksza skoczył, ze ściany stary oszczep schwyci:
Jakem Okszyc z Okszyców! to jacyś bandyci!
Kto tam? poco? tak późno! zaraz stąd wystraszę!
Szlachcicowie podróżni! ale wpuśćże wasze!
Bo ci drzwi wysadzimy — mimo dobrej woli.
Nie chcę, by zmókł na deszczu mój kołpak soboli!
Więc strzelec odryglował zapory w swej chacie,
I weszły dwie szlacheckie czy pańskie postacie.
Starszy z gości celował wiekiem i urodą,
W złotogłowym żupanie, z patryarszą brodą,
Czupryna biała, krótka, w górę nastrzępiona,

Czytać w błękitnych oczach spokój jego łona,
A na poważnej tuszy starego brodacza
Rzemień dziany perłami zaledwie się stacza.
Drugi zasię podróżny, prawie młodzian jeszcze,
Na nim szata z czarnego jedwabiu szeleszcze,
Rzęsiście koronami strojna jego szyja,
Pięknie na czarnej szacie biały haft odbija,
Ciemna niewielka broda drobno mu się kręci.
Spojrz na tego człowieka — westchniesz mimo chęci!
Czoło jego chmurnieje — ponad czarną rzęsą,
Gdy spojrzy, w czarnem oku aż iskry się trzęsą;
Twarz młoda, lecz wybladła, zmarszczona i sucha,
Nosi piętno boleści ciała albo ducha.
Zaręba, co z daleka siedział na swej ławie,
Poskoczył i zawołał: Witaj Stanisławie!
Świat jak morze— nie prawdaż? — poniosła nas fala,
Łodzie naszego życia rozbiegły się zdala,
Lecz gdy burza szturmuje, kiedy piorun błyska,
Oto my u komina jednego ogniska.
Przybylec z cicha westchnął i pokiwał głową,
I najserdeczniej ściskał rękę Prokopową,
I rzekł powolnym głosem: Och nie wielkie dziwa!
Wszak los nie takich rzeczy jeszcze dokazywa!

VII.

Wyście tu dopytali starej znajomości,
To dobry znak zaiste! — rzekł najstarszy z gości,
I głaszcząc swoją siwą, a przemokłą brodę:
Czołem panie gajowy! — a dajcież gospodę
Dwom podróżnym, co w nocy i w nawałność srogą,
Zbłąkali się, że trafić do mety nie mogą.
Po nocy, wśród piorunów, po chrustach, po łomie,
Kolasa szwankowała, że znacznie coś chromie.
Deszcz opluchał nam głowy, aż leje się z czoła,
A zgłodniały żołądek o wieczerzę woła.
Już to mam z sobą w wozie, jak człek gospodarny,
Spory gąsiorek miodu, spory udziec sarny,

Że więc tutaj spoczniemy, a oschniem po trosze,
To za złe, miły strzelcze, nie poczytaj proszę.
Och miłościwy panie! — rzekł mu Boksza na to —
Pan Bóg dzisiaj nad moją zlitował się chatą,
Bo staremu mieć gości gromadę tak zacną,
Jakem Okszyc z Okszyców! w tym lesie niełacno.
Jakto! więc waść posiadasz herbowne zaszczyty?
Szlachcic jestem — rzekł Marcin — Okszyc rodo-
Nazwiskiem Radoszewski — dziś pilnuję zwierza, [wity,
Potomek Ratybora czeskiego rycerza,
Za młodu człek rycersko pracował żelazem.
Więc tu trójca Okszyców zebrała się razem!
Zawołał pan przybyły. — Witam was z rozkoszą,
Boć Rejowie Nagłowscy Okszę w herbie noszą,
Również jak Orzechowscy — poczciwe ludziska;
Niech tedy Oksza Okszę jak brata uściska!
Hej mości Radoszewski, miły spół-Okszycu,
Nam obu siwe brody trzęsą się na licu,
Poznajmyż się jak szkapy jednostajnej maści:
Mikołaj Rej z Nagłowic czołem bije waści!
Jakto!... — zawołał Marcin — co u świata słynie,
Wielki Rej herbu Oksza jest u mnie w gościnie!
Panie, daj mi już umrzeć — bom szczęśliw bez miary,
Albowiem oczy moje...
A cichoż, ty stary!
Patrz na tego księżynę, jest to Okszyc trzeci,
Lecz z nim się nie dorównać ni mnie, ni waszeci,
Bo to jest ksiądz Stanisław Orzechowski z Rusi,
On nawet w waszych lasach znajomy być musi
Ze sławy, co szeroko w całej Polsce lata,
To Demosten łaciński, Cycero-Sarmata.
K'nam świeckim idzie włócznia i zbroja stalowa,
On jeno walczy piórem i piorunem słowa;
Lecz wkrótce w jego ręku marne pióro gęsie
Całą Europę zdziwi i Polską zatrzęsie.
Och mości Mikołaju! — ksiądz Stanisław powie —
Wam zawsze krotochwilne Figliki po głowie.

Zamiast słuchać gawędy o mej wielkiej sławie.
Pozwól niech ci mojego bratanka przedstawię:
Jest to Prokop Zaręba, pieszczota Bellony.
Czołem biję — rzekł Prokop — gwiazdo polskiej
Sławny panie z Nagłowic! [strony,
Czołem! — Rej powtórzy. —
Ot księże Stanisławie, błogosławmy burzy:
Tu poczciwego człeka znaleźliśmy chatę
I naszych spółherbowców i powinowate.
Warto uczcić tę chwilę, bo snadź to nie żarty,
Trzej Okszyce z Okszyców a Zaręba czwarty.
Złączmy się — aż się sypną i trzaski i wiory,
Gdy stukną Okszycowie w herbowne topory,
Kiedy rąbnie Zaręba — wspomnisz moje słowa,
Że ksiądz Biskup Dziaduski gdzieś w kątek się schowa.

VIII.

Starzec wiązkę murogu rozpostarł na ziemi,
I pokrył ją na pościel szuby kudłatemi,
I przyniósł stągiew miodu, co krew rozegrzewa,
Na ogień rzucił wiązkę szczepanego drzewa,
I uśmiech uprzejmości rozpromienił miło
Oblicze gospodarskie i chatę pochyłą.
Jak tu nie brzęknąć w czarkę, kiedy dusza rada?
Jak nie ścisnąć prawicy serdecznego dziada?
Choć Boksza Radoszewski był leśniczym prosto,
A Rej z Nagłowic panem lubelskim starostą,
Przecież obadwaj szlachta, rodem spokrewniona,
Obudwom siwe brody spadały do łona,
I obie stare piersi jeden ogień wzdyma,
W obu piersiach i Pan Bóg i ziemia rodzima
Odbierają cześć świętą, jak gdyby w kościele;
Obaj starcy bywalcy, przeżyli lat wiele,
I znali każdy kątek rodowitej ziemi,
Chleb i sól pożywali z ludźmi niejednemi,
Obaj dzielni mistrzowie łowieckiej zabawy,
Chętni na stary miodek i rozhowor żwawy.

Cóż za dziw, że przy ogniu zasiadłszy w rozmowie,
Przypadli sobie k'sercu starzy Okszycowie?
  Orzechowski z Zarębą, w poważnej postawie,
Ujęli się za ręce i siedli na ławie,
I poufni szeptają bratankowie młodzi:
  Tyle lat!... cóż na świecie?... jak ci się powodzi?
Spytał Prokop. — My dziećmi czyż dawno, mój Boże,
Razem zbierali konchy przy jednem jeziorze?
A teraz już dorośli — ja w zbroi, ty w todze,
Błąkamy się po życia krzemienistej drodze,
Ja żołdak pospolity, jak wszyscy pancerni,
Ty już w wianku laurowym...
                                        Ach, to wianek z cierni! —
Zawołał Orzechowski cisnąc czoło w dłoni. —
O Prokopie, Prokopie! niechaj Pan Bóg broni
Być sławnym... gdy twą duszę rozrywają bole!
Gawiedź podziwiać przyjdzie świetną aureolę,
Co ci z czoła wytryska — daj na sztych twe serce,
Jak rzymski gladyator w cyrkowej szermierce;
A kiedy krwią obryźniesz i upadniesz w prochu,
Twoje drgania śmiertelne pośmiech dla motłochu,
Co jeszcze przed skonaniem twe zwłoki podepce.
  Tu Orzechowski umilkł i z cicha już szepce,
Aby nie przerwać starcom ich myśliwskich bredni.
  Lecz już na wiązce siana i sutej niedźwiedni,
Pan Rej patrząc w ognisko, złożył głowę senną,
Drzemie Boksza strudzony pracą całodzienną,
Już gwarny Rej zasypia, zasnął i stróż lasa,
A ogień zwolna płonie, węgli się... dogasa,
I już chatnie okienko zabłysło świtaniem,
Widać pogodne Niebo i gwiazd kilka na niem,
I jutrznię, co na wschodzie krasno rozwinięta,
I słychać jak szczebioczą gajowe ptaszęta;
Bo i serca ptaszkowe, jako serca ludzi,
Nie śpią o brzasku dziennym — gdy miłość rozbudzi.
Lecz dwaj młodzi pokrewni, co siedzą przy ścianie,
Czyż i tym spać nie dawa sercowe dumanie?

Któż wie? lecz o spoczynku i śnie ani marzy
Młody kapłan ni młody porucznik usarzy.
Szepcą — a Orzechowski na braterskie łono
Przytulił pieszczotliwie głowę rozpaloną,
I głosem, co mu drżący z pod serca się leje,
W te słowa opowiada swe burzliwe dzieje:

PIEŚŃ TRZECIA.

WYZNANIA.

I.

Jam człek wolny, jam dziecię wolnego narodu —
Za cóż krzepkiemi więzy skuto mnie za młodu?
Ach, ojcze! na toż wyszły twe troskliwe chęci,
Że w przystępie rozpaczy bluźnię twej pamięci!
Nie pomnąc, że o chlebie Bóg dla nas pamięta,
Chciałeś być opatrzniejszym niż Opatrzność święta!
Ojcze! na złeś obrócił rodzicielską wolę,
Kładąc księżą czamarę na młode pacholę...
Bóg mnie stworzył rycerzem na trud i na boje,
Krew gorącą jak lawa wlał pod serce moje:
Lecz ojciec zbyt troskliwy o mój los ubogi,
Skował dziecku łańcuchem i ręce i nogi.
Złotyć to wprawdzie łańcuch, poważny znak cześci.
Na nim krzyż, godło szczęścia i godło boleści...
Przebacz, Chryste! że ręce drętwieją bezwładne,
Że pod ciężarem krzyża Twojego upadnę!
Dano mi go... był złoty... błyskotką omamion
Wziąłem... nie obliczywszy siły moich ramion.
Ale wierzyłem, biorąc święcone błyskotki,
Że jarzmo Twoje lekkie, że zakon Twój słodki;
Ani mi się marzyło po dziecięcej głowie,
Że mądre teologi, uczeni skrybowie
Doszli w Twoich wyrokach przez pracę mozolną,
Że chcąc być doskonałym, człekiem być nie wolno,
Że trzeba skazać serce na kleszcze i noże,

Gdy się uczuć człowieczych odprzysiądz nie może.
Skąd ja to mogłem wiedzieć, nieuczone chłopię,
W mej wiosce Barańczyckiej? — pomnisz ją Prokopie?
Pomnisz, jakeśmy razem, swawolnicy mali,
Klejonego latawca na sznurze puszczali?
Och! leciał w górę papier ze skrzydły smoczemi;
Lecz chyżej dumka moja rwała się od ziemi,
I swobodniej niż owa latająca żmija
Śmiało się po Niebiosach i ziemi uwija!
To sobie wyobrażam, żem zefir swawolny,
To się z chmurką pokłócę, to kwiat zerwę polny...
Tak dziecię sześcioletnie kiedy hasam śmiele,
Już mi ojciec zakupił dostojność w kościele,
I w szkole między żaki zaszczyt mi się czyni,
Żem Pleban i Kanonik Przemyskiej świątyni.
I wiary i łaciny, którą dzisiaj gwarzę,
Uczyli mię w Przemyślu ruscy bakałarze.
Pod ich okiem, namiętne do nauki dziecko,
Łapczywie piłem mądrość i rzymską i grecką.
Tam żyłem z Homerową rycerską drużyną,
W Horacym pokochałem dziewice i wino,
Tam rozogniałem usta Cycerońską frazą,
Tam mi serce rozłechtał Owidyusz Nazo.
A gdy mi biły pulsa jako morskie fale,
Kazano zostać zimnym i czytać we Mszale.
Oblegli mnie duchowie i biali i czarni;
W książce szukałem Nieba, szukałem męczarni,
I toczyłem sam w sobie dzikich walk tysiące.
Owdzie zimna rozwaga, owdzie serce wrzące
Ścierały się morderczo w głębi mego ducha.
Patrzę na krzyż — i stamtąd przyszła mi otucha,
I ślubowałem Panu uroczyste wota,
Nie odpocząć, aż trafię na prawdy żywota.

II.

Skończyłem lat czternaście. Mój ojciec w tym czasie
Z handlownymi Ormiany, w kupieckiej kolasie,

Wyprawił mnie do Niemiec, z niepłonną nadzieją,
Że ocean mądrości w moją głowę wleją.
Marzyłeś, zacny starcze! marzyłeś radośnie,
Że i Polsce ode mnie zaszczytu przyrośnie,
I ty dojdziesz pociechy na zgrzybiałe lata,
Że syn twój będzie mędrzec na podziw u świata,
Arcybiskup Gnieźnieński i Prymas koronny...
O! znikły twe rojenia, jak meteor płonny!
Bo k' ziemskim dostojnościom trzeba zimnej głowy:
Ja mam serce szaleńca i polot orłowy,
Nie umiem kłamać cnoty, w którą się nie wierzy,
Rzucać klątwy na bliźnich lub więzić kacerzy.

Niesforne moje serce i mój umysł bystry
Wittemberskie doktory, wiedeńskie magistry,
Świadomi co się dzieje na ziemi i w Niebie,
Jęli kształcić i łamać każdy wedle siebie,
I każdy, wznosząc księgę okurzoną pyłem,
Wołał: Do mnie, młodzieńcze! ja prawdę odkryłem!
Ja biegłem, porzucając spoczynek i jadło,
Z pokarbowanem czołem i z twarzą wybladłą,
I patrzałem ze skrytym niepokojem łona,
Jak na skinienie Lutra germańskie plemiona,
Szarpając pisma Rzymu z zajadłością wściekłą,
Wyzywały do walki i Niebo i piekło.
Od Elby aż do Renu rwąc się z całą mocą,
Jednym śmiechem szyderczym narody chychocą,
Krzycząc, że teraz światło prawdy się wyjaśni,
Że potargano siatkę przesądów i baśni.
Patrząc w oczy człowieka, co te cuda tworzy,
Rzekłem sobie: Zaiste! ten jest Prorok Boży!
A prorok mnie pokochał uprzejmością chętną
I namiętnie rozżarzał mą duszę namiętną.
Mawiał do mnie: Młodzieńcze! sądzono-ć zaiste,
Byś, jak Jędrzej Apostoł, światło wiekuiste
Zaniósł na Słowiańszczyznę — śmiało jeno, śmiało!
Ostrz twe pióro, by zwalić starzyznę spróchniałą!

Święta księgo żywota, o Biblio wzniosła!
Do twych kart uroczystych dusza mi przyrosła:
Badałem twoją mądrość i twój duch proroczy,
Aż mi krwią, aż mi ciemnem zabiegały oczy;
Upajałem się tobą, ile głowa zmieści,
I doszedłem... że miłość to treść twojej treści.
I poczułem zgryzotę, kiedy wzrok mój pada
Na twarze Melanchtona, Lutra, Karlostada:
Bo po hardych obliczach znać co w piersiach żywie —
Świętą cechę miłości zatarli troskliwie,
Żółcią, nie zaś balsamem ich serce oddycha,
Na ustach złorzeczenie, a na czołach pycha.
Wzdrygnąłem się, uciekłem ze ściśnioną duszą.
O! Prorocy Chrystusa nie tacy być muszą!
Do Rzymu! hej, do Rzymu spieszmy lotem ptaka!
Kędy następca Piotra, świętego Rybaka,
Sługa sług Chrystusowych błogosławi rzeszy —
On mnie prawdy nauczy, z kacerstwa rozgrzeszy.

III.

Więc rzekłem: Bóg was żegnaj, swarliwi mistrzowie!
I w pokutnej włosieni, z popiołem na głowie,
Szedłem do ziemi włoskiej. Lecz tam z całą siłą
Powietrze zaalpejskie krew mi rozogniło:
Bo oczy włoskich dziewic i auzońskie klima,
Choćby pielgrzym był z głazu, roztopią pielgrzyma;
Choćby szedł do spowiedzi — tak mu kochać chce się,
Że więcej jednym grzechem do Rzymu przyniesie,
Jeśli miłość jest grzechem. Grzech ciężki! grzech srogi!
Mówiły mi klasztorne stare teologi...
A owo serce gore... i mój spokój płoszy,
Szarpane zgryzotami, pijane z rozkoszy.
Pomnę, chciałem je zdrętwić w modlitwie i pracy,
A padewski Bonamik, wenecki Egnacy,
Mistrzowie sławni w świecie, memu sercu mili,
Być zimnym a rozważnym szaleńca uczyli.
Chcieli zagasić wulkan — o pożal się Boże!

Nie każdy zimno czytać i modlić się może.
Bóg rzucił w piersi moje gorejącą głownię:
Gdy czytam, to namiętnie, — modlę się, gwałtownie, —
Kiedy kocham, precz z myśli cała mądrość ziemi, —
A kiedy pokutuję, to łzami krwawemi!
Nie pytaj — czy mi dobrze z tak dziką naturą,
Nie zazdrość — że u świata głośne moje pióro,
Które we krwi gorącej napawam, gdy piszę.
Precz mi z bolesną chwałą!... dajcie mi zacisze,
Dajcie mi pokój duszy! uleczcie z rozpaczy!...
Uśmiechasz się Prokopie?... ja wiem, co to znaczy:
Szydzisz w myśli, że cierpię, że dręczę się marnie!
Och, nie usarskiem sercem pojąć te męczarnie!
Stanisławie! — rzekł Prokop — ale sercem brata
Można pojąć, jak serce braterskie kołata.
I spółboleć i pomódz, gdy jest jaka rada.
Mów dalej — twoje słowo nie na kamień pada.

IV.

Orzechowski podumał i tak dalej mówi:
Z Padwy z kijem pielgrzyma szedłem ku Rzymowi.
I w Rzymie myśli moje darły się na poły, —
I Watykan poważny i Tyber wesoły.
Tam kapłan siwobrody odzywa się śmiele:
Upadnij na kolana i kórz się w popiele!
Tam rozkoszny Horacy inną piosnkę śpiewa:
Chodźmy pomiędzy mirty i oliwne drzewa!
Na zielonej murawie, w rozkosznem Tivoli,
Wartoż wkońcu zapomnieć, że nas serce boli!
Nalej pienistem winem twą czarę głęboką,
Graj w struny i opiewaj dziewę czarnooką!
Młodzieńcze! gdzie tu przylgnie twoje serce szczere?
Czy piosenka miłosna, czy Psalm Miserere
Bardziej ci wstrząśnie duszą? Lecz cel twój wytkniony:
Nie dla pieszczot miłosnych przybyłeś w te strony!
Mówcy grzmią z kazalnicy, a każdy im wierzy,
Że uczucie młodzieńcze to wymysł kacerzy.

Że serce winni zdławić ludzie prawowierni,
I że niemasz zbawienia krom krzyżów i cierni.
Więc kiedy pomrok uczuć upajał mi głowę,
Liczyłem je za grzeszne natchnienie Lutrowe
I przepędzałem noce bezsenne a łzawe,
Mówiąc Psalmy pokutne.
Lecz w świętem konklawe
Są Kardynali mądrzy a pełni zalety,
Młodzieńczy Kontarini, stary Spanoletti,
Ludzie, co sami żywot Chrystusowy wiodą,
Co brzydzą się jak śmiercią kacerską swobodą,
A przedsię od tych mężów słyszeć było można,
Że krzywi słowa Pańskie gorliwość pobożna,
Żeśmy ryglem zamknęli podwoje do Nieba,
Że i w kościele Bożym reformy potrzeba,
Że przyjdzie czas, gdy kapłan będzie mógł bez winy
Zostać zacnym małżonkiem i ojcem rodziny,
Obywatelem kraju i bratem swych braci.
O męże, darem Ducha świętego bogaci!
O książęta Kościoła! czołem biję, czołem!
Z ust waszych promieniściej Chrystusa pojąłem:
Że Bóg nie kazał sercu zadawać katuszy,
Pastwić się fanatycznie nad uczuciem duszy,
I nie przeklął miłości; że chcąc poznać Pana,
Nie chodź między kacerze, owieczko zbłąkana,
Bo rzymski dobry pasterz Piotrowej owczarnie
Twe zwątpienia rozproszy, twe rany przygarnie.
Tak, — mawiał Spanoletti — wiem, że Paweł trzeci
Jest Ojcem miłosiernym Chrystusowych dzieci,
Co związano, rozwiąże w upatrzoną porę,
Jeno zbrojni we skruchę i świętą pokorę
Módlmy się...

V.

Takiej mowy słuchałem ochoczy,
Prysnął kamień zwątpienia, co mi serce tłoczy;
A kiedym po raz pierwszy odetchnął swobodnie,

Przysiągłem, że ich słowa czynem udowodnię.
Domownik Kontarinich, Farnezich pieszczota,
Dostojności kościelnych otwarte-m miał wrota:
Więc marzyłem, że kiedyś w ojczystym kościele
W obronie Chrystusowej odezwę się śmiele;
Że Bóg brzydzi się wkładać kajdany na serce.
Choćby wołał fanatyzm: Ukrzyżuj bluźniercę!
Niechaj na mnie kamieńmi albo błotem ciska,
Zniosę gminu obelgi i urągowiska;
A choćby przyszło jaśnieć w Biskupiej tyarze,
Wstąpię we ślubne związki, jak mi serce każe.
Dowiodę i przysięgnę, choćby wobec krzyża,
Że godności kapłańskiej mój ślub nie ubliża,
Że niedość po łacinie szargać Pańskie słowo,
I swarzyć się ząb za ząb o wiarę Lutrową,
Albo o dziesięciny. Nie próżnować marnie,
Lecz wszczepić się miłością w serce swej owczarnie,
Dać jej wzór, doskonałość jako się dościga,
I ocierać pot krwawy, kiedy krzyż swój dźwiga,
I dopomódz dźwigania — to święciej daleko,
Niż z bukowym różańcem i chmurną powieką,
Z lodowatemi pierśmi, w doktoralnej todze
Dać aniołowi pychy wyolbrzymieć srodze.
Głos ten trafi do Rzymu — a wtedy swą władzą
Apostolskie wyroki słuszność mi oddadzą,
A żmija fanatyzmu, co mię zdławić życzy,
Z pod ziemi chyba klątwy pobożne wysyczy.
Śmiało goniłem w myślach na ów bój zajadły;
Lecz gdy przyszło do czynu — ręce mi opadły!
Zląkłem się, żem ułomny przed obliczem Pańskiem,
Uciekałem przed świętym chryzmatem kapłańskim,
Aż zbadam, aż uzacnię głąb mojego łona.
Lecz łódź mego żywota na szturmy sądzona
Nie mogła w cichym porcie zawinąć swych żagli.
Ojciec woła mię z Rzymu, zaklina i nagli,
Ażebym powróciwszy do ojczyzny skoro,
Został domu i braci jedyną podporą,

I wykonał kapłańskie niezmazalne śluby,
I zajął wsi kościelne, co pełen rachuby
Ojciec dla mnie wyjednał. Tak się los mój kończy:
Z tytułem Kanonika, lecz w świeckiej opończy,
Mędrszy kilku myślami, starszy kilku laty,
Powitałem na Rusi ojczyste Penaty.
A gdy w myślach rozważam mą przyszłość niepewną,
Mój ojciec się oburzył i tak mówił gniewno:

VI.

Hej! przyniosłeś od Włochów snadź rozumu siła!
Lecz pomnij, że twa mądrość nasz dom przygubiła;
Cośmy mieli w klejnotach, w sprzętach, w gotowiźnie,
Przejadłeś na łacinie i mądrej greczyźnie;
Nie na tom cię we Włoszech obsypywał złotem,
By twa mądrość na Rusi zakwitła blekotem,
Ażebyś owinięty w twojej chwały tęczę
Strzelał w głowy prostaczków sofizmy szaleńcze;
Lecz raczej, abyś kształtem palmy lub jabłoni,
Co owocem nakarmi a liśćmi przysłoni,
Wsparł zubożałych braci i dom co upada;
To obowiązek cześci. A biada ci, biada!
Jeżeli cześć domową podasz ku zatracie!
Ja o wioski kościelne starałem się dla cię,
Ty musisz być kapłanem i wzmocnić twe prawa;
Już mi i tak ksiądz Tarło spokoju nie dawa
I obsyła pozwami, żem przed kilku laty
Zagarnął na twe imię kościelne intraty.
Mądry ksiądz! lecz i moja wedle kształtu głowa!
Jutro, chłopcze, bądź gotów: na wóz i do Lwowa!
Tam zacny Arcybiskup wesprze nasze chęci,
I chryzmatem kapłańskim twe czoło poświęci,
A wtedy, księże Tarło, choćby walczyć z piekłem,
Probostwo żórawnickie...
Mój ojcze! — wyrzekłem:
Lecz mi się w biednej głowie co innego marzy;
Ze drżeniem przystępuję do Pańskich ołtarzy,

Tysiące wątpliwości w sercu skołatanem...
Straszno mi... mógłbym zostać niegodnym kapłanem.
A więc pozostań godnym! — mój ojciec ofuknie: —
Bierz przekleństwo ojcowskie, albo księżą suknię,
Jedno z dwojga... rozumiesz?!! wyrok się nie cofa,
Lub w łachmany opadnie toga filozofa,
I spokornieje harde mądrością oblicze:
Bo jeśli nie usłuchasz, wnet cię wydziedziczę!

VII.

Daremnie się przekłada, daremnie się błaga;
Twardą była nad dzieckiem ojcowska powaga.
Pojechałem do Lwowa, widząc opór marny,
I poszedłem przed ołtarz, jak cielec ofiarny,
I tam Piotr Starzechowski, Arcypasterz siwy,
Namaścił mnie kapłaństwem na bój nieszczęśliwy,
Który staczam codziennie, jako szermierz dziki,
Z własnem gorącem sercem, z zimnemi zwierzchniki
I z przesądami świata. Owdzie motłoch głupi
Rozjątrza księdza Tarły fanatyzm Biskupi;
Owdzie pasterz przemyski gwoli urągania
Z żórawnickiej świątyni gwałtem mię wygania
I ramieniu świeckiemu na igrzysko poda;
Tam nikczemny Odrowąż, ruski wojewoda,
Rad się pastwić bezkarnie, kiedy zręczność baczy,
Nasyła w dom mój woźnych, pijanych siepaczy.
Biegłem po sprawiedliwość do powagi starszej,
Przed stolicę Prymasa, i przed tron monarszy,
I na zjazdy szlacheckie, i w izbę senatu,
I wygrałem mą sprawę, i polskiemu światu
Dałem poznać me imię...
Nastąpił zgon Tarły:
Wstąpił po nim Dziaduski — i sprawy umarłej
Nie wskrzeszał, choć radzili prześladowcy dzicy;
Zostawił mnie spokojnym w mojej Żórawnicy.
I przecię odetchnąłem serdecznym spokojem

Z Panem Bogiem i z księgą i z łańcuchem moim;
Choć go potargać w sztuki czułem się na sile,
Lew odpoczął po walce i zadrzemał chwilę.

VIII.

Dziękuj Bogu, Prokopie, za rycerskie życie:
Bo cóż tam, że z Tatarem na ostre gonicie?
Liczysz zwycięskie szczerby na twojem żelazie;
Choć cię wrogi zwyciężą, to w najgorszym razie
Głowę mieczem a serce oszczepem rozsieką,
Przynajmniej możesz skonać — lecz straszniej daleko,
Gdy człowiek sam ze sobą w dzikiej walce zgrzyta:
Tam i serce rozdarte, i głowa rozbita,
I zwycięstwo niełatwe, i skonania niema —
Tylko bohater ducha tę walkę wytrzyma!
Ja, ognisty młodzieniec, nad księgi zimnemi,
Wysysałem z nich życie, rwałem się od ziemi.
Ty nie znasz tego szczęścia wśród gwarnych usarzy,
Gdy się młody samotnik zaczyta, zamarzy
I przyrośnie do księgi, jak gdyby jej karta;
Ale nie znasz męczarni, gdy dusza, wydarta
Z krain zmarłego świata żywych uczuć szuka.
Szczebiotliwa jaskółka gdy w okno zapuka,
Słowik, co swej jedynej pieszczotliwie gwarzy,
Tak mu duszę rozwiośni, tak mu krew rozżarzy,
Tak pragnieniem miłości rozkołysa głowę,
Że chętnie własne serce darłby na połowę,
Byle dzielić się sercem... Niechajże niebacznie
Niesfornemu duchowi folgować coś zacznie,
I na licach dziewiczych spojrzenie popieści,
I wda się w szczebiotliwy rozhowor niewieści, —
Zgubiony!! bo rozognił płomienistą ranę,
Zgubią go sny tęczowe i myśli jutrzniane...
Ginąłem! — a tu przesąd i oko i ucho
I serce kazał wiecznie zakować na głucho,
I prawa kanoniczne przede mną rozwija,
I szepce, że łańcuchem skuta moja szyja.

Potargałbym przesądy, zagrzmiałbym do tłumu
Słowy Spanolettego, słowami rozumu,
I otworzyłbym piersi na uczuć powaby;
Lecz wstyd samego siebie, żem zanadto słaby.
Więc porwałem za pióro z tajemnej nadzieje,
Że wicher piśmienniczy głowę mi owieje,
Że gdy poczną mię czytać i wielbić ciekawi,
Próżność insze uczucia w mych piersiach zadławi.
Och! nie zadławić serca oratorskim szałem:
Miłość nie zaginęła — lecz sławny zostałem;
Bo miłość kiedy wstrząśnie człowieczą budową,
Myśl jego potężnieje, rozpala się słowo,
I do serca bliźniego jako piorun grzmoce.
Świetne były mej pracy piśmiennej owoce.
Rozbiegły się po całej sarmackiej przestrzeni,
Czytali je prostacy, czytali uczeni,
A oklask, co rzęsiście w moją cześć wybucha,
Przyświadczał, że rodakom trafiłem do ducha.
Turczyn wtedy plondrował Węgierszczyznę biedną
I wzrokiem bazyliszka pasł Polskę sąsiednią.
Jam był szlachcic, więc rycerz, a choć miecza niema,
Cisnąwszy ostrzem pióra — zachwiałem olbrzyma,
I wróżyłem Sarmatom, że mu czoło przetną,
Gdy zmienią rozpacz podłą na rozpacz szlachetną.
Tam głosem świętych przodków mój głos do nich woła,
Tam jękiem żon i dziatwy, tam w imię Kościoła,
Bohaterskim zapałem zatrząsłem ich łona,
I rzuciłem, jak tuszę, nie marne nasiona.
Czytano me Turcyki w uniesienia gwarze,
Tłoczyli je krajowi i obcy drukarze,
A świat mnie Demostenem łacińskim nazywa,
I Cyceronem polskim... Ej, nie wielkie dziwa,
Że człek, pełen miłości i dzikiej rozpaczy,
Wymowniejszy od greckich i rzymskich gadaczy!

IX.

Więc puszczam w lot piorunu me pióro zażarte,
I co tylko wre w sercu przenoszę na kartę,

Polska musi mnie czytać rada czy nierada.
Czy to naród na sejmie swe klęski przekłada,
Ja z odkrytemi pierśmi wychodzę widomie,
Zdzieram maskę ze zdrajców i zbrodniarzy gromię;
Czy to pożegnał żywot nasz monarcha stary,
Ja w ostatecznym hołdzie poddańczej ofiary
Składam na jego trumnę podarek grobowy,
Wieniec pochwał uwity serdecznemi słowy;
Czy gdzie kacerz wypuści z niemieckiej zasadzki
Na zgruchotanie Rzymu swój grot świętokradzki,
Ja spieszę zdeptać hydrę, jak powinność woła,
Jako prawy walecznik Pańskiego Kościoła.
Ale choć duch i ciało w ustawnej rozterce,
Wciąż cypryjska bogini rozpala mi serce;
Więc rzekłem: Grzech być dłużej pastwą tych płomieni,
Bo się zapał niewinny w zbrodniczy zamieni;
Pójdę za głosem serca, bo piekło zwycięży! —
I napisałem księgę O małżeństwie księży,
I puściłem ją na świat między ludu rzesze:
Niech się pastwią pobożni — ja wiem, że nie zgrzeszę!

X.

Ciekawie moje pismo z rąk do rąk chwytano,
I jak głownia rzucona na strzechę słomianą,
Zażegło całą Polskę — i już pożar płonie.
Zadrżał Biskup Dziaduski na przemyskim tronie;
Jednak władzę pasterską chcąc okazać światu,
Wezwał mnie do podnoża swego majestatu.
Stanąłem... brew najeżył... chciał mnie skarać pono;
Lecz ze mną Pismo Boże i przyjaciół grono —
Więc zmieszany, że idę z wiarą i otuchą,
Chciał wyklinać, lecz tylko zająknął się głucho.
Na wiszniańskim sejmiku znów badał mą sprawę,
Czy doprawdy mam złamać bezżeństwa ustawę?
Mimo klątwy kościelne, mimo zbrojne straże:
Tak jest! — odpowiedziałem — bo sumienie każe.
Więc mnie pismem przypozwał stanąć na swym dworze,

Mniemając, że się zlęknę, że się upokorzę;
Lecz ja na jego pozwie, wśród szlachty okrzyku,
Powtórzyłem to samo, com rzekł na sejmiku:
Żem winien posłuszeństwo nie ludziom, lecz Panu,
I podpisałem pismo: „intrepida manu.“
Słyszałem, że rozjątrzon chce się mścić nade mną
I pojmać, i osadzić w ciemnicę podziemną.
Ho! ho! księże Biskupie, skoryś do napaści;
Może i pan Odrowąż dopomógłby waści
Wojewodzińską strażą — tylko trudna rada,
Bom ja szlachcic herbowy, mnie sądzić wypada!
Nie da sądzić na rozkaz pana wojewody,
Ze mną szlachta w obronie swej własnej swobody,
Nie tylko swe miecze, lecz gardło gotowa —
Mamy powagę sejmu: jedźmy do Piotrkowa!
Obaczym, co powiedzą posłowie i radni,
I czyja się prawica z gromów obezwładni!

XI.

Tu się Prokop zapytał prędko i ciekawie:
Jakto? więc ty małżonkę pojmiesz, Stanisławie?
A twojaż głośna chwała? a stan-że twój święty?
Lecz prawda... tu ksiądz Marcin, owdzie ksiądz Walenty
Wzięli żony i ścieżkę ukazali tobie.
I przeszli do kacerzy!... ja tego nie zrobię! —
Zawołał Orzechowski, drąc szatę z szelestem; —
Pójdę za głosem serca i będę czem jestem...
Rozumiesz?... tem, czem jestem! Klnę się wobec Nieba,
Że sofizmów kacerskich dla mnie nie potrzeba
Że w mych piersiach goreje żarliwość pobożna,
Że z Marcinem Krowickim równać mnie nie można,
Bo to żmija wylęgła w kacerskim bezwstydzie;
Takim ludziom o prawdy żywota nie idzie,
Jest to wilk w owczej skórze, miękki sybaryta!
A przecież, Stanisławie — znowu Prokop spyta, —
Mówiono, żeś go kochał i bronił jak dziecko
Przed zawziętą powagą duchowną i świecką;

Mówiono, że w Krakowie, kiedym był na wojnie,
Przed księdzem Maciejowskim stanąwszy dostojnie,
Broniłeś Krowickiego bohaterskiem czołem?...
Broniłem — rzekł Stanisław, — aż sam zaginąłem,
Bo odtąd mnie obsiedli ludzie nienawistni.
Tak było: ksiądz Krowicki był Plebanem w Wiszni;
Jam go przyjął, gdy stamtąd kacerza wygnano,
Jam mu ślub błogosławił ręką niezachwianą;
A gdy był prześladowan, ja w kornej postaci
Kołatałem do panów i do szlachty braci,
Polegałem na silnych przyjaciół drużynie:
Oleśnicki w Pińczowie, a Chełmski we Lścinie,
A Rej w Nagłowskiej wiosce — to moja podpora;
Więc od miasta do miasta, od dwora do dwora
Jeździłem, przekładając Krowickiego nędzę
I prosząc o opiekę.
Ach! w tamtej włóczędze
Zginęła mego serca chwilowa swoboda:
Przebodła mię spojrzeniem czarodziejka młoda,
Że już wskrzesnąć nie mogę — we śnie i na jawie
To spojrzenie urocze klnę i błogosławię...
Lecz pocóż mam zatajać me uczucia rzewne?
Wszakże i nasze rody i serca pokrewne.
Prokopie, tyś towarzysz dziecięcej swawoli,
Przed tobą można wyznać, jako serce boli.
Więc słuchaj...

XII.

Gdzie? nie powiem, — w Krakowskiem to dosyć,
Przybiegłem o opiekę nad Krowickim prosić.
Gospodarz postać zacna i w kraju znajoma;
Ale kiedym przyjechał, nie było go doma,
Bo posłował od szlachty na krakowskim sejmie.
Więc młoda synowica wdzięcznie a uprzejmie
Zabawiała przybylca — który do tej chwili
Pamięta każde słowo, cośmy tam gwarzyli,
I każdą grę rumieńca, co kraśnieje falą,
I każde mgnienie oczu, co jak słońce palą.

Czy ona była piękną?... któż to wiedzieć może?
Insze jest piękno ludzkie, insze piękno Boże!
Ludzie mają prawidła dla kształtów, dla twarzy,
I opisali piękność jak szperacze starzy,
Co opisują w księgach dokładnie a wiernie
Garnek wynaleziony gdzieś w rzymskiej cysternie.
Lecz piękność, tchnienie Boga, odcisk jego myśli,
Grzech temu kto określa — i nikt nie określi.
Ona nie była piękną wedle piękna ziemian:
Oczy modre jak Niebo i zmienne naprzemian
Jako Niebo sarmackie — to pogodą błyśnie,
To się chmurką zasępi niby nieumyślnie,
To poważnym obłokiem cała się ogarnie,
To promykiem słonecznym wystrzeli figlarnie.
Niechże mi to określi twoja myśl bogata!
Określ mi tę purpurę, co po licach lata,
I tę postać Dyany, co skromna jak dziecię,
Co nie wie, że bogini, a króluje przecię,
Co dziwi się, gdy przed nią zdumieni uklękną...
Nie nam... nie nam, Prokopie, określić to piękno!
To nie rzeźba z marmuru, tu snadź bije łono:
A znurtować myśl Bożą nie ludziom sądzono,
Jeno czołem uderzyć...
W rozmowie nam płynie
Godzina w jednej chwili, cały dzień w godzinie.
Mówiłem jej o Włoszech, o mojej podróży;
Pytała mnie o Rzymie: czy tam kościół duży?
Czy Papież siwobrody? czy po polsku mówi?
Czy nie byłem na Etnie, idąc ku Rzymowi?
Czy straszno, kiedy ognie wulkaniczne gorą?
Czy pięknie, gdy się Włoszki w Niedzielę ubiorą?
Jak tłomaczyć na polskie chrzestne ich imiona?
Czy wszystkie takie chytre jak królowa Bona?
I dalszych pustych pytań rzucała mi krocie —
Że poważny teolog był przedsię w kłopocie.
Chociaż Polska mię swoim Cyceronem zowie,
Dałbym pokój mej chwale i mojej wymowie.

A jeszczebym się Bogu pomodlił sowicie,
Żeby w tak słodkiej bredni spędzić całe życie...
Nad wieczór stryj sędziwy powrócił z podróży.
Ona wybiega... wita... ochoczo mu służy,
I pieści się u kolan siwego brodacza,
I pancerz mu odpina, i krzesło wytacza,
I ognisko nanieca, i puhar nalewa.
A kiedyśmy przy ogniu suszonego drzewa
Jęli ze starym gwarzyć, kiedy z całą siłą
Biedny stan Krowickiego jasno się skreśliło:
Jako folgując serca niezłomnej naturze,
Wywołał piorunową fanatyzmu burzę,
Jak nań klątwy ciskają, jako w jednej chwili
Jego chleb mu wydarli i w nędzę wtrącili,
Że jeśli nikt tułacza nie wesprze opieką,
To go kędyś w nieznaną ciemnicę zawleką, —
Stary obiecał pomoc, ile starczy siła.
A ona pilno słucha... i czoło zakryła.
Och! widziałem i dobrzem zachował w pamięci,
Jak święta łza spółczucia w jej oczach się kręci!
Zadrżałem i przysiągłem, choć piekło się zbudzi,
Że jej rękę i serce wywalczę u ludzi.
Ja dochowam przysięgi!
Prokop zbladł jak ściana;
Trzęsie się w jego uściech mowa przerywana.
Stanisławie! — zawołał rwąc się niecierpliwie —
Powiedz mi... jak się zowie?... i gdzie ona żywie?...
Gdzieś widział?... gdzieś pokochał tę cudną boginię?...
Mów!... Bogiem cię zaklinam!
Ot tutaj, we Lścinie,
W domu pana Chełmskiego — on pewnie ci znany...
Lecz ty zbladłeś, Prokopie?
Bom dziś niewyspany...
Mdło mi... słabo... nie troszcz się... o porannej porze
Wyjdę sobie do lasu... tam rzeźwiej na dworze.
I prędko przywdział pancerz... i wybiega z chaty;
Za chwilę mignął w oknie jego strój bogaty:

On na koniu — a rumak już tętni w kopyta;
A harcerz głownię miecza zapalczywie chwyta;
Twarz jego płomienista, oko zaiskrzone...
I poleciał... Od krzyża wziął się w lewą stronę
I znikł we mgle porannej. Ot wróg twojej sprawie:
Snadź mu trafiłeś w tętno, księże Stanisławie!
Nie darmo tak poleciał, tak gniewno się miota...
Och! spotkacie się jeszcze na drodze żywota.

PIEŚŃ CZWARTA.

* *
*

I.

Pobożny czytelniku, jeśli ci się zdało,
Że Kanonik przemyski targa się za śmiało
Na kościelną powagę, że niezbyt uległy
Z nietykalnej świątyni wyłamuje cegły,
Aby krom wielkiej bramy, kędy lud się tłoczy,
Otworzyć dla się małą furtkę na uboczy, —
Przepuść mu, bośmy ludzie ułomni, niestety!
I nie rzucaj kamieńmi na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali.
Nie mierzmy starych czasów wedle nowej skali.
Insza dziś, a inaczej bywało na świecie
Po narodzeniu Pańskiem w szesnaste stulecie.
Wtedy Kościół Piotrowy podmywała fala,
Wtedy ogniem potężnym ołtarz się wypala.
Lecz jeno nabrał hartu w tej dwoistej probie:
Więc z błędów staroświeckich nie gorszmy się sobie.
A jeśli, gdy czytacie, gorycz was przenika,
I serce zakipiało, i żal Kanonika,
Nie wstydźcie się tych wzruszeń, czytelnicy młodzi!
Nad boleścią bliźniego zapłakać się godzi —
I wedle praw kościelnych grzechu za to niema.

Lecz za zbiegłym Prokopem puśćmy się oczyma,
I wyprzedźmy go myślą, co mknie bez zawodu,
Do stolicy Jagiełłów, do Krakusa grodu.
Król w mieście — więc krakowskie otworzyste wrota
Pilnuje z halabardy węgierska piechota,
A nudząc się na warcie o porannej dobie,
Piosenki naddunajskie wyśpiewywa sobie.
W miarę dnia coraz gwarniej, i ludność urasta,
Piesi, konni, wozowi, do miasta i z miasta,
A każdy spieszno dąży, a cała gromada
Po łacinie, po polsku, po niemiecku gada,
Jak niegdyś robotniki przy wieży Babelu.
A strojów ani zliczyć w przemianach tak wielu:
Atłas, szkarłat, żelazo, migają co chwila,
Jak ubarwione pręgi na skrzydłach motyla;
Złoto iskrzy jak słońce na szlachcie i panach,
Żydowie w żółtych czapkach i czarnych żupanach,
Rycerstwo po hiszpańsku lub tatarską modą,
Tamten z sowitym wąsem, ten z trefioną brodą.
Owo pałasze brzęczą po bruku kamiennym,
Grzmią wozy, miasto kipi swoim ruchem dziennym.
Patrzaj jeno po murach: oto wzrok uderza
Łazarzowa drukarnia, dalej kram płatnerza;
Dalej w pielgrzymskim płaszczu przedaje dziad stary
Częstochowskie obrazki, tam włoskie towary;
Owdzie żaki uliczne i szkolne studenty
Klecą szopkę tarciczną na dyalog święty.

II.

A owo ponad wroty na bielonej ścianie
W allegorycznej myśli jakieś malowanie:
Sowita gałąź chmielu wyrasta od ziemi,
Z pokręconemi wąsy, z liśćmi olbrzymiemi,
A na szerokich liściach, jak to bywa w sadzie,
Przyczepił się rój pszczelny w niemałej gromadzie.
Pięknież to mieć naukę! Ot naród prostaczy
Patrzy, a nie rozumie, co ten obraz znaczy?

Ale szlachta uczona, toć łacno zgadywa,
Że tutaj można dostać i miodu, i piwa.
Tu piwo niepoślednie łechce smak człowieczy,
Warzy je sam gospodarz i zna się na rzeczy;
Prawda, że i pułtuskie hańbie się nie poda,
A brzezińskie klarowne i gęby nie szkoda,
I sądeckie poszóstne wyśmienite bywa, —
Ale u Piotra Czopka toć piwo nad piwa.
Cóż za dziw, że p o d C h m i e l e m pełno na gawędzie?
Muzyka w dzień i w nocy na piszczałkach gędzie,
Dodawa dobrej myśli, rozwesela gości,
A świat ten — prawdę mówiąc, to próżność próżności.
W dzień jeszcze mało szlachty, lecz gdy noc się sczerni,
Tam panowie usarze i młodzi pancerni
Uwijają się gwarno, brząkając pałaszem;
Nawet Jan Czarnolaski z Górnickim Łukaszem
Niekiedy tu zachodzą osłodzić swe losy —
A wesół starzec Gąska, Slasa wielkonosy
I wąsaty Mateusz i Jost ryżobrody
Na dzień dwakroć i trzykroć zajrzą do gospody.

III.

Jasne lipcowe słońce rozżarza się cudnie,
Wielki dzwon katedralny ogłosił południe,
Gdy szukając w gospodzie usarskiej gromady,
Wbieżał Prokop Zaręba pochmurny i blady,
I obrzucił spojrzeniem całą ciżbę gości.
Czy nikogo z rycerstwa nie masz u waszmości?
Wszak tutaj się usarze schodzą ku zabawie? —
Spytał u gospodarza. Pan Czopek ciekawie
Popatrzał na Prokopa i ramiony ściska;
Lecz pan Gąska nad konwią siedzący z poblizka,
Otarłszy siwe wąsy z szumiącego piwa,
Jako rad pobłaznować, głośno się odzywa:
Hej! nie znajdziesz tu waszmość swoich towarzyszy;
Usarstwo siedzi w kątkach jako rude myszy,
Lub śpiewa po kościołach pokorne błaganie:

Od hetmana i wojny zachowaj nas, Panie!
Bo hetman jest w stolicy, rozumiesz jużci,
Że stary Jan Tarnowski płazem nie przepuści,
I karze bez litości choćby w oczach króla,
Kiedy huczne rycerstwo po gospodach hula.
Dziad wiekuiście fuka jeden groźny śpiewek:
A wara od szklenicy! a wara od dziewek!
A zbroja czy błyszcząca? a przeharcuj pięknie!
A złóż się rohatyną, boć ręka rozmięknie!...
A kiedy się nasroży, jak lew jeży grzywą!
Czy tak, mości usarzu? — rzekł Gąska złośliwo.
  Tak — odpowiedział Prokop — jeno się dziwimy,
Że hetman, co w Tarnowie miał bawić do zimy,
Tak prędko do nas wraca.
                                        Pilno coś na dworze,
Pan od swojego boku puścić go nie może,
Boć to filar ojczyzny, co się tak kołysze.
Ksiądz Biskup Maciejowski dogorywa słyszę;
Król postrzegł, że swobodna od gderania głowa,
Przeraził się i posłał po hrabię z Tarnowa.
  Jakto? — spytał Zaręba — więc waszmość mówicie,
Że Maciejowski chory? że jest strach o życie?...
  Ho! ho! — zawołał Gąska — tu się coś wywiąże.
Wszak to Biskup krakowski i siewierski książę,
Kanclerz wielki koronny — niebezpiecznie chory.
Więc Biskup i wszystkie świeckie senatory
Spieszą tu na wyścigi w najgorliwszej chęci
Prędzej zagarnąć spadek mitry i pieczęci.
Świeckich łechce kanclerstwo, więc patrz co się zbiera
Magnatów polskich, ruskich, pruskich e t c a e t e r a!
Zapomniawszy na sejmie o minionej burzy,
Każdy panu pochlebia a uprzejmie służy.
A owo patrz, Biskupom jako się podoba
Krakowskiego pasterstwa i cześć, i ozdoba,
I Siewierskiego księstwa monarchiczna władza!
Jeden króla pobożnie w świątyni okadza,
Drugi chce pokłonami podejść towarzysze,

Ów łacińskie kameny na cześć jego pisze.
Wszyscy tłoczą się społem do komnaty pańskiej.
Zebrzydowski, Przyrębski, Dziaduski, Uchański
Okazują monarsze swą chęć nieobłudną;
Ha! ale w tych pokłonach dopatrzyć nie trudno,
Że futrem lisowatem ich toga podszyta.
Więc waszmość jesteś pewien — znowu Prokop spyta —
Że Ksiądz Biskup Dziaduski jest w stołecznym grodzie?
Pewien jestem — rzekł Gąska — ot tutaj w gospodzie
Jakiś szlachcic sierdzity dziś językiem ruskim
Rozprawiał o swym panu Biskupie Dzieduskim,
Co zbytecznie troskliwy o zbawienie duszy,
I sam pości o chlebie, i dworzany suszy,
Że wkrótce doczekają Przemyślanie biedni,
Jak nakaże z ambony wieczyste suchedni;
A iż Polskę oczyścić od kacerstwa życzy,
Do książek zakazanych i piwo policzy —
Bo to wymysł niemiecki, jak wiara Lutrowa.
Hej, mości Pietrze Czopek! biednaż nasza głowa!
Jak Araby z pragnienia poginiemy marnie,
Jeżeli król mu odda krakowską owczarnię!
Tak powiadał ze śmiechem Gąska siwobrody,
A Prokop brząknął szablą i wybiegł z gospody.

IV.

W długiej, wązko a ciemno sklepionej komorze
Żyje Biskup Dziaduski. Tylko twarde łoże,
Tylko półka z księgami u wilgotnej ściany,
Tylko w ciemnej framudze krucyfiks drewniany
I obraz częstochowski ze srebrnemi szaty:
Oto cała ozdoba pasterskiej komnaty.
A pasterz pokutniczo klęczący na ziemi
Modli się z wielkiej księgi z klamry śpiżowemi,
I woła drżącym głosem: „O sancta Maria!"
I uderza się w piersi, aż echo odbija.
Twarz blada, bo ją postem i czuwaniem niszczy,

A rosa łez pokutnych w źrenicach mu błyszczy;
Lecz na pochmurnem czole snadź duma nałogiem,
Jeśli się upokarza, to chyba przed Bogiem;
A ludzie... to jak stado pierzchliwych gołębi,
Spojrzeniem ich podepce, uśmiechem przygnębi;
Zna, że włada z ramienia Najwyższego Pana,
Jeżeli chcesz z Nim mówić — padaj na kolana.

A opodal pokorny, chudy, ryżogłowy,
Stoi ksiądz Jan Czermiński, kapelan domowy;
Złożył ręce na piersiach pod jedwabną togą
I uśmiecha się jakoś chytrze a złowrogo.
Chwieje się jakby z wiatrem jego postać długa,
I wciąż głową potrząsa i oczyma mruga,
I szepce coś do siebie.

Wtem zadrgała ściana,
Brzmi po bruku kamiennym kolebka kowana,
Ucichło — jeno słychać, że ktoś stąpa w sieni,
Zapukano w podwoje: „Veni, frater! veni!“
Zawołał ksiądz Dziaduski, powstając w pokorze,
(Bo klasztorny obyczaj chował na swym dworze);
A Czermiński podbieżał snadź k' ważnej osobie
I otworzył podwojów połowice obie.
Gość poważnie się wtoczył — wzniosła jego głowa,
Oblicze pełne, krasne, a pycha światowa
Wyryła na niem piętno ziemskiego zaszczytu.
Nosił fioletową togę z aksamitu,
Na piersiach wielki łańcuch i krzyż szczero-złoty,
Na krzyżu Syn Dawidów, Męczennik Golgoty,
Wykonany robotą misternego Włocha,
Zda się przymawiał pysze miękkiego pieszczocha,
Co go nosił na piersiach — lecz nie w piersiach pono,
Co mu jasne brylanty na pierścieniach płoną,
Co indyjskich balsamów wonnemi przyprawy
Maścił trefioną brodę i włos kędzierzawy.
Snadź tylko co ucztował przy sowitym stole,
Snadź nieźle mu się wiedzie — a na jego czole

Ani pobożnej myśli, ni światowej troski —
To Ksiądz Biskup kujawski, Jędrzej Zebrzydowski.
Salvete mi! salvete in nomine Christi!
— Zawołał głosem dźwięcznym jak harfa Psalmisty,
Co nim silnie wstrząśniona w takt zakipi rączy,
Najprzód powolne tony ze strun swoich sączy:
Witam Waszą dostojność, mój pokłon przynoszę!
Salvete! — rzekł Dziaduski — a usiądźcie proszę!
I ścisnęli prawice na znak powitania,
I każdy dumne czoło do pół piersi skłania,
I skinęli obadwa i ręką i głową
Na obitą kobiercem ławicę dębową.
Siadajcie! — Siądźcie pierwsi! — Po długim ukłonie
Zebrzydowski siadł pierwszy i po prawej stronie,
(Bo czy przy boku pańskim, czy sejmowa rada,
Starszy Biskup kujawski i wyżej zasiada
Niźli Biskup przemyski — tak kazano w prawie).
Ksiądz Czermiński na obu popatrzył ciekawie,
Pokłonił się i wyszedł.
Cóż tam słychać w mieście?
Źle słychać; nic nie wiecie, choć tutaj jesteście.
Sejm złożon do Piotrkowa — pożar w iskrze tleje!
Górkowie, Oleśniccy, Zborowscy, Firleje,
Cała kacerska banda na prawdę coś kroi.
Szlachta kipi, aż słychać u pańskich podwoi,
Województwa szemrają, powiaty się burzą,
Wkrótce Biskupów rzymskich z senatu wykurzą,
Jako pszczoły robocze, gdy miodu naniosły.
Zwyczajnie — rzekł Dziaduski — że senat i posły
Nad Piotrową opoką jako muchy brzęczą...
Stałość, Ojcze Jędrzeju!
A gdy nas umęczą?
Toć pomrzem — wszakże w Piśmie rzeczono niemarnie:
Pasterz ma oddać życie za swoją owczarnię;
Wszak nam nie straszno umrzeć choćby tejże chwili;
Non timet moriturus — powiedział Wirgili.
— Święty, ach, święty zapał, co się u was żarzy! —

Zawołał Zebrzydowski z uśmiechem na twarzy. —
Lecz szkoda, że ów zapał ginie bez zapłaty,
Że nie rodzą owoców retoryczne kwiaty.
Może i ja za trzodę umarłbym z rozkoszą,
Lecz gdy pasterz zaginie, owce się rozproszą.
Muszę żyć — powinienem — i przetrwać złe próby;
Wilki się wałęsają u mojej chudoby,
Więc powinienem czuwać nad owczarnią Bożą.
A zresztą, księże Pawle, nam śmiercią nie grożą.
Chcą uczynić z nas posąg bezwładny a niemy,
Wydrzeć ostatki władzy, którą piastujemy;
Pozwolą wszystkim wierzyć, jak wskazuje serce,
Podpiszą obelżywą zgodę z różnowierce;
Niech kto wola buduje kacerskie zborzyska,
Fałsze piórem ogłasza i w druku wyciska,
Wolno mu kędy zechce potępienie szerzyć,
A Biskupom nie wolno klątwy nań wymierzyć,
Ni uwięzić kacerza Apostolską władzą.
Choćby ksiądz — twoje prawa na nic się nie zdadzą;
Polska, to kraj szlachciców, więc szlachectwu gwoli,
Co ci wolno z kanonów, statut nie pozwoli.
Za nic! — krzyknął Dziaduski — za nic takie dzieło!
— Aż mu ręce zadrżały, aż oko błysnęło,
Aż się żwawy rumieniec zaiskrzył na twarzy.
— A i jaż przecię szlachcic! i mój głos coś waży!
Jaż w mych ręku pasterskich dzierżę moc niebieską,
I choćby jedną jotą, choćby jedną kreską
Chciano czynić uszczerbek w mem pasterskiem prawie,
Na miecze różnowierców raczej pierś nadstawię...
Choćby król... choćby senat... i Rzeczpospolita...
Szkoda — rzekł Zebrzydowski — że cię nikt nie spyta.
Bo nie tylko w magnatach — i w szlacheckiej czerni,
Nie tylko różnowiercy, lecz i prawowierni
Burzą się jednym głosem, jak zhukana fala,
Że dzisiaj stan duchowny zanadto pozwala,
Zapozywa szlachciców przed swe sądy Boże
I sadzi do więzienia, co i król nie może.

Ot i dziś zapalczywie gadał mi te słowa
Na pokojach monarszych stary Jan z Tarnowa:
W pochwy, mościwi księża, w pochwy kord Piotrowy!
Przestańcie machać mieczem nad wolnemi głowy.
Jeśli kacerz w swobodach zbytnie się rozhula,
Są grody, trybunały, jest majestat króla,
Pozwiej przed sądy świeckie, jeśli będzie o co,
Lecz wara gnębić szlachtę kościelną przemocą!
Więc już — rzekłem — przy świeckim waszmościów [urzędzie,
Pasterz owczarni Bożej chyba woźnym będzie?
Tak! — odpowie Tarnowski ze spojrzeniem dzikiem.
— Lepiej ty zostań woźnym, niż ja niewolnikiem.
. . . .

1851—1852. Załucze.

ŻYWOT POCZCIWEGO CZŁOWIEKA.

GAWĘDA.

I.

Z ojca i matki, małżonków ślubnych,
Szlachty osiadłej w swoim powiecie,
Znajomej w dziejach ze wspomnień chlubnych,
Na ten świat przyszło płci męskiej dziecię;
I zapłakało — zwyczajna pieśnia:
Kiedy się rodzą, to płaczą mali;
A iż to było drugiego września
(Wtedy septembrem ów miesiąc zwali),
Przeto ksiądz Proboszcz na cześć tej chwili
Imieniem Stefan ochrzcił to dziecię;
Na chrzcinach goście jedli i pili,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

II.

Malutki piersmi żył matczynemi,
Potem zajadał mleko chłopczyna,

Wyszedł z kolebki, pełzał po ziemi,
Wreszcie na kiju jeździć poczyna;
Potem szczebiotać dowcipne słowa
I ładne domki budować z karty;
A ojciec mawiał: Niech zdrów się chowa,
To będzie, panie... rozum nie żarty!
Patrz, jak na kiju harcuje składnie,
A jakby stary dowcipnie plecie,
Choć się skaleczy albo upadnie...
Ot jak zwyczajnie na świecie!

III.

Potem go ojciec umieścił w szkole,
Kędy się kształci rozum człowieczy;
Tam się nauczył w ciężkim mozole
Czytać i pisać i różnych rzeczy:
Z czego to deszcze powstają w chmurze?
Co jest wymowa? co linia prosta?
Tam poznał chodząc w pięknym mundurze,
Co jest swawola i co jest chłosta?
A kiedy umiał to co mistrzowie,
Wrócił do domu już w pełnym lecie;
Oprócz hulanki nic mu nie w głowie, —
Ot jak zwyczajnie na świecie!

IV.

Zmarli rodzice — popłakał trocha,
Wszedł między ludzi — i było błogo;
Wszystkiemu wierzy, każdego kocha,
Nie zamknął w domu drzwi dla nikogo,
Nie zamknął serca przed żadnym z ludzi
I przysiągł sobie we Mszy u fary,
Że w jego sercu nic nie ostudzi
Świętej miłości i świętej Wiary.
Pokochał dziewczę krasne i hoże,
Więc pisał wiersze na cześć kobiecie;
Dobrych przyjaciół zliczyć nie może,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

V.

Tylko w rok jakoś czy we dwa lata
Płakał z niewiarą: Biada mi, biada!
Bo widzę jasno, że miłość świata
Na moją miłość źle odpowiada.
Niby to zdoła duszę kobiecą
Rozognić miłość czysta i święta!
Ona... przez próżność kocha mnie nieco,
Ale na siebie mądrze pamięta.
Kto do ołtarza rękę jej poda,
Każdemu wieniec z mirtu uplecie;
Na taką miłość, ej, serca szkoda!
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VI.

Więc przestał wierzyć w miłość dziewiczą,
I stał się martwym, i cierpiał wiele;
Jeno się cieszył, że przyjaciele
Bratnim uściskiem sił mu użyczą.
Ale wśród świata zimnej rachuby
Znowu zapłakał po raz ostatni:
O! gdyście wszyscy jak samoluby,
Więc śmieszny ku wam mój zapał bratni.
Zbrojno od świata... Najlepsza tarcza
Niewiara w sercu i grosz w kalecie;
Wszak egoista sobie wystarcza.
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VII.

Gdy się przed światem serce zamyka,
Jużci dla serca męczarnia szczera;
Ale nie każdy na Męczennika,
Nie każdy stworzon na bohatera;
I nie każdemu łacno się uda
Wykształcić w sobie wznioślejszej wiary,
Owej miłości, co tworzy cuda,
Rozkoszy walki, szczęścia ofiary;

Coby się chętnie przez ciernie darli,
Nie wielu takich ludzi znajdziecie;
Gdy nas zabito... tośmy umarli...
Ot jak zwyczajnie na świecie!

VIII.

A więc biednemu choć łza się ciśnie,
Dla świętych uczuć nie odżył więcej.
Pojął małżonkę bardzo korzystnie,
Wziął za nią posag — ze sto tysięcy,
Śmiał się z nadziei, dał rozbrat wierze,
Zatuczył w sercu miłość dziwaczną,
Jadał śniadanie, obiad, wieczerzę,
Popijał wino i sypiał smaczno;
Bóg go obdarzył potomstwem licznem;
Raz wydał obiad sławny w powiecie,
Toć go obrano sędzią granicznym,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

IX.

Tak przeżył długo i zebrał wiele...
A gdy już wkońcu siły nie służą,
Toć sobie umarł. Wtedy w kościele
Pozapalano świec dużo, dużo;
Ubrano trumnę w opony sine,
Bito we dzwony po całem mieście;
Potem ksiądz Proboszcz za złotych dwieście
Chwalił zmarłego całą godzinę;
Potem lud Boży mogiłę sypie,
Co na cmentarzu i dziś znajdziecie;
Potem się każdy upił na stypie,
Ot jak zwyczajnie na świecie!

X.

Żona i dzieci sprawiły sobie
Z białemi pręgi czarne czamary;
Rok i sześć Niedziel były w żałobie,
Bo tak przepisał obyczaj stary.

Gdy się po roku żałoba zdarła,
Znowu się w jasne ubrano kwiatki,
Żona z kim innym śluby zawarła,
Synowie toczą proces o spadki.
Gdy skończą proces, to ani wspomną,
Że mieli męża i ojca przecię,
A spadek pójdzie w kolej potomną
 Ot jak zwyczajnie na świecie!

Sierpień 1852. Wilno.

O ZABŁOCKIM I MYDLE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

I.

 Wiesz co, panie Jakóbie?
Ja tych żalów nie lubię.
To już nasza natura,
Że gdzie człowiek nie wskóra,
Zaraz krzyki, hałasy:
Winien Pan Bóg, złe czasy,
Albo ludzka w tem wina,
Lub feralna godzina...
Ej! my, panie Jakóbie,
Sami winni swej zgubie.

II.

 Mamy, panie swój rozum,
Mamy nomen gloriosum,
Chleba, miodu i mleka,
Że daj Boże do wieka!
Siedź w dostatkach po szyję
I chwal Pannę Maryę.
Gdzie tam! ani do głowy!
Gorzki nam chleb domowy...
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niezgorszy bywa,

A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę spieszym.
Naśladuje chęć płocha
To Francuza, to Włocha,
A jak ludzi nie stanie,
To choć Niemca, mospanie.
Więc nie dziwne koleje,
Że nas Francuz ośmieje,
Że nas Niemiec oskubie.
Prawdaż, panie Jakóbie?

III.

Żywy przykład ci właśnie
Na Zabłockim wyjaśnię.
A Zabłocki... to wiecie,
Co to sławny na świecie,
Co to z wielkiej rachuby
Mydłem przyszedł do zguby.
Ja go znałem... Dziad stary
Siedział z kijkiem u fary,
Żebrząc chleba i strawy;
Nosił kubrak dziurawy,
Na nim torbę przypasze
I pas z herbem na blasze.
Drży bywało od chłodu...
A był bogacz za młodu!
Gdzieś na Litwie głębokiej
Trzymał gruntu trzy włoki,
Konie, pszczoły, oborę
I grosiwo miał spore.
Gdzież to wszystko przemija?
Szlachcic przyszedł do kija!
Żebrze stary i chory;
A na Mszę i Nieszpory
Szlachta idąc gromadnie,
Aż od śmiechu się kładnie.
Zaczepiają go młodzi:

„Jak się handel powodzi?"
A staremu nie żarty:
Płacze ręką podparty,
I choć własna w tem wina,
To on Niemców przeklina.
Raz mu jakiś podróżny
Hojnie rzucił jałmużny,
Więc, jak zwykle dziadowie,
Za dobrodziejów zdrowie
Poszedł na miód w gospodę,
I tam dzieje swe młode
Gadał... mając już w czubie.
Słuchaj, panie Jakóbie!

IV.

Byłem młody — powiada —
I zamożny nielada:
Trzos pełen, szkapa gładka,
Pracowita czeladka,
A karność jak po brzytwie;
A nad Niemnem na Litwie,
Chociaż niwa piaszczysta,
Człek na sianku skorzysta.
Dawałem sobie radę:
Do Turowa pojadę
I nakupię, mospanie,
Krówek wielkich jak łanie,
Wołów jak się należy,
Jak żubrów z Białowieży,
Wszystko siwe wspaniale
Ukraińskie rogale.
Pędzę na błonia nasze
I sowito wypaszę,
A potem z naszej trawy
Prowadzę do Warszawy,
I na mojej chudobie
Wór talarów zarobię!

Same szczęście szło do mnie:
Po szlachecku i skromnie
Zbieram ziarnko do ziarnka,
Talarek do talarka,
I tak z trudem niemałym
Cały tysiąc zebrałem;
A talarki w tej dacie,
Jeżeli pamiętacie,
Bite jednym kalibrem
Szły dziewięć złotych srebrem.
  Gdy Zabłocki to gwarzy,
To aż wesół na twarzy,
Kręci wąsy w swej chlubie,
Ot tak, panie Jakóbie!

V.

  Raz — powiada — w Warszawie
Szedłem sobie ciekawie,
Szedłem i łamię głowę,
Że tam w strony domowe
Coś mi kupić wypadnie,
Byle tylko coś ładnie,
Byle tylko nie drogo!
A zgadnijcie dla kogo?
  Ha! choć miałem w tej porze
Lat z pięćdziesiąt już może,
Ale co tam! choć trzysta,
Byle dusza ognista,
Jak po maśle, jak z góry,
Można ruszyć w konkury!
A o milę ode mnie
Mieszkał szlachcic przy Niemnie
I miał krewną daleką,
Krew, mospanie, i mleko,
Dziewczę pełne urody,
Że klękajcie narody!
Więc myślałem i szczerze:

Ot w zaloty uderzę:
Daj mi rączkę i kwita, —
I ksiądz Proboszcz przeczyta
Zapowiedzi w kościele,
Potem będzie wesele,
I Zabłockich rodzina
Pójdzie z ojca na syna.
  Otóż w głowę zachodzę,
Coby kupić niebodze?
Mało w oczy co kole?
Tam złotogłów, sobole,
Zausznice ze złota,
Wszystko cudna robota;
Lecz to drogo bez miary,
Senatorskie towary.
Myślę sobie: Do licha!
Nie dla szlachty ta pycha.
Mój się mieszek rozszasta,
A tu jeszcze niewiasta
(Niechaj Pan Bóg zachowa)!
Popsuć mi się gotowa;
Jakiemś cackiem, klejnotem
Kupię biedę na potem,
Śmiać się będą sąsiedzi!
  Tak Zabłocki się biedzi.
Biedzi swoją chudobą,
I miał słuszność za sobą.
Bo kiedy się niebacznie
Zbytek przed ślubem zacznie,
To cóż będzie po ślubie?
Prawda, panie Jakóbie?

VI.

  Co tu począć? zła rada!
Chciałem wracać, — powiada; —
Aż tu sklepik koło mnie,
Strojny pięknie a skromnie,

Na nim desek ze cztery
Ze złotemi litery:
Tu są różne pachnidła,
Wonią zaprawne mydła,
Wonne wódki i wina.
Johann Gripsner z Berlina.
Ot znalazłem nareszcie,
Co potrzeba niewieście!
Tu nie musi być drogo,
Kupię dla cię, niebogo,
Funt mydełka z Warszawy
Z różanemi zaprawy;
Rzecz to u nas tak rzadka,
I niejedna sąsiadka
Pozazdrości niebodze!
Pomyślałem — i wchodzę,
I w targ z Niemcem — tfu mara!
Za funt mydła talara...
Aż przebiegły mnie dreszcze!...
A tu Niemiec w śmiech jeszcze!
Co to, Niemcze! ja dziecko?!
Znaj naturę szlachecką!
Więc zmarszczywszy nań czołem,
Talar bity cisnąłem,
I z mem kupnem wychodzę,
I tak myślę po drodze:
  Co to Niemiec! no proszę!
Jak mu łatwo o grosze!
Jak on w pierze porasta!
Przemysł, panie... i basta!
Wszak to — spytaj mydlarzy:
Mydło z mięsa się warzy,
Dodaj wonnej zaprawy,
Ot i sekret ciekawy!
Zysk na mydle nie lada!
Funt... talara wypada
Bez żadnego mozołu;

Toż on z jednego wołu,
Wziąwszy pod kredkę szczerze,
Sto talarów wybierze.
U nas wołów dostatek,
Toć sprzedajem do jatek,
Głupia szlachta i kwita!
Żaden ani zapyta,
Że niemiecką iść drogą,
Większe zyski być mogą.
Nie Święci lepią garnki.
Zła korzyść z gospodarki:
Ot ja zadziwię tłuszczę,
W nowe się zyski puszczę,
I jak Pan Bóg da zdrowie,
Kupię woły w Turowie
I mydełko uwarzę —
Zazdrośćcie, gospodarze!
Bo to pod dobrą porę
Ze sto tysięcy zbiorę
Tych talarków... co wiecie,
Co w brzęczącej monecie
Bite jednym kalibrem
Po dziewięć złotych srebrem.
W takich myślach jak w Niebie
Wszedł Zabłocki do siebie,
Piękne zyski gotówką
Licząc kredką i główką;
A na takiej rachubie
Zasnął, panie Jakóbie!

VII.

Już wpadł w niemieckie sidła,
Marzy o bańkach z mydła,
I wybiera z nich plony,
Sta, tysiące, miliony,
Które tak go zdurzyły,
Że już i dom niemiły,

I małżeństwo nie w głowie.
Kupił woły w Turowie,
Roił jakieś zakłady,
Przybrał Niemca do rady
Pan Bóg wie skąd i poco?
A z niemiecką pomocą
Zrobił kuchnię z stodoły,
Rznie barany i woły,
I nie bacząc co ziści,
Na mydlane korzyści
Stracił cały kapitał,
Jeszcze długu nachwytał.
Warzy, miesza i cedzi,
Choć się śmieją sąsiedzi,
On nikogo nie słucha,
A myśli w głębi ducha:
Otóż będą pieniądze,
Jak się całkiem urządzę!
Jak mydełko uwarzę,
Przedam funt po talarze!
Tożto ludziska prości
Pękać będą ze złości!
Aż tu... słyszą ludziska,
Że z pod kotła, z ogniska
Wicher iskrę wyniesie,
Buchnął ogień na strzesie,
I spłonęła stodoła.
Zginął krwawy pot czoła!
Zabłocki zły do licha...
Niemca z domu wypycha
I oblicza swe straty...
Gdzie zarobek bogaty?
Gdzie stodoła? gdzie zboże?
Gdzie bydełko w oborze?
Ot porznięte, mospanie,
Krówki tłuste jak łanie.
Woły jak się należy,

Jak żubry z Białowieży,
Wszystko siwe wspaniałe
Ukraińskie rogale.

Coś tam jeszcze z pożaru
Ocalało towaru,
Ale towar ladaco.

Cóż mi ludzie zapłacą?
Talarków sto, czy dwieście,
Niech i trzysta nareszcie,
Zawsze mało, ej mało,
Gdy się tyle wydało!
Dwa tysiączki, niestety!
Dobrej, czystej monety,
Bitej jednym kalibrem
Po dziewięć złotych srebrem.
Ej biadaż mi, ej biada!
Marnie zginąć wypada,
Wstyd, ubóstwo i zakał!
I Zabłocki zapłakał.
Bo już strata to strata,
Lecz boleśniej od kata
Przyjść samochcąc ku zgubie...
Prawda, panie Jakóbie?

VIII.

Panie ojcze! — rzekł w biedzie —
Miłościwy sąsiedzie,
Choć już liczę dopióro
Lat pięćdziesiąt i z górą,
Lecz duch jeszcze młodzieńczy,
Miłość serce aż dręczy;
Chciejże spełnić me szczęście,
Daj mi córkę w zamęście,
Tak Zabłocki powiada,
Klęcząc u nóg sąsiada.
Ale sąsiad ciemięga

Skrytych myśli dosięga,
A więc śmiało odpowie:
 Ej! nie żona ci w głowie,
Jeno myślisz, junacze,
Że ci posag przeznaczę,
Że ci grosza dostanę
Na twe bańki mydlane.
A gdzie byłeś w tym czasie,
Gdyś miał grosze w zapasie,
Póki chata bogata,
Dobre imię u świata?
Dziś, straciwszy kapitał,
W dziewosłęby zawitał
I uroił dziad stary,
Że mi weźmie talary,
Że mi córkę wyłudzi!
Chyba na śmiech u ludzi??
Idź do licha wasindziej,
Szukaj sobie gdzieindziej
I małżonki i grosza!
 Tak dostawszy odkosza,
Rzekł Zabłocki sam w sobie:
 Jeszcze jakoś to zrobię,
Jeszcze bieda nie bieda,
Gdy mydełko się przeda,
I po ciężkiej nauce
Grosz inaczej obrócę...
 O! na wszystko jest rada,
Więc swój towar układa
Do podróżnej kolasy,
I przez góry, przez lasy,
Przez jeziora i rzeki
Rusza na świat daleki.
I kieruje rumaki,
Kędy widzi dwór jaki,
Lub zaścianek, lub wioskę,
Kędy słyszy pogłoskę

W jakiej wiosce czy mieście
O jarmarku lub feście.
Tam na środku kiermasza
Ludzi k' sobie zaprasza,
I wmówić im się stara,
Że funt mydła talara
To jest wcale nie drogo;
Lecz nie złudził nikogo,
Bo był towar ladaco.
Ludzie nic mu nie płacą,
Jeszcze wstydzić się musi,
Bo na Litwie, na Rusi,
W całej Polsce, na Żmudzi
Już był pośmiech u ludzi,
Aż mu słuchać obrzydle
O Zabłockim i mydle.
Daj tu radę z prostotą!
A mydełko jak złoto!
A wonniejsze od róży!
Choćby zginąć w podróży,
Przedam towar w Kijowie,
Aż mi będzie na zdrowie!
To nie naszym odpustem,
Tam słyszę ludzie z gustem
I nie z taką kieszenią,
Tam nasz przemysł ocenią.
O! na wszystko jest rada.
Więc swój towar układa
Do podróżnej kolasy,
I przez góry, przez lasy,
Przez jeziora, przez rzeki,
Rusza na świat daleki.
Tak wesoło, wygodnie
Jechał cztery tygodnie,
Stracił złotych ze dwieście
I dojechał nareszcie.
Wesół z bicza wypali;

Kiedy spojrzał z oddali
Na kijowskie wieżyce,
To aż skoczył na bryce,
Aż mu serce podrasta.
Rusza tedy do miasta,
A to była już zima,
Lód na rzece się trzyma,
Droga po nim ubita,
Więc się o nic nie pyta,
Lecz w boki się podeprze,
Rusza lodem po Dnieprze.
Już się pod brzeg pomyka,
Wtem lód pęka — i bryka,
I mydełko, i konie,
I Zabłocki już tonie.
Gwałt! ratujcie z otchłani
Święci Pańscy wybrani! —
Krzyknął biedny w rozpaczy;
Wtem się o lód zahaczy;
I gdy zguba już blizka,
Wyskoczył z topieliska.
Wybrnął drżący jak listek;
A koniki, wóz wszystek,
I mydełko ciekawe —
Poszło rybom na strawę.
Klasnął w ręce rozpacznie
I rozmyślać tak zacznie:
Wołać ludzi z pomocą?
Ale niema już poco,
Dnieprowemi odmęty
Wóz się strzaskał na szczęty;
A choć szczęty dostanę,
Mydło poszło na pianę.
W domu czeka... cóż? nędza,
Dziedzic z gruntu wypędza.
Bo już mija dwa lata,
Jak o czynsze kołata.

A co doma... to marnie...
Bo wierzyciel zagarnie.
Czy na Litwie człek zginie,
Czy to w cudzej krainie,
Wszystko jedno; gdzie ruszy,
Gdy bez grosza przy duszy,
Kiedy starość przygniata,
Pośmiewisko u świata,
W jednej przemokłej szubie,
Żebrak... panie Jakóbie!

IX.

Zachorował od żalu,
Wzięto go do szpitalu;
A gdy niemoc omija,
Kupił torbę i kija,
Gdy nie można inaczej,
Począł żywot żebraczy.
Ale mało co zyska,
Bo już z jego nazwiska
Nawet w samym Kijowie
Było znane przysłowie.
Każdy w śmiechy i kwita,
O mydełko się pyta,
Wybadywa go ściśle
O niemieckim przemyśle,
Naszydzi, naurąga,
Lecz nie rzuci szeląga.
Otóż i zysk i sława,
Kto się z Niemcy zadawa,
Kto na Litwie lub Rusi
Ich się zyskiem spokusi.
Lecz cóż? i gadać szkoda!
Obcy zwyczaj i moda
W większym u nas honorze
Niż przykazanie Boże.
Doma chwast i pokrzywa,

Choć grunt niezgorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę spieszym.
Tylko zmęczym się pracą,
A zarobek ladaco;
Giną młodzi i starzy —
Dmucha, kto się oparzy —
Mądry Polak po zgubie...
Prawda, panie Jakóbie?

7 grudnia 1852. Załucze.

GRAMATYKA.

I.

O klasztorze mi się marzy,
Ale trudność w tem jedynie:
Tam się modlą z brewiarzy,
Ja nie umiem po łacinie.
Więc mi matka, więc mi ciotka
Przywołały mędrca dziada,
Co każdemu, kogo spotka,
Horacego ody gada.
Ten mi w długich chwil przeciągu
Nieskończone męki czyni:
O c, ó k, o dyftongu,
F e m i n i n i, m a s c u l i n i,
Jak przypadki się odmienia
Przez końcówek zmianę samą...
Szło mi wszystko jak z kamienia,
A najtrudniej słowo a m o.

II.

Widzi matka, widzi ciotka,
Że czas nauk darmo płynie,
Że po polsku choć szczebiotka,
Nic nie umiem po łacinie.

Matka, ciotka rada w radę,
Że upływa piękna pora,
Że do mniszek nie pojadę,
Trzeba zmienić praeceptora,
Że staruszek choć co chwila
Zdań łacińskich palnie trzysta
Z Horacego i Wirgila,
Nic dziewczyna nie skorzysta.
Wrócił pewny Staś z Berlina,
Dobry chłopiec z piękną famą,
Ten niech kursa rozpoczyna,
Niech wykłada słowo amo.

III.

Wąs miał czarny, bystre oko
I z pochwalnym wrócił listem.
Spojrzał w oczy, och! głęboko,
I odmienił nauk system.
Ucałował w rączki, w lice,
Żem pojęła bez mistrzyni,
Co to znaczy w gramatyce:
Feminini, masculini...

. . . .

1853. Wilno.

KOJEC Z KURCZĘTY.

I.

Świętej pamięci mój prapradziadek,
Nigdy bywało gwarząc nie znudzi,
Bo wielu rzeczy sam bywał świadek,
A wiele rzeczy słyszał od ludzi.
A iż zachował stary obyczaj
Gęsto używał łacińskiej frazy,
Toć się, młodziku, pilnie obliczaj,
Aby zrozumieć wszystkie wyrazy,

Nie być zawstydzon w obliczu dziada
I odnieść korzyść z tego, co gada.

II.

Wolałbym dyszeć jego rozmową
Niż z mądrej książki brać zbudowanie:
Bo słowo w książce — to tylko słowo,
A słowo w uściech — to czyn, mospanie!
Pięknie, kto żywot czynu przeżywszy,
Zgrzybiałe lata gawędką słodzi,
I wiek swój młodszy, żywot szczęśliwszy
Rozpamiętywa na korzyść młodzi.
Raz coś o duchu świętej Ofiary
Taką powiastkę mówił mi stary:

III.

Kiedy to w Polsce Niemcy i Piasty
Spieszyli zająć tron po Sobieskim,
Wiódł Leszczyńskiego Karol Dwunasty,
Gorąco było w Księstwie Litewskiem.
Każdy dwór w gruzach, każda wieś pusta,
Bo rabowali cudzy i nasi:
Ci stronę Szweda, drudzy Augusta,
A wszystkich razem Szwedzi i Sasi.
Nasz stary, co się różnie obraca,
Służył rycersko w chorągwi Paca.

IV.

Raz coś husarze i petyhorce
Z noclegowiska rankiem ruszyli.
Wtem postrzegamy szwedzkie proporce
Nie dalej może jak o pół mili.
Pan regimentarz i chorągiewni
Krzyknęli: szable mieć w gotowości,
A żeśmy liczby wrogów niepewni,
Kazano z wolna iść przeciw gości.
Spięte rumaki rwą się ochoczo,
Strzygą uszami i zwolna kroczą.

V.

A że rycerstwu bój nie nowina,
Więc się nie zlękli Szweda widoku:
Jeden strzemiona mocniej podpina,
Drugi umacnia kopię w toku,
Inszy próbuje ostrza brzeszczota,
A inszy śpiewa, a inszy gwarzy —
Jakoś przed bojem żywsza ochota,
To już obyczaj naszych husarzy.
Kto mocen duchem, krzepi się w wierze,
A kto lękliwy, mówi pacierze.

VI.

Tak nieprzystępni dziecinnej trwodze,
Ruszamy dziarskim a wolnym kłusem;
A tuż, pamiętam, przy samej drodze
Stała figura z Panem Jezusem,
A od figury szła dróżka w lewo
Gdzieś do zaścianku pomiędzy zboże.
Tam... jakiś jeździec skrył się za drzewo,
Trędzlą rumak spina jak może;
Lecz rumak wojsko widząc z oddali,
Prosto w chorągiew z kopyta pali.

VII.

Szwed... nie Szwed zda się... gdyby to z błota
I nie tak blizko od znaku krzyża,
To się przeżegnać brała ochota,
Sądząc, że jakieś widmo się zbliża,
Jeździec bez broni w długiej czamarce,
Porozpinany, wiatrem wydęty,
Na chudym koniu wyprawia harce,
A w rękach dzierży kojec z kurczęty.
Co nas w domysłach bardziej mitręży,
To, że na głowie miał biret księży.

VIII.

A rumak sadzi przez rowy, miedze,
Zrównał się z wojskiem i w szereg stawa.

Co o tak dziwnym trzymać koledze?
Skąd się tu wzięła taka postawa?
Ksiądz!! prze Bóg żywy!! co się to znaczy?
Czego tu szuka? — mówią pancerni.
A biedny jeździec woła w rozpaczy:
Ratujcie, ludzie! och, prawowierni!
Konisko niegdyś służył wojskowo,
Ciągnie mię w szereg nałożyć głową!

IX.

Jam ksiądz Wikary... patrzcie waszmoście:
Wracam z kolędy ot na tej szkapie.
Konisko słyszał trąbkę na moście,
Więc jak zawierzgnie, a jak zachrapie!
A jak poleci, a jak poniesie!
Aż tu mię zaniósł szalonym torem!
Ja chciałem sobie schronić się w lesie,
Lecz cóż poradzisz z końskim uporem?
Ja walczyć nie chcę, dobrzy rycerze,
Ja z całym światem trzymam przymierze.

X.

Wstrzymajcie konia, co się tak kręci,
Ja w las ucieknę! — wołał księżyna.
A byli w wojsku i dyssydenci,
Więc jaki taki śmiać się zaczyna,
Wtórzą mu drudzy, choć to nie pora,
Bo Szwed nad karkiem i bić się każą;
Ale zjawisko jakby upiora
I widok księdza z wybladłą twarzą
W całej chorągwi sprawił śmiech pusty,
Jakby dyalog grano w zapusty.

XI.

A księża szkapka stara i chuda
Swe stare dzieje wspominać pocznie,
Idzie w szeregu, wyrabia cuda,
A rży radośnie, a pląsa skocznie;

Jakby się dziwi, jakie to szczęście
Stare jej kości k' wojsku przywiodło;
Ksiądz stracił cugle, zacisnął pięście,
Tak się oburącz trzymał za siodło;
Kojec z kurczęty rzucił na stronę,
Szeptając Psalmy i Antyfonę.

XII.

Wtem dano ognia — huknęło w ciszy,
I szwedzka kulka między nas gwiźnie,
I petyhyrskich dwóch towarzyszy
Poległo trupem gwoli ojczyźnie.
Zagrała bitwa, bitwa nielada!
Wróg nie folgował w strzelaniu gęstem;
Niejeden husarz na ziemię pada,
Niejedna zbroja łamie się z chrzęstem;
Póki na ostrze gonić nie poczną,
Snadź poniesiemy stratę widoczną.

XIII.

W dymie, kurzawie jam szukał księdza,
Mówiąc do swoich: My go osłonim!
Tylko że kula nic nie oszczędza,
Albo ze strachu może już po nim.
Wtem znowu szwedzka kula zaśwista
I ktoś raniony z boleści jęknie —
Patrzę: u księdza twarz promienista,
W oczach tak bosko, tak było pięknie,
Zdaje się światłość biła mu z czoła,
Gdy uroczystym głosem zawoła:

XIV.

Tu moje miejsce! — dzięki Ci, Panie!
Żeś mi ukazał żniwo posługi! —
Rzekł — i odważnie a niespodzianie
Z siodła na ziemię skoczył jak długi.
Ukląkł przy rannym w piersi rajtarze,
Przeżegnał głowę i ucho schyla,

I grzechy życia wyznać mu każe,
I na wieczności drogę posila.
Krwawo z rycerstwem biją się Szwedzi,
A ksiądz wśród bitwy słucha spowiedzi.

XV.

Wśród szczęku mieczów i świstu kuli
Chodził w szeregach w pełnej otusze,
Ranionych mężów w ramiona tuli,
A konających poleca dusze.
A choć mu wystrzał nad głową palnie,
Słowa nie przerwie, nie zmruży oka;
Pełniąc swój urząd sakramentalnie,
Czuł nad swą głową tarczę z wysoka.
A tyle męstwa, co w jego twarzy,
Może się nigdzie widzieć nie zdarzy.

XVI.

Skończono bitwę — Szwedów odparli,
Noc się już ciemni, zorza promieni.
Na bojowisku tylko umarli,
Tylko zostali ciężko ranieni.
Na krwawej ziemi klęcząc Wikary
Kończył spowiadać rycerstwo ranne;
A na uboczu koń jego stary
Ogryzał polny chwast i dziewannę,
Czekając pilno wedle namiotów,
Póki pan w drogę nie będzie gotów.

XVII.

Rozbito obóz — kipi biesiada,
Piją i pieją husarze młodzi;
A ksiądz Wikary grzebie, spowiada.
Odśpiewał Psalmy i już odchodzi.
Próżno na ucztę proszą wodzowie,
On się wymówił w pokorze świętej.
Jakże był wesół, kiedy w parowie
Zdołał odszukać kojec z kurczęty!

Na starej szkapie odjechał kłusem
Wedle figury z Panem Jezusem.

1853. Borejkowszczyzna.

SPOWIEDŹ PANA KORSAKA, CHORĄŻEGO POŁOCKIEGO.

GAWĘDA.

I.

Ksiądz Dominik Podolec — jak ze skryptów widzę —
Był Jezuitą w Krożach, w Połocku i w Rydze;
Nie nazbyt tęga głowa, lecz poczciwa dusza,
Cały wiek przekołatał w stopniu socyusza.
Lekce go ważą bracia i starszyzna cała,
Począwszy od rektora aż do generała;
On z wesołem obliczem, w wytartej czamarze,
Bez szemrania był wszystkiem, co starszyzna każe:
Ogrodnikiem na lato, szafarzem na zimę,
Uczył S i n t a x i m w Krożach, w Nieświeżu I n f i m ę,
Słowem, mimo przykrości, mimo wszystkie ciernie,
On wszędzie szedł ochoczo, działał prawowiernie,
Nie śmiejąc się gdy wesół, nie płacząc gdy boli,
Nosił w prostocie ducha sukienkę Lojoli.
Jużci — grzech mu zaprzeczyć, że dusza pobożna,
Lecz jak mówił ksiądz rektor: Gorliwszym być można!
To jakoś do wziętości u ludu pomaga,
Modląc się wznosić oczy jak święty Gonzaga.
Niezgorszy jesteś mówca, ale prostak z waści,
A kiedy się polszczyzna łaciną namaści,
Zaraz mówią słuchacze: to mi erudyta!
Figura retoryczna aż za serce chwyta!
A waść co? gdy spowiadasz, to naród się ciśnie,
Ale to dla zakonu idzie bezkorzystnie.
Widząc, że już na serce działa skrucha święta,
Czyś zyskał choć jednego w świecie penitenta,

Coby tknięty do gruntu twojemi przestrogi
Uczynił zakonowi zapis choć ubogi?
Jaka nam z ciebie korzyść i pociecha jaka?
Tak bywało ksiądz rektor spowiada prostaka,
A biedny ksiądz Dominik kłania się z pokorą
I przyrzeka poprawę — lecz mu nie szło sporo.
Już to... co miał pod sercem, to gadał bezwzględnie,
Gdy mówił świętą prawdę, to aż ucho więdnie,
Kiedy usiadł za kratkę, to wszelki wzgląd znika:
Pokutnik popamięta Ojca Dominika!
Czy to ubogi rolnik, czy szlachcic z waszmości,
Sto pacierzy odprawi, sto piątków odpości.
Ksiądz nie wyłudzał ofiar namową figlarną,
Lecz po prostu nazywał co biało, co czarno;
Niepamiętny na względy, co komu należą,
Zajazdy zwał rozbojem, procesa kradzieżą;
Każdego we łzach skruchy tak skąpał przykładnie,
Że grzesznik popamięta, nim w grzechy upadnie.
Wiedzieli o tem dobrze i wielcy i mali,
Nie wiem czy go lubili, ale szanowali.
Tak bez żadnych godności, z dziwaczną naturą,
Dokołatał w klasztorze lat sześćdziesiąt z górą;
Wiek już zbielił mu głowę i przytępił oczy, —
Lecz starzec do roboty jak młodzik ochoczy;
Gdzie się potrzeba udać — nim drudzy pospieszą,
Rusza Ojciec Dominik, a najczęściej pieszo,
(Bo tak już uradzili zakonni Ojcowie,
Że staremu przechadzka posłuży na zdrowie).

II.

Raz na takiej podróży, przed samą już nocą,
Szedł stary ksiądz Dominik, — a dokąd i poco?
O tem milczy kronika, z której powieść bierzem —
Szedł zajęty myślami, czy świętym Pacierzem,
Chciał zrobić jeszcze milę o wieczornym chłodzie,
A potem zanocować w jakowej gospodzie,
A jutro do podróży, nim słońce zaświta.

Droga szła między bujne pszenice i żyta,
Przez groblę aż pod krzyżyk i pod uschłe drzewo;
Na prawo były pola, a wioska na lewo.
Z wioski go dolatywał rozgwar niedaleki,
I wionął rzeźwy chłodek z jeziora czy rzeki,
Aż przypomniał Wirgila stary Jezuita
I powietrze wioskowe z upojeniem chwyta,
By starą pierś odmłodzić.
Wtem opodal krzyża
Ujrzał, że jakaś postać k' niemu się przybliża:
Bieży co siły starczą jakiś dziad wioskowy,
Słomiany mu kapelusz ulatuje z głowy;
Lecz stary nie uważa — znać ból tego człeka,
Bo ręce załamuje i krzyczy z daleka:
Księże! pospieszaj!... prędzej! bież co siła zmoże!
Kona mój syn jedyny... o Boże mój, Boże!
Gdzie tam syn?! — to mój anioł i zawsze i wszędzie —
Dla rodzonego ojca żaden syn nie będzie,
Czem ten człowiek był dla mnie... w miłości, w posłu-
Bo proszę jegomości — to jest dziecko cudze, [dze!
Lecz kochał mię, pracował, ach! pracował szczerze!
Pan Bóg go przysłał do nas — i Pan Bóg go bierze.
Taki młody... a wszelka nadzieja stracona...
Prędzej... prędzej... jegomość! bo może już kona,
Bo go kaszel suchotny do reszty zakrztusi,
A biedne jego serce przygnębiać coś musi!... —
Tak woła stary wieśniak, piersi nie oszczędza,
I pada rozpaczliwie tuż przy nogach księdza. —
Prędzej spiesz go rozgrzeszyć... bo życie ucieka!
Moja chata przy drodze... ot widać z daleka...
Widać... goreje w oknie światło od łuczywa...
Mój Boże!... on tam jęczy, on tam dogorywa!

III.

Takiej rozpaczy czarodziejska władza —
Ksiądz Jezuita spojrzał na ognisko,
I jednym skokiem już przez rów przesadza,

Bieży przez mokrej łąki grzęzawisko,
Zda się, że starzec zolbrzymiał na sile —
Skąd taka lekkość i oddechu tyle?
Aż stary wieśniak zawołał przelękły,
Patrząc na księdza: Stój, stary junacze!
Tożby się piersi młodzieńcze rozpękły —
Jak on przez pole poorane skacze!
W człowieku taka nie może być siła,
Toć chyba Pan Bóg Anioła przysyła!
Tymczasem kapłan odmłodzony prawie
Wchodzi do chaty w pobożnej otusze.
Tam młody wieśniak na szerokiej ławie
Jęczy i Bogu poleca swą duszę;
Przy nim niewiasta płacząca boleśnie
Trzyma gromnicę i wywodzi pieśnię.
Lecz konający przy blasku łuczywa
Gdy ujrzał księdza — wzrok mu się rozżarza;
Podniósł się z ławy, a rumieniec żywy
Przebiegł po żółtem obliczu Łazarza;
I głosem drżącym, co z pod serca płynie,
Powitał księdza... aż ten się przelęknie:
O cudo!... wieśniak mówi po łacinie
Mówi z zapałem, poprawnie i pięknie:

IV.

Na smutnej życia mojego drodze
Drugi raz, ojcze, ciebie znachodzę,
Czuję nadzieję w sercu tajemną,
Że łaska Boża czuwa nade mną.
Możeś zapomniał, jakeś przed laty
Dziecko zbrodnicze, zbytkiem zepsute,
Skazał na ostrą, ciężką pokutę;
Dzisiaj przychodzisz do wiejskiej chaty
Przypomnieć życia mego koleje,
Obaczyć, co się z sumieniem dzieje,
I w Miłosierdziu, co granic niema,
Rozgrzeszyć ciężką zbrodnię Kaima.

Pokutę twoją w szlachetnej pysze
Miałem za twardą, dziką, dziwaczną;
Lecz tu modlitwa, praca, zacisze,
Przyniosły duszy pociechę znaczną.
Już w sercu czuję niebiańską radość,
Czuję przy sobie Stróża Anioła.
Łzy moich oczu, pot mego czoła
Czyżby już Bogu uczynił zadość
Za moją zbrodnię? Powiedz mi, księże,
Czy mię rozgrzeszysz w samej istocie?
A wszelką bojaźń śmierci zwyciężę,
Umrę jak Dyzma łotr na Golgocie,
Którego ciężkie sumienia rany
Uleczył Chrystus ukrzyżowany.

V.

Tak mówił konający. A starej kobiecie
Łzy leją się po licach, głos tamują żale:

Och! biedny, biedny Kuźma! on w gorączce plecie,
Gada świętą łaciną, jakby ksiądz we Mszale.
Wkrótce stanie przed Bogiem, gdzie my wszyscy sta-
[niem...
Boże! ulżyj tej duszy przytomnem skonaniem!

Tak mówiła niewiasta zawodząc w rozpaczy.
I starzec wszedł do chaty i załamał ręce.

Matko — rzekł Jezuita — chory nie majaczy,
Pozwólcie, ja mu chwilę rozmowy poświęcę;
W stygnących jego piersiach snadź Duch mówi Boży.
Dajcie, niech przed kapłanem sumienie otworzy.

Więc kmiotkowie poklękli i patrzą ciekawie.
Tłumem do progu chaty zeszli się sąsiedzi;
Ksiądz, u głowy chorego zasiadłszy na ławie,
Przeżegnał go, odmówił modlitwę spowiedzi;
Młodzieniec podniósł głowę orzeźwion widocznie,
I znowu po łacinie tak przemawiać pocznie:

VI.

Przez całeś twoje życie, miłościwy księże,
Wyrzucał z piersi ludzkich robactwo i węże,
Grzech albo zbrodnię tajoną;
Więc nie dziw, żeś grzesznika nie poznał w tej chwili.
Czy cię pamięć zawodzi, czy mój ubiór myli,
Nie przypominasz mię pono.

Lecz pomnisz, kiedy w kraju plondrowali Szwedzi,
A rycerstwo przed wojną biegło do spowiedzi,
Wiedząc, że w bójce śmierć czeka;
Wtedy tutaj, na Litwie — przypominasz może,
Jak przed kratką młodzieniec w pancernym ubiorze
Wyznał, że zabił człowieka.

Ja byłem tym zbrodniarzem, co na zgubę dąży,
Młody Kazimierz Korsak, połocki chorąży,
Pan mnogich zbiorów i włości;
Rozhukany w szlacheckich rówienników kole,
Nie znałem żadnych granic na moje swawole,
Ani wędzidła dzikości.

Poszargawszy uczucia szlachetne i piękne,
Wierząc, że kędy zechcę, gdzie groszem zabrzęknę,
Żadna przeciwność nieznana,
Lecąc przez namiętności szerokie bezdroże,
Pokochałem w mej wiosce jedno dziewczę hoże
Grzeszną miłością szatana.

Ale któżby uwierzył... o wstyd i sromota!...
Mimo czułe zaklęcia, mimo góry złota,
Dziewicze serce jak skała;
Nad hojne obietnice, nad pańskie namowy,
Droższy był pięknej Hannie parobczak wioskowy,
Którego dawno kochała.

Więc piekielne w mych piersiach wylęgły się jędze;
Jakto!... jedno pacholę... jeden chłop w siermiędze
Ma mi zawadzać w rachubie?

Albo musi ustąpić, lub biada mu, biada!
Przysięgam na mój pałasz, na herb prapradziada,
Spółzawodnika zagubię!

W duszy zbrodniczy zamiar dojrzewa pomału.
Raz... było to na łowach... na sam cel wystrzału
On stanął przed okiem mojem;
Dłoń mi drgnęła ku strzelbie, i za kurek cisnę,
I niby od niechcenia, w piersi nienawistne
Gruchnąłem ostrym nabojem...

Padł... zawołał ratunku, lecz ratunek próżny...
A ludzie powiedzieli, że był nieostrożny,
Że snuł się, gdy strzelać pora, —
I pogrzebli przy drodze śmiertelne ostatki.
A to był syn jedyny u ojca, u matki,
Jedyna chaty podpora.

Po nim nieszczęsna matka i kochanka płaczą,
Ojciec młodego pana przeklinał z rozpaczą —
Lecz co umarło, nie wskrześnie.
A zabójca już nie miał spokoju na ziemi,
Bo mię widmo wieśniaka z pierśmi skrwawionemi
Ściga na jawie i we śnie.

Czy spełniam wpośród uczty biesiadne koleje, —
Stary węgrzyn w kielichu szumi, czerwienieje,
Krwią trąci kielich i wino;
Czy w tańcu, kędy dziewy i młodzieńcy świetni, —
Słyszę w wesołych tonach skrzypicy i fletni
Bolesną rozpacz matczyną.

Zamiast w męczarniach duszy konać niespokojnie,
Szedłem zbrodniczą głowę położyć na wojnie;
A gdym się szarpał w tym stanie,
Przyszedł rozkaz hetmański wśród bojowej chwili,
Aby wszyscy pancerni spowiedź odprawili —
Tam cię poznałem, kapłanie.

VII.

Powiedziałeś mi wtedy — pomnę każde słowo:
Nie dosyć gorzkim żalem, pokutą surową
Błagać o przebaczenie miłosierne Nieba;
Za ten grzech najprzód ludzkość przebłagać potrzeba.
Nic tu pokutna włosień, nic szaty pielgrzymie,
Nie w Siedmiogórnym Rzymie, nie w Jerozolimie,
Zadosyćuczynienia chce kościelna władza;
Tam tylko, gdzie zgrzeszyłeś, niech się grzech zagładza.
Nie powiem: *Odejdź w Panu! zgładzona twa wina,*
Dopóki stary ojciec mordercę przeklina.
Patrzaj — tam jęczy starzec na wiejskim zagonie,
Pot ze krwią pomieszany oblewa mu skronie;
Już go tam wyręczała synowska posługa,
Zniedołężniały starzec odwyknął od pługa;
Dzisiaj daremnie liczy na siłę zdradliwą,
Woły go nie słuchają i pług idzie krzywo;
Pada dziad siwobrody w trudach i boleści,
Już go syn nie zastąpi, ni wnuk nie popieści.
Tyś, niebaczny morderco, za jednym wystrzałem
Zamordował rodzinę i z jej szczęściem całem,
Ojcaś przywiódł do nędzy, matkę do rozpaczy,
I mniemasz, że ci Pan Bóg tak łacno przebaczy?
O! choćbyś progi świątyń porozbijał głową,
Choćbyś jadł tylko piasek i trawę surową,
Choćbyś poszedł do Rzymu i boso i pieszo,
Nie rozgrzeszę cię pierwej aż oni rozgrzeszą.
Zrzuć ten pancerny ubiór, co na tobie błyska,
Zapomnij szlacheckiego herbu i nazwiska,
Wdziej włosianą siermięgę, jaką noszą chłopi,
Przepasaj twoje biodra powrozem z konopi,
A pójdź do twojej wioski, dziedzicu bogaty,
Na służbę wyrobniczą do sierocej chaty.
Tam straconego syna zastępując szczerze,
Poświęć całą usilność sosze i siekierze;
A gdy po długich leciech, po mozolnej pracy,
Przyznają cię za syna zgrzybiali wieśniacy,

Wtenczas upadniesz do nóg i matki i ojca,
Wyznając, żeś ich dziedzic, żeś syna zabójca.
A gdy grzech i pokutę uznają przytomni,
Gdy ci ojciec przebaczy, gdy matka zapomni,
Wtedy w kratę spowiedzi zapukasz swobodnie,
A ja w Imię Chrystusa odpuszczę ci zbrodnie.

VIII.

Skruszon odszedłem od krat spowiedzi,
Ale w obozie pierzchnęła skrucha.
Ksiądz, myślę sobie, Bóg wie co bredzi.
Któż tam dziwaka rady usłucha?
Tylkoby ze mnie, z mego nazwiska
Był w całem wojsku cel pośmiewiska;
Tożby się śmieli jezdni i pieszy,
Wszyscy Sarmaci, wszyscy Litwini!
Szlachcic zazwyczaj orężno grzeszy —
Niechże orężno pokutę czyni.
A za występek ja, zbrodniarz młody,
Będę Niebiosom czynić zadosyć,
Suszyć do śmierci piątki i środy
I włosienicę drucianą nosić.
Kiedy błyszczącą przywdzieję zbroję,
Nikt nie odgadnie, nikt nie wybada,
Że robak żalu żre piersi moje,
Że ostry bodziec ciało przejada.
Bo czyż koniecznie zbawi mi duszę
Wioskowa chata, gruba sukmana?
Szlachcie przechodzić na plebejusze —
Pokuta dziwna i niesłychana!

IX.

Tak mniemałem złagodzić zbyt ostrą pokutę,
Nie zniżyć się do gminu, a udręczać ciało;
Ale serce, rozpaczą i zbrodnią zatrute,
Trwożliwie w piersiach pukało.

I bladłem, kiedy sygnał do boju posłyszę,
Że tu przyjdzie położyć potępioną głowę;
Gdy w wesołej gromadzie szumią towarzysze,
Ja słyszę jęki grobowe.

W nocy pragnąłbym zasnąć, lecz próżne nadzieje,
Choć, zda się, unużyła całodzienna praca;
I marzyłem, że trunkiem frasunek zaleję,
Lecz wino w krew się obraca.

A gdy stoję na czatach w polu czy na łące
I słyszę pieśń żniwiarzów swobodną i błogą,
To mi serce tak bije, że aż ręce drżące
Włóczni utrzymać nie mogą.

A kiedy pęka serce, gdy się myśl rozmarza,
Rzucam włócznię i polem jak szalony pędzę,
I zazdrościłem szczęściu wiejskiego żniwiarza
W jego wełnianej siermiędze.

Tom się karmił nadzieją, że pychę zwyciężę
I szlachecki złotogłów na sukmanę zmienię;
To przeklinałem ciebie, miłościwy księże,
Żeś mi rozdrażnił sumienie.

X.

W takich męczarniach raz mi się zdarza
Otrzymać rozkaz regimentarza,
Bym we sto koni wyruszył — z blizka
Rozpoznać szwedzkie obozowiska.
Ruszam pod wieczór, i w tejże chwili
Moi pancerni Szweda złowili.
Nuż go się pytać — a on nas mami,
Że jego wojsko gdzieś za górami,
Gdzieś za rzekami w niewielkiej sile
Stąd obozuje o cztery mile.
A więc z powziętej radzi pogłoski,
Idziemy na noc do blizkiej wioski;

Tam w dymnej chacie, na wiązce siana
Usnęła nieco głowa znękana.
Alić nad rankiem, gdy jeszcze ciemno,
Sygnał bojowy zagrał nade mną.
Budzę się, zrywam, przywdziewam odzież;
Szwedzi już w wiosce, a nasza młodzież
Już się uciera, słyszę z oddali,
Kopie kruszy i z rusznic pali.
  Rzucam się na koń, daję rozkazy,
Lecz siły szwedzkie o dziesięć razy
Większe od naszych.
                  Ale w rozpaczy
Żaden z pancernych tego nie baczy,
Lecz na kark wrogom wali się szczerze,
I szyki łamie, i jeńce bierze.
I zaczem obóz usłyszał cały
Nasze sygnały, nasze wystrzały,
Nim dobiegł hetman z posiłki swemi, —
Już trupy szwedzkie legły na ziemi;
Reszta pierzchając pali w kopyta.
Już piękna jutrznia na Niebie świta;
Spojrzę na siebie — cóż to? mój Boże!
Zamiast w pancernym błyszczeć ubiorze,
Zbudzony ze snu bojowym strzałem,
Prostą siermięgę chłopską przywdziałem,
I w tej siermiędze, syty zdobyczy,
Zyskałem piękny laur bojowniczy.

XI.

Gdy nasi pieją pieśnię pośród bojowiska,
Gdy mi hetman dziękuje i k'sercu przyciska,
Ja upadłem — i ziemię uderzając czołem,
W głębi mojego ducha rozmyślać począłem:
Czy trafem się przywdziała wieśniacza sukmana?
Czy może palcem Bożym dobitnie wskazana,
Bym poświęcony pracom, obleczon w pokorę,
Potłumił straszne piekło, co mi w piersiach gore?

Och! dotąd cóż sny moje? co moje czuwanie?
Jeden, wciąż jeden widok dręczy nieprzerwanie:
W lesie skrwawiony wieśniak na sosnowej kłodzie
Konającem spojrzeniem aż mię na wskroś bodzie;
Świszcze krew z jego piersi, oczy mu zalewa;
Ojciec, matka, kochanka, skupieni u drzewa,
Jęczą grobowym głosem... Ja słyszę ich żale
W pluchotaniu jeziora, w bojowym sygnale,
Słyszę je w dziennym gwarze i w nocnej zaciszy,
I w hulackiej piosence moich towarzyszy...
Bóg was żegnaj obozy i zwycięstwa moje!
Chyba w głuchej pustyni serce uspokoję.
Tak pożegnawszy wojnę i mój tryumf świeży,
Poszedłem pokutować do puszcz Białowieży,
I tam w gęstwinie jodeł, kędy ścieżka znika,
Rozpocząłem surowe życie pustelnika.

XII.

Jak zbawienie moje witam las ponury —
I w wąwozie leśnym, między dwiema góry,
Pod sosnowym karczem, pod granitu głazem,
Wykopałem sobie grób i chatę razem,
Wysypałem łoże piaszczyste, darniowe,
Zawiesiłem nad niem krzyż i trupią głowę.
Tam na twardym żwirze od nocy do rana
Klęcząc na modlitwie, krwawiłem kolana;
Od ranka do nocy skulony na ziemi
Jątrzyłem sumienie myślami gorzkiemi;
Za napój z potoku garścmi wodę biorę,
Gryzę liść brzeziny i dębową korę,
I tak wciąż się modlę, i tak ciało dręczę,
Że w tydzień opadły me siły młodzieńcze.
A jednak w modlitwie, w czuwaniu i poście
Nic duch się nie krzepi, otucha nie rośćie,
Nie zjawia się spokój, ni święta swoboda,
Bo grzech mój za ciężki, bo dusza za młoda;
Drga serce w torturach wewnętrznej męczarnie,

A myśl rozpaczliwa do głowy się garnie.
O! łatwiej starcowi, łatwiej eremicie
Prowadzić na puszczy bogobojne życie;
Młodociane serce w inszy takt kołata,
Potrzeba dlań uczuć, potrzeba dlań świata!
Niech dźwiga ciężary, niech trudy pokona,
Niech czyny olbrzymie wykwitną mu z łona,
A wtenczas jak święty umocni się w wierze,
I wtenczas znaczenia modlitwa nabierze,
I miłość młodzieńcza, i święta otucha,
I czyn jego ramion, i myśl jego ducha.

XIII.

Jam tych prawd nie rozumiał, i mnie się zdawało,
Że chcąc ducha rozwinąć, trzeba zgnębić ciało;
Że gdy je całkiem zgnębię, że gdy zamrę w czynie,
Doskonalsza modlitwa z mej piersi popłynie;
Że szatan nie dosięże, gdy od niego stronim...
Pasowałem się z sobą, jak święty Hieronim
Na bezludnej pustyni — lecz w tych walkach zgoła
Nie wyszedłem zwycięzcą, jak Doktor Kościoła.
Duch mój pada, lepianka cielesna się kruszy,
Bom nie obliczył zdrowia ni sił mojej duszy;
Usta z głodu sczerniały, pierś pragnieniem gore,
Straciłem w ręku siłę i w nogach podporę;
Gdzie spojrzę, krwawe pręgi latają koło mnie,
Myśl wytężona k'Niebu rwie się bezprzytomnie;
Zapomniałem, kto jestem? gdzie jestem i poco?
Tylko głowa coś marzy, usta coś bełkocą,
Aż w dzikim szumie lasu sen objął mię złoty,
Utraciłem poczucie mej własnej istoty.

XIV.

Palon gorączką, nie pamiętam zgoła,
Jak wiele czasu przetrwałem w tym stanie...
Kiedym się ocknął, poglądam dokoła:
Jam w wiejskiej chacie złożony na sianie,

A nad mą głową, — czy widzę? czy marzę? —
Zwisły dwie ludzkie nieznajome twarze.
W lnianej odzieży jasnooka dziewa,
Zarumieniona, to naprzemian blada,
Pot mi ociera, do ust napój wlewa,
I patrzy w oczy, jakby życia bada.
Półwieczny wieśniak, siedzący koło niej,
Mego oddechu z natężeniem słucha;
Pokiwał głową, podparł się na dłoni
I buchnął dymem z krótkiego cybucha.
Twarz ogorzała, wąsata, brodata,
Lecz słodki uśmiech po twarzy mu lata;
Na silnych barkach miał sukmanę siwą,
Borsuczą torbę i przykrycie głowy;
U jego pasa był nóż i krzesiwo
I na rzemieniu kręty róg wołowy.
Patrzę się pilno... mniemałem, że roję;
Badam, czy żyję — lecz serce kołata;
Chcę mówić — słowa rozległy się moje:
Kto wy jesteście? i jaka to chata?
Czemu nie jestem w pustelnej pieczarze?
Czym ja przytomny? czy ja we śnie marzę?

XV.

Rzekł mi: Ja jestem tutejszy gajowy,
A wasza miłość, nie wiem kto jesteście.
Leżałeś w lesie bez ducha, bez mowy
Całą godzinę; zagadałeś wreszcie
Coś bezprzytomnie niby przy fortecy
Rycerz zajęty bojowem rzemiosłem.
Widząc, żeś chory, wziąłem cię na plecy
I do mej chaty, do córki zaniosłem.
Tutaj na sianie, to spałeś jak drewno,
Toś sobie jakieś przypominał zbrodnie.
Tak między życiem a śmiercią już pewną,
Myśmy was strzegli całe dwa tygodnie.
A człowiek jakoś na puszczy dalekiej

Zna różne ziółka, i kwiatki, i trawy:
Wziąłem cię leczyć... i Pan Bóg łaskawy,
Ot, jakoś proste powiodły się leki.
Kto waszmość taki, nie pytam się o to,
Boś jeszcze słaby, a mnie czas do dzieła;
Znaczno, żeś szlachcic — ej, młoda słaboto!
Podziękuj Bogu, że niemoc minęła!

XVI.

Tak, kędy serca proste, chata cicha, ciepła,
Choroba przemijała, a dusza mi krzepła.
Zszedłem z łoża niemocy. Dni za dniami biegą,
I chciałem już opuścić chatę gajowego,
Iść gdzie oczy poniosą na rozstajne szlaki,
Wybrać sobie pustynię albo klasztor jaki
I tam resztę żywota spędzić na pokucie;
Lecz tu mię zatrzymało wdzięczności poczucie.
On mi życie przywrócił, on czuwał nad chorym,
Grzechby ciężki tak prędko rozstać się z Hrehorym.
Ile ręce umieją, ile siła starczy,
Postanowiłem dzielić ich trud gospodarczy.
A to już była jesień — pomiędzy polany
Pustował w dzikim borze grunt niepoorany,
Bo gajowy pod starość rozleniwiał trochę,
Wolał pieski i strzelbę, niż woły i sochę; —
Więc mi przyszła ochota, dziej się Boża wola!
Poorzę mu, jak umiem, choćby zagon pola;
Przez to szlachecka ręka nie zhańbi się srodze;
Potem zboże posieję i płotem ogrodzę,
Jesień tu popracuję, a w zimowej dobie
Odejdę, zostawiwszy pamiątkę po sobie.
Jak się rzekło, tak stało. Z razu trudy marne:
Socha była mi ciężka, a woły niekarne,
Niewprawnemi rękoma wiedzion pług zębaty
Kroił ziemię w gzygzaki i w podarte szmaty.
Ale z pracą i na to znalazła się rada;
Już się w równiejsze skiby mój zagon układa,

Oswoiła się ręka z siekierką i z broną,
I grunt mego zasiewu zaruniał zielono.
A Hrehory i nierad, i rad, że mu służę,
Przepraszał mię, szlacheckiej dziwił się naturze,
Wybadywał, kto jestem? czy rodem stąd blizko?
Chciał wiedzieć me przygody i moje nazwisko.
I na cóż wam — mówiłem — moje straszne dzieje?
Pozwólcie, niech pracuję, niech nie leniwieję,
Niech dla ciebie poświęcę me siły młodzieńcze,
Za życie, za czuwanie, za chleb się wywdzięczę!
Tak zbywałem pytania — a żałując czasu,
Szedłem z sochą na pole, z siekierą do lasu;
I tutaj w pocie czoła wśród modlitwy Bożej,
Och! gdyby spokój ducha, byłoby niezgorzej.

XVII.

Hrehory miał córkę w wiośnianym dni kwiecie;
W borowej zaciszy wyrosło to dziecię,
Jak chmielu gałązka, gdy wić się poczyna,
Lękliwa i żwawa, jak leśna ptaszyna;
Jak leśna przylaszczka błękitne jej oko —
A duma poważnie — a wzdycha głęboko —
Czuwała przy mojej Łazarza pościeli.
Jak leśna wiewiórka póki się ośmieli,
Od wzroku truchleje, od ręki ucieka,
I znowu ci w oczy pogląda z daleka,
I znowu się zbliży, i zwolna, och! zwolna
Oswoi się z człekiem figlarka swawolna,
Poczyna igraszkę a czasem gdy łaska,
Na ramę ci wskoczy, oblicze pogłaska,
I znowu ucieka, po drzewach się wspina:
Tak samo nieśmiała, pierzchliwa dziewczyna
Wlepiała mi w oczy wzrok pełny rozkoszy;
To coś ją przynęci, to znowu odpłoszy.
Nie chciałem o serce dobijać się młode,
I wzrokiem zbrodniarza zatruwać swobodę
Niewinnych jej dumań.

Bywało gdy w święto,
Ja siedząc oparty o kłodę wyciętą,
I z twarzą pochmurną, jak dusza skalana,
Modlitwę pokuty zasyłam do Pana, —
A ona swobodna jak motyl skrzydlaty,
Wybiega do lasu w jagody, po kwiaty,
Zatrzyma się przy mnie, popatrzy mi w oczy,
I głowę opuści, oblicze zamroczy,
Poduma — i z trwogą aż cofnie się zbladła,
Jak gdyby głąb piersi mordercy odgadła.
Bywało z siekierą gdy ręka mi słabnie,
Gdy skiby z pod sochy ścielą się niezgrabnie,
Gdy kosa nierówno uderza po trawie,
Śmieje się dziewczyna i pyta ciekawie:
Ej, Kuźmo! kto jesteś? i z jakiej ty strony?
Jak starzec posępny, jak szlachcic pieszczony —
Prawdziwe chłopaki to u nas nie tacy:
Ochoczy w zabawie, a dzielni do pracy.
Czy wiesz co? zapomnij twej wioski dalekiej,
Tu zostań na długo... na długo, na wieki;
A wtedy obaczysz... odżyjesz w tym lesie:
Tu praca i siłę, i zdrowie przyniesie;
Tu będziem pracować, tu będziem się śmieli,
Dla ciebie tu zdrowiej, a dla nas... weselej.
Pozostań tu z nami — raz mówił Hrehory —
Ja codzień to gorzej i stary i chory,
I w lesie, i w chacie coś idzie nieskładnie,
A jak ty odejdziesz, i ten ład przepadnie!
Ot ja ci po prostu swe myśli odkryję:
Marya cię lubi — ty lubisz Maryę;
Choć, widzisz... pustota jej trzyma się głowy,
Ty mruczysz poważnie jak niedźwiedź borowy;
Lecz widzę was dobrze... czy w polu, czy w chacie,
Wy sami nie wiecie, że wy się kochacie.
Więc przyjdźcie tu do mnie, o zgodę poproście,
Pójdziem się pokłonić we dworze staroście,
Wyprawim sowite wesele i tany,

I będziesz mym synem, mój Kuźmo kochany.
Ty strzelasz niezgorzej, widziałem już próby,
A ja ci przekażę myśliwskie sposoby,
I strzelbę żwirówkę, poczciwe narzędzie —
Zostaniesz tu strzelcem... i dobrze ci będzie.

XVIII.

Tak mi mówił Hrehory — a jam zdrętwiał cały,
Uśmiechnąłem się niby, i łzy się polały,
I w głąb mojego serca zajrzałem z obawą:
Och, jam kochał Maryę! Ale któż dał prawo
Temu posiadać szczęście niewinne młodziana,
Czyja przeszłość zbrodnicza, a dusza skalana?
Jam zatruł cudze szczęście — ach! tam w mojej włości
Płynęła krew niewinna, płyną łzy żałości!
Tam, gdzie syna kmiecego zgładziłem ze świata,
Ojciec, matka przeklęctwy do Niebios kołata;
Gdy na mnie piorun Boży gotują ich żale,
Jażbym tutaj o szczęściu śmiał myśleć zuchwale?
Nie... ucieknę! ucieknę do mojego sioła,
Jak mi kapłan rozkazał, jak sumienie woła,
Rzucę herbowną pychę... o! dosyć jej, dosyć!
Dziś umiem, dzięki Bogu, i orać i kosić;
Już zapomnę, żem rycerz herbowny, bogaty,
Zastąpię starym kmieciom podporę ich chaty...
Och! i tego za mało gwoli ich pociesze:
Zastąpię wyrobnika — lecz syna nie wskrzeszę!

XIX.

Gdy takie myśli Bóg we mnie budzi,
W nocy uciekłem od dobrych ludzi,
Wyszedłem z lasu, choć poniewoli;
A serce bije, a dusza boli,
Bo w lesie szczęście moje zostawa;
Ale ofiara wielkie ma prawa.
Widzę przed sobą, widzę zaiste
Drogi ciernistę i krzemieniste —

Lecz nawet z bólu jęknąć nie mogę.
O! któryś odbył krzyżową drogę,
Na mojej drodze wzmocnij mię, Chryste,
Na szczyt Golgoty! — Nierówna miara:
Bo tam za ludzkość święta Ofiara,
Tam był Miłości przykład jedyny,
Tu jeno własnej zgładzenie winy.
Że sercu ciężko? och, to rzecz błaha!
Przeklęctwo temu, kto się zawaha,
Kto swą powinność spełnić się zlęknie,
Kto pod ciężarem krzyża zastęknie!

XX.

Tak świętej powinności przejęty zapałem,
Do rodzinnego sioła pieszo wędrowałem;
Z kijem, z torbą obszedłem okoliczne strony,
Niby żebrak, roboty i chleba spragniony:
Zwiedziłem dom ojczysty — co zmian w krótkiej chwili!
Nowy dworzec postarzał, rodzice nie żyli,
Moja siostra władała i dworem i siołem;
O mnie mówili ludzie, że w boju zginąłem.
Młodszy mój brat, przed królem stanąwszy przytomnie,
Chorążowstwo połockie odziedziczył po mnie.
W domu ojców nie zgadli kto snadź ten ubogi,
Własny brytan myśliwski szarpnął mię za nogi,
A nawet mnie nie poznał ni z twarzy, ni z mowy
Stary szafarz, mój niegdyś luzak obozowy.
On popatrzał mi w oczy, na twarz, na łachmany,
Podał mi chleb razowy i szeląg miedziany,
I westchnął stary kamrat pancernego znaku:
Za duszę Kazimierza, pomódl się żebra-[ku!
Rzekł i odszedł powoli.

O strono domowa!
Więc tu jeszcze ktośkolwiek moją pamięć chowa!
Ale nikt mię nie poznał — czy twarz moja blada?
Czy czarna, gęsta broda, co na piersi spada?

Nie odgadli żebraka w progach jego domu,
A jam się nie dał poznać nikomu... nikomu.

XXI.

Poszedłem do mej wioski — co tu zmian, mój Boże!
Jedną chatę wzniesiono, a druga się wali.
Siadłem w izbie karczemnej, przy progu, w pokorze;
Był to wieczór, a ludzie z pola powracali.
I zaszło tutaj kilku starych gospodarzy,
Jeden z kosą, ów z cepem — usiedli za stołem,
I jeden do drugiego przepija i gwarzy.
Ja pilno słuchać począłem.
I zadrżałem, bom poznał starego Marcina,
Któregom osierocił w moje dni junacze;
Dziad postarzał, posiwiał, garbić się poczyna,
Oczy mu krwią zabiegły, znać, że często płacze.
On przy czarce, przy lulce, w kole towarzyszy,
Rozpłakał się, gdy stare opowiadał dzieje:
Ej, kumie Mikołaju! Bóg widzi i słyszy,
Co ja codzień wycierpię, co ja łez wyleję!
Ej, pan Kazimierz Korsak, niech Bóg nie pamięta!
Pokrzywdził mię... wyplenił mój ród na tej ziemi —
Ot, kumie! jużbym dotąd piastował wnuczęta,
Jużbym dziś, wyręczony rękami młodszemi,
Wypoczywał na starość i cieszył się dziatwą.
O stare moje lata! o doloż ma licha!
W lat sześćdziesiąt pracować... nie łatwo, nie łatwo!
Czoło z potu, a oko od łez nie wysycha...
Hej, panie gospodarzu! gorzałki przynieście!
Wypiję, to mię jakoś orzeźwi, odmłodzi.
Możebym rozżalony przeklinał nareszcie
Zabójcę mego dziecka — a to się nie godzi.
Już i tak on skarany za zbrodnicze dzieła,
Poszedł rachunek z Jankiem odprawić do grobu,
Jednego i drugiego kula nie minęła, —
Niechże Bóg nad duszami zlituje się obu!
Kumie, w ręce waszeci! czarkę jeszcze wzniosę

Na szczęśliwe skonanie!
Stary wypił szczerze,
Wstał, zarzucił na plecy swe grabie i kosę,
I powlókł się do domu, szeptając pacierze.

XXII.

Śladem za nim poszedłem aż do jego chaty
Ja, dziedzic włości bogaty.
I niby to z daleka przychodzień, sierota,
Zakołatałem we wrota;
I prosiłem ze łzami, by starzy kmiotkowie
Dali przytułek mej głowie.
Ja mam silne ramiona i serce ochocze,
Ja was staraniem otoczę,
Ja się pracą wywdzięczę za przytułek w chacie,
Wszakże wy syna nie macie.
I ja jestem sierota — wy dla mnie na świecie
Ojcem i matką będziecie.
Ja ujmę w młodsze ręce twoją, starcze, sochę!
A chleba i strawy trochę,
Trochę czułego serca niech litość przeznacza
Dla nieszczęsnego tułacza.
Tak mówiłem — prostota i łza moja szczera
Poczciwe serca otwiera.
Popłakali się starzy, ofiarę przyjęli,
Siedliśmy za stół weseli;
A przy skromnej wieczerzy, wieśniaczka zgrzybiała
Kiedy mię synem nazwała,
Uczułem taką radość, taki spokój żywy,
I byłem taki szczęśliwy,
Jakby sam Bóg zawołał, kojąc me rozpacze:
Kaimie, Ja ci przebaczę!

XXIII.

Już siódmy rok się kończy, jako u nich żyję,
Jarzmo pracy rolniczej włożywszy na szyję,
Razem z duchem ofiary wzmagała się siła,
I chatnia gospodarka w mych ręku odżyła.

Potem mojego czoła zlewałem zagony,
I rodził grunt, starannie z chwastów wypleniony;
Pracowałem i ręką, i sercem, i głową,
Pobudowałem chatę i stodołę nową.
Ani na dworne miedze, ni na swoje pole,
Nigdy bywało ojcu ruszyć nie pozwolę;
Nigdy bywało matce praca nie dobodzie,
Nie przyszło żąć na niwie lub kopać w ogrodzie.
Jam pracował dla wszystkich, ile siła zmoże;
Odbierałem obelgi i chłosty we dworze,
Bo nikt się nie domyślał z całego tu grona,
Ani dworski starosta, ni siostra rodzona,
Żem ja, brat zaginiony, żem dziedzic ich włości
Takem się ja za zbrodnię wypłacał ludzkości...
Tak, ojcze spowiedniku! wedle twojej myśli
Założoną pokutę spełniłem najściślej:
Wdziałem wełnianą odzież, jaką noszą chłopi,
Przepasałem me biodra powrozem z konopi.
We własnej mojej wiosce, ja dziedzic bogaty,
Szedłem za wyrobnika do sierocej chaty,
I rodzicom ich syna zastępując szczerze,
Poświęciłem się cały sosze i siekierze.
Oto po siedmiu leciech, po mozolnej pracy,
Przyznali mię za syna zgrzybiali wieśniacy.
Oto ci całe życie wyznaję swobodnie...
Księże! w Imię C h r y s t u s a odpuszczaj mi zbrodnię!
Czuję, że życie moje chwilami się liczy:
Piersi moje osuszył kaszel suchotniczy;
Słowa, któremi moje otwieram ci rany,
To ostatni wysiłek piersi skołatanej.
Nikomu nie powiadaj, kto jestem, kto byłem:
Srodze pokutowałem, bo srodze zgrzeszyłem.
Tu niemasz bohaterstwa ni wielkiej zasługi —
Gdybym żył drugie życie, jeszczebym raz drugi
Odbył taką pokutę w pokorze i skrusze...
O Boże, chciej przygarnąć bolejącą duszę!...

XXIV.

Chory przestał już mówić — a ciekawa rzesza
Pogląda nań, z boleści ściskając ramiona.
Spowiednik rozgrzeszenia modlitwę przyspiesza,
Dopóki Łazarz nie skona.
Ale jeszcze nie skonał, jeszcze się porusza,
Kaszlnął krwią, podniósł oczy i cichemi słowy:
Ojcze!... matko!... przebaczcie!... — i już jego du-
Stoi przed sądem Jehowy. [sza
Z duszą jego jęk starców poleciał ku Niebu;
Zapłakali sąsiedzi, których dzielił pracę;
Jezuita spłakany wywiódł pieśń pogrzebu:
O requiescat in pace!

XXV.

Kazimierz Korsak śpi w wiejskiej mogile,
W chłopskiej sukmanie — a jak tego życzy,
Jego ród pański i poświęceń tyle,
Wszystko ukryte w ciszy tajemniczej.
Tylko Podolec dla przyszłej pamięci
Rzecz całą w aktach zapisał w klasztorze,
I stary Marcin domyślał się może,
Bo gada z sobą i głową coś kręci.
I na mogiłę chodzi co poranka,
Kędy dwa groby, i Kuźmy, i Janka.
I wkrótce ludzie wykopali z blizka
Dla dwojga starców piasczyste mogiły.
Zielskiem zarosły cztery grobowiska,
I cztery krzyże z latami zegniły.
W wiosce czas jakiś gadano jedynie
O młodym Kuźmie, co przybył w te strony,
I jakby cudem Bożym nawiedzony,
Ostatnią spowiedź odbył po łacinie.

XXVI.

Może w końcu gawędy ciekawi jesteście,
Co z Hrehorym, co z Maryą stało się nareszcie?
Czy w lesie, gdzie pracował, gdzie przeżył nie mało,

Jakiekolwiek wspomnienie po Kuźmie zostało?
Och, zostało wspomnienie!... tu od chaty blizko,
Mchem borowym porosłe proste grobowisko;
I w sercu Hrehorego niezgojona rana,
I w starych jego oczach łza nieprzepłakana,
Jak woda, co z pod góry wyciska się z cicha,
Spada jeno kroplami, ale nie wysycha.
Gdy Kuźma zginął z chaty, był popłoch niemały:
Mniemano, że go zwierze w lesie rozszarpały,
Mniemano, że na puszczy zabłąkał się może,
Lub że biedny utonął w poblizkiem jeziorze.
Hrehory wzywał ludzi, błąkał się po kniei,
Wołał i w róg wołowy trąbił po kolei,
Lecz za całe wołanie, za odpowiedź całą
Tylko w sosnach borowe echo odhukało.
Hrehory przestał szukać...
                                        A biedna Marya
Rozpaczliwem wołaniem wciąż Niebo przebija:
Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś? — woła w puszczę głuchą,
Tamuje oddech w piersi i natęża ucho,
Kędy echem pustynia odezwie się dzika,
Ona biegnie w tę stronę i znowu wykrzyka.
A gdy w jęku i biegu opuszcza ją siła,
Głos gdy drętwiał, a usta spiekota paliła,
Ona tchem gorączkowym chcąc orzeźwić łono,
Przypada w dzikie chwasty i trawę zieloną,
I zrywa się, i bieży obłąkane dziecię:
Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś? odezwij się przecię!
Przedziera się przez chwasty, to jęczy, to klęka,
Modli się, padłszy na twarz, aż łzami przesięka
Mech borowy, i ziemia wilgotna, i trawa,
A z ziemi chłodem wionie — lżej sercu się zdawa.
  Po czterech dniach upadła w boleści i trudzie,
O trzy mile od chaty znaleźli ją ludzie:
Zbladły lica, na których kwitł rumieniec żywy,
W rękach ściśnięte kwiaty i dzikie pokrzywy.
Mniemali, że umarła, bo blada i milczy,

Tylko w błękitnych oczach blask dziki, jak wilczy,
Migoce, zdradza życie, co już gasnąć zacznie.
A poczerniałe usta coś szepcą dziwacznie.
Przysłuchali się ludzie: och, znajome słowo!
Dziewczyna śni wesele, śpiewa pieśń godową,
Że niby to ją Kuźma po imieniu woła,
Że niby to ją drużki wiodą do kościoła:

XXVII.

Słonko Niedzielne świeci,
Świeci jasną pogodą —
Ojcze, błogosław dzieci!
Już mię do ślubu wiodą.
Na dworze gości roje,
Tam i lubego zoczę;
Drużki, wy siostry moje,
Spieszcie mi pleść warkocze!
Kieruj pod cmentarz konie,
Pod cmentarz, drużbo miły!
Ja matce się pokłonię,
Przeżegna mię z mogiły!
Z ruty zielony wianek
Na moją głowę włoży, —
Ej, Kuźmo, piękny ranek
Piękną nam dolę wróży!
Ej, spieszcie lasem, błonią,
Bo droga nam daleka!
W kościele dawno dzwonią,
Ksiądz przed ołtarzem czeka!

XXVIII.

Tak szepcąc, jęcząc piosnkę — skonała po chwili.
Struchleli dobrzy ludzie, co świadkami byli;
A piejąc Anioł Pański drużyną gromadną,
Ojcu odnoszą zgubę i na ławie kładną.
Stary ojciec nie płakał, tylko ruszał głową,
Milcząc wyciosał mary i trumnę jodłową;
Wykopał sążeń jamy na jej trumnę drobną.

A księdzu dał na dzwony i na Mszę żałobną,
I garść piasku nasypał dziewczęciu na oczy...
Grób ją z lubym zjednoczył — czyż Pan Bóg zjednoczy?

Lipiec 1853. Borejkowszczyzna.

PAN MAREK W PIEKLE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

I.

Panie Jakóbie! Canonica hora...
Żyjemy z sobą nie dziś i nie wczora,
Byliśmy razem smutni i weseli,
Razem miód pili i razem krew leli;
Co zjedli soli nie przemierzyć korcem,
Snuli się niegdyś pod jednym proporcem
Po całym świecie, jak po piekle Marek —
Toć miło razem wychylić puharek.
Daj Bóg na starość pocieszyć się zdrowiem!
Ja ci o Marku przypowiastkę powiem.

II.

Ten Marek — słuchaj Jegomość Dobrodziej —
Jak się nazywał i z kogo się rodzi,
Jakiego herbu używał w sygnecie,
Nic nie wiadomo, a świat różnie plecie.
Lecz był to szlachcic; mimo szlachty braci,
Z wielkim się domem jakoś koligaci:
Nie już po mieczu doszedł paranteli,
Lecz się poplątał więzami z kądzieli,
Co mu tak serce próżnością rozłechce,
Że z drobną szlachtą i gadać już nie chce;
Szlacheckie dwory omijając zdala,
Jeno się pany możnymi przechwala.
Zamiast zajadać z dziatkami i z żoną
Szlachecki barszczyk ze schabą wędzoną
I pijać piwko, co się w kuflu pieni,

Pan Marek wzdycha do pańskiej pieczeni
I do ukłonów stare kości zgina,
By spijać męty pańskiego węgrzyna.
Na chudej szkapce, z szabelką u pasa,
Z zamku do zamku ustawicznie hasa:
Tam pan kasztelan wyprawuje gody,
Tam imieniny pana wojewody.
Gdzie brat choruje, tam go ani proście:
On spieszy leczyć ogary staroście.
Dopieroż patrzaj, jak wyciąga szyję
I jasnym panom prawi oracye,
Jak ich wywodzi od dziada, pradziada,
Jak submituje i do stóp się składa!
A jasne pany, zwyczajnie jak pany,
Szlacheckim plecom nie skąpią swej ściany,
Rzekomo szlachtę przyjmują z rozkoszą,
Na szarym końcu do stołu poproszą,
Tam przypochlebiaj, znoś urągowiska,
A przed sejmikiem pan za to uściska,
A na sejmiku swojej sprawie gwoli
Łeb na szablice nadstawić pozwoli:
Oberwiesz kresę, to ją znoś w pokorze!
Panie Jakóbie! czyż nie prawda może?

III.

Już to prawdziwie, gdy się człek obliczy,
My szlachta lubim ten chleb służebniczy,
Radziśmy w pańskiej ujarzmiać się sosze,
Ten mniej, ten więcej, a wszyscy po trosze.
Ale pan Marek w pochlebstwa ferworze
Uboższych nie miał za stworzenie Boże;
Tylko w gospodzie, przy szlachcie poziomej
Lubił wyliczać senatorskie domy,
Z któremi, mimo dziurawej opończy,
Albo przyjaźnią, albo krwią się łączy,
Z któremi żyje tak za-panie-bracie,
Jakby sam krzesło zasiadał w senacie.

Pan Marek ginął, ciesząc się, że ginie,
Przyjmował pany w ubogiej wiosczynie,
Rad, gdy zapasy grosza i śpiżarnie
Zjadały pańskie pachołki i psiarnie.
A nigdy w imię braterskiej równości
Kowieńskim lipcem nie uraczał gości;
Jeno, nie bacząc, staje czy nie staje,
Sprowadzał z Węgier kosztowne tokaje,
I (co podanie wiarogodne ręczy)
Jakby w kościele, palił wosk jarzęczy.
Kominek doma był prawie nieznany:
Wstyd przy ognisku biesiadować z pany.
A głupie zdanie! od świecy jarzącej
Kominek światła i ciepła ma więcej.
A kiedy buchnie, zahuczy, wystrzeli,
Ludzie, chcąc nie chcąc, muszą być weseli.
Zwłaszcza gdy wtórzy do ognia wybuchu
Brzęk szklanic, miły szlacheckiemu uchu;
Rodzą się dumki, gawędki, p r z e z d r o w i e!
Panie Jakóbie! czy ja prawdę mówię?

IV.

Prawda? więc jeszcze brzęknijmy w puharek!
Co ja mówiłem?... otoż to!... pan Marek,
Lekce szlacheckie poważając rzesze,
Czepia się panów i ku ich pociesze
Nie szczędzi karku, trzosu i oręża,
Odłuża wioskę, zdrowie nadwyręża.
Przyszła choroba, po krótkiej chorobie
Umarł nieborak i położon w grobie.
Tu nikt nie płakał u grzesznego ciała,
A tam się dusza — do piekieł dostała,
Czy, mówiąc grzeczniej, jeśli taka wola,
Poszła na święte elizejskie pola.
Tam się ognisko niezgasłe rozpala,
Męki Danaid, Syzyfa, Tantala
Obaczył Marek z przerażoną twarzą.

Ale iż głupców tak srodze nie karzą,
Więc go strażnicza dopuściła władza,
Gdzie orszak zmarłych cieniów się przechadza.
A był to ogród cienisty, szeroki,
Zawierał gruntu trzy lub cztery włoki,
A kędy lasek czy kwiecista łąka,
Gromada cieniów swobodnie się błąka.
Niejeden z cieni stając przy sąsiedzie,
Macha rękoma — snadź rozhowor wiedzie;
Ciała nie widać, lecz kędy cień głowy
Gwar się rozlega poważnej rozmowy.
Pan Marek myśli: Ha! tu jak na ziemi
Człek się nagada, będzie żył ze swemi,
Jeno potrzeba po dworsku i gładko
Z jakich się panów połączyć gromadką.
Ot, kilka cieniów toczy się, jak płynie —
Znaczno po minie, znaczno po czuprynie,
Co to za ptaszki i jakie ich pierze:
Wojewodowie, hetmany, kanclerze!
Jeden cień mówi — ho! poznaję z mowy,
To pan wendeński starosta grodowy! —
Pomyślał Marek i bieży doń prosto:
Powolne służby dostojny starosto!
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan starosty uchyli;
Lecz się starosta nie odkłonił wzajem,
Tylko zachrząknął pańskim obyczajem,
I odszedł dalej, nachmurzywszy lica,
Jakby nie widział i nie znał szlachcica.
Dzisiaj starosta w niedobrym humorze!
Ot pan kasztelan — przywita się może! —
Pomyślał Marek i przed cieniem stanie:
Powolne służby, mości kasztelanie! —
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan kasztelańskich chyli;
Ale i tutaj nadaremna praca:
Kasztelan spojrzał i wstecz się odwraca.

Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej;
To wojewodzie powitanie pali,
To hetmanowi swój afekt wymierza,
To się przysunie do pana kanclerza,
Aż łamie ręce — nadaremna rada,
Bo żaden z panów i słowa nie gada,
Choć między sobą, gdy się w kółko zgarną,
To słychać śmiechy i rozmowę gwarną.
Simili gaudent — każdy równej głowie —
Panie Jakóbie! czy to złe przysłowie?

V.

Marek w rozpaczy — boć to męka szczera:
Język się gwałtem gawędki napiera,
I wszyscy gwarzą, i wszystkim tak błogo,
On nie ma słowa wyrzec do nikogo.
No! — myśli sobie — po takiej nauce
Już ja do panów nie rychło powrócę.
Ot, tam pod cieniem cedrów i oliwy
Szlachecki sejmik — ale jaki żywy!
Jaki gwarliwy! po zakroju znaczno,
Że zaraz bić się i zapijać zaczną.
Do szlachty, Marku! do swoich podążym:
Tu cześnik żwawo rozprawia z chorążym,
Wojski ze skarbnym do bitwy stanęli,
Już się krzyżują cienie karabeli,
A regent, znaczno już cięty potrosze,
Woła do szlachty: Uciszcie się, proszę!
Oto pan miecznik naprzeciw mnie kroczy...
Czołem mieczniku! — rzekł Marek ochoczy.
Ale ensifer — skąd taka niełaska? —
Wąsa zakręcił, czuprynę pogłaska
I rusza dalej, nasrożywszy lica,
Jakby nie widział, nie słyszał szlachcica.
Czegoś niewesół... niech sobie się złości!
Panie rotmistrzu, mój pokłon waszmości! —
Zawołał Marek; ale próżna praca:

Rotmistrz pomruknął i wstecz się odwraca.
Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej...
Czy go nie widzą? czy go nie poznali?
Kogo powita, do kogo zawoła,
Wszyscy od Marka odwracają czoła;
Kogo chce ścisnąć — wymyka się ręka,
Napróżno woła, zaklina, uklęka
I błaga cieniów: Szlachcicowie mili!
Byście choć słówko przemówić raczyli,
Przyjmijcie brata, nie karzcie surowo!
  Lecz cienie tylko potrząsają głową;
A gdy upada, gdy do nóg się ściele,
Oni wzgardliwie brzęczą w karabele.
Ot, jak mu płacą — i dobra zapłata!
Bo kto się hardo wymykał od brata,
Niechaj na zawsze odrzucon zostanie!
Panie Jakóbie! czy to słuszne zdanie?

VI.

  — Niech licho bierze szlachtę od waszeci!
Na złość herbownym przystanę do kmieci! —
Zawołał Marek, już zły co się zowie.
Tam wedle zdroju siedzieli kmiotkowie;
Kiwa coś głową pracowita tłuszcza
I z krótkich lulek dym kłębem wypuszcza.
A cienie gwarzą: Ej, panie sąsiedzie!
Bóg raczy wiedzieć, jak dziatwie się wiedzie?
Za naszych czasów głód pukał do chatek,
Na święty Marcin i czynsz, i podatek,
A grunt jałowy, nie użyznić pracą...
Boże, mój Boże, czem oni wypłacą!?
Tak sobie gwarzą ubodzy włościanie,
Gdy się pan Marek zbliżył niespodzianie.
Ale na widok pańskiego kontusza
Cała gromada z miejsca się porusza,
Kłania się nizko przed obliczem pana
I wstecz ucieka, jakby rozegnana.

Bo widzisz aspan, że chłopska gromada
Sercem ze szlachtą dzielić się nie rada;
Wie, żeśmy o nich nie wielce ciekawi,
Czy złe, czy dobre, w głębi serca dławi.
Bo taki narów już mają ludziska:
Trzeba zasłużyć, nim ufność się zyska;
Spółczucie bywa spółczucia zapłatą.
Panie Jakóbie! a co waszeć na to?

VII.

Marek zębami aż zazgrzytał wściekle,
Dalej a dalej snuje się po piekle;
Od chłopskiej ciżby ucieka na stronę,
Gdzie chodzą pany jaśnie oświecone;
Gdy jasne pany gadać z nim nie raczą,
Znowu się kryje za ciżbę wieśniaczą;
A kiedy kmiotki uciekają przed nim,
Idzie się kłaniać szlachcicom sąsiednim;
Lecz odepchnięty od szlachty i kmieci
Na nowo panom swe służby zaleci.
Gdy tak się snuje od grona do grona,
Mijają lata, wieczność nieskończona;
Wszyscy się cieszą ze swymi w gawędzie,
A Marek wiecznie pokutować będzie,
Od wszystkich spotkan szmerem pośmiewiska,
Nikt go nie pozna, ręki nie uściska,
Żaden go z braci nie uzna za brata...
Panie Jakóbie! czy słuszna zapłata?

VIII.

Pewna pobożna niewiasta w klasztorze,
Miewając we śnie objawienia Boże,
Między innemi widziała w zachwycie
Marka po śmierci opłakane życie.
Jako na siostrę zakonną przystało,
Słowo do słowa historyę całą
Spowiednikowi wyznała przy kratce,
Potem do ucha przełożonej matce,

Potem siostrzycom. Przez usta niewieście
O Marku w piekle zagadali w mieście
I w całym kraju; a na tej osnowie
Pomiędzy ludźmi powstało przysłowie,
Że kto się snuje od kąta do kąta,
Mówią: jak Marek po piekle się pląta.
Ludziom śmiech tylko — niech śmieją się zdrowi!
A tam bolesno, bolesno Markowi
Wyspołecznienie od swoich ponosić...
Ej, u nas takich grzeszników jest dosyć!
Niech Bóg im chętkę pochlebstwa odbierze —
Panie Jakóbie! zmówmy trzy pacierze.

22 grudnia 1853. Tulonka.

URYWEK.

Zrąbali dąb, gdzie Litwin Perkunasa chwalił,
I krzyż tam postawili — a krzyż wiatr obalił.
Dlaczego Bóg wasz krzyża Swojego nie broni?
Och! potrzebny nam Perkun z piorunami w dłoni!
Wszak jeszcze świętokradców jest liczba tak mnoga,
Co bluźnią starych bogów i nowego Boga!
Wy przecież o swym Bogu powiadacie chytrze,
Że odkrywa aż w sercu uczucia najskrytsze,
Że zgaduje rzut oka, cień myśli człowieka, —
Zgaduje, zapisuje i poprawy czeka.
Zawsze jest nad grzesznikiem cierpliwości łaska!
Perkun niedługo czeka, a piorunem trzaska.
O! zuch nasz stary bożek — bo on dobrze świadom,
Że cnotliwy ulegnie zbrodniczym przykładom;
A dla złego człowieka wszystko mniejsza o to,
Nie łatwo złość swą uzna, uklęknie przed cnotą.
Zabij złego, bo dobry przyjdzie ku zatracie.
A u was co?
Nie bluźnij, nie bluźnij, mój bracie!...

1854. Borejkowszczyzna.

SPIS RZECZY.

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.



„Snadź kula czoło jego przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy."
(Illustr. do poematu: „Urodzony Jan Dęboróg" Tom I str. 91)

NOWA BIBLIOTEKA
PISARZY POLSKICH.

TOM XIV.

POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA
(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM II.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.

UTWORY EPICKIE.



MARGIER,

POEMAT Z DZIEJÓW LITWY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Gdzie ty, święta przeszłości macierzystej ziemi,
Z twojemi bohatery, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie, jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiej książce lub na starej cegle?
Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię,
Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny
Któż zdoła wypowiedzieć los całej krainy?
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto mrok zapadłych czasów odświetli choć trocha?
Chyba serce pobożne, co praojców kocha,
Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
Przy harfie wyciosanej z litewskiego drzewa,
Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
I z gruzów rumowiska skrę życia wykrzesze.
O! w jakim cię kurhanie zagrzebali starzy,
Stara a święta harfo litewskich pieśniarzy?
Poważnym głuchym szmerem zabrzęknij z mogiły,
Aby się nasze piersi w twój takt dostroiły.
Zrodzony w nowych czasiech i w inszej nauce,
O twoich dawnych bogach oto pieśń zanucę,
Nie świętokradzką ręką, lecz w dobrej otusze
Święty popiół praojców z mogiły poruszę.
Drużyną zakrwawioną, w niedźwiednie przybraną,

Przed oczyma potomków praojcowie staną,
Dzicy, jak dzikie puszcze, w których Litwa żyje,
Czyści, jak czyste rzeki, z których wodę pije,
Rzewni, jak wiatr jesienny, co huczy po lesie,
Jak piosenka żniwiarska, którą echo niesie.
Lud, co się przeniewierstwem nie shańbi, nie skazi,
A szanuje swych bogów, kapłanów i kniazi;
A bogi, przed którymi na twarze się ściele,
Srodzy, dobrzy i prości, jako ich czciciele;
A książęta, co Litwę trzymają pod władzą,
Za jej zdrowie swój żywot, swoją krew oddadzą,
A podzielą się z ludem i serca połową,
I chlebem, i zdobyczą, i sławą bojową,
I śmiercią bohaterską, gdy idzie o życie:
O takiem to plemieniu powieść usłyszycie.
A gdy słabemi dłońmi po strunach uderzę,
Czyli zapieję pieśnię o chrobrym Margierze,
Czy z daleka ukażę krwią zalane zgliszcze,
Czy w strunach zagrzmi Perkun, czy wicher zaświszcze,
Czy ziemicę Olgierda mój głos upamiętni,
Czy jęknie płacz dziewiczy lub serce zatętni,
Czy zabrzmi łoskot mieczów i bojowych młotów —
Stara harfo litewska, harfo wajdelotów!
Struny zardzewiałemi od grobowej pleśni
Odezwij się z pod ziemi, daj hart mojej pieśni.
Przyuczeni od wieków słuchać głos twój święcie,
Wstaną ojce na wnuka lirnicze zaklęcie.
Synowie młodszych czasów, rówiennicy moi!.
Przyjdźcie do nas posłuchać, jak się harfa stroi,
A otoczcie lirnika serdecznie a pięknie,
A wybaczcie, gdy czasem zbyt słabo zabrzęknie,
A przyjmijcie z łaskawym uśmiechem na twarzy,
Gdy wam powieść o wiekach dawniejszych wygwarzy.

II.

Olgierd władał na Litwie, a Kiejstut na Żmudzi.
Litwa słynęła strachem i cześcią u ludzi;

Od Euksynu po ziemię krzyżackich rycerzy,
Od Karpat po Ładogę swe podboje szerzy;
Rozlewa się po ruskiej i po lackiej ziemi,
I utrwala swą władzę księstwy udzielnemi.
Na stolicach, gdzie dojrzeć nie może z oddali,
Książę mieści swych braci i swoich wassali;
Imieniem hołdownictwa powierza w ich ręce
I miecz sprawiedliwości, i prawo książęce. —
Prawo żyć i umierać dla dobra narodu.
O dwa dni pieszej drogi od trockiego grodu,
W lesie nad krętym Niemnem, od krzyżackiej ściany,
Wznosił się zamek Pullen, stary a drewniany.
Gdy Kiejstut posiadanie tej strony odbiera,
Swoje prawa książęce przelał na Margiera.
Więc jako hołdowniczy książęcej korony,
I mieczem uzbrojony, i prawem wzmocniony,
Margier na zamku Pullen wpośród leśnej dziczy
Nad Litwą od niemeńskich czuwał pograniczy.

III.

Na niwach nadniemeńskich bujne rosły żyta,
Zieleniła się łąka kwiatami pokryta;
Lecz przyszli Niemcy z krzyżem w nieszczęśliwej chwili,
Łąki spaśli, a zboża spalili, stłoczyli;
A ich bardysz stalowy, a ich miecz szeroki
Nażarł się ciał litewskich, napił się posoki.
Wyzwano ich na rękę — krwawy bój się sroży,
Litwa chrobrze walczyła cały dzionek Boży,
I kamiennemi młoty uderzając szczerze,
Rozbijała niemieckie piersi i puklerze.
Nie przebić głową skały — cofnęły się wrogi,
Wziąwszy łup, zostawiwszy trupy i pożogi.
Z dymów palonych wiosek, jak się widzieć może,
Krzyżacy szlak swej drogi wzięli na Pomorze.

IV.

A tu na bojowisku, pod Pullen wałami,
Zrozpaczeni Litwini zostali się sami;

Załamane ich ręce, żałosna postawa,
A ze źrenic sokolich łza sączy się krwawa.
Czy wracać do swych wiosek? och! niema już poco...
Bo te łuny pożarne, co zdala migocą,
Ten dym, co ponad Niemnem, nad lasem się ściele,
To goniec od ich rodzin: że nieprzyjaciele
Wszystko, czem dusza żyje, co kocha najczulej,
Srodze zamordowali lub więzami skuli
I powiedli w Niemczyznę.

Serce się rozrywa!
Po żalu przyszła rozpacz zajadła i mściwa;
Litwa wydała okrzyk i hurmem się ciska
Rąbać trupy niemieckie wśród pobojowiska,
I z ciał pokaleczonych, odartych do naga,
Ułożyć stos ofiarny, co bogów przebłaga.

V.

Straszny był widok pola: na zdeptanej ścierni
Leżą martwe Litwiny i Niemcy pancerni;
Na jednych lniana odzież i osłony rysie,
Na drugich jasna blacha promieniami lśni się.
Owdzie silne ramiona, zakute żelazem,
Dławiąc wroga, w uścisku zastygły z nim razem;
Na jednej twarzy boleść, na drugiej z poblizka
Szatan swój śmiech szyderczy na wieki wyciska;
Na inszej taka srogość, że zda się widocznie
Bój, przerwany za życia, po śmierci rozpocznie.
A wszystko krwią zbryzgane, a przy każdej twarzy,
Zaglądając w źrenice, już kruk gospodarzy,
Szary wilk nadniemeński z za jodeł się skrada,
Tam się brytan z brytanem o zdobycz ujada,
A tam z piersi, rozbitej ciosami bardyszy,
Jeszcze się jęk boleści lub zgonu posłyszy,
Albo ostatkiem siły przyczajonej w łonie
Ktoś modlitwę wyszepce, ktoś przeklęctwem zionie,

VI.

Litwin, zemstą kipiący, a na jęki głuchy,
Odziera z szyj rycerskich złociste łańcuchy,
Odrywa miecz od boku, szarpie hełm bogaty
I płaszcze z krzyżem Pańskim rozdziera na szmaty;
Albo żylaste ręce, jako sępie szpony,
Zapuszcza w trupią brodę, we włos utrefiony,
I targa, i znieważa ostatki człowieka;
Gdzie słyszy bicie serca, pierś na pół rozsieka.

VII.

Pod jedlinowym cieniem przyczajony z cicha,
Krzyżak, młode pacholę, pełną piersią dycha;
Cios litewskiego młota, co mu zmysły głuszy,
Nie zdołał młodocianej wykołatać duszy.
Młodzieniec czasem stęknie, zawróci oczyma,
Prawicą nieprzytomnie głownię miecza ima,
Woła o kroplę wody... choć w niemieckiej mowie.
Lecz dźwięcznym jego głosem wzruszeni wrogowie
Stanęli jakby wryci, choć pogańcza zgraja.
Och, bo serce litewskie łacno się rozzbraja!
I litewski oprawca najdzikszej postaci
Spojrzał niepewnym wzrokiem do koła spółbraci.
I była jedna chwila w tem sercu ze skały,
Miłosierdzie i zemsta że się zawahały.
Lecz się wnet opamiętał i uśmiechnął zdradnie:
Na Perkuna! to Niemiec — niech marnie przepadnie!
I już podnosił topór, co piersi rozłamie,
Gdy mu silna prawica pochwyciła ramię.

VIII.

Oprawca wstecz się cofnął i obejrzał skoro,
Spuścił topór i oczy ku ziemi z pokorą:
Przed nim stał dzielny Margier. Odgadniesz mu z
Bohaterską latorośl litewskich mocarzy. [twarzy
Krzepkie dęby w Romnowe, gdzie Litwa czci bogi,
Grom w prawicy Perkuna straszny i złowrogi;

Lecz silniejsze od dębu ramiona Margiera.
Straszniejsza od piorunu bojowa siekiera,
Gdy błyśnie w jego ręku. Z wileńskich ołtarzy
Żnicz podsycon oliwą ogniście się żarzy;
Lecz ogniściej wybucha i goręcej płonie
Serce wodza miłością ku rodzinnej stronie.
On tu nad zamkiem Pullen jako książę włada,
Pana i bohatera wielbi w nim gromada:
Bo też kołpak soboli na książęcej głowie
I hełm z pierzastą kitą, co noszą wodzowie,
Co je Margier wysłużył rycerskiemi dzieły,
Nigdy na dostojniejszem czole nie spoczęły.
Piękne Niebo, gdy jutrznia ozłoci je młoda,
Ale w duszy książęcej piękniejsza pogoda.
Jedna tylko — dla Niemców nienawiść w nim żyje,
Ale to taka straszna, jakby wszystkie żmije,
Jakby wszystkie potwory i piekielne siły
W ogniste jego serce swój jad wysączyły.
Dziś, widząc krwią zbryzgane nadniemnowe pole,
Cierpiał za całą Litwę wszystkiemi jej bole,
Jak gdyby w jedno serce, ile tylko zmieści,
Wszystkie miecze krzyżackie wbił po rękojeści;
Cierpiał za bogów Litwy, za ujmę ich chwały,
Nie dziw, że mściwe żądze w jego piersiach grały.
O! jeżeli w tej chwili nad niemiecką głową
Cofnął rękę siepacza do mordów gotową,
To snadź, młody Krzyżaku, w niedobrym zamiarze:
Gwoli straszliwej zemście zachować cię każe.

IX.

Zawołał głosem strasznym, aż drgnęli Litwini
(Nie był to ryk zwycięski tygrysa w pustyni,
Ale raczej jęk lwicy po głębokiej knieje,
Gdy po dziatwie wydartej żałośnie boleje):
Stój! zabijać bezsilnych to dla nas ohyda!
Nam na świętszy użytek ten jeniec się przyda:
Bo na nowiu, za miesiąc od dzisiajszej chwili,

Wielki dzień Z i e m i e n i k a będziem obchodzili.
Dobry Bóg urodzajów! wielkie jego święto
Od czasu gdy na Litwie siać niwę poczęto;
Bo z łaski Ziemienika i pod jego wodzą
Miód, mleko i owoce, i kłosy nam rodzą.
Niegdyś, za naszych ojców, w Litewszczyźnie starej
Z miodu, z mleka, z owoców brał swoje ofiary.
Lecz nam dzisiaj nie starczy na chleby i miody,
Bo Krzyżak zdeptał pola, wyplenił ogrody,
Pozarzynał dobytek i miód wydarł z barci —
Cóż my Bogu przyniesiem, z ostatka odarci?
Lecz Bóg nie gardzi sercem ni darem ochoczym:
Mamy tu krew krzyżacką — a więc krwi utoczym,
I ołtarz zawieszony tajemną zasłoną,
Zamiast czerwonych kwieci, zlejem krwią czerwoną.
Ziemienik, przebłagany w ofiarnym puharze,
Może niwom obficiej rozrodzić się każe,
I w chlebie pożywanym bez łez i goryczy,
Nowa siła do piersi wstąpi bojowniczej...
Weźcie żywego jeńca! okuć go należy;
Niech czeka dnia ofiary na zamkowej wieży!
Tak mówił srogo Margier — a głos jego mowy
Najprzód grzmiący piorunem, a potem grobowy,
Osłabnął, kiedy książę rozkazy wydawa,
A usta były drżące, a powieka łzawa.

X.

Tedy litewscy męże rzucili się żwawie
I podjęli młodzieńca, co leżał na trawie;
A Margier zapalczywie do boku mu sięga,
Oderwał miecz, aż stalna zabrzękła popręga,
I odpiął mu z pod szyje płaszcz rycerski biały,
Krzyż wyszyty na płaszczu poszarpał w kawały
I podeptał.
Na groźne skinienie książęce,
Dwaj Litwini Krzyżaka ujęli za ręce.
A młodzian ledwo oddech wydobywa z łona,

Bezwładna jego głowa zwisła na ramiona;
A kiedy mu odarty i hełm i kolczuga,
Po jasnych jego włosach krwi pociekła struga,
Ale jej żadna ręka nie otarła z czoła.
Nienawistne przeklęctwa zawrzały do koła:
  Ho! pieszczone pacholę nie zwykło do zbroi!
Miękka czaszka niemiecka, kto wie, czy się zgoi?
Kto wie czyli dożyje o chlebie i wodzie,
Aż nim nów ofiarniczy serce mu przebodzie?!
  Tak, niosąc do warowni rannego młodzieńca,
Litwa się jeszcze nad nim urąga i znęca.
  — Daj pokój! — mówił drugi — choć to młode [szczenię,
Czart niemiecki umacnia swoje pokolenie;
Choć spłynął krwią nieczystą, choć zawraca oczy,
Trzymaj krzepko pohańca, bo wnet ci wyskoczy.
Jeżeli go bezpieczno masz trzymać w jassyrze,
To mu z szyje oberwij te blaszki i krzyże,
Któremi pierś obwiesił, bo tam czart się chowa!
  I ręka świętokradzka już była gotowa
Znieważyć mały krzyżyk na niemieckiem łonie,
Co go Papież z odpustem święcił w Awinionie;
Lecz orli wzrok Margiera zabłysnął tak srogo,
Że Litwin aż pobladnął i cofnął się z trwogą.
  — Wara! — zawołał książę na zgraję swawolną —
Nad wrogiem rozzbrojonym pastwić się nie wolno!

XI.

  Otwarto wrota zamku — więźnia w głąb ponieśli.
Twierdza prosta, drewniana; tylko topór cieśli
Ponad Niemnem, na górze, na ubitej ziemi,
Piętrzył dębowe kłody jedna nad drugiemi
Wysoko aż pod chmury, a przy ścianach wokół
Pozabijał warowny sosnowy ostrokół;
Tylko rydel kopacza w krąg całej budowy
Ponajeżał wałami wąwóz nadniemnowy,
I ryjąc w głębi ziemi w tajemnym zamiarze,
Powydrążał pieczary, sklepił kurytarze,

Co ciągną się do lasów, do wiosek nad wodą;
Bóg tylko wie i Margier, gdzie te lochy wiodą;
Jak gdyby nory lisie, lub kryjówki węże,
Których brytan nie zwietrzy, a człek nie dosięże.
Och! by walczyć na zabój z niemieckiemi syny,
Trzeba mieć chytrość lisią i żądło gadziny,
Nie dowierzać sojuszom, być zdradnym jak oni,
I we śnie nie upuszczać toporu ze dłoni.
Perkunie! groźny Boże Litewszczyzny starej,
Któremu krew i ogień najmilsze ofiary!
Czemu twoi czciciele tak miękcy, tak prości?
Czemu wiecznie twa srogość w ich piersiach nie gości?
Dzisiaj — rzeź, krwawa uczta dla mieczów i młotów,
A jutro Litwin sercem podzielić się gotów,
I przy czarce ałusu ściska swe siepacze,
I nad własną srogością najpierwszy zapłacze.
Przecz Margier, co Krzyżowców w nienawiści chowa
I cały kipi groźbą jak chmura gromowa,
Za chwilę łagodniejszym przemawia wyrazem,
Rozzbroił czoło z hełmu i z gniewu zarazem,
I westchnieniem ochłodził pałające łono,
I poszedł do wieżycy, gdzie więźnia złożono?

XII.

A po ciemnej wieżycy jęk przebiega głuchy.
Leży młodzian krzyżacki, zakuty w łańcuchy;
Krew mu leje się z czoła, mimo szmatę zdartą,
Broczy kamień, na którym głowę mu oparto;
On miota się, jak gdyby chciał odpędzić ręką
Promyk słońca, co na twarz pada przez okienko.
Margier stał nad młodzieńcem, oparty o ścianę,
Wlepił w jego oblicze oko zadumane:
Ty cierpisz... żal mi ciebie, niewierny Krzyżacze!
Żal twej matki, co może gdzieś po tobie płacze,
Żal młodości; lecz Bogi sprawiedliwe, widzę:
A małoż w waszych twierdzach, w Malborgu i Rydze

Jęczy litewskiej młodzi w łańcuchach niewoli?
A i tutaj są matki, i tych serce boli!
Tam umierają zwolna od swoich dalecy,
Dźwigając głaz i cegłę na mury fortecy;
Tobie przynajmniej tutaj prędki zgon się zdarza,
Legniesz, jak młody kłosek pod sierpem żniwiarza.
Ty cierpisz... żal mi ciebie, o! żal w samej rzeczy!
Lecz odegrzeć gadzinę przy piersi człowieczej,
To, jak tylko odzyska siłę utraconą,
Kolnie najpierwszym jadem w dobroczyńcy łono;
Nie wyrwiesz z niego żądła, chyba strzaskaj głowę.
Niechaj światu nie szkodzą plemiona wężowe!
  Tak Margier, to się płoniąc, to blednąc jak ściana,
Mówił raczej do siebie, niźli do młodziana;
Bo był pewien, że Krzyżak, jęczący w boleści,
I nie zna, i nie słyszy słów litewskich treści.
Lecz Niemiec, w nadbałtyckiej urodzony ziemi,
Od dziecka igrał piaskiem z chłopięty pruskiemi,
Nauczył się i dobrze ich mowę pamięta,
Do litewskiej podobną, jak dzieci bliźnięta;
Więc zajęknął w tej mowie: Zwycięsco Litwinie!
Krew zanadto waleczna w twoich piersiach płynie,
Abyś nie czuł, zarówno jak siepacze prości,
Ile wróg pokonany ma praw do litości.
Mówisz, żeśmy Krzyżacy podobni wężowi,
Do piersi dobroczyńcy rzucić się gotowi;
Nie bluźnij nawet gadom — wszak w litewskiej chacie
Widziałem, jako węże święcone chowacie.
Czyliż żmij, gdy go ludzka uprzejmość rozzbroi,
Ukąsił kiedy rękę, co go mlekiem poi?
A jam człowiek... jam rycerz!... miałbym działać
[zdradnie!
Nie wiesz, jaką powinność ten krzyż na nas kładnie!
Nie myślę ci wdzięczności zaprzysięgać podle,
Lub czołgać się w nadziei, że życie wymodlę;
Gdybyś jednak rycersko oszczędził mi zdrowie,
Litwinie! chrześcijanin godnie ci odpowie!

XIII.

Margier nie dzisiaj walczy z drużyną krzyżaczą,
I słyszał jej przysięgi, i wie co te znaczą;
Uśmiechnął się... podumarł... i uwierzył zwolna,
Czy szczerocie młodzieńczej, co kłamać nie zdolna,
Albo słowa litewskie cud zdziałały na nim,
Które w uściech niemieckich brzmiały pojednaniem:
Bo w słowach macierzystych jest urok nie lada,
Wróg zawsze nas rozzbroi, gdy niemi zagada,
Zawsze zdoła przygasić niechętne żarzewie —
Och, i dobrze, że o tem czarodziejstwie nie wie!
Tak wódz podumał w duchu i skinął na straże,
I krwawe rany więźnia opatrywać każe,
I z baszty murowanej ciemnego sklepiska,
Przenieść w insze komnaty, kędy słońce błyska.
Więc wzięli go na barki silni wojownicy
I zanieśli do długiej, wesołej świetlicy.
Tam w środku stół, z kamiennej wyciosany płyty,
Na nim ałus rozlany i miód niedopity;
Znać, że chrobra drużyna Litwy bohatera
Tutaj się na obrady i na uczty zbiera.
Na ścianach wbite rogi od żubrów i łosi,
Porozwieszany oręż o zwycięstwach głosi:
Tam przyłbice odarte z połowieckich twarzy,
Orle skrzydła ze zbroje sarmackich husarzy,
I różnych barw turbany — głów tatarskich plony,
I z cerkwi Nowogrodu złociste ikony.
Obaczył tutaj Krzyżak, pomiędzy innemi,
Sławne herby Malborga i Chełmińskiej ziemi:
Orła na białem polu z koroną na szyi;
Obaczył swe proporce z Imieniem Maryi,
Obaczył bratnie płaszcze — a myśl jego świeża
Na piaszczyste Bałtyku niosła się wybrzeża.
Przypomniał fale morskie, co bawiły oko,
I domek rodzicielski nad morską zatoką,
I komandorstwa mury z niebielonej cegły,
I jeszcze coś przypomniał, bo mu łzy pobiegły.

XIV.

Bo duch ludzi rycerskich kształci się za młodu:
Krzyżak już kochał dziewczę swojego narodu,
Zmienne koleje uczuć już grały w młodzianie,
I szczęście, i cierpienie, i odczarowanie;
To uwielbiał, to szydził, to znów gonił mary,
Czuł miłość jak młodzieniec, rozumiał jak stary.
Mógłby już opowiadać swego serca dzieje,
Bo zakuta pancerzem pierś prędko mężnieje,
Bo w obozie Krzyżowców wkrada się znienacka
I szlachetność rycerska, i gminność żołdacka.
Od dziecinnej kolebki, z matczynego łona
Wysysał chrześcijańskich wielkich cnót nasiona;
Siwy ojciec bywało na konia go bierze,
I uczy robić włócznią, i mówić pacierze,
I powieścią turniejów zabawia chłopaka,
Gdzie najpiękniejsza z dziewic, jakby święta jaka,
Z wysokiego krużganku pogląda ku ziemi
I rozdziela nagrody między walczącemi.
Cóż za dziw, że powieśćmi rozmarzone dziecię
Uczyło się po Bogu dawać cześć kobiecie?
Że nim w piersiach zagrała namiętności burza,
Wierzył w ziemskie anioły, jak w Anioła Stróża?
Że marzył o dziewicach promiennie i świetnie?
A kiedy serce młode, osiemnastoletnie,
Zadrgało lubym dreszczem, co się zwolna wkrada,
I zapukało silnie ku córce sąsiada —
O! wtedy błogich myśli tak wiele... tak wiele!
A w duszy taka świętość, jak w Pańskim kościele,
A dumki takie piękne, tak czyste, jak złoto!
Czy był wzajem kochany? — ani pytał o to!
Choć lubego spółczucia mógł dopatrzyć trocha,
Lękał się jej znieważyć — nie mówił, że kocha;
Tylko czuje pacholę, że mu coś uroczej,
Gdy patrzy w święte Niebo lub jej piękne oczy.
Ale niewinność serca, to jak pył na kwiecie:
Pierwsza burza żywota oberwie i zmiecie.

Ledwie włócznię udźwiga, ledwie pancerz spina,
Poszła na dwór krzyżacki niewinna dziecina;
Tam, starszyzna i młodzież, wśród hucznej swawoli,
Z najdroższej jego wiary odarli powoli;
Tam gdy ucho ciekawe bluźnierstwom otworzy,
Zawahał się w swej wierze i miłości Bożej;
Zakosztował z puharu — przed rumieńcem z wina
Rumieniec wstydliwości już pierzchać poczyna,
A otwartych zalotów raz zostawszy świadkiem,
Wstydził się świętych westchnień, co ronił ukradkiem:
Wpośród wesołych wdziękiń na dworze i w mieście,
Zapomniał czci rycerskiej, co winien niewieście.
Śladem idąc, gdzie droga skażenia ubita,
Sam kłamliwie przysięga, o prawdę nie pyta,
A za godło rycerskie przybrawszy motyla,
Nowemi uczuciami bawi się co chwila.
Miłość, wiarę, nadzieję, wszystko brał za baśnie;
Choć przypłaci niewiarę, choć serce zadraśnie,
Udawał sam przed sobą, że nie boli rana,
Zdobywał się na uśmiech z przesadą młodziana.
I przyszły namiętności — ugięty ich próbą,
Młodzian począł morderczą walkę z samym sobą.
Bo dusza, gdy się Bożych napije promieni,
Szatan zbawienne ziarno niełacno wypleni.
Jedno święte westchnienie kiedy piersmi ściśnie,
Jedna łza uroczysta gdy z oczu wytryśnie,
Już dusza odrodzona, ognista i młoda,
Na długo się, na długo zwątpieniu nie poda;
Jeszcze nieraz w zapasach grot piersi rozłamie,
Lecz do ciosów odbicia hartowniejsze ramię.

XV.

W takiej-to walki ducha uroczystej chwili
Krzyżowcy na Litwinów wojnę ogłosili,
I pod murami Pullen pobici na głowę,
I młodzieniec się dostał w więzy Margierowe,

I zaniesion w komnatę, gdzie łupy i zbroje,
Kędy obaczył płaszcze i chorągwie swoje,
Kędy stare proporce i podarte krzyże
Uniosły na brzeg morski jego myśli chyże,
I przypomniały sercu swobodę dziecinną,
I chatę rodzicielską, i miłość niewinną,
I duch jego uniosła tajemnicza władza,
I zapłakał łzą świętą, co duszę odmładza.

XVI.

Dziwna jest kolej czasów, gdy nas serce boli:
Bo lata płyną prędko, ale dni powoli;
Miesiąc przemknie nad głową, jak chmurka niestała,
A godzina, a chwila, to jak wieczność cała;
A gdy dusza znękana orzeźwić się życzy
I wspomnieć całą kolej przebytych goryczy,
To całe ciężkie lata, całe dni boleści,
W jednem tylko wrażeniu, w jednej chwilce zmieści.
Takie życie wiódł Krzyżak w niewoli Litwina;
Przebolał cały miesiąc — i już zapomina,
I cierpienia, i myśli przeminęły marnie;
Ale dzień do przebycia — to cięższe męczarnie.
On, niecierpliwą dłonią zasłoniwszy oczy,
Przeklina słońce Boże, że leniwo kroczy,
Na swem łożu boleści targa się i zrywa,
Zabija go bezsenność i drzemka leniwa.
Przebiegł myślą swej całej przeszłości obrazy
Po drugie i po trzecie — może ze sto razy;
Przedumała już wszystko rozmarzona głowa,
Co się w serca tajnikach najzakrytszych chowa,
I już go unużyła, jak najcięższa praca,
Myśl, która bez przestanku kołem się obraca.
Bo dla młodego serca, to jeszcze zawcześnie
Przeszłemi wspomnieniami napawać się we śnie;
Przed tym, kto drogę życia ledwie rozpoczyna,
Jest kraina przyszłości, nadziei kraina,

Jak ziemia obiecana piękna i bogata;
Choćbyś marzył dni całe, marzył całe lata,
Jeszcze trafisz co chwila na ścieżkę nieznaną,
Nie zbierzesz wszystkich kwieci, co tam rozsypano,
Nie zliczysz wszystkich skarbów, które tam ukryto.

Ale Krzyżak, w niewoli i z piersią rozbitą,
Wie dobrze, że się jego przyszłość nie promieni,
Bo śmierć nad jego głową, jak miecz na włosieni,
Zawiesił srogi Margier: przez nienawiść starą,
Krzyżak bogów litewskich ma zostać ofiarą;
Każdy dzień, każda chwila powołać go może
Przed ołtarz ofiarniczny, pod kapłańskie noże.
Krzyżak był obdarzony bohaterską duszą:
Nie zadrżałby przed śmiercią, kędy włócznie kruszą,
Ległby mężnie od miecza lub od samopału;
Ale umierać codzień, umierać pomału,
I liczyć ziarnka piasku w żywota klepsydrze,
To piersi obezsili i odwagę wydrze.
Gdy wszedłszy na wieżycę, nad zamkowe wrota,
Uderzy w róg bawoli stary wajdelota,
By dać hasło po Litwie rankiem lub z wieczora,
Że jutrznia na Niebiosach, że modlić się pora,
Lub gdy stara wróżbiarka w zamkowej podziemi
Rozpocznie swój rozhowor z bogi piekielnemi,
I śpiewa drżącym głosem, i krzyczy, i płacze,
I echo jej przywtórzy, i jękną puhacze, —
Krzyżak zrywa się z łoża i oddech przyczaja,
I mniema, że litewskich ofiarników zgraja
Pozapalała stosy, wyostrzyła miecze,
I schwyci go za chwilę, i na śmierć powlecze.
Ale wszystko umilka... i młodzian zadrzemie.
I znów niesfornym wrzaskiem zajękło podziemie,
I znów go przerażenie ogarnia i mami,
I męstwo z jego piersi wysysa kroplami.
Gdy fatalna godzina przed jeńcem ukryta,
Sto razy żegna życie, sto razy je wita.

XVII.

A rany jego ciała już się pogoiły:
Litwin, siwy jak gołąb, zgrzybiały, pochyły,
Z cudownemi balsamy, i we dnie, i w nocy
Czuwał z woli Margiera w młodziana niemocy.
Imię starca jest L u t a s (lew w litewskiej mowie),
Bo siłę i odwagę dali mu bogowie;
Z jego piersi głos silny gromem się odzywa,
A długi włos i broda, jak gdyby lwia grzywa,
Spadały mu poważnie na piersi i plecy.
I poblizcy Lachowie, i Niemcy dalecy,
I Ruś, i Tatarszczyzna i dziś jeszcze pomną
To oblicze wspaniałe, tę postać ogromną,
I siłę jego ramion, i potęgę młota,
Gdy się w boju nasroży i karki gruchota;
Wiedzieli jego głosu potęgę złowrogą,
Która serca umacnia lub napełnia trwogą,
Która swoich zapala do bitwy junaczej,
A na wrogi uderza zwątpieniem rozpaczy.
Mnogie lata przebiegły, przyszła wieku zima,
Zgarbiły się potężne ramiona olbrzyma,
A długa czarna broda i włos jego głowy
Pobielały jak mleko, jakby śnieg grudniowy;
A głos, co ryczał w boju, jak piorun wśród burzy,
Dziś tylko do piosenek bohaterskich służy:
Bo starcom dano przenieść w pieśni i powieści
Chwałę starych praojców do potomnej cześci,
Aby nie zaginęło w najpóźniejszej chwili,
Co widzieli, słyszeli i czem sami byli.
Jako świętych kapłanów, co pilnują Źnicza,
Tak i starców na Litwie władza tajemnicza:
Bo jedni na ołtarzu ogniska Bożego,
Drudzy ognia, co w sercach, pilnują i strzegą...

XVIII.

Dzięki lekom, krzyżacka zasklepia się rana;
Tylko srodze pobledniał, bo krew u młodziana

Nadto hojnie płynęła i z piersi, i z głowy,
A myśli rozpaczliwe, niepokój grobowy,
Nadto go obezsiła, nadto serce bodzie,
Aby więzień orzeźwiał, jako na swobodzie.
Przygodą zaniesione czasem krasne róże
Zakwitną w ciemnym lochu na wilgotnym murze;
Lecz żal się Boże kraski — tak wątła, tak blada,
Jeszcze kwiat nie przekwitnął, a już liść opada;
Wije się ziemny robak około jej łona,
A na bladej purpurze siada pleśń zielona;
Tak młodociany jeniec więdnieje i ginie.
Lutas odgadł cierpienie, i w starym Litwinie
Ozwało się uczucie, co wstręt przezwycięża,
Choć rodu niemieckiego niecierpiał, jak węża.
Bywało ledwie raczy spojrzeć nienawistnie,
Albo żwawo ofuknie, lub przeklęctwem ciśnie
Czy mu ranę namaści, czy uwarzy ziela.
Znaczno, że leczy boleść, lecz jej nie podziela.
Szydził z jęków: bo długim zahartowan bojem,
Tyle ran widział w ciele i cudzem i swojem,
Tyle broczył się we krwi przez całe swe życie,
Że go ciała boleścią niełacno zmiękczycie.
Lecz postrzegłszy po jeńcu, że go dusza boli,
Srogie serce Lutasa rozmiękło powoli,
I morderczo spojrzenie złagodził widocznie,
I łagodniejszym głosem pomrukiwać pocznie.
Spytał go o nazwisko — i wspomnienia zbiera,
Że znał dawnemi laty Ransdorfa Warnera,
Co mu bliznę brzeszczotem wypisał na twarzy.
(Był to ojciec Krzyżaka, wódz toruńskiej straży).
Potem słówko po słówku — tylko patrz na dziada:
Kiedy oko roziskrzy, kiedy się rozgada,
To się tak wspomnieniami rozigra, rozświetni,
Jakby z pleców garb zrzucił sześćdziesięcioletni.
Zda mu się, że odmłodniał, że wskrzesnął na sile,
Że wiedzie rówienniki, co już śpią w mogile,

Że mu hełmem bojowym najeża się głowa,
Że rozbija toporem wieżyce Kijowa!
Kiedy się rozpromieni, gdy rozżarzy ducha,
Czasem Margier przychodzi i powieści słucha,
Milczący, zadumany, słowa nie uroni,
Tylko mu krew rycerska uderza do skroni,
Tylko z pod chmurnych rzęsów, na czarnej źrenicy
Błyśnie mu jakiś ogień na kształt błyskawicy,
I oczy ku tej stronie obróci znienacka,
Kędy morze Bałtyckie, gdzie ziemia krzyżacka,
I ściska gniewnie pięści, jakby pocisk mierzy,
Którym złamie potęgę niemieckich rycerzy.

XIX.

Lecz nad młodym Ransdorfem nie pastwi się zgoła,
Ani go na ofiarę przed ołtarz nie woła,
Nie wkłada mu łańcuchów, nie nagli do pracy,
Lubo w boju na Litwie pojmani Krzyżacy
Kopią lochy podziemne w robocie zadanej,
Albo znoszą kamienie i murują ściany,
Lub skuci kajdanami, w pocie i mozole,
Ciosają twarde kłody, albo orzą pole.
Krzyżak od prac swobodny — czy srodzy wrogowie
Szanują jego młodość, czy jego niezdrowie?
Czy może niezachwiana wola Margierowa
Oszczędza niewolnika, bo na męki chowa?
Któż zgadnie? — ale cała litewska starszyna
Przyjmuje Krucygiera, jak brata, jak syna,
Jak gościa, co z daleka przybywa w te kraje.
Stary Lutas mu śpiewa i powieści baje;
A nawet srogi Margier przy książęcym stole
Wskazał miskę i łyżkę, gdzie jada pacholę,
I z Niemcem, jakby z dzieckiem swego pokolenia,
Podziela chleb swój żytni i ałus z jęczmienia,
I nigdy przy nim klątwy na Niemców nie miota;
Pozwala mu wychodzić poza twierdzy wrota,
Gdzie po całych wieczorach w zamglonej oddali

Młodzian patrzy k'Niemnowi, i po jego fali,
I po wietrze wilgotnym, co nad rzeką płynie,
Posyła swoje dumki dalekiej rodzinie,
Pozdrowienie rycerstwu i pokłon mistrzowi,
I pyta się u wiatru: czy żywi? czy zdrowi?

XX.

Choć marzy o rodzinie i śni pruskie miasta,
Rzecz dziwna, że do Litwy serce mu przyrasta.
On polubił Lutasa pieśni wojownicze,
Lubi patrzeć w rycerskie Margiera oblicze,
Polubił Niemna brzegi i zielone błonie,
Pobratał się z chmurami, co błądzą w tej stronie,
I z powietrzem litewskiem — i czuł w samej rzeczy,
Że zimny wiatr niemnowy piersi mu uleczy.
Och! to nie wiatru cuda, nie chmur, ani błoni,
Nie piosnek, które stary burtynikas dzwoni,
Nie powietrzem litewskiem, ni chlebem, ni wodą,
Lecz inszem czarodziejstwem jego duszę młodą
Przykowano do Litwy, przykowano zdradnie:
Egle, córka książęca, swój urok nań kładnie.
Widział ją u kądzieli, przez okno z za kraty,
Potem widział na łące, jak zbierała kwiaty;
Uczuł w sercu niepokój, w snach odmianę błogą,
Dziwił się, że poganki tak piękne być mogą,
Że z ich oczu Kupido swe postrzały miota,
Że tyle ma powabu ich leśna prostota.
Bo co insza dziewica lub niewiasta pruska,
Gdy się w strój pozłocisty na ucztę wymuska,
I strzelistem spojrzeniem uderzając śmiele,
Liczne u drobnych stópek hołdowniki ściele;
Nie taka dziewa Litwy — pokorna, nieśmiała,
Strojna tylko rumieńcem, co w jej licach pała,
Ozdobna jasnym włosem we dwoiste sploty,
Nie postał na niej atłas lub strój szczerozłoty;
Śnieżysta biała szata jej kibić obwija,
Sznurem krasnych korali uwdzięcza się szyja,

A na głowie stalowych ogniwek przewłoka
Nie zdoła zgasić blasku błękitnego oka.
Ej! nie darmo na Litwie piosenka rzewliwa
I jagódką, i kwiatkiem dziewczynę nazywa:
Bo łagodne spojrzenie, bo oblicze młode,
Piękniejsze niźli kwiaty, słodsze nad jagodę.

XXI.

Ponad Niemnem, na błoni, szeroka a długa
Ciągnęła się zarośli niedostępnych smuga;
Tam nad gęstemi krzewy rozciągał konary
Dąb przedwieczny, jak gdyby patryarcha stary,
Co błogosławiąc dziatwie w ich życia jutrzence,
Nad młodemi głowami rozpościera ręce.
A czoło dębu suche, nie ubrane w liście,
Bo go piorun przed laty roztrzaskał ogniście
I popisał mu czoło pręgi szerokiemi;
A wróżbiarka, co mieszka w zamkowej podziemi,
Wyrzekła uroczyście, że to znak nielada,
Że sam Perkun wśród dębu mieszkanie zakłada.
Odtąd gaj nadniemnowy był świętym dla Litwy,
Miłym uchronem bogów i miejscem modlitwy;
Na gałęziach i w szczerbach, które piorun czyni,
Ustawiono bożyszcza, jakby we świątyni.
Co rano i co wieczór, w tej gęstej zaciszy,
I Potrymbos, i Milda, co miłością dyszy,
I Ziemienik, co plonem błogosławi jesień,
Odbierali swe hołdy z modlitew i piesień.
A święcone u Litwy jaszczurki i węże,
Czując, że tu żarłoczny bocian nie dosięże,
Zwijają się po trawie secinami kroci,
Pośród wonnych przylaszczek i bujnych paproci,
Kopią nory wśród liści i suchych badyli.
A pobożni Litwini od chwili do chwili
Przychodzą tu się modlić — jak pora nadarzy,
Ofiarnicy, dziewczęta lub mężowie starzy, —
I dąbrowa, w południe samotna, milcząca,

Kipi gwarem o wschodzie i zachodzie słońca.
Aż się echo kołysze w lesie i nad wodą,
To cichym starców szmerem, to piosenką młodą.

XXII.

Tam dziewica książęca, kwiatami przybrana,
Szła na czele rówieśnic modlić się co rana.
Głos ich dźwięcznej piosenki rozpływa się z rosą,
A dziewy konwie mleka albo kwiaty niosą,
Kwiatami opasują dąb święty, pochyły,
A mlekiem poją węże, co tak się zuczyły,
Że byle na rozdrożu zapiał głos dziewiczy,
To z pod każdej jagódki, z każdej trawy syczy
Tysiące głodnych żądeł — i nieraz gadzina
Czołga się aż do ręki, aż do szyi wspina,
I pieści się u łona niewinnej dziewoi,
I czeka aż przemówi a mlekiem napoi.
Raz Krzyżak zaczajony wśród krzaków i ziela,
Widział Eglę gadzinom jak pokarm rozdziela,
I mówił sam do siebie: O, ślepi Litwini!
Tutaj nie wąż jest bogiem — tu ona bogini;
Jedno skinienie oczu — och, skinienie święte! —
Działa na podłym płazie cuda niepojęte.
Piękno! to wielkie słowo! potęga nielada!
Bo najbrzydsze potwory u stóp swoich składa.
Bóg jest Pięknem i cuda Swoje złożył w Pięknie,
Przed Niem wdzięczy się Niebo, a ludzkość uklęknie,
A piekło na twarz pada i w prochu się wala!
Tak rycerz turniejowy, patrzając z oddala
Hołdował dziecku Litwy, niewinnemu dziecku.
Raz ją spotkał, raz w oczy spojrzał po zdradziecku,
Ale córka Margiera, jakby ostrym grotem,
Skarciła go spojrzeniem, ani wiedząc o tem;
Ani się domyślała jej dusza dziecięca,
Że skażone pacholę na nowo poświęca,
Że to jedno spojrzenie, jakby chrzest uczucia,
Omywa jego duszę ze skazy zepsucia.

Krzyżak czuł się odrodzon... O duszo ty młoda!
Miękkość twoja każdemu wrażeniu się poda;
Czemuż pieczęć na tobie kładą na przemiany
Dziś Pańscy Aniołowie, a jutro szatany?

XXIII.

Egle często Ransdorfa spotyka na błoni;
Czy polubiła Niemca? — O, niech Perkun broni!
Wszak to wróg zaprzysięgły litewskiej swobody;
Szkoda tylko, że cierpi... taki jeszcze młody!
A tutaj go tęsknota zgnębi do ostatka.
U niego pewnie siostry, u niego jest matka,
On od swojego Boga musi żyć w oddali.
A czy dobrze... naprzykład... gdyby nas skazali
Żyć kędyś w Niemieczyźnie, na krzyżackiej ziemi,
Nie widzieć nigdy Niemna, nie gadać ze swemi?
Toby człeka najpewniej zabiło boleśnie!
Biedny Krzyżak! on ze snu zrywa się tak wcześnie,
Chodzi po wałach, cierpi — zwyczajnie w niewoli...
Ja muszę z nim pomówić, spytać, co go boli?
Może zdejmę choć trochę troski z jego głowy!
Tak, wracając z modlitwy ze świętej dąbrowy,
Mówiła sama w sobie litewska dziewoja.
O, córko Margierowa! biedna główka twoja!
Żałujesz, że w niewoli cierpi Krzyżak młody:
Pożałuj twego serca — już nie ma swobody!

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Zamek Pullen uśpiony. Piękna noc na dworze:
Księżyc hula wśród gwiazdek w błękitnym przestwo-
Iskrzy Niemen złocistą miotłą swych promieni, [rze,
Po dolinach rozrzuca długie pasma cieni,
Ozłaca stare baszty i dalekie knieje,
Których cień na błękicie czarno wybitnieje.
W ruchomem jego świetle, jak gdyby na fali,

Pływają nocne widma i duchowie biali,
A z poza każdej baszty, z za każdego wzgórza
Jak gdyby tajemnicza postać się wynurza;
To tylko mgły z nad Niemna zwisły na krawędzi,
Które wietrzyk po błoni rozbija i pędzi.
Rzewnym oddechem Niebios natchnieni ptaszkowie,
Po zarosłych wiszarach, na każdym ostrowie,
Gwarne pieją przyśpiewki i rozhowor wiodą,
Aż się echo serdecznie rozlega nad wodą.
Zamek Pullen uśpiony — tylko straż na wale
Czasem brząknie na trąbce sygnał po sygnale;
Bo choć spokojne czasy, trzymaj się na wodzy,
Któż wie, co teraz myślą najezdnicy srodzy?
Kogut zapiał... to północ... śpi cała gromada.
Skądże ten blask od ognia, co na bramę pada?
Przedziera się, migoce blask żywy, iskrzaty,
Przez okienko podziemia, z za żelaznej kraty,
To przygaśnie, to buchnie, to znów się zaciemni;
Znać, że ludzie przy ogniu snują się tajemni,
Zebrali się tak późno, tak cicho, gromadnie...
Litwa czary wyrabia?... a któż ją tam zgadnie?

II.

O! zaprawdę to jakieś czary czy ofiary!
W głębi zamkowych sklepisk loch ciągnie się stary;
Tam się nigdy przez okno słońce nie promieni;
Zapleśniał od wilgoci stary mur z kamieni;
Krwawy blask od ogniska uderza na ścianę;
Poczerniały od dymu sklepienia ceglane,
Bo tutaj Bóg Litwinów zamieszkał widomie.
Pała we dnie i w nocy niewygasłe płomię,
To Żnicz, co się z przed wieków uroczyście chowa,
Co go niegdyś do Wilna unieśli z Romnowa,
I co z małej iskierki, zapalonej w Wilnie,
Pielęgnują ognisko troskliwie a pilnie.
Niejeden żubr, zabity w łowieckiej zdobyczy,
Napoił swoim tłuszczem ten stos ofiarniczy;

Nieraz tutaj niemieckie Hanzeatów posły
Pełne stągwie oliwy dla Żnicza przyniosły,
I nieraz plecy jeńca, Lacha lub Germana,
Dźwigały tutaj z lasu jodłowe polana
Na pożarcie Żniczowi. Ale u ołtarza
Wciąż jedna tylko ręka ognisko rozżarza,
Ręka sucha, jak trupia, jakby szkielet z kości,
Opalona od ognia, drżąca ze starości:
Marti, kapłanka Żnicza, jakby mech zgrzybiała,
Od sześćdziesięciu wiosen tutaj zamieszkała.
Było to młodę dziewczę, jak róża w rozkwicie,
Tu zakwitło, kraśniało, tu zeschło jej życie,
Ty dźwięczny głos niewieści przybrał dzikie tony,
Tu blask pięknego oka wygryzł dym święcony,
Tutaj wszystkie uczucia, czem dusza bogata,
Wszystkie dumki i wszystkie namiętności świata,
Wszystko, czem żyje głowa, czem się serce żarzy,
Marti oddała bogom, a do ich ołtarzy
Przyrosła jak kolumna.
I cóż więc za dziwa,
Że dziś natchnienie bogów jej piersi rozrywa?
Że widzi na wskroś niebo ciemnemi oczyma?
Że Żnicz w zgrzybiałem łonie swój ogień rozdyma?
Że słynęła wróżbiarką ofiarnica ciemna
Od wybrzeży Połągi aż do źródeł Niemna?

III.

Lecz żadne bóstwo wiosny, miłości, młodości,
Nie bierze od niej ofiar, w jej sercu nie gości;
Tylko Poklus, bóg piekieł, ma hołd u ogniska,
Tylko Perkun straszliwy, co gromami ciska,
Tylko lubi przy Żniczu kłęby dymu ciemne,
Tylko pieści jaszczurki i gady podziemne,
Tylko podziemne bóstwa rada przywoływa;
A każda jej piosenka złowroga, straszliwa,
Jakby wycie puhacza na wioskowej strzesie,
Co zwiastuje nieszczęście, albo śmierć przyniesie.

IV.

Dziś wszyscy wajdeloci i wszyscy kapłani
Tylko strachem i cześcią przejmują się dla niej;
Nawet krywe-krywejte z wileńskiej świątyni
Przysyła posłanniki i ofiary czyni
Bogom, co w zamku Pullen, pod wróżbiarki strażą:
Bo Poklus, bożek piekieł, z zagniewaną twarzą
Stanął przed nią widomie — a Litwini dzicy
Przynieśli mu ofiarę z krwi synogarlicy,
I przed jego posągiem padając na lice,
Kadzili pruski bursztyn i wschodnią żywicę,
Mniemając, że krew ptasza, albo wonność droga
Przebłaga zagniewanie straszliwego boga.
Lecz Poklus, niedowolen takową ofiarą,
We trzy dni znowu stanął przed wróżbiarką starą;
Na strasznych jego uściech gniew trzęsie się bladszy,
A ognista źrenica jeszcze srożej patrzy.
Widząc, że tu krwi ludzkiej wymaga bożyszcze,
Lutas przebił swą rękę, — a ze krwi, co świszcze,
Czynił całopalenie, modlitwę, zaklęcie,
A naród zgromadzony już uwierzył święcie,
Że krew, co z ręki mężnej wysączona tryska,
Gdy się spali, niebiosa i piekło pozyska.
Buchnął płomień, podsycon rycerską posoką,
Ucieszyła się Litwa; ale Marti oko,
Co zamknięte dla świata zna tajniki piekła,
Nie zajaśniało blaskiem.

V.

Wróżbiarka wyrzekła:
Za trzy dni w tem podziemiu zbierzcie się, Litwini;
Poklus ostatnie jeszcze zjawisko uczyni.
Obaczę, czy spokojne, czy wzdyma się łono,
Czy mu oczy litością, czy gniewem zapłoną,
Czy już się ze swej groźby rozzbroiły Nieba,
Czy jeszcze krwawszych ofiar na ołtarz potrzeba.
Za trzy dni o północy niech się naród zbierze,

I ty, szlachetne książę, rycerski Margierze,
Bądź tutaj ze swem dzieckiem — los się nie odmienia:
Może trzeba krwi twojej lub twego plemienia,
Może trzeba łez czyich — więc bądźcie ochoczy.
Kto może łzy wyleje, albo krew wytoczy,
Niech pomni, że to bogom staje się zadosyć,
I że warto dla Litwy ofiarę ponosić.

VI.

Za trzy dni o północy, na kształt bladych cieni,
Zeszli się znów Litwini trwożni, przerażeni,
Bo przed strasznem zjawiskiem nieziemskiego świata
I w najmężniejszem sercu święty strach kołata.
Każdy żegna się z życiem, bo któż zgadnąć zdoła,
Kogo krwawe bożyszcze przed ołtarz powoła?
Czyje piersi rozpłata święcona siekiera?
Więc się każdy z Litwinów jak na śmierć ubiera;
W lnianych szatach, z orężem od srebra i złota,
Co kto miał, co kto lubił ze swego żywota,
W to się wszystko przystroił. Rzędami stanęli
Mężowie jak do boju, a niewiasty w bieli,
A dziewice zielono z wieńcami na głowie,
Kapłani przyszli z harfą i z lirą starcowie.
Margier w bobrowym szłyku a w żelaznej zbroi,
Wsparty na dzielnej włóczni, nieruchomie stoi;
Choć mu tajemnych myśli nie wyczytać z twarzy,
Pewno, że nie o sobie, lecz o Litwie marzy;
Chętnie dostojną głowę pod topór położy,
Byle tylko nad Litwą uśmierzyć gniew Boży,
Byle Poklus ujęty, kiedy krwią opłynie,
Wyrwał mordecze żądło krzyżackiej gadzinie.
Zna, że ze swoją twierdzą i z pierśmi mężnemi
Chroni jak mur od Niemna macierzystej ziemi,
Czuje dobrze, że tarcza w jego rękach święta,
Pod nią litewskie strzechy, pod nią niemowlęta,
Pola chlebem zasiane i rodzinne bogi
Spoczywają spokojne, wolne od pożogi.

Więc pyta sam u siebie i wyroki bada:
Kto jego tarcz udźwignie? kto mieczem zawłada?
Kto czujniej będzie pełnił nadniemnowe straże?
A zresztą gotów na śmierć, jeśli Poklus wskaże,
Gotów umrzeć za Litwę lub dać własne dziecię.

VII.

Cóż Egle wobec śmierci? jej serce kobiecie
Czyż nie zadrga obawą? — O! to wielkie serce!
Zdoła umrzeć, jak słuszna dzielnej bohaterce,
Nie shańbi krwi książęcej nikczemną obawą;
Ależ do niej i życie, i młodość ma prawo.
Od niejakiego czasu, gdy oczy otworzy,
Tak coś dobrze na sercu, popiękniał świat Boży!
Co to za szczęście młodość! tak się w duszy chwali:
Jacy dobrzy bogowie, że nam życie dali!
Bo na powaby życia, na uczucia święte
Przejrzało oko duszy aż dotąd zamknięte,
Otworzyło się serce na radość bez końca,
Jako młody pierwiosnek dla pięknego słońca.
I teraz trzeba umrzeć... na ofiarę zową,
Spojrzeć z pięknej jutrzenki na otchłań grobową!...
Nie dziw, że dreszcz ogarnął bohaterkę śmiałą,
Głowa się zamroczyła, a w oczach ściemniało,
Dreszcz bojaźni po sercu przebiegł mimo chęci:
Zna już wartość dni młodych, które bogom święci,
I głowę przystrojoną w młody wianek z ruty
Zwiesza ku drżącym piersiom, i żalu wyrzuty
Stara się wyższą myślą wyprowadzić z łona,
A na licu jej bladość, w oczach łza tajona.

VIII.

Już północ. Lud w podziemie zebrał się gromadnie,
Milczy jak wobec śmierci i stos łomów kładnie,
A wróżka je zapala i kropi oliwą.
Krwawe blaski po ścianach odbiły się żywo,
Zaiskrzyły w pancerzach, co noszą mężowie,
Zapłonęły w kolorach na niewieściej głowie,

Zajaśniały na twarzy siwego brodacza,
I czarny cień rozliczne gromady otacza;
A tu cisza, jak w grobie... Ledwie posłyszycie
Huk płomieni, trzask polan i serc trwożne bicie.
Wtedy wróżka obrządek rozpoczyna wieszczy:
Skinęła na kapłanów — i sto trąb zawrzeszczy;
Plączą się w jeden rozgwar najsprzeczniejsze tony,
I różek chrapowaty i flet wypieszczony,
A wszystko przeraźliwe, gwarliwe, niestrojne,
Aż od echa zadrgało sklepienie spokojne.
A nad wszystkiemi wrzaski, nad wszystkie rozgwary,
Przemaga krzyk natchniony czarodziejki starej;
Na oczach ociemniałych błysnął wyraz wściekły,
Włosy się najeżyły, a usta zapiekły;
Nic nie widzi, nie słyszy, chyba w głębi ducha,
Tylko ostatkiem głosu straszną pieśń wybucha.
Skinęła — ustał rozgwar — znów cisza grobowa.
Stos pali się powoli — już tylko połowa;
Ogień jaśniej i równiej oświeca sklepiska.
Wróżka garśćmi żywicę do płomieni ciska;
Wybuchnął żwawszy ogień, dym rozwiał się smolny,
I zagrzmiało z daleka... Przestrach mimowolny
Ogarnął serca Litwy, upadli na twarze.
Marti trąbom na nowo odezwać się każe,
I mierzonemi takty z całej siły krzyczy:
Poklusie! czarnych piekieł boże tajemniczy!
Ubłagany, czy groźny, w płomieniu, czy w gromie,
Wpośród twojego ludu objaw się widomie.
Powiedz: za co nam pomstę zapowiadasz Nieba?
Jakiej dla cię ofiary, czyjej krwi potrzeba?
Wskaż na kogo uderzyć, daj mordercze hasło!
Umilkła... dopalone ognisko przygasło;
Więc bierze garście siarki i na węgle rzuca,
A jak gdyby wołanie zerwało jej płuca,
Padła piersmi na ziemię, i w prochu się tarza.
A ze stosu, co płonie, węgli się, rozżarza,
Buchnęły kłęby dymu, buchnął płomyk sini,

I trupi blask uderzył po ciemnej jaskini.
Znowu grom wstrząsnął gmachem z potęgą olbrzymią...
Cudo! z siarczystych kłębów, co ze stosu dymią,
Ukazało się bóstwo tak straszliwej twarzy,
Jak tylko senna zmora w gorączce wymarzy!
Postać naga, koścista, włosata, brodata,
A ze źrenic spojrzenie jak płomień wylata,
A na czole, na ustach i na wzdętem łonie,
Trzęsie się dzika groźba, gniew straszliwy płonie.
Była cisza — bo ludzie upadli bez siły,
Zdaje się wszystkie piersi oddech przytaiły.
Tylko Margier nie klęknął, choć twarz jego pała,
Choć znaczno, że bożyszcze na serce mu działa,
Nie spuścił nawet oka — oczyma mężnemi
Zmierzyli się bóg piekieł i bohater ziemi.
Ale ognik siarczysty gaśnie, dogorywa,
I nadziemskie widziadło z dymem się rozpływa.
Wróżka powstaje z ziemi i ogień roznieca;
Poklus zniknął z podziemia — tylko twarz kobieca
Pobladła, posiniała, jakby konająca,
Zwraca się ku ludowi — i z piersi wytrąca
Słowa ciche, powolne, jak gdyby kaskada,
Jak strumyk, co do Wilii z gór Ponarskich spada:
  Poklus objawił wolę... drżyj, książę Margierze!
Nad baszty twego zamku wnet chmura się zbierze.
Chowasz dziecię z krwi obcej, co Litwę wyniszcza:
Własna krew przygotuje płomienie i zgliszcza,
Które dom twój zagubią — zagubią cześć Bożą,
Wrogom bramę do Litwy na oścież otworzą.
Nie ukoisz inaczej wyroków srogości,
Chyba krwią pacholęcia, co w twym domu gości.
I nie dalej, jak jutro w północnej godzinie,
Niech krew młodego jeńca na ołtarz popłynie,
A ciało jego spalić w ofiarnej pożodze,
A proch rzucić na wiatry przy rozstajnej drodze!
  Tak mówiła wróżbiarka, znękana i blada,
Słania się wysilona i na ziemię pada.

IX.

Margier rycerskie czoło uchylił w pokorze:
Szanuje wiarę ludu i wyroki Boże.
Puścić wolno Ransdorfa książę miał w zamiarze,
Lecz wyższy obowiązek poświęcić go każe.
Czy bogowie zaprawdę pragną krwi młodziana,
Czy się tylko nań sroży wróżka zagniewana,
Zawsze zgon Krucygiera w ostatecznym kresie
Znakomite dla Litwy owoce przyniesie:
Bo ku bogom rodzinnym więcej wiary doda,
A w tej wierze dla Litwy siła i swoboda,
Bo na serca litewskie wciąż działać należy,
Jątrzyć wieczną nienawiść dla pruskich rycerzy;
To do śmiertelnej walki posłuży najlepiej,
I miecze zahartuje, i serca pokrzepi.
Margier westchnął, i kazał kapłanom, ludowi,
Aby jutro stanęli do ofiar gotowi,
A on sam, wierny bogom, jak wróżbiarka radzi,
Niemieckiego rycerza pod cios przyprowadzi.
Lecz dodał: Kiedy człeka pod topór już kładniem,
Nie wolno po zbójecku urągać się nad nim.
A biada temu z Litwy i śmierć jego głowie,
Kto rycerza znieważy, albo kto mu powie,
Jaki nań zapadł wyrok — niech ma spokój we śnie.
Na co wieścią złowrogą zabijać przedwcześnie?
Niemasz korzyści bogom, ani Litwie gwoli,
Że ktoś w męczarniach ducha cały dzień przeboli!
Taki rozkaz wydawszy, pokłon bogom czyni
I z pochmurnem obliczem wychodzi z jaskini.

X.

Straszne są bogi Litwy, którym hołdy święcę! —
Mówiła młoda Egle, załamując ręce, —
Jakie dzikie wyroki... jak przemocne prawa
Bóstwa, co żyje śmiercią, a krwią się napawa!...
Czyż dla zbawienia Litwy potrzebna jest zbrodnia?
Na co im krew niewinna obcego przychodnia?

Czy przeto wzniosą wielkość i potęgę swoją,
Kiedy ludzi na ludzi w nienawiść uzbroją?
Srogi Poklus — gdy z ojca chce czynić zbrodniarza,
Brzydka Marti — gdy takie wyroki powtarza...
Co im szkodzi ta głowa? zabijać ją... poco?
Czy w niej całą potęgę krzyżacką zgruchocą?
A może ta dziecina, taka dzisiaj młoda,
Kiedyś rękę Litwinom przyjacielską poda
I powstrzyma nieprzyjaźń, co dwa ludy plami,
I złączy swoje bogi z naszymi bogami...
Nie, Marti, czarodziejko! próżna twa podmowa!
Na inszą krew niech Poklus pragnienie zachowa.
On nie umrze... przysięgam, że nie umrze wcale;
Ja go mojem ramieniem zasłonię, ocalę,
Ja wezmę miecz ojcowski — znacie miecz Margiera!
On nie chybi w zamachu, on pancerz rozdziera,
On w rozpaczliwych ręku — biada waszej głowie,
Kapłani i wróżbici, i sami bogowie!...
Ja bluźnię waszej sile i waszej dobroci...
Jutrznio! której blask święty na niebie się złoci,
I ty, który mię słyszysz, święty wietrze wschodni,
I wy, bogowie niebios i ziemni, i wodni.
I ty, krwawy Poklusie, co zatrząsasz piekła,
Przebaczcie nieszczęśliwej, co w żalu wyrzekła!
Ocalcie niewinnego z pod oprawcy młota:
Ja wam ołtarz zbuduję, dam srebra, dam złota,
Dam krwi mojej na ołtarz!
Tak bolem, złamana,
Biedna Egle ze łzami pada na kolana,
Wzrusza Niebo rozpaczą, mięczy przez pokorę,
Nie ukrywa przed sobą, co w jej sercu gore.

XI.

Było jeszcze nad rankiem — daleko wschód słońca.
Na wale, gdzie klęczała Egle bolejąca,
Niewidziany, chcąc użyć porannej pogody,
Siedział w myślach posępnych Lutas siwobrody.

Wysłuchał jej bluźnierstwa, modlitew, rozpaczy,
I zrazu nie pojmował, co to wszystko znaczy;
Lecz zrozumiał... popatrzał... i z oczu mu znaczno,
Że przebaczył dziewicy jej miłość dziwaczną.
On sam dumał boleśnie nad Ransdorfa losem.
Słuchaj, córko Margiera — rzekł do niej półgłosem
— Bądź mężna — niech się twoje męczarnie ukoją,
Podsłuchałem bolesną tajemnicę twoją.
Czyś powinna pokochać wroga twojej wiary?
Niebu tylko wiadomo — jam za nadto stary,
By sądzić wedle siebie dusze młodociane,
Albo w boleściach serca dać balsam na ranę.
Może i prawdę rzekłaś: za lepszych dni świata
Może miłość dwa ludy niezgodne pobrata,
Dla Litwy i dla Niemca będzie Bóg jednaków;
Ja nie chcę tego dożyć — niecierpię Krzyżaków.
Ale całą nienawiść, co mem sercem miota,
Chciałbym dowieść toporem lub ostrzem brzeszczota,
Jak dawniej, gdy truchleli na blask mojej zbroi...
Ej, pomarli, pomarli towarzysze moi!
Czy doznali mej ręki niemieccy wrogowie?
Lubiłem krew ich sączyć — i dziś, gdyby siła,
Jeszcze stara nienawiść w piersiachby odżyła,
Ale to z równą bronią, gdy do walki zową,
Lecz brzydzę się morderstwem nad bezbronną głową.
Wiem, że własnej srogości pożałujem sami,
Gdy pamięć takich mordów naszą cześć poplami.
U mnie droga cześć Litwy, jam chlubny jej chwałą:
Trochę się za nią potu, trochę krwi wylało,
Zwyczajnie stary żołdak, co mam, tem się drożę.
Inaczej o tem myślą ofiarniki Boże;
Oni hełmu nie dźwigną, pod mieczem nie staną,
Im trzeba wieść przed ołtarz ofiarę związaną,
By swą wściekłość pobożną wywarli do syta! —
Tak mówił stary Lutas i zębami zgrzyta,
I żelazną prawicą uderza po czole. —
Nie!! przysięgam na bogów! że ja nie pozwolę,

Aby zginął bezbronny, jak wróżka wymaga.
Młodzian, któremu z oczu iskrzy się odwaga,
Którego kiedyś w boju obaczą Litwini,
A którego pokonać — to chluby przyczyni!

XII.

Lutas to zwolna gwarzy, to już w zapał wpada,
A Egle zapłakana, nieprzytomna, blada,
Przypada mu do kolan i błaga przyjaźni:
Ocal, szlachetny starcze! ocal go od kaźni!
Obaczysz... będzie mężny, jak tyś był za młodu,
Będzie druhem wieczystym naszego narodu,
Jego nikt nie zwycięży, on wszystkich pokona!
Lutas gorzko się zaśmiał: Szalona! szalona!
Szkoda mi twej młodości, szkoda twej rozpaczy...
Któż wie, na co go Niebo dla Litwy przeznaczy!
Może na czele hufców znowu tu się zjawi
Dopuszczać się za Niemnem morderczych bezprawi,
Zapalać nasze chaty, pastwić się nad dziatwą...
Ha! ale Litwa chrobra nie podda się łatwo!
Starzec westchnął... podumał i coś szepce do niej;
Spłakana twarz dziewicy radością się płoni;
On wskazał ku Niebiosom, ku niemnowej fali,
Snadź przyrzeka nieszczęsnej, że więźnia ocali.

XIII.

Słońce wieki płynęło po Niebios obszarze.
Niepokój wszystkie w zamku wypiętnował twarze:
Margier smutny, ponury, słowa nie przemówi;
Egle od ranka patrzy wciąż ku zachodowi,
Jakby mierzy od słońca Niebiosów błękity,
By się skończył dzień długi — och! dzień nieprzebyty;
Lutas potrząsa głową i sam z sobą gwarzy;
A niewiasty i dzieci, młodzieńcy i starzy
Krzątają się po zamku, patrzą na Krzyżaka,
I niejedno spojrzenie, jak zła wróżba jaka,
Zatrzymało się nad nim, lecz w ciżbie prostaczej
Rzadko wyraz niechęci, częściej łzę obaczy.

I dziwi się pacholę, co się w zamku stało?
Czemu wszyscy nań patrzą boleśnie, nieśmiało?
Czemu zdala go mija litewska gromada,
A żaden nie pozdrowi, słowa nie zagada?
Zresztą, mało go troszczy ich trwoga nieznana;
O jedno chciałby spytać: dla czego dziś z rana,
Wedle swej pobożności, wedle obyczaju,
Nie szła córka książęca do świętego gaju?
Och! nie tak węże z gaju upragnione mleka,
Jak on spojrzenia Egli. Czy przed nim ucieka?
Czy odgadła płomienie, co mu w duszy gorą?
Czy może zatrudnioną? czy może jest chorą?
Czy może dziki Litwin — o biada mu, biada! —
Nadniemnowej bogini swe ofiary składa?
Ransdorf na takich myślach przebył dzionek Boży,
I on cierpiał — któż zgadnie? może cierpiał srożej;
Bo biedne młode serce, kiedy w niem zagości
Szatan niedowierzania lub piekło zazdrości!

XIV.

Słońce zaszło... Na wałach o wieczornej porze,
Jak zwykle — Ransdorf marzy... a tam ostrzą noże,
Gotują stos ofiarny, rozpalają płomię.
Ściemniało... postać w bieli zbliża się widomie.
Krzyżak oko wytężył... to postać niewiasty:
Skrada się poza wały, poza dzikie chwasty,
Przybliża się... to ona przed jeńca oczyma...
Pokraśniała... chce mówić, lecz oddechu nie ma —
Zdobyła się na słowo: Cudzoziemcze młody!
Uchodź stąd... uchodź prędko... złamane przeszkody,
Ułatwiona ucieczka... przez Niemen... po błoni...
Uciekaj, nieszczęśliwy! śmierć za tobą goni!
I chwyta go za rękę, i jak młode sarnię,
Bieży z wału — to dzikie zarośla ogarnie,
To przeskoczy przez kamień: Spiesz się, spiesz, mło-
Aż serce jej kołace, aż oddech ustanie, [dzianie!
A oczy jej tak iskrzą, jakby słońce we dnie,

A lice to skraśnieje, to znowu pobiednie;
Ransdorf tuż za nią dąży, lecz zgadnąć nie zdoła,
Jaką śmiercią mu grozi i dokąd go woła;
Jedno tylko rozumie: że tak dni i lata
Leciałby z nią i leciał aż na koniec świata.

XV.

Nad błoń, pod starą olchę biegli zadyszani.
Tutaj Lutas ich czekał u brzegu otchłani,
Bo już odwalił kamień z pod olchy korzeni,
A loch nieogarnionej dalekiej przestrzeni
Ukazał się ich oczom. Tu się Lutas spuści,
Jak do ciemnej i strasznej piekielnej czeluści,
I zawołał: Ransdorfie! chwila uroczysta!
Przysięgnij na twych bogów, przysięgnij na Chrysta,
Że choćby przyszło płacić życiem lub swobodą,
Nie odkryjesz nikomu, gdzie te lochy wiodą!
Tam już w zamku spragnieni widzieć krwi twej fale —
Ja przysiągłem ocalić, ja ciebie ocalę.
Temi lochy do Niemna droga nie daleka,
A przy Niemnie twój rumak i łódka cię czeka,
A przez Niemen do swoich dostaniesz się snadno.
Lecz przysięgnij nie wydać przed potęgą żadną
Tajemnicy tych lochów!
Ransdorf ugiął szyję:
Przysięgam na Chrystusa, na świętą Maryę!
Rycerz Krzyża statecznie tych przysiąg dochowa.
Egle! szlachetna Egle! bądź zdrowa! bądź zdrowa!
Wspomnij czasem Ransdorfa, o dziecko swobody!
Weź ten krzyżyk — to Bóg mój!
I Krucygier młody
Wskoczył do lochu, poszedł kędy Lutas każe.
A Egle pozostała przy ciemnej pieczarze,
Odetchnęła swobodnie, zapłakała rzewno,
I bada fale Niemna źrenicą niepewną,
Aż wiatr zimny ochłodził gorące oblicze,
A z zamku doleciały śpiewy ofiarnicze.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

W Malborgu wielkiej sali zbiera się obrada.
Dwudziestu czterma okny blask słoneczny wpada
Na kamienną podłogę, na gotyckie ściany
I na orszak Krzyżaków gromadnie zebrany;
Złoci ich białe płaszcze, zaiskrza się, pali
Na hartownych pancerzach, na hełmach ze stali.
A wszyscy niemal bracia jednakiej urody,
Jednako noszą płaszcze, pancerze i brody,
Jednostajna nad hełmem rozwiewa się kita;
Tylko na każdem licu inna myśl odbita.
Owdzie twarz siwobroda, znojem ogorzała,
Rozognionym rumieńcem bohatersko pała;
Owdzie lica wybladłe, pieszczone jak cacko,
Uśmiechem zalotności, swobodą hulacką
Odznaczają czcicieli Bacha i rozpusty;
Insze zasię oblicza z zaciętemi usty,
Ze spuszczoną źrenicą, poczerniałe, chude,
Znaczą dziki fanatyzm lub świętą obłudę.
Ale na żadnem czole i na żadnej twarzy
Piętna cnót chrześcijańskich spotkać się nie zdarzy,
Bo kościelni rycerze zapomnieli ninie
Wzoru swych Patryarchów, którzy w Palestynie
Nieśli chorym w szpitalach ratunek najżywszy,
Albo świętej Maryi swój miecz poślubiwszy,
O głodzie i o chłodzie w Chrystusowe Imię
Zabezpieczali w stepach gościńce pielgrzymie;
Od nich miał wspomożenie ubogi i słaby,
Gdy o żebranym chlebie walczyli z Araby.
Dzisiaj nad Grobem Pańskim już nie pełniąc warty,
Usiadł mnich na książęcej stolicy rozparty;
Wypróbowawszy miecza na świętej posłudze,
Zatopił chciwe szpony w posiadłości cudze,
A nad sąsiednią Litwą, Prusakiem i Lachem
Wywiera swoje wpływy krzyżem i postrachem.
Nienasycona żądza, nieugięta pycha

Zagnieździły się w sercu bogatego mnicha;
Komu ślub przysiężony pokornym być każe,
Chce potęgą prześcignąć króle i cesarze;
Potworną jego piersią niespokojnie miota
Tylko pragnienie władzy, rozkoszy i złota.

II.

Nieskładny gwar rozmowy przebiega po sali.
Ze wszystkich miast i zamków tutaj się zebrali
I komtury, i wodze, i kapłani starszy,
I od króla polskiego posłannik monarszy.
I z pismem Apostolskiem goniec od Papieża,
I goniec od cesarza: bo rozterka świeża
Krzyżowców z królem polskim o miasta i kraje,
Nie małe w chrześcijaństwie trudności zadaje.
Po sali mnoga ciżba snuje się i gwarzy.
Rozmawiają półgłosem komturowie starzy
O traktatach, i jaka należy im wiara?
O prawie kanonicznem i władzy cezara,
I o prawie podbojów co sądzili dawni,
I jako się trzymana posiadłość uprawni?
Bo dzisiaj z królem polskim spór się toczy żwawy
O stare posiadłości Dobrzyń i Kujawy.
Zasię młodsza gromada rycerzów i młodzi
O turniejach niemieckich rozhowor zawodzi,
Wenecką karaceną lub mieczem się szczyci,
Wychwala oczy dziewic i kształt ich kibici,
Śmieje się hucznym śmiechem, przechwala w bezwsty-
Albo nuci rozkoszne piosnki o Cyprydzie. [dzie,

III.

Wtem weszli heroldowie poważnie do sali
I przybycie wielkiego mistrza obwołali.
Ucichnął szmer, i wielkie otwarto podwoje,
I starzec wynędzniały przez trudy a znoje,
Ubrany w płaszcz i pancerz, jak rycerze prości,
Wszedł, poprzedzon znakami swojej dostojności:
Wielkim krzyżem i mieczem. Ukłonił się braci,

I wszyscy się skłonili w pokornej postaci.
Skinął i wedle stołu zasiadł tron monarszy.
Poklękli obok mistrza komturowie starszy,
I zakonny kapelan z cicha a pomału
Począł mówić modlitwę wedle rytuału,
Prosząc Ducha świętego, który serca świadom,
By udzielił natchnienia krzyżackim obradom.
Gorzkie urągowisko! bo świętego Ducha,
Boskich natchnień od dawna Krzyżactwo nie słucha,
A Duch Pański nie gości w mordach i pożodze,
Nie udziela porady na bezbożnych drodze.
  Od czasu jak go mistrzem obrała gromada,
Teodor z Altenburga już siódmy rok włada,
Więcej duchem marsowym niźli Bożym płonie
I chwałę bojowniczą pomnożył w zakonie.
Ale szczęściem wojennem próżno się zasłania,
Kto karty historyczne swego panowania
Przed obliczem obecnych i potomnych ludzi
Obryzga krwią niewinną lub zdradą zabrudzi.
Potężny wielki mistrzu, hrabio Teodorze!
Twój wawrzyn bohaterski nie wiele pomoże:
Kto rozlał krew niemowląt, co pod Gnieznem płynie,
Kto w Kaliszu odzierał Chrystusa świątynie,
Kto w klęsce chrześcijaństwa swoją wielkość kładnie,
Kto zmowę z Szamotulskim zaprowadził zdradnie,
Kto ośmielił Sarmatę — o zbrodni nieznana! —
Zaprzedać kraj rodzinny i swojego pana, —
Próżno w laury wojenne przyozdabia głowę!
Przeklęctwo nań spółczesne, przeklęctwo dziejowe!
A z tej klątwy ni Cezar, ni książęta Rzeszy,
I choćby chciał rozgrzeszyć — Papież nie rozgrzeszy.

IV.

Ukończono modlitwę — poczęta obrada.
Wielki mistrz na swym tronie książęcym zasiada;
Siedli panowie radni na dębowej ławie,
A szlachetne rycerstwo stanęło ciekawie,

Otoczone giermkami i orszakiem pazi,
Czekając, co król polski przez posły wyrazi,
Czy z pokojem, czy z wojną do mistrza przybywa
Sławny rycerz z Melsztyna, Jan, herbu Leliwa.
U wchodowych podwojów zaciągnięto straże;
Mistrz rycerstwu w półkole szykować się każe.
Słychać tętent rumaków przed bramą na moście,
Słychać łoskot w dziedzińcu — przybywają goście.
Wrzasła trąba heroldów, aż zadrgały ściany,
I mężny Leliwita, jak na bój przybrany,
Otoczon gronem giermków i sarmackiej młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą na pokoje wchodzi, —
I przeciąga przez salę pochód uroczysty.
Poseł idzie k'mistrzowi, podaje swe listy,
I odkrywa przyłbicę, i dumnie się kłania.
Znać rycerską swobodę z tego powitania,
Z mężnej twarzy i z oka, co na wskroś przenika,
Wyczytać wielkie serce w piersiach posłannika:
Że król jego potężny, że kraj jego kwitnie,
Że nie przychodzi o nic błagać czołobitnie.
Spojrzał po całej sali, po całej gromadzie,
I na rękojeść miecza dłoń rycerską kładzie,
I w takowej postawie stanąwszy z daleka,
Muskając sute wąsy, na odpowiedź czeka.

V.

Polskiej ziemi króluje od dwóch lat bez mała
Kazimierz, co go Wielkim potomność nazwała;
Dzielne plemię Łokietka w cześć ludzką urasta,
Panując nad wszystkiemi dzielnicami Piasta.
Z młodu przy boku ojca z wojną obeznany,
Wsławił się pod Dobrzyniem, zdobywał Kościany;
Krzyżacy go doznali jeszcze z tamtej chwili
I pana sarmackiego nie lekceważyli.
Lecz wiedząc, że Łokietek nie wskrześnie z mogiły,
A młodego orlęcia jeszcze słabe siły,
Podnieśli hardą głowę mnisi wiarołomni:

Bo któż się za bezprawia rachunku dopomni?
Bo w Krakowie niewiasta i pacholę włada,
Kilku starców zgrzybiałych w obradzie zasiada,
A ościenni książęta, patrzając zazdrośnie,
Cieszyli się, że Polsce nieprzyjaciel rośnie,
I sprzyjali Krzyżakom z niechęcią dla Polski:
Król węgierski, król czeski, cesarz apostolski,
Słowem wszyscy panowie chrześcijańskiej ziemi,
Wszyscy przeciw Sarmatom — a któż był za niemi?
Jakiego sprzymierzeńca mieli na widoku?
Tylko Boga, co w Niebie, i miecz, co przy boku!

VI.

Mistrz pisanie królewskie przeczytał i chowa,
A poseł w te ku niemu odzywa się słowa:
Dostojny, wielki mistrzu i wszyscy rycerze!
Pan i król mój przeze mnie pozdrawia was szczerze,
I prosi Pana Boga chrześcijańską modłą,
Aby nam w łasce Jego fortunnie się wiodło.
Przyczem wam przypomina o świeżym traktacie,
Że Dobrzyń a Kujawy nieprawnie trzymacie,
Że za starego króla zbici pod Płowcami,
Gdy warunki przymierza podaliście sami,
Gdy zakon pokonany miłosierdzia żebrze,
Mieliście tysiąc grzywien zapłacić we srebrze.
Gdzie skutki tych przyrzeczeń, opisów, umowy?
Gdzie wiara, utwierdzona rycerskiemi słowy?
Gdzie kapłańska uległość wyrokom Kościoła?
Kiedy spełnicie rozkaz, co nuncyusz woła,
I co Papież potwierdził w Apostolskim liście?
Król i pan mój rozkazał spytać uroczyście.
Oto wasi żołdacy, jakby horda dziczy,
Zakłócają spokojność naszych pograniczy;
Po miastach i po wioskach trwoga się rozniosła,
Rolnik odbieżał pługa, mieszczanin rzemiosła,
Pozabierane trzody, spustoszone zboże,
Czyż król na tyle klęski nieczułym być może?

Nie darmo jego barki purpura osłania;
Nie darmo jego czoło gwoli królowania
Namaścił Arcybiskup oliwą chryzmatu
I przypasał do boku miecz wiadomy światu;
Miecz Chrobrych, Krzywoustych, nie darmo zadzwoni,
Świeżo jeszcze w Łokietka zahartowan dłoni.
Krzyżacy! ostrze jego, oświetlone chwałą,
Od płowieckiej potrzeby jeszcze nie stępiało!
Ale pan mój, szanując powołanie wasze,
Nie pierwej wdzieje pancerz i miecz swój przypasze,
Chyba że wasza pycha otwarta widocznie
Wyroki Apostolskie lekceważyć pocznie.
Oto świeżo obleczon w poselstwa zaszczyty
Jan ze Słupca, krakowski Biskup znakomity,
Jeździł w imieniu króla w Apostolskie progi,
I przekładał uciski, morderstwa, pożogi,
Wszystko, czemeście Polskę krzywdzili zdradziecko,
Odkrył Głowie Kościoła, jako ojcu dziecko.
A ojciec chrześcijaństwa usłuchał wołania,
I ku naszym uciskom swoje ucho skłania,
I odprawę posłowi miłościwą daje,
I szle swoich legatów na północne kraje.
Posłanniki Papieża, jak sędziowie czuli,
Piotr, Prałat aniceński, i Gerard z Tituli.
Umocnieni powagą i zupełną władzą,
Żałoby wysłuchają i wyrok wydadzą,
Dopomną się krzywd Polski na waszym zakonie
I powrócą zabory uciśnionej stronie.
Już tedy ci legaci do Polski przybyli,
I z ramienia Papieża wydają w tej chwili
Rozkaz, byście stanęli dla słuchania sprawy,
Do stolicy Mazowsza, do miasta Warszawy,
Gdzie na dniu pierwszym sierpnia zasiędą w urzędzie
I sąd nuncyatury przywołany będzie.
A Kazimierz, król polski, z uprzejmemi słowy
Przysyła wam zapozew na termin sądowy,
Abyś sam, wielki mistrzu, lub przez towarzysze,

Stanął na czas i miejsce, jak w tych liściech pisze.
Tam niechaj nas rozsądza sprawiedliwość Boża,
A mistrz, w prawie uczony, Bartold z Raciborza,
Wyłuszczy naszą sprawę dokładnie i szczerze,
I obrony wysłucha, i wyrok odbierze:
Bo przyjmujemy chętnie z uchyleniem czoła
Wszelki wyrok od Głowy widomej Kościoła.

VII.

Rycerz skończył poselstwo, a wielki mistrz mówi:
Szlachetny Leliwito! odpowiedz królowi,
Że się sądy rycerskie odbywają krwawo,
Że trąba bywa woźnym, a bardysz rozprawą,
I żeśmy nie przywykli staroświeckim torem
Trudzić Ojca świętego marnym rozhoworem.
Lecz jeśli taka wola, niech zadość się stanie,
I dwa bitne narody, jakby dwaj mieszczanie,
O kawał spornej miedzy, o niedobre słowo,
Pójdziem do pana wójta na sprawę sądową.
My wypełnimy wszystko, co Papież rozkaże:
Niech zatargi rycerskie sądzą bakałarze,
Nasz zakon, jak posłuszne Kościołowi dziecię,
Przyjdzie na czas i miejsce, jako wskazujecie.
I w cesarskiem i w Boskiem prawie wyćwiczony,
Ojciec Jakób z Arnoldu, stanie z naszej strony,
Będzie przekładał prawa, na których my stoim,
A które obelżywie nazwałeś rozbojem.
Lecz nie myślcie, Polacy, że sąd jaki zdoła
Uszczuplić posiadłości Pańskiego Kościoła;
Co dzierżym w Imię Boże, albo prawem miecza,
To nam Kościół zapewnia, cesarz zabezpiecza:
Bo wszystkiemi krajami chrześcijańskiej ziemi
Włada cesarz niemiecki z prawami swojemi,
I ja mnich w mej pokorze, i twój król w swej chwale
Jesteśmy tylko jego pokorni wassale.
A Dobrzyń i Kujawy, Prusy i Pomorze,
Co się wzięło na Litwie, walcząc w Imię Boże,

Kraje nadane dawniej, lub zdobyte świeżo,
Nie do nas, lecz do władzy cesarskiej należą.
A gdy cesarz do siebie należące kraje
Kościołowi Bożemu wieczyście nadaje,
My, pokorni szafarze, słuzebnicy prości,
Nie mamy praw uszczuplać kościelnej własności.
A ktoby coś zamierzył lub działał w tym względzie,
Wedle świętych Kanonów niech wyklęty będzie;
A na kogo włożono takie anathema,
Nawet w mocy Piotrowej rozgrzeszenia nie ma.
Dochować wam przyjaźni trwam w ciągłym zamiarze;
Ale moje sumienie jeszcze więcej ważę.
Nie chcę, aby mi klątwa ciążyła nad głową.
Rycerzu Leliwito! masz ostatnie słowo.
Umilknął — twarz rycerza szlachetna i śmiała
Z oburzenia pobladła i znowu skraśniała;
Na rękojeść szablicy oparta dłoń posła
Ścisnęła się gwałtownie, jak gdyby przyrosła
Do srebrnej rękojeści, jakby jednym razem
Miała błysnąć przed oczy hartownem żelazem.
Ale Jaśko z Melsztyna, posiwiały w radzie,
Pamięta, że poselstwo obowiązki kładzie,
Że temu nie przystoi okazać gniew żywy,
Kto przychodzi z pokojem i różdżką oliwy;
Więc, chociaż oburzony aż do głębi ducha,
Choć mu gniew pała w oczach i z twarzy wybucha,
Odpowie cichym głosem, z łagodną postawą:
Szlachetny, wielki mistrzu! czy oręż, czy prawo
Ma dochodzić słuszności — ja się tem nie trudnię;
Lecz poco Imię Boże wspominać obłudnie?
Czy Kościół Chrystusowy wspomagać należy
Owocem wiarołomstwa lub chciwej łupieży?
Król polski, panujący w potędze i chwale,
Nie liczy się pomiędzy cesarskie wassale;
A jeśli jak mu każe Chrystusa nauka,
Przez pobożność w podwoje Apostolskie puka,
Wy się przeto nie karmcie daremną otuchą,

Że miecz jego do pochew przyrosnął na głucho.
Dziś przybyłem na sprawę wezwać zobopólną,
Dziś rękawicy boju ciskać mi nie wolno;
Lecz gdy króla mojego wywołacie zgrozę,
Insze może poselstwo w te mury przywiozę.

VIII.

— Przyjmiemy was, przyjmiemy, rycerzu z Melsztyna,
Spełnim, czego się po nas wasz król dopomina;
W świętej kościelnej sprawie za pierwszem wołaniem
Czy orężem, czy piórem do rozprawy staniem:
Kto jest Bożym rycerzem, tego w żadnej chwili
Ni prawo nie pokona, ni miecz nie omyli! —
Rzekł Rudolf, książę saski, z komturów najstarszy,
Zalecony orężem i ze krwi monarszej,
Co mu w piersiach płynęła; Krzyżacy go zową
Starego Altenburga ramieniem i głową,
A raczej zwaćby duchem nienawistnym w radzie,
Co złe myśli do głowy i do serca kładzie.
— Bóg — odrzekł Leliwita — Bóg słuszność wy-
Bóg wskaże kogo uznał za Swoich rycerzy, [mierzy,
Kto cześć Jego imienia pielęgnuje lepiej,
Kto świętą Jego wiarę obszerniej zaszczepi.
Tymczasem, wielki mistrzu, starszyzno i wodze,
Spełniłem rzecz poselstwa w polubownej drodze;
Czyńcie, jak wasza wola, jak wasza uwaga.
Król mój pragnie pokoju, ale go nie błaga.
Chcecie wojny, toć na was upadnie jej wina.
Bóg was żegnaj, Krzyżacy!
I Jaśko z Melsztyna,
Otoczon gronem giermków i sarmackiej młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą z komnaty wychodzi.
Za nim szmer dał się słyszeć... Mężny Leliwito!
Wzbudziłeś niechęć jawną, ale cześć ukrytą:
Bo cnota i w występnym znajdzie hołdownika,
A szlachetna odwaga i wrogów przenika;

Czy idzie z mieczem boju, czy z różdżką przymierza,
Wróg nienawidzi wroga, lecz uczci rycerza.

IX.

Za posłem wyszła młodszych Krzyżowców drużyna.
Wielki mistrz ze starszyzną radę rozpoczyna.
— Złe wieści — rzekł po chwili — nieprzyjemna
Powiedz, książę Rudolfie, jak ci się wydawa: [sprawa!
Czyliż przed całym światem mą słabość obwieszczę?
Oddam Dobrzyń, Kujawy i opłacę jeszcze?
Co powie chrześcijaństwo i wszyscy mocarze,
Jeśli wolę Papieża marnie zlekceważę?
Kędy obrócę oko, naokoło baczę,
Dokoła słyszę zawiść na szczęście krzyżacze,
Że my zbieramy kłosy, kiedy insi chwasty;
I byle tylko skinął Benedykt Dwunasty,
Wnet od Gallów, Brytanów, ze wszystkich stron świata,
Na krzyżowych rycerzów spadnie krucyata.
Żartuję z klątw Papieża, ale ich się boję.
Mów książę: jaka rada? jakie zdanie twoje?
— Wielki mistrzu! — rzekł Rudolf — krótka moja
Poza mury Kościoła ukryć się wypada, [rada:
I przez ojca Arnolda oświadczyć królowi,
Że jest świętem, co własność kościelną stanowi,
Że Dobrzyń i Kujawy są już w ręku Bożem,
Że my pod ciężkim grzechem wrócić ich nie możem;
Niech je odbiera siłą, to sam się ugmatwa.
A iż się Papież gniewa — i tu rada łatwa:
Niech widzi naszych czynów dowód niezachwiany,
Że służym chrześcijaństwu, że walczym z pogany,
A starzec nasze winy rozgrzeszy z rozkoszą.
Każ mistrzu, niechaj pochód na Litwę ogłoszą.
Piękne tameczne ziemie, zyskamy je skoro,
Może w zamian tych krajów, co Lachy odbiorą;
Wiele się w Litwie zyska, a mało utraci.
A kiedy nas przypozwą Papiescy legaci,
Nie będziem mogli stanąć mimo szczerych chęci:

Bośmy świętą wyprawą na Litwie zajęci.
Papież skargi Polaków poczyta za baśnie,
I z opoki Piotrowej jeszcze nam przyklaśnie.
Skończyłem.
— Wielki mistrzu! co się do mnie ściąga —
Mówił z kolei komtur Fryderyk z Elbląga —
Dzielę księcia Rudolfa doświadczone zdanie:
Pragnę widzieć nad Litwą nasze panowanie,
Pragnę poniżyć rogi sarmackiej potędze,
I miecza nie poskąpię, i krwi nie oszczędzę,
I może się do dzieła przyczynię potrosze,
Bo wam z Litwy szczęśliwą wiadomość przynoszę.
Gdyśmy obecnej wiosny w naszych sił ogromie
I wzdłuż i wszerz po Litwie roznosili płomię,
Gdyśmy samego Wilna byli niedalecy,
Musieliśmy uciekać z pod małej fortecy.
Kiedy Litwa pustkowiem stała w jednej chwili,
Gdyśmy zboża stłoczyli, wioski popalili,
Kiedy pierzchał przed nami cały kraj przelękły, —
Na jednym zamku Pullen nasze siły pękły.
Pomiędzy wybrzeżami Niemna i Puniały
Seciny krzyżowego rycerstwa zostały,
A ze stosu ich kości, co się wiatrem bieli,
Dotąd jeszcze nie wskrzesła drużyna mścicieli.
Ale Margier, dowódca barbarzyńskiej rzeszy,
Nie długo się owocem zwycięstwa pocieszy.
W tej chwili z jego więzów, na łono swobody
Przybywa Ransdorf Warner, mój dowódca młody.
On na polu bojowem kiedy obumiera,
Został wskrzeszon do życia staraniem Margiera;
Sądzony bogom Litwy pod nóż świętokradzki,
Potrafił dziwnym cudem uniknąć zasadzki.
Trzymany cały miesiąc w niewoli złowrogiej,
On przeznał wszystkie ścieżki, wszystkie zamku drogi:
Litwini zdadzą twierdzę, radzi czy nieradzi,
Gdy na pewne zwycięstwo Ransdorf poprowadzi.

A gdy się zamek Pullen od Niemna zawładnie,
Reszta litewskiej ziemi ukorzy się snadnie;
Pęd naszego rycerstwa chyba wstrzymać może
Olgierd w Wilnie, a Kiejstut na Trockiem jeziorze.
Oto są, wielki mistrzu, z poza Niemna wieści.
Każ, niech trąba litewską wyprawę obwieści,
A gdy ziemia litewska nasz sygnał posłyszy,
Ręczę za dobre żniwo krzyżackich bardyszy.
Nad pogańską ziemicą już się słońce żarzy,
Już tam kłosie dojrzałe czeka na żniwiarzy.

X.

Waleczna Fryderyka i Rudolfa rada
K'sercu wielkiego mistrza najsnadniej przypada.
Więc podumał i skinął — i do stopni tronu
Przybliża się najstarszy chorąży zakonu.
— Pójdź — mówi — każ wyprawę otrąbić przed rze-
A chorągiew bojową niech z okna wywieszą. [szą.
Niechaj w sercu Papieża wszelka niechęć uśnie,
Niech wrogowie nie mówią, że my drzemiem gnuśnie.
A kiedy w naszych rękach część Litwy zobaczy,
Sarmacki król-pacholę przemówi inaczej.
Zapomni świetnych bitew, co wygrali starzy,
O Dobrzyń i Kujawy spytać się nie waży.
Idźcie z Bogiem, rycerze!
I powstała tłuszcza;
Teodor z Altenburga świetny tron opuszcza;
Sala głuchnie — a tylko, jak rycerstwo życzy,
Zagrzmiał z Malborskich wieżyc sygnał bojowniczy.
I tłumią się żołdacy chętni do oręża,
I sławetni mieszczanie, i wielebni księża,
I każdy po swojemu nowinę tłomaczy,
I każdy zapytuje: co ten sygnał znaczy?
I lecą chyże wieści od grona do grona,
Że znowu na niewiernych wojna uchwalona.

XI.

Czekając zmiany warty u narożnej wieży,
O północnej godzinie czuwa trzech rycerzy.

Światło smolnej pochodni uderza na ścianę,
Na przyłbice i miecze w rząd porozwieszane,
I na twarze Krzyżowców siedzących przy stole,
Na stągiew pełną wina i rogi bawole.
(Bo polubiła w Litwie krzyżacka natura
Zwyczaj pijania z rogu bawołu lub tura
I u siebie go chowa). Rozhowor się toczy:
— Ransdorfie! — mówił starszy — te pogańskie oczy
Urzekły cię, jak widzę: takiś smutny, blady,
Ani do pogadanki, ani do biesiady;
Milczysz, jak Harpokrates, wśród naszego wrzasku,
Zeskromniałeś na Litwie, jak święty w obrazku.
Prawdę mówiąc, w więzieniu nie wiele słodyczy,
Głodno i niewygodno, wiadomo wśród dziczy;
Ale zresztą na Litwie spotykałeś może
Stary kowieński lipiec i dziewczęta hoże,
A z takiemi pociechy i na sercu słodziej,
A nawet i w więzieniu prędzej czas uchodzi.
— Litwa — mówcie co chcecie — to kraj niezły wcale!
Choć mówi Pismo święte w którymś tam rozdziale,
Że ze wszystkich dóbr ziemskich, ile tylko stanie,
Mają prawo pożytku sami chrześcijanie;
A jednak dziki Litwin, co w Boga nie wierzy,
Smakuje stary miodek, godny ust rycerzy,
A w kraju, otoczonym lasami i wodą
Rodzą się czarnobrewki, co aż duszę bodą.
— Ej Ransdorfie, Ransdorfie! wiem, żeś zawsze gotów
Do pełnego puhara i pustych zalotów.
Bogdaj nade mną gromy Perkuna zawisły!
Bogdajbym nic nie pijał oprócz wody z Wisły,
Jeżeli nie odgadłem, co ci w serce kole,
I że po całej Litwie głośne twe swawole!
Nie wstydź się... toż młodości prawa i zasługi.
— Odgadłeś go, Wilhelmie — rzekł mu Krzyżak [drugi —
Pojmała go w swe sieci cypryjska bogini;
Ale miłość na Litwie dziwactwa z nim czyni:

Po anielsku coś brzęczy w jego sercu struna,
Gotów czcić węże święte, kląć się na Perkuna,
I nad wszystkie ziemianki, nad wszystkie boginie,
Eglę, córkę Margiera, ukochał jedynie;
A ślubom swego serca chcąc czynić zadosyć,
Ołtarz bogini Egle chce w Malborgu wznosić.
A chociaż cały miesiąc pod jej dachem gości,
Nic do niej nie przemówił, nie wyznał miłości;
Tam samym jej widokiem napawał się zdala,
A tutaj jej szlachetność, jej piękność wychwala.
I słuchaj: już tam było gotowe dlań zgliszcze,
Już go miało pożerać litewskie bożyszcze,
Kiedy zjawia się Egle, zadyszana, blada,
Porywa go za rękę, o śmierci powiada,
Uprowadza przez góry, przez tajemne lochy,
I ocala od zguby — a nasz Ransdorf płochy
Tak uczuł bicie serca, taki zawrot głowy,
Że kochankę pożegnał tylko czterema słowy,
I popłynął spokojnie na litewskiej łodzi.
— A nawet nie uściskał? och! to się nie godzi! —
Mówił Wilhelm ze śmiechem — ach! dziecino młoda!
Wszak tam krzyżacka grzeczność na pośmiech się poda.
Jeśli się o tem dowie Rudolf, książę saski,
Toś już na wieki wieków wypadł z jego łaski.
A dowództwo łuczników, coś dostał tak skoro,
Wierz mi, młody Ransdorfie, zaraz ci odbiorą.
Komtur elbląski mistrza oszukał zdradziecko:
Wmówił mu, żeś ty rycerz — a ty jeszcze dziecko,
Dziecko — bo taka miłość nie wiele ci wskóra;
Dobra w książce Platona, w pieśni Trubadura,
Lecz w życiu tyle warta, co w zbroi dziecina,
Co włócznia bez żelaza, co puhar bez wina.

XII.

— Bracia moi! — rzekł Ransdorf z zapałem i skoro —
Poszanujcie uczucia, co mi w piersiach gorą!

Czy mnie, com skłonił szyję do zakonnych jarzem,
Com już wykonał śluby przed Pańskim ołtarzem,
Czy mnie wolno otwierać dla miłości łono,
Pokochać córkę Litwy, pogankę niechrzconą?
Tego nie wiem — lecz w Bożem miłosierdziu tuszę,
Bo czuję, że ta miłość uświęca mi duszę.
Ale za cięższą zbrodnię, za gorszą ohydę
Snadź mi Pan Bóg poczyta, że na wojnę idę,
Jak dowódca łuczników. Czyż postąpię godnie,
Wiodąc miecze mordercze, pożarne pochodnie,
I rozbijając piersi, zapalając ściany,
Gdzie byłem nieprzyjaciel jak brat powitany?
Gdzie mię srodzy Litwini przyjęli jak swoi?
Gdzie Margier chlebem karmi, Lutas pieśnią poi?
Gdzie Egle, boska Egle, zbawia Krucygiera,
I rękę mu podaje, i serce otwiera?...
Szatan chyba nie człowiek miałby w poniewierce
Co najdroższe na świecie: chleb, pieśnię i serce!
Niemcy! ja kocham Litwę — czyż zhańbię me ramię?
Ja mój pancerz podepcę, ja mój łuk połamię,
Lecz nie pójdę na wojnę, jak zbójca z jaskini.
To cóż, że książę saski dowódcą mię czyni?
Ja lękam się... nie tego, że mi złamią szyję;
Lecz Margier niewdzięcznika spojrzeniem przebije,
Lub w piersiach pęknie serce, co tak się rozżarza,
Albo Bóg strasznym gromem ciśnie na zbrodniarza.
Odpowiedzcie mistrzowi, on na to ma władzę,
Niech mi życie odbierze — ja Litwy nie zdradzę! —
Tak mówił młody Ransdorf z rumieńcem na twarzy,
A w orlich jego oczach aż iskra się żarzy,
Drga mu serce, jak fala, gdy ją wicher wzruszy:
— Wilhelmie! wara bluźnić uczuciom mej duszy!
Choćbyś stokroć był starszy i wiekiem, i zdaniem,
Ciskam ci rękawicę z bojowem wyzwaniem;
Choćbyś stokroć wprawniejszy do miecza lub młota,
Doświadczysz, czem jest ramię, którem zapał miota!

XIII.

Wilhelm wstał i wychylił wina róg bawoli.
— Szlachetny zapaleńcze! powoli, powoli!
Starsi wskażą ci drogę — tu droga jedyna
Rycerza i kochanka, i chrześcijanina:
Prowadź przed wojskiem naszem twych łuczników stra-
Krzyż albo miecz pod Pullen swe cuda okaże. [że.
Kochasz Egle, więc dołóż chrześcijańskiej chęci,
Niechaj chrzestne polanie jej czoło uświęci.
Zdobądźcie zamek Pullen, wojownicy śmiali,
I niech się władza krzyża nad Litwą ustali,
A ty z ramienia mistrza będziesz tam jak książę.
Papież chętnie twe śluby zakonne rozwiąże,
I poczniesz z swoją Egle piękne dni wesela;
Ona wskrześnie przez ciebie w Imię Zbawiciela,
Jakeś przez nią od śmierci doczesnej ocalał.
Wilhelm skończył, i znowu róg bawoli nalał,
I wyszedł, bo już zegar wybił zmianę warty.
A Ransdorf długo dumał na dłoni oparty;
Czoło jego chmurnieje, to błyśnie pogodą,
Znać myśli, co weselą, co mu serce bodą,
Znaczno nadzieję Niebian lub zwątpienie ziemian,
Z Aniołem, to z szatanem bawi się na przemian,
I rzekł, cisnąc we dłoniach czoło niespokojne:
W imię Niebios, czy piekieł, ja idę na wojnę?
Czy zbawię, czy potępię? czy Litwę, czy siebie?
Czy się wzniosę w obłoki? czy w przepaść zagrzebię?

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

Urodzona z wyziewów w nadmorskiej krainie
Straszno gdy czarna chmura swe skrzydła rozwinie,
A lecąc po Niebiosach w niewstrzymanym pędzie
Z gniewnej piersi straszliwy łoskot wydobędzie,
I z gniewnej paszczy ciśnie błyskawiczną żmiję,
A żądłami z piorunów w starą puszczę bije,

A kędy skrzydłem wionie, kędy okiem błyska,
Już tam bucha żałobny dym pogorzeliska.
Szalony pęd jej lotu gruzami położy
Czy to chatkę poziomą, czy to kościół Boży.
Ucieka przed nią zwierząt i ptasząt gromada,
A syn człowieczy blednie i na twarz upada.
Ale trwożliwiej Litwin patrzy ku Baltydzie,
Kiedy czarny jak chmura huf krzyżacki idzie.
Nie tyle straszny piorun, co błysk ich puklerzy,
Nie tyle wściekły wicher spustoszenia szerzy:
Bo tutaj ani zboże, ni wioski, ni miasta,
Ni starzec siwobrody, ni krasna niewiasta,
Ani dziecię w pieluchach, ani mąż we zbroi,
Nigdzie się nie ukryje, nigdzie nie ostoi.
Na strzechy mają płomień, a na starców noże,
Na niewiasty rozpustę i chrzest w Imię Boże,
A na mężów litewskich, gdy do boju zową,
Mają strzelby siarczyste i chytrość wężową.
W imię twoje mordują, pustoszą nam niwy, —
O! Jezu chrześcijański, jakiś Ty straszliwy!

II.

Nad strzechy litewskiemi słychać jęk puhacza:
Oto wojsko krzyżowe ponad Niemen wkracza!
Śmierć liczy pewne żniwo po niedługiej chwili,
Bo rzadko tyle siły Niemcy zgromadzili.
Dziesięć straszliwych hufców ciągnie się koleją,
Dziesięć wielkich proporców nad ich głowy wieją.
O milę ich pancerze migocą się jaśnie,
A przy blasku ich włóczeń błyskawica gaśnie.
Gromem tętnią po błoni rumaków kopyta,
Jękiem piekieł ich trąba wojownicza zgrzyta.
A gdy trąby ucichną, z daleka ich wyda
To piosenka rozpusty, to Psalmy Dawida:
Bo tu szatan rachuby i niewiary zimnej
Umie w jedno zespolić bluźnierstwa i hymny,

Wielki mistrz z gronem wodzów i starszyzny samej,
W białej szacie jedwabnej ze złotemi lamy —
Przed nim niosą chorągiew wielką, znakomitą,
Na której w białem polu złoty krzyż wyszyto;
On na dzielnym rumaku przodkowanie bierze,
Przy nim jadą przybyli w gościnę rycerze.
Bo niemieckie książęta, hrabiowie, barony,
Jako błędni rycerze przychodzą w te strony;
Bo jedni pięknej chwały, drudzy przygód życzą,
Insi chcą się zapomódz pogańską zdobyczą,
Insi, czując za zbrodnie sumienia wyrzuty,
Spieszą dopełnić ślubów lub jakiej pokuty:
Bo w krainie Germana, Brytana i Galla
Mnich rycerzy do walki z pogaństwem zapala,
I chętnie rozgrzeszenia każdemu udziela,
Kto idzie szczepić w Litwie wiarę Zbawiciela, —
Przyrzeka, że kto zgasi żniczowe ogniska,
Ten odpust całkowity i Niebo pozyska,
Zjedna dla się Chrystusa i świętą Maryę,
Kto stu pogan nawróci albo ich zabije.
A więc każdy z bojaków te słowa pamięta
I w szeregach krzyżackich stawają książęta.
Dzisiaj belgijski Nemur z ich hufcem się wiąże,
I mężny Hanneberger, z ponad Renu książę,
I Ludwik, pan udzielny brandenburskiej ziemi,
Stają do boju z Litwą z zastępy mocnemi.
Mistrz ochoczo przyjmuje chrześcijańskich gości,
Sprasza kruków do Litwy na żer jej wnętrzności,
Wkrótce z krwawemi dzioby do jej serca wpadną...
Tylko piersi skalistej rozwalić niesnadno!

III.

Płyną straszliwe hufce bez końca, bez miary,
Lecą na ciężkich koniach niemieckie rajtary,
I mieszczanie z Elbląga, z Torunia i Gdańska,
I chorągiew zaciężna szwajcarska, słowiańska,

I niemieckich łuczników idzie zastęp chyży,
I burzące tarany, i działa ze śpiży,
(Niedawny wynalazek ogniopalnej broni,
A Litwini zaledwie zasłyszeli o niej,
A Niemcy, uzbrojeni w siłę gromowładną,
Tem pewniejsze nadzieje w swem zwycięstwie kładną).
W straży wielkiego mistrza niektóre oddziały
Noszą grzmiące rusznice, ręczne samopały;
Ale jeszcze niewprawna strzelecka gromada
Lepiej łukiem i bełtem, niźli strzelbą, włada,
I jeszcze wielkie dla się poważanie ściąga
Stary waleczny hufiec łuczników z Elbląga.

IV.

Ransdorf został ich wodzem. Ten zaszczyt mu dany
W nadziei, że tem dzielniej sprawi się z pogany,
Iż świadom ich zwyczajów, obeznan z ich mową,
Wwiedzie do twierdzy Pullen potęgę krzyżową.
On dochował przysięgi, danej Lutasowi,
I o lochach tajemnych nikomu nie mówi,
I za najświętszy dla się obowiązek kładnie,
Że ufności Litwinów nie zawiedzie zdradnie,
Że wdzięczen za gościnność, co mu w Litwie dali,
Nigdzie zboża nie stłoczy, nigdzie chat nie spali,
Że spokojnych mieszkańców nigdy nie ugniecie,
Że poszanuje starca, niewiastę i dziecię.
Taką wykonał w duchu przysięgę dostojną,
Przyjmując Przenajświętszy Sakrament przed wojną;
Lecz choć serce umocnił prawowierną modłą,
Choć go wezwanie starszych na wojnę powiodło,
I choć wojnę z pogaństwem za zasługę liczy,
Uczuwa na sumieniu wyrzut tajemniczy.
A gdy jego walecznych łuczników drużyna
Dawną pieśnię pochodu chórem rozpoczyna,
Kiedy starym się snują pogadanki, żarty, —
Ich wódz milczy, na łęku u siodła oparty,
Spuszcza oczy, jak zbrodzień, gdy u sądu stanie,

A na pochmurnem czole znać przykre dumanie;
Tylko swego rumaka zażywa ostrogą,
Chciałby pędzić jak strzała, ile siły zmogą.
Nadzieja doń się wdzięczy i szepce mu z cicha,
Że odetchnie powietrzem, co Egle oddycha.
Ale nie godzien doznać swobodnej radości,
Kto do domu swej lubej jak wróg idzie w gości,
Kto zamiast upominków, zamiast czystych kwieci,
Nad jej głową pożarną pochodnią zaświeci,
Kto niesie łuk i kołczan pełny ostrych grotów,
Któremi pierś jej braci poprzeszywać gotów,
Kto na głowę jej ojca, na święte jej bogi,
Wyostrzył miecz morderczy i topór złowrogi.
Taki kochanek potwór — ludzkości zakała,
Bluźnierstwo taka miłość, co mu w sercu pała!
Czuje Ransdorf, że idzie jak leśny bandyta,
I nieraz miecz od boku rozpaczliwie chwyta,
Targa się przebić własne wiarołomne łono;
Lecz wiara, co od dziecka w serce mu wpojono,
Rozpaczliwe dumania w pogodniejsze zmienia
I szepce mu o dziele wiecznego zbawienia:
Że jako rycerz Boży w chrześcijańskiej walce,
Nawróci lub pokona dzikie bałwochwalce,
Że przezeń może ujrzą światło wiekuiste
Synowie odrzucenia, Twoje wrogi, Chryste!
Że w bogach Litwy szatan zamieszkał widomie,
Że Żnicz to z iskry piekieł rozniecone płomię.
Że kto tylko na Litwie wytępi bożyszcza,
Kto bezbożne świątynie zamieni na zgliszcza, —
Będzie wielkim w Niebiesiech, siłę piekieł wydrze,
Jak niegdyś święty Jerzy, co łeb strzaskał hydrze.
Ale nad wszystkie myśli, myśl święta, jedyna
Wdzięczy się do kochanka i chrześcijanina:
Że lube czoło Egli przez chrzestne polanie
Zaświeci aureolą i godnem się stanie
Tego Nieba, co dzisiaj przeczuwa pierś drobna,
Tych Aniołów, do których jak siostra podobna.

O! jak to będzie błogo, wesoło i świetnie!
Papież kordem Piotrowym jego śluby przetnie,
A ona, dziecko Niebios — chrześcijanka młoda,
Drobną rączkę przed ołtarz tak samo mu poda,
Jak niegdyś w owej strasznej i szczęśliwej chwili,
Kiedy tam ofiarnicy już stos rozpalili;
Tylko na pięknej twarzy nie przestrach, nie bladość,
Lecz się dola uśmiechnie, zakraśnieje radość,
I nastaną dni piękne w szczęściu i swobodzie...

V.

Tak marzył młody Ransdorf, i rumaka bodzie,
I woła: Hej do Pullen, drużyno krzyżacka!
Ale rumak, ostrogą draśnięty z nienacka,
Wysłupił się, i spotknął, i klęknął na ziemię;
Lecz Ransdorfa żelazne nie zawiodło strzemię,
Spiął trędzlą z całej mocy, i znów rumak stawa.
Zbiegła się doń łuczników drużyna ciekawa,
Winszują, że ze szwanku wycofał się zdrowo;
Ale starzy wojacy potrząsają głową,
A Wilhelm siwobrody szepnął do kamrata:
Wolałbym nie pić wina przez całe dwa lata,
Niż widzieć, jak się rumak przed wojną spotyka,
Bo to nie dobrze wróży szczęściu wojownika.
Młody wódz!... zła nadzieja po takim wyborze,
I sam zginie do licha, i nas zgubić może.
Co nas spotka na Litwie, krew, czy miodek stary,
Na odwagę, łucznicy, zatrąbmy w puhary!
I ze skórzanej sakwy nasączył w róg wina,
Wychylił i wesołą piosnkę rozpoczyna.
Za Wilhelmem łucznicy wypili, zapieli;
Ale coś i po winie sercu nie weselej,
Ale huczna piosenka w pół taktu się utnie,
A echo gór litewskich odpowiada smutnie.

VI.

Litwa krząta się w polach, jak mrówka, jak pszczoła,
Po niwach płynie pieśnia żniwiarska wesoła,

Po lasach się rozlega róg myśliwski kręty,
Po świątyniach modlitwa i głos ofiar święty,
Pod błękitem Niebiosów szczebioce chór ptaszy,
A bojowe rumaki hasają na paszy.
Czemu ich nie siodłacie? czemu nie cuglicie?
Komu miła swoboda, komu drogie życie,
Kto pragnie zdrowia dziatwy, kto pragnie czci Bożej,
Niechaj ucho wytęży, ku ziemi przyłoży,
Niechaj dymów zapyta, niechaj wiatrów bada,
Co ów tętent oznacza? i te kruków stada,
Co się zewsząd chmurami ponad Litwę garną,
Że aż ciemno na Niebie, że aż w polu czarno?
A prędzej niech porzuca i chatę, i łowy,
Niechaj sygnał myśliwski zmieni na bojowy,
Niechaj swój łuk opatrzy, da cięciwę nową
I zostrzy na kamieniu swą włócznię stalową;
A zebrawszy w drużynę jednej matki dzieci,
Skąd przybywają kruki, niech w tę stronę leci:
Tam może piersmi w piersi lub z ciemnej zasadzki
Uda się wam odeprzeć lub zbić huf krzyżacki.
A nie wpuszczajcie wrogów ku domowej strzesie,
Kędy chatki bezbronne rozsypane w lesie,
Gdzie nad bogi, skrytemi w dębowe konary,
Czuwa słaba niewiasta lub ofiarnik stary,
Gdzie się wasi ojcowie schadzają leniwie,
Kędy twój syn w kolebce lub siostra na żniwie!
Biada twemu plemieniu, biada twej zagrodzie!
Wróg nie włócznią, to smutkiem twe serce przebodzie.
Nie zegną się pod bronią twe ręce, twe ramię,
To je żal obezsili, to rozpacz załamie:
Bo was Niemcy przezwali dziećmi Belzebuba,
Wytępiać wasze plemię to największa chluba.
W białych płaszczach z krzyżami to goście pamiętni:
Na litewskim podwórku, gdzie ich koń zatętni,
Bądź już gotów, mieszkańcze, na twą śmierć widoczną:
Wnet ogień i żelazo gospodarzyć poczną.
Krwią bryzgną piersi starców, niemowląt, kobiece,

I rumak, co przy żłobie, i pszczółka w pasiece,
Wszystko legnie od strzały, pożaru lub młota,
Aż do drobnej jaskółki, co w oknie szczebiota.

VII.

Po Litwie wciąż plondrują krzyżackie pałasze,
A bezbronni mieszkańcy, jak pisklęta ptasze,
Widząc srogiego sępa, co już wnet uderzy,
Gromadzą się i tulą pod skrzydła macierzy,
O dziesięć mil wokoło zbierają się w grona,
Spieszy do zamku Pullen ciżba przepłoszona.
Margier otwiera wrota — spotykać wychodzi:
A dziesięć wielkich czółen i rybackich łodzi
Snuje się wciąż po Niemnie, wyściga się, spieszy
Gwoli mężów, i niewiast, i kapłanów rzeszy.
Z dziesięciu bujnych łanów wymłócono żyto,
Pięćdziesiąt tucznych wołów na pokarm zabito,
Nawarzono ałusu, nasycono miodu.
Margier ma karmić dziatwę swojego narodu,
Jako ów ptak zamorski — pelikan mu imię, —
O którym powiadają powieści pielgrzymie,
Że kiedy wygłodnieją, kiedy żer niełatwy,
Własne piersi rozdziera na pokarm dla dziatwy.
Tak i Margier, szczęśliwy, że doń przyszli swoi,
Chętnie sercem nakarmi, krwią własną napoi,
Podzieli się i chlebem, i sercem, i siłą,
Byle Litwie niegłodno i bezpiecznie było.
Do Pullen niech już idą rycerze krzyżowi:
Tam przyjąć najezdników od dawna gotowi,
Tam kamiennych toporów i włóczeń ze stali
Dawno już naciosali, dawno nakowali;
Wielkie stosy kamieni zniesiono na wieżę,
Na zgruchotanie karków zakutych w pancerze;
Wyjeździli rumaków doznanych w gonitwie —
A piersi bohaterskich nie zabraknie w Litwie.
Jeśli Krzyżak na polu Litwinów pokona,
To jeszcze twierdza Pullen, od Niemna broniona,

Z wysokiemi basztami i podziemnym lochem,
Nie tak snadno ją zdobyć siłą lub popłochem.
Na basztach czujna warta przechadza się wokół,
W zamku Margier tak mężny, tak czujny, jak sokół,
Pod ziemią strasznych bogów i Marti mieszkanie,
Tam się Litwa wspomoże, kiedy sił nie stanie.
Choćby już wzięła zamek drużyna krzyżacza,
Z Poklusem i Perkunem niechże walkę stacza,
I na pioruny bogów, na Litwy postrzały,
Niech się Krzyżak posunie, jeśli taki śmiały;
Jeżeli mąż się spodli i straci nadzieję,
Niewiasta garnek wrzątku na oczy mu wleje.

VIII.

Tak Margier sprawę Litwy ubezpieczył wcześnie;
Ale cierpiał jak ojciec — ach cierpiał boleśnie!
Gdy od stosu umknęła dziecina niemiecka,
Zgadł wyrodne uczucia w sercu swego dziecka,
I wzdrygnął się na myśli karmione kryjomu,
Niegodne córki Litwy z książęcego domu,
Tak sprzeczne z nienawiścią, co ku Niemcom chowa.
Zakipiał... drżąca ręka już była gotowa
Rzucić się na krew własną z morderczem żelazem
I uczucie z jej piersi wyrwać z sercem razem.
Ale opuścił ręce, spogląda i bada,
Że Egle taka smutna, milcząca i blada;
Pożałował nieszczęsnej, co cierpiała tyle,
I sercu ojcowskiemu dał folgę na chwilę;
Przytulił do swych piersi ofiarę niedoli,
Przebacza jej cierpienie i sam nad niem boli;
I mówił w głębi ducha: O biedna ty, biedna!
Mściwe są bogi nasze, a któż ich przejedna?
Skupi się na cię zemsta i Niebios, i ziemi.
Egle! a ja twój ojciec, rękoma własnemi
Będę musiał cię przywieść przed Boże ołtarze,
Jeśli Niebo swej zemście poświęcić cię każe!

IX.

A zemsta nieśmiertelnych nie długo się zwlekła.
Stanął przed starą Marti straszliwy bóg piekła,
Objawił, jak umknęło krzyżackie pacholę,
I dał uczuć swą zemstę, dał wiedzieć swą wolę.
Gdy wróżbiarka, Poklusa pośredniczka szczera,
Zażądała krwi Egli za krew Krucygiera,
Aby przebłagać bogów, a z Litwy zmyć zakał, —
Margier nawet nie zbladnął, nawet nie zapłakał.
Przywiódł Eglę przed ołtarz i tak mówił do niej:
Córko moja, od śmierci ojciec nie uchroni.
Tyś wydarła ofiarę z pod kapłańskich noży,
Poklus na mnie, na ciebie, na Litwę się sroży.
O! nie ściągaj na Litwę cierpienia niedoli!
Ja czuję, żeś ty młoda, że cię serce boli;
Ale twoje uczucie jest bogom w ohydzie,
Nie wolno im złorzeczyć, bo o Litwę idzie.
Tyś Krzyżaka przed śmiercią ocaliła srogą,
Umrzesz na jego miejscu — umieraj, niebogo!
Ja twój ojciec... wódz Litwy... nie cofnę się wcale,
Ja sam topór naostrzę, ja sam stos rozpalę,
I niech zgon, dokonany wedle niebios woli,
Litwę od takich grzechów na zawsze wyzwoli.
Bo na niebie, na ziemi niema cięższej zbrodni,
Niż gdy się z wrogiem złączą ziomkowie wyrodni.
Lecz wróg, zbawion od śmierci, ku większej ohydzie
I zemścić się, i sercu urągać się przyjdzie.
Litwini! znacie moje rozkazy książęce:
Choćbym płakał jak dziecko, choćbym łamał ręce,
Zawiedźcie ją do lochów najgłębszej otchłani,
Dopóki wyrok niebios nie spełni się na niej,
A przystęp niechaj będzie każdemu zawarty,
A choćbym ja sam błagał — słyszycie mię, warty! —
Biada temu, kto tknięty żalem lub obawą,
Wpuści choćby jej ojca, pomimo łzę krwawą!
Tak mówił groźnym głosem niezachwianej woli,
Jakby serce z kamienia nic a nic nie boli;

Schmurzył czoło, brew męską nacisnął na oczy,
Lecz z jego orlich źrenic łza się nie potoczy.

X.

Ludno i gwarno w zamku przywykłym do ciszy,
Ledwie zdoła pomieścić tysiącznych przybyszy.
Uwijają się tłumy i konno, i pieszo;
Mężowie ostrzą miecze i kamienie krzeszą
Na topory i młoty, na dzidy i strzały,
(Oręż ze staroświeckich czasów pozostały),
A poważni starcowie, zszedłszy się do rady,
Opowiadają dawne krzyżackie napady,
Ciosają krzepkie drzewca do stalnych bardyszy
I uczą władać bronią młodszych towarzyszy.
Najstarszy z między starców, Lutas siwobrody,
W gromadzie wojowniczej zwija się jak młody:
Piorunny jego okrzyk na chwilę nie zmilczy;
Przywdział do góry włosiem szubę z sierści wilczej,
I sutym łbem z leśnego niedźwiedzia odartym
Przystroił siwą głowę, i napuścił hartem
Swój topór staroświecki, wypróbowan laty,
I na brusie kamiennym toczy miecz szczerbaty.
Wąsy białe jak mleko najeża do góry,
I brodę, co od szarej, kudłatej wilczury
Dziwnym blaskiem odbija; a zgrzybiała ręka,
Co trzęsła się niedawno, gdy w struny zabrzęka,
Podźwiga ciężki kamień aż na górę wieży,
I biada łbom krzyżackim, gdy na nie wymierzy!
Okrzyk wojny odmłodnił odrętwiałe kości,
Trąbka wskrzesza w nim ducha dawniejszej dzielności,
Pod bronią wyprostował pochyloną szyję,
A poczuł, że krew młoda do serca mu bije.
Tak Niemen, obumarły pod bryłą lodową,
Gdy się wiatrem wiosennym odżywi na nowo,
Silniejszym wirem pędzi ku cichej zatoce
I mocniejszemi ciosy w brzeg piaszczysty grzmoce.
Zgrzybiałej starca twarzy i mętnej źrenicy

Jakby Perkun użyczył ognia błyskawicy,
Czarodziejską potęgą tak iskrzy się zdala
I najlękliwsze piersi do męstwa zapala.
— Hej! — woła — naprzód Litwo! na mury, na wały!
Ażeby duchy ojców was nie przeklinały,
Ażeby wasze dzieci wyrastały krzepko!
Widzicie? miecz krzyżacki tuż nad ich kolebką!
Słyszycie? Psalm niemiecki już zatrząsa knieję!
Oto już dym pożarny z za lasu czernieje...
Patrzajcie, tam, na lewo! naprzeciw Puniały
Sztandar wielkiego mistrza połyska się biały!
Widzicie liczny hufiec, co tej szmaty strzeże?
Złocisto żwirowane błyszczą ich puklerze.
Do łuków, dzieci Litwy! powitajmy gości!
Zaraz się brzeg niemnowy trupami umości.
Do łuków! niechaj każdy jedną pierś rozbija,
Bo tutaj w każdej piersi niebezpieczna żmija!

XI.

Tak Lutas krzyczał z góry, ile piersi zmogą,
A dziesięć trąb rogowych ozwało się trwogą;
Od nich w każdym wąwozie i na każdej niwie
Echo po dziesięć razy zawrzasło chrapliwie.
A z tamtej strony Niemna płyną insze tony:
Dźwięk muzyki kościelnej, pięknej, wyuczonej,
I w takt łacińskiej pieśni, bez końca, bez miary,
Wysuwają się z lasu krzyżackie rajtary.
Biała chorągiew mistrza pierwszy plac zabiera,
Dalej sztandar, a na nim herb Hannebergera,
Dalej z za każdej sosny, z za dębu, z za jodły,
Różnobarwne jak kwiecie hufce się powiodły.
Żelazem wszystkie piersi, wszystkie błyszczą głowy.
Stanął naprzeciw Pullen jakby mur stalowy
Popisany krzyżami: bo wszyscy pancerni
Przywdzieli białe płaszcze — na nich krzyż się czerni,
Że na całem ich wojsku, bez końca, bez liku,
Jakby na chrześcijańskim starym mogilniku.

Litwa widzi znak śmierci — i strzela w te krzyże,
Dufając, że je zwalczy, że na wskroś przeniże,
A wzywając ku szczęściu swe bogi ojczyste,
Twojemu znamieniowi urąga się, Chryste!

XII.

Z tych okien i ze strzelnic, od Perkuna dzieci,
Jedno tylko westchnienie ku krzyżowi leci:
Egle, na śmierć sądzona, przed jutrem swej kaźni
Jeszcze marną nadzieją biedne życie draźni.
W lochu swego więzienia, przy okienku ciemnem,
Widzi, jak huf Krzyżaków snuje się nad Niemnem;
Nauczona od dziecka, że Krzyżacy podli,
Chciałaby ich przeklinać — a jednak się modli.
Westchnąć ku swoim bogom daremno się kusi,
Krzyż jest Bogiem Ransdorfa — potężny być musi;
A swych uczuć nie mogąc utrzymać na wodzy,
Jękła: Bogowie Litwy! zanadtoście srodzy!
Przygwożdżony do krzyża i w koronie z ciemi,
Bóg Krzyżaków poglądą ku mnie miłosierniej;
On od śmierci mię zbawi, On te baszty skruszy,
On przyniesie pociechę bolejącej duszy.
I przyjdą tu krzyżowi wojownicy biali,
Ja obaczę Ransdorfa — i on mię ocali.
Zamiast ginąć, jak trawa, gdy ją zetną kosą,
Ja ucieknę z Ransdorfem gdzie oczy poniosą,
Nad morze, w kraj niemiecki, pod Chrystusa władzę...
Mego ojca opuszczę, moich bogów zdradzę...
Zbrodniarka!! cóż wyrzekłam? O święci bogowie!
Gdzie są wasze pioruny zadać cios mej głowie,
Skrócić moje dni młode, które zbawić życzę,
Wypalić z mego serca uczucia zbrodnicze?...
Ojcze! jam twoja córka!... gdzież moja odwaga?
Ja się cofam, gdy Poklus ofiary wymaga
Dla ocalenia Litwy! Co znaczy ta skarga?
Czemu się serce moje na dwie strony targa?...

Ransdorfie! tyś wróg Litwy! — giń w jednej godzi-
[nie...
O nie! raczej niech Egle, niechaj Litwa zginie...
Bogowie, których Niemcy, czy Litwini chwalą!
Którzyście potężniejsi, niechaj go ocalą —
Tych przeklnę, co ze wszelkiej litości wyzuci;
Tego uznam za Boga, kto nam szczęście wróci!
Tak, złamana rozpaczą, nieszczęsna dziewczyna
Modli się, błogosławi, złorzeczy, przeklina,
To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona,
Aż na surową ziemię upadła zemdlona.

XIII.

A z lasu, z poza Niemna słychać huk donośny:
Ścina topór niemiecki jedliny i sosny;
Jak szeregi bojaków ugodzone młotem,
Walą się stare drzewa z ponurym łoskotem,
Aż się echo borowe zatrzęsa z daleka.
Spłoszone ptastwo leśne chmurami ucieka,
Ulatuje nad Niemnem, nad warowni dachem,
Spieszy k'Litwie na skargę, dzieli się przestrachem.
Bogowie, co te lasy mieli pod obroną,
Z wiatrem głuche przekleństwa na łupiezców zioną.
Ustała święta cisza nad zamczyskiem starem,
Kipi całe powietrze tysiącznym rozgwarem,
Poprzepłaszane ptastwo wrzeszczy na zatoce,
Tętni topór po kłodach, sosna się druzgoce,
Rżą rumaki rajtarów, trąbka gra sygnały,
A szumnym rozhoworem gwarzy obóz cały.
Po borze, ponad wodą i po błoni płaskiej
Echo zaledwie zdoła dopędzić te wrzaski.
W niesforną całość tonów naprędce je składa,
I zda się wciąż powtarzać: z a g ł a d a! z a g ł a d a!
Każde cieniste drzewo, co zwalone padnie,
Odsłania albo ciżbę skupioną bezładnie,
Albo hufiec szykowny już do boju gotów;
Wznosi się jakby miasto biały rząd namiotów,

Migotają proporce, jak kwiaty nad błonią;
Najwyższy namiot — kościół, już tam na Mszę dzwonią.
Mały miedziany dzwonek gdy zabrzęknął zwolna,
Umilknął łoskot siekier, i wrzawa swawolna,
I surma obozowa — w jedno mgnienie oka
Dokoła znów się cisza rozlega głęboka.
Aż ptastwo ośmielone, gdy je cisza mami,
Poczęło zwolna krążyć tuż nad namiotami,
Ucieka, to powraca, i żałośnie kwili,
I szuka drzew znajomych, i gniazd, co zburzyli.

Margier z wysokich wałów gniewnem okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska:
Widzi szereg pancerny nad Niemnem rozwity,
A tam ciosają kłody, uwiązują płyty,
By ułatwić przeprawę. Po tratwach, po moście,
Wkrótce przyjdą do Pullen nieproszeni goście.
Gotowe im przyjęcie — już się ukrop pieni,
A na polach litewskich nie braknie kamieni.
Daremnie w hełm uzbrajać i głowę, i szyję:
Wrzątek oczy zaleje, kamień łeb rozbije,
A topory, z krzemienia wyciosane świeżo,
Bohaterskim zamachem w ich serca uderzą.
Z napiętemi łukami, celując z daleka,
Ciżba Litwy na wale tylko hasła czeka.
Margier zmierzył szerz Niemna i obozowisko:

Ha! złoczyńcy! namioty rozpięli za blizko.
Nasze strzały dolecą, jeszcze pędu stanie —
Hej! puścić chmurę żądeł na ich powitanie!

I już łuk swój dębowy napiął do wystrzału,
Kiedy dzwonek za Niemnem ozwał się pomału.
U Krzyżaków ucichła wrzawa obozowa,
A chorągiew nadbrzeżna, do boju gotowa,
Uklękła — snadź się modlą. Margier łuk natęży:
Oto mistrz, ze starszyzną i z orszakiem księży,
Idzie zwolna pod namiot, gdzie kościół ubrali;
Poznał go wódz litewski pomimo oddali.

Wziął na oko — wycelił — już go ma pod strzałą,
Chciał już strzałę wypuścić; lecz serce zadrżało:
Nie! — zawołał — niech żaden nie strzela, nie mie-
Dopóki Niemcy swoich nie skończą pacierzy: [rzy,
Oni modłą zajęci poklękli na ziemi.
My nie walczym z ich Bogiem, jak oni z naszemi.
Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki,
Nie mogą się w tej chwili spodziewać zaczepki,
Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie!
Rzekł, odpuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
A sam upadłszy na twarz przed obliczem Litwy,
Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
Że się brzękot polnego konika posłyszy,
A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha,
Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

XIV.

Trwa cisza uroczysta... Wtem z lasu znienacka
Odezwała się trąba miedziana krzyżacka,
Zagrał potem głos drugi i sto głosów za nim,
Aż zabrzękło powietrze chrapliwem zgrzytaniem.
I wali się na brzegi niezliczona tłuszcza,
Na Niemen dziesięć płytów, dziesięć tratew spuszcza.
Tłum się ciśnie na pomost, aż zatapia drzewa,
A na każdej z tych tratew chorągiew powiewa.
Zadrgał Niemen — wioślarze uderzyli w wiosła,
Połowa wojsk krzyżackich żwawo się poniosła.
Margier skinął, wycelił, — i z tratew, co płyną,
Krew bryzgnęła ruczajem nad Niemna głębiną,
I zajękło sto piersi wyziewając ducha,
I sto trupów krzyżackich do głębiny plucha.
Wioślarze przyspieszają i wiosła, i drąga,
Kipi Niemen — rząd tratew pod wały nadciąga.
Z przeklęctwem wystrzeliły krzyżackie łuczniki,
Na wałach okrzyk Litwy odezwał się dziki,
I kilka mężnych trupów od strony Puniały

Stoczyło się z okopów przez urwiste wały,
Aż w niemnowej topieli drgnął łoskot ponury,
Jak gdyby stos kamieni zawalił się z góry.

XV.

Przybijają do brzegu najezdnicze tratwy;
Lecz wybrzeże urwiste, a przystęp nie łatwy,
A nad głową na wałach Litwinów gromada,
I grad ciężkich kamieni na krzyżowców spada.
Lecz choć wisi już nad nim mordercza siekiera,
Książę saski odważnie na górę się wdziera,
A wśród hucznych okrzyków, że aż słychać w lesie,
Za nim ciżba pancerna po wąwozach pnie się.
Już doszli napastnicy do połowy wałów,
Już głowy najezdnicze wolne od wystrzałów,
Kiedy na płytkim głazie w mordercze objęcia
Stary Lutas pochwycił niemieckiego księcia,
I cisnął go na ziemię tak potężnym rzutem,
Aż stęknął żwir pod ciałem w żelazo okutem,
I młotem tak mu silnie do piersi uderza,
Że aż zgrzytnął blaszany napierśnik rycerza.
Ale Krucygier zręczny, jak liszka, jak żmija,
Wstaje, skręca się, z ramion litewskich wywija,
I nim się starzec spostrzegł — tak go mieczem płatnie,
Że Lutas padł, wydając jęczenia ostatnie.
Zerwał się — jeszcze zamach ostateczny czyni,
Już mu spieszą na pomoc zawzięci Litwini,
Gdy Rudolf, książę saski, skinął na Krzyżaki:
Zabierzcie go! nam dzisiaj przyda się dziad taki!
Musi znać przejścia twierdzy — odprowadźcie dziada,
Niech go tam Ransdorf Warner najściślej wybada.
Póki z cielska zgrzybialca dusza nie uciekła,
Nim szatan poganina pochwyci do piekła —
Pod mękami niech nasze zawiadomi wodze
O murach, lochach zamku, o całej załodze.
Rzekł, a jego żołdacy w tejże samej chwili
Konającego starca na ręce chwycili.

Zbiegli z krętego wału, zanieśli do łodzi.
A choć ze starej głowy krew bystro uchodzi,
Lutas wyciągnął ręce jak szpony jastrzębie,
Chwycił jednego z Niemców i w niemnowe głębie
Strącił z łodzi — i upadł na ręce wioślarzy,
Bełkoce nieprzytomnie, coś o bitwie marzy.

XVI.

Już Niemcy wał zdobyli — do warownej ściany
Wleką burzące działa, grzmotliwe tarany.
Huknął straszliwy łoskot, aż się wstrzęsły góry.
Margier ścian swoich broni; jego głos ponury,
Choć Krzyżaków napełnia zwątpieniem i trwogą,
Ale wszyscy Litwini słyszeć go nie mogą.
Cóż litewscy bojacy? Liczba ich niedługa,
A reszta — motłoch trwożny, uciekły od pługa,
Ciska strzały na oślep, z rąk bardysze roni,
Ścianę osłania pierśmi, lecz jej nie ochroni.
Grzmotnął armatni wystrzał, jak piekieł widziadło...
Runął mur, pękły balki, pół ściany odpadło.
Jeszcze chwila... a jeśli nie odeprą krzepko,
Wnet się Niemcy zapastwią nad dziatwy kolebką!
Taka myśl rozpaczliwa i okrzyk Margiera
W ich piersiach budzi męstwo, co już obumiera.
Choć zgruchotane ściany, obalone głazy,
Pierś jest murem warownym, mocniejszym sto razy
Od wypalonych cegieł i twardych kamieni;
Poczuli to litewscy męże zrozpaczeni,
I jakby nową siłą Perkun ich obdarza,
Jakby zstąpił sam Poklus ze swego ołtarza,
Tak wobec nieprzyjaznych taranów i kuli,
Nieśmiertelną odwagę w swej piersi poczuli.
W poszarpanych odzieżach, okryci kurzawą,
Dobyli sił ostatnich na obronę krwawą;
Krzycząc z ochrypłej piersi usty spalonemi,
Uderzyli zajadle na wroga swej ziemi.
Niemieckiem szwargotaniem wzywając Maryę,

Krzyżak ciężkiem żelazem każdy cios odbije.
A kiedy lotna strzała nie służy z poblizka,
Przy obalonej ścianie dwoje wojsk się ściska,
W jedną potworną całość zlewa się i splata,
Jak gdyby fala czarna, ruchoma, iskrzata.
A co raz ciężkie ciało do Niemna się zwali,
Trąba zgrzyta, krew świszcze, stal brzęczy po stali,
Ziemia stęka, jak gdyby wzruszona do głębi,
A wiatr gęstą kurzawę pod Niebiosa kłębi,
A gwarny wir bojowy kipi tak bezładnie,
Że ucho nic nie schwyci, oko nic nie zgadnie.
Wzięli górę kudłaci wojownicy w czerni:
Staczają się po wałach rycerze pancerni,
Niosą rannych i trupów znakomitszej braci;
A kto życia nie stracił, ten już siłę traci,
Zbiera pogięte hełmy, potrzaskane miecze
I ucieka od Litwy — nie zawsze ucieczе:
Owdzie oszczep ciśnięty z Margierowej dłoni,
Owdzie strzała swem żądłem kamiennem dogoni,
I trupem go położy, skarze za bezprawia.
Już się tratwa po tratwie za Niemen przeprawia,
A nim jeszcze wioślarze skręcą przy zatoce,
Kamień z góry zepchnięty po ich tratwach grzmoce,
Złamie sosnowe kłody lub balki rozdzieli,
I trwożnych niedobitków pogrąża w topieli.
  Krwawe słońce zachodzi, świat grąży się w ciemnie,
Wszędzie krew na Niebiosach, na ziemi, na Niemnie,
Na twarzy bojowników, i na ich odzieży,
I na ostrzach orężów, co żer miały świeży.
Wreszcie krzyżowe hufce opuściły wały,
Tylko same Litwinów garstki pozostały;
A na ich czele Margier, na włóczni oparty,
Każe niecić ogniska, rozporządza warty;
A cała jego odzież zbryzgana posoką,
Twarz blada, krwią zabiegło bohaterskie oko,
A miecz jego morderczy, gdy się żniwo kończy,
Silnie utkwiony w ziemię krew kroplami sączy.

XVII.

Wokoło wodza ciżba strudzona i cicha
Trupy Niemców do Niemna pogardliwie spycha;
Nie odziera ze zbroi, bo za nadto spieszy.
Legł mężny Hanneberger, pan niemieckiej rzeszy,
Znany rycerz turniejów, co z żywą ochotą
Szedł z Krzyżaki na Litwę po laury i złoto;
Książę saski przez ramię dostał cięcie żwawe;
Poległ komtur z Elbląga, co radził wyprawę;
A Wilhelm, stary łucznik, co na miód się kwapił,
Zamiast kowieńskich lipców, krwi własnej się napił,
Padł przy zachodniej baszcie przywalony cegłą.
A co prostych rajtarów i knechtów poległo,
Pan tylko z górnych Niebios policzyć to może,
I na cię, wielki mistrzu, hrabio Teodorze,
Policzy krwi ich winę!

XVIII.

— Jutro plon się pożnie, —
Rzekł Margier sam do siebie i zwrócił pobożnie
Bohaterskie spojrzenie ku wieczornej zorzy. —
Ausko święta! tyś bóstwo, w tobie ogień boży,
W tem żarzewiu kraśnieje potęga i siła;
Dzięki, żeś jego iskrę w piersi nam rzuciła!
Wróg odparty na chwilę, gdy wróci na dłużej,
Krasna jutrznio! twój promień niech nam szczęście
Do roboty, Litwini! za nami są nieba! [wróży!
Zgruchotano nam mury, naprawić je trzeba.
Ciosajcie nowe ściany i kamienie znoście,
Przez noc niech stanie baszta, bo znów przyjdą goście.
Niewiasty i starcowie niech naprawią wieżę,
A mężowie od boju, spożyjcie wieczerzę,
I niech każdy wychyli miodu pełną czarę,
Najpierwszą wlać na ogień bogom na ofiarę.
Rozłammy chleb na braci pogrzebowej stypie:
Może jutro nas kurhan bojowy przysypie.
Kapłani, grajcie w gęśli, rozpocznijcie pieśnie,

Niewiasty, zaprzestańcie płakać tak boleśnie;
Kto dziś został sierotą po ojcu, po bracie,
W Litwie matkę, a we mnie brata pozyskacie.
Rzekł, złożył hełm na trawie, wyzuł się ze zbroi,
I spłakanym sierotom chleb dzieli i kroi,
I do siwego starca, i do biednej wdowy
Przepija czarą miodu obchód pogrzebowy.
Na wałach gwar i życie spokojne powraca,
Przy bojowych ogniskach wieczerza i praca,
W Niemnie iskrzą ogniska, a po całej niwie
Echo nocne odgłosy powtarza leniwie,
I krzyżackie piosenki, i modlitew szmery,
Jęk ranionych, gwar ludu i łoskot siekiery.

PIEŚŃ PIĄTA.

I.

Ransdorfowi, co pełnił odwodowe straże,
Wielki mistrz na bój pierwszy puszczać się nie każe;
Chrobre jego łuczniki o jutrzejszym świcie
Pójdą na bój morderczy na śmierć i na życie:
Starszyzna, rozjątrzona dzisiajszemi klęski,
Na jutro przepowiada swój tryumf zwycięski.
Bez dzwonu i bez pieśni, przy modlitwie cichej,
Znakomitszych zabitych pochowały mnichy,
Aby, słysząc z daleka pogrzebowe tony,
Nie brał większej otuchy poganin wzgardzony,
Albo niegodnym śmiechem szyderczej radości
Nie dał w urągowisko chrześcijańskich kości.
Wedle namiotów wodzów palą się ogniska,
A krzyżackie rycerstwo otacza je z blizka,
A przy każdem ognisku ksiądz w komży i stule
Przemawia do rajtarów pobożnie i czule,
Zagrzewa do odwagi, by walczyli śmielej,
Wróży zabitym Niebo, bo w Panu zasnęli,
I z Biblii przytacza wzory znakomite
Samsona, Machabejów, Deborę, Judytę.

I uciśnionej Litwy bałwochwalcze syny
Równa z Amorejczyki albo Filistyny,
A przekształcając Pismo gwoli swej potrzebie,
Woła z Mojżeszem: Wodze! zbierzcie lud do siebie,
Idźcie pod mury miasta, głosząc spokój Boży;
A kto was nie usłucha, kto bram nie otworzy,
Rozpocznie z tobą wojnę, — niechaj ginie zgoda.
A gdy Pan Bóg bezbożnych w wasze ręce poda,
Wszędzie mieczem straszliwym spustoszenie nieście,
Niech padną głowy męskie i głowy niewieście,
Niech sprośni bałwochwalcy giną w jednej chwili,
Aby was nieprawości swych nie nauczyli.
Przez wasze mściwe ręce Bóg niewiernych karze;
W pień wyniszczcie ich głowy, w popiół ich ołtarze!
  Takiemi okrzykami mnich wytęża płuca,
W zapale fanatycznym miota się i rzuca,
Krew mu kipi w źrenicach, a na uściech piana,
I śpiewa pieśń Judyty, padłszy na kolana:
  Panie! spójrz na obozy assyryjskiej czerni...
Niech się w niwecz obrócą, niech giną niewierni!
Napróżno w swoją liczbę ufa motłoch ślepy,
W swoje tarcze i strzały i w swoje oszczepy,
A nie wie z kim prowadzi świętokradzkie boje,
Że Ty sam kruszysz miecze, a Pan imię Twoje!
  Tak mnich pokrzepia w wojsku upadłego ducha,
A żołdactwo pobożnie kaznodziei słucha,
I nadzieję wygranej już pewniejszą liczy,
I napawa się myślą bogatych zdobyczy.
  W innym zasię namiocie mnich na tarczy siedzi,
Udziela rozgrzeszenia i słucha spowiedzi,
Bo jako napisano w zakonnym statucie:
Gotujcie się do boju w żalu a pokucie,
Bądźcie zbrojni w zasługę, a cnotą orężni,
Niewinność chrześcijańska niech serce umężni.
Krzyżactwo, pisanemu wierne zakonowi,
Jeden grzech wyspowiada, nim drugi ponowi,
Zmiata z serca wspomnienia ominionych zbrodni,

Aby nowym gadzinom lęgnąć się wygodniej.
I przy blasku smolnego drzewa lub łuczywy
Przenajświętszy Sakrament dzieli mnich sędziwy
Poklękłemu rycerstwu i knechtów czeladzi:
„Oto Baranek Boży, który grzechy gładzi!“
Dzwonek brzęczy, ksiądz pieje, a cała gromada
Długiemi szeregami na kolana pada,
A blask smolnych pochodni miga uroczyście
Między konary sosen i dębowe liście.

II.

Białe wodzów namioty na zielonej darni
Od ognia, co w nich gore, sieją blask latarni.
Stamtąd nie bierze chwały Odkupiciel świata,
Tam nikt z braci w kościelny dzwonek nie kołata:
Zamiast modłów szeptanych pobożnemi usty,
Słychać brzękot puharów i piosnkę rozpusty:
Tam śpiewak obozowy, minnesinger stary,
Wypieszczonemi takty rwie w struny cytary;
Nie pomnąc, jak jest świętą dostojność śpiewacza,
Lubieżne krotochwile bezczelne przytacza.
Pijane serce wodzów w takt bordonu tętni;
Otaczają śpiewaka rycerze namiętni,
Gromada, strojna w togi i zakonne płaszcze,
Na słowa nieprzystojne śmieje się i klaszcze.
Najdzielniejsi wodzowie, najgorliwsi księża,
Każdy ku brzydkiej pieśni uwagę natęża,
Nalewa pełny puhar niemieckiego wina
I wtórować śpiewaczym tonom rozpoczyna.
Piosenka i modlitwa, i dziki gwar szału
Nad obozem krzyżackim wznoszą się pomału,
A nieskalane echo litewskiej pustyni
Powtarza je po cichu, snadź gwałt sobie czyni.

III.

Ransdorf w swoim namiocie, jak zakonnik w celi,
Siedzi jeden, powszechnej ochoty nie dzieli.

Myśl o Egli, od czasu gdy ujrzał swobodę,
Ochrania od skażenia jego serce młode.
Bo hulacka piosenka szału i rozkoszy
Boleści rozpaczliwej z serca nie wypłoszy!
Na zgryzotę sumienia, ach, niełatwa rada,
Winem nie zalać iskry, co mu pierś przejada.
On klęczał przed ołtarzem i modlił się codzień,
Winił się na spowiedzi, jak najcięższy zbrodzień,
Przedstawiał swą niewdzięczność w straszliwej postaci,
Jako Litwie żelazem za gościnę płaci.
Ale mnich, co go przyjął na pokuty łono,
Co chciał wskrzesić do życia duszę zrozpaczoną,
Napróżno doń przemawiał w imię sprawy Bożej,
Zamiast ranę wyleczyć, rozjątrzył ją srożej.
Bo słysząc, że dla Boga walczą się te kraje,
Że zdrada w Imię Pańskie zdradą być przestaje,
Zachwiał się młody łucznik w młodocianej wierze,
I coś mu było ciężko, gdy mówił pacierze;
Pierzchły swobodne myśli z ociężałej głowy,
A piersi jakby kamień przywalił grobowy.

IV.

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:
Łucznik z pobojowiska wszedł pod namiot żwawo
Oblany krwią, osypan bojową kurzawą.
— Wodzu — rzecze — bojowe przynosim ci dary,
Jestto umierający bałwochwalca stary.
Waleczny książę saski (niechaj żyje zdrowo)!
Zwalił starego czarta siłą Samsonową,
A póki dusza w cielsku, przytomność w umyśle,
Poleca waszej cześci wybadać go ściśle
O tajnych lochach zamku, któremi się wciska,
Aby węża wykurzyć z jego legowiska.
Nie zdobyć zamku szturmem: silną ma obronę,
Jak liche gniazdo sępie do skał przyczepione;
Ale ten dziki starzec, przyciśniony nożem,

Opowie insze drogi, któremi wejść możem.
Przynosim go pod samy namiot waszej części;
Ależ to silny Litwin, ze sto czartów mieści,
A całe staje ziemi zawalił swem ciałem,
A takiej długiej brody nigdy nie widziałem,
A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha,
Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha.
Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy,
A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,
I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,
Wychodzi przed swój namiot.

V.

Tam z powisłą głową
I z przebitemi pierśmi, skrępowany w sznury,
Leżał Lutas, otulon szmatami wilczury;
Odarty z przyłbicy, i z miecza, i z młota,
Poczerniałemi usty złorzeczenia miota,
Szamoce się z więzami jego ręka wściekła,
Po jego siwej brodzie płynie krew zapiekła,
Ransdorf skinął — i z ramion rycerskiego dziada
Ocięto gruby powróz, co ręce przejada;
A starzec, jakby upiór, jakby trup mogilny,
Wstał... zachwiał się na ziemi i upadł bezsilny;
Tylko całą potęgę i duszy, i ciała
Skupił w dzikiej źrenicy, co krwią zakipiała.
Raz spojrzał na Ransdorfa, tak dziko, tak hardo,
Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą,
I jęknął: W uroczystej śmiertelnej godzinie
Witaj, młody rycerzu i chrześcijaninie!
Mianowano cię wodzem... los godzien zazdrości!
Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
Witam cię i pozdrawiam przeklęctwem mej ziemi,
Które Litwa wyrzecze nad kośćmi mojemi.
Zbawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłem, —
Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem,
Co jej niwę pustoszy... O! gdzież moja chwała?

Gdzie krew, co w tylu bitwach chrobrze się wylała?
Przeklęctwo, ej! przeklęctwo pozostanie po mnie!...
Tyś zwyczajnie jak Krzyżak, działał wiarołomnie:
Tak uczy wasza wiara i wasi Prorocy,
Za chleb ofiarowany rzucić kamień z procy,
Za ucisk płatnąć mieczem — tyś dziecko bezprawi, —
Nie winien srogi tygrys, że się we krwi pławi.
Lecz ten godzien zaginąć w piekielnej czeluści,
Kto zwierzę krwi niesyte z kagańca wypuści...
Oto krew naszych braci, płomień naszych zgliszczy
Słyszę zdala jak huczy, przelewa się, świszczy,
I gorącym potokiem leje się do łona,
I miga przed oczyma jak chusta czerwona...
Wkrótce ty sam obaczysz, co jest zgon zbrodniarza.
Zgryzota bystrym słuchem przed śmiercią obdarza:
Ja słyszę, jak z niebiosów Perkun mnie przeklina,
Jak płacze każda matka i każda dziecina,
Jak jęczy biedna Egle uwięziona w wieży,
W którą topór kapłański w tej chwili uderzy
W zamian za twoją głowę — niechaj mnie przeklina!
I tutaj moja zbrodnia, i tu moja wina.
Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała,
Niegodne dziecka Litwy uczucia wyznała?
Dlaczegom jej nie zabił? Jednem cięciem mojem
Obdarzyłbym i Eglę, i Litwę spokojem!
Czemum ci nie dał zginąć na ofiarę piekła?
Czemu ze starych oczu łza grzeszna pociekła?... —
Tak Lutas, słabym głosem rozdzierając płuca,
Na wilgotnej murawie targa się i rzuca,
I ręce to wypręża, to do prośby składa:
Młodzieńcze! jeszcze jedna została ci zdrada:
Ukazać loch tajemny... O! rycerzu krzyża!
Patrzaj, oto się Lutas do prośby poniża.
Błagam cię, wiarołomco, w imieniu mej ziemi:
Nie mów o tajnym lochu przed braćmi twojemi.
Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
Jeszcze Litwa na siłach pokrzepić się może...

Szalony! co ja czynię, i co mi się marzy?
Że wpół drogi zbrodniczej zatrzymam zbrodniarzy?!
O nie! ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!
Jak wilki do owczarni, niech podkopem wnidą,
Niech zburzą gród Margiera Niemcy wiarołomni!...
Lecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
Zemsty za pogwałcone klątwy uroczyste.
O przybity do krzyża chrześcijański Chryste!
Ciśnij z krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
Ja się zemszczę... Do łuków! do mieczów, młodzieńce!
Brońcie wejścia do lochu! bo już wróg napada!
Powiedzcie Margierowi... że w obozie zdrada,
Że Lutas... zdradził Litwę!... — Tu oddech się zatnie;
Ryknął lew strasznym płaczem — ryknienie ostatnie
Rozległo się w pustyni. Choć w krzyżackim tłumie
Nikt, krom wodza, litewskiej mowy nie rozumie,
Jednak wszyscy pobledli, każdy oddech ścina;
A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,
Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:
Oto — rzecze — poganin Chrztu świętego prosi,
Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze,
Spieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę!
I już ze stągwią wody z Niemna zaczerpniętej
Chciał nad czołem Lutasa odprawić Chrzest święty,
Przybliża się ostrożnie i wyciąga szyję:
Ciesz się, piekło! już stary poganin nie żyje!

VI.

Na ziemi poszarzało, na Niebie już świta.
Ransdorf, jak martwy posąg, jak kolumna wryta,
Stał nad trupem Lutasa — co myśli? co marzy?
Szatan mu dziką rozpacz wypisał na twarzy,
Jego czoło zmarszczkami najeża zgryzota,
Jako wicher wśród burzy, kiedy fale miota.

A w głowie kipią myśli szalone i chore,
A całe piekło cierpień w jego piersiach gore.
— Ha! prawdę powiedziałeś, o starcze złowrogi!
Nie pora zbrodniarzowi cofać się w pół drogi.
Kto raz wirem występku został uniesiony,
Już go twarda konieczność pochwyci w swe szpony,
Pchnie ze zbrodni we zbrodnie; na drodze takowej
Chcieć się wstrzymać od grzechu — to może grzech
Hańba złamać przysięgę... daną wobec krzyża, [nowy!
Mistrzowi wydać przejście, co k'twierdzy przybliża...
Chowałbym tajemnicę, ale to się znaczy:
Eglę zostawić w rękach litewskich siepaczy.
Nim wał i mur zdobędą rycerze krzyżowi,
Oni jej krew niewinną już przelać gotowi
I wydrzeć wielkie serce!... O, stójcie, zbrodniarze!
Na wieczne potępienie choć mię Pan Bóg skaże,
Zdradzę was... tajnym lochem łuczników powiodę,
I ofiarę ze stosu wyrwę na swobodę,
I mistrzowi ułatwię oblężenia pracę,
I za gościnność waszą płomieniem zapłacę.
Niech z dymem waszych dachów, z jękiem waszych
Przekleństwo na mą głowę do Niebios poleci, [dzieci,
I tam wymodli piorun, co mi strzaska łono —
Ja przyjmę bez szemrania karę zasłużoną,
Byle Eglę ocalić — prędzej... prędzej zdrada!
I porwał róg bawoli i do ust przykłada,
I na swoich łuczników na pobudkę dzwoni,
Aż się zgrzytanie trąby rozległo po błoni,
I wywołało w lesie różnych dźwięków krocie.
Kipi obóz niemiecki, jak rój na wylocie,
A ptaszki, co już dzionek opiewały rychły,
Przelękłe nowym gwarem w pół taktu ucichły.
Ozwał się dzwonek na Mszę — gwar kipi nad wodą,
Rżą rumaki, co Niemcy na wodopój wiodą;
A z za krawędzi lasu powoli... powoli
Błysnęło jasne słońce — złej czy dobrej doli.

VII.

Litwini już gotowi — oni w nocnej chwili
I basztę zgruchotaną, i mur naprawili,
Osadzili strażami i wały, i wieże,
I bramę do warowni, i Niemna wybrzeże;
A sami do świątyni zeszli się gromadnie,
Gdzie Marti suche drzewo do ogniska kładnie.
A podnosząc do góry ociemniałe oczy,
Z podziemnemi bogami swój rozhowor toczy.
A na jej twarz promienną, na postać niewieścią
Cała Litwa pogląda z przestrachem i cześcią:
Czy wróżbiarka pobladnie, czy rumieńcem pała,
Litwa, jakby w jej twarzy swą dolę czytała,
Płomieni się i blednie. Marti stos rozżarza,
I po trzykroć obchodzi dokoła ołtarza,
I polewa na ogień krew z całopalenia,
I coraz insze bóstwo koleją wymienia,
Coraz inszemu bóstwu oddaje pokłony,
Zwraca się do zachodniej, to do wschodniej strony,
Niewidzialnego inszym przywołuje ducha,
Zdaje się o coś pyta, zda się czegoś słucha.
Aż nareszcie poczuła nadziemską wyrocznię
I chrapowatym głosem przepowiadać pocznie,
A z czarnych kłębów dymu, jak z piorunnej chmury,
Leci odgłos wyrazów drżący a ponury:
  Pytałam się u bogów, w czem losu osnowa?
Ale Niebo milczenie uroczyste chowa;
Chciałam w piekle wyczytać przyszłość tej krainy,
Ale nad całem piekłem lata płomień siny;
Pytałem chmur niebieskich, ale wiatr je kręci;
Pytałam czarnych kruków, lecz żerem zajęci;
Tylko płomień żniczowy — słuchajcie z oddali —
Z jakimś się dzisiaj hukiem niezwyczajnym pali,
Uczuwam w łonie ziemi jakiś dreszcz nieznany,
A noże ofiarnicze spadają ze ściany,
Kędy je zawieszono! Czuwajcie gotowi!
Trzeba spełnić, cokolwiek Niebo postanowi:

Bo łatwiej zepchnąć górę do niemnowej fali,
Prędzej ogień zaskrzepnie, woda się zapali,
Niż z wyroków nad ludzką zawieszonych głową
Potrafimy odmienić choćby jedno słowo.
Wiele przeszło pokoleń w Litewszczyznie starej;
Ale jak Litwa Litwą nie było ofiary,
Jaka dziś ma się spełnić — biada temu, biada!
Kto z boleści zajęknie, kto sercem nie włada,
Kto z mężów aż do końca nie dotrzyma broni,
Która z niewiast przed wrogiem choćby łzę uroni!
Tak Marti wysilona chwieje się i słania.
A z wałów róg bojowy podał znak spotkania.
— Na mury! — krzyknął Margier — niech Niemiec
obaczy,
Co jest walka w rozpaczy, co jest śmierć w rozpaczy!

VIII.

Krzyżacy z nowem wojskiem, jak wczorajszej chwili
I tratwy naprawili, i Niemen przebyli,
I trzy potężne hufce zmierzają swobodniej
Od Niemna, od Puniały, od strony zachodniej;
Tylko strona południa, gdzie las i bezdroże,
Wieńcem się wojsk morderczych opasać nie może.
Książę saski, choć ranny, od strony Puniały
Rozwinął po wąwozach hufiec okazały;
Nemur, gościnne książę od Niemieckiej Rzeszy,
Pod zachodnie okopy z rajtarami spieszy
Sam wielki mistrz od Niemna, pod białym sztandarem,
I szykuje konnicę nad szerokim jarem;
Na czele swej piechoty przodkowanie bierze,
Wdziera się mimo trudu na strome wybrzeże.
A Litwa, ogarnięta potrójną obławą,
Na wszystkich trzech okopach potyka się żwawo;
W miarę jak rąk ubywa, odwagi przyrasta:
Mąż bierze łuk i włócznię, a słaba niewiasta
Kamieniami i gruzem zamierza z oddali,

Bije w głowy rajtarów i z nóg ich obali;
Tylko że słabym rękom ta praca niełatwa.
Dziś ani jedno czółno, ani jedna tratwa
Nie zostały strzaskane od ciosu kamieni.
Rzadko trupem krzyżackim Niemen się zapieni.
A nie bacząc na straty, niemiecka drużyna
Coraz wyżej a wyżej po wałach się wspina,
Czepia się na urwiskach, czepia na opoce,
I z bojowych taranów do warowni grzmoce.
Litwa stanęła piersmi — zakipiał bój ręczny,
Zlał się w jedną gromadę oddział trzytysięczny,
I krzyki różnorodne, i szczęk różnej broni
Szalonemi rozgwary uderzył po błoni.
Naokoło warowni rzeź toczy się krwawa,
I jakby chmurny obłok kłębi się kurzawa,
I coraz się rozciąga i dłużej, i szerzej;
Czasem ogień z rusznicy jak piorun uderzy,
Czasem, bieżąc po wałach różnemi zakręty,
Grzmotnie wśród chmury kamień z wieżycy zepchnięty,
Przebija w chmurze otwór, co znowu się zlewa;
Z chmury tylko krew świszczy jak deszczu ulewa,
I walą się zabici do rzeki, do fosy,
A z twierdzy jęk niewieści kwili w niebogłosy.
  Z za Niemna coraz nowi przybywają goście,
I na trupach zabitych, jakby na pomoście,
Stają nowe szeregi na pomoc mistrzowi,
Kędy huf obezsilon świeżym się odnowi.
A Litwini wciąż jedni wśród nieprzyjaciela:
Oko piaskiem nabite już niecelno strzela,
Ręce trudem złamane nie udźwigną młota,
Słabym tylko zamachem po pancerzach grzmota
Silny niegdyś ich bardysz. Koleją... koleją
Widzi Margier, że jego bojowniki mdleją.
W piersiach zachrypnął okrzyk, co był silny z rana,
W oczach krew się zapiekła, a na ustach piana.
Zatrąbił do odwrotu, i swój zastęp cały
Pod osłonę warowni zgromadził na wały,

I już pod samym wałem ujrzał krzyża znamię.
Spojrzał w oczy Litwinom, i ręce załamie:
Napróżno im wydawać wojownicze hasła,
Ostatnia iskra męstwa w ich oczach zagasła!
Ale jeszcze ostatnia nadzieja nie znika.
Niech silny grad kamieni spotka najezdnika!
I co żyje: mężowie, niewiasty i dzieci,
Jęli dźwigać stos cegieł — i gradem poleci
Tysiąc strasznych pocisków — a każdy coś znaczy:
Bo najstraszniejsza siła to siła rozpaczy!
Jak gdyby pod sturęcznym zamachem olbrzyma,
Chwieje się huf krzyżacki i pochód zatrzyma.

IX.

Od wschodniej, od zachodniej, od północnej ściany
Margier ujrzał pęd wroga kamieńmi wstrzymany;
Zwrócił się k'południowi — o straszny Perkunie!
Tu chorągiew krzyżacka odważnie się sunie
Z niedostępnych bezdróży — gdzie stara olszyna,
Gdzie się lochów tajemnych siatka rozpoczyna,
Silny hufiec niemiecki zachodzi swobodnie,
Przed hufcem młody łucznik potrząsa pochodnię,
Zapalił dach i dalej spustoszenie niesie,
I oto płomień wężem zwija się po strzesie!
Margier poznał Ransdorfa — i wzrokiem sokoła
Obrzucił całą twierdzę. — Litwini! — zawoła —
Dajcie rozbrat nadziei: już się twierdza pali.
Modlitwa nie pomoże, męstwo nie ocali.
Jedno zostało... umrzeć... O! gdyby wrogowie
Szanowali cześć niewiast, albo dziatwy zdrowie!
Litwini! ja, wasz książę, z rzewnemi modlitwy
Upadłbym do nóg jego dla zbawienia Litwy.
Ale któż Krucygiera o litość umodli?
Trzeba umrzeć... Litwini! czyż umrzem jak podli?
A na ostatnim trupie mężnego Litwina
Naszych starców i dzieci Krzyżak pozarzyna!

I będzie się na zgliszczach urągał boleści,
Naszych bogów znieważy, niewiasty zbezcześci!
O! nie dopuść, Perkunie, na Litwę tej plamy!
Jeśli trzeba się poddać — trupy im oddamy!
Zapalcie stos ofiarny! wzmóżcie się na sile,
Rzućcie na nich kamieńmi, wstrzymajcie na chwilę,
By wrogowie, przyszedłszy w nazbyt rannej dobie,
Nie przeszkodzili spełnić, cośmy winni sobie.
Jeszcze ostatnim gradem na wroga ciśnijcie!
Brat bratu, ojciec dziecku niech odbierze życie:
To lepiej, niźli zginąć od ręki siepacza!
Rzekł, i kamień z okopu co największy stacza,
I twardemi granity od końca do końca
Sto krzyżackich rycerzy w topielisko wtrąca.
Twierdza gore, bój kipi... Litwini z rozkoszą
W środku samej warowni stos ofiarny wznoszą.
Straszliwy jęk rozpaczy doszedł do podziemi;
Wyszła Marti, jak upiór, z bogami swojemi,
A zagasiwszy Żnicza — z wysileniem ducha
Ostatnią jego iskrę na stosie rozdmucha.
Ransdorf widzi z daleka swej zdrady owoce:
Marti strasznym toporem w pierś Litwinów grzmoce,
Pod ofiarnem żelazem ściele się gromada,
A kto skonał, kapłanka na stosie go składa.
Dzieci Litwy, pijane szałem i rozpaczą,
Same się zabijają, same na stos skaczą;
Niejeden dziki ojciec wśród pogorzeliska
Chwycił syna z kolebki i na ogień ciska;
A matka jeszcze trupa spalonego pieści, —
Nim ją przyszli zabijać — skonała z boleści.
Margier kapłanom w trąby odezwać się każe,
Aby się podniecała wściekłość przy ofiarze;
A sam z kilku mężnymi własne mury wali,
Strąca balki na Niemców, by nie przeszkadzali
Spełnić się losom Litwy przy ofierze krwawej.
Pociesz się, wielki mistrzu, żniwem twej wyprawy!

X.

Kiedy Litwę ogarnął jej zapał szaleńczy,
O Egli zapomniano, że w więzieniu jęczy, —
Ransdorf z ogniem i mieczem, jakby zbójca dziki,
Obiega całą twierdzę z wiernemi łuczniki,
Po znajomych komnatach snuje się dokoła,
I w ręce na nią klaszcze, po imieniu woła.
A chociaż płomień huczy, a bój zdala wrzeszczy,
Choć się z echem rozlega płacz matek złowieszczy,
Chociaż echo szaleje wpośród komnat próżni, —
On pewien, że ją znajdzie, że jej głos odróżni,
Wpadł szaleniec do lochów w ofiarnej podziemi,
To deptał bogi Litwy, to klękał przed niemi;
Wreszcie w lochach podziemnych, których nie pamięta,
Znalazł ciemne więzienie, gdzie Egle zamknięta.

XI.

Ona z piętnem boleści na wybladłej twarzy,
Siedziała w głębi lochu... coś głęboko marzy.
Promień słońca ukradkiem jej oblicze złoci:
Zbledniał krasny rumieniec wśród murów wilgoci,
Schmurniało piękne czoło, powisła jej głowa,
A na jej ustach bladość spoczęła grobowa;
Rzekłbyś, że skamieniała, jak martwa opoka,
Gdyby nie iskra życia, co strzela z jej oka.
Gdy Ransdorf ostateczne wysilenia czyni,
Kiedy pękły żelazne wrzeciądze jaskini,
Cofnęła się trwożliwie, krzyknęła boleśnie;
Patrzy nań nieprzytomna, jak na widmo we śnie.
Ransdorf, krwią obryzgany, przed dziewicą klęka:
Córko Litwy! błysnęła ostatnia jutrzenka
Nad gniazdem twego rodu — cała twierdza gore!
Przybiegam cię ocalić, och! przybiegam w porę:
Płomień ostatnie balki na dachu przepala,
A Krzyżacy do twierdzy cisną się jak fala,
A Litwini pod zamkiem rozpaczliwą zgrają
Sami się na ofiarę bogom zabijają,

Aby żywo nie wpadli pod niemiecką władzę.
Idźmy stąd, piękna Egle, ja cię uprowadzę!
Straszny dzień!... uciekajmy... czy widzisz dym czarny?
Czy słyszysz huk płomieni i okrzyk ofiarny?
Czujesz, jak tu gorąco już przepala cegły?
Spieszmy! bo droga trudna, a nasz cel odległy...
Ja ciebie uprowadzę szlaki znajomemi
Z niebezpieczeństwa wrogów, ze zgliszcza twej ziemi!
  Rzekł, i patrząc z rozkoszą w oblicze dziecięce,
Chciał miłe sercu brzemię pochwycić na ręce;
Ale córka Margiera łagodna a cicha,
Skinieniem go oddala, spojrzeniem odpycha,
A w tem jednem spojrzeniu tyle sił wytęża,
Że, jak pchnięty ramieniem bojowego męża,
Cofnął się młody Krzyżak. — Stój, dziki zuchwalcze!
Kto ci mówił, żem słaba? że siebie nie zwalczę?
Co znaczą mego domu gorejące ściany?
W twoich ręku pochodnia i miecz krwią zbryzgany!
Posłuchaj mię, Krzyżowcze! och! niedawno jeszcze
Jako najsłodszą myślą biedne serce pieszczę,
Że z tobą w cudzej ziemi pędzić będę chwile,
Obowiązki dla bogów, dla Litwy uchylę,
Porzucę dom i ojca... i będzie mi błogo,
I tu nie pożałuję nikogo... nikogo!
W snach widziałam twój domek, i morskie wybrzeże,
I mury waszych zamków, i kościelne wieże;
Przysięgłam twemu Bogu, że moich porzucę,
I skłonię całe serce ku Jego nauce...
Lecz dzisiaj w moich myślach i w sercu inaczej:
Ty przywiodłeś do Pullen krzyżackich siepaczy,
Wniosłeś do mojej strzechy i miecz, i pożogę.
Dzisiaj Litwa chce ofiar — cofnąć się nie mogę.
Moja powinność umrzeć w ofiarnej postaci
Obok mojego ojca, obok moich braci.
Weź ten krzyż... mnie nie wolno nosić go na łonie:
Egle ze swemi bóstwy w jednym stosie spłonie.
Stąd nie zdołasz mię wyrwać całą swoją mocą

I nigdy się nie dowiesz: do kogo i poco
Zaślę ostatnią modłę...

XII.

Tak mówiła śmiało.
O duszo Margierowa! czemu słabe ciało
Obrałaś za mieszkanie? czemu we łzach oczy?
Czemu ten dym, co buchnął, twoją główkę mroczy?
Czemu płomień pożarny, co się mignął zdala,
Z piersi ostatni oddech gorącem wypala?
Egle traci przytomność, chwieje się i pada,
A płomień już się wgryza, sklepienie przejada,
I w głębokie podziemie od baszty przyległej
Posypały się głównie i runęły cegły.
Z pośród gruzów pożarnych, dymu i płomieni,
Porwali biedną Eglę łucznicy strwożeni,
A Ransdorf na ich czele, jako czujna warta,
Ukazuje im drogę, płomienie rozgarta;
A gdy wyszli z podziemia, on drżący i siny
Mieczem toruje drogę pomiędzy Litwiny.
Tam już z wałów ostatnie cofnęły się straże,
A twierdza jednym hukiem goreje w pożarze;
Ze wszystkich stron Krzyżacy wpadają i wrzeszczą,
A ich trąba ogłasza godzinę złowieszczą,
To chychoce jak szatan, to syczy jak żmija.
A Litwa nieprzytomnie sama się zabija:
Tam morderczym toporem brat uderza brata,
Ojciec własne niemowlę bardyszem rozpłata,
Dzika Marti ze stosu płonącego drzewa
Ostatnią dla nich pieśnię pogrzebową śpiewa,
Poleca swoim bogom dusze tych, co płoną,
I wywija w powietrzu siekierą święconą.
Ransdorf z lubą zdobyczą przebiega podwórze,
Przeciska się przez ognie, topory i noże,
I mieczem nieprzytomne wymierza zamachy;
A jego hełm i pancerz wykowane z blachy
Napaliły się w ogniu, pierś i głowę pieką.

O! w tej głowie, w tej piersi goręcej daleko!
Wrząca dusza młodziana silniej płomienieje
Od zgryzot i obawy, i trwożnej nadzieje.

XIII.

Wierni jego łucznicy, uchyliwszy głowy,
Nieśli omdlałą Eglę za obwód zamkowy,
Gdzie z pod olchy, zawarte kamieńmi i kłodą
Poczynają się lochy, co do Niemna wiodą,
W których była ostatnia obrona Litwina,
A których dziki widok tyle przypomina!
Och! bo w życiu Ransdorfa to miejsce nielada:
Tędy go wiodła miłość, tędy wiodła zdrada;
O poranku szedł tędy na czele swej młodzi,
A teraz jak kochanek szczęśliwy przechodzi.
Lecz choć sercu i męstwu dziś stało się zadość,
Czemu na jego twarzy nie kraśnieje radość?
Czemu serce nie kipi w swobodzie młodzieńczej,
Gdy szlachetne żądanie skutkiem się uwieńczy?
Już swobodny od mieczów i pogorzeliska,
Czerpa wodę z potoku, na twarz lubą pryska —
Egle dała znak życia, znać, że coś pamięta.
Swobodniej odetchnęła pierś bólem ściśnięta;
Otwarła jasne oczy — o radosna zmiana! —
I Niebem zabłysnęła dla duszy młodziana,
I sili się przypomnieć wszystkie dnia koleje:
Gdzie jest? dokąd ją wiodą? co się w zamku dzieje?
Chce, ale nie śmie pytać, a choć się zapyta,
W oczach tylko łuczników odpowiedź wyczyta:
Bo ich trwogą przeraża podziemne bezdroże,
Zguba jeszcze tak blizka — a głos zdradzić może.
Czas nagli do pospiechu! uciekajmy skoro!
Tak wołając, łuczniki na barki ją biorą,
A Ransdorf z zapaloną pochodnią na przedzie,
Znajomemi zakręty cały orszak wiedzie;
Aż w milczeniu ostrożne posuwając kroki,
Stanęli u wybrzeża niemnowej zatoki.

Tam, jak Ransdorf zawcześnie przygotować każe,
Czeka już łódź niemiecka i zręczni wioślarze.
Egle, jeszcze wpółmartwa, złożona do łodzi,
Spojrzała w stronę zamku, skąd okrzyk dochodzi,
I na krwawe płomienie, co jej dom pożarły,
I okrzyk rozpaczliwy z piersi obumarłej
Przeszył piersi Ransdorfa jak ostrem żelazem:
Puszczajcie mię do ojca! ja zginę z nim razem!
Ja przed obliczem śmierci odważnie dostoję,
Jak wszyscy bracia moi, jako siostry moje!
Tak jęknęła boleśnie, i ręce załamie,
I znów omdlałą głowę przewiesza na ramię.
A Ransdorf klęczy przed nią i słowa nie mówi,
A wioślarze, na wodza skinienie gotowi,
Zepchnęli łódź do wody... Zaszumiały wiosła,
I fala z cichym szmerem ich czółno poniosła.

XIV.

A na zgliszczach zamkowych kipi bój zajadły:
Zwęglone od płomienia ściany już opadły,
Do Niemna, do Puniały płynie krew ruczajem;
Litwini nie przestają mordować się wzajem,
Wskazują w stos ofiarny, śpiewają i jęczą,
Obryzgani posoką i pianą szaleńczą.
Jeden Margier spokojny wśród jęku swych dzieci;
Żaden mu wściekły wyraz oblicza nie szpeci.
Ujrzał zgubę, gdy Krzyżak od lochów się wciska,
Zaprzysiągł, że mu odda trupy i zwaliska,
A jako dobro Litwy, jak bogowie każą,
Ścina głowy swym braciom z uroczystą twarzą;
Nie pastwi się nad nimi jako wściekły zbójca,
Ale pełni powinność książęcia i ojca,
Aby lud bohaterski, sercem ukochany,
Nie przyszedł w pohańbienie, dźwigając kajdany.
Szukający zdobyczy wśród zamku płomieni,
Krzyżacy na morderstwo patrzą przerażeni;
Od ranka swej wściekłości wywierając dosyć,

Nie śmieją na Litwinów już ręki podnosić.
Choć biorą to szaleństwo za sidła szatana,
Do ich serca wstępuje jakaś cześć nieznana
Dla chrobrych bojowników. Już stos ledwie pała,
Już Marti wśród gorących płomieni skonała,
Już słychać słaby łoskot ledwie kilku młotów,
Margier krwawą ofiarę już dopełnić gotów
I przebić własne piersi...

XV.

Wtem z Niemna od brzega
Płynącą łódź krzyżacką z daleka postrzega:
Poznał postać Ransdorfa — rzucił wzrok sokoli:
Poznał Eglę — zapłakał... bo go serce boli.
— Bogowie! ja tu czuwam, gdzie o Litwę idzie,
A tu własna krew moja spieszy ku ohydzie!
Wyrodna krew Margiera, Egle nieszczęśliwa,
Spieszy potargać z Litwą rodzinne ogniwa,
I z młodą a najdzikszą krzyżacką gadziną
Ucieka od ofiary, kędy wszyscy giną!
Perkunie! wzmocnij rękę! oto w jednym strzale
Ja cześć jej nieskalaną od hańby ocalę!
Rzekł, i z silnego łuku wymierzył do łodzi,
Nie wierzy w trafność oka: bo mu łzą zachodzi —
Naciągnął — puścił strzałę... pobiegła ze świstem
Aż Niemen zapluchotał drganiem uroczystem.
Stanęło w oczach ojca grobowe widziadło,
A z czółna coś białego do wody upadło.
Jeszcze wystrzał, i jeszcze uroczysta chwila,
Łódź skręca się po fali, chwieje się, nachyla,
I z pluchotem jak kamień do Niemna uderza
W polerownej zbroicy ciężki trup rycerza.
Zakrzyknęli wioślarze, ratunkiem zajęci;
Jeszcze się biała płachta z falami zakręci,
Mignęła raz... i drugi po wodnym obszarze...
Uciekli na brzeg drugi strwożeni wioślarze.
A Niemen, jak dotknęła czarodziejska władza,

Znowu płynie spokojnie, znowu się wygładza,
Kręci się lekkim wirem, od słońca połyska:
Nie znajdziesz w jego łonie śladu grobowiska...

XVI.

— Spełniła się — rzekł Margier — ofiara straszliwa! —
I podchodzi do stosu, i miecza dobywa.
Tam już wszyscy Litwini snem wiecznym posnęli:
Owdzie trup się czerwieni, owdzie kość się bieli,
Owdzie jęk się wydziera ostatniego ducha,
A nad stosem przygasłym jeszcze dym wybucha.
Margier kołpak soboli zdjął z rycerskiej głowy:
Witam cię, chrobra Litwo, w otchłani grobowej!
Daj świadectwo Niebiosom w uroczystej dobie,
Żem cześć twoją ocalił i zginął przy tobie!
Nie umarłaś spodlona — tylko nieszczęśliwa!
Rzekł, i szerokim mieczem pierś własną przeszywa,
Oczy wlepił w Niebiosa i trupem się ściele...
Skonał ostatni Litwin na bratnim popiele.

EPILOG.

Krzyżacy w gruzach cegieł i spalonych głowni
Długo szukali skarbów ukrytych w warowni;
Żołdactwo w popielisku długo się szamota,
Szukając starych miodów i srebra, i złota.
Wycięli stare lasy u Litwinów święte,
Zabrali tuczne trzody dotąd nieporznięte,
I zburzyli warownię, i z ziemią zrównali,
Krzyż na niej postawili i odeszli dalej.
Puszczyki zamieszkały tajemne otchłanie,
Czas objął rumowisko w swoje panowanie.
Na rycerskich popiołach to się trawka wspina,
To porosły pokrzywy i gęsta leszczyna;
Potem rolnik zaorał niwę znakomitą,
I posiał na jej łonie chleborodne żyto.

A na gładkiej, głębokiej niemnowej topieli
Czasem się biała płachta o zmroku zabieli...
Ci nie wierzą, ci wierzą — dziwny ród człowieczy!
Ktoś ci jeszcze odpowie: że to stare rzeczy,
Że z czasów, gdy Litwini byli jeszcze dzicy,
Jest to chusta grobowa Egli topielicy.
A więcej próżno pytać o przeszłość nieznaną, —
Gdzieś ją, słyszę, w łacińskich książkach zapisano.
Chcesz się prawdy dowiedzieć? — pytaj kronikarzy;
Resztę niech własna głowa, niech serce domarzy!

Borejkowszczyzna, 6 sierpnia 1854.

KĘS CHLEBA.

GAWĘDA Z PÓL NADNIEMEŃSKICH.

I.

Dziwno mi nieraz, gdy w myślach rozważę,
Jako skrybowie i pańscy pieśniarze,
Z silnemi pierśmi i z sercem ochoczem,
Skarżą się nieraz na brak żywej treści:
Że w pięknej Litwie śpiewać niema o czem,
Że im nie staje wątku do powieści.
O bracia moi! rówiennicy mili!
Za cóż swej matce bluźnicie zuchwali?
Czyście już całą przyrodę zgłębili?
Czyście już całą głąb duszy zbadali?
O! jeśli waszą unużyło lutnię
Łowić brzęk wiatru, co w zaroślach gwarzy,
Śpiewać Niebiosa zachmurzone smutnie,
Lub z Symonidem wtórzyć pieśń żniwiarzy,
Albo powtarzać szczebiotanie ptasze,
I jęki nasze, i radości nasze, —
Jeśli już dla was nie nowa nauka
Słuchać, jak serce waszych braci puka, —
To weźcie wszystko przeglądać na nowo
Przez drobne szkiełko, co mikroskop zową.

Połóżcie pod niem, co łaska i wola,
Główkę motyla lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z litewskiego pola —
A rozpowiedzcie sumiennie a święcie
Blask każdej barwy, każde serca drgnięcie,
Każde ruszenie drobnego atomu,
A pieśń już sama utworzy się snadnie —
A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie
Posłuchać pieśni, westchnąć pokryjomu;
A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
O! wtenczas dobre żniwo dla pieśniarzy.

II.

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
Patrzę na kawał chleba z mej wieczerzy:
W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
Cała treść pieśni żywotna i czuła.
Drobna okrucho! o gdyby ci mowa,
Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła:
O twojej doli, o rodzinnej roli,
O twojej siejbie, kwitnieniu i wzroście,
Jako się rolnik na żniwie mozoli?
Jakie tam ptastwo przylatało w goście?
Jak na twój kiełek czerwonawo-blady
Działało słońce i rosa, i cienie?
Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
Spadały z Niebios na twe spustoszenie?
Czy sute były dożynki po żniwie?
Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?
Za ile ziarnek ile dostał groszy,
Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
Czy grosz wydano dla serca rozkoszy?
Czyli na ołtarz zbytkowi i pysze?
I jak wyrobnik zakupione ziarna
Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka?...
O zlepku żytni! okruszyno marna!

Jakże twe dzieje ciekawe dla człeka!
Z twojemi losy jak ściśle się splata
I jasny pałac, i chróściana chata!

III.

Chleb — święte Słowo w Niebie i na ziemi.
W nim Bóg sam Siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją Anieli,
Człek go przyjmuje usty pobożnemi,
W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Boga z ludzkością przymierze,
A gdzie Bóg zsyła swojego Anioła,
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa.
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy;
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno Boże wyciśnie na twarzy.
W marnej okrusze barbarzyńcy prości
Przyjęli święty Sakrament Ludzkości.

IV.

O wyobraźnio, święty Niebios darze!
Jako chleb ciało, ty nakarmisz duszę,
Dzięki twym cudom, kiedy się rozmarzę,
W ziemskiego chleba malutkiej okrusze
Całą jej przeszłość wysnowywam snadnie,
Dusza przeczuje, a serce ją zgadnie.

V.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową.
To brzęk znajomy: bywało po lesie
Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się.

Z góry na górę błyskawicą biega,
Lub się po łące jak powódź rozlega.
Och! pomnę, pomnę jego brzęk poranny,
Kiedy bywało przy końcu już żniwa,
W dzień Przemienienia lub Najświętszej Panny,
Z poblizkich wiosek lud Boży zwoływa.
Spieszy w kaplicę ciżba pracowita
Święcić owoce, albo kłosy żyta.
Tam gdy swe snopki na ołtarzu złożą,
A ksiądz modlitwę poświęcalną pocznie,
Poklękły naród widzi rękę Bożą,
Jak błogosławi ich plonom widocznie,
Już wie, że polna nie przepadnie praca.

Święcone snopki na siejbę wymłaca,
Święcone ziarno po zoranej roli
Sypnie garściami na każdej rozorze,
I mówi w duchu: „Kiedy Bóg pozwoli,
Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
Toż to się wianki kłosiane posplata!

Święcone ziarno mieszając z umłotem,
Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy,
Przywykł za własne uważać te niwy,
Bo z dawna własnym użyzniał je potem;
Więc szczerem sercem odmawiał pacierze:
Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!
Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka
Poszła modlitwa wysoko... wysoko...
Bóg rzucił k'niwom miłosierne oko,
I zaruniała usiana polanka
Krzewistą runią, a całe pól łono
Jakby ktoś szatą przyodział zieloną.

VI.

Boże, przyjm dzięki pokornego ducha
Za dobrą wróżbę plonów mojej pracy!

Niech traw zbożowych nie niszczą robacy,
Ni grad, ni powódź, ni skwarna posucha!
  Szlachcic Łagoda, dzierżawca tej włości,
Klęcząc na morgu, tak modłę wdzięczności
Wylewał Bogu, obchodząc swe łany,
Wznosił ku Niebu i ręce, i oczy.
Powstał z modlitwy — i ujął ochoczy
Grubą czeczotkę, kapelusz ze słomy,
I poszedł dalej ścianką wedle gaju,
Wciąż błogosławiąc Dawcę urodzaju.
I w kole dziatwy, przy skromnym obiedzie,
Stary wesoło wypił miodu czarę,
Wtórzy do śmiechu, pogadanki wiedzie
I opowiada przypowieści stare;
I cały wieczór był rozpromieniony,
Tak go cieszyły przyszłoroczne plony.

VII.

  Och! między chwilą zasiewu i zbioru
Jeszcze rok cały nadziei a troski.
Biedny dzierżawco ubogiego dworu!
Przeminął dla was ów wiek pradziadowski,
Że gdy na polu nie dopisze praca,
Inszym się kształtem rachunek opłaca:
Lub służąc z kordem do pańskich zamiarów,
Lub pijąc wino z bezdennych puharów.
Zanadto żwawie, wesoła drużyno,
Rąbałaś kordem i spijałaś wino:
W pańskich puharach dziś zostały męty,
Gorzka żółć z octem dla ubogiej braci;
A biada temu, kto czynszów nie płaci,
Suszą, powodzią, lub gradem dotknięty!
A owych czynszów rachunek bez końca:
Za niwy, łąki, za wodę w kałuży,
Za dach nad głową, za promienie słońca,
I za powietrze, co na oddech służy,
Za polny kwiatek pokropiony rosą,

Z którego pszczółki plastr miodu przyniosą,
Za przelew prawa do kmiecej spółbraci
Tyle a tyle srebrników się płaci
Do rąk dziedzica.
Dziś drogie talary:
Pracuj i módl się, wyrobniku stary!
Niech cię od nędzy sromotnej wyzwoli
Garść drobnych ziarnek wrzucona do roli.

VIII.

Bóg ją przeżegnał, a czarnych pól łono
Jak gdyby szatą przyodział zieloną:
I przyszła zima, i latorośl żyta,
Wciąż rozwijając swój badylek krzepki,
Mrozem spowita, a śniegiem przykryta,
Legła jak dziecię — spocząć snem kolebki;
A w trawce drzemie, nim je Pan Bóg zbudzi,
Życie i pokarm dla tysiąca ludzi.

IX.

Bo Pan Bóg radzi o Swojej czeladzi:
Pastwiska Jego my jesteśmy trzodą.
Umocnić serce wcale nie zawadzi
Na wszelką dolę, mospanie Łagodo!
Zasiałeś niwę, modląc się pobożnie,
Bóg raczy wiedzieć, kto twą pracę pożnie.
Bogaty sąsiad, pan poblizkiej włości,
Może już dawno chleba ci zazdrości;
Widząc ruń piękną wokoło twych chatek,
I w chleb zamożny twój naród wioskowy,
Może już z panem poczynił umowy
I na twą wioskę wyliczył zadatek;
Trafił pochlebstwem do pychy magnata,
A sutym groszem do służalczej zgrai,
Jeszcze się chytrze przymili, przyczai,
Jeszcze się z tobą jak z równym pobrata;
Lecz gdy ci rękę do uścisku poda,

Wtenczas twą zgubę dopełnił już właśnie!
Ani się stary spostrzeże Łagoda,
Gdy kocim szponem krwawo go zadraśnie.
Tem właśnie dzielna probuje się głowa,
Kto zręczniej szpony mordercze przychowa.
Biada prostakom!

X.

Tymczasem na niwie
Wicher ze śniegiem swawoli burzliwie,
A chleborodnem obdarzona życiem
Śpi trawka żytnia pod białem przykryciem.
Mróz, co ją zwarzył i zakował w bryłę,
Żywotnej treści wyssać z niej nie może:
Z zimnem słowiańskiem obeznane zboże,
Nabiera hartu i krzepnie na siłę.
A słońce wyżej, wyżej się pomyka,
Wytryska ciepłem z każdego promyka.
Choć mróz i wicher srożą się okropnie,
Codzień po trosze śniegowisko topnie;
Aż ocieplone wiatry marcowemi
Puściły śniegi na polach, na łące.
Zwija się wężem strumyków tysiące,
Potok z potokiem kojarzy się, zlewa;
Lecą ze szmerem wyzwoleńcy młodzi,
I szumią gwarem wiosennej powodzi
Nadbrzeżne błonia, zarośla i drzewa.
Słońce promieńmi, jak olbrzymim grotem,
Rozbija lody, łamie i rozpryska;
Fala wyzuta z cieśni grobowiska,
Pląsa po nurtach wirowym obrotem.
Rybacy czółnem już po Niemnie płyną,
I śmiały sternik puszcza się z wiciną,
A z ponad czarnej pooranej roli
Ostatnia wilgoć kłębami wybucha.
Wiosenny wietrzyk po niwach swawoli, —
A rolnik, pełen wesołego ducha,

Wychodzi czekać i słuchać co rana
Pieśni skowronka, klekotu bociana,
I z sercem pełnem wiosennej radości
Wita przybycie pożądanych gości,
A ze skowronkiem myśl jego skrzydlata
Z rzewną modlitwą ku Niebu ulata.

XI.

Stary Łagoda, co przez całe życie
Mógł się napatrzyć, nadziwować wiośnie,
Każdą pozdrawia i wita radośnie,
Z każdą się pieści w dziecinnym zachwycie;
Patrząc z uśmiechem ku domowej strzesie,
Najpierwszą dziatwie przylaszczkę przyniesie,
Wszystkim zwiastuje najwierniej, najwcześniej,
Powrót bociana i skowronka pieśni.
I nikt od niego lepiej nie pamięta
Wszystkie wesołe a doroczne święta:
Kiedy się święci chleb, ogień, czy woda,
Nikt lepiej nie znał, jak stary Łagoda.
Gdy stary zegar, piastun jego dłoni,
Co w nizkiej izbie kołace u progu,
W noc Zmartwychwstania dwunastą wydzwoni,
Starzec powstaje i modli się Bogu;
A ponad rankiem, gdy cisza dokoła,
Kiedy snem twardym spoczywają młodzi,
Drżącemi pierśmi, ile głos podoła,
On Alleluja radośnie wywodzi.
I wtedy starzec najszczęśliwszy z ludzi,
Gdy pieśnią dziatwę i czeladkę zbudzi,
Kiedy obaczy, że wszyscy weseli,
Święconym chlebem gdy wkoło się dzieli,
Kiedy mu życzą domownicy prości:
Daj Boże za rok doczekać w radości!
Tak rok po roku jakoś się wyprosił,
Jakoś wymodlił dla starego pana,
I radość była, bo ją w sercu nosił,

Złym sercom obca, zepsutym nieznana, —
Radość niewinna, spokojna i cicha,
Co się do trawki, do kwiatka uśmiecha,
Co na twarz starą wraca uśmiech młody,
Co rzeźwi duszę widokiem przyrody.
Taki skarb w sercu nie każdemu nosić,
Kto nie pracował usilnie i długo;
Tego modlitwą nie można uprosić,
Lecz tylko nabyć cnotliwą zasługą;
Jak długie lata żywota się liczą
Przechować serca niewinność dziewiczą.
Bo czyje oko choć raz się zaprószy,
Kto raz sumienie w poniewierkę poda,
Już nie osiągnie tego szczęścia w duszy,
Jakie miał biedny, zgrzybiały Łagoda.

XII.

Jest zwyczaj w Litwie u szlachty i kmieci
Gromadką w pole iść na święty Jerzy:
Gospodarz w gronie czeladzi i dzieci
Klęka na morgu, mówi pięć pacierzy,
Ogląda pola, czy urodzaj wróżą,
Potem sąsiedzi do kółka się zbiorą,
Zabrzękną w czarki i lulki zakurzą,
Potem znów klękną modląc się z pokorą,
A w dobrej myśli, ze spokojną twarzą
Idą do domu, śpiewają i gwarzą.
— Patrzaj, Macieju! ot idą ze dworu.
Stary pan wyszedł z dziatkami i żoną,
Klękli się modlić — właśnie od ugoru
Były zasiewki garsteczką święconą.
Ja sam rzuciłem — tam wyborna skiba.
Niedawna trzebież, to widać z daleka:
A jużby Pan Bóg nie łaskaw był chyba,
Gdyby tam żyto nie wyrosło w człeka! —
Tak stary Szymon mówił do sąsiada
I nalał czarkę na trzecią już kolej:

Bądź zdrów, Macieju! niech marnie przepada,
Kto nam źle życzy — niech sam zginie wolej!
— Bądź mi zdrów, kumie! — Maciej mu odpowie
Przyjmując czarkę, którą Szymon poda. —
Za zdrowie pańskie! daj Boże mu zdrowie!
Nie darmo stary zowie się Łagoda;
Łagodna dusza naszego paniska,
Człek nie ma krzywdy u niego we dworze,
Nie tak jak inszy, co drze i uciska,
Że aż posłuchać nie dopuszczaj Boże!
U nas... grzech mówić... Tak, tak, panie kumie,
Pan nas uważa za ludzi, za braci,
Skargę wysłucha, krzywdę wyrozumie,
Niech mu Bóg za to stokrotnie zapłaci!
Niech ze swej dziatwy cieszy się radośnie,
Niech zboże jego na las patrząc rośnie!
— Ej, szkoda tylko, że rośnie przy drodze:
Mogą urzeknąć nieżyczliwe oczy.
Pan sąsiad słyszę i bardzo ochoczy,
Tutejszą wioskę zagustował srodze.
Zjedna dziedzica i nas zadzierżawi;
To sztuczka kręta, o sobie pamięta,
A w pańskim zamku na niego łaskawi
Od leśniczego do plenipotenta.
Daje pieniądze — alboż oni głupi?
Dlaczego nie brać, kiedy ktoś przekupi?
A dla dziedzica... to niewielka szkoda,
Że nas obedrą bez litości Bożej;
Czy pan Zabora, albo pan Łagoda,
Wszystko mu jedno; kto zapłaci drożej,
Ten będzie siedział na dwornym zagonie.
— A w Imię Ojca i Syna i Ducha! —
Zakrzyknął Maciej: Szymonie! Szymonie!
Nie gadaj głośno — bo szatan podsłucha:
A Bóg łaskawy strzegł nas od tej pory
Od głodu, ognia i pana Zabory!
Alboż nie słyszysz, jak jego poddani,

Każdej Niedzieli gdy się w karczmie zbierzem,
Z głodu wybladli, szmatami odziani,
Sypią przeklęctwem, jak żebrak pacierzem?
Gdy nas Zaborze dola w ręce poda,
Zgubi na zdrowiu, zgubi w gospodarce.
Posłuchaj kumie, wypijem po czarce,
Niech z nami stary wiekuje Łagoda!
Tak dwaj kmiotkowie, przy kielichu szczerzy,
Gwarzyli z sobą na sam święty Jerzy.

XIII.

A żyto rośnie, jak nikt nie pamięta.
Złoty urodzaj — święconych ziarn dzieło!
Pod koniec maja, na Zielone Święta
Zielone kłosie krasować poczęło;
Mży się jak fala polanka bogata.
Pył chleborodny jak dym nad nią lata.
W sercu rolnika pokrzepia nadzieję,
Bo łaską Bożą ponad kłosiem wieje.
Kwiecień był ciepły, a maj służy deszczem.
Będzie gaj żytni — to przypowieść znana.
Stary Łagodo! skąd taka odmiana,
Że zesmutniałeś w przeczuciu złowieszczem?
Poglądasz wkoło tęsknemi oczyma,
Na uściech twoich uśmiech się nie trzyma?
Czemu najczęściej zasklepiasz się doma?
A gdy cię kroki na pole powiodą,
Bywało z kwiatem, z grzybem lub z jagodą,
Teraz powracasz z pustemi rękoma?
Czemu w twem oku uśmiech coraz rzadszy?
Kiedy na żonę i na dziatwę patrzy?
Ani cię polny urodzaj pocieszy,
Ani twa dziatwa, co pięknie dorasta,
Ani śpiewanie pracowitej rzeszy,
Ani gwar ludzki, gdy ruszysz do miasta.
Coś ci niemiło, niedobrze na świecie,
Twą siwą głowę jakiś ciężar gniecie.

O! bo kto serca w sobie nie zagłuszy,
Kto przeżył życie z Bogiem a przyrodą,
Bystry u niego, o! bystry wzrok duszy.
Jego przeczucia nigdy nie zawiodą.
Stary Łagoda, lubo już nie w porę,
Oczyma duszy przeniknął Zaborę.
Choć serce pełne prostoty gołębiej
Myśl podejrzliwą jakby grzech odpycha,
Lecz robak w serce wgryza mu się głębiej
I jak mól w drzewie wciąż kołata z cicha:
  Ej, pękną twoje najdroższe nadzieje!
Ej, praca życia marnie ci zmarnieje!...
Dzisiaj zamożny i śpichrz, i stodoła,
Jest coś i w trzosie — to krwawy pot czoła;
Ale któż zgadnie, co zdarzyć się może?
Gdzie przyjdzie spocząć na zgrzybiałe lata?
Coś z oczu patrzy źle panu Zaborze,
Z pańskiemi sługi coś bardzo się brata.
  Och! jeśli z dworku cudzego wypędzą,
Przyjdzie się spotkać z cierpieniem i nędzą.
Dokąd się stary obróci Łagoda?
Chciwość nie miota jego duszą wzniosłą,
Nie szkoda zbiorów i dworku nie szkoda,
Chociaż nałogiem serce tam przyrosło,
Nie szkoda bujnych urodzajów pola, —
Smutniejsze myśli ciężą mu widocznie.
Podrosła dziatwa — a kędyż jej dola?
Zgrzybiała głowa — a kędyż odpocznie?
Choćby pracować i ciężko, i szczerze,
Ręce nie zwykły k'sosze i siekierze.
Nad kim już cięży grobowe przykrycie,
Późno mu nowe rozpoczynać życie.

XIV.

  W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę.
Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,

Jak się zbierają na żniwa gromadne,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptastwa śpiew mię nie omami,
Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa,
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.
Bo tamte strony ukochałem szczerze:
A taką miłość, jak miłość dziewicy,
Słodka urokiem lubej tajemnicy, —
Obcym jej uszom nigdy nie powierzę.
Bo śmieszno kwilić ku borowej sośnie,
Ku lichej trawce, co na piaskach rośnie,
Albo k'pustyni, kędy dworek stary
Pomiędzy wydmy i mokre wiszary.
Ale ta miłość, to sielskie zacisze
Tak mię zbratały z przyrodą, jak z matką,
Że nic tam dla mnie nie było zagadką, —
Zda się bywało wzrost trawy posłyszę.
I dzisiaj, kiedy wzrok ziemski przysłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę, jak żywo, starego Łagodę,
Jako się krząta po polnym zagonie;
I słuchem duszy, jak gdyby na jawie,
Słyszę na błoni nadrzecznej obszarze,
Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze,
I polny konik jak strzekoce w trawie;
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściej,
I jak pod sierpem żniwiarek zachrzęści;
Jako wioskowe żony i dziewoje
Gwarzą na morgu, chychocą i pieją
Pieśni żałosne, stare pieśni swoje,
Co wiekowały setnych lat koleją,
I z matki, z babki, z prababki podeszłej
Do ust nadobnej, krasawicy przeszły:
Pieśń o Dunaju, o krasnej kalinie,
I o kozaku, co na wojnie ginie;

A kiedy słodsze zapuka uczucie
Do prostej piersi szczęśliwą nadzieją,
Śpiewa o lubym, o zielonej rucie,
A towarzyszki z jej marzeń się śmieją;
Pieśniarka nie wie, gdy ją dumka pali,
Śmiać się? czy gniewać? czyli marzyć dalej?
Widzę, jak słonko kryje się za lasy,
A rzeźwy chłodek powiewa od rzeki,
Skrzypią ze zbożem ładowne kolasy,
Ryk trzody z błoni dochodzi dalekiej.
A tu na polu krzątają się dziewki,
By dworskich morgów dziś dożąć obszary,
W tem samem miejscu, kędy Maciej stary
Święcone ziarno rzucał na obsiewki.
Niedarmoś, księże, przeżegnał te ziarna!
Niedarmo, siewco, modliłeś się Bogu!
Wasza modlitwa i praca nie marna:
Plenny urodzaj ściele się do brogu.
Dożnijcie zagon wesołą gromadką,
Przy szumnym gwarze, przy pieśni odgłosie,
Zwińcie do wianka najpiękniejsze kłosie
Z krasną kaliną i modrą bławatką;
Zanieście panu podarek ze żniwa,
Jak zdrów doczekał, niech wesół spożywa.

XV.

Niezdrów, niewesół coś stary Łagoda —
Jak gdyby nierad z dożynkowych gości.
Dawniej przyjmował z uśmiechem radości,
Młoda żniwiarka gdy mu wianek poda;
Dzisiaj wioskowa dziwi się gromada,
Czemu zesmutniał, a twarz jego blada?
Sami u siebie pytają i gwarzą:
Kto tę zgryzotę do serca mu kładzie?
Bo przyjął wianek z obojętną twarzą,
Martwym uśmiechem dziękował gromadzie.
A gdy śpiewano dożynkowe pieśnie,
Starzec zapłakał... zapłakał boleśnie!

Łzy jego twarzy wioskowi ludziska
Dawniej widzieli — lecz zgadli, choć prości,
Że insza smutku, insza łza radości,
Kiedy to z serca pełnego wytryska,
Co, kiedy błyśnie na twarzy człowieka,
Jakby promieniem Boskim przyobleka.
Takiemi łzami w dożynkowe święta
Trafia się czasem zapłakać Łagodzie;
Ale łza smutku dzisiaj niepojęta...
Jakby tu zgadnąć, co mu serce bodzie?
Żona i dziatwa, widząc twarz złowrogą
I dumań starca częstym będąc świadkiem,
Spytać nie śmieją, a zgadnąć nie mogą,
I sami smutni leją łzy ukradkiem.
Lud, patrząc w oczy, aż zabłysną słodziej,
Nieśmiało k'stołu pańskiemu podchodzi.
Lecz pan przypomniał, że dzisiaj ma gości,
Wesołem okiem spojrzał na żniwiarzy;
Święte na Litwie prawo gościnności
Spędziło smutek z zadumanej twarzy.
Na stole, białą zasłanym oponą,
Stawią chleb cienki i słodkie owoce,
Smolone szczepy na dziedzińcu płoną,
A wiejski skrzypak skoczny taniec grzmoce.
Piskliwe tone wyciąga od ucha,
Nastraja skrzypce i dźwięku ich słucha
I znowu grzmoce. Miód, sprawca wesela,
Krąży po rękach — gwar coraz to wzrasta;
Skromny parobczak i cicha niewiasta,
I młode dziewczę coraz się ośmiela.
Podchodzą k'panu i młodzi i starzy,
Pan się uśmiecha i ochoczo gwarzy.
Dla niego kmiecie to synowie mili,
A starcy ze wsi, to bracia rówieśni;
Zaprasza gości, by jedli i pili, —
Zahulał taniec, zaszumiał gwar pieśni;
W sennem powietrzu szumi święto żniwa,

W mgłach letniej nocy z echem się rozpływa.
Pomimo pieśni, mimo tańca gwary,
Kmiecy rozhowor rozlega się głośno:
  Daj Boże zdrowie! oto pan nasz stary!
Niechaj mu dziatki na pociechę rosną,
Niech syny jego na tej samej ziemi
Będą panami nad syny naszemi!

XVI.

  — Oj, źle Szymonie! źle sąsiedzi moi!
Tylko u Boga miłosierdzia proście:
Wczora pan karmi, wczora żeńców poi,
Dziś szumią inni na folwarku goście.
Słyszę, nasz dziedzic, gdy jechał za morze,
Taki dał rozkaz do swych komisarzy:
Wygnać Łagodę, bo źle gospodarzy,
A wioskę jego dać panu Zaborze.
  Tak, kurząc lulki a idąc do pracy,
Pomiędzy sobą gwarzyli wieśniacy.
  — Wygnać z dzierżawy? co się tobie marzy! —
Rzekł na to drugi: ależ jak? i za co?
  — Od czegoż głowa i rozum pisarzy?
Znajdą przyczepkę — bo za to im płacą.
Daj się im w ręce! — jak opiszą człeka,
To aż zapomnisz o swym własnym rodzie.
Ot słyszę za to, że gdzieś dach zacieka,
Aż tysiąc złotych liczą na Łagodzie.
Stary... wiadomo... do wszystkich się garnie,
Każdemu ufał, zawierzył na skoro,
Ot i podeszli... oczernili marnie...
Teraz chudobę ostatnią zabiorą...
Ze złym człowiekiem i nam sprawa krucha:
Pana Zabory niebezpieczne oko,
Dziedzic daleko, a Pan Bóg wysoko,
Zabora skargi niebardzo wysłucha.
Dobrze nam było ze starym Łagodą,
Bóg raczy wiedzieć, czy tak będzie dłużej,

Czy się tak samo nabytki powiodą?
Na dwoje wróżka, ej, na dwoje wróży!
Bywało grosza zarobi gromada,
Gdy na flisówkę parobcy popłyną;
Dziś pan Zabora, gospodarz nielada,
Każe im dworną puścić się wiciną.
Tak... tak... sąsiedzi!... — Tu starzy włościanie
Kiwnęli głową jakby w jedno hasło,
I stary Szymon rozprawiać przestanie
Tak się zadumał, że w lulce zagasło.
Wykrzesał ogień, rozpalił i pyknął,
I dalej mówił: Zły życia ostatek!
Człek do Łagody już dawno przywyknął.
Toż on, mospanie, ze mną jednolatek,
Jeśli dożyjem tegorocznej zimy,
Na święty Szymon sześćdziesiąt skończymy.
Lat ze trzydzieści, czy więcej już pono,
Jak my za niego Pana Boga prosim;
Toż kiedy cerkiew dzisiejszą święcono,
Kończy się latek trzydzieści i osiem.
Dobre panisko — ej szkoda go, szkoda!
To mówiąc, starcy rozeszli się skoro,
A w każdych uściech był stary Łagoda,
A w każdem sercu był strach przed Zaborą.

XVII.

I słusznie Marcin powiadał sąsiadom,
Że tam i gwarno, i szumno we dworze:
Przybył pan rządca, a każdy już świadom,
Że pańscy słudzy przychylni Zaborze.
Pan rządca, zrazu przystępny, łaskawy,
Z uśmiechem w uściech, jakby Anioł z Nieba,
Rozpoczął ściśle rachunki z dzierżawy.
Łagoda prostak, nie wie co potrzeba,
Nie zna przysłowia: Nie weźmiesz, gdy nie dasz.
Ani pojmuje sumienia na przedaż.
Dobrze mu za to! — pan rządca w pokorze

Zgraję pismaków do dworku napuszcza:
Na polu, w śpichrzu, w komorze, w oborze,
Wszędzie plondruje wygłodniała tłuszcza,
A każdy chmurnem spojrzeniem aż bodzie.
Tylko pan rządca ma uśmiech na twarzy,
W imieniu pańskiem staremu Łagodzie
Czyni uwagę, że źle gospodarzy:
Że śpichrze starym pobudował gustem,
Że na stodole mech kwitnie na strzesie,
Że się rozwala stary młyn z upustem,
Skąd dziedzic straty niezmierne poniesie,
Że wodospustów na łące niewiele,
Które się kopią jak najlżejszą pracą,
Że na ugorze rośnie chwast i ziele,
Skąd jasny wniosek, że rolnik ladaco.
Pióro jak wicher po papierze lata,
Kreśląc Łagody gospodarcze winy;
Rosną jedności, dziesiątki, seciny,
Każda na pieniądz oblicza się strata;
Rosną tysiące w straszliwej postaci,
Które Łagoda gotówką opłaci.
A jeszcze czynsze — to już swoją drogą,
Jeszcze we włości skrzywdzeni być mogą,
Co jedno z drugiem obliczywszy szczerze;
Z dziesięć tysięcy srebrników się zbierze.
— Tak — mówił rządca — źle, panie Łagodo!
Ulepszyć dworek miałeś dosyć pory.
Patrzaj, jak drudzy gospodarstwo wiodą!
Czemu nie brałeś przykładu z Zabory?
Ulepszył grunta, wyprowadził rowy,
Osadził drogi topolą i brzozą:
Zda się o miedzę, wszak grunt jednakowy,
U niego zboża do stodół nie zwiozą,
Taki urodzaj! — a co u waszmości?
Kąkol i chwasty, kamienie i trawy.
Musisz zapłacić, co się słusznie rości,
Potem łaskawie wyruszyć z dzierżawy.

Swojego dobra nasz dziedzic już dłużej
W podobne ręce powierzać nie może;
Wiedząc, że sąsiad, lepiej mu usłuży,
Tutejszy dworek dał panu Zaborze.
Co się mnie tyczy, ubolewam srodze,
Że z niedobremi wieściami przychodzę..
Za to wszelkiego dołożę starania,
Ażeby ulżyć waszmościnej doli;
Memu bliźniemu, wedle przykazania,
Uczynię wszystko... co możność pozwoli.
Dziesięć tysięcy, toć niemała kwota,
Wedle rachunku winieneś ją kasie;
Niech to waszmości głowy nie kłopota.
Może nie jesteś teraz przy zapasie,
To poradzimy i na to, jak możem.
Na wszystko sposób najkrótszy przywiodę:
Coś gotowizną, coś weźmiemy zbożem;
Słyszę, masz niezłe koniki i trzodę,
Wszystko w rachunku przyjjmiemy, strącimy.
I dopomożem, i będziemy radzi,
Możesz we dworku przemieszkać do zimy,
Bo pan Zabora wójta tu osadzi.
A zimą wszędzie przytułek znajdziecie,
Nie umrze z głodu twojej dziatwy rzesza:
Są miłosierne zakłady na świecie,
A na Niebiosach jest Ten, co pociesza.
  To mówiąc rządca łagodnie i z cicha,
Słodkiem obliczem k'niemu się uśmiecha.

XVIII.

  Stary Łagoda zrozumiał nieszczęście,
Zadrżał z ohydy i zacisnął pięście;
Ogniem zabłysły przyciemniałe oczy,
A krew gorąca serce mu oblała,
Ze starej twarzy ledwie nie wyskoczy,
A gniew na czole trzęsie się i pała.
Ale rozważył i obliczył pilno

Swoje ubóstwo i starość bezsilną;
Obliczył, czego nie czuł do tej pory,
Potęgę możnych i chytrość Zabory.
Nierówna walka! — zamarzył jak we śnie,
Zwisła ku piersiom skłopotana głowa,
Na jego oczach błysła łza chwilowa:
O dzieci moje! — wyjęknął boleśnie.
Lecz krótko tryumf trwał nieprzyjacieli,
Łzę w jego oczach raz tylko widzieli;
Spojrzał ku Niebu i ducha pocieszył,
Spojrzał na wrogów i wzgardą ich przeszył.
Czy odrętwieniem bolesnem dotkniony,
Czy biorąc święte pocieszenie w wierze,
Pomimo płaczu i dziatwy i żony,
On zimnem okiem patrzał na łupieże.
Dał sobie wydrzeć całą własność świętą,
Krwawo dla dziatek zebrane grosiwo;
Patrzał z uśmiechem, kiedy ręką chciwą
Pańską pieczęcią stodoły zamknięto.
Ciężej mu było przenosić daleko
Głód własnej dziatwy, gdy się widzieć zdarza,
Jak z jego trzody udojone mleko
Dawano chartom pana komisarza,
Kiedy wprzęgano do cudzego pługa
Dwa siwe woły, co bywało pieści,
Nawet raz jeden Zaborzyński sługa
Zelżywem słowem kiedy go bezcześci.
Ale urazę odrzucił na stronę,
Ani się dąsa, ani gniewem miota;
Choć ręce słabe, barki pochylone,
Dostojnie dźwiga krzyż swego żywota.
Pogodne czoło, obojętne oko
Nie zdradza żalu, ni brzydkiej rozpaczy,
A jeśli cierpi, to gdzieś tak głęboko,
Że nikt z żyjących tego nie zobaczy.
Gdy mu służalcza uprzykrza się rzesza,
Dziatwę utula i żonę pociesza.

Wmawiał, że zawód rozpoczyna świeży,
Udawał młodość i siły ochocze,
I gdzieś daleko od Niemna wybrzeży
Wziął starą chatę i gruntu półwłocze.
Odarty z grosza, z obory i stada,
Lecz nikt nie powie, że mu duch upada.
Świetny pan rządca, gdy się w mieście zdarzy,
I pięknym cugiem przejeżdżać się raczy;
Ale Łagodzie coś bardziej do twarzy
Pogodne czoło i kostur żebraczy.
Choć dziwno zda się przyrównać do miary:
To pan wielmożny, a to nędzarz stary.

XIX.

Łagoda nie chciał kłaniać się Zaborze,
Nie czekał zimy w swoim dawnym dworze;
Z żoną i z dziatwą i z kilku talary
Poszedł w świat obcy, na nowe kłopoty.
Do starych panów wyszedł Marcin stary,
Żegnał ich z płaczem za wiejskiemi wroty;
Zeszli się insi dawniejsi poddani,
Niewiasty, dzieci, gospodarze z wioski.
Przypominali ich pobyt ojcowski,
Całując ręce i pana, i pani,
Dziękując prostą od serca wymową
Za chleb, sól pańską i za dobre słowo.
I za dawniejszą pańską zapomogę
Niosą podarki jak ofiarę świętą:
Ten garść orzechów dla dziatwy na drogę,
Drugi plastr miodu, co wczora podcięto,
Inszy w ofierze niesie chleba kawał,
Życząc, by nigdy nędzy nie doznawał.
A choć wszystkiego wypowiedzieć trudno
Prostemi słowy i mową prostaczą,
Znaczno na sercach żałość nieobłudną,
Można tym oczom zawierzyć, gdy płaczą.
Stary Łagoda doświadczył naocznie;

Jak go żałują kmiotkowie ubodzy;
Z dobrymi ludźmi gdy się żegnać pocznie,
Już łez serdecznych nie trzymał na wodzy.
I ciężki kamień z serca mu opada,
Gdy go wieśniacy pobłogosławili.
Panie Zaboro! masz głowę nielada,
Lecz w życiu takiej nie doczekasz chwili!
Bo nie każdemu i nie w każdym czasie
Tak piękną chlubą napełnia się dusza,
Jaką czuł starzec, gdy z wioski wyrusza
W starej sukmanie, w skrzypiącej kolasie.
Ujrzał nad grobem uwieńczone dzieło,
Ujrzał świadectwo swoich bliźnich grona,
Że jego życie nie marnie zginęło,
Że jego zasług nie próżna skarbona;
Wyższym go ludzie uczynili prości
W obliczu Boga, w obliczu ludzkości.
Spojrzenie wzniosłej i cnotliwej pychy
Rzucił raz jeszcze ku wiejskiej zagrodzie.
Skrył się za górą jego wózek lichy,
I nie słyszano więcej o Łagodzie.

* *
*

XX.

Nie sądźcie, moi czytelnicy mili,
Że na bezdroża zuchwale was wiodę,
Żeśmy z bitego gościńca zboczyli,
Kreśląc Zaborę i starca Łagodę,
O kęsie chleba rzecz mając w zamiarze,
Żem się zagwarzył i Bóg wie co gwarzę.
Oto daleka nadniemieńska wioska
Po to się kreśli, byśmy prawdzie wierni,
Łacniej śledzili pierwszy zaród kłoska
Do chwili żniwa, do snopa na ścierni.
Raczcie przebaczyć, że nieczyste pole,
Że obok kłosów — porosły kąkole.

Więc jako czynią na polu żniwiarze,
Jedno i drugie na snopki rozdzielę,
Jedno i drugie w oczy wam pokażę,
Byście poznali, co chleb, a co ziele,
Byście, nie mogąc rozeznać z oddali,
W chwastach zbożowej trawki nie zdeptali.
Chleb — wielkie słowo w Niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją Anieli,
Człek go pożywa usty pobożnemi.
A w ziemskim chlebie jest pokarm i siła,
W chlebie Bóg życie doczesne przysyła,
Z chleba bierzemy i żywi i zdrowi,
Zbawienie ciału, zbawienie duchowi.

XXI.

Lecz biada temu, kto szydzi z pokuty,
Kto Chleb zbawienia świętokradzko spożył!
Pokarmem życia na duszy otruty
Pod swemi stopy sam przepaść otworzył.
O ziemskim chlebie też same są wnioski:
Jeśli nie wierzysz, przychodniu z daleka,
To zajdź na Litwie do najpierwszej wioski
I spytaj o to najpierwszego człeka.
Tam ci naocznie pokaże lud boży
Chleb, co się sporzy i co się niesporzy:
Jeden posila, a drugi cię zdradnie
O głód przyprawi i obdarzy bólem:
Jeden być musi zatruty kąkolem,
A drugi czysty, któż zresztą odgadnie?
Zdaje się zboże czysto i wyniosło
W blizkich zagonach wedle siebie rosło,
Razem doznało i deszczu, i suszy,
Razem pożęte, zwiezione przed burzą,
Tak samo w żarnach na mąkę się kruszy,
A przecież zdrowiu niejednako służą:
W jednem być muszą kąkolu owoce,

Lub krzywda ludzka, albo łzy sieroce.
Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
Nie kupuj w mieście ani radź sąsiadom,
Nie jedz go w ucztę ani w dni powszednie:
To chleb przeklęty, czuć od niego piekłem.
Spytaj Zabory — jeżeli nie zblednie,
To się pokaże, że kłamstwo wyrzekłem.

XXII.

Późną jesienią wracałem z podróży,
A był to wieczór i deszcz chłosnął duży;
Przez całą odzież, po twarzy, po ręku
Gdy zdrojem chłodna opłynęła woda,
Iskierka ognia błysnęła w okienku,
Dach się nasunął, — to była gospoda.
Gospody nasze, jak wszystkim wiadomo,
Klecone z bierwion, potrząśnięte słomą,
Nędzne postacią i dymem, i wrzaskiem,
Każą się we dnie omijać z daleka;
Ale w noc ciemną swych ogniów odblaskiem
Jakoś w podróży orzeźwiają człeka.
Jakoś ci głowa weselej zamarzy,
Jakbyś sam siebie odzyskał po stracie;
Bo zatęskniony do człowieczej twarzy
Chciałbyś rzec komuś: „Dobry wieczór, bracie!“
Cóż gdy na dworze ciemno, zawierucha,
A tutaj dobrem słówkiem się odezwą,
A lud zebrany rozprawia na trzeźwo,
A komin ciepłem ogniskiem wybucha?
Ni stąd ni zowąd chętka się nawinie
Przepędzić nocleg w ubogiej mieścinie.
W takiej gospodzie, choć do domu blizko,
Stanąłem tedy na noclegowisko.
Nie chcąc się nudzić w izdebce dla gości,
Wszedłem do izby kipiącej w rozgwarze;
Tam pili miodek jacyś ludzie prości,
Z dalekiej strony wiejscy gospodarze;

Siadłszy przy ogniu, co wesołość budzi,
Taki słyszałem rozhowor tych ludzi:

XXIII.

Bądź zdrów, Szymonie! Pij wesół Marcinie!
Tak... tak... starego paniska nam szkoda!
Gdzie się to stary obraca Łagoda?
Bóg raczy wiedzieć — ot marnie gdzieś zginie.
Widzisz!... odarli człeka do ostatka
I w świat puścili — aż strach, panie kumie!
Co jemu zagon i czynszowa chatka?
Wszakże on sochy udźwignąć nie umie;
A gdyby umiał, to tylko zastęka,
Nie jego siła, nie jego w tem ręka.
Co to? wiek cały przebył po szlachecku,
Jak tu przywyknąć w ubogiej chudobie?
A w lat sześćdziesiąt — to siły jak w dziecku,
Czuję to, kumie... czuję sam po sobie.
— Co to Szymonie! Bóg dobry i basta!
Przed nim nie uda kłamliwy potwarca.
Już dzięki Bogu i dziatwa podrasta,
Coraz pocieszy i wyręczy starca.
Niech tylko rękom powodzi się praca!
Niech będzie szczęśliw, kędy się obraca.
— Dziś, gdyby do nas zawitał na chwilę, —
Rzekł drugi wieśniak przyparty do ściany:
Swojego dworku, gdzie przeżył lat tyle,
Aniby poznał — takie tam odmiany!...
Prawda, że z nami bywa czasem kręto,
Za to Zabora wszędzie zysk wyciśnie,
Bo gospodarzy pięknie i korzystnie.
Ot nowe śpichrze budować zaczęto,
Nowemi gonty pokryto dom cały,
Morgują pola i kopią kanały.
Na przyszłą wiosnę zawiną się dzielnie:
Poczną pod wioską stawiać wietrzne młyny,
Budować z muru piętrowe gorzelnie.

Sprowadzą wielkie woły z Ukrainy,
Co orać będą i pracować latem,
W zimie sprzedane — grosz spłacą dukatem.
— Byłem — rzekł inszy — niedawno we dworze
Poprosić pana, by zwolnił od stróży.
Sam pan Zabora był w dobrym humorze,
Jął się przechwalać, że mu szczęście służy:
A co? powiadał, gospodarka tęga?
Niech sobie jęczy i krzyczy hołota,
Nie tak jak dawniej — stary niedołęga
Nie znał, że dworek to jabłko ze złota.
Bywało włościan żałuje i pieści,
I cóż mu wkońcu dopomogli chłopi?
Cóż tu zarobił przez latek trzydzieści?
Czeczotkę z lasu i torbę z konopi.
Ot i w tym roku u pana Łagody
Sto nędznych kopek zebrało się w gumnie;
Patrz, na rok przyszły ile będzie u mnie,
I bez modlitew, bez święconej wody!
On starożytnym zwyczajem narodu;
Poświęcał kłosy, a orał niedbale,
Latem przy żniwie więdniał na upale,
Sprzedawał za nic i umierał z głodu.
Ja się nie wdając w miłosierdzie Boże,
Pójdę o własnej gospodarskiej sile,
Pięć razy pole pod żyto poorzę,
A będzie chleba dziesięć razy tyle!
— Oj, chleb Zabory! oj chleb, panie bracie!
Niech Pan Bóg broni takiej gospodarki!
Mnie dano żyta ze dworu dwie miarki,
Ot i choroba zjawiła się w chacie.
Że już i końca nie wiedziałem lichu! —
Tak mówił Szymon, szeptając po cichu —
Naprzód zasłabła dziecina z kolebki,
Potem parobczak; a gdy ten się dźwignie,
Zaniemógł syn mój jak dębina krzepki,
Ot drugi tydzień jak leży w malignie,

Ja do doktorów — co tam doktorowie!
Jakiemiś proszki napróżno męczyli;
Ja do znachora — daj Boże mu zdrowie!
Całą chorobę odgadnął po chwili.
Może to z wiatru? pytam u znachora,
Może złe oczy? A broń Jezu Chryste!
Pewnie was chlebem nakarmił Zabora;
W tym chlebie duchy gnieżdżą się nieczyste.
Dajcie tu kęsek — ja zło wyprowadzę. —
A gdy go żegnać i szeptać coś pocznie,
To cóż powiecie? chleb sczerniał na sadzę,
Po nim robactwo pełzało widocznie.
Ho! znam się! znam się! przepadnij moc czarta!
Słuchaj, Szymonie, — tak mi znachor rzecze: —
To czyjaś własność niesłusznie wydarta,
A to robactwo, to są łzy człowiecze.
Nie bój się! zdrowie choremu powróci!
Lecz chleb ten spalcie do jednej okruchy,
Inaczej wszyscy będziecie zatruci,
Lub was nieczyste opanują duchy. —
Więc ja do miasta następnej Niedzieli,
Kupuję żyto i wiozę do młyna;
Przy nowym chlebie wszyscy pozdrowieli,
I syn mój biedny zwlekać się poczyna.
Tak Szymon gwarząc zdarzenie ciekawe,
Pokiwał głową i zapił tę sprawę.

XXIV.

— Słyszałem o tem — rzekł inszy z wieśniaków:
Mówiłem żonie, że zaklęte zboże;
Lecz ona prawi: Wszędzie chleb jednaków.
A gdzie ja wezmę, jeśli nie we dworze?
Na dwornem polu pracuje gromada
Od poniedziałku do samej soboty,
Człek nie ma czasu do swojej roboty,
Cóż więc dziwnego, że w polu przepada?
Jeśli jest jakie sumienie na świecie,

Niechże Zabora przekarmi nas przecię! —
Tak nierozważna mówiła kobieta,
Poszła do dworu i przyniosła zboże,
I wnet się do nas nieszczęście przypyta,
Jakaś niezgoda, dopuszczenie Boże.
Kobiety, dzieci, a nawet ja z bratem,
Pan Bóg wie za co, nuż kłótnie i swary;
Szatan się cieszył — a co idzie za tem,
Znikła zamożność i porządek stary.
Mówię do brata: Posłuchaj mię, Janku,
Niechaj się twoja nienawiść ostudzi,
Co to za korzyść kłótnia bez ustanku?
Obraza Boga i pośmiech u ludzi.
Więc się rozdzielmy. Rozdzielmy się, powie,
Wszakżeśmy bracia, nie jacyś wrogowie. —
Poszedł do dworu, wziął półwłocz pustoszy,
I nuż się dzielić — bo szatan rozpędza.
Był jakiś zapas dobytku i groszy,
Poszło na dwoje — u obudwóch nędza!
A przy podziale, gdyśmy oba ślepi,
Wedle zwyczaju chleb na pół złamali,
Mówiąc do siebie: Jak się chleb nie zlepi,
Tak my pospołu nie będziem żyć dalej...
To w kęsie chleba — czy dacie mi wiarę? —
Jakieś robactwo znalazło się szare!
Wtedy uczułem, że czegoś się boję,
Niedobrej wróżby — i wyszło na moje.
Przy spólnej pracy, za dawniejszej pory,
Człowiek się łatwiej nakarmił, przyodział;
Dziś my nędzarze! — a to chleb Zabory
Przywiódł do domu niezgodę i podział.

XXV.

— Ej, prawda! prawda! — rzekł parobczak młody:
W chlebie Zabory nieszczęście się chowa.
Ot zapomniałeś niedawnej przygody:
Pamiętasz Hannę? i piękna, i zdrowa,

W szesnastym roku — o Boże uchowaj!
Miała iść za mąż, cieszyła się, śmiała;
Pan miarkę żyta dał jej na korowaj.
Otoż nieboga w dzień ślubu skonała.
A tamten żebrak o drewnianej nodze!
Zdrów jakby ryba, choć staw do naboru.
Pamiętasz? z wioski powlókł się do dworu.
Dostał kęs chleba — i umarł na drodze.

XXVI.

— Znają dokoła Zaborzyńskie zboże; —
Znów mówił Szymon, nad czarką schylony.
Zabora w cudze posyła je strony,
Bo doma nigdzie wyprzedać nie może.
Tam nasze żyto okrzyczano wszędzie,
Tu w wielkiem mieście i znaku nie będzie.
Tu między ludźmi niezgód co niemiara,
Tu pełno śmierci, choroba się szerzy,
Tu ludzie mędrsi, a słabsza ich wiara,
W zaklęte ziarno tu nikt nie uwierzy.
Nie tak jak w naszem miasteczku targowem!
Onegdaj kupiec spotkał mię znajomy,
Dawaj gawędzić to o tem, to o owem,
O urodzajach i ziarna, i słomy.
— No! — mówił do mnie — niech ja marnie zginę!
Dziwnego pana wy jesteście chłopi:
Garść jego zboża sypnij na wicinę.
Pewno się cała wicina zatopi.
Zdaje się rządny, gospodarz wyborny,
Lecz z nim handlować nikomu nie radzę:
Ciężki na rękę, grosz jego niesporny,
Musi mieć serce powalane w sadzę! —
O! panie bracie, mają rozum żydzi,
Zdaje się prostak, a jak rzeczy widzi!

XXVII.

Taką gawędę słyszałem w gospodzie,
I takem sobie rozmyślał w podróży:

Czemu kęs chleba, wydarty Łagodzie,
Zdrowiu ludzkiemu i szczęściu nie służy?
Czemu, gdy w jakim ukaże się domu,
Kłótnię, chorobę lub śmierć niesie komu?
Za co niewinnym trzeba karę znosić,
Jeżeli żyją u Boga w zasłudze?
Czy własnych grzechów na duszy nie dosyć,
Aby opłacać przewinienia cudze?
Czemu Zabora wesoły, bogaty?
Czemu tak bujnie wyrasta mu niwa?
A biedny rolnik z wyrobniczej chaty,
Jedząc chleb jego, nieszczęście spożywa?
Ja w mojej głowie tego nie wyjaśnię...
Karczemne baśnie — nic więcej, jak baśnie!

XXVIII.

Widziałem w mieście, jak kupcy ciekawi
Zboże Zabory chciwie obstąpili;
I myślę w duchu: Czyliż od tej chwili
Więcej tu cierpień i niezgód się zjawi?
Ale zrządzeniem tajemniczej Ręki
Sąsiedni piekarz jedną furę bierze,
Wypiekł na chleby — wziąłem dwa bochenki,
I chleb zaklęty jadłem na wieczerzę.
A Pan Bóg, karząc Swej woli bluźniercę,
Łoże niemocy zgotować mi każe,
A ten, dla kogo niosłem bratnie serce,
Bolesne na mnie jął ciskać potwarze,
I chleb, nieczystą pokalany siłą,
Krwawemi łzami oblać przychodziło.

XXIX.

Dziwne są drogi Opatrzności Bożej,
Gdy grzechy chłoszcze, a zasługę płaci!
A my zuchwali bluźnimy najsrożej.
Cierpim za naszych ojców i spółbraci:
Może w ten sposób miłosierna rada
I nasze winy na ludzkość rozkłada,

By grzechów świata zgładzić szereg długi
Spólnem cierpieniem, spólnemi zasługi?
Czy może, pełniąc za bliźnich ofiarę,
Własnej zasługi dopełniamy miarę?
Bóg raczy wiedzieć — ale zawsze biada:
Bo obcy ciężar wziął na Swoje ramię,
Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,
Kto z jego ręki kęs chleba rozłamie,
Bo tutaj każda płaci się okrucha
Boleścią ciała lub spokojem ducha.
Czy pan Zabora, gdy oko zamruża,
Ma sen spokojny? czy go co przepłasza?
Spytaj się o to u Anioła Stróża,
Jemu wiadomo — a to rzecz nie nasza.
Lecz strzeż się chleba wydartego zdradnie,
Nie bierz, gdy pieniądz Zabora ci poda:
Boć najniewinniej na głowę upadnie
Ciężka łez kropla, co wylał Łagoda.

Listopad 1854. Wilno.

FRAGMENTA
O FILIPIE Z KONOPI.
Z NOTATY NA OKŁADCE STAREGO KALENDARZA SPISANE RYTMEM.

FRAGMENT I.

Niechaj grecki Homerus albo rzymski Maro
Kleci o Trojańszczyźnie epopeję starą;
Niech Tasso głosi dzieje Krzyżowców pałasza,
Milton raj odzyskiwa, Baka śmierć ogłasza,
Niech jeden gra na lutni, drugi na multance,
Wszak krainy rymowej bezbrzeżne są krańce.
Niech każdy nowe rzeczy jakby z rogu sypie,
Ja zaśpiewam o sławnym z Konopi Filipie.
Muzo! (czy jak inaczej dziś twoje nazwisko)

Gdy się nadto rozpędzę, bądź koło mnie blizko,
Gdy się głowa zamarzy, gdy serce zapała,
I kiedy bredzić pocznę, — niech twa rączka biała
Wodą z kastalskich źródeł głowę mi pokropi,
Ażebym się nie wyrwał jak Filip z Konopi!
Przed trzemaset latami, gdzie podolskie łany,
Był cichy dwór szlachecki, Konopie nazwany,
Czy od panów Konopków, co go założyli,
Czy od gęstych konopi, co może z pół mili
Ciągnęły się przy dworku — a że grunt niepodły,
Wyrastały wysoko niby leśne jodły,
Miały liście szerokie, miały kity duże.
Tyle o dawnym dworku i nomenklaturze;
Dość, że jego panowie, ilem zebrał śladów,
Pisali się z Konopi z dziadów i pradziadów.
Tam, w dniu pierwszego maja, na posłaniu grubem,
W dzień świętych Apostołów Filipa z Jakóbem,
Roku, co się od dawna w mgle przeszłości topi,
Wyrwał się z łona matki Pan Filip z Konopi.
Popatrzał na świat Boży i zacisnął pięście,
I skrzywił się, jak gdyby zobaczył nieszczęście,
I wrzasnął w niebogłosy na nutę sierocą,
Jakby pytał z boleścią: A jaż tutaj poco?
I długo hałasował na kształt wojewody,
Co, przybywszy w podróży do nędznej gospody,
Złorzeczy gospodarzom, aż trzęsą się ściany:
Dlaczego tutaj pałac nie wybudowany?
Musiał wreszcie pomyśleć: Cóż po tym zapędzie?
Gdy nie można inaczej, niechaj i tak będzie!
Wydał jakieś jęczenie albo uśmiech głuchy,
I usnął zawinięty w matczyne pieluchy.
W tydzień zebrano gości, jak się zwykle zdarza,
Młodzian ochrzcon Filipem wedle kalendarza,
I łaskawi sąsiedzi popili się zdrowi,
Życząc dobrych sukcesów panu Filipowi...

. . . .

FRAGMENT II.

Bogdajby to na świecie być takim jak drudzy!
Stateczni obyczaju i zwyczaju słudzy,
Których myśli nie idą jakąś dziwną drogą,
Lecz na ubitych ścieżkach utrzymać się mogą,
Tacy nie będą nigdy samotnymi w tłumie,
Oni świat zrozumieją, a świat ich zrozumie.
Zdarza się inszy człowiek, istny pieszczoch Boży,
Któremu gdy myśl nową Pan do serca włoży,
Naprzód w czasie i miejscu trafnie go ośmieli,
I ludzi usposobi, by go zrozumieli;
A wtedy słowa jego umysły ogarną,
I pięknego zasiewu posypie się ziarno.
Lecz znowu się zdarzają pomiędzy tysiącem
Ludzie z szaloną głową a sercem gorącem,
Co, nie bacząc, gdzie mówią lub mówią do kogo,
Przekonań swego serca powstrzymać nie mogą.
Niedość silny, by zwalić starą postać rzeczy,
Taki człek wszystko zbija, wszystkiemu zaprzeczy;
W namiętności społeczne, burzą rozpędzone,
Dmucha jak przeciw wiatru, by w inszą wiał stronę;
Napróżno z całej siły zbiera w sobie ducha,
Biedne piersi mu pękną, a nic nie wydmucha!
A śmiechuż będzie, śmiechu z biednego szaleńca!
Gawiedź palcem wskazuje, przechodzień się znęca:
Słyszycie, co on roi? patrzcie, kędy tropi!
Filip z Konopi!...

. . . .

FRAGMENT III.

U Ojców Jezuitów, w miasteczku Ostrogu,
Uczył się młody Filip służyć Panu Bogu,
Mówić mądrą łaciną, czytać rzymskie prawa,
Słowem — tego wszystkiego, co szlachcie przystawa.
Tam poczęli mistrzowie poznawać go ściślej:
Myśli bywało... myśli... i nic nie wymyśli;

Do nauk brał się nieźle, lecz widzą ojcowie,
Że gdy o co zapyta lub myśl jaką powie,
Tak mu się coś nie wiedzie wpośród szkolnej rzeszy,
Że lub zgorszy bluźnierstwem, lub głupstwem rozśmieszy!
A że był drobny wzrostem i wielce ruchawy,
To bywało aż skoczy ze studenckiej ławy,
Wybieży w środek szkoły i gada, i gada,
I rękoma wywija, aż trąca sąsiada,
A oczy aż się iskrzą — taki w mowie zapał;
Koniec końców — rozśmieszył albo plagi złapał.
Na przykład: Ksiądz Retoryk raz uczył swe ucznie,
Jak trzeba pięknym stylem wysłowiać się sztucznie,
A wtedy rej łacina wiodła w polskiej mowie,
I wielce byli w modzie Olimpu bogowie,
Więc mówił ksiądz Retoryk: Trzeba zażyć pracy,
A nie gadać po polsku, jak mówią prostacy,
Ale umieć łacinę i przypiąć co chwila
Sententionem z Flakka lub wierszyk z Wirgila,
Peryody układać okrągłej budowy:
To jest właściwe *signum* eleganckiej mowy.
  Powtóre... uważajcie... że mówię: powtóre!
Conticuere omnes! podnieść uszy w górę!
Otóż tedy, *powtóre*: niechaj w twojej mowie
Najczęściej olimpijscy panują bogowie.
Zamiast mówić: ktoś *mądry*, dobry do *porady*,
Nazwij go oblubieńcem bogini *Pallady*;
Nie powiadaj: *człek mężny*, bo tak mówią prości,
Lecz powiedz, że jest pełen *marsowej* dzielności;
O kwiatach trzeba mówić, że to dzieci *Flory*,
Zboże zaś w pięknej mowie to *Cerery* zbiory;
Na jabłko, nie mów: *jabłko*, lecz owoc *Pomony*.
A tak wszyscy poznają, żeś człek wyuczony!
  Filip na szkolnej ławie dosiedzieć nie może:
Nie! — krzyknął — nie masz zgody, księże profesorze!
Jeden Bóg stworzył kłosy, i jabłka, i kwiaty,
Na co tu Ceres, Flora, bóstwa starej daty?
Wszak Pan Bóg zakazuje wzywać bogi cudze!

A że słynie ktoś mężnym w krajowej posłudze,
I jeżeli konieczna retoryka taka,
To już lepiej Tarnowskim nazywać wojaka,
Najlepiej bohaterem nazwać bohatera!
 Ksiądz Retoryk brwi zmarszczył, jak Jowisz Homera
A mszcząc się uchybienia mistrzowskiej powagi,
Skinął na starszych uczniów — i Filip wziął plagi.
A srogich bóstw Olimpu niewinna ofiara,
Gdy po ciężkiej przestrodze pocieszyć się stara,
Każdy nóż naigrawania do serca mu topi:
 Nie wyrywaj się więcej, Filipie z Konopi!
 Drugi raz w Wielki Piątek jezuickie żaki,
Aby dać pobożności gorliwej oznaki,
Więc za to, że Żydowie umęczyli Boga,
Chciały wygrzmotać kijami rabina z Ostroga.
Hurmem tedy pobiegły ku jego gospodzie
(Takowe nabożeństwa były wtedy w modzie).
Dalej tłoczyć się, krzycząc wokoło siedziby,
Zaświstały kamienie, zabrzęknęły szyby,
Wysypał się rój Żydów w hałaśliwej tłuszczy,
Ktoś jeden, potem drugi do bitwy poduszczy,
I dwa groźne obozy skupiły się z blizka,
Każdy złorzeczeniami i kamieńmi ciska;
Pogruchotano kije — zwarto bój na pięści,
A żakom jezuickim snadź Bellona szczęści:
Bo tamtych większa liczba, tych męstwem ośmiela.
Pokonały wrzaskliwe hufce Izraela;
Krew nawet popłynęła — już starsi przypadli.
Pienią się zapaśnicy, biją się zajadli.
Wtem, gdzie bitwa najsroższa, gdzie najgęstsze ciosy,
Wpadł Filip, z cycerońska krzycząc w niebogłosy:
 Stójcie, bracia! co widzę? cóż to w waszej głowie?
Wszak Chrystusa męczyli ich dawni przodkowie!
Cóż oni temu winni? Swawole! swawole!
Na bezbronnych!... na słabych!... O! ja nie pozwolę!
 I wpadł w środek motłochu — a tam kupy wrzące
Nuż tedy grzmotać pięśćmi swojego obrońcę:

Bo tego, co on gadał, żaden nie dosłyszy,
Mniemali, że zachęcał swoich towarzyszy.
Zwijał się biedny Filip, padł na ziemię twarzą,
I gdyby nie starosta z ratuszową strażą,
Co przyszedł spędzić motłoch, pewnie dałby gardła,
Tak się zawziętość judzka na niego wywarła.
Został jeden na placu — pierzchli towarzysze;
A ksiądz Rektor, nadszedłszy, co widzi, to pisze:
Więc jako naczelnika ulicznej swawole,
Znów skazał na przykładne ukaranie w szkole.
A co tam było żartów! a śmiechów bez końca,
Że to wódz Izraela, że Żydów obrońca!
Biedny Filip z Konopi! za dobre zamiary,
Że się wyrwał nie w porę, aż trzy odniósł kary!...
. . . .

FRAGMENT IV.

Czyż wam dalsze przygody Filipa powtórzę?
Nie spisaćby ich wszystkich na wołowej skórze.
Wyszedłszy na młodziana, pracuje jak może,
Bo służył i rycersko, i na pańskim dworze.
Zawsze mu się nieszczęście jak z rękawa sypie:
Nie wyrywaj się naprzód! dobrze ci Filipie!
Czyń, jako czynią drudzy, wierz, jak każdy wierzy! —
Tak mu często radzili towarzysze szczerzy;
Ale niełatwa rada, kto nieszczęścia dziecię,
Kto Filipem z Konopi zrodzon na tym świecie.
Kiedy trąba bojowa na wojnie zazgrzyta,
On wyrywa się naprzód i pali z kopyta,
Nie bacząc, gdzie jest odsiecz — czy koledzy biegą,
Wrąbie się w środek hufca nieprzyjacielskiego;
Nim nadbieży szczęśliwa pomoc od współbraci,
Zawsze gęstemi rany swą płochość przypłaci,
A jeszcze mu nałaje obozowa władza,
Że im szyki pomieszał, że w planach przeszkadza.

Gdy insi brali łupy lub wojny honory,
On nigdy się nie stawił, bo zawżdy był chory;
Wtenczas, gdy pole bitwy hojnie krwią pokropi,
Wyrywał się z chorobą, jak Filip z Konopi.
Raz z hufcy tatarskiemi jak lew szedł w zawody,
Pan chorąży przedstawić miał go do nagrody;
Lecz Filip, jak mu często pomylić się zdarza,
Zaskarżył chorążego do regimentarza.
Skarga była prawdziwa, jak to wiedzieć możem,
Lecz chorąży przez zemstę mianował go tchórzem,
Zaświadczył, że go znalazł za wojskiem na ziemi,
(A pan Filip w tej chwili czuwał nad rannemi).
Wyrwał się biedny Filip jak raz w samą porę,
Zaskarżać naczelnika, opatrywać chore!
Służył, rzuciwszy wojsko, u dworskich podwoi.
Pan mówi: Bracia szlachta, przyjaciele moi,
Na sejmiku zakrzyczeć, niepozwolić całkiem,
Aby skarbnik piltyński był u nas marszałkiem.
Ja dzisiaj waszych wotów domagam się prosto
Za moim przyjacielem, rzeczyckim starostą!
Tedy krzyczą dworzany, szlachta zaściankowa:
Niechaj żyje starosta! niech skarbnik się schowa!
Kto nas dziś przekreskuje, jesteśmy ciekawi!
A kto inaczej trzyma, z nami się rozprawi!
— Jakto! czy my nie szlachta? czy poddani chłopi? —
Zawołał wielkim głosem pan Filip z Konopi: —
Prawda, żem na twym chlebie, mości wojewodo!
Ale mnie na sejmiku wyższe względy wiodą.
Syn Rzeczypospolitej, znam krajowe prawa,
I za tym podam kreskę, kto lepszym się zdawa.
Pan skarbnik ma i serce, i głowę nielada,
Toć jemu marszałkować sejmikiem wypada.
Choć mi szyję zetnijcie, póki serce żywe,
Ja dla pana starosty rzucę negatywę:
Tak mi każe sumienie! — Więc po takiej sprawce,
Pan go wygnał ze dworu, a dworscy szubrawce
Urągali się nad nim, że ma zmysły chore,

Że się wyrwał ze sumieniem jak raz w samą porę,
Istny Filip z Konopi!
Więc głodno i pieszo
Spieszył Filip na sejmik, kędy wszyscy spieszą;
Przekrzyczał, przekreskował i do tyla sprostał,
Że marszałkiem pan skarbnik piltyński pozostał.
Ale skarbnik piltyński, nic tego nie świadom,
Kiedy ucztę dziękczynną wydawał sąsiadom,
Kiedy szlachtę po uczcie hojnie winem kropi,
Nie zaprosił na obiad Filipa z Konopi.
Filip tedy w gospodzie ochoty zażywa,
Zajada kawał chleba, pije szklankę piwa;
A choć w duchu był wesół, lecz drudzy się śmieli,
Że porzucił sztandary dworskiej klienteli.
I dlaczegoż porzucił? że jak Filip czysto
Wyrwał się w samą porę ze sprawą ojczystą!
Ze śmiechu poszła bitwa — dzięki szerpentynie,
Dostał kreskę przez wąsy, krew z czoła mu płynie;
Więc złorzecząc sejmikom, w nędznej alternacie
Osiadł Filip z Konopi w rodzicielskiej chacie...

. . . .

FRAGMENT V.

Do chaty, jak wiadomo, trzeba gospodyni;
Więc objeżdża sąsiady i konkury czyni.
Choć srodze poraniony, chociaż niebogaty,
Dobrą mu niespodziankę naraiły swaty.
Była panna posażna z domu Doliwitów,
Skojarzenie i piękne a pełne zaszczytów.
A dziewczę takie hoże, takie raźne, słyszę,
Że mu szczerze radzili dobrzy towarzysze:
Bo dwór pana Filipa podupadał znacznie,
Bo on sprawę domową zaniedbał niebacznie.
A z owej konjunktury w małżeńskie ogniwa
Na szlachecką chudobę grosz i zaszczyt spływa.
Więc starym obyczajem poczęto konkury:

Można było sukcesa przewidywać z góry:
Pan ojciec krew żołnierską spodobał w Filipie.
Pani matka za skromność pochwały mu sypie.
Tylko bieda z dziewczyną — widział jak na dłoni,
Że się widocznie lęka, że widocznie stroni,
Że siedzi zadumana, pokryjomu wzdycha,
Smutnie główką pokiwa i łzę otrze z cicha.
Przykro patrzał pan Filip na ten znak niemiły,
Bo jej oczy nie żartem do serca się wpiły.
Może kocha innego — pan Filip się biedzi.
 Nie uważajcie na to! — cieszą go sąsiedzi —
Alboż to młode dziewczę jest panią swej woli?
Alboż może folgować swemu sercu gwoli?
Wypłacze się, przetęskni i z wesołą twarzą
Z tym pójdzie do ołtarza, z kim rodzice każą.
Zresztą, gdyby ten środek zdał się za surowy,
To można spowiednika użyć do namowy.
Wszak na tem Polska stoi!
 Wstydź się, panie bracie!
Czyż sercu człowieczemu już woli nie dacie?
Czyż mam młodą małżonkę zakowywać sidły?
Gwałtem porywać brankę, jak Tatar obrzydły?
Razem rękę i serce! inaczej nie biorę!
 Ot i z sercem wyskoczył jak raz w samą porę!
Ale trudno poradzić, gdy się głowa stropi.
 Upamiętaj się waszmość, Filipie z Konopi! —
Tak go sąsiad ofuknie: Czas w głowie mieć olej!
Wybrałbyś piękny posag, niż te brednie, wolej.
Majątek ubożeje, idą stare latka:
Bierz co daje fortuna, i ojciec i matka!
 Radzono, by się zaraz oświadczył z amory;
Ale Filip z Konopi, w tych rzeczach nieskory,
Chciał zjednać serce dziewki: nieznacznie... nieznacznie,
Już się do niej przybliża, już z nią szeptać zacznie;
A szepcą tajemniczo... coś w głowach się marzy;
Ona poweselała, on zesmutniał w twarzy.
To jedynie przyjaciół pocieszało trocha.

Że para młodych ludzi widocznie się kocha.
Całe dni z sobą razem i wieczory razem,
Pan Filip z tajemniczym coś szepce wyrazem,
Przytłumione westchnienia znać po nim co chwila,
A ona wdzięcznem okiem k'niemu się przymila.
Czasem łzą oblanemi pożegna oczyma,
I wyjeżdża z jej domu — dni kilka go niema;
Ale dokąd i poco wymyka się zdradnie?
Tego nawet najbliższy przyjaciel nie zgadnie.
Raz powrócił k'bogdance z niebytności długiej,
Z nim przybył nieznajomy jakiś młodzian drugi;
I pan Filip na stronę ojca, matkę bierze,
Snadź już o rękę córki oświadcza się szczerze.
Tak szepcą przyjaciele, radzi w głębi ducha,
Że nakoniec natchnienia rozumu posłucha.
Coś długo z rodzicami ciągnie się narada,
A dziewczę to kraśnieje, to jak chusta blada.
Wyszli wreszcie — a Filip z obliczem radości
Zbliżył się do młodziana, co przybył z nim w gości,
Zbliżył się do dziewicy — i rękę im poda:
Teraz do nóg rodzicom! do nóg paro młoda!
Rodzice zezwolili!! Więc owi przelękli,
Do nóg ojca i matki nieśmiało uklękli.
A gdy ci błogosławią: Połączcie się zdrowi!
Oni upadli do nóg panu Filipowi
Tyś anioł dwojga ludzi!!... dobroczyńca miły!
Aż się usta sąsiadów z dziwu otworzyły,
I rzecz stała się jasna, jak żaden nie marzy:
Że Filip widząc smutek na dziewiczej twarzy,
Zbliżył się do niej szczerze, poznał niespodzianie,
Że się kocha w ubogim, lecz zacnym młodzianie,
Że ojciec na ten związek zezwolić nie raczy,
Że ona Filipowi da rękę... z rozpaczy...
Lecz to będzie ofiara — bolesna, straszliwa!...
Więc się Filip z dziwacznym konceptem wyrywa:
Choć bolało go serce, choć kochał nad życie,
Poprzysiągł uszanować to uczuć odkrycie,

I za dwojgiem kochanków, tejże samej chwili,
Wstawiał się do rodziców, którzy go lubili.
Nim upór pana ojca przełamał ognisty,
On przewoził kochankom ukłony i listy.
I póty prosi, błaga, intrygę kojarzy,
Aż na związek serc czułych zezwolili starzy.
I jakże wyszedł na tem. Żal się Panie Boże!
Stracił bogaty posag, stracił dziewczę hoże!
Nie żal go, że cichaczem twarz łzami pokropi:
Bo się wyrwał w swatowstwo, jak Filip z Konopi.
. . . .

FRAGMENT VI.

Tedy Filip, zraniony na ciele i duszy,
Już w domu zamieszkawszy, rzadko gdzie wyruszy;
Przywiązał się do pola, do łąki, do wioski,
I w pracy swe bolesne zagrzebywał troski,
Ugaszczał dobrych ludzi, uszczęśliwiał kmiotka,
Odżyła nowem życiem domowa zagrodka.
Sąsiedzi go lubili i estymowali.
— Lubo dziwak — mówiono — choć mu mózg się pali,
Ale serce poczciwe w pracy się nie nuży, —
Trzeba o tem pomyśleć, niech rodakom służy!
Tak mówili życzliwi współobywatele,
A właśnie, że ku temu i zręczność się ściele:
Bo przyszła wić królewska do wszystkich powiatów,
Aby na sejm grodzieński wysłać deputatów.
Więc zgromadził się sejmik w powiatowem mieście,
Zjechało się i panów, i szlachty ze dwieście.
Tego, owego wybrać... ktoś krzyknął w zapędzie:
Niech pan Filip z Konopi naszym posłem bedzie!
Z ust do ust gdy się braciom jego imię poda,
Przyjęto na rozwagę — i stanęła zgoda.
Tak tedy, choć się w żadne urzędy nie ciśnie,
Został wybrany posłem prawie jednomyślnie.
Wdzięczen za miłość bratnią, za tyle okrzyków,
Wydał braterską ucztę dla swych powietników.

Gdzie potężnym kielichem pijąc bratnie zdrowie,
Zawołał uroczyście: Hej, mości panowie!
Niech żyje bracia szlachta! bohaterskie plemię,
Filar złotej swobody tej sarmackiej ziemie!
—Wiwat szlachta!—ktoś krzyknął powtóre, po trzecie:
Niemasz stanu, jak szlachta, niemasz w całym świecie,
Ona jedynie godna zaszczytów, swobody!
— Mylisz się! — krzyknął Filip — na to niema zgody!
Bo jest w Polsce stan inszy — chociaż nie herbowni,
Muszą stanąć ze szlachtą i staną na równi!
— Co waść gadasz, mospanie Filipie z Konopi?
Któż to równy ze szlachtą?...
— Któż to równy? — chłopi! —
Zawołał groźnym głosem, iskrząc się oczyma: —
Których Rzeczpospolita w poniżeniu trzyma.
Kiedy my bronim granic, mościwy kolego,
Oni nam chleb gotują, naszej dziatwy strzegą.
Tam, gdzie ziemię rolniczą stworzyły Niebiosa,
Wart najlepszego herbu ich topór i kosa.
Waść niby człek rycerski — a pożal się Boże!
Szabla ci zardzewiała od pradziada może.
A patrzaj na ich pługi — czyż nie więcej warte?
Jak się błyszczą, codziennem użyciem wytarte!
Oni w swojej dostojnej a skromnej postawie
Lepiej się zasłużyli niż my, w naszej sprawie:
Warci równości z nami!... Dziś, gdym ziemskim posłem,
Patrzajcie, jaki projekt do sejmu przyniosłem:
Oto moja najpierwsza kmiotków zapomoga!
Równość w obliczu prawa, jak w obliczu Boga,
Jeden Statut dla wszystkich, zobopólna rada,
Miejsce w Izbie poselskiej, gdzie szlachta zasiada.
Patrzcie, mości panowie! czysty zysk w tym względzie!
Ileż głów zdrowej rady krajowi przybędzie!
Ile serc nieskalanych! a na ich oświatę
Wszak mamy Jezuitów kollegia bogate.
Toż w Rzeczypospolitej niedziwna nowina,
Daj mu miejsce, szlachcicu, obok twego syna!

Płać podatek do skarbu, jak i kmiotek płaci!
Szlachtę nazywasz bracią, miejże tych za braci!
Ja piję zdrowie kmiotków! hej! kto ze mną pije?
Krzyczał Filip z Konopi, wyciągnąwszy szyję,
I w serdecznym zapale ducha gorącości,
Pełny kielich tokaju wyciągał do gości.
Ale szlachta zgorszona zrywa się od stołu,
I sto głosów gniewliwych zawrzało pospołu:
— Co! mój herb Paparona przyrównać do cepa!
— Co to! szlachta mniej warta niśli gawiedź ślepa!
— Co to! chłop z moim synem ma siadywać w szkole!
— Co to! ja na podatek od szlachty pozwolę?
— Piękny poseł! na sejmie stan szlachecki zgłuszy!
Hejże, mości panowie! a obciąć mu uszy!!
I sto spojrzeń Filipa przebodło surowo,
I sto szabel zabłysło nad niebaczną głową,
I każda, jedna ostrzem, druga płazem, kropi.
Zatoczył się skrwawiony pan Filip z Konopi,
Chciał dobyć karabeli — lecz padłszy jak długi,
Wywrócił stół z puhary. — Krew i wina strugi
Pociekły po podłodze, szkła w powietrze lecą...
A gdy się zapęd szlachty uspokoił nieco,
Wywleczono z pod stołu, jak gdyby złoczyńcę,
Zrąbanego do kości, zbitego na sińce.
Ten widok jakoś szlachtę do żalu poruszy:
Ocucono Filipa, dopytano duszy,
Dali nieco pomocy i nieco pociechy,
I zawieźli Łazarza pod domowe strzechy.
Dobrze mu! jak nie wiedzieć, że los taki spotka,
Kiedy szlachtę porówna do podłego kmiotka?...
. . . .

FRAGMENT VII.

Łoże jego choroby — to łoże żebracze:
Myślicie, że ktoś czuwa, że ktoś nad nim płacze?
Ani żywego ducha! Pan Filip w swej dumie

Wyrwał się przed lekarzem, że leczyć nie umie,
Że trzeba inszym kształtem opatrywać rany;
Zagniewał się na niego lekarz zawołany
I opuścił nędzarza na łożu niemocy.
Potem Filip z Konopi wyrwał się jak z procy
Dowodzić przed plebanem, kutym Teologiem,
Że wszyscy chrześcijanie równi są przed Bogiem,
Że grzech brać dziesięcinę od ubogiej włości,
Że nie każdy zbawiony, kto Suchedni pości.
Księdzu aż uszy więdły na takie gadanie,
Powiedział, że tu noga jego nie postanie,
I dopełnił, co przyrzekł. A tu przyszła nędza:
Grosz mozolnie zebrany grosza nie dopędza,
I dworek opustoszał, i grunta w bezładzie,
A musi trzos mieć pełny, kto się w łóżko kładzie,
Nie stało i na plastry w szlacheckiej chudobie.
Tak przejęczał rok cały, złorzecząc sam sobie.
W rany weszła gangrena — a głód wnętrze wierci,
Aż po długiem konaniu doczekał się śmierci.
A kiedy dziad kościelny gromnicę mu poda,
Wyrwał się z narzekaniem, że mu życia szkoda.
Boże, Boże! tak marnie sterawszy swe lata,
Tylko Filip z Konopi mógł żałować świata!...

ZAKOŃCZENIE.

I nikt z żyjących ludzi po panu Filipie
Nie płakał na pogrzebie, nie wypił na stypie;
Nikt mu pochwalnych liter nie wyrył na grobie,
A kurhanek piasczysty — rozsypał się sobie.
Śpi Filip, nim się na sąd straszliwy obudzi,
A pamięć jego życia w pośmiewisku ludzi:
Kto się wyrwie nie k'rzeczy, kto się w mowie stropi,
Dotąd go nazywają Filipem z Konopi.
Ktoś świadom życia jego, albo nawet świadek,
Czystych na kalendarzu dopadłszy okładek,
Wzorem owego czasu, z polska po łacinie,

Zapisał te przygody, co podaję ninie.
Jam dopadł tej rzadkości — i legendę całą
Ubrał w sukienkę rytmu, jak mi się udało;
Niekłamanym afektem służę ci, jak mogę,
Czerpaj stąd, czytelniku, zbawienną przestrogę.

Choć się uczucie w pierci, myśl do głowy cieśni,
Choćbyś jaśniej przeglądał, niż twoi spółcześni,
Nie spiesz się — moja rada — mówić do słuchaczy,
Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczy.
Nie idź za gorącemi twej duszy popędy;
Co ci korzyść przynosi, dopatruj się wszędy,
A serce miej zamknięte, chociaż twarz otwartą;
Nim się na coś poświęcisz, rozważaj: czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie, i w słowie,
Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata:
Krew, łzy i pośmiewisko — taka ich zapłata.

1854. Wilno (dom Müllera).

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

GAWĘDA.

I.

Panie Jakóbie! ot jeszcze do pary
Powiem waszmości jeden koncept stary,
Skąd się przysłowie rozeszło powoli,
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.
Ot u nas, widzisz, jest ludzi gromada,
Co to, jak mówią, na dwóch stołkach siada,
Co przez zbyteczną usłużność gotowi
Dać świeczkę Bogu, a dwie szatanowi.
Szatan, łakomy na światło jarzące,
Najpierwej takich pochwytuje w ręce.
I za dwubarwne a niepewne zdanie

Tęgiego figla płata niespodzianie.
Posłuchaj waszmość.
Pod krzyżem przy drodze
Siadywał żebrak o drewnianej nodze;
Miewał przy sobie, jak zwykle żebracy,
Różaniec, stołek, krucyfiks na tacy,
Stare kantyczki, dwie torby, dwa kije,
I drżącym głosem śpiewał Litanie.
A tam gościniec trawą nie zarasta:
Jedni do miasta, drudzy idą z miasta;
A żebrak rodem z tej samej krainy,
Znał tu każdego z postaci i z miny,
Starych i młodych, niewiasty i dzieci,
Panów i żydów, i mieszczan, i kmieci,
Wiedział kto dobry, a kto jest ladaco;
Ale przed każdym pobrząkiwał tacą,
Każdemu śpiewał piosnę jednej miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!“

II.

A nasza próżność to już rzecz wiadoma:
Nazwie marszałkiem pana ekonoma,
Albo szlachcica panem wojewodą,
Albo dziewczynę kwiatkiem czy jagodą,
Wójtem wieśniaka, kapralem żołnierza,
A trzygroszówki lecą do talerza,
I w jego sakwach gromadzi się żywo
I chleb miastowy, i wiejskie mięsiwo.
Jeszcze tu żebrak nie nagrzeszył dużo,
Gdy nazwał dziewczę jagodą lub różą;
Gorzej mu nieraz pobłądzić się zdarza,
Gdy zacnym panem nazywał zbrodniarza,
Tchórza rycerzem, dzwonnika plebanem,
A samoluba miłosiernym panem.
Wiedział to żebrak, bo znał swe sąsiady;
Lecz myślał sobie: Niema inszej rady,
Trzeba się modlić i po tacy dzwonić,

Kto wart, czy nie wart, nizko się pokłonić,
I wzniósłszy oczy powtarzać bez miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!"

III.

Raz ksiądz Bernardyn, idący po kweście,
Rzekł do żebraka: Niesłuszni jesteście;
Bo nie każdemu i nie w każdej porze
Godzi się mówić: Niech ci Bóg pomoże!
Wszak tutaj różny snuje się przechodzień,
Może zły człowiek, może jaki zbrodzień,
Co złe zamysły w swojem sercu chowa
Czyż za każdego modła jednakowa?
Wszak jeśli Pan Bóg spełni twoje modły,
To niewinnego pokrzywdzi człek podły,
Oszust prostaka otumani zdradnie,
Zbójca rozbije, a złodziej okradnie.
Nie możesz wiedzieć, co każdy z nich myśli,
Więc z twemi słowy rachując się ściślej,
Nie mów każdemu, przyjacielu stary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!"
Radzę ci mówić sumienniej i prawiej:
„Dobrym zamysłom niech Bóg błogosławi!"

IV.

A! mości księże! co mi tam do tego,
Z jakim zamysłem i gdzie ludzie biegą
Czy sprawa dobra? czy niesprawiedliwa?
Ja jestem żebrak, mnie trzeba grosiwa.
Niech złodziej kradnie, rozbójnik zabija,
Ja mojej sakwy, ja pilnuję kija.
Ja z modlitwami każdemu usłużny,
Kto mi da chleba, albo grosz jałmużny.
Na to ubogi, że Majestat błaga:
Niechaj każdemu Pan Bóg dopomaga!
Przebacz, co powiem: To skrupuły głupie!
Grosz na tabakę daj, księże Biskupie!

A jak tam sobie będziesz żył w klasztorze,
Mniejsza mi o to — niech ci Bóg pomoże!

V.

Ksiądz kwestarz westchnął na taką ślepotę,
Rzucił starcowi na tacę dwa złote,
A żebrak dalej w rzemiosło nędzarza,
Ludziom pochlebia, a Boga obraża!
Były to czasy sudermańskiej wojny,
Wszędy po kraju snuł się żołnierz zbrojny,
Ci za Zygmuntem, ci przeciw Zygmunta,
Ci palą wioski, ci pustoszą grunta,
Ci bronią kraju, a o drugich pisze,
Że w pierś ojczyzny wbijają bardysze;
A żebrak widzi, jak tam wioski gorą,
Jednak żołnierstwu kłania się z pokorą.
Trzeba napełniać moją sakwę biedną,
Czy Szwed, czy Zygmunt, to mi wszystko jedno,
Moja ojczyzna krzyżyk i rozdroże,
„Niechaj im wszystkim Pan Bóg dopomoże!“

VI.

Gdy Szwedzi idą palić nasze sioła,
Żebrak się kłania, o jałmużnę woła,
A gdy jałmużnę na tacę położą,
On pomoc dla nich przywoływa Bożą.
A kiedy Szwedów pokonywać spieszy
Pułk petyhorski, pancerny lub pieszy,
Znów żebrak bije pokłony usłużne:
Dajcie, rycerze, biednemu jałmużnę!
Niech w waszych piersiach krzepi się odwaga,
Niech waszym włóczniom Pan Bóg dopomaga!
A tak, czy Szwedzi, czy idą Sarmaci,
Każdy za modłę żebrakowi płaci;
A żebrak w służbie Chrystusa i czarta
Miedziane grosze do swych sakiew zgarta;
Choćby nogajscy naszli Tatarowie,
Gotów się modlić za szczęście i zdrowie.

I tak za szwedzkie i polskie proporce
Modląc się, zebrał — miedziaków dwa korce:
Więc włokę ziemi zakupił za korzec,
Za drugi sobie pobudował dworzec,
I z włóki gruntu miał dobre intraty;
A że gościniec był blizko od chaty,
Przeto, jak dawniej, pokorny, usłużny,
Siedział przy drodze i żebrał jałmużny.

VII.

Gdy żebrakowi tak dobrze się dzieje,
Pewnego ranku idą dwaj złodzieje,
I jeden mówi: Otóż losy szczęsne,
Jeżeli sakwy starego wytrzęsnę!
Toż, mówią ludzie, groszowity sztuka
I stąd i z owąd swoich zysków szuka!
Drugi odpowie: Oho! znam ja dziada!
Ma tam i w chacie zapasy nielada;
Nieraz tam zajrzeć brała mię ochota,
Ale brytana uwiązał we wrota.
Jakżebym pragnął obrać go do naga!
Moim zamysłom niech Bóg dopomaga!
Przeto złoczyńca, chcąc skusić biedotę,
Idzie do starca, rzuca mu dwa złote,
I wpół ze śmiechem dobrotliwie rzecze:
Pomódl się za mnie, poczciwy człowiecze!
A stary żebrak, choć znał, że to złodziej,
Lecz myśli sobie: Co mię to obchodzi?
Złożył kantyczkę, wsparł ręce u kija,
Mówi Ojcze nasz i Zdrowaś Marya,
I kończy pacierz swoją zwykłą drogą:
Twoim zamiarom niech Nieba pomogą!

VIII.

I w mgnieniu oka jego prośby słowo
Na skrzydłach wiatru stało przed Jehową.
I rzekł Przedwieczny do Aniołów grona:
Jego modlitwa niech będzie spełniona!

Stało się tedy — a złodziej nieznacznie
O różnych rzeczach zagadywać zacznie:
Pyta żebraka, jako mu się wiedzie?
Ile lat liczy? kto idzie? kto jedzie?
A żebrak, wdzięczen za uprzejmość taką,
Gwarzył z przechodniem, częstował tabaką,
Życzył mu szczęścia — a złodziej w gawędzie
Zręcznie mu z sakiew grosze wydobędzie,
Chleb, i owoce, i zapasy różne,
Co może w tydzień zebrał przez jałmużnę.
Żebrak nie postrzegł, tak zawzięcie gadał,
Kiedy go złodziej do szczętu okradał:
Bo Pan Bóg jego wysłuchał pacierze
I złodziejowi *szczęściło się* szczerze.

IX.

Tymczasem drugi skrada się do chaty,
A brytan groźny, ogromny, kudłaty,
Zamiast zaszczekać i nasrożyć paszczę,
Jeszcze się do nóg złodziejowi głaszcze.
A ten, szczęśliwy, że się brytan garnie,
Splondrował skrzynie, zasieki, śpiżarnie.
Tu mu się dobrze pożywić wypadło:
Znalazł pieniądze, napitek i jadło,
I sutą odzież, kożuchy i świty,
Wszystkiego, panie, zapas znakomity,
Że jednem słowem, można mówić śmiało,
Tylko ptasiego mleko nie stawało.
Złodziej niegłupi — a jak się zawinie,
Wszystkie zapasy uprzątnął w godzinie;
A tak sumiennie był pracy oddany,
Że nawet ćwieki wyciągnął ze ściany.
Więc pośpiewując po sowitem żniwie,
Pogłaskał psisko i poszedł szczęśliwie.

X.

Wieczorem żebrak aż krzyknął z rozpaczy,
Kiedy swą szkodę podwójną zobaczy,

Aż targa brodę, aż płacze, aż mdleje,
Przeklina siebie, i psa, i złodzieje;
A bardziej jeszcze po sercu mu bodło,
Że mówił pacierz, by im się powiodło.
Wytaczać skargę na niewiele zda się,
Księdza kwestarza wspomniał po niewczasie,
I już naprawdę jak nędzarz ubogi
Płaczliwym głosem żebrował u drogi.
Lecz po nauce, po ciężkiej goryczy,
Już nie każdemu powodzenia życzy,
Lecz kończąc pacierz dodaje w pokorze:
Dobrym zamysłom dopomagaj, Boże!
Modlił się, kiedy wdzięczność go uniosła,
Ale już nie był żebrakiem z rzemiosła.
Śmiano się z niego, i długo, i szczerze:
Ja cię okradnę — mów dziadku pacierze!
A stąd przysłowie powstało powoli:
„Że człowiek sprawca sam swojej niedoli."

1854. Borejkowszczyzna.

MATYSEK.

GAWĘDA.

Był Matysek chłop przed laty,
Jak drugiego nie znajdziecie,
I przystojny, i bogaty,
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nie znał biedy,
Zazdrościli mu ludziska:
Nikt nie wierzył, aby kiedy
Przyszła kreska na Matyska.

Krasawica, cud-dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:
— Mój Matysku! jestem twoja,
Będę twoja całe życie! —

Lecz ktoś inny sypnął grosza,
I wzajemność dziewki zyska,
I Matysek wziął odkosza.
Przyszła kreska na Matyska.

— Mój Matysku, nie dbaj o to,
A miłosne rzuć zachody!
Lepiej z nami użyj złoto:
Pójdziem hulać do gospody!
Tak go sąsiad cieszył w biedzie,
I całuje, i uściska.
— Dobrze mówisz, mój sąsiadzie! —
Przyszła kreska na Matyska.

Pił z rozpaczy dobę całą,
Na pociechę pół tygodnia,
Poił wszystkich co się wlało,
I sąsiada, i przychodnia;
A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska,
Jak niepyszny szedł do chaty.
Przyszła kreska na Matyska.

I od tańca, i od trunku
Zachorował tejże doby;
Lekarz przybył dla ratunku,
I napędził trzy choroby.
A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska
I odjechał w świat daleki.
Przyszła kreska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
Niechże wspomną towarzysze!
Ja testament dla nich zrobię
I każdemu coś zapiszę.
Ale w chacie nic nie było,
Prócz starego w progu psiska, —
Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kreska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co tureckim ludzie zową,
A odzieży lichej szczęty
Położyli mu pod głową,
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Nie popatrzał nawet z blizka,
Trumnę niosło czterech dziadów:
Przyszła kreska na Matyska.
Pod darniną, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie nie dzwoniono,
Bo nie stało na podzwonne.
Przy kapliczce tuż pod ścianą
Jedlinowy krzyżyk błyska,
A na krzyżu napisano:
„Przyszła kreska na Matyska.“

1855. Borejkowszczyzna.

KAPRAL TEREFERA
I
KAPITAN SZERPENTYNA.
GAWĘDA ŻOŁNIERSKA.

I.

Ej, żołnierka chleb to twardy!
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Bo to młodość — taka może,
Jak dziś widzisz pan dobrodziej?!
Nie dopuszczaj, Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bladzi, wątli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku:...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

II.

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć;
A cóż we dwunastym roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?
Patrz ten krzyżyk — toż go przecię
Wysłużyłem ciężką pracą:
A jeżeli słuchać chcecie,
To opowiem, jak i za co?
Ej! to panie, czasy były!
Głodu, chłodu, jęku brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

III.

Z pod Smoleńska nasza wiara
Żwawym marszem w odwrot kroczy;
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki — ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście! —
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczyć przy ogieńku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IV.

Ostąpiły z każdej strony
Tłumy ludu, jakby fale:
I Żmudziny, i Gaskony,
I Krakusy, i Westfale.
Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chróśniaki zbiera tłuszcza,
I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły

Na tornistrze albo łęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

V.

Legł i nie wstał — chyba wstanie
Na dolinę Józafata!
Na kamrackie pożegnanie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w pułku naszym
Pacierz krzepił — jak gorzałka.
Insze pułki nie wierzyły,
Że jest przyszłość w Bożych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VI.

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało codzień z rana
Każe mówić trzy pacierze;
Co do postów: gdy golizna,
Nolens, volens, człowiek pości...
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości.
Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VII.

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne i uparte;
Miał przezwisko Szerpentyna,
Bo się panie, rąbał arte!
Dla żołnierza pierś otworzy,

Grosz ostatni wydobędzie,
Po za frontem — człowiek Boży,
Ale szatan na komendzie;
Głos mu bucha jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VIII.

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo:
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył, niewiadomo.
Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojej roli:
Choćby skonał od boleści,
Nie dopytasz, co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IX.

Gdy ruszano z stanowiska,
Stary krzyknął: Broń na ramię!
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha, — ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy;
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;
Coś się chwieje, jak napiły,
Coś się kurczy, jakby w sęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

X.

Dobył chustki, siadł na drodze
I obwiązał chorą nogę;

Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.
Lecz jak krzyknie stary gdera:
  Co się troszczysz cudzą raną!
Do szeregu, Terefera!
(Tak mię w pułku nazywano).
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XI.

  A w Imię Ojca i Syna,
Jakie licho złe i dumne!
Powstał z ziemi Szerpentyna
I nuż kulać przed kolumnę.
Choć cierpienia nie okaże,
Lecz to widzą wszyscy zdala:
Krwią oblały się bandaże,
A znużenie z nóg obala;
Starzec goni resztką siły,
Lecz nie wyda z piersi jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XII.

  Ot nie wytrwał — jęknął szczerze,
Zachwiał się i padł jak długi!
Przyskoczyli doń żołnierze,
Z dziesięć ramion na usługi.
Sam widocznie iść nie może,
Chce go unieść oddział cały,
Bo furgony, żal się Boże,
Gdzieś w Smoleńsku pozostały.
Nosze z płaszczów się zrobiły
I uplotły z chróstów w pęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIII.

Lecz się stary jak wyzwierzy,
Rzekłbyś tygrys z jego miny:
Cóż to? cały pułk żołnierzy
Ma się późnić z mej przyczyny?
Precz ode mnie! marsz do szyku!
Rozkazuję to pod gardłem .
Słuchaj mości poruczniku!
Podaj rapport, że umarłem.
Nie kopajcie mnie mogiły,
Nie potrzeba trąby brzęku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIV.

Pan porucznik westchnął smutnie
I szeregi powiódł w pole.
Myślę sobie: Choć łeb utnie,
Ja mu zginąć nie pozwolę!
Więc zostałem — i nie tchórzę,
I powiadam: Kapitanie!
To się za nic stać nie może,
Pan w tem polu nie zostanie.
— Cóż gdy kroczyć nie mam siły!
— Ja poniosę pomaleńku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XV.

Precz mi z radą i pomocą!
A nie przywódź mię do złości.
Mną się trudzić niema po co,
Ty masz swoje powinności.
Uważałem, Terefere,
W twym plutonie są rekruci,
Dzierżą bagnet jak siekierę,
Maszerują jakby skuci;
Trzeba, aby się rozwiły

Władze w nogach, zręczność w ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVI.

— Jestem ranny — po krwi stracie
Tak mi słabo!... skończę życie:
Słuchaj, dobry mój kamracie:
Jak do domu powrócicie,
Wiesz zaścianek, tam.. przy Niemnie,
Kędy matka moja żyje?
Schodź, pożegnaj ją ode mnie,
Oddaj krzyżyk z mojej szyje;
Opatrz domek mój pochyły
I dwa ule przy okienku... —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVII.

W ładownicy cała nędza:
Jest tu mały groszów worek,
To mi zanieś gdzie do księdza,
Poproś dla mnie o paciorek!
Matce powiedz, niech nie płacze,
Bom nie zginął jako podli;
A do frontu zbierz rębacze,
Niech się każdy z nich pomodli!
Spiesz, bo wojska już się skryły,
Już nie słychać broni szczęku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVIII.

— Dobrze dobrze! — ja doń mówię —
Nie gadajmy o tem wolej;
Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
Wszystko pójdzie w swoją kolej.
Teraz lepiej, mojem zdaniem,
Kapitana wziąć na plecy,

Do szpitala się dostaniem,
Kędy leczą się kalecy.
Tuby śniegi was zakryły,
Tubyś skonał na tym pieńku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIX.

Jak ofuknie się z hałasem,
Jak zaiskrzy się, zapłonie:
Patrz: kolumna już pod lasem!
Twoje miejsce przy plutonie.
Spiesz dopędzić towarzysze:
Za zbiegowstwo areszt, kula!
Ja, udając, że nie słyszę,
Sadzę na mój kark dziadula.
On się zwija z całej siły,
Grozi, krzyczy na mych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XX.

Myślę sobie: Mniejsza o to,
Niech się złości, będę znosić!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć!
Człowiek spocznie sobie chwilę
I marsz naprzód, aż łeb potnie;
Do wieczoru ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.
Stary wparł się w grzbiet pochyły,
Ani słówka... ani stęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXI.

Poza wojskiem w całej drodze
Tu i owdzie ogień błyska;
Albo trupa gdzie znachodzę,

Albo ślad obozowiska.
Miałem w torbie dwa suchary,
To podróżny zapas cały.
Na popasie zjadł mój stary
I wychylił haust gorzały.
Gdy się płuca pokrzepiły,
Zyskał humor pomaleńku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXII.

Już pod wieczór widzę z dali,
Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
A konnica naprzód wali.
Szerpentyna rzekł ponuro:
Widzisz, trutniu, co to czeka,
Kto rozkazy poniewiera!
To kozactwo... nas rozsieka...
Marnie zginiesz, Terefera!
Patrz, swawole co zrobiły!
Byłbyś z braćmi, z bronią w ręku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIII.

— Żal mi ciebie... dziatwy twojej...
Pan Bóg skarał cię wyraźnie!...
Lecz poczekaj... wszak to swoi...
Ja ci zaraz sprawię łaźnię!
Patrzę tedy.. aż tu jedzie
Hu! porządnie szykowany,
Zdala działa, a na przedzie
Mameluki i ułany.
Aż od śniegu lecą pyły,
Aż powietrze drga od brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIV.

Ot na białej, dzielnej szkapce,
Jakiś jeździec ku nam kroczy,
W szarej kurtce, w nizkiej czapce,
Co mu spada aż na oczy.
Patrzę pilno... i struchlałem...
Broń prezentuj, jak na wartę! —
Krzyknął kapitan z zapałem —
To sam cesarz Bonaparte —
Szerpentyna jak ożyły
Na śnieg skoczył z moich ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXV.

To był cesarz... nie inaczej;
Wstrzymał konia, spojrzał groźno
I zapytał: Co to znaczy?
Gdzie wasz oddział? co tak późno?
Myślę sobie: czym półgłówek,
Żeby zaraz tracić serce?
(A francuskich kilka słówek
Nauczyłem się w żołnierce).
Więc zdobywam się na siły
I powiadam bez zajęku:
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVI.

Od początku, z tęgą miną
Całą sprawę mu wywodzę:
Co się stało z Szerpentyną,
Jak raniony padł na drodze,
Jakom kwapił się z posługą,
By go unieść do szpitalu.
Cesarz słuchał, słuchał długo,
I rzekł: Brawo, mój kapralu —
Aż mu oczy zaiskrzyły

Jakimś ogniem pełnym wdzięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVII.

Potem spytał Szerpentyny,
Jak się zowę, jak prowadzę?
I mój kapitan jedyny
Dał świadectwo mej odwadze.
Już się znaczno, że nie dąsa,
W rozrzewnieniu pozbył złości.
Jednak mruknął coś z pod wąsa
O wojskowej niekarności;
Lecz się usta nie ruszyły,
Nie wydały głośno dźwięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVIII.

Do swych piersi cesarz sięga —
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
Patrzcie dzieci, to jest wstęga,
A na ciele sam krzyż noszę!
A jak umrze Terefera,
Weń ustrójcie go na mary,
Niechaj moją pierś ubiera,
Niech ozdabia mundur stary;
Poszanujcie u mogiły,
Bo był trzyman w dobrych ręku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIX.

Więc potrząsłem hardo czołem,
Aż mi w oczach promieniściej:
Wiwat cesarz! — wykrzyknąłem,
Zawtórzyli mi gwardziści.
Nas zabrano na furgony,
Do szpitalów przyszli z rana.

Bóg niech będzie pochwalony,
Wyleczyli kapitana!
Teraz, słyszę, człek zażyły,
Gospodarzy przy Niemenku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXX.

Cóż myślicie o tym gderze?
Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
Za niekarność Tereferze
Trzy dni kazał być w areszcie.
— Cesarz — mówił — wynagradza,
Bo poczciwym szedłeś torem;
Ale, bratku, moja władza
Naruszona twym uporem.
Choć wyrwałeś mię z mogiły,
Nie popuszczę władzy z ręku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXXI.

Słusznie mówił — bo mospanie,
Czy wodzowie, czy to prości,
Kiedy rozkaz człek dostanie,
Pilnuj ściśle powinności!

* *
*

Tak powiadał Terefera,
Siedząc w progu nizkiej chaty;
I rękawem łzy ociera,
I wywija kij sękaty,
I łeb siwy, łeb pochyły,
Zadumany wsparł na ręku —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

1855. Borejkowszczyzna.

CÓRA PIASTÓW.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW LITEWSKICH — 1282 ROKU.

I.

I znowu chodźcie posłuchać ciekawie,
I znowu bitwę przed oczy wam stawię,
I znowu kreślę litewskie postacie,
Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiednie,
Miękkie jak dzieci, gdy w domowej chacie,
Straszne, gdy idą w krainy sąsiednie,
Kiedy dzikości popuściwszy wodze,
Kąpią się we krwi, rabują w pożodze.
Nawet niepomny obowiązków syna,
W niedobrej chwili kreślę ich oblicze,
Gdy ich bojaków skrwawiona drużyna .
Wiedzie z sąsiady wojny napastnicze,
I w cztery strony czterma wiatry bieży
Dla brzydkiej zemsty lub brzydszej łupieży.

II.

Wstyd nie płomieni synowskiego czoła,
Że mych praojców łupieżcami zową:
Czyż ich sąsiady żyjące dokoła,
Co wyznawały wiarę Chrystusową,
Lepsze poganom podawały wzory
Bratniej miłości i świętej pokory?
Kiedy zachodni rycerze, jak fala,
Zabijać Litwę dla odpustu płyną,
Zowiąc jej synów dziećmi Beliala,
Dzikim potworem i leśną gadziną:
Czegoż się dziwić, że gromada dziczy
Głowę podniesie i żądłem zasyczy,
Gdy krew bojową Kawas mu poruszy,
Kiedy go Perkun do zemsty poduszczy?
Bardziej się dziwić, gdy dziki syn puszczy
Słodkim uczuciom da przystęp do duszy,
Gdy bałwochwalcy marsowa jagoda

Łzami czułości zaleje się hojnie,
Kiedy starcowi dłoń synowską poda,
Gdy uszanuje słabszego na wojnie,
Kiedy oszczędzi dla rycerskiej czeŝci
Głowę dziecięcą albo wstyd niewieści.
Spytajcie wtedy: skąd on cnotę bierze?
Gdzie on to widział? kto w nim ludzkość budzi?
Czy własne serce, albo leśne zwierzę?
Skąd się nauczył? — pewno nie od ludzi!
Gdy doń Krzyżacy pukają we wrota,
Wie, co go czeka od wyznawców Chrysta:
Starcom zaguba, niewiastom sromota,
Mężom kajdany i hańba wieczysta,
A chacie płomień, a bogom zniewaga —
Nikt nie wymodli, nikt się nie wybłaga.
I Litwin srogi: gdy twierdzę zdobędzie,
Pluska się we krwi, nie oszczędza jęku,
A miecz i ogień, zniszczenia narzędzie,
Nie dopuść Boże widzieć w jego ręku!
Jednak wśród ognia, wśród jęków skonania
Uszy zatyka i oczy zasłania:
Bo mu potrzeba być sroższym od zwierza,
A on własnemu sercu niedowierza.
Żelaznym hełmem uzbrojona głowa
Lęka się dumek, co rozczulić mogą,
A dzielna ręka w godzinę złowrogą
Od bicia serca zadrżeć mu gotowa...
Och! bo to serce bogowie odlali
Z miękkiego wosku i ze twardej stali.

III.

Stare-ć to czasy, które wam wygwarzę.
Dawno już w próchno rozpadły się ręce
Owego ludu, co w szumnym rozgwarze
Dał Trojdenowi oznaki książęce,
Co mu zwierzając przyszłość swojej doli,
Przybrał młodzieńca w uroczyste szaty,

W szkarłatną szubę i kołpak soboli,
Dał mu miecz kuty i pancerz bogaty.
Ten miecz, i pancerz, i szubę z atłasu
Dawno już wilgoć przejadła z mogiły;
Trzy łokcie ziemi i sześć wieków czasu
Tamtejszych ludzi dawno już przykryły.
W stolicy kniaziów, w odwiecznym Kiernowie,
Kurhany władców zaorane miedzą;
Śpi stara Litwa — a jej potomkowie
Nawet podania swych ojców nie wiedzą.
Zimnym toporem dąb ścinają wzniosły,
Z piersi pradziada na grobie wyrosły;
A z niego drewka szczepiąc do komina,
W święto do ognia zaprosiwszy gości,
Naród coś marzy, niby przypomina,
Majaczy powieść o starej przeszłości.
Wtedy coś burzy jego krew zaskrzepłą,
Iskra zapału odżywa w nim jawna:
Czy to z powieści, czy z kominka ciepło?
Może ten ogień tlał w duszy od dawna?
Bóg raczy wiedzieć!

IV.

Litewską stolicę
Po Narymuncie objął Trojden młody.
Już go poznały sąsiednie narody,
Gdy jeszcze sprawiał podlaską dzielnicę,
Wiedzieli o nim i cudzy i swoi,
Że mądry w radzie, a chrobry we zbroi.
Ze swej stolicy, jak ze skały sokół,
Śledził, skąd grożą najbliższe zamachy:
I Ruś, i Niemców, Mazowsze i Lachy
Bystrem spojrzeniem obrzucił naokół.
Wszędy wrogowie na Litwę zażarci,
Gotowi działać czy jawnie, czy zdradnie.
Trojden rozmyślał: kogo najprzód skarci?
Czyje najazdy uprzedzić wypadnie?

Najniespokojniej jego oko pada
Na mazowiecką dzielnicę Konrada.

V.

Syn Ziemowitów — od Białego Leszka
Dzierżył te kraje na prawach wassali.
Znajoma Litwie na Mazowsze ścieżka,
Znajome pola, gdzie krew przelewali,
I twarde mury mazowieckich grodów,
I twarde piersi tamecznych narodów.
Dziś dobra pora odznaczyć się świetnie —
Trojden wypadków mazowieckich świadom:
Konrad, pacholę siedemnastoletnie,
Sił jeszcze nie ma oprzeć się napadom;
Matka, po życia smutnego kolejach,
Mężowskiej śmierci płacząc, dogorywa;
A lud Mazowszan pracuje we żniwa,
A baronowie polują po kniejach,
A starostowie ucztują w komnatach,
A straż zamkowa usypia na czatach.
Niechże ucztują, niech bawią się sami,
Niech śpią ich straże z bardyszem we dłoni,
Aż róg litewski pobudkę zadzwoni
Pod ceglanemi ich grodów basztami!

VI.

Trojden dał hasło o rannej jutrzence.
Pokorne echo z gór, lasów i rzeki
Poniosło pilnie rozkazy książęce —
Przez dzień obiegło po Litwie dalekiej,
Że każda strona, każdy Litwy przedział
Już się wieczorem o haśle dowiedział.
I z gór i z lasów wychyliły głowę
Srogie postaci wojowniczej dziatwy;
Spieszą pod Kiernów wojska Trojdenowe,
Że ich rachunek zaprawdę niełatwy;
A wszystko krzepka, gdyby dęby, młodzież,
Chrobre jej twarze, a straszliwa odzież.

W niedźwiedzich szubach, kudłami do góry,
Przy bokach trąba i siekiera wisi,
W rękach oszczepy, korbacze, kostury,
A zamiast czapki łeb wilczy lub rysi;
A jeszcze inszy uczepił na czole
Długie kły dzika, lub rogi bawole.
A konie Litwy, oszyte w rogoże,
Parskają, spięte trędzlą wojownika.
Zdumione oko rozeznać nie może:
Jaki to potwór z lasu się wymyka?
Bo ludzkich kształtów dojrzeć tu niesnadnie,
Chyba je serce lękliwe odgadnie.

VII.

Na przedzie Litwy książę Trojden hasa:
Ma strój ozdobny junacko a suto,
Uderza w trąbę, co wisi u pasa,
W trąbę bawolą, we srebro okutą.
Kibić ma smukłą — znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki, roboty nielada,
A kita strusia, wiatrami rozwiana,
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża;
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi —
Wzrokiem przeszywa pierś nieprzyjaciela
I czułe serce niewinnej dziewoi.
Włos kędzierzawy i kita pierzasta
Igrają z wiatrem, gdy leciuchno wionie;
Zdobi wąs czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu zarasta.
Ręce niezbrojne, krom lnianej odzieży,
By tem swobodniej wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Przez jedno ramię na rzemiennym pasie
Wisi róg żubra, którym hasło dawa;

Przez drugię ramię szeroka, jaskrawa,
Zwisa siekiera, co krwi pragnąć zda się.
U boku wodza, na poprędze złotej,
Miecz długi, ciężki, niekształtnej roboty.
Rumak, obleczon czaprakiem z niedźwiedni,
I rży, i parska, snadź zwycięstwo wróży...
Truchlejcie ludy krainy sąsiedniej.
Już wam podobno nie ostać się dłużej!
Nie dla popłochu, nie na popis marny
Ten hufiec z puszczy wynurzył się czarnej!
Aż rzeźwo słuchać, gdy ziemia zatętni
Pod kopytami niezliczonych koni;
Aż echo rade, gdy wojacy chętni
Gwarliwie jadą po leśnej ustroni,
Lub z męskiej piersi, co się nic nie lęka,
Zagrzmi w sto głosów pochodu piosenka.

VIII.
PIEŚŃ POCHODU LITWINÓW.

Niech wesoło szumi las:
Kniaź do boju wezwał nas;
Umocnijmy dzisiaj ducha,
Jutro falą krew zaplucha —
Idziem w dobry czas!

Śmiało, koniu, idź na bój!
Towarzyszu dobry mój!
Kiedy pan twój wrogów drażni,
Ty nie pierzchaj dla bojaźni,
Ale mężnie stój!

W mocnych murach mieszka Lach,
Ale w piersiach jego strach;
A my Lacha w jednej chwili
Zwyciężyli, wyszydzili,
Wzięli twierdzy gmach!

Ziemię Niemców dobrze znam,
Bo dziewczęta krasne tam;

Lecz my Niemca krwią się zleli,
Krasawice uścisnęli,
Nie uciekły nam!
Gdyśmy dalej poszli w tan,
Drżały mury gdańskich ścian —
My wypadliśmy z zasadzki,
Aż pobledniał wódz krzyżacki,
Gdańskich murów pan!

IX.

Babiński zamek choć ludny i zbrojny,
Lecz mur i rycerz nie gotów do wojny.
Zwodzona brama na oścież otwarta,
Wały zarosły, ostrokół wyjęty,
Wodzowie drzemią, a żołdacka warta
W sąsiednich puszczach walczy ze zwierzęty.
Bo książę Konrad, syn Ziemowitowy,
Polubił tylko biesiady i łowy.
Niedoświadczony, zwyczajnie jak młodzian,
Ognia nad domem nie baczy i nie wie,
Że najstraszniejsze przygasłe żarzewie,
Że wróg najbliższy, kiedy najmniej spodzian.
Jeleń wysmukły przebieżał mu drogę,
Więc postanowił spolować rogacza,
I wszystkich wodzów, i całą załogę
Wezwał na łowy.
Drużyna junacza,
Barony państwa, jakby motłoch ślepy,
Marnie w ostępach łamią swe oszczepy.
Już drugi tydzień, jak goście sproszeni:
Z rana za zwierzem goni się gromada;
W południe sypia wpośród leśnych cieni;
Wieczorem gwarno do uczty zasiada.
A książę wesół — a zdrojami płyną
Miód mazowiecki i pannońskie wino.

X.

Właśnie przy zwłokach leśnego rogala
Huczna drużyna piła pogrzebowe,

Gdy łoskot trąby odezwał się zdala,
Głuchy, niepewny, stłumion przez połowę;
Raz... drugi... trzeci... ozwały się wreszcie
Okrzyki mężów i płacze niewieście.
Konrad spojrzenie zwrócił ku drużynie.
— Słyszycie — mówi — skąd ten okrzyk płynie?
— Nie, mości książę, wszak słuch mi się nie ćmi —
Odpowie Pełko starszy wojewoda:
— To jakaś w wiosce kłótnia między kmiećmi...
Kończmy kielichy, bo przerywać szkoda!
— Czyście słyszeli te trąby rozgwary? —
Zapytał książę Zbigniewa kanclerza.
— To jakiś starzec zwoływa ogary.
Spieszmy do lasu, bo upuścim zwierza.
— Widzicie łunę pożarną na Niebie? —
Rzekł ku Lassocie, staroście warowni.
Lassota spojrzał naokoło siebie:
— To nic — odpowie — to jacyś wędrowni,
Jacyś pielgrzymi, wracając z odpustu,
Przy drodze sobie naniecili chróstu.
Spocznijmy raczej, miłościwe książę,
Bo jutro rano pracowite łowy.
Niech wasza miłość swój pancerz odwiąże.
Taką dał radę starosta grodowy.
Trafiło słowo do ucha Konrada:
Odwiązał pancerz i swój oszczep składa,
I na niedźwiedni, jak w miękkiej pościeli,
Układł się książę, plemię Ziemowita.
Wzorem książęcia dworzanie posnęli.
A poza lasem znowu trąba zgrzyta,
I słychać jęki zmieszane z hałasem,
I chmura dymu zawisła nad lasem.

XI.

A Trojden w zamku — już wdarł się na wały,
Powiązał straże łyczanemi sznury;
Trąby litewskie w warowni zagrały;

Wstąpił w swe prawa zwycięzca ponury.
Litwin z okrzykiem do skarbca się wdziera
I srebra Piastów garściami rozdziela.
Drzwi od kaplicy rozdarła siekiera,
Gdzie był złocisty obraz Zbawiciela;
Zabrano srebrne wzorzyste ornaty,
Złote kielichy i relikwiarze.
Do nóg Trojdena padał ksiądz brodaty,
Pewien, że świętość uszanować każe.
Trojden popatrzał na oblicze Chrysta:
— To Bóg wasz? — spyta — za cóż Go męczycie?
Stanął, podumał — i łza uroczysta
Z oczu pogańskich polała się skrycie.
I rzekł do księdza: Ten krzyż to mi znany,
Bo go Krzyżacy na swych płaszczach noszą:
Pewno to przez nich Bóg ukrzyżowany,
Bo oni męczyć gotowi z rozkoszą.
Czemuście, pytam, stary wajdeloto,
Nie dali wiedzieć do Litwy w tej chwili?
Tam insze bogi — ale mniejsza o to —
Waszego Boga mybyśmy bronili.
Och! jak On cierpi! jak zraniony srodze!
Za cóż Go męczą ciernistą koroną? —
Tak mówił Trojden — i krzyknął na wodze,
By nic z kaplicy więcej nie ruszono.
Litwa, czcząc rozkaz książęcej potęgi,
Wyszła z kaplicy, i dalej się wali
W ciemne komnaty, gdzie chowano księgi
Pergaminowe z klamrami ze stali.
Jedne z nich świętsze a oprawne suto,
Stalnym łańcuchem do półki przykuto;
Insze obite cedrowemi deski,
Pobożna ręka zebrała dokoła:
To są Doktory, Ojcowie Kościoła,
Z nich dusza ludzka ma pokarm Niebieski;
A insze pracy niesłychanej potem
I piękne kunsztem wybornej skryptury,

Malował barwą, naprowadził złotem
Mnich Benedyktyn Świętokrzyskiej góry:
To chrześcijańskiej nauki filary:
Ewangelia lub Testament Stary;
A insze zasię pergaminu skręty,
Żywe świadectwo pięknej świata chwili —
To Marek Tullus, Horacy, Wirgili,
Starego Rzymu Relikwiarz święty.
Rzym, chrzestna matka Lechowej krainy,
Tuląc ją k'sobie niedawnemi laty,
Podarowała ten spadek jedyny,
Jak święte krzyżmo wiary i oświaty.
Piśmienne skarby Piastowie od wieka
Zbierali skrzętnie, kupowali drogo.
Ale się Litwin w książki nie zacieka:
Lęka się czarów, które w nich być mogą.
Zamknięty w klamrach może tam duch jaki
Wywoła wróżbę Litwinom złowieszczą;
Kto wie, te czarne i krasne zygzaki
W swych ostrych żądłach czy jadu nie mieszczą?
Tak się lękając nieznanej potęgi,
Trojden spoglądał na łacińskie księgi;
Wdział rękawicę — i wolumen stary
Ujął, popatrzał raz, drugi i trzeci,
I rzekł do Litwy: Wynieście te czary,
Puścić je z dymem — niechaj zło uleci.
  Więc dzika tłuszcza na księgi się miota,
Odziera klamry ze srebra i złota,
I w środku zamku suty ogień kładnie,
I skarby wiedzy rzuca nań bezładnie.
A kiedy ogień z między kart wybucha,
Gdy się pergamin kurczy i popieli,
Litwini z boku naocznie widzieli
Latającego ponad stosem ducha:
Jak biały ptaszek zwinął się w przestrzeni,
Otoczon blaskiem ze siedmiu promieni.
To był zaprawdę Duch mądrości Bożej,

Z którego Światło, Roztropność, Odwaga;
Ten Duch skrzydlaty nie mści się, nie sroży;
Kiedyś Go Litwa na klęczkach przebłaga;
On na jej głowę rzuci Swe odblaski
Ze siedmiorakich promieni Swej Łaski.

XII.

Aż dotąd w zamku był rabunek cichy:
Związana warty żołnierska drużyna,
A tłum niewieści i dwa stare mnichy
Żadnym oporem nie drażnią Litwina:
Kto niedołężny, pogląda z daleka,
Kto może uciec, trwożliwie ucieka.
Ale gdy Litwin lochów się dopyta,
Gdzie stały miody kołodzieja Piasta,
Gdy pije stare wina Ziemowita,
W zagrzanych głowach szaleństwo urasta.
Już się zwycięzca na niewiasty miota,
Na karkach starców probuje brzeszczota,
Podkłada ogień pod dębowe ściany,
Puszcza do okien kamienie i strzały.
Już dzikie pieśni, już trąby zagrały,
Zawył wrzask dziki z płaczem pomieszany:
A kędy stąpią zwycięscy gwałtowni,
Krew bryzga ziemię i ściany warowni.
Wtem most zatętnił — i co siła zmoże,
Pędzą z ostępu strzelcowie Konrada,
Zbrojni w oszczepy i w myśliwskie noże.
Pełko piorunem na Litwiny wpada,
Tratuje końmi wpół-pijane głowy,
W szerokie piersi wpędza sztych stalowy.
Prędko się Litwa z upojenia trzeźwi
Sygnałem trąby i krwawemi dzieły,
I bój gwałtowny zakipiał tem rzeźwiej,
Że chrobre piersi dawno go pragnęły.
W lekkich kolczugach wymuskane Lachy
Zwinniej harcują i mieczami sieką;

Litewskich ramion silniejsze zamachy
Zadają cięcia straszliwsze daleko.
Grzmią silne piersi, człek z człekiem się splata,
Zgrzytają miecze po pancernej blasze,
Prosta niedźwiednia i zbroja bogata
Latają w szmaty, łamią się pałasze,
Żelazne hełmy druzgoce siekiera,
Śmierć ulatuje i swe łupy zbiera.

XIII.

Dowódca zamku, Pełko siwobrody,
Z młodym Trojdenem puszcza się w zawody.
Wiek ich nierówny, ale dzielność równa,
Spotkać się z sobą pragną najgorręcej.
Dusza Trojdena ognista, gwałtowna,
Lecz Pełko w boju doświadczony więcej.
Zwarli się na pół żelaznemi ciały —
Jeden drugiego nie zachwiał, nie zdążył;
Grzmotnęli w miecze, aż skry posypały —
Lecz żaden miecza w piersiach nie pogrążył.
Ciosy Trojdena piorunem ognistym
Z góry z gwałtownym uderzają świstem.
Pełko, jak granit mchem siwym porosły,
Tępi pioruny na swem twardem łonie.
W oczach Trojdena całe piekło płonie;
U Pełki uśmiech bohaterski, wzniosły.
Miecz zda się przyrósł do prawicy dziada,
Na każde cięcie — cięciem odpowiada,
Po każdym ciosie znać, że wprawna ręka;
Lach litewskiego nie szczędzi mocarza,
Gniewem nie płonie, śmierci się nie lęka,
Życia niebacznie na sztych nie naraża.
Był to bój piękny — i Litwa, i Lachy
Stanęli patrzeć, co się zeń wywiąże.
Lach miał kolczugę, a litewskie książę
Pancerz ze szwedzkiej wykowany blachy.
Miecz u Litwina był gruby, miedziany,

Kuty po prostu w niemieckiem kowadle,
Zwijał się w rękach szybko i zajadle,
Rąbał kolczugę, lecz nie zadał rany.
A miecz u Pełki stalowy, wenecki,
Dobrze hartowny i cienki jak wstęga,
Takt jego pewny, zamach niezdradziecki,
Przekrawa pancerz, aż do ciała sięga,
A gdzie dosięże, to jak ogniem pali,
Krasny krwi sznurek wytryska z pod stali.
Lecz takie cięcia, to jak żądła pszczole
Burzą do zemsty Litwina nad Lachem:
Trojden zakipiał — i silnym zamachem
Strzaskał mu stalną przyłbicę na czole.
Pełko się zachwiał i na odlew płatnie,
Pancerz Trojdena ugiął się podatnie,
Aż prysnął rzemień, co mu pancerz spinał,
Ciężki napierśnik oderwał się z szyje;
Już w ręku Lacha wenecki puginał
Miał się dopytać, kędy serce bije,
Gdy mężny Trojden swe miedziane ostrze
Wrąbał mu w czoło — padł lacki wojewoda,
Jak dąb spróchniały, gdy się gromom poda,
Z trzaskiem po ziemi konary rozpostrze.
Pierś Lacha takty ostatnie dobija,
A usta szepcą: Jezus i Marya...
Skonał...

XIV.

Litwini wszędy górę biorą,
Lach pod ich stopy rzuca miecz z pokorą.
Jeszcze krwią płynie podwórzec zamkowy,
Jeszcze gdzieniegdzie walka kipi żwawo.
Leżą na ziemi okryte kurzawą
Szczątki zbroicy i ludzkie tułowy,
Dobija rannych litewska siekiera,
Jęk konających aż duszę rozdziera.
Już Trojden z Lachów bolesnego jęku
Może odgadnąć zupełną wygranę, —

Zamek bezbronny ujrzawszy w swych ręku,
Chce z niego zabrać łupy niezabrane,
Więc broń obejrzał, porozstawiał czaty
I poszedł w dalsze zamkowe komnaty.

XV.

Po starych komnat kamiennej podłodze
Idzie stukając miedzianym brzeszczotem;
Wiedzie za sobą swoje chrobre wodze,
A twarz zwycięzcy zlana krwią i potem.
Kibić ma smukłą, znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki roboty nielada,
A kita strusia wiatrami rozwiana
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża.
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi:
Wzrokiem przeszyje pierś nieprzyjaciela
I czułe serce niewinnej dziewoi.
Choć jest zwycięzcą wśród warowni Piasta,
Szałem wściekłości oko mu nie płonie;
Zdobi włos czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu porasta;
Ręce niezbrojne, krom lnianej odzieży,
By tem swobodniej wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Dwie mu popręgi idą przez ramiona:
Na jednej trąbka, którą hasło dawa,
Na drugiej ostra, szeroka jaskrawa,
Zwisa siekiera, już krwią napojona;
Krew na jej ostrzu jeszcze się rumieni,
Spada kroplami na tafle kamieni.

XVI.

Z głuchym łoskotem przeszli dwie komnaty,
Tylko im echo na odpowiedź tętni.

Tu stare Piasty dawniejszemi laty,
Tu ucztowali wodzowie pamiętni;
Tu zwykł i Konrad, zmordowany łowy,
Ucztować z pany, ze swymi starosty.
Na łosich rogach wsparty stół dębowy,
Dalej ławice, gdzie siada lud prosty;
A dalej sfory przykute do ściany,
Gdzie śpią ogary i łowcze brytany;
A dalej komin, co w słotną pogodę
Sowitym ogniem wybuchał po sali,
Kędy siadają starcy siwobrode,
A u ich kolan pachołkowie mali,
Gdzie z piersi mężów wesołość wybucha,
Gdzie miód i wino leje się w puhary.
Dziś ta komnata i pusta i głucha,
Ledwie rozmierzyć okiem jej obszary;
Tylko tu goszczą od końca do końca
Echo rozwlekłe i pasemka słońca
U krat okiennych.
Komin się nie węgli.
Gwar pogadanki nie kipi wesoło.
Litwini przeszli, spojrzeli wokoło,
Wreszcie do trzecich podwojów dosięgli.

XVII.

Trojden pchnął we drzwi — ciężkie rygle pękły,
Skrzypnęły rdzawe zawiasy na osi.
Litwin się cofnął, jak gdyby przelękły,
Rękę do boku... i już miecz podnosi.
Mniemał, że jakaś ukryta zasadzka,
Miał już syn puszczy zaryknąć z nałogu;
Lecz się opatrzył — to dziewica lacka
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu.
Była to Hanna, córka Ziemowita,
Rycerska siostra gnuśnego Konrada.
Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada;

Lecz jej spojrzenie ogniście się żarzy,
A wyraz strachu nie postał na twarzy.
Po ojcu wnuczka i prawnuczka Piasta,
Kędy się rodzą i Chrobrzy, i Śmiali,
Wśród szczęku broni rodzi się, wyrasta,
Dzieckiem igrała z bardyszem ze stali.
Stara piastunka nad księżniczki głową
Nuciła starą piosenkę bojową;
Gwarzyła różne ciekawe powieści
O Litwie srogiej i łagodnej razem;
Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści
Zbratał się z wojen straszliwym obrazem?
W czarnej odzieży i w białem nagłowiu,
Stanęła we drzwiach jak rycerz na straży,
Myśliwski oszczep dzierżąc w pogotowiu,
Groziła przebić, kto wnijść się odważy.
Litwin oszczepu nie lęka się pchnięcia,
Złamałby oręż, co dziewica pieści;
Lecz piękny wyraz godności niewieściej
Straszliwem ostrzem przebił pierś książęcia.
Jakiś wstyd przebiegł po zwycięzców tłumie;
Znowu spojrzała — cofnęli się srodzy,
I mową ruską, co Litwa rozumie,
Tak się ozwała do litewskich wodzy:
  Słabość dla mężnych jedyna zapora.
Nie wnijdziesz dalej, bo tam matka chora.
Książę rycerskie! bądź wiernym twej cześci,
Nasza niedola niech nas zabezpiecza.
Szanuj dom Piastów w dniu jego boleści,
Nie nadużywaj praw twojego miecza.
Prawa zwycięzcy, zdobyte gwałtownie,
Kończą się tutaj, gdzie jęczy choroba.
Masz skarby nasze, piwnice, zbrojownie,
Zabieraj wszystko, co ci się podoba,
A cześć uszanuj w godzinę złowrogą,
Bo twoje losy przeważyć się mogą.
Nie patrz szyderczo, że, słaba i młoda,

Grożę oszczepem chrobremu wodzowi:
Gdy o cześć idzie, Bóg losy stanowi,
Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
Potrafię umrzeć; lecz pokąd nie zginę,
Nie wstąpisz, wodzu, w komnaty matczyne!
  Rzekła — i k'piersiom litewskiego księcia
Podnosi oszczep, na życie niepomna;
Płonie w jej twarzy wstydliwość dziecięcia,
A w oczach zapał i wola niezłomna.

XVIII.

  Trojden pokraśniał, spuścił wzrok ku ziemi,
I zakłopotan do dziewicy rzecze:
  Kniahini Lachów! my chrobrzy z chrobremi;
Lecz u nas w piersiach jest serce człowiecze.
Żaden zły zamiar w mej myśli nie postał,
I żal, i wstyd mi, żem zwycięzcą został;
Lecz na to wojna... ta czasem zaślepi,
Czasem się rycerz w bitwie zapomina.
Wziąłem więc zamek — to nie moja wina:
Dla czegoż wasi nie strzegli go lepiej?
Nie wskrzesić z martwych tych, co w boju padli,
Lecz każę przestać wojennej srogości;
Nie mówcie, proszę, żeśmy zbyt zajadli,
Przyjmijcie, Lachy, Litwinów za gości;
Dziś w waszym zamku zajmiemy załogę,
A jutro w dalszą puścimy się drogę!
  Rzekł i na stronę wodzów odprowadza,
Wydał rozkazy do drużyny dzikiej,
I w jednej chwili Trojdenowa władza
Ucisza w zamku bojowe okrzyki.
Staje jak wryta zawścieklona tłuszcza,
Wpół taktu w bójce żelazo upuszcza;
Tylko z dziedzińca posłyszysz z daleka
Jęknie raniony lub trwożny ucieka.

XIX.

  Hanna, oparta na drzewcu od włócznie,
Zdumionem okiem na Trojdena patrzy;

Bo czyn szlachetny, piękniejszy im rzadszy,
Serce dziewicze zhołduje widocznie.
Jeśli chcesz, mężu, mieć łaski Kupida,
Trefić twe włosy na mało się przyda:
Niechaj niewiasta raczej na twem czole
Pięknego czynu widzi aureolę!
Ty, strojny blaskiem twojego ramienia,
Zostaw zaloty pieszczonej młodzieży:
Niech z oczu twoich, zamiast przymilenia,
Jak błyskawica wielka myśl uderzy;
A ta, co myśli, co czyny wywoła,
Potędze twojej oprzeć się nie zdoła.
Dusza jej stanie w nadziemskim zakresie,
Dumna twym czynem przestanie być płocha,
Ołtarz dla ciebie w swojem sercu wzniesie,
Wprzódy uwielbi, potem cię pokocha.
A taką miłość, uwielbienie, chlubę,
Niełacno z serca, niełacno utraci!
Choćbyś, jak Trojden, w jej dom niósł zagubę,
Choćbyś się skrwawił posoką jej braci,
Ona, niepomna swych łez i rozpaczy,
Duszę pogrąży w tego czynu pięknie,
Wszystko zapomni, wszystko ci przebaczy,
I mimo woli przed tobą uklęknie.
Bo serca niewiast, lękliwe a drżące,
Każde wrażenie do głębi poruszy;
Czułe na piękno, jak kwiatek na słońce,
Lubią się zdumieć bohaterskiej duszy.

XX.

Trojden powrócił — a na jego czele
Już się promieni cnotliwe wesele,
I pięknym blaskiem wzrok mu się rozżarzy,
I mężne ręce jak do prośby składa;
Tak w tej postaci było mu do twarzy,
Że się spłoniła krasawica blada.
— Kniahini Lachów! wnet się bój uśmierzy;
Wrócę wam łupy, wynagrodzę straty,

Wpuśćcie mnie teraz do dalszej komnaty,
Niechaj się waszej pokłonię macierzy,
Niech trudy wojny złożywszy z mej szyje,
Z Piastowym rodem chleb i sól spożyję.
— Szlachetny kniaziu! — odpowie mu Hanna —
Możesz rozkazać, a prosisz z pokorą.
Ale twój pancerz i zbroja blaszana
Może przestraszyć moją matkę chorą;
Na twym toporze i na pochwie miecza,
Patrz: jeszcze płynie świeża krew człowiecza.
Zdejm z głowy kirys, odpasaj oręża,
A chleba z nami spożyjesz pospołu.
U moich przodków szerokiego stołu
Jest gdzie pomieścić rycerskiego męża.
Rycerstwo nasze jest przy moim bracie,
Wkrótce powróci z obławy na zwierza,
I wypijecie puhary przymierza,
I ręce sobie chętliwie podacie.
U Ziemowitów — u stołu Konrada,
Nie bój się, żadna nie grozi ci zdrada!

XXI.

Wyszła uprzedzić matkę o gościnie,
Trojden zdejmuje hełm pierzasty z głowy,
Otarł krew lacką, co po zbroi płynie,
Odpasał z ramion swój topór stalowy
I miecz swój gruby, wykowany z miedzi,
I tęskno z komnat czekał odpowiedzi.

XXII.

— Wnijdź, książę Litwy! gość w domu, Bóg w domu! —
Mówiła Hanna, rumieńcem oblana;
Wzięła za rękę pięknego młodziana,
A już jej ręka drżała pokryjomu.
Szli przez komnatę sklepioną, wysoką;
Nic nie przerywa uroczystej ciszy.
Trojden k'niej zwrócił płomieniste oko,
Coś mu się zdało, że westchnienie słyszy;

Zwiesiła główkę — a Pan Bóg-że zgadnie,
Co się tam w myśli dziewicze zakradnie?
Wtem się sąsiednia otwarła alkowa:
Tam matka Hanny, poważna matrona,
Księżniczka z Rusi, Ziemowita wdowa,
Jęczała, długą niemocą dotkniona,
I obyczajem swej rodzinnej strony
Chciała uklęknąć — lecz chwieje się, słania.

— Kniahini Lachów! — rzekł Trojden wzruszony —
Dajcie mi rękę na znak przejednania.

— Nie gub nas, nie gub i z duszą i z ciałem!
My wiemy, wiemy, czem są wojny prawa! —
Mówiła matka z wejrzeniem nieśmiałem,
A łza boleści na jej oczach stawa.

— Pokój wam, księżno! — Trojden jej odpowie,
Zgrzybiałą rękę całując z pokorą —
Nie bój się Litwy: już my nie wrogowie;
Złóż na posłanie twoją głowę chorą.
W twym grodzie Litwin tryumfował górą,
Lecz się ukorzył przed krasną twą córą.

— Hanno! — spytała mazowiecka księżna: —
Czemu Konrada nie mam przed oczyma!
Pewnie, gdy naszła drużyna orężna,
Wybiegł do walki — może go już niema!
O głowa biedna! głowa moja siwa!
Jakiegoż dzisiaj sieroctwa dożywa! —
I załamała rozpaczliwie ręce: —
Na co mi życie? na co mi zaszczyty?
Na co mi państwa i grody książęce?
Mówcie: gdzie Konrad? czy syn mój zabity?..
Wodzu Litwinów! tem samem żelazem
I mnie zabijcie... zabijcie z nim razem!

— Konrad z panami na łowach się cieszy, —
Odpowie Hanna: on nic jeszcze nie wie.
Obaczył pewnie nad zamkiem żarzewie,
Nie bój się, matko, zaraz tu pospieszy.

XXIII.

— Jam tutaj, matko! — zabrzmiał okrzyk w sali —
Potrafię chodzić po ojcowskiej ścieżce.
Niedługo będą cieszyć się zuchwali,
Z grodu mych przodków wycisnę łupieżce!
Drzwi się rozwarły, i Piast młody wpada:
Zajadłość w oku, miecz w ręku Konrada.
— A tuś, mi kniaziu!... tu na moje szczęście! —
Rzekł, k'Trojdenowi podbiegając srodze...
Trojden bezbronny ścisnął silne pięście,
Grzmotnął mu w piersi, złożył na podłodze.
Krew kipi w piersiach Piastowego syna,
Powstał z podłogi... słania się i chysta —
Miecz w jego rękach jak piorun zaśwista.
I straszna walka znów się rozpoczyna.
Litwin, hartownej podobien opoce,
Znowu mu w piersi całą siłą grzmoce.
Lecz w tejże chwili, jak jutrznia poranna
Pomiędzy dwiema grzmotowemi chmury,
Między walczących przedziera się Hanna
Rozbroić zapęd i gniew ich ponury.
— Nie sróż się bracie! posłuchaj mię wolej:
Od twojej zemsty nie wskrzesną umarli.
Wiadoma losu wojennego kolej:
Litwini wpadli — nasz zamek odarli.
Była tu walka mordercza i wściekła;
Część naszych padła, a reszta uciekła.
Nasi zwycięzcy już byli gotowi
Rozpocząć pożar i rabunek w grodzie;
Jam tylko sama wyszła ku wodzowi —
Męska szlachetność już mu duszę bodzie.
Wstrzymała walkę jego woli władza,
Łupy nam wraca, szkody wynagradza.
Wyzuł się z hełmu, odpasał miecz kuty,
A teraz gościem przychodzi w te progi.
Nie czas na żale, nie czas na wyrzuty:
Złóżcie rycerze, wasz zapęd złowrogi.

Ten, co szlachetnie usłuchał niewiasty,
Co miecz zwycięski sam na stronę kładnie.
Czyż ma żałować, że wszedł między Piasty?
Zginąć w ich zamku, zamordowan zdradnie?
Tak mówi Hanna, a jasne jej oko
Zagrało blaskiem i łzami zachodzi.
Bystrem spojrzeniem zmierzyli się młodzi,
W głąb swego serca zajrzeli głęboko,
I w bratni uścisk serdecznie się wiąże
Z książęciem Litwy mazowieckie książę.

XXIV.

W dziedzińcach zamku, u jednego stołu,
Litwa i Lachy ucztują pospołu,
Synowie Piastów gościnni, bogaci,
Hojnie rycerstwu rozdają miód stary;
A Litwa spełnia najpierwsze puhary,
Jako wspominek po umarłej braci,
Drugie w cześć Bogów i ojczystej ziemi,
Trzecie na zgodę z dziećmi Lachowemi.
Ucztują wespół zgodni i weseli,
Jak gdyby nigdy wzajem krwi nie leli.

XXV.

A druga uczta na zamku Konrada.
Jeszcze weselej i jeszcze tam słodziej:
Wróg przeciw wroga do stołu zasiada,
Obadwaj chrobrzy i obadwaj młodzi;
Toczą rozhowor o łowach i psiarnie,
O bystrych koniach i rodzajach broni.
A Hanna włosy z nad czoła odgarnie,
Patrzy w Trojdena, słów jego nie roni.
Tak zasłuchana i zaciekawiona,
Sama nie zgadnie, co się w głowie marzy;
Jeno skraśnieje, jak wiśnia czerwona,
Gdy wzrok Litwina spocznie na jej twarzy;
A sama nie wie, że swemi oczyma
Lwa straszliwego na uwięzi trzyma,

Ale król puszczy nie zwykł do łańcucha.
Nie zdoła w ciszy zachować się dłużej;
Niezwykła taić, gdy się serce burzy,
Mężna pierś jego westchnieniem wybucha.
Nalał swój puhar, wypił go w połowie:
— Kniahini Lachów! to za wasze zdrowie.
W cześć waszej córy! ja k'niej sercem płonę...
Dajcie mi Hannę, dajcie mi za żonę!
My, stara Litwa, żołnierscy a prości,
U nas długiemi słowy się nie mami.
Szerokie moje ziemice i włości;
Wiecznem przymierzem opiszę się z wami;
Książęce skarby złożę pod jej nogi;
Zrównam jej głowę z wielkimi mocarze;
Czcić będzie swoje, a ja swoje bogi.
Modlić się będzie, jak jej wiara każe;
Zostanie bóstwem na litewskiej ziemi,
Królować będzie nad ludźmi dobremi!
— Mocarzu Litwy! jam tylko niewiasta —
Odpowie matka — jam przyzwolić rada.
Konrad jest głową u rodziny Piasta:
Mocarzu Litwy! zapytaj Konrada.
— Hanno! — brat spyta — wola, czy niewola? —
Hanna oblicze w drobnych rączkach chowa:
— Trojden zwycięzca — jam branka bojowa,
Niechaj od niego zależy ma dola;
Niech waszym chęciom uczyni się zadość,
Będę nagrodą szlachetnego dzieła!
Klękła przed matką i płakać poczęła,
A przez jej oczki prześwieca się radość.

EPILOG.

Lecz może mi powiecie, żem skończył zbyt skoro?
U nas się kochankowie tak prędko nie biorą.
Darujcie, jam podania nie wysnuł z mej głowy,
Wziąłem je całkowicie z kroniki dziejowej.

Jeden wiek pisze swoje, drugi swoje prawa,
Każdemu cudzy zwyczaj dziwnym się wydawa.
 Historya podania nie kłamie, jak tuszę.
Ej, dziwne Laszek oczy, a Litwinów dusze!
Litwa do pięknych czynów zapala się snadno,
Ej, to cud pięknych oczu, co sercem zawładną!
Nie wstyd być dla mężnego pod urokiem wdzięku,
I złożyć krwawy brzeszczot, co już dzierżył w ręku, —
Ej, nie wstyd bajarzowi, nie wstyd dla pieśniarza,
Sławę takiego czynu gdy ludziom powtarza!
Każda cnota, natchniona świętym Duchem Bożym,
Łacniej się upamiętni, gdy ją w pieśń ułożym.
A gdy lubim powieści z upłynionej chwili,
Dajcie ucho mej pieśni, czytelnicy mili,
A obrokiem duchownym niech was Bóg posili!

22 maja 1855. Borejkowszczyzna.

ZGON ACERNA.

CHWILA Z XVII WIEKU. — (1608 roku).

I.

 Czego ten stary brytan, opuściwszy szyję,
Do furty Jezuickiej drapie się i wyje?
A wyje tak żałośnie, aż przechodzi mrowie!
O! takie skowytanie pewno zgon przepowie!
Znają w całym Lublinie jego sierść, nazwisko:
To jakiegoś żebraka wysłużone psisko,
Chce się z panem obaczyć, polizać mu ręce.
Próżno uliczne żaki i szkolne młodzieńce
Ciskają nań kamieńmi; kruchciani dziadowie
Napróżno swemi szczudły biją go po głowie:
Pies kurczy się, zaskomli w postawie pokornej,
Ale go nie odpędzisz od furty klasztornej;
Chciałby wcisnąć się milczkiem i omylić straże,
Ale Ojciec odźwierny wpuszczać go nie każe.

Wtem stateczny przechodzień we dwonek zadzwoni —
Brytan przypadł mu do nóg, rzucił się do dłoni,
Jakby prosił o łaskę błagalnym wyrazem,
Iżby w bramę klasztorną wcisnąć się z nim razem.
Przychodzień go pogłaskał: To ty, psino wierna!
Jedyny przyjacielu biednego Acerna!
Pójdziem nad jego łoże, oczy mu zasłonim:
My w Polsce tylko jedni zapłaczemy po nim!
Przy skonaniu pieszczocha sarmackiej cytary
Pożałuje pies stary i przyjaciel stary...
A reszta Polski zimna — nie wie, ani zważa,
Że w tej chwili utraca wiernego gęślarza,
Co jej chlubę poczciwie głosił w świat daleki!
Tak powiadał przychodzień — łzę otarł z powieki.
I zadzwonił powtóre, po trzecie, po czwarte;
Skrzypnęły rygle furty powoli otwarte,
I z za furty, co z ciężkim zgrzytem się rozpada,
Twarz Ojca odźwiernego wychyla się blada:
— Czego tu waszmość chcecie? tak silnie dzwonicie!
Po dziewiątej godzinie, choćby szło o życie,
Nie wolno bywać obcym za klasztorną kratą,
Chyba da Ojciec rektor zezwolenie na to.
— To idźcie do rektora i wracajcie żwawo.
— Ach! czy to wasza miłość? Sam wpuścić mam prawo:
Lekarz Albertus Oczko, miły gość w klasztorze,
Za furtę S o c i e t a t i s zawsze wchodzić może.
Tak mówił Jezuita z uśmiechem słodyczy;
A brytan wpadł do furty, smutnie zaskowyczy
I pobiegł w kurytarze.
— Cóż Klonowicz przecię?
Czy zdrowszy dziś, czy słabszy? nic o nim nie wiecie?
Zapytał Wojciech Oczko. — Źle — odrzekł odźwierny —
Daliśmy mu w klasztorze kątek miłosierny
Za to, że nas osławił po sarmackiej ziemi,
Za to, że szczypał zakon pismy dotkliwemi,
Że nas przezwał gangreną straszliwych bezprawi,
Co kraj cały zarazi i o śmierć przyprawi.

My mścić się nie umiemy na sprawcach potwarzy,
Bo Chrystusa znieważa ten, kto nas znieważy.
Bóg zwrócił na bluźniercę zagniewane oko —
I ów Acernus głośny, sławiony szeroko,
Przyszedł na stare lata do torby i kija,
Nędza go i zgryzota przed czasem dobija,
A kraj, co w jego pismach tak wielce spodoba,
Nie dźwignął swego wieszcza z barłogu Hioba.
Lecz przyszedł Jezuita, wziął z błota oszczercę,
Okazał niegodnemu miłościwe serce;
Gdy się nędzarz w kałuży zasłużonej wala,
Dał mu gościnny kącik swojego szpitala:
Niech świat patrzy i uzna Jezuitów czyny,
Jak chlebem odpłacamy za żądło gadziny.
Rzekł odźwierny i westchnął w prostocie gołębiej;
Westchnął i Wojciech Oczko boleśniej i głębiej:
Na starego lekarza osiwiałej rzęsie,
Jak gwiazda promienista, łza gorzka się trzęsie.

II.

— Do celi, gdzie Acernus, wejść teraz nie możem:
Rektor go pojednywa z miłosierdziem Bożem.
Dzisiaj prosił o spowiedź z pokorą i skruchą,
Rektor jego spowiedzi sam raczył dać ucho,
Sam wprowadzi grzesznika w wiekuiste wrota,
I Olejem namaści, i da Chleb żywota;
Sam wydrze jego duszę piekłu i rozpaczy.
My wrogom przebaczamy — niech im Bóg przebaczy!
Tak, wiodąc sklepieniami ciemnych kurytarzy,
Odźwierny Jezuita sam do siebie gwarzy,
Bo lekarz, w tęsknej myśli pogrążywszy ducha,
Słów jego nie uważa, przechwałek nie słucha.

III.

Przed nizkiemi drzwiczkami zakonniczej celi,
Nie śmiejąc do niej pukać, przybyli stanęli.
Stamtąd płacz dolatywał i rozmowa cicha:
To schorzały głos starca, to mocniejszy mnicha;

Aż wkońcu pełnym dźwiękiem do ucha uderzy
Uroczysta harmonia łacińskich pacierzy.
Snadź już rektor ukończył spowiedniczą pracę,
Rzekł: „E g o t e a b s o l v o, j a m v a d e i n p a c e!“
I słychać głuchy łoskot jak o trumnę młota:
To skruszony pokutnik tak się w piersi grzmota.
Odźwierny kląkł się modlić, jak ustawy każą.
Wojciech padł na kolana z uroczystą twarzą
I modlił się ze łzami: Ach! odpuść mu, Chryste!
Ścieżki jego żywota tak były ciernistе.
Dni jego na tak ciężkiej upływały probie!
Przygarnij Męczennika, przygarnij ku Sobie!
Niechaj pieśniarz lechicki, w cierniowej koronie,
Godzien będzie H o s a n n a śpiewać przy Twym tronie!

IV.

W celi zabrzęknął dzwonek. Na ten sygnał cichy
Wychodzą ze swych komnat na kurytarz mnichy,
Wszystka czeladź klasztorna sypie się jak mrowie.
I dziady z pod kościoła, i szkolni żakowie.
I otwarły się drzwiczki od ubogiej celi:
A tam na wiązce słomy, na grubej pościeli,
Klęczał schorzały starzec, i ręce kościste
Podnosząc ku Niebiosom, wołał: Jezu Chryste!
Dozwól, bym godnie przyjął ostateczne chryzma.
Udziel mi zlitowania, co doznał łotr Dyzma,
Umierając na krzyżu!... Chciał dalej wieść modły.
Ale piersi schorzałe już starca zawiodły:
Tylko ustami rusza, ręce splótł na łono.
Wtem znowu uroczyście w dzwonek uderzono;
Rektor Hostyę podniósł, chory głos natęża;
Upadli na kolana laicy i księża.
„O t o B a r a n e k B o ż y!...“
Chory patrzał k'ziemi,
I sercem upragnionem, usty złaknionemi
Przyjął Chleb odkupienia... odżył w nowe siły:
Oczy jego tak dziwnym blaskiem zaświeciły.

Coś tak dziwnym urokiem twarz mu promienieje,
Że zda się nowe życie i nowe nadzieje
Poczęły igrać w tętnach młodzieńczego łona,
Wstąpiły w marny szkielet, co za chwilę skona.
Choć jeszcze nitka życia w piersiach mu nie pękła,
Lecz już dusza głęboko w Niebiosa zasiękła;
Oczy tak mu się wpiły w krucyfiks na stole,
Że ostatni dar ziemski — cierpienia i bole —
Gotów przenieść jak kamień... Ale zwolna... zwolna,
Słabnie lepianka ciała, słabnie nieudolna,
I boleść chorowita znów dotyka zmysły;
Oczy wieszcza przygasły, ręce mu powisły,
Osunął się na pościel, czując kres złowrogi.
Rektor prędko namaszcza czoło, ręce, nogi
Ostatniem pomazaniem — chory, zda się, kona...
Nie! — tylko dusza jego, w Niebo uniesiona,
Zda się z padołem płaczu zerwała widocznie.
Lekarz przerwał modlitwy: Niechaj trochę spocznie,
Niechaj zbolałą głowę przytuli na łoże,
A jeszcze siła życia zagrać w piersiach może.
Więc skończono obrządek — a ci, co klęczeli,
Szepcąc pacierz, odeszli od nędzarskiej celi;
Tylko został z gromnicą jeden Jezuita,
I stary dziad kościelny, który Psałterz czyta,
I stary Wojciech Oczko z kroplami tyzanny,
I stary wielki brytan, co jęk nieustanny
Ronił po kurytarzach. Acernus śpi błogo;
Już mu łza nie pomoże, leki nie pomogą;
Jeszcze ocknie się trochę, by pożegnać ludzi,
A potem, znów gdy zaśnie, aż na Sąd się zbudzi.

V.

Ściemniało... noc zapada. U głowy Łazarza
Lampa długim płomieniem krwawo się rozżarza,
Knot napojony tłuszczem i skwarczy i czadzi,
Ogień pała nierówno — jaskrawiej, to bladziej;
A po wilgotnej celi, po sczerniałej ścianie,

Mżą się ruchome cienie, jak duchów latanie.
Piękna była w tem świetle blada twarz Acerna:
Wąs przyprószon siwizną, a broda pomierna,
W uściech nieco uśmiechu, z jakim sypia dziecię,
Na czole zmarszczki cierpień — ślad życia na świecie,
Jedna ręka na piersiach, jakby boleść dławił,
Druga w górę wzniesiona, jakby błogosławił.
Bo może dusza wieszcza błogi kraj oblata,
Żegna swoją ziemicę, odchodząc ze świata.
Może gromadę ziomków przeprasza najczulej,
Co kielich jego życia goryczą zatruli,
A on, gdy cierpliwości braterskiej nie stało,
Ciskał nieraz w ich czoła satyryczną strzałą.
Już mu Pan Bóg odpuścił — przeznał dobre chęci;
Odpuśćcie jego winę i ludzie zawzięci!
Bo jego cała wina, że czuł nadto żwawo,
Że jęcząc opatrywał swoją ranę krawą!!
  Acernus śpi, jak gdyby w zachwyceniu Bożem;
A stara jego harfa, wisząca nad łożem,
Nietknięta od nikogo, zda się, pieśnią dycha,
Niedosłyszanem drganiem pobrząkiwa z cicha.
O! wierna towarzyszka marnego rzemiosła,
Tak się z duszą pieśniarza zbratała i zrosła,
Że stęskniona po panu zagrała boleśnie,
Że przeczuła pieśń duszy, którą śpiewa we śnie,
I poczęła mu wtórzyć — znane jej zadanie
Drganiem strun odbić serca śpiewaczego drganie.
Och! po tylu westchnieniach, tylu pieśniach burzy,
Czyż nakoniec cherubów muzyce zawtórzy
Na wieczny odpoczynek nad znużoną głową?...

VI.

  A w celi tak coś straszno i tak coś grobowo,
Że czuć obecność śmierci, nim jeszcze zapuka:
Wojciech smutny, że leków nie pomoże sztuka,
Głowę oparł na ręku, wzrok wlepił w Acerna,
A łza starej przyjaźni, rzewna, miłosierna,

Zastygła w jego oczach. Lampa ledwie błyska,
Migają płachty cieniów, jak czarne zjawiska,
Wiatr uderza do okien, wzdycha Jezuita,
A dziad chrapliwym głosem Miserere czyta.

VII.

Wieszcz ocknął się ze drzemki i słodko uśmiecha;
Przyjacielsko powitał starego Wojciecha,
I rzekł doń: Miły Oczko! wierzyć nie możecie,
Gdziem to ja latał we śnie — och! po całym świecie!
Śniłem, że jestem Flisem... w ładownej komiędze,
Zda się, szybko nurtami wiślanemi pędzę;
Od źródeł płowej Wisły do Gdańskiego grodu,
Obiegłem całą przestrzeń, jak niegdyś za młodu.
A cała ta kraina, na żyznym zagonie
Usiadła, jak pieszczocha, u Boga na łonie;
Jakie tam żyzne pola, jakie piękne lato,
Jak tam w wioskach wesoło, jak w miastach bogato!
Jakie echa dla pieśni w tej miłej zaciszy,
Hukniesz kędyś nad Wisłą — trzy powiaty słyszy!...
Wzniosłem się na powietrze — wytężyłem oko,
I widziałem Ruś piękną, całą Ruś szeroką.
Do odwiecznego Lwowa zawitałem gościem,
Krążyłem nad Kamieńcem, nad krzepkim Zamościem,
Zlatałem Busk, i Sokal, i Horodel stary,
Przesnułem się świętymi w Kijowie pieczary.
Zakrążyłem raz jeszcze — i spadłem jak ptaszę
Na puszcze roksolańskie, stare puszcze nasze:
Wszędy mię było pełno... Zajrzałem do kwiatka,
Byłem pszczółką, gdzie żwawa krząta się gromadka,
Przyniosłem kroplę miodu dla pszczółek i dla się,
Skosztowałem go nieco: upoił mię zda się,
Upoił aromatem macierzystej niwy...
I od wioski do wioski latałem szczęśliwy,
Widziałem prace ludu pasterskie i rolne,
Dzieliłem jego trudy i życie mozolne,

Zabiegłem w jego serce, przeznać duch człowieczy,
I widziałem tam pięknych, siła pięknych rzeczy!...
Kochałem go i dawniej: małeć to zasługi...
Och! gdybym drogę życia przechodził raz drugi,
Tylkobym z ludem wiejskim zbratał się najściślej,
I jemu wszystkie pieśni, wszystkie oddał myśli:
Tam się serce odmładza, tam dusza korzysta;
Pieśń byłaby dźwięczniejsza, a myśl bardziej czysta.
Możni mi ją zbrudzili, uczeni, bogaci,
Zarazili mi serce niechęcią do braci...
Gdyby mnie otaczali wyrobnicy prości,
W dniachbym mego cierpienia nie bluźnił ludzkości,
Nie bluźnił Panu Bogu!!... Gromiąc błędy cudze,
Ani mi się marzyło o własnej zasłudze.
A pole do zasługi szerokie mi dano:
Całą drogę cierniową, krzyżami usłaną,
Gdzie przez ostre kamienie, pokrzywy i osty,
Przez Golgotę do Nieba prowadzi szlak prosty.
Chrystus szedł tym gościńcem, ale szedł inaczej;
Mnie dano krzyż — jam dźwigał, klnąc moich siepaczy!
Kląłem głośno — jak niegdyś modlił się Psalmista,
Przy dźwięku świętej harfy, co była tak czysta...
Gdy święcone jej struny skalał śmiech mój zimny,
Już przestała wydzwaniać modlitwy i hymny;
I duch mój obumierał, nie czując swej straty,
Stał się gorzki jak piołun, jak oset kolczaty...
Przyszła ciężka choroba i nędza złowroga,
I przykrzejsze od nędzy miłosierdzie wroga.
Chleb mój jadłem z popiołem, zwiądłem jako trawa,
Lecz modlić się z Dawidem nie miałem już prawa,
Bo w dniach mojej boleści bluźniłem Jehowie...

VIII.

— Ej, panie Fabianie! — Wojciech mu odpowie —
Zbyt się brzydką rozpaczą unosisz w tym względzie.
Pan Bóg za twoje pieśni karać cię nie będzie,
Zgorszeniem się potomnych serca nie napoją:
Poczciwa chęć natchnęła każdą pieśnię twoją.

Wszak w Worku Judaszowym i Zwycięstwie bogów
Pragnąłeś zedrzeć larwę szkodliwych nałogów;
A swojemu krajowi usłużyłeś godnie:
Jak Herkules potwory, tyś zwyciężał zbrodnie.
Acernie! twoją chwałę wiek przyszły zobaczy,
Tylko w ostatniej chwili nie daj się rozpaczy!
Tak starca Wojciech Oczko przekonywać zacznie,
I rękę uściskając, bada puls nieznacznie.
A w pulsach krew zastygła kipi gorączkowo,
Podsycona marzeniem i żwawą rozmową.
Po mętnych jego oczach blask przebieżał wilczy;
Drżą mu spalone usta.. ale jeszcze milczy;
Chmurnieje mu na czole troska frasobliwa;
Zbiera ostatek myśli, co już się rozrywa;
To cały pokraśnieje, to jak mur poblednie;
Z ust mu się wymykają gorączkowe brednie;
Oczko chce dać lekarstwa, przemawia doń z cicha,
Lecz on już głosu nie zna, a rękę odpycha;
Wzrok jego bezprzytomny, jak winem pijany,
Wlepił się nieruchomie w jeden kątek ściany,
I w wilgotnej komnaty ponurem przezroczu
Widzi kształty, dla innych niedojrzane oczu.

IX.

I szepce: Ha! to śmiesznie: ktoś mi mówił wczora,
Że ja zwalczyłem zbrodnie, jak Herkul upiora,
Że mi Polska zostanie wdzięczna i pamiętna,
Żem zmazał z jej oblicza kalające piętna.
Tak!... żółć z mojego pióra... wygryzła ich wady!...
A cóż znaczy na ścianie ot ten lichwiarz blady,
Co z brodą szafranową i z postawą lisa?
Jako smok afrykański, krew słonia wysysa,
Tak on wysysa biednych, krew ludzką wypija...
A cóż znaczy ta druga pełzająca żmija,
Co się wszędy doczołgnie, co się wszędy wetrze,
Przedaje wyrok sędziów, przedaje powietrze,

Co na haczyk swej wędki uczepiwszy złoto,
Wyciąga dusze ludzkie i znaczy sromotą?...
Poco tu ów świętoszek najszkodliwszy z ludzi,
Co z rzemiosła cześć bliźnich rozdziera i brudzi?
Słuchajcie, jak on wzdycha! patrzcie, jak się modli!...
Wszak w Polsce od mych pisem zginęli już podli,
Jak muchy od cykuty!!... A toż co za dziwa?
Woźny do trybunału sprawę przywoływa;
Przychodzą dwaj pieniacze ku sędziowskiej radzie:
Jeden swoje dowody — drugi halerz kładzie,
Chce przekupić statutów przysięgłego stróża;
Patrzcie, jak się dłoń sędziów przedłuża... przedłuża,
I kościstemi palcy złoto k'sobie zgarta!...
Czego chce ta niewiasta ze wstydu odarta,
Co przedaje wstyd innych?... Patrzaj na tych graczy:
Jeden z twarzą wybladłą, z wyrazem rozpaczy,
Majątek i poczciwość na rzut kości ciska!...
Czy widzicie ohydne uczuć targowiska?
Czy słyszycie jęk smętny, co aż serce targa?
To ubogiej sieroty żałościwa skarga,
Na której całe mienie już chciwością pała
Złoczyńca we lwiej skórze — ludzkości zakała!
Patrzcie... wysuwa szpony... Ktoś puka we wrota:
Tłoczy się do drzwi możnych podłość i głupota;
Przymila się pochlebca do Plutusa dzieci,
Jak jaskółka za latem, on za szczęściem leci...
Patrzajcie, jak obżarstwo zapalczywie zmiata
Zagraniczne przysmaki ze stołu magnata!
Patrzajcie, jak lenistwo po sutej biesiadzie,
W aksamitnych wezgłowiach spoczywać się kładzie,
A panu za gościnność wdzięcznie a uprzejmie
Przedaje swą szablicę i swój głos na sejmie!...
Wszak już takich występków nie ma Polska nasza,
Od czasu, gdym je skarcił w mym W o r k u J u d a s z a?
Robactwo się nie pastwi nad społecznem ciałem??
Więc nienapróżno żyłem — niedarmo śpiewałem —

I Pan Bóg mię nagrodził w miłosierdziu świętem,
Że hydrę nieprawości znękałem ze szczętem!...
Lecz patrzajcie: tam szatan poruszył się w ciemnie...
Czego on tak chychoce? urąga się ze mnie!
Urąga się z mych pieśni, co miałem w pokorze
Zanieść jako zasługę przed Oblicze Boże!...

X.

Na wspomnienie szatana struchlał Jezuita,
Dziad kościelny pobledniał, kropielnicę chwyta
I podał egzorcyście. Ksiądz pokropił ściany:
Vade, vade, sathanas! — wyjęknął zmieszany
I gęsto krzyżem żegna chorego i celę: —
Odejdź, odejdź do piekieł, ciemności aniele!
— Nie! szatan nie odchodzi, nie lęka się krzyża...
Lecz patrzcie.. gość promienny do mnie się przybliża,
Uśmiechem uspokaja, gdy się serce trwoży...
Bądź mi pozdrowion, gościu, posłańcze ty Boży!
Ja czytam w jego oczach wyrok przebłagania,
Wiankiem cierni jak tarczą głowę mi osłania,
Aby potwór zabójczy nie zbliżył się do mnie...
Patrzajcie... ja nie marzę... ja mówię przytomnie.
Ja widzę ich — obadwaj latają w przestrzeni,
I obadwaj promiennym blaskiem otoczeni;
Lecz z jednego blask krwawy płomieńmi wybucha,
A w środku czarna postać straszliwego ducha.
Jakże dzikie szyderstwo czytam w jego twarzy!
Jaka zabójcza groźba na oczach się żarzy!
Straszno mi... módl się księże... krop święconą wodą,
Bo mię jego źrenice przepalą, przebodą...
O!... teraz mi już lepiej... przyleciał duch biały,
Jego tęczowe blaski całkiem mię obwiały,
A promyk z jego oczu aż mi serce głaska...
O, Hosanna! Hosanna! Zbawienie i Łaska!...
Czyż dla mnie takie szczęście? dla mnie taka chwilka?
Za kilka łez gorących, za mych cierni kilka,
Za miłość pól rodzinnych, com kochał z zapałem,
Za piosnki... których jeszcze — ach! nie dośpiewałem...

Co znaczy taka miłość? co znaczą te pieśnie? —
Teraz czuję, co mogłem... ale już niewcześnie...
O! gdyby jeszcze wskrzesnąć, gdyby pożyć więcej!
Dziśbym kochał goręcej i śpiewał goręcej,
Nie doznawałbym wstydu, co mię dzisiaj miota,
Żem zmarnował niebacznie cel mego żywota...
Wiele mi było dano — wiele się dopomną...
Biada mi!...
I odwrócił głowę nieprzytomną,
I kościstemi dłońmi zasłaniając oczy,
Wołał, że duch ciemności już mu piersi tłoczy,
Że mu nad samem uchem straszliwy wróg świata
Nicestwo jego życia na oczy wymiata.
— Uspokój się — rzekł Oczko — to gorączkę znaczy.
— Módl się — powtarzał kapłan — broń się od [rozpaczy,
Bo to szatan, jak zwykle, straszy przed skonaniem.
Padajmy na kolana — pomódlmy się za nim!
Poklękli... ale chory snadź jeszcze nie kona,
Silnie kipi mu w piersiach modlitwa stłumiona,
Choć słów nie wydobędzie z zachrypłego gardła,
Znaczno z promiennych oczu, że myśl nie umarła.
Jeszcze usta bełkocą to słowa nadziei,
To psalm pokutujących — Miserere mei;
A w starej jego harfie, co wisi na ścianie,
Znów po strunach przebiegło harmonijne drganie.

XI.

Zaskrzypiały drzwi w celi — i ksiądz rektor wchodzi,
A za nim ciżba mieszczan, i starzy, i młodzi:
Zeszła się na skonanie garstka prawowierna, —
To sławetni sąsiedzi, to krewni Acerna.
I spojrzeli po sobie i szepcą do ucha:
Jeszcze stary nie oddał Panu Bogu ducha.
Przecięż był rajcą miejskim.. jak duszno w tej celi!
Jakie twarde wezgłowie!... słoma na pościeli!
Wstyd... umiera, jak nędzarz... a mógł zebrać grosza.
Tak powiadał pan Andrys do pana Bartosza.

— Zachciałeś! — mówił Bartosz — ot harfa na ścia-
Jeszcze mu teraz w głowie piosenka i granie. [nie!
Oj, piosenki... piosenki... chciałbym słyszeć zdala:
Dziwnie muszą odbijać od murów szpitala.
Patrzaj, jak zmizerniało, jak mu się wychudło;
Tak to puszy poetów hypokreńskie źródło!
Jeździł dawniej do Gdańska ze szkutem i tratwą,
A w Gdańsku to nie żarty... tam o pieniądz łatwo:
Szyper przywozi pańską pszenicę lub żyto,
To go Niemcy nakarmią, napoją sowito,
A jeszcze, jak to u nich stary zwyczaj każe,
Od łasztu sprzedanego dają po talarze.
Mając z kopę talarków — o mocny mój Boże!
Wcale niezły handelek zaprowadzić może.
Człek nakupił atłasu, tabintu, jedwabi,
A u nas taki towar zawsze kupca zwabi,
Potem handelek szerszy, potem jeszcze szerszy...
A on w Gdańsku cóż robił? — rzucił się do wierszy,
I opisywał flisów rozliczne przygody,
Nadwiślańskie wybrzeża, wioseczki i grody,
I powrócił do domu z całym poematem.
I chciał się swemi rytmy popisać przed światem
Bywało kopę groszy zaledwie gdzieś złowi,
To zaraz do Krakowa i szle drukarzowi.
Sława rośnie po świecie — a tu długi rosną;
Więc rusza do lichwiarza z postawą żałosną:
Daj grosza na zastawę, ulituj się, bracie!
A nasz Fiksel lubelski, waszmoście go znacie,
Nim da halerz, to przezna cały człeka zasób,
Bierze lichwę w dwójnasób, albo we trójnasób:
Cóż za dziw, kiedy potem dług ze długu rośnie?
— Tak, tak, panie Bartoszu! — odpowie żałośnie
Pan Stach, co był w kościele starszym sodalisem:
Niechby sobie nakoniec zabawiał się Flisem;
Lecz go duma szatańska jeszcze dalej niesie:
Na księży Jezuitów bryknął w swym Ekwesie.
Wyniosła go pod Niebo Aryanów tłuszcza;

Lecz Pan Bóg takich rzeczy płazem nie przepuszcza,
I patrzcie, jakie zebrał niedowiarstwa plony!
— Tak, tak — rzecze pan Krzysztof, Aulicus rzeczony,
Bo służył w pańskich dworach: — mniejsza z Jezuity;
Ale jeśli plebujesz, sukmaną okryty,
Pocznie pańskim splendorum złorzeczyć niegodnie,
Wojewodów zadraśnie, hetmany ubodnie;
Gdy swawolnemu pióru popuściwszy wolę,
W jasny naród szlachecki satyrą ukole:
To musi z głodu umrzeć za karę bezprawi —
Niech się robak nie dziwi, że go lew zadławi.
Z panami najbezpieczniej, kiedy człek najsłodziej:
Dzisiaj Worek Judaszów bokiem mu wychodzi...
— Albo to, czy przystało mieszczańskiemu bratu —
Zarzucił pan Mikułasz, rajca skabinatu:
Gdy się sędzia żydowski puszy we swej chwale,
Jakby zasiadł w koronnym wielkim trybunale!
Potrzeba być obrotnym, wzbudzać postrach w Żydzie:
Stąd zyski i przezyski, stąd gotówka idzie,
A na szali Temidy ważąc adwersarzy,
Gdzie położą funt pieprzu, niech słuszność przeważy.
A u niego bywało sprawiedliwość kuta,
I dla niewiernych Żydów wertuje statuta.
Cóż za dziw, że zubożał sądowniczą władzą?
I głowę mu przekrzyczą, i grosza nie dadzą!
Tak rozprawiali z sobą sławetni mieszczanie; —
A harfa po raz trzeci zabrzękła na ścianie,
I chory siłę w piersiach odzyskał nieznacznie,
I jakby w takt jej brzęku odzywać się zacznie:

XII.

Obywatele miasta, sąsiedzi i krewni!
Dziękuję wam za pamięć, dziękuję najrzewniej.
Już sądziłem, że umrę (to cios najdotkliwszy),
Was ani pożegnawszy, ani przeprosiwszy...
Zbliżcie się, dajcie ręce... w ostatniej godzinie
Niech przed wami testament śmiertelny uczynię!...

Tu obecni spojrzeli, zdumieni po trosze,
Jakby zdając się pytać: Skąd nędzarz ma grosze?
I komu je zapisze? — Dobrze-ć, panie bracie! —
Odpowie pan Mikułasz, rajca w skabinacie. —
A wy zasię, sławetni i zacni mężowie,
Zważajcie pilnem uchem, co Acernus powie,
Aby, gdy ciało jego już opuści dusza,
Uroczyste zeznanie zanieść do ratusza,
A tam przed urzędniki i ad legis mentem
Ugruntować je pismem, stwierdzić juramentem.
Słuchajcie, bo to wielce uroczysta chwila!!
A chory blade czoło na rękę pochyla,
Odgarnął długie włosy, co mu twarz cieniły,
I z piersi ostatecznej dobywając siły,
Tak jął mówić:

XIII.

Oświadczam w mym przytomnym stanie:
Żem wierzył w Kościół święty, naukę, podanie,
Że żyłem wedle jego praw i obyczaju,
Bo to wiara mych ojców i mojego kraju.
A jeżeli przed laty targnąłem się śmiało
Na to, co moim oczom zdrożnem się wydało,
Niech pobożni Ojcowie, wasza niechęć znika,
Jak to mi Bóg odpuścił usty spowiednika. —
Tu uderzył się w piersi, a westchnąwszy skrycie,
Uczynił nizki pokłon Ojcu Jezuicie. —
Tę miłość, która pierśmi władała mojemi,
Przekazuję mej matce — rodowitej ziemi.
Nie przestanę z za grobu, gdzie mię Pan Bóg zowie,
Modlić się o jej szczęście, o społeczne zdrowie,
O zgodę panów radnych, o pomyślność kmieci;
A jeśli moja prośba do Pana zaleci,
To mam dobrą otuchę, że skrócę jej nędzę,
Od niej głód, mór, pożogę, szarańczę odpędzę.
Jakiż dam upominek dla miłego miasta,
Gdzie mi dano naukę, gdzie młodość podrasta,
Gdziem piastował urzędy na sędziowskiej ławie?

Cóż mu prócz kości moich w pamięci zostawię?
Ja kocham piękny gród nasz — ale tego mało.
O! jeżeli potomność otoczy mię chwałą,
Jeśli się opromieni moja chęć i praca,
Niech wszystek marny promień to miasto ozłaca.
Ja z krain wiekuistych tu wytężę oczy,
Moja rzewna modlitwa te dachy otoczy,
Wieże waszych kościołów i urzędów ławy,
Abyście sąd ludowi wymierzali prawy.
Tymczasem, bracia moi, cni obywatele,
Nie gardźcie temi rady, których wam udzielę,
W których całą życzliwość, co się w sercu mieści,
Testamentem oddaję z łoża mej boleści.
Miasto moje rodzone! tyś jest grodów kwiatem,
Pan Bóg dał ci być pięknem, ludnem i bogatem,
Król nowe przywileje coraz ci stanowi:
Bądźże wdzięczne a wierne Bogu i królowi!
Czemu pod twemi dachy tyle wiar się mnoży?
Czemu u was w pogardzie jeden Kościół Boży?
Dlaczego w rzeczach wiary tyle zdań was dzieli?
Czemu twoi duchowni Chrysta zapomnieli?
Czemu serce światową rozkoszą oddycha?
Dlaczego harde głowy podnosi im pycha? —
Zaklnijcie stan szlachecki, na Boga was proszę:
Niech rzuci buntownicze zjazdy a rokosze;
Niech raczej jednomyślnie, jak czynili starzy,
Wspólnemu dobru gwoli z królem się kojarzy.
Zaklnijcie deputatów, co do nas w tej chwili
Na trybunał koronny zjechać się raczyli:
Niechaj czynią sąd ludziom sumienny a ścisły,
By bicze pomsty Bożej nad nami nie zwisły,
Aby tych pięknych murów, gwoli złej przemocy,
Nie rozbiła łza wdowy, albo jęk sierocy...
Wy zasię, cni mieszczanie, do sądów się zbierzcie,
I napiszcie uchwałę, i mieczem uderzcie
Przedajność i bezbożność, co ku złemu uczy,
Lichwiarstwo, co krwią ludzką pasie się i tuczy,

I wybiegi pieniactwa, co do zguby pędzą,
I zbytki, które kiedyś opłacimy nędzą.
Niech kocha gród rodzinny każde małe chłopię,
Niechaj grzech fundamentów jego nie podkopie,
Niech cnota jego mury ugruntuje święcie...
To testament Acerna — to jego zaklęcie.
Na dowód, że się wszystko wedle prośby stanie,
Dajcie rękę, przesławni lubelscy mieszczanie!
Rękę waszemu bratu!... Cofacie się od niej?
Och! dajcie wasze słowo, a skonam swobodniej!...
Wyciągnął drżące dłonie. Zmieszany widocznie,
Cofnął się tłum zebrany, nie wiedząc, co pocznie,
Wzajem patrzy na siebie i do drzwi się skupia;
Jakby mu się wydało, że ta ręka trupia,
Że te słowa zapału — to z gorączki brednie.
Chory westchnie głęboko, twarz jego poblednie.
A wzrok, co jeszcze ogniem błyskawicy pała,
Wlepił na czarną ścianę, gdzie harfa wisiała.

XIV.

Harfo moja poczciwa, narzędzie ty Boże!
Komuż ja cię zapiszę? w czyje ręce złożę?
Lublin złowrogie miasto dla pieśni Sarmaty...
Pamiętam, kiedy tutaj przed dwudziestu laty
Umarł Jan z Czarnolasu, a ja, płacząc smutnie,
Pytałem: komu dzisiaj zostawisz twą lutnię?
A któryś z dobrych ludzi rzekł pochlebne słowa:
To twój spadek, Acernie — cythara Janowa...
Och! jeżeli to prawda, żem godzien tej łaski,
Patronie pieśni polskiej! Janie czarnolaski!
Jeżelim twoją lutnię odziedziczył w darze,
Słabo grałem — lecz grałem, jak mi serce każe.
Może popsuł jej struny niewdzięczny harfista,
Ale z rąk mych wychodzi nieskalana, czysta,
Jak była w twoich rękach — świętości nie traci:
Grałem przy niej dla Boga i dla miłej braci...
Mistrzu mój! ty w Niebiesiech zarzutu mi nie dasz,

Że choć jeden brzęk struny puściłem na sprzedaż;
Świadkiem moim niech będzie Bóg, serca świadomy,
Świadkiem ziemia lechicka i ten barłóg słomy,
Na którym dogorywam... Są tam łzy goryczy...
A ktokolwiek ten spadek po mnie odziedziczy,
Ktokolwiek będzie na niej ciągnął hymn ten samy,
Niechaj struny oczyści od tej rdzawej plamy.
Niech nie gardzi starego pieśniarza przestrogą:
Bo dźwięki chrapowate urodzić się mogą,
Staną się niepodatne jego słowa wieszcze,
Zamiast serca łagodzić, porozjątrza jeszcze,
Zamiast dusze oczyścić, jeszcze je poplami,
I stanie przed sąd Boży z próżnemi rękami,
Jak niewierny najemnik... Za pieśnię goryczy
Zapłatę jego żniwa czyż mu Bóg policzy?
Czyż, widząc jego chwasty, gorzko nie zapyta:
Dlaczegoś nie pracował, jak dobry najmita?...
O! kto nie chce mieć zgryzot i łez na ostatku,
Ktokolwiek pieśnię moją odziedziczy w spadku,
Niech ją samą miłością rozkołycha szczerze,
Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze!
A choćby kiedy ludzie zimni a nieczuli
Octem mu czarę życia i żółcią zatruli,
Choćby mu zgryzła serce jadowita żmija,
Niech nektar niesie braciom, a żółć sam wypija...
Bogdajby słowa pieśni nikogo nie bodły!...
A szkodliwszy od żółci panegiryk podły
Niech od ciebie, śpiewaku, będzie zawsze zdala,
Niech mojej staroświeckiej harfy nie pokala.
A jeśli mój następca płocho a niebacznie
Niegodnemu pieśń chwalczą pobrząkiwać zacznie,
Ty, pomnąc, żeś służyła piosenkom Acerna,
Pęknij pod jego ręką, moja harfo wierna!...
  Tu głos wieszcza potężniał... potężniał pomału,
A twarz jego nabiegła rumieńcem zapału,
I drgają jego palce, jakby dźwięki chwyta.
Czegoś się zakłopotał Ojciec Jezuita,

Lica jego pobladły — i rzekł do lekarza:
Uśmierzajcie tę gorączkę, co mu krew rozżarza...

XV.

— Acernie! Pan Bóg z tobą — rzecze Oczko z cicha —
Hamuj zapęd twej piersi, gdy się rozkołycha;
Nie daj się dobrowolnie rozwijać malignie,
Wypij nieco tyzanny, to ci krew ostygnie.
— Nie trwóżcie się — rzekł chory — o bracia najszczersi!
Krew już i bez tyzanny zastyga w mej piersi.
Ja czuję, że przeżywam mój ostatek ducha;
Lecz nim zgaśnie kaganiec, niech żywiej wybucha!
Przy ostatecznym blasku nim zgore oliwa,
Może się jaka prawda z cieniów wydobywa;
Dajcie niech się wynurzy, póki myśl migota...
Wiesz, jakem szukał prawdy przez mój ciąg żywota...
Boże mój! czemuż właśnie prawda się odsłania
W ostatecznej godzinie... w godzinie skonania?...
Jak myśl kipi! a słowa powoli się wleką,
A jeszcze mój testament do końca daleko;
A tutaj jedno z drugiem kojarzy się tłumnie,
A tutaj biedna głowa marzy bezrozumnie,
A tutaj serce rwie się, rozpada na części...
Czyż chwilom ostatecznym Pan Bóg nie poszczęści?
A muszę, nim pożegnam oblicze tej ziemi,
Wygadać mój testament przed ludźmi dobremi,
Wygwarzyć wszystkie bóle, wszystkie me rozkosze...
Na czem to ja stanąłem?... pomóżcie mi, proszę!

XVI.

I ja byłem szczęśliwy — ja... dziś nędzarz stary!
I mnie niegdyś kochano — kochano bez miary;
Nie dorównałem inszym gładkością urody,
Lecz miałem nieco sławy — byłem jeszcze młody —
A młodość, głośne imię i dostatku nieco,
Zdoła zawsze podziałać na duszę kobiecą.
Jam ją kochał... och! kochał... o przepuść mi Boże!
Więcej niż własną duszę — niźli Ciebie może!

Przy niej cała mej duszy skupiła się siła,
Myśl ukradziona pieśniom u jej stóp gościła;
Jej obraz wciąż przede mną, uczucia me drażni;
Widziałem ją na jawie okiem wyobraźni,
A w snach moich, w snach pięknych, ona wciąż się marzy...
Przebaczcie, Aniołowie! ale waszej twarzy
Niepodobna tak piękną i tak Boską zostać,
Jak ja oczyma duszy widziałem jej postać!...
Spełniły się wyroki... przeszło dni niewiele,
I kapłan nasze ręce połączył w kościele;
Nastała chwila szczęścia — przelotna a skora,
Przyszła snem — i uciekła, jako senna zmora...
Piękne były jej słowa, gdy rzewna jak dziecię,
Schyloną moją szyją rączkami oplecie,
I zda się całą przyszłość w moje ręce składa.
A ja myślałem w duszy: O biada mi, biada!
Jeżeli na tem czole spłoszę kiedy radość,
Jeżeli temu sercu nie uczynię zadość!...
I czyniłem modlitwy Przenajświętszej Pannie,
By tak wspólnem uczuciem goreć nieustannie...
  Musiałem źle się modlić przed Dziewicą świętą:
Bo prośb nie wysłuchano, modłów nie przyjęto...
Nie spełniłem jej szczęścia, jak to mi się marzy:
I zapał uroczysty uleciał z jej twarzy,
Powszednia jakaś próżność i zimna rachuba
Już owionęła duszę pięknego cheruba,
Egoizm w taką szatę jej postać przyodział,
Że trudny stał się myśli i uczuć z nią podział...
Wreszcie jednego serca było jej za mało,
Jej myśl biegła gdzieindziej, jej serce kłamało;
I pierzchły mego szczęścia urocze widziadła,
I gadzina zazdrości do piersi się wjadła.
Zabójcze żądło w piersiach czułem tak boleśnie,
Ból przerywał sny moje, modlitwy i pieśnie,
Obrzydził mi naturę, od pracy odpędza...
I przyszły w dom niezgoda, zgryzota i nędza,
Zdrowie mię opuściło, a w długiej chorobie

Byłem nieznośny ludziom, nieznośny sam sobie...
Cóż za dziw, że tak długo cierpiąc nadaremnie,
Towarzyszka żywota odeszła ode mnie?
Rzuciła mię w chorobie?... Sąsiedzi i krewni!
Ulitujcie się nad nią! któż jej los zapewni?
Niech jej Bóg po mym zgonie lepszą dolę zdarzy:
Och! dosyć za swą płochość poniosła potwarzy!...
Powiedzcie jej sąsiedzi, żem w ostatniej chwili
Niedolę mego życia przebaczył najmilej.
Niechaj ma duszę moją na życzliwym względzie,
Niech sama mi przebaczy, niech szczęśliwa będzie.
Ja tam z wysokich Niebios, jeśli Bóg pozwoli,
Dopomogę modlitwą do jej lepszej doli.
Oddajcie jej ten pierścień z życzliwemi słowy,
Bo grób doczesnych ślubów zdejmuje okowy.
Tu ręką cisnął czoło, jakby zbierał zmysły,
A łzy długo tajone ze źrenic wytrysły;
Stęknął... i głosem cichym, urwanym co chwila,
Dokończyć pożegnania jeszcze się wysila.

XVII.

— Bracia moi, ziomkowie dobrzy towarzysze!
Żebraczym testamentem cóż ja wam zapiszę?..
Dobry Wojciechu Oczko, cóż zostanie tobie?
Ty w życiu, we złej doli, w ostatniej chorobie,
Zawżdy byłeś mi bratem — więc nie wzgardź ofiarą:
Mam pieśni Horacego i Biblię starą,
Tam znajdziesz pokarm duszy, tam sercu osłodę...
Lubiłem zbierać księgi w moje lata młode,
I zebrałem przez życie mnogie foliały;
Ale na starość książki na chleb się przedały,
Bom często łaknął chleba... biada niedołędze!
Tak odzież po odzieży, a księga po księdze
Rozbiegły mi się z domu... Mam jeszcze opończę:
Zabierzcie ją, Bartoszu, gdy ja żywot skończę,
Bo mnie włożyć do trumny dość starej sukmany..
Mam pałasz damasceński srebrem dźwirowany,
Przyda się wam, Krzysztofie, do wojennej sprawy;

Lecz go sami musicie wykupić z zastawy...
Wy, panie Mikołaju, ot ten krzyżyk weźcie,
Oddajcie waszej żonie, poczciwej niewieście,
Co w ostatniej chorobie z dobrocią kobiecą
Przysłała mi jarzyn lub owoców nieco...
Przeżegnaj twoją dziatwę — niech przyjmie gromada
Ostatnie pozdrowienie szpitalnego dziada...
Powiedz dziatwie, że kiedy w trumnie się położę,
Przyślę z Nieba gościniec — przeżegnanie Boże...
Wam zaś, panie Jędrzeju, cóż oddam w ofierze?
Przymijcie psa mojego, niech wam domu strzeże;
Niedługo się naprzykrzy, strzegąc wasze wrota:
Zabije go poczciwa po panu tęsknota...
Oto, bracia, już wszystko, co miałem na świecie...
Jeszcze mam do was prośbę... czy spełnić zechcecie?
Wszak byłem waszym ziomkiem, każdy tego świadom:
Sercem, głową i pismem służyłem sąsiadom;
Wszakże pospołu z wami całe życie prawie
Czyniłem sprawiedliwość na sędziowskiej ławie;
Wszak niegdyś mem imieniem było miasto dumne...
Złóżcie więc kilka groszy na żebraczą trumnę,
Poślijcie na podzwonne, pomyślcie o stypie
Dla żebractwa... co piaskiem oczy me zasypie...
A teraz... Bóg was żegnaj! odchodzę w świat nowy...
Cięża mi... och! jak cięża cielesne okowy!...
A w kościanym szkielecie dusza niecierpliwa,
Jako z klatki ptaszyna... targa się... wyrywa...
Chce lecieć na swobodę... do słońca... do ciepła...
Chryste... rozwiąż jej więzy...
Tu mowa zakrzepła,
Chory usnął... i cisza nastąpiła w celi.
Obecni bicie serca i oddech przycięli.
Zegar wybił godzinę — a gdy echo kona,
Ozwała się na ścianie harfa nieruszona
Raz i drugi — a potem wszystkie struny pękły.
Oczko wokoło siebie rzucił wzrok przelękły,
Zbliżył się do chorego — wziął za puls — i płacze:

Już przed Bogiem stanąłeś, lechicki śpiewacze,
Módlcie się!...
I obecni poklęknęli bladzi;
I stał się cichy rozruch w klasztornej czeladzi;
Jezuita krzyż skreślił nad umarłą głową,
I Requiem aeternam wyciągnął grobowo;
Zahuczał dzwon kościelny, ile jęku stanie,
Głosząc po całej Polsce Acerna skonanie...

DOŚPIEWEK.

Nazajutrz stał się w mieście rozruch i żałoba:
Trup, co leżał w szpitalu, na łożu Hioba,
Złożono w pyszną trumnę na spoczynek w ziemi,
Obitą aksamitem, frendzlami srebrnemi;
Na trumnie leży harfa z porwanemi struny;
Cały kościół obito w grobowe całuny;
Zebrani na trybunach szlachta i panowie
Tak płacą hołd zapóźny zasłużonej głowie.
Kraj, który patrzał zimno, gdy zabija nędza,
Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza.
I sowity był pogrzeb — i naród się cieśni,
I w sto głosów śpiewano rekwialne pieśni,
I Ojciec Jezuita z wysokiej ambony
Wyliczał jego zasług szereg niezliczony;
I polskiego Acerna pochwała wymówna
Aż z łacińskim Horacym i Nazonem równa.
A gdy trumnę sierocą złożono na mary,
Stanęły cechy miejskie ze swemi sztandary,
Muzyka trybunalska smutne grała marsze,
I rajce skabinatu — ławniki najstarsze,
Nieśli trumnę do grobu — a potem na stypie
Szlachta wino rozlewa, grosz ubogim sypie,
Hojnie łza wytryska oczmi pijanemi —
Krzyczy: Vivat Acernus! chluba naszej ziemi! —
Ale łezką serdeczną nad grobem ofiary
Zapłakał stary Oczko — i z nim brytan stary,

Co błądząc po cmentarzu zwieszał smutną szyję.
Zgadł Acernus, że straty pana nie przeżyje:
Przez trzy dni wył nad grobem — na czwarty dzień
Zwlekł kędyś stare kości, — już go nie widziano. [rano

*   *
*

Od śmierci Acernowej trzeci wiek upływa,
A jeszcze pieśnią jego tchnie lechicka niwa,
Jeszcze jego nagrobek marmurowy, stary,
Pokazują przychodniom u lubelskiej fary.
Czcili go ludzie dawni — uczcijcie współcześni,
Męczennicy żywota, męczennicy pieśni!
Ojcze! jeżeli pragniesz przekonać twe dziecko,
Jak są wiersze i piosnki zabawką zdradziecką,
To przyprowadź je tutaj, a opowiedz wiernie
O żebraczym szpitalu i biednym Acernie;
A jeśli łzę postrzeżesz na oczach młodzieńca,
Jeśli ten wzór do piosnki jeszcze nie zniechęca,
Odżałuj twego syna — Nieba go wybrały
Do cierniowej korony i do palmy chwały!

Lipiec 1855. Borejkowszczyzna.

TRĘZLOWE.

GAWĘDA KU SZLACHECKIEMU ZBUDOWANIU.

I.

Hej, młokosy, żal mi was!
Niby stary znacie czas,
Niby wiecie o narodzie:
Jak żył szlachcic na zagrodzie,
Jak na zamku władał pan,
Jak się w celi modlił mnich;
Znacie w Polsce kilka zmian,
I sądzicie naród z nich.
Ej, do czarta taki sąd!
Tysiąc błędów idzie stąd,
Tysiąc bredni ciśnie druk,

A tych druków owoc masz!
Będzie bredził późny wnuk,
Jak za matką Ojcze nasz,
Przenaturzy, przeklnie, złaje
Staroświeckie obyczaje,
Zarumieni twarz.

II.

Ot! mówicie w jeden głos:
Że brat szlachcic służby niósł,
Że w magnackim karmion dworze,
Swego zdania mieć nie może,
Że za lichy gruntu morg,
Że za kufel, miedzi trzos
Swe sumienie dawał w borg,
Swój sejmowy przedał głos.
Jużci... jużci... jakoś tam
Były grzechy — ja to znam:
Służebnością ginął świat,
Zaściankowy podlał brat...
Ale nieraz mierny stan
Z panem zęby gryzł do dziąsł,
I niełatwo jasny pan
Zaściankową bracią trząsł:
Mimo hardej swej postaci,
Musiał w braci — uznać braci.

. . . .

III.

Gdy nie wierzysz, zobacz sam:
Ja ci mały przykład dam.
Żył przed laty w gronie braciej
Stary żołnierz, Bardysz Maciej.
Świat splondrował wprost i wstecz,
Z mnogich wojen wrócił zdrów,
A na starość chrobry miecz
Już zawiesił u swych głów.
Włókę gruntu czynszem wziął,

Zaprowadził ule pszczół,
Zaprowadził stado klacz,
Wyhodował hartów smycz,
Na jarmarkach był to gracz,
Na zwierzynę był to bicz.
Płacił czynsz na święty Jerzy,
Panu czołem nie uderzy;
Lecz kto z braci mu zawierzy,
Jak na brata licz!

IV.

Konie jego — znaczny ślad
Jeszcze dawnych polskich stad:
Maść gniadawa albo kara,
Pół Araba, pół Tatara,
Co to z wiatrem idzie w lot,
Co się z człekiem umie zrość,
Co przeczuwa cugli zwrot,
Co kierować myślą dość,
Co to czuje, że jest żyw
Z owsa, siana polskich niw,
Co wśród boju, wśród pałaszy,
Wie, że broni swojej paszy,
I już leci z całych sił,
Gdzie bojowy ujrzy pył,
Gdzie usłyszy trąby zgrzyt;
A zapałem samym syt,
Nie pomyśli przez trzy doby,
Gdzie spoczynek, gdzie są żłoby, —
Czuje męski wstyd.

V.

Sześć rumaków, jakby strzał,
Stary Bardysz w stajni miał.
A że nie chciał gnuśnieć marnie,
Toć i charty z jego psiarnie,
Czy przez gęsty sadząc płot,
Czy to w poprzek polnych miedz,

Mogły z wiatrem w zawód biedz,
Mogły ptaszka dognać w lot.
Lisa zwrotów już nie ucz,
Bo to stary majster zdrad,
Zając umie w błędny klucz
Gmatwać skoków swoich ślad;
Lecz odprzęgnij sfory stal,
Każ za zdrajcą lecieć w dal,
Ruszą zwierza wierne psiska
Z najskrytszego legowiska —
Jeno w łeb mu pal!

VI.

Stary Bardysz lubił ruch,
Był do konia jeszcze zuch,
Lubił z charty latać w pole,
Przypominać swe swawole
I sąsiadom dawać wzór
Hartowności czasów swych,
I w ostępie stać jak mur,
I odyńca brać na sztych,
Lub z rusznicy — kuli treść
W niedźwiedziowe kudły wpleść.
To też starca wielbił lud;
Powiadano ze wszech stron:
Bardyszowe konie — cud,
Dzielne charty trzyma on!
I rusznicę ma nielada,
Koniem, chartem, strzelbą włada;
Lecz nad charty, strzelby, konie,
Duch dzielniejszy w sercu płonie
U starego dziada.

VII.

Doma sławy mając dość,
Dalej... dalej począł rość:
Między pany, kasztelany,
Maciej Bardysz już był znany.

Pan miejscowy zwrócił twarz,
Myśliwemu wielce rad,
Od którego szlachcic nasz
Trzymał czynszem gruntu szmat.
Był to wielce możny człek,
A książęciem z wieka w wiek,
A tak hardy, że to wciąż
Kasztelaństwem wszystkim dmie.
Więc oświadcza wielki mąż,
Że Macieja poznać chce.
Lecz Macieja myśli insze:
— Co mi z tego? płacę czynsze;
Łask nie trzeba mnie!

VIII.

Rad ze swoich hardych słów,
Łaskę szlachty skarbi znów.
Lecz z panami trudne żarty:
Pan kasztelan wciąż uparty,
Znów przysyła dworzan dwóch,
By do zamku starca zwać;
A choć może dworski słuch
Harde słowa dał mu znać, —
Był z Bardysza wielce rad,
Przyjął w zamku za pan-brat,
Puhar miodu przepił doń;
A że był to łowów czas,
Wyciągając pańską dłoń,
Prosił jutro z sobą w las.
Tak uprzejma pańska łaska
Bardyszowe serce głaska, —
To już nałóg w nas.

IX.

A nazajutrz, hejże! hej!
Życie wrzało w głębi kniej:
Spolowano dwa obchody,
Legł pod strzałem warchlak młody;

A dzik stary w susach złych
Bardyszowi zgubę niósł,
Lecz się potknął na sam sztych,
Jak nieżywy padł na wrzos,
Bardysz zręcznie skoczył w tył
I strzał celny w łeb mu wbił.
Hucznym krzykiem cały dwór
Salutował celny strzał,
Dźwiękiem trąbek szumiał bór,
Że ktoś w sercu jakby grał;
I za dzika starą głowę
Pito huczne pogrzebowe,
Miód się zdrojem lał.

X.

Rzekł kasztelan: Teraz dość!
Dajmy dzikom w lasach rość;
Ot w zaroślach piękna łączka,
Puścim charty na zajączka,
Puścim gończe między chróst,
Dojeżdżaczy puścić w tan!
Rozkaz pobiegł z ust do ust.
— Panie Bardysz! — rzecze pan —
Okazały waścin chart,
Zobaczymy, co on wart.
Chcę pohasać konno sam,
Jeśli łaska daj mi smycz,
A na wzgórku staniesz tam
I obroty nasze licz.
Przed tak dzielnym, jak wy, starcem
Popisowym ruszę harcem,
Jak na Hordy dzicz!

XI.

Smycz z chartami ujął w dłoń,
Wskoczył na koń — parsknął koń;
Wtem głos gończych jęknął głuchy,
Wybiegł szarak długosłuchy,

Stanął słupem, patrzy w bok,
Wypatruje kędy biedz,
Stulił uszy, sprężył skok
I wzdłuż żółtych polnych miedz
Rwie do lasu z całych sił,
Aż się za nim kłębi pył.
Więc kasztelan ruszył w czwał,
Charty przed nim lecą w sznur,
Jakby jeden wicher gnał
Długie, wązkie pasmo chmur:
Zwierza, strzelca, chartów, psiarnię
Lekką taśmą pył ogarnie
Z żółtych pól i gór.

XII.

Długosłuchy pojął rzecz,
Skluczył na bok... charty w przecz, —
Dziarski rumak, czoło stada,
Już dopada, już dopada, —
W kasztelanie kipi krew.
Palnąć z konia miał już wczas,
Kiedy pędząc mimo drzew,
Zając skluczył drugi raz,
Chyłkiem... chyłkiem z góry w dół
Poplątane ścieżki snuł.
Niedaremnym strachem gnan,
Coraz w dalszy sadzi kres;
Już go z oczu stracił pan,
Jeno węchem tropi pies.
Wedle ścianki po manowcu
Od mogiłek w chróst jałowcu
Już dobiegał, już miał wpaść —
Gdy kasztelan zajął tył:
— Nie ucieczesz w chrósty waść!
Hedżha, psiska! z całych sił!
Zając skluczył po raz trzeci,
Nieprzytomny w pole leci,
Aż się kurzy pył.

XIII.

Na rumaka wyszedł pot,
Całą niwę tropem zgniótł.
W lewo, w prawo zając myli,
Już odleciał na pół mili,
Już go w knieję pędzi czart,
Kroków może trzy czy dwa;
Lecz Bardyszów zręczny chart
Już dogania, już go ma.
Pisnął zając w smutny głos,
I do góry oczka wzniósł,
I zduszony trupem padł,
Kiedy pan z kopyta grzmi,
Dobiegł, z konia skoczył rad,
I pogłaskał dzielne psy,
I ze skoków dał odprawę,
I otrąbił swoją sławę,
Jak za dobrych dni.

XIV.

Bardysz śledził każdy zwrot:
— Jak z partesów! jakby z nót!
Dzielny rumak, dzielne psiska!
Dzielne serce u paniska!
Jak on z koniem umie grać!
Jak szykowny każdy ruch!
Jak myśliwca zaraz znać!
I na wojnie pewno zuch!
Co mi po tem, pan czy czart?
On przyjaźni mojej wart!
Po wojacku rękę dam,
Po bratersku rzeknę doń:
Że kasztelan, co mi tam!
Ja myśliwca ściskam dłoń!
I uczynił, jak powiedział,
Bo nie dzieli bogactw przedział,
Kogo łączy broń.

XV.

Pan utroczył zdobycz swą,
Sadzi kłusem — trąby grzmią.
Dwór winszuje — stu lat życzy,
A on, charty dzierżąc w smyczy:
— Mości Bardysz! — krzyczy w głos —
Skarb posiadasz a nie psa!
Za tę zdobycz, co mi wniósł,
Sto dukatów każdy da;
Bo to rozkosz, mówię wam,
Z taką psiarnią kiedy szczwam!
Jaka zmyślność! jaka maść!
Jak przeskoczył dzielnie rów!
Sto dukatów! bierzesz waść?
Żądasz więcej?... śmiało mów!
Tam u waści głodno, chłodno,
Ja mu psiarnię dam wygodną,
Będzie żyw i zdrów!

XVI.

Bardysz wiedział, co to cześć,
Hardej mowy nie mógł znieść,
Lecz w łowieckim dziś zapale
Nie uważał na nią wcale;
Bo nie pański złota trzos,
Lecz myśliwski cenił duch.
Więc z daleka krzyknie w głos:
— Kasztelanie! jesteś zuch!
Na mą przyjaźń teraz licz,
Niech ci służy moja smycz;
Na pamiątkę charta bierz,
Który z tobą dzielił znój,
Niech uszczwany każdy zwierz
Przypomina afekt mój.
Weź pamiątkę w mej chudobie,
A pieniądze schowaj sobie
Na twych dworzan rój!

XVII.

Magnat skraśniał gdyby mak,
Targnął wąsy — gniewu znak;
Lecz że szlachtę skarbił wkoło,
Wypogodził dumne czoło,
I braterski przyjął dar,
Mimo świetny pański ród.
Wtem myśliwski zagrzmiał gwar,
Pito wino, pito miód.
A gdy orszak ruszył z kniej,
Pan rozmyślał w duszy swej:
Hardy szlachcic! mądry snadź!
Obyczaje pańskie wie:
Stu dukatów nie chciał brać,
Podarunek daje mnie!
On rozumie, że w łask drodze
Ja go hojniej wynagrodzę:
Pana odrzeć chce!

XVIII.

Tak panowie w każdy czas
O rachubę winią nas!
Daj mu serce jak na dłoni,
A on za to trzosem dzwoni,
I rozumie, że za grosz
Można kupić cały świat,
Wioskę, ziemię, łany zbóż,
Dusze ludzkie z liczbą chat,
Kupić sobie roje sług,
Serca niewiast, koni cug!
Skąd się wzięły, dziwna rzecz,
Takie myśli do ich głów!
Trzeba w dzieje zajrzeć wstecz...
A to przedmiot inszy znów!
Więc zostawmy refleksye:
Kto z faworów pańskich żyje,
Niechaj żyje zdrów!

XIX.

Przeminęło kilka dni;
Stary Bardysz ani śni,
Gdy doń w gości przybył z rana
Pan koniuszy kasztelana.
Był to starzec, jak i on,
Zaściankowy sobie człek,
Lecz przybyły z dalszych stron.
Służył panom cały wiek.
Tak w ukłonach zginał grzbiet,
Że służalca poznasz wnet.
Tylko męstwa dawał ślad,
Kiedy konia puścił w czwał;
Bo, mosanie, z młodych lat
On godniejszą przeszłość miał:
Służył w wojsku wraz z Bardyszem,
Był w chorągwi towarzyszem,
Szturmem zamki brał.

XX.

Jak z Bardyszem oni dwaj,
Tak był tedy cały kraj:
Jeden dworak, człek bez woli,
Drugi rolnik, pan swej roli.
Dworak życia nie miał nic,
Blady, słaby, wątłych sił;
Rolnik czerstwy, zdrów jak rydz,
Chociaż czarnym chlebem żył.
Dworak młodszy kilka lat,
Choć z panami za-pan-brat,
Lecz posiwiał, snadź od trosk,
Aż na niego spojrzeć żal!
Pan koniuszy był jak wosk,
A pan Bardysz jako stal, —
Że kto spojrzy, każdy powie:
Komu takie dano zdrowie,
Pana Boga chwal!

XXI.

— Kopę latek — Kopę zim!
— Jakże zdrowie? — Krucho z niem!
I tak dalej — gadu... gadu...
Przyszedł wreszcie czas obiadu: —
Zadymiła wdzięczna woń,
Wnieśli flaszę na ich dwóch,
Poszła czarka z dłoni w dłoń,
Misa barszczu znikła w puch,
Potem suty z kaszą zraz
I gorzałka drugi raz!
Bardysz kazał miodek wnieść, —
Wychylono — powstał gwar,
Rzekł koniuszy: Dobra wieść!
Pan kasztelan szle ci dar!
Ej, rotmistrzu! dar nielada:
Dzielny rumak z jego stada,
Dzielny ze wszech miar!

XXII.

Stary Bardysz zmarszczył brew,
Zakipiała harda krew
I pomyślał: Co u kata?
To za charta snadź zapłata!!
Poczerwieniał, zjeżył wąs;
Lecz rozwaga przyszła w czas, —
Więc bez żadnych rzecze dąs:
Łaska pańska żywi nas!
Pan Kasztelan zna swój stan,
Chce żyć z ludźmi jako pan
Mój podarek licha wart,
Lecz hojniejsza jego dłoń:
Co inszego dzielny chart,
Co inszego dzielny koń.
Za pamiątkę tak zaszczytną
Moją wdzięczność czołobitną
Raczysz odnieść doń.

XXIII.

Puhar w puhar — razy z sześć
Kazał rotmistrz miodu wnieść.
Potem wyszli na krużganek:
Tam pod stajnią koń, kasztanek.
Skakał, wił się gdyby wąż,
Targał tręzlę z całych sił,
Jeżył karczek, parskał wciąż,
Kopytami żwirek bił.
Rzekł koniuszy: Widzisz waść,
Co za kształty! co za maść!
Dobrze wróżyć można z niej!
A w tem oku jaki blask!
Wdzięcznem sercem przyjąć chciej
Kasztelańskich fawor łask!
Bardysz tylko kiwnął głową,
Z pod nawisłej brwi surowo
Spojrzał jako żmij.

XXIV.

Lecz złagodził wkrótce twarz,
Wdzięczny uśmiech znowu masz;
Koniuszemu rzekł z powagą:
Gratias ago! gratias ago!
Pan wspaniały — rzeczcie mu,
Żem z rumaka wielce rad.
Co zaś do was — w Polsce tu
Jest obyczaj z dawnych lat:
Biorąc konia albo cug,
Dla stajennych cudzych sług
Trza podarek jakiś dać;
Tręzlowego to się zwie.
Tedy wdzięcznie przyjmij wać,
Na co jeno stało mnie:
Składam waści na ofiarę
Pistoletów dzielnych parę —
Spodobacie snadź.

XXV.

Wyniósł tedy piękną broń,
Koniuszemu wcisnął w dłoń.
Patrzcie! — rzecze: to broń przednia,
To po Turkach jeszcze z Wiednia.
Gdy mój ojciec w gradzie kul
Wezyrowski namiot brał,
Jak Sobieski, dzielny król,
Pistolety jemu dał.
Tu arabskie słowa są.
A jak biją kroków sto!
Gdy nie wierzysz, to sam strzel,
Lub ja, pozwól, próbę dam!
Rzekł — i śmiało wziął na cel
Łeb rumaka — i w łeb sam
Palnął kulką o trzy kroki;
Rumak wydał stęk głęboki,
Trysły mózgu, krwi potoki
Do stajennych bram.

XXVI.

I bez ducha trupem padł
Kasztelańskich czoło stad.
— Teraz kwita! — Bardysz powie:
Nie zawstydzą nas panowie.
Ma kasztelan żart za żart.
To, coś widział, odnieś doń:
Co inszego rączy hart,
Co inszego dzielny koń.
Ja, mospanie stary szpak,
Ja się nie chcę mieniać tak.
Jam w pamiątce charta dał,
Wynagradzać ni się waż!
Oto teraz celny strzał
Porachunek zrównał nasz!
Tak powiadał dziad wyniosły,
Aż mu wąsy w górę rosły,
Aż kipiała twarz.

XXVII.

Od bogatszych większy dar
Mnieby wstydził ze wszech miar.
Jam żołnierskiej człek natury,
Lubię pościel z końskiej skóry:
Upominek mi się zda,
Ale zysków Boże broń!
Warta charta skóra ta,
A zadrogi byłby koń.
Raczcie dzięki moje nieść
Za pamiątkę i za cześć.
Jakem z reszty spłacił dług,
Nie zapomnij moich słów.
A gdy zręczność poda Bóg,
Dam pamiątkę panu znów.
Waść, koniuszy, masz tręzlowe,
Pistolety zabierz owe,
I bywaj mi zdrów.

1855. Borejkowszczyzna.

WIELKI CZWARTEK.

OBRAZ WIOSKOWY.

I.

Był Wielki Czwartek — poranek marcowy —
Na czarnych polach topniał lód zakrzepły,
Śpiewał skowronek, wiatr chystał się ciepły
I ciepłe myśli napędzał do głowy.
Człowiek skwapliwszy do Boga i świata,
Bo coś mu serce wiosenniej kołata.
Po sinem Niebie kilka chmurek płynie,
Nad czarną ziemią mgła ranna się ściele:
Nad cichą wioską, po czarnej równinie
Huczy dzwon stary — bo dziś Msza w kościele.
I przed drewnianą, zamszoną dzwonnicą,
I pod kościoła pochyloną ścianą,
Dzisiaj lud Boży zgromadził się rano.

Bo każdy przyszedł z wielką tajemnicą
Swe całoroczne i błędy, i bole
Wyznać u kratek do ucha plebana,
A w łzach, gdy ciężka zasklepi się rana,
Spożyć Chleb życia przy Chrystusa stole.
Nim organista kościółek otworzy,
Wedle dzwonnicy kupi się drużyna;
Jeden się modli, grzechy przypomina,
A drudzy gwarzą, by czas zeszedł sporzej.
Jest o czem gwarzyć, jak zwyczajnie wiosną:
Czas ruszyć z sochą — a tu niema chleba;
Woły do pracy pokarmić potrzeba,
A trawy jeszcze nieprędko wyrosną!
Sianka niewiele w ubogiej odrynie,
Ostatnia wiązka skarmi się co chwila;
A ruń z pod śniegu źle się coś wychyla,
Bóg raczy wiedzieć, czy nas głód ominie?
A choć u wszystkich w jednakiej chudobie
Jednaka dola i myśl w jednej stronie,
Miło z sąsiadem pogawędzić sobie,
Wedle dzwonnicy siadłszy na bierwionie,
Pokiwać głową po szczerej gawędzie:
  Tak, tak, sąsiedzie! Bóg wie co to będzie!

II.

  Lecz brzękły klucze w ręku organisty, —
Przeszedł przez cmentarz, mrucząc święte Psalmy.
A starcy mówią: Dziś dzień uroczysty!
Choć na czas myśli znikome oddalmy,
Zdajmy swą dolę na wyroki Boże,
A jakoś biedę przekołacem może.
  I w rdzawym zamku zaskrzypiał klucz stary,
Dzwon stęknął, mruczy, chwieje się, kołycha;
Za organistą do wioskowej fary
Tłoczy się ciżba gromadnie a z cicha;
A choć stąpają najciszej jak mogą,
Odbija łoskot echo pod podłogą.

III.

Kościół ubogi, — w ołtarzu po prostu
W ciemnych lichtarzach cztery żółte świeczki,
I stary obraz wiejskiego pokostu,
Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
We dwóch ołtarzach, na prawo i lewo,
Jest Matka Boska i święty Antoni;
Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
A patron święty ma lilię w dłoni.
Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
Na szorstkich rękach małe dziecię niańczy.
Tuż przy ambonie dwa konfesyonały,
Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
I w czarnych ramach obraz wypłowiały,
Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
Cztery chorągwie, a każda podarta,
U skromnych ławek utkwione na boku:
Tam święty Michał pokonywa czarta,
Tam święty Jerzy pastwi się na smoku.
Wojciech odbiera palmę z rąk Anioła,
I śmierć do tańca wszystkie stany woła.

IV.

Skrzypły drzwi boczne, — wioskowa gromada
Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski
Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
Prosić u Niebios przed spowiedzią łaski;
Przypadł do świętych Ołtarza podnóży,
Aż głuche echo odhuknęło w sklepie.
Wtedy pacholę, co mu do Mszy służy,
Dziecięcym głosem M i s e r a t u r trzepie.
I C o n f i t e o r z ust dziecinnych płynie
Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

V.

Powstał ksiądz pleban i poszedł pomału
W nawę kościoła do konfesyonału.
Błysła promieniem jego twarz, jak święta,

Skreślił znak krzyża — cofnęły się świadki,
I najpierwszego z rzędu penitenta
Przyzwał skinieniem przed pokutne kratki;
Złocistą stułę skrzyżował na łono,
Ukrył się w chustkę kraciastą, czerwoną,
I począł badać aż do głębi ducha...
Co tam gadali, Bóg chyba podsłucha.

VI.

Tak jeden, drugi, i trzeci, i czwarty,
Zalani łzami, odeszli od kratek.
W bocznych ołtarzach snadź z piersi rozdartej
Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
Już ksiądz nie słyszy, ale Pan Bóg słyszy,
Jak z serca ciężka odpada im żmija,
Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy,
Siedem Ojcze nasz i Zdrowaś Marya.
A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogrojcu,
Wyspowiadana modli się gromada,
Kiedy ostatnie mówi Chwała Ojcu,
Z kościelnych okien słońce na nich pada.

VII.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta,
A pleban ciągle za kratkami siedzi,
Lud to się przyszłą spowiedzią zaprząta,
Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
I klęka jeden, potem drugi po nim
Przed Matką Boską i świętym Antonim.
Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
Jeden do pana odezwał się śmielej,
Drugi swe żyto może przedał drogo,
Trzeci w gospodzie hulał co Niedzieli,
Albo na bratnią gospodarkę siada,
Albo przekosił granicę sąsiada, —
Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym a krwawym mozole

Złamał Niedzielę — i pracował jeszcze, —
Lub się ze skargą na Opatrzność miota:
Oto są grzechy kmiecego żywota.

VIII.

Pleban, co z ludem przepędził swe życie,
Być jego Ojcem wziął za powołanie,
Błędów ich serca świadom należycie,
Najskuteczniejsze lekarstwo ma na nie.
Słówko porady, a słówko pociechy,
Szczere zaklęcie na Chrystusa rany, —
A już wytrysła łza żalu za grzechy,
Już grzesznik został z Bogiem pojednany;
Lekki na duchu od brzemion sumienia,
Odszedł rozgrzeszon — godzien rozgrzeszenia!

IX.

Tak po kolei, z pokutników grona
Wiejska dziewczyna wedle kratek stanie:
Młoda snadź dusza, pokorą wiedziona,
Święte Kościoła spełnia przykazanie.
W łagodnym wzroku, w uśmiechu dzieciny
Jeszcze nie świta żadna myśl namiętna;
Na jej obliczu nie dopatrzysz winy,
Bo grzech od razu wyciska swe piętna.
Czy może życia gorycze i bole
Tutaj przywiodły jej duch udręczony?
I tego nie znać: bo na jasnem czole
Niema zadraśnień z cierniowej korony,
Co to do głowy wpija się i wjada
I boli w mózgu, jak rana głęboka,
Na czole z karbów jak z liter układa
Historyę życia, czytelną dla oka.
Tu jeszcze czoło jakby karta biała,
Złoci się na niem niewinna swoboda;
I piękną była pokutnica młoda,
Gdy się, jak wstydząc, do kratek zbliżała:

Tak się rumienić grzesznik nie jest w stanie,
To nie wstyd hańby, lecz zakłopotanie.

X.

Ksiądz nad nią znamię nakreślił krzyżowe;
Ona się żegna i klęka u kratki,
Białą oponę zarzuca na głowę
I ręce składa — cofnijcie się, świadki!
Niechaj nikt na nią nie pogląda zdala,
Nikt nie natęża ciekawego ucha:
Bo jeden wyraz jeśli kto podsłucha,
Już całą spowiedź dziewiczą pokala.
Dajcie, niech z Bogiem rozgada się szczerze,
Na drogę życia weźmie umocnienie;
Ona niedługo miejsce wam zabierze,
Bo taka spowiedź — krótka, jak westchnienie.

XI.

Ale już kwadrans trwa spowiedź dziewczyny,
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Zegar kościelny wybił pół godziny,
I trzy kwadranse, i godzinę całą —
A ona, płachtą płócienną okryta,
Jeszcze na miejscu klęczy pokutniczem;
A stary pleban z ojcowskiem obliczem
Jeszcze coś szepce i o coś ją pyta.
Kończy się wreszcie spowiedź uroczysta,
A pokutnica, drżąca i wybladła,
Do stóp świętego trybunału padła,
A na jej oczach błyszczy łza kroplista.
Kapłan się modlił dłużej, niż zwyczajnie;
Wyraz pochmurny pokrył jego lice:
Musiał usłyszeć wielkich grzechów tajnie —
I nie rozgrzeszył młodą pokutnicę.
Och! jeśli wina najcięższa ją brudzi,
Jeżeli godna czyścowej katuszy,
To już w tej chwili miała czyściec w duszy,

Gdy po raz pierwszy spojrzała na ludzi!
Gdy ludzkich źrenic ciekawych tak wiele
Tysiącem żądeł w jej serce się wpiły,
Chciała płacz wstrzymać — lecz nie stało siły,
Bolesne łkanie jękło po kościele.
Wreszcie się zrywa i oczy zasłania,
Między filary najciemniejsze kroczy,
Kędy na ścianie wisiał na uboczy
Obraz Maryi, Matki przebłagania.

XII.

Tymczasem spowiedź szła dalszą koleją:
Przychodzi jeden, i drugi, i trzeci,
Wyznając winy, łzy pokutne leją
Mężowie, starcy, niewiasty i dzieci;
Kolejno skruchą oczyszcza się rzesza,
Ręka kapłańska każdego rozgrzesza.
Coraz mniej ludzi u konfesyonału,
A dziad kościelny na wotywę dzwoni,
Gdy stary wieśniak z siwizną na skroni
Do świętych kratek zbliżył się pomału.
Ukląkł pokornie, przeżegnał się zwolna,
Westchnął głęboko, czapką twarz zasłania,
A dusza prosta, do kłamstwa niezdolna,
Poczęła swoje grzechowe zeznania.
Niewielkie muszą być grzechy w człowieku,
Co w cichej wiosce i z ludźmi prostemi
Przebył wiek czynu — już we wspomnień wieku
Spokoju bliźnich nie zmąci na ziemi:
Bo krew, co krąży powolniej a czyściej,
Dojrzałe myśli do spokoju zowie,
I szał miłości albo nienawiści
Nie zagra w sercu, nie zakipi w głowie.
Próżno się z chóru organista zżyma,
Że pora służby odprawować Boże:
Starzec niedługo plebana zatrzyma,
Bo taka spowiedź długą być nie może;

Msza święta wyjdzie za kwadrans najdalej —
Śmiało niech świeczki zakrystyan pali!

XIII.

Tymczasem starzec wciąż gada swe winy,
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Wybija kwadrans, bije pół godziny,
I trzy kwadranse, i godzinę całą.
Już zakrystyan, sztuka niecierpliwa,
I sam się krząta, i chłopców napędza;
Już organista Introit przegrywa,
Aby wywołać od spowiedzi księdza;
Już świeczki gorą u Pańskich ołtarzy,
Pokutne Psalmy zmówiła gromada, —
A pleban jeszcze starego spowiada,
Widać wzruszenie na obudwóch twarzy.
A gdy nakoniec po spowiedzi długiej
Starzec padł na twarz, ksiądz mówił pacierze,
To na ich oczach znaczno było szczerze,
Że się spłakali i jeden i drugi.
A jednak znaczno, że łzami cierpienia
Jeszcze grzechowy nieomyty zakał:
Bo ksiądz starcowi nie dał rozgrzeszenia,
A starzec głośno, jak dziecię, zapłakał.
I długo leżał przed konfesyonałem,
Chociaż nań ludzie patrzą, jak na dziwo,
I długo płakał jęczeniem zbolałem,
W kościste dłonie tuląc twarz sędziwą.
A pleban powstał — i po krótkiej chwili
Już się w ubiorze przed ołtarz ukaże;
Zaśpiewał Gloria! — w dzwony uderzyli,
Jak w Wielki Czwartek rzymski Kościół każe.
A ciżba ludu oblega balaski
I serdecznemi modli się wyrazy,
By prędzej przyjąć utwierdzenie Łaski,
I Ciało, i Krew Baranka bez zmazy;
Łączy modlitwę z ofiarą ołtarza
I Mękę Pańską boleśnie rozważa.

XIV.

Ksiądz ujął palmę i czyta we Mszale,
Co o tej Męce święty Łukasz pisze;
A organista, fałszując klawisze,
Chrapliwym głosem śpiewa Gorzkie Żale.
Naród się modli — komu głosu stało,
Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
Żaki kościelne dobitnie a śmiało
Odpowiadają: Laus, Tibi, Christe!
Stare klekotki w ich swawolnej dłoni
Grzmotnęły razem, skrzypiąc na swej osi,
Gdy dziewięć razy na Sanctus się dzwoni,
Gdy się Hostya lub kielich podnosi.
Ale najgłośniej grzmotnęła klekotka,
Że aż się zatrząsł drewniany Dom Boży,
Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy,
Gdy się odwróci do narodu środka,
Dzierżąc Chleb Ducha nad usty głodnemi,
Spowiedź powszechną odprawuje z niemi.
Słudzy kościelni tejże samej chwili
Białą oponą balaski przykryli.
Lud rzędem klęka ze skruchą na twarzy,
Ręce na piersiach jak do trumny składa;
Mężowie, dzieci, niewiasty i starzy,
Każdy się w duchu raz jeszcze spowiada.
Ksiądz, przeżegnawszy ten orszak tak liczny,
Z ołtarznych stopni idzie ku gromadzie,
I powtarzając tekst ewangeliczny,
Hostyę świętą w każde usta kładzie.
Każdy pożywa, płonąc od radości,
Że dziś sam Chrystus w jego piersiach gości.
A odchodzący od kratek balaski,
Weseli wszyscy, i młodzi, i starzy,
Znać w każdych oczach namaszczenie Łaski,
A spokój Pański zamieszkał na twarzy.
Czy to na długo?... Mój Boże! mój Boże!
Czemu tak słaba ta dusza człowieka?

Na progu chaty, na cmentarzu może,
Stargać ten pokój jakaś hydra czeka!
A póki dzionek zaświta jutrzejszy,
Ileż chmur ciężkich zawiśnie nad głową!
Nasz skarb spowiedzi co chwila się zmniejszy —
My nieszczęśliwi i grzeszni na nowo!
Lecz byle dobrej nie zabrakło chęci,
Łza i Chleb Życia są zawżdy dla rzeszy;
Gorzej tym, których kapłan nie rozgrzeszy,
Co od Bożego Stołu odepchnięci,
Którzy się tulą z płaczem za filary,
Jak ta dziewczyna i ten wieśniak stary.

XV.

W stronie kościoła — wiejski topór cieśli
Już wybudował tarciczną ciemnicę,
Już ją ubrali w kobierce i świece,
Już tam Najświętszy Sakrament zanieśli:
Rytuał rzymski jak zalecił wszędy,
Wielko-Czwartkowe spełniono obrzędy.
Naród hojnemi zalewa się łzami,
Modli się szczerze i w piersi kołata,
Że przed lat niegdyś dwoma tysiącami
Chrystus w ciemnicy był więźniem Piłata.
Ksiądz, co się trudził od świtania słońca,
Zrzuciwszy ornat, chce wytchnąć po pracy;
Już organista spieszy się do końca,
Już mu nie wtórzą wioskowi śpiewacy;
Już naród Boży, co gwarzył w przedsieni,
Znaczno po głosach, że odszedł daleko;
Nawet żebracy, pieśniami strudzeni,
Już się na szczudłach do szpitala wleką.
A jeszcze klęczą przed Najświętszą Panną
Nierozgrzeszeni i cierpiący srodze,
Starzec i dziewczę, ze łzą nieustanną
Gorące czoła tuląc ku podłodze,
Jakby wyciągał chłód ziemi surowej

Winę z ich serca lub boleść z ich głowy.
Starzec wstał pierwszy, i co starczy siła,
Wsparty na kiju szedł, modląc się Bogu;
Dziewczyna jeszcze dłużej się modliła,
Powstała, wyszła, przyklękła na progu,
I tam się krzyżem jeszcze przeżegnawszy,
Ku wiejskim polom kieruje bieg żwawszy.

XVI.

Za stodołami są wiejskie mogiły,
Drewniane krzyże zbiegły się gromadą;
Za mogiłami stoi dąb pochyły,
Dalej drożyna, co do lasu jadą,
A przy drożynie, wedle leśnej ściany,
Sterczy grobowiec z piasku usypany.
Znać z przeszłorocznych sczerniałych badyli,
Że tu rósł oset i pokrzywa dzika;
U nóg zmarłego drzewko się nie chyli,
Nie zbudowano nad głową krzyżyka.
Wiatr, co z sosnami przyległemi gwarzy,
Nie lubi kwilić na tutejszym grobie;
Przeleci czasem — mogiłę znieważy,
Rozsypie piasek i odlata sobie.
Nie pytaj w wiosce, czy prawdy, czy baśni:
Co to za dzika zacisza grobowa?
Bo ci niechętnie odmrukną pół słowa,
Ale pytania żaden nie objaśni.
Tu nawet z wioski nie zabiega trzoda,
Ranny skowronek nie wywodzi treli.
Biedną mogiłę zdaje się przeklęli
I Bóg, i ludzie, i sama przyroda.
Za lat pięćdziesiąt, jak zwykle na świecie,
Jakowyś urok mogiłę osłoni,
Podanie jakieś do niej się przyplecie,
I będą dziwy opowiadać o niej.
Dzisiaj ten kopiec jeszcze nazbyt świeży,
By o nim składać piosenki lub pieśni;

A biedny człowiek, co w tym piasku leży,
Był taki samy, jak i wszyscy grzeszni.
Nie Szwed, nie Tatar — starej skazki wzorem —
Ani był rycerz doświadczony w sile,
Nawet po śmierci nie chodził upiorem,
To i cóż gadać o jego mogile?
Toć chyba jaki żebrak z pod kościoła,
Wziąwszy jałmużnę, modląc się za zdrowie,
Jeśli wie dzieje tutejszego sioła,
O tej mogile kilka słów ci powie.

XVII.

Był to syn biednej wdowy na zagrodzie,
Która już także w Bogu odpoczywa;
Składał piosenki bywało we żniwa,
Zimą na skrzypcach wygrywał w gospodzie;
Na wszystkich ludzi poglądał surowie,
Chociaż rad bywał w każdym wiejskim tłumie;
O dziwnych dumkach, co snuł w swojej głowie,
Gada bywało — a nikt nie rozumie.
Na rok przed śmiercią zamilknął, jak ściana,
Jak nawiedzony, dotknięty niemową;
Potem do ludzi zbliżył sie na nowo,
I pijał z ludźmi od nocy do rana;
A gdy w gospodzie nie było nikogo,
Pijał sam jeden, bez końca, bez miary;
Snuł się po polach niedeptaną drogą,
Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary,
I piewał pieśni, usiadłszy przy sośnie,
Rad, że mu echo odhuka donośnie.
Tak przez półrocze, czy coś więcej pono,
Pijąc i piejąc o swojej niedoli,
Głowę przez trunek i pieśń odurzoną
Cisnął rękoma — wołał, że go boli,
Że serce drze się, że puls coraz prędszy,
Że z piersi oddech wybucha goretszy.
Chciano go leczyć — uciekł od lekarzy,

Mówiąc, że żaden ulgi nie przyniesie,
Że mu najlepiej, gdy błąka się w lesie,
Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani dworu, ni gospody niema,
Gdzie młode dziewczę nie igra z sercami,
Przysięgnie miłość — i pewnie dotrzyma.
— Tam mi pozwólcie, abym pędził życie!
Puśćcie mię! — wołał w szalonym obłędzie —
Tam złożę piosnkę — otóż obaczycie,
Że jeszcze takiej nie było... nie będzie!
I znowu, bredząc, widział dzikie mary,
I znowu światu złorzeczył boleśnie;
Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,
Przeklinał pieśnie, układając pieśnie.
Wkońcu w obłędach i sam tak się mami,
Że i przeklinał, i gadał pieśniami.
Niektóre z piesień chwyciły dziewczęta
I dzisiaj pieją w sianokos lub żniwo;
Insze, tak mądre, że czart nie spamięta.
Głosiły dolę w przyszłości szczęśliwą:
O złotych pługach, pod któremi trawa
Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
O wielkich sercach, z których kropla krwawa
Całe stulecia uszczęśliwiać może;
O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
A czasem w lesie rękoma wpół chwyta
Brzózkę, jedlinę, albo głogu ciernie,
I nawpół z płaczem, wpół z uśmiechem pyta:
Czy będziesz kochać — ale kochać wiernie? —
Nareszcie żadnych przełożeń nie słucha,
Nic nie pił, nie jadł — i pobledniał srodze,
I tu na piasku przy ustronnej drodze,
Oddał nieszczęsny Panu Bogu ducha.
Nieprędko biednych poszukali szczętów.
A gdy znaleźli, gdzie leży syn wdowi,

Tutaj mogiłę wyryli trupowi,
Bo bez Najświętszych umarł Sakramentów.
I myślą sobie: Ziemia swojej niwy
Choć z umarłego niech wyciągnie troski.
Ale szaleniec, w życiu nieszczęśliwy,
Jeszcze nieszczęście sprowadził do wioski.
Nie więcej, w tydzień trzy trójki pocztowe
Z urzędnikami do wsi naszej lecą;
A kiedy każdy zatrwożony nieco
Zdejmował czapkę, uchylając głowy, —
Kazali przysiądz każdemu z współbraci,
Że ów nieszczęsny zapaleniec młody
Umarł z puchliny, z nadużycia wody;
Kto nie przysięgnie, sowito zapłaci.
Jedni płacili z duszy po talarze,
Drudzy przysięgli — Bóg za to ich karze
Czy na dobytku, na dziatwie, na sobie,
Inszemu ogniem poszła roczna praca.
Nie dziw, że dzisiaj, wspomniawszy o grobie,
Każdy z wieśniaków rozmowę odwraca;
W każdym ku niemu wstręt znajdziesz jednaki,
Bo jego pamięć dała się we znaki.

XVIII.

Dziewczę pobiegło, kędy oczy wiodą,
Aż do rozwianej wiatrami mogiły.
Tam już u kopca był starzec pochyły,
Jakby za wspólną zeszli się ugodą.
Znać, że się zeszli dla wspólnej przyczyny
Nierozgrzeszeni dzisiejszego rana,
Że dobry Pan Bóg przez usta kapłana
Nie raczył ciężkiej odpuścić im winy.
Lecz czyliż wina, co cięży ich głowy,
Z polną mogiłą ma związek jakowy?
Coś straszliwego wykroczyli pono
Względem szaleńca, co tu pogrzebiono;
Lecz jaka wina wspólnie ich kojarzy?

Kiedy ją zmażą? jakiemi zasługi?
O to nie pytaj u wiejskich plotkarzy:
Bóg tylko jeden, a pleban wie drugi.

XIX.

Podarty całun białego śnieżyska
Gdzieniegdzie ciągnął po dolinach smugi,
Gdzieniegdzie strumyk z lodów się wyciska,
Plączą się k'niemu i jeden, i drugi,
A opłókawszy poorane niwy,
Snują ku rzece swój pęd hałaśliwy.
A wzgórki suche, — na kopcu mogilnym
Żółty żwir piasków świeci się z daleka.
Na tle błękitu bije rysem silnym
Kształt klęczącego przy grobie człowieka.
W modlitwie starca gwałtowności niema:
Klęczy schylony i wsparty na dłoni —
A mówiąc psalmy, na książkę co trzyma,
Kiedy niekiedy gorzką łzę uroni;
A kiedy ręką łzy ocierał z powiek,
Gdy siwe włosy odgarnął z nad czoła,
Dziewczę ujrzało, że to znany człowiek,
Wesoły grajek z sąsiedniego sioła.
Trudno przypuścić, by zmarłemu szkodził,
Albo ku niemu knował złe zamiary:
On go grać uczył, do gospody wodził,
Jako brat w pieśni, jak przyjaciel stary;
Znany jak człowiek dobrego sumienia,
Z dobrymi ludźmi spędził mnogie lata.
A czemuż dzisiaj nie wziął rozgrzeszenia
I przyszedł płakać nad grobem kamrata?
Na widok starca zmieszana dziewczyna
Chciała się cofnąć do leśnej uboczy:
Lecz starzec spojrzał, i coś przypomina,
I wlepił chmurną źrenicę w jej oczy...
Zaśmiał się dziko: Ha! to jakieś czary!
I ty przychodzisz płakać na tym grobie!

Dwoje morderców u grobu ofiary!
Ha!... znam ja ciebie — słyszałem o tobie!
Czego tu szuka kłamana obłuda?
Poco tu przyszłaś, zalotnico płocha?
Zakłócić spokój — to ci się nie uda!
Przebłagać cienia — to za późno trocha!
Dziś biedny Szymon śpi martwo w swej trumnie,
A dusza poszła w czyścowe ogniska,
Skąd na nas chyba przeklęctwami ciska,
Groźnie spogląda ku tobie i ku mnie.
Nas dwoje tylko ukochał na ziemi, —
A my co za to? w zamniemaniu podłem
Jad mu podali rękoma własnemi!
Ty rozpacz — ja śmierć na niego przywiodłem.
Dwoje zabójców... nad jednemi szczęty,
Zbyt obciążamy jego kości w grobie!
Dajże tym piersiom choć raz pokój święty,
Płocha dziewczyno! a idźże stąd sobie!
  Tak groźnie mruknął — i znów książkę bierze,
Na dłoń się wsparła jego głowa siwa,
I zaczynając przerwane pacierze,
Pokutne psalmy znowu odczytywa.
Ale na głowę dziewczęcą bez siły
Za nadto ciosów dnia jednego spadło:
W jej oczach ćmi się, jej lice pobladło,
Chwieje się, klęka na piasek mogiły.
Co czyni — sama nie pamięta zgoła,
Chwyta garść żwiru i ciśnie do czoła,
I tłumiąc jęki, których pierś nie zmieści,
Ledwie na ciche łkanie się zdobędzie.
Poruszył starca ten widok boleści:
  Wypłacz się, dziecię, to ci lepiej będzie!
I sam, podawszy tę radę w niedoli,
Zapłakał cicho, lecz rzewnemi łzami.
Łza zaraz ulży, kiedy serce boli,
Zwłaszcza gdy inny podzieli ją z nami.
Czasem łzę jedną okupiłbyś drogo,

W ściśnionem sercu gdy krwi bije fala;
Ale nie zawsze oczy płakać mogą,
Nie zawsze kamień z serca się odwala.
W dniach udręczenia szczęśliwsi, im szczersi,
Wsi i natury wychowańcy prości;
Nieraz bohater, mąż hartownej piersi,
Słabej niewieście jej łez pozadrości.

XX.

Dziewczę płakało — a gdyby jej łezki
Przesiąkły żwirem aż w grobowe łoże,
Spadły na piersi z pod grobowej deski,
Biedny umarły wnet wskrzesnąłby może:
Tyle w tych kroplach, co z pod serca biegą,
Siły żywotnej i żalu szczerego.
Gdy płacz szeroki, jak posłannik Nieba,
Ulżył boleści pocieszeniem nowem,
Dziewczę uczuło, że sercu potrzeba,
Aby z kimkolwiek podzielić się słowem;
I już nie bacząc, czy starzec się chmurzy,
Tak przed nim boleść serdeczną wynurzy

XXI.

I wy!... mój Boże!... smuci mię i dziwi —
Wy jeszcze na mnie rzucacie zakały,
Ojcze Tarasie! wy niesprawiedliwi!
Jak Bóg na Niebie, jak dzień mamy biały,
Klnę się na męki, co mi serce gniotą,
Jeślim zgrzeszyła — to chyba pustotą...
Musiał ci mówić: jak, gdzie, w jakiej chwili,
Gdyśmy raz pierwszy siebie obaczyli?
On był przychodzień, w naszej wiosce obcy,
Ze starą matką gdy tu chatę wzięli.
Często wioskowi gniewali się chłopcy,
Że Szymon z nimi zabawy nie dzieli,
Tryumfowali, że nie taki hoży,
Śmieli się z niego, że odludek Boży.
Lecz ja lubiłam jego rzewną postać,

VII.

Powiedziałeś mi wtedy — pomnę każde słowo:
Nie dosyć gorzkim żalem, pokutą surową
Błagać o przebaczenie miłosierne Nieba;
Za ten grzech najprzód ludzkość przebłagać potrzeba.
Nie tu pokutna włosień, nie szaty pielgrzymie,
Nie w Siedmiogórnym Rzymie, nie w Jerozolimie,
Zadosyćuczynienia chce kościelna władza;
Tam tylko, gdzie zgrzeszyłeś, niech się grzech zagładza.
Nie powiem: *Odejdź w Panu! zgładzona twa wina,*
Dopóki stary ojciec mordercę przeklina.
Patrzaj — tam jęczy starzec na wiejskim zagonie,
Pot ze krwią pomieszany oblewa mu skronie;
Już go tam wyręczała synowska posługa,
Zniedołężniały starzec odwyknął od pługa;
Dzisiaj daremnie liczy na siłę zdradliwą,
Woły go nie słuchają i pług idzie krzywo;
Pada dziad siwobrody w trudach i boleści,
Już go syn nie zastąpi, ni wnuk nie popieści.
Tyś, niebaczny morderco, za jednym wystrzałem
Zamordował rodzinę i z jej szczęściem całem,
Ojcaś przywiódł do nędzy, matkę do rozpaczy,
I mniemasz, że ci Pan Bóg tak łacno przebaczy?
O! choćbyś progi świątyń porozbijał głową,
Choćbyś jadł tylko piasek i trawę surową,
Choćbyś poszedł do Rzymu i boso i pieszo,
Nie rozgrzeszę cię pierwej aż oni rozgrzeszą.
Zrzuć ten pancerny ubiór, co na tobie błyska,
Zapomnij szlacheckiego herbu i nazwiska,
Wdziej włosianą siermięgę, jaką noszą chłopi,
Przepasaj twoje biodra powrozem z konopi,
A pójdź do twojej wioski, dziedzicu bogaty,
Na służbę wyrobniczą do sierocej chaty.
Tam straconego syna zastępując szczerze,
Poświęć całą usilność sosze i siekierze;
A gdy po długich leciech, po mozolnej pracy,
Przyznają cię za syna zgrzybiali wieśniacy,

Wtenczas upadniesz do nóg i matki i ojca,
Wyznając, żeś ich dziedzic, żeś syna zabójca.
A gdy grzech i pokutę uznają przytomni,
Gdy ci ojciec przebaczy, gdy matka zapomni,
Wtedy w kratę spowiedzi zapukasz swobodnie,
A ja w Imię Chrystusa odpuszczę ci zbrodnie.

VIII.

Skruszon odszedłem od krat spowiedzi,
Ale w obozie pierzchnęła skrucha.
Ksiądz, myślę sobie, Bóg wie co bredzi.
Któż tam dziwaka rady usłucha?
Tylkoby ze mnie, z mego nazwiska
Był w całem wojsku cel pośmiewiska;
Tożby się śmieli jezdni i pieszy,
Wszyscy Sarmaci, wszyscy Litwini!
Szlachcic zazwyczaj orężno grzeszy —
Niechże orężno pokutę czyni.
A za występek ja, zbrodniarz młody,
Będę Niebiosom czynić zadosyć,
Suszyć do śmierci piątki i środy
I włosienicę drucianą nosić.
Kiedy błyszczącą przywdzieję zbroję,
Nikt nie odgadnie, nikt nie wybada,
Że robak żalu żre piersi moje,
Że ostry bodziec ciało przejada.
Bo czyż koniecznie zbawi mi duszę
Wioskowa chata, gruba sukmana?
Szlachcie przechodzić na plebejusze —
Pokuta dziwna i niesłychana!

IX.

Tak mniemałem złagodzić zbyt ostrą pokutę,
Nie zniżyć się do gminu, a udręczać ciało;
Ale serce, rozpaczą i zbrodnią zatrute,
Trwożliwie w piersiach pukało.

I bladłem, kiedy sygnał do boju posłyszę,
Że tu przyjdzie położyć potępioną głowę;
Gdy w wesołej gromadzie szumią towarzysze,
Ja słyszę jęki grobowe.

W nocy pragnąłbym zasnąć, lecz próżne nadzieje,
Choć, zda się, unużyła całodzienna praca;
I marzyłem, że trunkiem frasunek zaleję,
Lecz wino w krew się obraca.

A gdy stoję na czatach w polu czy na łące
I słyszę pieśń żniwiarzów swobodną i błogą,
To mi serce tak bije, że aż ręce drżące
Włóczni utrzymać nie mogą.

A kiedy pęka serce, gdy się myśl rozmarza,
Rzucam włócznię i polem jak szalony pędzę,
I zazdrościłem szczęściu wiejskiego żniwiarza
W jego wełnianej siermiędze.

Tom się karmił nadzieją, że pychę zwyciężę
I szlachecki złotogłów na sukmanę zmienię;
To przeklinałem ciebie, miłościwy księże,
Żeś mi rozdrażnił sumienie.

X.

W takich męczarniach raz mi się zdarza
Otrzymać rozkaz regimentarza,
Bym we sto koni wyruszył — z blizka
Rozpoznać szwedzkie obozowiska.
Ruszam pod wieczór, i w tejże chwili
Moi pancerni Szweda złowili.
Nuż go się pytać — a on nas mami,
Że jego wojsko gdzieś za górami,
Gdzieś za rzekami w niewielkiej sile
Stąd obozuje o cztery mile.
A więc z powziętej radzi pogłoski,
Idziemy na noc do blizkiej wioski;

Tam w dymnej chacie, na wiązce siana
Usnęła nieco głowa znękana.
Alić nad rankiem, gdy jeszcze ciemno,
Sygnał bojowy zagrał nade mną.
Budzę się, zrywam, przywdziewam odzież;
Szwedzi już w wiosce, a nasza młodzież
Już się uciera, słyszę z oddali,
Kopie kruszy i z rusznic pali.
Rzucam się na koń, daję rozkazy,
Lecz siły szwedzkie o dziesięć razy
Większe od naszych.
Ale w rozpaczy
Żaden z pancernych tego nie baczy,
Lecz na kark wrogom wali się szczerze,
I szyki łamie, i jeńce bierze.
I zaczem obóz usłyszał cały
Nasze sygnały, nasze wystrzały,
Nim dobiegł hetman z posiłki swemi, —
Już trupy szwedzkie legły na ziemi;
Reszta pierzchając pali w kopyta.
Już piękna jutrznia na Niebie świta;
Spojrzę na siebie — cóż to? mój Boże!
Zamiast w pancernym błyszczeć ubiorze,
Zbudzony ze snu bojowym strzałem,
Prostą siermięgę chłopską przywdziałem,
I w tej siermiędze, syty zdobyczy,
Zyskałem piękny laur bojowniczy.

XI.

Gdy nasi pieją pieśnię pośród bojowiska,
Gdy mi hetman dziękuje i k'sercu przyciska,
Ja upadłem — i ziemię uderzając czołem,
W głębi mojego ducha rozmyślać począłem:
Czy trafem się przywdziała wieśniacza sukmana?
Czy może palcem Bożym dobitnie wskazana,
Bym poświęcony pracom, obleczon w pokorę,
Potłumił straszne piekło, co mi w piersiach gore?

Och! dotąd cóż sny moje? co moje czuwanie?
Jeden, wciąż jeden widok dręczy nieprzerwanie:
W lesie skrwawiony wieśniak na sosnowej kłodzie
Konającem spojrzeniem aż mię na wskroś bodzie;
Świszcze krew z jego piersi, oczy mu zalewa;
Ojciec, matka, kochanka, skupieni u drzewa,
Jęczą grobowym głosem... Ja słyszę ich żale
W pluchotaniu jeziora, w bojowym sygnale,
Słyszę je w dziennym gwarze i w nocnej zaciszy,
I w hulackiej piosence moich towarzyszy...
Bóg was żegnaj obozy i zwycięstwa moje!
Chyba w głuchej pustyni serce uspokoję.
Tak pożegnawszy wojnę i mój tryumf świeży,
Poszedłem pokutować do puszcz Białowieży,
I tam w gęstwinie jodeł, kędy ścieżka znika,
Rozpocząłem surowe życie pustelnika.

XII.

Jak zbawienie moje witam las ponury —
I w wąwozie leśnym, między dwiema góry,
Pod sosnowym karczem, pod granitu głazem,
Wykopałem sobie grób i chatę razem,
Wysypałem łoże piaszczyste, darniowe,
Zawiesiłem nad niem krzyż i trupią głowę.
Tam na twardym żwirze od nocy do rana
Klęcząc na modlitwie, krwawiłem kolana;
Od ranka do nocy skulony na ziemi
Jątrzyłem sumienie myślami gorzkiemi;
Za napój z potoku garśćmi wodę biorę,
Gryzę liść brzeziny i dębową korę,
I tak wciąż się modlę, i tak ciało dręczę,
Że w tydzień opadły me siły młodzieńcze.
A jednak w modlitwie, w czuwaniu i poście
Nie duch się nie krzepi, otucha nie rośce,
Nie zjawia się spokój, ni święta swoboda,
Bo grzech mój za ciężki, bo dusza za młoda;
Drga serce w torturach wewnętrznej męczarnie,

A myśl rozpaczliwa do głowy się garnie.
O! łatwiej starcowi, łatwiej eremicie
Prowadzić na puszczy bogobojne życie;
Młodociane serce w inszy takt kołata,
Potrzeba dłań uczuć, potrzeba dłań świata!
Niech dźwiga ciężary, niech trudy pokona,
Niech czyny olbrzymie wykwitną mu z łona,
A wtenczas jak święty umocni się w wierze,
I wtenczas znaczenia modlitwa nabierze,
I miłość młodzieńcza, i święta otucha,
I czyn jego ramion, i myśl jego ducha.

XIII.

Jam tych prawd nie rozumiał, i mnie się zdawało,
Że chcąc ducha rozwinąć, trzeba zgnębić ciało;
Że gdy je całkiem zgnębię, że gdy zamrę w czynie,
Doskonalsza modlitwa z mej piersi popłynie;
Że szatan nie dosięże, gdy od niego stronim...
Pasowałem się z sobą, jak święty Hieronim
Na bezludnej pustyni — lecz w tych walkach zgoła
Nie wyszedłem zwycięzcą, jak Doktor Kościoła.
Duch mój pada, lepianka cielesna się kruszy,
Bom nie obliczył zdrowia ni sił mojej duszy;
Usta z głodu sczerniały, pierś pragnieniem gore,
Straciłem w ręku siłę i w nogach podporę;
Gdzie spojrzę, krwawe pręgi latają koło mnie,
Myśl wytężona k'Niebu rwie się bezprzytomnie;
Zapomniałem, kto jestem? gdzie jestem i poco?
Tylko głowa coś marzy, usta coś bełkocą,
Aż w dzikim szumie lasu sen objął mię złoty,
Utraciłem poczucie mej własnej istoty.

XIV.

Palon gorączką, nie pamiętam zgoła,
Jak wiele czasu przetrwałem w tym stanie...
Kiedym się ocknął, poglądam dokoła:
Jam w wiejskiej chacie złożony na sianie,

A nad mą głową, — czy widzę? czy marzę? —
Zwisły dwie ludzkie nieznajome twarze.
W lnianej odzieży jasnooka dziewa,
Zarumieniona, to naprzemian blada,
Pot mi ociera, do ust napój wlewa,
I patrzy w oczy, jakby życia bada.
Półwieczny wieśniak, siedzący koło niej,
Mego oddechu z natężeniem słucha;
Pokiwał głową, podparł się na dłoni
I buchnął dymem z krótkiego cybucha.
Twarz ogorzała, wąsata, brodata,
Lecz słodki uśmiech po twarzy mu lata;
Na silnych barkach miał sukmanę siwą,
Borsuczą torbę i przykrycie głowy;
U jego pasa był nóż i krzesiwo
I na rzemieniu kręty róg wołowy.
Patrzę się pilno... mniemałem, że roję;
Badam, czy żyję — lecz serce kołata;
Chcę mówić — słowa rozległy się moje:
Kto wy jesteście? i jaka to chata?
Czemu nie jestem w pustelnej pieczarze?
Czym ja przytomny? czy ja we śnie marzę?

XV.

Rzekł mi: Ja jestem tutejszy gajowy,
A wasza miłość, nie wiem kto jesteście.
Leżałeś w lesie bez ducha, bez mowy
Całą godzinę; zagadałeś wreszcie
Coś bezprzytomnie niby przy fortecy
Rycerz zajęty bojowem rzemiosłem.
Widząc, żeś chory, wziąłem cię na plecy
I do mej chaty, do córki zaniosłem.
Tutaj na sianie, to spałeś jak drewno,
Toś sobie jakieś przypominał zbrodnie.
Tak między życiem a śmiercią już pewną,
Myśmy was strzegli całe dwa tygodnie.
A człowiek jakoś na puszczy dalekiej

Zna różne ziółka, i kwiatki, i trawy:
Wziąłem cię leczyć... i Pan Bóg łaskawy,
Ot, jakoś proste powiodły się leki.
Kto waszmość taki, nie pytam się o to,
Boś jeszcze słaby, a mnie czas do dzieła;
Znaczno, żeś szlachcic — ej, młoda słaboto!
Podziękuj Bogu, że niemoc minęła!

XVI.

Tak, kędy serca proste, chata cicha, ciepła,
Choroba przemijała, a dusza mi krzepła.
Zszedłem z łoża niemocy. Dni za dniami biegą,
I chciałem już opuścić chatę gajowego,
Iść gdzie oczy poniosą na rozstajne szlaki,
Wybrać sobie pustynię albo klasztor jaki
I tam resztę żywota spędzić na pokucie;
Lecz tu mię zatrzymało wdzięczności poczucie.
On mi życie przywrócił, on czuwał nad chorym,
Grzechby ciężki tak prędko rozstać się z Hrehorym.
Ile ręce umieją, ile siła starczy,
Postanowiłem dzielić ich trud gospodarczy.
A to już była jesień — pomiędzy polany
Pustował w dzikim borze grunt niepoorany,
Bo gajowy pod starość rozleniwiał trochę,
Wolał pieski i strzelbę, niż woły i sochę; —
Więc mi przyszła ochota, dziej się Boża wola!
Poorzę mu, jak umiem, choćby zagon pola;
Przez to szlachecka ręka nie zhańbi się srodze;
Potem zboże posieję i płotem ogrodzę,
Jesień tu popracuję, a w zimowej dobie
Odejdę, zostawiwszy pamiątkę po sobie.
Jak się rzekło, tak stało. Z razu trudy marne:
Socha była mi ciężka, a woły niekarne,
Niewprawnemi rękoma wiedzion pług zębaty
Kroił ziemię w gzygzaki i w podarte szmaty.
Ale z pracą i na to znalazła się rada;
Już się w równiejsze skiby mój zagon układa,

Oswoiła się ręka z siekierką i z broną,
I grunt mego zasiewu zaruniał zielono.
A Hrehory i nierad, i rad, że mu służę,
Przepraszał mię, szlacheckiej dziwił się naturze,
Wybadywał, kto jestem? czy rodem stąd blizko?
Chciał wiedzieć me przygody i moje nazwisko.
I na cóż wam — mówiłem — moje straszne dzieje?
Pozwólcie, niech pracuję, niech nie leniwieję,
Niech dla ciebie poświęcę me siły młodzieńcze,
Za życie, za czuwanie, za chleb się wywdzięczę!
Tak zbywałem pytania — a żałując czasu,
Szedłem z sochą na pole, z siekierą do lasu;
I tutaj w pocie czoła wśród modlitwy Bożej,
Och! gdyby spokój ducha, byłoby niezgorzej.

XVII.

Hrehory miał córkę w wiośnianym dni kwiecie;
W borowej zaciszy wyrosło to dziecię,
Jak chmielu gałązka, gdy wić się poczyna,
Lękliwa i żwawa, jak leśna ptaszyna;
Jak leśna przylaszczka błękitne jej oko —
A duma poważnie — a wzdycha głęboko —
Czuwała przy mojej Łazarza pościeli.
Jak leśna wiewiórka póki się ośmieli,
Od wzroku truchleje, od ręki ucieka,
I znowu ci w oczy pogląda z daleka,
I znowu się zbliży, i zwolna, och! zwolna
Oswoi się z człekiem figlarka swawolna,
Poczyna igraszkę a czasem gdy łaska,
Na ramę ci wskoczy, oblicze pogłaska,
I znowu ucieka, po drzewach się wspina:
Tak samo nieśmiała, pierzchliwa dziewczyna
Wlepiała mi w oczy wzrok pełny rozkoszy;
To coś ją przynęci, to znowu odpłoszy.
Nie chciałem o serce dobijać się młode,
I wzrokiem zbrodniarza zatruwać swobodę
Niewinnych jej dumań.

Bywało gdy w święto,
Ja siedząc oparty o kłodę wyciętą,
I z twarzą pochmurną, jak dusza skalana,
Modlitwę pokuty zasyłam do Pana, —
A ona swobodna jak motyl skrzydlaty,
Wybiega do lasu w jagody, po kwiaty,
Zatrzyma się przy mnie, popatrzy mi w oczy,
I głowę opuści, oblicze zamroczy,
Poduma — i z trwogą aż cofnie się zbladła,
Jak gdyby głąb piersi mordercy odgadła.
Bywało z siekierą gdy ręka mi słabnie,
Gdy skiby z pod sochy ścielą się niezgrabnie,
Gdy kosa nierówno uderza po trawie,
Śmieje się dziewczyna i pyta ciekawie:
Ej, Kuźmo! kto jesteś? i z jakiej ty strony?
Jak starzec posępny, jak szlachcic pieszczony —
Prawdziwe chłopaki to u nas nie tacy:
Ochoczy w zabawie, a dzielni do pracy.
Czy wiesz co? zapomnij twej wioski dalekiej,
Tu zostań na długo... na długo, na wieki;
A wtedy obaczysz... odżyjesz w tym lesie:
Tu praca i siłę, i zdrowie przyniesie;
Tu będziem pracować, tu będziem się śmieli,
Dla ciebie tu zdrowiej, a dla nas... weselej.
Pozostań tu z nami — raz mówił Hrehory —
Ja codzień to gorzej i stary i chory,
I w lesie, i w chacie coś idzie nieskładnie,
A jak ty odejdziesz, i ten ład przepadnie!
Ot ja ci po prostu swe myśli odkryję:
Marya cię lubi — ty lubisz Maryę;
Choć, widzisz... pustota jej trzyma się głowy,
Ty mruczysz poważnie jak niedźwiedź borowy;
Lecz widzę was dobrze... czy w polu, czy w chacie,
Wy sami nie wiecie, że wy się kochacie.
Więc przyjdźcie tu do mnie, o zgodę poproście,
Pójdziem się pokłonić we dworze staroście,
Wyprawim sowite wesele i tany,

I będziesz mym synem, mój Kuźmo kochany.
Ty strzelasz niezgorzej, widziałem już próby,
A ja ci przekażę myśliwskie sposoby,
I strzelbę żwirówkę, poczciwe narzędzie —
Zostaniesz tu strzelcem... i dobrze ci będzie.

XVIII.

Tak mi mówił Hrehory — a jam zdrętwiał cały,
Uśmiechnąłem się niby, i łzy się polały,
I w głąb mojego serca zajrzałem z obawą:
Och, jam kochał Maryę! Ale któż dał prawo
Temu posiadać szczęście niewinne młodziana,
Czyja przeszłość zbrodnicza, a dusza skalana?
Jam zatruł cudze szczęście — ach! tam w mojej włości
Płynęła krew niewinna, płyną łzy żałości!
Tam, gdzie syna kmiecego zgładziłem ze świata,
Ojciec, matka przeklęctwy do Niebios kołata;
Gdy na mnie piorun Boży gotują ich żale,
Jażbym tutaj o szczęściu śmiał myśleć zuchwale?
Nie... ucieknę! ucieknę do mojego sioła,
Jak mi kapłan rozkazał, jak sumienie woła,
Rzucę herbowną pychę... o! dosyć jej, dosyć!
Dziś umiem, dzięki Bogu, i orać i kosić;
Już zapomnę, żem rycerz herbowny, bogaty,
Zastąpię starym kmieciom podporę ich chaty...
Och! i tego za mało gwoli ich pociesze:
Zastąpię wyrobnika — lecz syna nie wskrzeszę!

XIX.

Gdy takie myśli Bóg we mnie budzi,
W nocy uciekłem od dobrych ludzi,
Wyszedłem z lasu, choć poniewoli;
A serce bije, a dusza boli,
Bo w lesie szczęście moje zostawa;
Ale ofiara wielkie ma prawa.
Widzę przed sobą, widzę zaiste
Drogi ciernistе i krzemieniste —

Lecz nawet z bólu jęknąć nie mogę.
O! któryś odbył krzyżową drogę,
Na mojej drodze wzmocnij mię, Chryste,
Na szczyt Golgoty! — Nierówna miara:
Bo tam za ludzkość święta Ofiara,
Tam był Miłości przykład jedyny,
Tu jeno własnej zgładzenie winy.
Że sercu ciężko? och, to rzecz błaha!
Przeklęctwo temu, kto się zawaha,
Kto swą powinność spełnić się zlęknie,
Kto pod ciężarem krzyża zastęknie!

XX.

Tak świętej powinności przejęty zapałem,
Do rodzinnego sioła pieszo wędrowałem;
Z kijem, z torbą obszedłem okoliczne strony,
Niby żebrak, roboty i chleba spragniony:
Zwiedziłem dom ojczysty — co zmian w krótkiej chwili!
Nowy dworzec postarzał, rodzice nie żyli,
Moja siostra władała i dworem i siołem;
O mnie mówili ludzie, że w boju zginąłem.
Młodszy mój brat, przed królem stanąwszy przytomnie,
Chorążowstwo połockie odziedziczył po mnie.
W domu ojców nie zgadli kto snadź ten ubogi,
Własny brytan myśliwski szarpnął mię za nogi,
A nawet mnie nie poznał ni z twarzy, ni z mowy
Stary szafarz, mój niegdyś luzak obozowy.
On popatrzał mi w oczy, na twarz, na łachmany,
Podał mi chleb razowy i szeląg miedziany,
I westchnął stary kamrat pancernego znaku:
Za duszę Kazimierza, pomódl się żebra-
Rzekł i odszedł powoli. [ku!
O strono domowa!
Więc tu jeszcze ktośkolwiek moją pamięć chowa!
Ale nikt mię nie poznał — czy twarz moja blada?
Czy czarna, gęsta broda, co na piersi spada?

Nie odgadli żebraka w progach jego domu,
A jam się nie dał poznać nikomu... nikomu.

XXI.

Poszedłem do mej wioski — co tu zmian, mój Boże!
Jedną chatę wzniesiono, a druga się wali.
Siadłem w izbie karczemnej, przy progu, w pokorze;
Był to wieczór, a ludzie z pola powracali.
I zaszło tutaj kilku starych gospodarzy,
Jeden z kosą, ów z cepem — usiedli za stołem,
I jeden do drugiego przepija i gwarzy.
Ja pilno słuchać począłem.
I zadrżałem, bom poznał starego Marcina,
Któregom osierocił w moje dni junacze;
Dziad postarzał, posiwiał, garbić się poczyna,
Oczy mu krwią zabiegły, znać, że często płacze.
On przy czarce, przy lulce, w kole towarzyszy,
Rozpłakał się, gdy stare opowiadał dzieje:
Ej, kumie Mikołaju! Bóg widzi i słyszy,
Co ja codzień wycierpię, co ja łez wyleję!
Ej, pan Kazimierz Korsak, niech Bóg nie pamięta!
Pokrzywdził mię... wyplenił mój ród na tej ziemi —
Ot, kumie! jużbym dotąd piastował wnuczęta,
Jużbym dziś, wyręczony rękami młodszemi,
Wypoczywał na starość i cieszył się dziatwą.
O stare moje lata! o doloż ma licha!
W lat sześćdziesiąt pracować... nie łatwo, nie łatwo!
Czoło z potu, a oko od łez nie wysycha...
Hej, panie gospodarzu! gorzałki przynieście!
Wypiję, to mię jakoś orzeźwi, odmłodzi.
Możebym rozżalony przeklinał nareszcie
Zabójcę mego dziecka — a to się nie godzi.
Już i tak on skarany za zbrodnicze dzieła,
Poszedł rachunek z Jankiem odprawić do grobu.
Jednego i drugiego kula nie minęła, —
Niechże Bóg nad duszami zlituje się obu!
Kumie, w ręce waszeci! czarkę jeszcze wzniosę

Na szczęśliwe skonanie!
Stary wypił szczerze,
Wstał, zarzucił na plecy swe grabie i kosę.
I powlókł się do domu, szeptając pacierze.

XXII.

Śladem za nim poszedłem aż do jego chaty
Ja, dziedzic włości bogaty,
I niby to z daleka przychodzień, sierota,
Zakołatałem we wrota;
I prosiłem ze łzami, by starzy kmiotkowie
Dali przytułek mej głowie.
Ja mam silne ramiona i serce ochocze,
Ja was staraniem otoczę,
Ja się pracą wywdzięczę za przytułek w chacie,
Wszakże wy syna nie macie.
I ja jestem sierota — wy dla mnie na świecie
Ojcem i matką będziecie.
Ja ujmę w młodsze ręce twoją, starcze, sochę!
A chleba i strawy trochę,
Trochę czułego serca niech litość przeznacza
Dla nieszczęsnego tułacza.
Tak mówiłem — prostota i łza moja szczera
Poczciwe serca otwiera.
Popłakali się starzy, ofiarę przyjęli,
Siedliśmy za stół weseli;
A przy skromnej wieczerzy, wieśniaczka zgrzybiała
Kiedy mię synem nazwała,
Uczułem taką radość, taki spokój żywy,
I byłem taki szczęśliwy,
Jakby sam Bóg zawołał, kojąc me rozpacze:
Kaimie, Ja ci przebaczę!

XXIII.

Już siódmy rok się kończy, jako u nich żyję,
Jarzmo pracy rolniczej włożywszy na szyję.
Razem z duchem ofiary wzmagała się siła,
I chatnia gospodarka w mych ręku odżyła.

Potem mojego czoła zlewałem zagony,
I rodził grunt, starannie z chwastów wypleniony;
Pracowałem i ręką, i sercem, i głową,
Pobudowałem chatę i stodołę nową.
Ani na dworne miedze, ni na swoje pole,
Nigdy bywało ojcu ruszyć nie pozwolę;
Nigdy bywało matce praca nie dobodzie,
Nie przyszło żąć na niwie lub kopać w ogrodzie.
Jam pracował dla wszystkich, ile siła zmoże;
Odbierałem obelgi i chłosty we dworze,
Bo nikt się nie domyślał z całego tu grona,
Ani dworski staròsta, ni siostra rodzona,
Żem ja, brat zaginiony, żem dziedzic ich włości
Takem się ja za zbrodnię wypłacał ludzkości...
Tak, ojcze spowiedniku! wedle twojej myśli
Założoną pokutę spełniłem najściślej:
Wdziałem wełnianą odzież, jaką noszą chłopi,
Przepasałem me biodra powrozem z konopi.
We własnej mojej wiosce, ja dziedzic bogaty,
Szedłem za wyrobnika do sierocej chaty,
I rodzicom ich syna zastępując szczerze,
Poświęciłem się cały sosze i siekierze.
Oto po siedmiu leciech, po mozolnej pracy,
Przyznali mię za syna zgrzybiali wieśniacy.
Oto ci całe życie wyznaję swobodnie...
Księże! w Imię Chrystusa odpuszczaj mi zbrodnię!
Czuję, że życie moje chwilami się liczy:
Piersi moje osuszył kaszel suchotniczy;
Słowa, któremi moje otwieram ci rany,
To ostatni wysiłek piersi skołatanej.
Nikomu nie powiadaj, kto jestem, kto byłem:
Srodze pokutowałem, bo srodze zgrzeszyłem.
Tu niemasz bohaterstwa ni wielkiej zasługi —
Gdybym żył drugie życie, jeszczebym raz drugi
Odbył taką pokutę w pokorze i skrusze...
O Boże, chciej przygarnąć bolejącą duszę!...

XXIV.

Chory przestał już mówić — a ciekawa rzesza
Pogląda nań, z boleści ściskając ramiona.
Spowiednik rozgrzeszenia modlitwę przyspiesza,
Dopóki Łazarz nie skona.
Ale jeszcze nie skonał, jeszcze się porusza,
Kaszlnął krwią, podniósł oczy i cichemi słowy:
Ojcze!... matko!... przebaczcie!... — i już jego du-
Stoi przed sądem Jehowy. [sza
Z duszą jego jęk starców poleciał ku Niebu;
Zapłakali sąsiedzi, których dzielił pracę;
Jezuita spłakany wywiódł pieśń pogrzebu:
O requiescat in pace!

XXV.

Kazimierz Korsak śpi w wiejskiej mogile,
W chłopskiej sukmanie — a jak tego życzy,
Jego ród pański i poświęceń tyle,
Wszystko ukryte w ciszy tajemniczej.
Tylko Podolec dla przyszłej pamięci
Rzecz całą w aktach zapisał w klasztorze,
I stary Marcin domyślał się może,
Bo gada z sobą i głową coś kręci.
I na mogiłę chodzi co poranka,
Kędy dwa groby, i Kuźmy, i Janka.
I wkrótce ludzie wykopali z blizka
Dla dwojga starców piasczyste mogiły.
Zielskiem zarosły cztery grobowiska,
I cztery krzyże z latami zegniły.
W wiosce czas jakiś gadano jedynie
O młodym Kuźmie, co przybył w te strony,
I jakby cudem Bożym nawiedzony,
Ostatnią spowiedź odbył po łacinie.

XXVI.

Może w końcu gawędy ciekawi jesteście,
Co z Hrehorym, co z Maryą stało się nareszcie?
Czy w lesie, gdzie pracował, gdzie przeżył nie mało,

Jakiekolwiek wspomnienie po Kuźmie zostało?
Och, zostało wspomnienie!... tu od chaty blizko,
Mchem borowym porosłe proste grobowisko;
I w sercu Hrehorego niezgojona rana,
I w starych jego oczach łza nieprzepłakana,
Jak woda, co z pod góry wyciska się z cicha,
Spada jeno kroplami, ale nie wysycha.
Gdy Kuźma zginął z chaty, był popłoch niemały:
Mniemano, że go zwierze w lesie rozszarpały,
Mniemano, że na puszczy zabłąkał się może,
Lub że biedny utonął w poblizkiem jeziorze.
Hrehory wzywał ludzi, błąkał się po kniei,
Wołał i w róg wołowy trąbił po kolei,
Lecz za całe wołanie, za odpowiedź całą
Tylko w sosnach borowe echo odhukało.
Hrehory przestał szukać...
A biedna Marya
Rozpaczliwem wołaniem wciąż Niebo przebija:
Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś? — woła w puszczę głuchą,
Tamuje oddech w piersi i natęża ucho,
Kędy echem pustynia odezwie się dzika,
Ona biegnie w tę stronę i znowu wykrzyka.
A gdy w jęku i biegu opuszcza ją siła,
Głos gdy drętwiał, a usta spiekota paliła,
Ona tchem gorączkowym chcąc orzeźwić łono,
Przypada w dzikie chwasty i trawę zieloną,
I zrywa się, i bieży obłąkane dziecię:
Kuźmo! Kuźmo! gdzie jesteś? odezwij się przecię!
Przedziera się przez chwasty, to jęczy, to klęka,
Modli się, padłszy na twarz, aż łzami przesięka
Mech borowy, i ziemia wilgotna, i trawa,
A z ziemi chłodem wionie — lżej sercu się zdawa.
Po czterech dniach upadła w boleści i trudzie,
O trzy mile od chaty znaleźli ją ludzie:
Zbladły lica, na których kwitł rumieniec żywy,
W rękach ściśnięte kwiaty i dzikie pokrzywy.
Mniemali, że umarła, bo blada i milczy,

Tylko w błękitnych oczach blask dziki, jak wilczy,
Migoce, zdradza życie, co już gasnąć zacznie.
A poczerniałe usta coś szepcą dziwacznie.
Przysłuchali się ludzie: och, znajome słowo!
Dziewczyna śni wesele, śpiewa pieśń godową,
Że niby to ją Kuźma po imieniu woła,
Że niby to ją drużki wiodą do kościoła:

XXVII.

Słonko Niedzielne świeci,
Świeci jasną pogodą —
Ojcze, błogosław dzieci!
Już mię do ślubu wiodą.
Na dworze gości roje,
Tam i lubego zoczę;
Drużki, wy siostry moje,
Spieszcie mi pleść warkocze!
Kieruj pod cmentarz konie,
Pod cmentarz, drużbo miły!
Ja matce się pokłonię,
Przeżegna mię z mogiły!
Z ruty zielony wianek
Na moją głowę włoży, —
Ej, Kuźmo, piękny ranek
Piękną nam dolę wróży!
Ej, spieszcie lasem, błonią,
Bo droga nam daleka!
W kościele dawno dzwonią,
Ksiądz przed ołtarzem czeka!

XXVIII.

Tak szepcąc, jęcząc piosnkę — skonała po chwili.
Struchleli dobrzy ludzie, co świadkami byli;
A piejąc Anioł Pański drużyną gromadną,
Ojcu odnoszą zgubę i na ławie kładną.
Stary ojciec nie płakał, tylko ruszał głową.
Milcząc wyciosał mary i trumnę jodłową;
Wykopał sążeń jamy na jej trumnę drobną,

A księdzu dał na dzwony i na Mszę żałobną,
I garść piasku nasypał dziewczęciu na oczy...
Grób ją z lubym zjednoczył — czyż Pan Bóg zjednoczy?

Lipiec 1853. Borejkowszczyzna.

PAN MAREK W PIEKLE.

PRZYPOWIEŚĆ SZLACHECKA.

I.

Panie Jakóbie! Canonica hora...
Żyjemy z sobą nie dziś i nie wczora,
Byliśmy razem smutni i weseli,
Razem miód pili i razem krew leli;
Co zjedli soli nie przemierzyć korcem,
Snuli się niegdyś pod jednym proporcem
Po całym świecie, jak po piekle Marek —
Toć miło razem wychylić puharek.
Daj Bóg na starość pocieszyć się zdrowiem!
Ja ci o Marku przypowiastkę powiem.

II.

Ten Marek — słuchaj Jegomość Dobrodziej —
Jak się nazywał i z kogo się rodzi,
Jakiego herbu używał w sygnecie,
Nic nie wiadomo, a świat różnie plecie.
Lecz był to szlachcic; mimo szlachty braci,
Z wielkim się domem jakoś koligaci:
Nie już po mieczu doszedł paranteli,
Lecz się poplątał więzami z kądzieli,
Co mu tak serce próżnością rozłechce,
Że z drobną szlachtą i gadać już nie chce;
Szlacheckie dwory omijając zdala,
Jeno się pany możnymi przechwala.
Zamiast zajadać z dziatkami i z żoną
Szlachecki barszczyk ze schabą wędzoną
I pijać piwko, co się w kuflu pieni,

Pan Marek wzdycha do pańskiej pieczeni
I do ukłonów stare kości zgina,
By spijać męty pańskiego węgrzyna.
Na chudej szkapce, z szabelką u pasa,
Z zamku do zamku ustawicznie hasa:
Tam pan kasztelan wyprawuje gody,
Tam imieniny pana wojewody.
Gdzie brat choruje, tam go ani proście:
On spieszy leczyć ogary staroście.
Dopieroż patrzaj, jak wyciąga szyję
I jasnym panom prawi oracye,
Jak ich wywodzi od dziada, pradziada,
Jak submituje i do stóp się składa!
A jasne pany, zwyczajnie jak pany,
Szlacheckim plecom nie skąpią swej ściany,
Rzekomo szlachtę przyjmują z rozkoszą,
Na szarym końcu do stołu poproszą,
Tam przypochlebiaj, znoś urągowiska,
A przed sejmikiem pan za to uściska,
A na sejmiku swojej sprawie gwoli
Łeb na szablice nadstawić pozwoli:
Oberwiesz kresę, to ją znoś w pokorze!
Panie Jakóbie! czyż nie prawda może?

III.

Już to prawdziwie, gdy się człek obliczy,
My szlachta lubim ten chleb służebniczy,
Radziśmy w pańskiej ujarzmiać się sosze,
Ten mniej, ten więcej, a wszyscy po trosze.
Ale pan Marek w pochlebstwa ferworze
Uboższych nie miał za stworzenie Boże;
Tylko w gospodzie, przy szlachcie poziomej
Lubił wyliczać senatorskie domy,
Z któremi, mimo dziurawej opończy,
Albo przyjaźnią, albo krwią się łączy,
Z któremi żyje tak za-panie-bracie,
Jakby sam krzesło zasiadał w senacie.

Pan Marek ginął, ciesząc się, że ginie,
Przyjmował pany w ubogiej wiosczynie,
Rad, gdy zapasy grosza i śpiżarnie
Zjadały pańskie pachołki i psiarnie.
A nigdy w imię braterskiej równości
Kowieńskim lipcem nie uraczał gości;
Jeno, nie bacząc, staje czy nie staje,
Sprowadzał z Węgier kosztowne tokaje,
I (co podanie wiarogodne ręczy)
Jakby w kościele, palił wosk jarzęczy.
Kominek doma był prawie nieznany:
Wstyd przy ognisku biesiadować z pany.
A głupie zdanie! od świecy jarzącej
Kominek światła i ciepła ma więcej.
A kiedy buchnie, zahuczy, wystrzeli,
Ludzie, chcąc nie chcąc, muszą być weseli.
Zwłaszcza gdy wtórzy do ognia wybuchu
Brzęk szklanic, miły szlacheckiemu uchu;
Rodzą się dumki, gawędki, p r z e z d r o w i e!
Panie Jakóbie! czy ja prawdę mówię?

IV.

Prawda? więc jeszcze brzęknijmy w puharek!
Co ja mówiłem?... otoż to!... pan Marek,
Lekce szlacheckie poważając rzesze,
Czepia się panów i ku ich pociesze
Nie szczędzi karku, trzosu i oręża,
Odłuża wioskę, zdrowie nadwyręża.
Przyszła choroba, po krótkiej chorobie
Umarł nieborak i położon w grobie.
Tu nikt nie płakał u grzesznego ciała,
A tam się dusza — do piekieł dostała,
Czy, mówiąc grzeczniej, jeśli taka wola,
Poszła na święte elizejskie pola.
Tam się ognisko niezgasłe rozpala,
Męki Danaid, Syzyfa, Tantala
Obaczył Marek z przerażoną twarzą.

Ale iż głupców tak srodze nie karzą,
Więc go strażnicza dopuściła władza,
Gdzie orszak zmarłych cieniów się przechadza.
A był to ogród cienisty, szeroki,
Zawierał gruntu trzy lub cztery włoki,
A kędy lasek czy kwiecista łąka,
Gromada cieniów swobodnie się błąka.
Niejeden z cieni stając przy sąsiedzie,
Macha rękoma — snadź rozhowor wiedzie;
Ciała nie widać, lecz kędy cień głowy
Gwar się rozlega poważnej rozmowy.
Pan Marek myśli: Ha! tu jak na ziemi
Człek się nagada, będzie żył ze swemi,
Jeno potrzeba po dworsku i gładko
Z jakich się panów połączyć gromadką.
Ot, kilka cieniów toczy się, jak płynie —
Znaczno po minie, znaczno po czuprynie,
Co to za ptaszki i jakie ich pierze:
Wojewodowie, hetmany, kanclerze!
Jeden cień mówi — ho! poznaję z mowy,
To pan wendeński starosta grodowy! —
Pomyślał Marek i bieży doń prosto:
Powolne służby dostojny starosto!
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan starosty uchyli;
Lecz się starosta nie odkłonił wzajem,
Tylko zachrząknął pańskim obyczajem,
I odszedł dalej, nachmurzywszy lica,
Jakby nie widział i nie znał szlachcica.
Dzisiaj starosta w niedobrym humorze!
Ot pan kasztelan — przywita się może! —
Pomyślał Marek i przed cieniem stanie:
Powolne służby, mości kasztelanie! —
I cień swej ręki, jak za dawnej chwili,
Do cienia kolan kasztelańskich chyli;
Ale i tutaj nadaremna praca:
Kasztelan spojrzał i wstecz się odwraca.

Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej;
To wojewodzie powitanie pali,
To hetmanowi swój afekt wymierza,
To się przysunie do pana kanclerza,
Aż łamie ręce — nadaremna rada,
Bo żaden z panów i słowa nie gada,
Choć między sobą, gdy się w kółko zgarną,
To słychać śmiechy i rozmowę gwarną.
Simili gaudent — każdy równej głowie —
Panie Jakóbie! czy to złe przysłowie?

V.

Marek w rozpaczy — boć to męka szczera:
Język się gwałtem gawędki napiera,
I wszyscy gwarzą, i wszystkim tak błogo,
On nie ma słowa wyrzec do nikogo.
No! — myśli sobie — po takiej nauce
Już ja do panów nie rychło powrócę.
Ot, tam pod cieniem cedrów i oliwy
Szlachecki sejmik — ale jaki żywy!
Jaki gwarliwy! po zakroju znaczno,
Że zaraz bić się i zapijać zaczną.
Do szlachty, Marku! do swoich podążym:
Tu cześnik żwawo rozprawia z chorążym,
Wojski ze skarbnym do bitwy stanęli,
Już się krzyżują cienie karabeli,
A regent, znaczno już cięty potrosze,
Woła do szlachty: Uciszcie się, proszę!
Oto pan miecznik naprzeciw mnie kroczy...
Czołem mieczniku! — rzekł Marek ochoczy.
Ale ensifer — skąd taka niełaska? —
Wąsa zakręcił, czuprynę pogłaska
I rusza dalej, nasrożywszy lica,
Jakby nie widział, nie słyszał szlachcica.
Czegoś niewesół... niech sobie się złości!
Panie rotmistrzu, mój pokłon waszmości! —
Zawołał Marek; ale próżna praca:

Rotmistrz pomruknął i wstecz się odwraca.
Więc Marek dalej, wciąż snuje się dalej...
Czy go nie widzą? czy go nie poznali?
Kogo powita, do kogo zawoła,
Wszyscy od Marka odwracają czoła;
Kogo chce ścisnąć — wymyka się ręka,
Napróżno woła, zaklina, uklęka
I błaga cieniów: Szlachcicowie mili!
Byście choć słówko przemówić raczyli,
Przyjmijcie brata, nie karzcie surowo!
  Lecz cienie tylko potrząsają głową;
A gdy upada, gdy do nóg się ściele,
Oni wzgardliwie brzęczą w karabele.
Ot, jak mu płacą — i dobra zapłata!
Bo kto się hardo wymykał od brata,
Niechaj na zawsze odrzucon zostanie!
Panie Jakóbie! czy to słuszne zdanie?

VI.

  — Niech licho bierze szlachtę od waszeci!
Na złość herbownym przystanę do kmieci! —
Zawołał Marek, już zły co się zowie.
Tam wedle zdroju siedzieli kmiotkowie;
Kiwa coś głową pracowita tłuszcza
I z krótkich lulek dym kłębem wypuszcza.
A cienie gwarzą: Ej, panie sąsiedzie!
Bóg raczy wiedzieć, jak dziatwie się wiedzie?
Za naszych czasów głód pukał do chatek,
Na święty Marcin i czynsz, i podatek,
A grunt jałowy, nie użyznić pracą...
Boże, mój Boże, czem oni wypłacą!?
Tak sobie gwarzą ubodzy włościanie,
Gdy się pan Marek zbliżył niespodzianie.
Ale na widok pańskiego kontusza
Cała gromada z miejsca się porusza,
Kłania się nizko przed obliczem pana
I wstecz ucieka, jakby rozegnana.

Bo widzisz aspan, że chłopska gromada
Sercem ze szlachtą dzielić się nie rada;
Wie, żeśmy o nich nie wielce ciekawi,
Czy złe, czy dobre, w głębi serca dławi.
Bo taki narów już mają ludziska:
Trzeba zasłużyć, nim ufność się zyska;
Spółczucie bywa spółczucia zapłatą.
Panie Jakóbie! a co waszeć na to?

VII.

Marek zębami aż zazgrzytał wściekle,
Dalej a dalej snuje się po piekle;
Od chłopskiej ciżby ucieka na stronę,
Gdzie chodzą pany jaśnie oświecone;
Gdy jasne pany gadać z nim nie raczą,
Znowu się kryje za ciżbę wieśniaczą;
A kiedy kmiotki uciekają przed nim,
Idzie się kłaniać szlachcicom sąsiednim;
Lecz odepchnięty od szlachty i kmieci
Na nowo panom swe służby zaleci.
Gdy tak się snuje od grona do grona,
Mijają lata, wieczność nieskończona;
Wszyscy się cieszą ze swymi w gawędzie,
A Marek wiecznie pokutować będzie,
Od wszystkich spotkan szmerem pośmiewiska,
Nikt go nie pozna, ręki nie uściska,
Żaden go z braci nie uzna za brata...
Panie Jakóbie! czy słuszna zapłata?

VIII.

Pewna pobożna niewiasta w klasztorze,
Miewając we śnie objawienia Boże,
Między innemi widziała w zachwycie
Marka po śmierci opłakane życie.
Jako na siostrę zakonną przystało,
Słowo do słowa historyę całą
Spowiednikowi wyznała przy kratce,
Potem do ucha przełożonej matce,

Potem siostrzycom. Przez usta niewieście
O Marku w piekle zagadali w mieście
I w całym kraju; a na tej osnowie
Pomiędzy ludźmi powstało przysłowie,
Że kto się snuje od kąta do kąta,
Mówią: jak Marek po piekle się pląta.
Ludziom śmiech tylko — niech śmieją się zdrowi!
A tam bolesno, bolesno Markowi
Wyspołecznienie od swoich ponosić...
Ej, u nas takich grzeszników jest dosyć!
Niech Bóg im chętkę pochlebstwa odbierze —
Panie Jakóbie! zmówmy trzy pacierze.

22 grudnia 1853. Tulonka.

URYWEK.

Zrąbali dąb, gdzie Litwin Perkunasa chwalił,
I krzyż tam postawili — a krzyż wiatr obalił.
Dlaczego Bóg wasz krzyża Swojego nie broni?
Och! potrzebny nam Perkun z piorunami w dłoni!
Wszak jeszcze świętokradców jest liczba tak mnoga,
Co bluźnią starych bogów i nowego Boga!
Wy przecież o swym Bogu powiadacie chytrze,
Że odkrywa aż w sercu uczucia najskrytsze,
Że zgaduje rzut oka, cień myśli człowieka, —
Zgaduje, zapisuje i poprawy czeka.
Zawsze jest nad grzesznikiem cierpliwości łaska!
Perkun niedługo czeka, a piorunem trzaska.
O! zuch nasz stary bożek — bo on dobrze świadom,
Że cnotliwy ulegnie zbrodniczym przykładom;
A dla złego człowieka wszystko mniejsza o to,
Nie łatwo złość swą uzna, uklęknie przed cnotą.
Zabij złego, bo dobry przyjdzie ku zatracie.
A u was co?
Nie bluźnij, nie bluźnij, mój bracie!...

1854. Borejkowszczyzna.

SPIS RZECZY.

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.



„Snadź kula czoło jego przebodła,
Po białych włosach krew mu się sączy."
(Illustr. do poematu: „Urodzony Jan Dęboróg" Tom I str. 91)

NOWA BIBLIOTEKA

PISARZY POLSKICH.

TOM XIV.

POEZYE
LUDWIKA KONDRATOWICZA
(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM II.

MIKOŁÓW-WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1908.

UTWORY EPICKIE.



MARGIER,

POEMAT Z DZIEJÓW LITWY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Gdzie ty, święta przeszłości macierzystej ziemi,
Z twojemi bohatery, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie, jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiej książce lub na starej cegle?
Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię,
Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny
Któż zdoła wypowiedzieć los całej krainy?
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto mrok zapadłych czasów odświetli choć trocha?
Chyba serce pobożne, co praojców kocha,
Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
Przy harfie wyciosanej z litewskiego drzewa,
Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
I z gruzów rumowiska skrę życia wykrzesze.
O! w jakim cię kurhanie zagrzebali starzy,
Stara a święta harfo litewskich pieśniarzy?
Poważnym głuchym szmerem zabrzęknij z mogiły,
Aby się nasze piersi w twój takt dostroiły.
Zrodzony w nowych czasiech i w inszej nauce,
O twoich dawnych bogach oto pieśń zanucę,
Nie świętokradzką ręką, lecz w dobrej otusze
Święty popiół praojców z mogiły poruszę.
Drużyną zakrwawioną, w niedźwiednie przybraną,

Przed oczyma potomków praojcowie staną,
Dzicy, jak dzikie puszcze, w których Litwa żyje,
Czyści, jak czyste rzeki, z których wodę pije,
Rzewni, jak wiatr jesienny, co huczy po lesie,
Jak piosenka żniwiarska, którą echo niesie.
Lud, co się przeniewierstwem nie shańbi, nie skazi,
A szanuje swych bogów, kapłanów i kniazi;
A bogi, przed którymi na twarze się ściele,
Srodzy, dobrzy i prości, jako ich czciciele;
A książęta, co Litwę trzymają pod władzą,
Za jej zdrowie swój żywot, swoją krew oddadzą,
A podzielą się z ludem i serca połową,
I chlebem, i zdobyczą, i sławą bojową,
I śmiercią bohaterską, gdy idzie o życie:
O takiem to plemieniu powieść usłyszycie.
A gdy słabemi dłońmi po strunach uderzę,
Czyli zapieję pieśnię o chrobrym Margierze,
Czy z daleka ukażę krwią zalane zgliszcze,
Czy w strunach zagrzmi Perkun, czy wicher zaświszcze,
Czy ziemicę Olgierda mój głos upamiętni,
Czy jęknie płacz dziewiczy lub serce zatętni,
Czy zabrzmi łoskot mieczów i bojowych młotów —
Stara harfo litewska, harfo wajdelotów!
Struny zardzewiałemi od grobowej pleśni
Odezwij się z pod ziemi, daj hart mojej pieśni.
Przyuczeni od wieków słuchać głos twój święcie,
Wstaną ojce na wnuka lirnicze zaklęcie.
  Synowie młodszych czasów, rówiennicy moi!.
Przyjdźcie do nas posłuchać, jak się harfa stroi,
A otoczcie lirnika serdecznie a pięknie,
A wybaczcie, gdy czasem zbyt słabo zabrzęknie,
A przyjmijcie z łaskawym uśmiechem na twarzy,
Gdy wam powieść o wiekach dawniejszych wygwarzy.

II.

  Olgierd władał na Litwie, a Kiejstut na Żmudzi.
Litwa słynęła strachem i cześcią u ludzi;

Od Euksynu po ziemię krzyżackich rycerzy,
Od Karpat po Ładogę swe podboje szerzy;
Rozlewa się po ruskiej i po lackiej ziemi,
I utrwala swą władzę księstwy udzielnemi.
Na stolicach, gdzie dojrzeć nie może z oddali,
Książę mieści swych braci i swoich wassali;
Imieniem hołdownictwa powierza w ich ręce
I miecz sprawiedliwości, i prawo książęce. —
Prawo żyć i umierać dla dobra narodu.
O dwa dni pieszej drogi od trockiego grodu,
W lesie nad krętym Niemnem, od krzyżackiej ściany,
Wznosił się zamek Pullen, stary a drewniany.
Gdy Kiejstut posiadanie tej strony odbiera,
Swoje prawa książęce przelał na Margiera.
Więc jako hołdowniczy książęcej korony,
I mieczem uzbrojony, i prawem wzmocniony,
Margier na zamku Pullen wpośród leśnej dziczy
Nad Litwą od niemeńskich czuwał pograniczy.

III.

Na niwach nadniemeńskich bujne rosły żyta,
Zieleniła się łąka kwiatami pokryta;
Lecz przyszli Niemcy z krzyżem w nieszczęśliwej chwili,
Łąki spaśli, a zboża spalili, stłoczyli;
A ich bardysz stalowy, a ich miecz szeroki
Nażarł się ciał litewskich, napił się posoki.
Wyzwano ich na rękę — krwawy bój się sroży,
Litwa chrobrze walczyła cały dzionek Boży,
I kamiennemi młoty uderzając szczerze,
Rozbijała niemieckie piersi i puklerze.
Nie przebić głową skały — cofnęły się wrogi,
Wziąwszy łup, zostawiwszy trupy i pożogi.
Z dymów palonych wiosek, jak się widzieć może,
Krzyżacy szlak swej drogi wzięli na Pomorze.

IV.

A tu na bojowisku, pod Pullen wałami,
Zrozpaczeni Litwini zostali się sami;

Załamane ich ręce, żałosna postawa,
A ze źrenic sokolich łza sączy się krwawa.
Czy wracać do swych wiosek? och! niema już poco...
Bo te łuny pożarne, co zdala migocą,
Ten dym, co ponad Niemnem, nad lasem się ściele,
To goniec od ich rodzin: że nieprzyjaciele
Wszystko, czem dusza żyje, co kocha najczulej,
Srodze zamordowali lub więzami skuli
I powiedli w Niemczyznę.

Serce się rozrywa!
Po żalu przyszła rozpacz zajadła i mściwa;
Litwa wydała okrzyk i hurmem się ciska
Rąbać trupy niemieckie wśród pobojowiska,
I z ciał pokaleczonych, odartych do naga,
Ułożyć stos ofiarny, co bogów przebłaga.

V.

Straszny był widok pola: na zdeptanej ścierni
Leżą martwe Litwiny i Niemcy pancerni;
Na jednych lniana odzież i osłony rysie,
Na drugich jasna blacha promieniami lśni się.
Owdzie silne ramiona, zakute żelazem,
Dławiąc wroga, w uścisku zastygły z nim razem;
Na jednej twarzy boleść, na drugiej z poblizka
Szatan swój śmiech szyderczy na wieki wyciska;
Na inszej taka srogość, że zda się widocznie
Bój, przerwany za życia, po śmierci rozpocznie.
A wszystko krwią zbryzgane, a przy każdej twarzy,
Zaglądając w źrenice, już kruk gospodarzy,
Szary wilk nadniemeński z za jodeł się skrada,
Tam się brytan z brytanem o zdobycz ujada,
A tam z piersi, rozbitej ciosami bardyszy,
Jeszcze się jęk boleści lub zgonu posłyszy,
Albo ostatkiem siły przyczajonej w łonie
Ktoś modlitwę wyszepce, ktoś przekleństwem zionie,

VI.

Litwin, zemstą kipiący, a na jęki głuchy,
Odziera z szyj rycerskich złociste łańcuchy,
Odrywa miecz od boku, szarpie hełm bogaty
I płaszcze z krzyżem Pańskim rozdziera na szmaty;
Albo żylaste ręce, jako sępie szpony,
Zapuszcza w trupią brodę, we włos utrefiony,
I targa, i znieważa ostatki człowieka;
Gdzie słyszy bicie serca, pierś na pół rozsieka.

VII.

Pod jedlinowym cieniem przyczajony z cicha,
Krzyżak, młode pacholę, pełną piersią dycha;
Cios litewskiego młota, co mu zmysły głuszy,
Nie zdołał młodocianej wykołatać duszy.
Młodzieniec czasem stęknie, zawróci oczyma,
Prawicą nieprzytomnie głownię miecza ima,
Woła o kroplę wody... choć w niemieckiej mowie.
Lecz dźwięcznym jego głosem wzruszeni wrogowie
Stanęli jakby wryci, choć pogańcza zgraja.
Och, bo serce litewskie łacno się rozzbraja!
I litewski oprawca najdzikszej postaci
Spojrzał niepewnym wzrokiem do koła spółbraci.
I była jedna chwila w tem sercu ze skały,
Miłosierdzie i zemsta że się zawahały.
Lecz się wnet opamiętał i uśmiechnął zdradnie:
Na Perkuna! to Niemiec — niech marnie przepadnie!
I już podnosił topór, co piersi rozłamie,
Gdy mu silna prawica pochwyciła ramię.

VIII.

Oprawca wstecz się cofnął i obejrzał skoro,
Spuścił topór i oczy ku ziemi z pokorą:
Przed nim stał dzielny Margier. Odgadniesz mu z twarzy
Bohaterską latorośl litewskich mocarzy.
Krzepkie dęby w Romnowe, gdzie Litwa czci bogi,
Grom w prawicy Perkuna straszny i złowrogi;

Lecz silniejsze od dębu ramiona Margiera,
Straszniejsza od piorunu bojowa siekiera,
Gdy błyśnie w jego ręku. Z wileńskich ołtarzy
Żnicz podsycon oliwą ogniście się żarzy;
Lecz ogniściej wybucha i goręcej płonie
Serce wodza miłością ku rodzinnej stronie.
On tu nad zamkiem Pullen jako książę włada,
Pana i bohatera wielbi w nim gromada:
Bo też kołpak soboli na książęcej głowie
I hełm z pierzastą kitą, co noszą wodzowie,
Co je Margier wysłużył rycerskiemi dzieły,
Nigdy na dostojniejszem czole nie spoczęły.
Piękne Niebo, gdy jutrznia ozłoci je młoda,
Ale w duszy książęcej piękniejsza pogoda.
Jedna tylko — dla Niemców nienawiść w nim żyje,
Ale to taka straszna, jakby wszystkie żmije,
Jakby wszystkie potwory i piekielne siły
W ogniste jego serce swój jad wysączyły.
Dziś, widząc krwią zbryzgane nadniemnowe pole,
Cierpiał za całą Litwę wszystkiemi jej bole,
Jak gdyby w jedno serce, ile tylko zmieści,
Wszystkie miecze krzyżackie wbił po rękojeści;
Cierpiał za bogów Litwy, za ujmę ich chwały,
Nie dziw, że mściwe żądze w jego piersiach grały.
O! jeżeli w tej chwili nad niemiecką głową
Cofnął rękę siepacza do mordów gotową,
To snadź, młody Krzyżaku, w niedobrym zamiarze:
Gwoli straszliwej zemście zachować cię każe.

IX.

Zawołał głosem strasznym, aż drgnęli Litwini
(Nie był to ryk zwycięski tygrysa w pustyni,
Ale raczej jęk lwicy po głębokiej knieje,
Gdy po dziatwie wydartej żałośnie boleje):
Stój! zabijać bezsilnych to dla nas ohyda!
Nam na świętszy użytek ten jeniec się przyda:
Bo na nowiu, za miesiąc od dzisiajszej chwili,

Wielki dzień Z i e m i e n i k a będziem obchodzili.
Dobry Bóg urodzajów! wielkie jego święto
Od czasu gdy na Litwie siać niwę poczęto;
Bo z łaski Ziemienika i pod jego wodzą
Miód, mleko i owoce, i kłosy nam rodzą.
Niegdyś, za naszych ojców, w Litewszczyźnie starej
Z miodu, z mleka, z owoców brał swoje ofiary.
Lecz nam dzisiaj nie starczy na chleby i miody,
Bo Krzyżak zdeptał pola, wyplenił ogrody,
Pozarzynał dobytek i miód wydarł z barci —
Cóż my Bogu przyniesiem, z ostatka odarci?
Lecz Bóg nie gardzi sercem ni darem ochoczym:
Mamy tu krew krzyżacką — a więc krwi utoczym,
I ołtarz zawieszony tajemną zasłoną,
Zamiast czerwonych kwieci, zlejem krwią czerwoną.
Ziemienik, przebłagany w ofiarnym puharze,
Może niwom obficiej rozrodzić się każe,
I w chlebie pożywanym bez łez i goryczy,
Nowa siła do piersi wstąpi bojowniczej...
Weźcie żywego jeńca! okuć go należy;
Niech czeka dnia ofiary na zamkowej wieży!
Tak mówił srogo Margier — a głos jego mowy
Najprzód grzmiący piorunem, a potem grobowy,
Osłabnął, kiedy książę rozkazy wydawa,
A usta były drżące, a powieka łzawa.

X.

Tedy litewscy męże rzucili się żwawie
I podjęli młodzieńca, co leżał na trawie;
A Margier zapalczywie do boku mu sięga,
Oderwał miecz, aż stalna zabrzękła popręga,
I odpiął mu z pod szyje płaszcz rycerski biały,
Krzyż wyszyty na płaszczu poszarpał w kawały
I podeptał.
Na groźne skinienie książęce,
Dwaj Litwini Krzyżaka ujęli za ręce.
A młodzian ledwo oddech wydobywa z łona,

Bezwładna jego głowa zwisła na ramiona;
A kiedy mu odarty i hełm i kolczuga,
Po jasnych jego włosach krwi pociekła struga,
Ale jej żadna ręka nie otarła z czoła.
Nienawistne przeklęctwa zawrzały do koła:
  Ho! pieszczone pacholę nie zwykło do zbroi!
Miękka czaszka niemiecka, kto wie, czy się zgoi?
Kto wie czyli dożyje o chlebie i wodzie,
Aż nim nów ofiarniczy serce mu przebodzie?!
  Tak, niosąc do warowni rannego młodzieńca,
Litwa się jeszcze nad nim urąga i znęca.
  — Daj pokój! — mówił drugi — choć to młode szczenię,
Czart niemiecki umacnia swoje pokolenie;
Choć spłynął krwią nieczystą, choć zawraca oczy,
Trzymaj krzepko pohańca, bo wnet ci wyskoczy.
Jeżeli go bezpieczno masz trzymać w jassyrze,
To mu z szyje oberwij te blaszki i krzyże,
Któremi pierś obwiesił, bo tam czart się chowa!
  I ręka świętokradzka już była gotowa
Znieważyć mały krzyżyk na niemieckiem łonie,
Co go Papież z odpustem święcił w Awinionie;
Lecz orli wzrok Margiera zabłysnął tak srogo,
Że Litwin aż pobladnął i cofnął się z trwogą.
  — Wara! — zawołał książę na zgraję swawolną —
Nad wrogiem rozzbrojonym pastwić się nie wolno!

XI.

  Otwarto wrota zamku — więźnia w głąb ponieśli.
Twierdza prosta, drewniana; tylko topór cieśli
Ponad Niemnem, na górze, na ubitej ziemi,
Piętrzył dębowe kłody jedna nad drugiemi
Wysoko aż pod chmury, a przy ścianach wokół
Pozabijał warowny sosnowy ostrokół;
Tylko rydel kopacza w krąg całej budowy
Ponajeżał wałami wąwóz nadniemnowy,
I ryjąc w głębi ziemi w tajemnym zamiarze,
Powydrążał pieczary, sklepił kurytarze,

Co ciągną się do lasów, do wiosek nad wodą;
Bóg tylko wie i Margier, gdzie te lochy wiodą:
Jak gdyby nory lisie, lub kryjówki węże,
Których brytan nie zwietrzy, a człek nie dosięże.
Och! by walczyć na zabój z niemieckiemi syny,
Trzeba mieć chytrość lisią i żądło gadziny,
Nie dowierzać sojuszom, być zdradnym jak oni,
I we śnie nie upuszczać toporu ze dłoni.
Perkunie! groźny Boże Litewszczyzny starej,
Któremu krew i ogień najmilsze ofiary!
Czemu twoi czciciele tak miękcy, tak prości?
Czemu wiecznie twa srogość w ich piersiach nie gości?
Dzisiaj — rzeź, krwawa uczta dla mieczów i młotów,
A jutro Litwin sercem podzielić się gotów,
I przy czarce ałusu ściska swe siepacze,
I nad własną srogością najpierwszy zapłacze.
Przecz Margier, co Krzyżowców w nienawiści chowa
I cały kipi groźbą jak chmura gromowa,
Za chwilę łagodniejszym przemawia wyrazem,
Rozzbroił czoło z hełmu i z gniewu zarazem,
I westchnieniem ochłodził pałające łono,
I poszedł do wieżycy, gdzie więźnia złożono?

XII.

A po ciemnej wieżycy jęk przebiega głuchy.
Leży młodzian krzyżacki, zakuty w łańcuchy;
Krew mu leje się z czoła, mimo szmatę zdartą,
Broczy kamień, na którym głowę mu oparto;
On miota się, jak gdyby chciał odpędzić ręką
Promyk słońca, co na twarz pada przez okienko.
Margier stał nad młodzieńcem, oparty o ścianę,
Wlepił w jego oblicze oko zadumane:
Ty cierpisz... żal mi ciebie, niewierny Krzyżacze!
Żal twej matki, co może gdzieś po tobie płacze,
Żal młodości; lecz Bogi sprawiedliwe, widzę:
A małoż w waszych twierdzach, w Malborgu i Rydze

Jęczy litewskiej młodzi w łańcuchach niewoli?
A i tutaj są matki, i tych serce boli!
Tam umierają zwolna od swoich dalecy,
Dźwigając głaz i cegłę na mury fortecy;
Tobie przynajmniej tutaj prędki zgon się zdarza,
Legniesz, jak młody kłosek pod sierpem żniwiarza.
Ty cierpisz... żal mi ciebie, o! żal w samej rzeczy!
Lecz odegrzeć gadzinę przy piersi człowieczej,
To, jak tylko odzyska siłę utraconą,
Kolnie najpierwszym jadem w dobroczyńcy łono;
Nie wyrwiesz z niego żądła, chyba strzaskaj głowę.
Niechaj światu nie szkodzą plemiona wężowe!
 Tak Margier, to się płoniąc, to blednąc jak ściana,
Mówił raczej do siebie, niźli do młodziana;
Bo był pewien, że Krzyżak, jęczący w boleści,
I nie zna, i nie słyszy słów litewskich treści.
Lecz Niemiec, w nadbałtyckiej urodzony ziemi,
Od dziecka igrał piaskiem z chłopięty pruskiemi,
Nauczył się i dobrze ich mowę pamięta,
Do litewskiej podobną, jak dzieci bliźnięta;
Więc zajęknął w tej mowie: Zwycięsco Litwinie!
Krew zanadto waleczna w twoich piersiach płynie,
Abyś nie czuł, zarówno jak siepacze prości,
Ile wróg pokonany ma praw do litości.
Mówisz, żeśmy Krzyżacy podobni wężowi,
Do piersi dobroczyńcy rzucić się gotowi;
Nie bluźnij nawet gadom — wszak w litewskiej chacie
Widziałem, jako węże święcone chowacie.
Czyliż żmij, gdy go ludzka uprzejmość rozzbroi,
Ukąsił kiedy rękę, co go mlekiem poi?
A jam człowiek... jam rycerz!... miałbym działać [zdradnie!
Nie wiesz, jaką powinność ten krzyż na nas kładnie!
Nie myślę ci wdzięczności zaprzysięgać podle,
Lub czołgać się w nadziei, że życie wymodlę;
Gdybyś jednak rycersko oszczędził mi zdrowie,
Litwinie! chrześcijanin godnie ci odpowie!

XIII.

Margier nie dzisiaj walczy z drużyną krzyżaczą,
I słyszał jej przysięgi, i wie co te znaczą;
Uśmiechnął się... podumarł... i uwierzył zwolna,
Czy szczerocie młodzieńczej, co kłamać nie zdolna,
Albo słowa litewskie cud zdziałały na nim,
Które w uściech niemieckich brzmiały pojednaniem:
Bo w słowach macierzystych jest urok nie lada,
Wróg zawsze nas rozzbroi, gdy niemi zagada,
Zawsze zdoła przygasić niechętne żarzewie —
Och, i dobrze, że o tem czarodziejstwie nie wie!
Tak wódz podumał w duchu i skinął na straże,
I krwawe rany więźnia opatrywać każe,
I z baszty murowanej ciemnego sklepiska,
Przenieść w insze komnaty, kędy słońce błyska.
Więc wzięli go na barki silni wojownicy
I zanieśli do długiej, wesołej świetlicy.
Tam w środku stół, z kamiennej wyciosany płyty,
Na nim ałus rozlany i miód niedopity;
Znać, że chrobra drużyna Litwy bohatera
Tutaj się na obrady i na uczty zbiera.
Na ścianach wbite rogi od żubrów i łosi,
Porozwieszany oręż o zwycięstwach głosi:
Tam przyłbice odarte z połowieckich twarzy,
Orle skrzydła ze zbroje sarmackich husarzy,
I różnych barw turbany — głów tatarskich plony,
I z cerkwi Nowogrodu złociste ikony.
Obaczył tutaj Krzyżak, pomiędzy innemi,
Sławne herby Malborga i Chełmińskiej ziemi:
Orła na białem polu z koroną na szyi;
Obaczył swe proporce z Imieniem Maryi,
Obaczył bratnie płaszcze — a myśl jego świeża
Na piasczyste Bałtyku niosła się wybrzeża.
Przypomniał fale morskie, co bawiły oko,
I domek rodzicielski nad morską zatoką,
I komandorstwa mury z niebielonej cegły,
I jeszcze coś przypomniał, bo mu łzy pobiegły.

XIV.

Bo duch ludzi rycerskich kształci się za młodu:
Krzyżak już kochał dziewczę swojego narodu,
Zmienne koleje uczuć już grały w młodzianie,
I szczęście, i cierpienie, i odczarowanie;
To uwielbiał, to szydził, to znów gonił mary,
Czuł miłość jak młodzieniec, rozumiał jak stary.
Mógłby już opowiadać swego serca dzieje,
Bo zakuta pancerzem pierś prędko mężnieje,
Bo w obozie Krzyżowców wkrada się znienacka
I szlachetność rycerska, i gminność żołdacka.
Od dziecinnej kolebki, z matczynego łona
Wysysał chrześcijańskich wielkich cnót nasiona;
Siwy ojciec bywało na konia go bierze,
I uczy robić włócznią, i mówić pacierze,
I powieścią turniejów zabawia chłopaka,
Gdzie najpiękniejsza z dziewic, jakby święta jaka,
Z wysokiego krużganku pogląda ku ziemi
I rozdziela nagrody między walczącemi.
Cóż za dziw, że powieściami rozmarzone dziecię
Uczyło się po Bogu dawać cześć kobiecie?
Że nim w piersiach zagrała namiętności burza,
Wierzył w ziemskie anioły, jak w Anioła Stróża?
Że marzył o dziewicach promiennie i świetnie?
A kiedy serce młode, osiemnastoletnie,
Zadrgało lubym dreszczem, co się zwolna wkrada,
I zapukało silnie ku córce sąsiada —
O! wtedy błogich myśli tak wiele... tak wiele!
A w duszy taka świętość, jak w Pańskim kościele,
A dumki takie piękne, tak czyste, jak złoto!
Czy był wzajem kochany? — ani pytał o to!
Choć lubego spółczucia mógł dopatrzyć trocha,
Lękał się jej znieważyć — nie mówił, że kocha;
Tylko czuje pacholę, że mu coś uroczej,
Gdy patrzy w święte Niebo lub jej piękne oczy.
Ale niewinność serca, to jak pył na kwiecie:
Pierwsza burza żywota oberwie i zmiecie.

Ledwie włócznię udźwiga, ledwie pancerz spina,
Poszła na dwór krzyżacki niewinna dziecina;
Tam, starszyzna i młodzież, wśród hucznej swawoli,
Z najdroższej jego wiary odarli powoli;
Tam gdy ucho ciekawe bluźnierstwom otworzy,
Zawahał się w swej wierze i miłości Bożej;
Zakosztował z puharu — przed rumieńcem z wina
Rumieniec wstydliwości już pierzchać poczyna,
A otwartych zalotów raz zostawszy świadkiem,
Wstydził się świętych westchnień, co ronił ukradkiem:
Wpośród wesołych wdziękiń na dworze i w mieście,
Zapomniał czci rycerskiej, co winien niewieście.
 Śladem idąc, gdzie droga skażenia ubita,
Sam kłamliwie przysięga, o prawdę nie pyta,
A za godło rycerskie przybrawszy motyla,
Nowemi uczuciami bawi się co chwila.
Miłość, wiarę, nadzieję, wszystko brał za baśnie;
Choć przypłaci niewiarę, choć serce zadraśnie,
Udawał sam przed sobą, że nie boli rana,
Zdobywał się na uśmiech z przesadą młodziana.
I przyszły namiętności — ugięty ich próbą,
Młodzian począł morderczą walkę z samym sobą.
 Bo dusza, gdy się Bożych napije promieni,
Szatan zbawienne ziarno niełacno wypleni.
Jedno święte westchnienie kiedy pierśmi ściśnie,
Jedna łza uroczysta gdy z oczu wytryśnie,
Już dusza odrodzona, ognista i młoda,
Na długo się, na długo zwątpieniu nie poda;
Jeszcze nieraz w zapasach grot piersi rozłamie,
Lecz do ciosów odbicia hartowniejsze ramię.

XV.

W takiej-to walki ducha uroczystej chwili
Krzyżowcy na Litwinów wojnę ogłosili,
I pod murami Pullen pobici na głowę,
I młodzieniec się dostał w więzy Margierowe,

I zaniesion w komnatę, gdzie łupy i zbroje.
Kędy obaczył płaszcze i chorągwie swoje,
Kędy stare proporce i podarte krzyże
Uniosły na brzeg morski jego myśli chyże,
I przypomniały sercu swobodę dziecinną,
I chatę rodzicielską, i miłość niewinną,
I duch jego uniosła tajemnicza władza,
I zapłakał łzą świętą, co duszę odmładza.

XVI.

Dziwna jest kolej czasów, gdy nas serce boli:
Bo lata płyną prędko, ale dni powoli;
Miesiąc przemknie nad głową, jak chmurka niestała,
A godzina, a chwila, to jak wieczność cała;
A gdy dusza znękana orzeźwić się życzy
I wspomnieć całą kolej przebytych goryczy,
To całe ciężkie lata, całe dni boleści,
W jednem tylko wrażeniu, w jednej chwilce zmieści.
Takie życie wiódł Krzyżak w niewoli Litwina;
Przebolał cały miesiąc — i już zapomina,
I cierpienia, i myśli przeminęły marnie;
Ale dzień do przebycia — to cięższe męczarnie.
On, niecierpliwą dłonią zasłoniwszy oczy,
Przeklina słońce Boże, że leniwo kroczy,
Na swem łożu boleści targa się i zrywa,
Zabija go bezsenność i drzemka leniwa.
Przebiegł myślą swej całej przeszłości obrazy
Po drugie i po trzecie — może ze sto razy;
Przedumała już wszystko rozmarzona głowa,
Co się w serca tajnikach najzakrytszych chowa,
I już go unużyła, jak najcięższa praca,
Myśl, która bez przestanku kołem się obraca.
Bo dla młodego serca, to jeszcze zawcześnie
Przeszłemi wspomnieniami napawać się we śnie;
Przed tym, kto drogę życia ledwie rozpoczyna,
Jest kraina przyszłości, nadziei kraina,

Jak ziemia obiecana piękna i bogata;
Choćbyś marzył dni całe, marzył całe lata,
Jeszcze trafisz co chwila na ścieżkę nieznaną,
Nie zbierzesz wszystkich kwieci, co tam rozsypano,
Nie zliczysz wszystkich skarbów, które tam ukryto.

Ale Krzyżak, w niewoli i z piersią rozbitą,
Wie dobrze, że się jego przyszłość nie promieni,
Bo śmierć nad jego głową, jak miecz na włosieni,
Zawiesił srogi Margier: przez nienawiść starą,
Krzyżak bogów litewskich ma zostać ofiarą;
Każdy dzień, każda chwila powołać go może
Przed ołtarz ofiarniczny, pod kapłańskie noże.
Krzyżak był obdarzony bohaterską duszą:
Nie zadrżałby przed śmiercią, kędy włócznie kruszą,
Ległby mężnie od miecza lub od samopału;
Ale umierać codzień, umierać pomału,
I liczyć ziarnka piasku w żywota klepsydrze,
To piersi obezsili i odwagę wydrze.
Gdy wszedłszy na wieżycę, nad zamkowe wrota,
Uderzy w róg bawoli stary wajdelota,
By dać hasło po Litwie rankiem lub z wieczora,
Że jutrznia na Niebiosach, że modlić się pora,
Lub gdy stara wróżbiarka w zamkowej podziemi
Rozpocznie swój rozhowor z bogi piekielnemi,
I śpiewa drżącym głosem, i krzyczy, i płacze,
I echo jej przywtórzy, i jękną puhacze, —
Krzyżak zrywa się z łoża i oddech przyczaja,
I mniema, że litewskich ofiarników zgraja
Pozapalała stosy, wyostrzyła miecze,
I schwyci go za chwilę, i na śmierć powlecze.
Ale wszystko umilka... i młodzian zadrzemie.
I znów niesfornym wrzaskiem zajękło podziemie,
I znów go przerażenie ogarnia i mami,
I męstwo z jego piersi wysysa kroplami.
Gdy fatalna godzina przed jeńcem ukryta,
Sto razy żegna życie, sto razy je wita.

XVII.

A rany jego ciała już się pogoiły:
Litwin, siwy jak gołąb, zgrzybiały, pochyły,
Z cudownemi balsamy, i we dnie, i w nocy
Czuwał z woli Margiera w młodziana niemocy.
Imię starca jest Lutas (lew w litewskiej mowie),
Bo siłę i odwagę dali mu bogowie;
Z jego piersi głos silny gromem się odzywa,
A długi włos i broda, jak gdyby lwia grzywa,
Spadały mu poważnie na piersi i plecy.
I poblizcy Lachowie, i Niemcy dalecy,
I Ruś, i Tatarszczyzna i dziś jeszcze pomną
To oblicze wspaniałe, tę postać ogromną,
I siłę jego ramion, i potęgę młota,
Gdy się w boju nasroży i karki gruchota;
Wiedzieli jego głosu potęgę złowrogą,
Która serca umacnia lub napełnia trwogą,
Która swoich zapala do bitwy junaczej,
A na wrogi uderza zwątpieniem rozpaczy.
Mnogie lata przebiegły, przyszła wieku zima,
Zgarbiły się potężne ramiona olbrzyma,
A długa czarna broda i włos jego głowy
Pobielały jak mleko, jakby śnieg grudniowy;
A głos, co ryczał w boju, jak piorun wśród burzy,
Dziś tylko do piosenek bohaterskich służy:
Bo starcom dano przenieść w pieśni i powieści
Chwałę starych praojców do potomnej cześci,
Aby nie zaginęło w najpóźniejszej chwili,
Co widzieli, słyszeli i czem sami byli.
Jako świętych kapłanów, co pilnują Żnicza,
Tak i starców na Litwie władza tajemnicza:
Bo jedni na ołtarzu ogniska Bożego,
Drudzy ognia, co w sercach, pilnują i strzegą...

XVIII.

Dzięki lekom, krzyżacka zasklepia się rana;
Tylko srodze pobledniał, bo krew u młodziana

Nadto hojnie płynęła i z piersi, i z głowy,
A myśli rozpaczliwe, niepokój grobowy,
Nadto go obezsila, nadto serce bodzie,
Aby więzień orzeźwiał, jako na swobodzie.
Przygodą zaniesione czasem krasne róże
Zakwitną w ciemnym lochu na wilgotnym murze;
Lecz żal się Boże kraski — tak wątła, tak blada,
Jeszcze kwiat nie przekwitnął, a już liść opada;
Wije się ziemny robak około jej łona,
A na bladej purpurze siada pleśń zielona;
Tak młodociany jeniec więdnieje i ginie.
Lutas odgadł cierpienie, i w starym Litwinie
Ozwało się uczucie, co wstręt przezwycięża,
Choć rodu niemieckiego niecierpiał, jak węża.
Bywało ledwie raczy spojrzeć nienawistnie,
Albo żwawo ofuknie, lub przeklęctwem ciśnie
Czy mu ranę namaści, czy uwarzy ziela,
Znaczno, że leczy boleść, lecz jej nie podziela.
Szydził z jęków: bo długim zahartowan bojem,
Tyle ran widział w ciele i cudzem i swojem,
Tyle broczył się we krwi przez całe swe życie,
Że go ciała boleścią niełacno zmiękczycie.
Lecz postrzegłszy po jeńcu, że go dusza boli,
Srogie serce Lutasa rozmiękło powoli,
I mordercze spojrzenie złagodził widocznie,
I łagodniejszym głosem pomrukiwać pocznie.
Spytał go o nazwisko — i wspomnienia zbiera,
Że znał dawnemi laty Ransdorfa Warnera,
Co mu bliznę brzeszczotem wypisał na twarzy.
(Był to ojciec Krzyżaka, wódz toruńskiej straży).
Potem słówko po słówku — tylko patrz na dziada:
Kiedy oko roziskrzy, kiedy się rozgada,
To się tak wspomnieniami rozigra, rozświetni,
Jakby z pleców garb zrzucił sześćdziesięcioletni.
Zda mu się, że odmłodniał, że wskrzesnął na sile,
Że wiedzie rówienniki, co już śpią w mogile,

Że mu hełmem bojowym najeża się głowa,
Że rozbija toporem wieżyce Kijowa!
Kiedy się rozpromieni, gdy rozżarzy ducha,
Czasem Margier przychodzi i powieści słucha,
Milczący, zadumany, słowa nie uroni,
Tylko mu krew rycerska uderza do skroni,
Tylko z pod chmurnych rzęsów, na czarnej źrenicy
Błyśnie mu jakiś ogień na kształt błyskawicy,
I oczy ku tej stronie obróci znienacka,
Kędy morze Bałtyckie, gdzie ziemia krzyżacka,
I ściska gniewnie pięści, jakby pocisk mierzy,
Którym złamie potęgę niemieckich rycerzy.

XIX.

Lecz nad młodym Ransdorfem nie pastwi się zgoła,
Ani go na ofiarę przed ołtarz nie woła,
Nie wkłada mu łańcuchów, nie nagli do pracy,
Lubo w boju na Litwie pojmani Krzyżacy
Kopią lochy podziemne w robocie zadanej,
Albo znoszą kamienie i murują ściany,
Lub skuci kajdanami, w pocie i mozole,
Ciosają twarde kłody, albo orzą pole.
Krzyżak od prac swobodny — czy srodzy wrogowie
Szanują jego młodość, czy jego niezdrowie?
Czy może niezachwiana wola Margierowa
Oszczędza niewolnika, bo na męki chowa?
Któż zgadnie? — ale cała litewska starszyna
Przyjmuje Krucygiera, jak brata, jak syna,
Jak gościa, co z daleka przybywa w te kraje.
Stary Lutas mu śpiewa i powieści baje;
A nawet srogi Margier przy książęcym stole
Wskazał miskę i łyżkę, gdzie jada pacholę,
I z Niemcem, jakby z dzieckiem swego pokolenia,
Podziela chleb swój żytni i ałus z jęczmienia,
I nigdy przy nim klątwy na Niemców nie miota;
Pozwala mu wychodzić poza twierdzy wrota,
Gdzie po całych wieczorach w zamglonej oddali

Młodzian patrzy k'Niemnowi, i po jego fali,
I po wietrze wilgotnym, co nad rzeką płynie,
Posyła swoje dumki dalekiej rodzinie,
Pozdrowienie rycerstwu i pokłon mistrzowi,
I pyta się u wiatru: czy żywi? czy zdrowi?

XX.

Choć marzy o rodzinie i śni pruskie miasta,
Rzecz dziwna, że do Litwy serce mu przyrasta.
On polubił Lutasa pieśni wojownicze,
Lubi patrzeć w rycerskie Margiera oblicze,
Polubił Niemna brzegi i zielone błonie,
Pobratał się z chmurami, co błądzą w tej stronie,
I z powietrzem litewskiem — i czuł w samej rzeczy,
Że zimny wiatr niemnowy piersi mu uleczy.
Och! to nie wiatru cuda, nie chmur, ani błoni,
Nie piosnek, które stary burtynikas dzwoni,
Nie powietrzem litewskiem, ni chlebem, ni wodą,
Lecz inszem czarodziejstwem jego duszę młodą
Przykowano do Litwy, przykowano zdradnie:
Egle, córka książęca, swój urok nań kładnie.
Widział ją u kądzieli, przez okno z za kraty,
Potem widział na łące, jak zbierała kwiaty;
Uczuł w sercu niepokój, w snach odmianę błogą,
Dziwił się, że poganki tak piękne być mogą,
Że z ich oczu Kupido swe postrzały miota,
Że tyle ma powabu ich leśna prostota.
Bo co insza dziewica lub niewiasta pruska,
Gdy się w strój pozłocisty na ucztę wymuska,
I strzelistem spojrzeniem uderzając śmiele,
Liczne u drobnych stópek hołdowniki ściele;
Nie taka dziewa Litwy — pokorna, nieśmiała,
Strojna tylko rumieńcem, co w jej licach pała,
Ozdobna jasnym włosem we dwoiste sploty,
Nie postał na niej atłas lub strój szczerozłoty;
Śnieżysta biała szata jej kibić obwija,
Sznurem krasnych korali uwdzięcza się szyja,

A na głowie stalowych ogniwek przewłoka
Nie zdoła zgasić blasku błękitnego oka.
Ej! nie darmo na Litwie piosenka rzewliwa
I jagódką, i kwiatkiem dziewczynę nazywa:
Bo łagodne spojrzenie, bo oblicze młode,
Piękniejsze niźli kwiaty, słodsze nad jagodę.

XXI.

Ponad Niemnem, na błoni, szeroka a długa
Ciągnęła się zarośli niedostępnych smuga;
Tam nad gęstemi krzewy rozciągał konary
Dąb przedwieczny, jak gdyby patryarcha stary,
Co błogosławiąc dziatwie w ich życia jutrzence,
Nad młodemi głowami rozpościera ręce.
A czoło dębu suche, nie ubrane w liście,
Bo go piorun przed laty roztrzaskał ogniście
I popisał mu czoło pręgi szerokiemi;
A wróżbiarka, co mieszka w zamkowej podziemi,
Wyrzekła uroczyście, że to znak nielada,
Że sam Perkun wśród dębu mieszkanie zakłada.
Odtąd gaj nadniemnowy był świętym dla Litwy,
Miłym uchronem bogów i miejscem modlitwy;
Na gałęziach i w szczerbach, które piorun czyni,
Ustawiono bożyszcza, jakby we świątyni.
Co rano i co wieczór, w tej gęstej zaciszy,
I P o t r y m b o s, i M i l d a, co miłością dyszy,
I Z i e m i e n i k, co plonem błogosławi jesień,
Odbierali swe hołdy z modlitew i piesień.
A święcone u Litwy jaszczurki i węże,
Czując, że tu żarłoczny bocian nie dosięże,
Zwijają się po trawie secinami kroci,
Pośród wonnych przylaszczek i bujnych paproci,
Kopią nory wśród liści i suchych badyli.
A pobożni Litwini od chwili do chwili
Przychodzą tu się modlić — jak pora nadarzy,
Ofiarnicy, dziewczęta lub mężowie starzy, —
I dąbrowa, w południe samotna, milcząca,

Kipi gwarem o wschodzie i zachodzie słońca.
Aż się echo kołysze w lesie i nad wodą,
To cichym starców szmerem, to piosenką młodą.

XXII.

Tam dziewica książęca, kwiatami przybrana,
Szła na czele rówieśnic modlić się co rana.
Głos ich dźwięcznej piosenki rozpływa się z rosą,
A dziewy konwie mleka albo kwiaty niosą,
Kwiatami opasują dąb święty, pochyły,
A mlekiem poją węże, co tak się zuczyły,
Że byle na rozdrożu zapiał głos dziewiczy,
To z pod każdej jagódki, z każdej trawy syczy
Tysiące głodnych żądeł — i nieraz gadzina
Czołga się aż do ręki, aż do szyi wspina,
I pieści się u łona niewinnej dziewoi,
I czeka aż przemówi a mlekiem napoi.
Raz Krzyżak zaczajony wśród krzaków i ziela,
Widział Eglę gadzinom jak pokarm rozdziela,
I mówił sam do siebie: O, ślepi Litwini!
Tutaj nie wąż jest bogiem — tu ona bogini;
Jedno skinienie oczu — och, skinienie święte! —
Działa na podłym płazie cuda niepojęte.
Piękno! to wielkie słowo! potęga nielada!
Bo najbrzydsze potwory u stóp swoich składa.
Bóg jest Pięknem i cuda Swoje złożył w Pięknie,
Przed Niem wdzięczy się Niebo, a ludzkość uklęknie,
A piekło na twarz pada i w prochu się wala!
Tak rycerz turniejowy, patrzając z oddala
Hołdował dziecku Litwy, niewinnemu dziecku.
Raz ją spotkał, raz w oczy spojrzał po zdradziecku,
Ale córka Margiera, jakby ostrym grotem,
Skarciła go spojrzeniem, ani wiedząc o tem;
Ani się domyślała jej dusza dziecięca,
Że skażone pacholę na nowo poświęca,
Że to jedno spojrzenie, jakby chrzest uczucia,
Omywa jego duszę ze skazy zepsucia.

Krzyżak czuł się odrodzon... O duszo ty młoda!
Miękkość twoja każdemu wrażeniu się poda;
Czemuż pieczęć na tobie kładą na przemiany
Dziś Pańscy Aniołowie, a jutro szatany?

XXIII.

Egle często Ransdorfa spotyka na błoni;
Czy polubiła Niemca? — O, niech Perkun broni!
Wszak to wróg zaprzysięgły litewskiej swobody;
Szkoda tylko, że cierpi... taki jeszcze młody!
A tutaj go tęsknota zgnębi do ostatka.
U niego pewnie siostry, u niego jest matka,
On od swojego Boga musi żyć w oddali.
A czy dobrze... naprzykład... gdyby nas skazali
Żyć kędyś w Niemieczyźnie, na krzyżackiej ziemi,
Nie widzieć nigdy Niemna, nie gadać ze swemi?
Toby człeka najpewniej zabiło boleśnie!
Biedny Krzyżak! on ze snu zrywa się tak wcześnie,
Chodzi po wałach, cierpi — zwyczajnie w niewoli...
Ja muszę z nim pomówić, spytać, co go boli?
Może zdejmę choć trochę troski z jego głowy!
Tak, wracając z modlitwy ze świętej dąbrowy,
Mówiła sama w sobie litewska dziewoja.
O, córko Margierowa! biedna główka twoja!
Żałujesz, że w niewoli cierpi Krzyżak młody:
Pożałuj twego serca — już nie ma swobody!

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Zamek Pullen uśpiony. Piękna noc na dworze:
Księżyc hula wśród gwiazdek w błękitnym przestwo-
Iskrzy Niemen złocistą miotłą swych promieni, [rze,
Po dolinach rozrzuca długie pasma cieni,
Ozłaca stare baszty i dalekie knieje,
Których cień na błękicie czarno wybitnieje.
W ruchomem jego świetle, jak gdyby na fali,

Pływają nocne widma i duchowie biali,
A z poza każdej baszty, z za każdego wzgórza
Jak gdyby tajemnicza postać się wynurza;
To tylko mgły z nad Niemna zwisły na krawędzi,
Które wietrzyk po błoni rozbija i pędzi.
Rzewnym oddechem Niebios natchnieni ptaszkowie,
Po zarosłych wiszarach, na każdym ostrowie,
Gwarne pieją przyśpiewki i rozhowor wiodą,
Aż się echo serdecznie rozlega nad wodą.
Zamek Pullen uśpiony — tylko straż na wale
Czasem brząknie na trąbce sygnał po sygnale;
Bo choć spokojne czasy, trzymaj się na wodzy,
Któż wie, co teraz myślą najezdnicy srodzy?
Kogut zapiał... to północ... śpi cała gromada.
Skądże ten blask od ognia, co na bramę pada?
Przedziera się, migoce blask żywy, iskrzaty,
Przez okienko podziemia, z za żelaznej kraty,
To przygaśnie, to buchnie, to znów się zaciemni;
Znać, że ludzie przy ogniu snują się tajemni,
Zebrali się tak późno, tak cicho, gromadnie...
Litwa czary wyrabia?... a któż ją tam zgadnie?

II.

O! zaprawdę to jakieś czary czy ofiary!
W głębi zamkowych sklepisk loch ciągnie się stary;
Tam się nigdy przez okno słońce nie promieni;
Zapleśniał od wilgoci stary mur z kamieni;
Krwawy blask od ogniska uderza na ścianę;
Poczerniały od dymu sklepienia ceglane,
Bo tutaj Bóg Litwinów zamieszkał widomie.
Pała we dnie i w nocy niewygasłe płomię,
To Żnicz, co się z przed wieków uroczyście chowa,
Co go niegdyś do Wilna unieśli z Romnowa,
I co z małej iskierki, zapalonej w Wilnie,
Pielęgnują ognisko troskliwie a pilnie.
Niejeden żubr, zabity w łowieckiej zdobyczy,
Napoił swoim tłuszczem ten stos ofiarniczy;

Nieraz tutaj niemieckie Hanzeatów posły
Pełne stągwie oliwy dla Żnicza przyniosły,
I nieraz plecy jeńca, Lacha lub Germana,
Dźwigały tutaj z lasu jodłowe polana
Na pożarcie Żniczowi. Ale u ołtarza
Wciąż jedna tylko ręka ognisko rozżarza,
Ręka sucha, jak trupia, jakby szkielet z kości,
Opalona od ognia, drżąca ze starości:
Marti, kapłanka Żnicza, jakby mech zgrzybiała,
Od sześćdziesięciu wiosen tutaj zamieszkała.
Było to młodę dziewczę, jak róża w rozkwicie,
Tu zakwitło, kraśniało, tu zeschło jej życie,
Ty dźwięczny głos niewieści przybrał dzikie tony,
Tu blask pięknego oka wygryzł dym święcony,
Tutaj wszystkie uczucia, czem dusza bogata,
Wszystkie dumki i wszystkie namiętności świata,
Wszystko, czem żyje głowa, czem się serce żarzy,
Marti oddała bogom, a do ich ołtarzy
Przyrosła jak kolumna.
I cóż więc za dziwa,
Że dziś natchnienie bogów jej piersi rozrywa?
Że widzi na wskroś niebo ciemnemi oczyma?
Że Żnicz w zgrzybiałem łonie swój ogień rozdyma?
Że słynęła wróżbiarką ofiarnica ciemna
Od wybrzeży Połągi aż do źródeł Niemna?

III.

Lecz żadne bóstwo wiosny, miłości, młodości,
Nie bierze od niej ofiar, w jej sercu nie gości;
Tylko Poklus, bóg piekieł, ma hołd u ogniska,
Tylko Perkun straszliwy, co gromami ciska,
Tylko lubi przy Żniczu kłęby dymu ciemne,
Tylko pieści jaszczurki i gady podziemne,
Tylko podziemne bóstwa rada przywoływa;
A każda jej piosenka złowroga, straszliwa,
Jakby wycie puhacza na wioskowej strzesie,
Co zwiastuje nieszczęście, albo śmierć przyniesie.

IV.

Dziś wszyscy wajdeloci i wszyscy kapłani
Tylko strachem i cześcią przejmują się dla niej;
Nawet krywe-krywejte z wileńskiej świątyni
Przysyła posłanniki i ofiary czyni
Bogom, co w zamku Pullen, pod wróżbiarki strażą:
Bo Poklus, bożek piekieł, z zagniewaną twarzą
Stanął przed nią widomie — a Litwini dzicy
Przynieśli mu ofiarę z krwi synogarlicy,
I przed jego posągiem padając na lice,
Kadzili pruski bursztyn i wschodnią żywicę,
Mniemając, że krew ptasza, albo wonność droga
Przebłaga zagniewanie straszliwego boga.
Lecz Poklus, niedowolen takową ofiarą,
We trzy dni znowu stanął przed wróżbiarką starą;
Na strasznych jego uściech gniew trzęsie się bladszy,
A ognista źrenica jeszcze srożej patrzy.
Widząc, że tu krwi ludzkiej wymaga bożyszcze,
Lutas przebił swą rękę, — a ze krwi, co świszcze,
Czynił całopalenie, modlitwę, zaklęcie,
A naród zgromadzony już uwierzył święcie,
Że krew, co z ręki mężnej wysączona tryska,
Gdy się spali, niebiosa i piekło pozyska.
Buchnął płomień, podsycon rycerską posoką,
Ucieszyła się Litwa; ale Marti oko,
Co zamknięte dla świata zna tajniki piekła,
Nie zajaśniało blaskiem.

V.

Wróżbiarka wyrzekła:
Za trzy dni w tem podziemiu zbierzcie się, Litwini;
Poklus ostatnie jeszcze zjawisko uczyni.
Obaczę, czy spokojne, czy wzdyma się łono,
Czy mu oczy litością, czy gniewem zapłoną,
Czy już się ze swej groźby rozzbroiły Nieba,
Czy jeszcze krwawszych ofiar na ołtarz potrzeba.
Za trzy dni o północy niech się naród zbierze,

I ty, szlachetne książę, rycerski Margierze,
Bądź tutaj ze swem dzieckiem — los się nie odmienia:
Może trzeba krwi twojej lub twego plemienia,
Może trzeba łez czyich — więc bądźcie ochoczy.
Kto może łzy wyleje, albo krew wytoczy,
Niech pomni, że to bogom staje się zadosyć,
I że warto dla Litwy ofiarę ponosić.

VI.

Za trzy dni o północy, na kształt bladych cieni,
Zeszli się znów Litwini trwożni, przerażeni,
Bo przed strasznem zjawiskiem nieziemskiego świata
I w najmężniejszem sercu święty strach kołata.
Każdy żegna się z życiem, bo któż zgadnąć zdoła,
Kogo krwawe bożyszcze przed ołtarz powoła?
Czyje piersi rozpłata święcona siekiera?
Więc się każdy z Litwinów jak na śmierć ubiera;
W lnianych szatach, z orężem od srebra i złota,
Co kto miał, co kto lubił ze swego żywota,
W to się wszystko przystroił. Rzędami stanęli
Mężowie jak do boju, a niewiasty w bieli,
A dziewice zielono z wieńcami na głowie,
Kapłani przyszli z harfą i z lirą starcowie.
Margier w bobrowym szłyku a w żelaznej zbroi,
Wsparty na dzielnej włóczni, nieruchomie stoi;
Choć mu tajemnych myśli nie wyczytać z twarzy,
Pewno, że nie o sobie, lecz o Litwie marzy;
Chętnie dostojną głowę pod topór położy,
Byle tylko nad Litwą uśmierzyć gniew Boży,
Byle Poklus ujęty, kiedy krwią opłynie,
Wyrwał mordecze żądło krzyżackiej gadzinie.
Zna, że ze swoją twierdzą i z pierśmi mężnemi
Chroni jak mur od Niemna macierzystej ziemi,
Czuje dobrze, że tarcza w jego rękach święta,
Pod nią litewskie strzechy, pod nią niemowlęta,
Pola chlebem zasiane i rodzinne bogi
Spoczywają spokojne, wolne od pożogi.

Więc pyta sam u siebie i wyroki bada:
Kto jego tarcz udźwignie? kto mieczem zawłada?
Kto czujniej będzie pełnił nadniemnowe straże?
A zresztą gotów na śmierć, jeśli Poklus wskaże,
Gotów umrzeć za Litwę lub dać własne dziecię.

VII.

Cóż Egle wobec śmierci? jej serce kobiecie
Czyż nie zadrga obawą? — O! to wielkie serce!
Zdoła umrzeć, jak słuszna dzielnej bohaterce,
Nie shańbi krwi książęcej nikczemną obawą;
Ależ do niej i życie, i młodość ma prawo.
Od niejakiego czasu, gdy oczy otworzy,
Tak coś dobrze na sercu, popięknial świat Boży!
Co to za szczęście młodość! tak się w duszy chwali:
Jacy dobrzy bogowie, że nam życie dali!
Bo na powaby życia, na uczucia święte
Przejrzało oko duszy aż dotąd zamknięte,
Otworzyło się serce na radość bez końca,
Jako młody pierwiosnek dla pięknego słońca.
I teraz trzeba umrzeć... na ofiarę zową,
Spojrzeć z pięknej jutrzenki na otchłań grobową!...
Nie dziw, że dreszcz ogarnął bohaterkę śmiałą,
Głowa się zamroczyła, a w oczach ściemniało,
Dreszcz bojaźni po sercu przebiegł mimo chęci:
Zna już wartość dni młodych, które bogom święci,
I głowę przystrojoną w młody wianek z ruty
Zwiesza ku drżącym piersiom, i żalu wyrzuty
Stara się wyższą myślą wyprowadzić z łona,
A na licu jej bladość, w oczach łza tajona.

VIII.

Już północ. Lud w podziemie zebrał się gromadnie,
Milczy jak wobec śmierci i stos łomów kładnie,
A wróżka je zapala i kropi oliwą.
Krwawe blaski po ścianach odbiły się żywo,
Zaiskrzyły w pancerzach, co noszą mężowie,
Zapłonęły w kolorach na niewieściej głowie,

Zajaśniały na twarzy siwego brodacza,
I czarny cień rozliczne gromady otacza;
A tu cisza, jak w grobie... Ledwie posłyszycie
Huk płomieni, trzask polan i serc trwożne bicie.
Wtedy wróżka obrządek rozpoczyna wieszczy:
Skinęła na kapłanów — i sto trąb zawrzeszczy;
Plączą się w jeden rozgwar najsprzeczniejsze tony,
I różek chrapowaty i flet wypieszczony,
A wszystko przeraźliwe, gwarliwe, niestrojne,
Aż od echa zadrgało sklepienie spokojne.
 A nad wszystkiemi wrzaski, nad wszystkie rozgwary,
Przemaga krzyk natchniony czarodziejki starej;
Na oczach ociemniałych błysnął wyraz wściekły,
Włosy się najeżyły, a usta zapiekły;
Nic nie widzi, nie słyszy, chyba w głębi ducha,
Tylko ostatkiem głosu straszną pieśń wybucha.
Skinęła — ustał rozgwar — znów cisza grobowa.
Stos pali się powoli — już tylko połowa;
Ogień jaśniej i równiej oświeca sklepiska.
Wróżka garśćmi żywicę do płomieni ciska;
Wybuchnął żwawszy ogień, dym rozwiał się smolny,
I zagrzmiało z daleka... Przestrach mimowolny
Ogarnął serca Litwy, upadli na twarze.
Marti trąbom na nowo odezwać się każe,
I mierzonemi takty z całej siły krzyczy:
 Poklusie! czarnych piekieł boże tajemniczy!
Ubłagany, czy groźny, w płomieniu, czy w gromie,
Wpośród twojego ludu objaw się widomie.
Powiedz: za co nam pomstę zapowiadasz Nieba?
Jakiej dla cię ofiary, czyjej krwi potrzeba?
Wskaż na kogo uderzyć, daj mordercze hasło!
 Umilkła... dopalone ognisko przygasło;
Więc bierze garście siarki i na węgle rzuca,
A jak gdyby wołanie zerwało jej płuca,
Padła pierśmi na ziemię, i w prochu się tarza.
A ze stosu, co płonie, węgli się, rozżarza,
Buchnęły kłęby dymu, buchnął płomyk sini,

I trupi blask uderzył po ciemnej jaskini.
Znowu grom wstrząsnął gmachem z potęgą olbrzymią...
Cudo! z siarczystych kłębów, co ze stosu dymią,
Ukazało się bóstwo tak straszliwej twarzy,
Jak tylko senna zmora w gorączce wymarzy!
Postać naga, koścista, włosata, brodata,
A ze źrenic spojrzenie jak płomień wylata,
A na czole, na ustach i na wzdętem łonie,
Trzęsie się dzika groźba, gniew straszliwy płonie.
Była cisza — bo ludzie upadli bez siły,
Zdaje się wszystkie piersi oddech przytaiły.
Tylko Margier nie klęknął, choć twarz jego pała,
Choć znaczno, że bożyszcze na serce mu działa,
Nie spuścił nawet oka — oczyma mężnemi
Zmierzyli się bóg piekieł i bohater ziemi.
Ale ognik siarczysty gaśnie, dogorywa,
I nadziemskie widziadło z dymem się rozpływa.
Wróżka powstaje z ziemi i ogień roznieca;
Poklus zniknął z podziemia — tylko twarz kobieca
Pobladła, posiniała, jakby konająca,
Zwraca się ku ludowi — i z piersi wytrąca
Słowa ciche, powolne, jak gdyby kaskada,
Jak strumyk, co do Wilii z gór Ponarskich spada:
  Poklus objawił wolę... drżyj, książę Margierze!
Nad baszty twego zamku wnet chmura się zbierze.
Chowasz dziecię z krwi obcej, co Litwę wyniszcza:
Własna krew przygotuje płomienie i zgliszcza,
Które dom twój zagubią — zagubią cześć Bożą,
Wrogom bramę do Litwy na oścież otworzą.
Nie ukoisz inaczej wyroków srogości,
Chyba krwią pacholęcia, co w twym domu gości.
I nie dalej, jak jutro w północnej godzinie,
Niech krew młodego jeńca na ołtarz popłynie,
A ciało jego spalić w ofiarnej pożodze,
A proch rzucić na wiatry przy rozstajnej drodze!
  Tak mówiła wróżbiarka, znękana i blada,
Słania się wysilona i na ziemię pada.

IX.

Margier rycerskie czoło uchylił w pokorze:
Szanuje wiarę ludu i wyroki Boże.
Puścić wolno Ransdorfa książę miał w zamiarze,
Lecz wyższy obowiązek poświęcić go każe.
Czy bogowie zaprawdę pragną krwi młodziana,
Czy się tylko nań sroży wróżka zagniewana,
Zawsze zgon Krucygiera w ostatecznym kresie
Znakomite dla Litwy owoce przyniesie:
Bo ku bogom rodzinnym więcej wiary doda,
A w tej wierze dla Litwy siła i swoboda,
Bo na serca litewskie wciąż działać należy,
Jątrzyć wieczną nienawiść dla pruskich rycerzy;
To do śmiertelnej walki posłuży najlepiej,
I miecze zahartuje, i serca pokrzepi.
Margier westchnął, i kazał kapłanom, ludowi,
Aby jutro stanęli do ofiar gotowi,
A on sam, wierny bogom, jak wróżbiarka radzi,
Niemieckiego rycerza pod cios przyprowadzi.
Lecz dodał: Kiedy człeka pod topór już kładniem,
Nie wolno po zbójecku urągać się nad nim.
A biada temu z Litwy i śmierć jego głowie,
Kto rycerza znieważy, albo kto mu powie,
Jaki nań zapadł wyrok — niech ma spokój we śnie.
Na co wieścią złowrogą zabijać przedwcześnie?
Niemasz korzyści bogom, ani Litwie gwoli,
Że ktoś w męczarniach ducha cały dzień przeboli!
Taki rozkaz wydawszy, pokłon bogom czyni
I z pochmurnem obliczem wychodzi z jaskini.

X.

Straszne są bogi Litwy, którym hołdy święcę! —
Mówiła młoda Egle, załamując ręce, —
Jakie dzikie wyroki... jak przemocne prawa
Bóstwa, co żyje śmiercią, a krwią się napawa!...
Czyż dla zbawienia Litwy potrzebna jest zbrodnia?
Na co im krew niewinna obcego przychodnia?

Czy przeto wzniosą wielkość i potęgę swoją,
Kiedy ludzi na ludzi w nienawiść uzbroją?
Srogi Poklus — gdy z ojca chce czynić zbrodniarza,
Brzydka Marti — gdy takie wyroki powtarza...
Co im szkodzi ta głowa? zabijać ją... poco?
Czy w niej całą potęgę krzyżacką zgruchocą?
A może ta dziecina, taka dzisiaj młoda,
Kiedyś rękę Litwinom przyjacielską poda
I powstrzyma nieprzyjaźń, co dwa ludy plami,
I złączy swoje bogi z naszymi bogami...
Nie, Marti, czarodziejko! próżna twa podmowa!
Na inszą krew niech Poklus pragnienie zachowa.
On nie umrze... przysięgam, że nie umrze wcale;
Ja go mojem ramieniem zasłonię, ocalę,
Ja wezmę miecz ojcowski — znacie miecz Margiera!
On nie chybi w zamachu, on pancerz rozdziera,
On w rozpaczliwych ręku — biada waszej głowie,
Kapłani i wróżbici, i sami bogowie!...
Ja bluźnię waszej sile i waszej dobroci...
Jutrznio! której blask święty na niebie się złoci,
I ty, który mię słyszysz, święty wietrze wschodni,
I wy, bogowie niebios i ziemni, i wodni.
I ty, krwawy Poklusie, co zatrząsasz piekła,
Przebaczcie nieszczęśliwej, co w żalu wyrzekła!
Ocalcie niewinnego z pod oprawcy młota:
Ja wam ołtarz zbuduję, dam srebra, dam złota,
Dam krwi mojej na ołtarz!
Tak bolem, złamana,
Biedna Egle ze łzami pada na kolana,
Wzrusza Niebo rozpaczą, mięknie przez pokorę,
Nie ukrywa przed sobą, co w jej sercu gore.

XI.

Było jeszcze nad rankiem — daleko wschód słońca.
Na wale, gdzie klęczała Egle bolejąca,
Niewidziany, chcąc użyć porannej pogody,
Siedział w myślach posępnych Lutas siwobrody,

Wysłuchał jej bluźnierstwa, modlitew, rozpaczy,
I zrazu nie pojmował, co to wszystko znaczy;
Lecz zrozumiał... popatrzał... i z oczu mu znaczno,
Że przebaczył dziewicy jej miłość dziwaczną.
On sam dumał boleśnie nad Ransdorfa losem.
Słuchaj, córko Margiera — rzekł do niej półgłosem
— Bądź mężna — niech się twoje męczarnie ukoją,
Podsłuchałem bolesną tajemnicę twoją.
Czyś powinna pokochać wroga twojej wiary?
Niebu tylko wiadomo — jam za nadto stary,
By sądzić wedle siebie dusze młodociane,
Albo w boleściach serca dać balsam na ranę.
Może i prawdę rzekłaś: za lepszych dni świata
Może miłość dwa ludy niezgodne pobrata,
Dla Litwy i dla Niemca będzie Bóg jednaków;
Ja nie chcę tego dożyć — niecierpię Krzyżaków.
Ale całą nienawiść, co mem sercem miota,
Chciałbym dowieść toporem lub ostrzem brzeszczota,
Jak dawniej, gdy truchleli na blask mojej zbroi...
Ej, pomarli, pomarli towarzysze moi!
Czy doznali mej ręki niemieccy wrogowie?
Lubiłem krew ich sączyć — i dziś, gdyby siła,
Jeszcze stara nienawiść w piersiachby odżyła,
Ale to z równą bronią, gdy do walki zową,
Lecz brzydzę się morderstwem nad bezbronną głową.
Wiem, że własnej srogości pożałujem sami,
Gdy pamięć takich mordów naszą cześć poplami.
U mnie droga cześć Litwy, jam chlubny jej chwałą:
Trochę się za nią potu, trochę krwi wylało,
Zwyczajnie stary żołdak, co mam, tem się drożę.
Inaczej o tem myślą ofiarniki Boże;
Oni hełmu nie dźwigną, pod mieczem nie staną,
Im trzeba wieść przed ołtarz ofiarę związaną,
By swą wściekłość pobożną wywarli do syta! —
Tak mówił stary Lutas i zębami zgrzyta,
I żelazną prawicą uderza po czole. —
Nie!! przysięgam na bogów! że ja nie pozwolę,

Aby zginął bezbronny, jak wróżka wymaga.
Młodzian, któremu z oczu iskrzy się odwaga,
Którego kiedyś w boju obaczą Litwini,
A którego pokonać — to chluby przyczyni!

XII.

Lutas to zwolna gwarzy, to już w zapał wpada,
A Egle zapłakana, nieprzytomna, blada,
Przypada mu do kolan i błaga przyjaźni:
Ocal, szlachetny starcze! ocal go od kaźni!
Obaczysz... będzie mężny, jak tyś był za młodu,
Będzie druhem wieczystym naszego narodu,
Jego nikt nie zwycięży, on wszystkich pokona!
Lutas gorzko się zaśmiał: Szalona! szalona!
Szkoda mi twej młodości, szkoda twej rozpaczy...
Któż wie, na co go Niebo dla Litwy przeznaczy!
Może na czele hufców znowu tu się zjawi
Dopuszczać się za Niemnem morderczych bezprawi,
Zapalać nasze chaty, pastwić się nad dziatwą...
Ha! ale Litwa chrobra nie podda się łatwo!
Starzec westchnął... podumał i coś szepce do niej;
Spłakana twarz dziewicy radością się płoni;
On wskazał ku Niebiosom, ku niemnowej fali,
Snadź przyrzeka nieszczęsnej, że więźnia ocali.

XIII.

Słońce wieki płynęło po Niebios obszarze.
Niepokój wszystkie w zamku wypiętnował twarze:
Margier smutny, ponury, słowa nie przemówi;
Egle od ranka patrzy wciąż ku zachodowi,
Jakby mierzy od słońca Niebiosów błękity,
By się skończył dzień długi — och! dzień nieprzebyty;
Lutas potrząsa głową i sam z sobą gwarzy;
A niewiasty i dzieci, młodzieńcy i starzy
Krzątają się po zamku, patrzą na Krzyżaka,
I niejedno spojrzenie, jak zła wróżba jaka,
Zatrzymało się nad nim, lecz w ciżbie prostaczej
Rzadko wyraz niechęci, częściej łzę obaczy.

I dziwi się pacholę, co się w zamku stało?
Czemu wszyscy nań patrzą boleśnie, nieśmiało?
Czemu zdala go mija litewska gromada,
A żaden nie pozdrowi, słowa nie zagada?
Zresztą, mało go troszczy ich trwoga nieznana;
O jedno chciałby spytać: dla czego dziś z rana,
Wedle swej pobożności, wedle obyczaju,
Nie szła córka książęca do świętego gaju?
Och! nie tak węże z gaju upragnione mleka,
Jak on spojrzenia Egli. Czy przed nim ucieka?
Czy odgadła płomienie, co mu w duszy gorą?
Czy może zatrudnioną? czy może jest chorą?
Czy może dziki Litwin — o biada mu, biada! —
Nadniemnowej bogini swe ofiary składa?
Ransdorf na takich myślach przebył dzionek Boży,
I on cierpiał — któż zgadnie? może cierpiał srożej;
Bo biedne młode serce, kiedy w niem zagości
Szatan niedowierzania lub piekło zazdrości!

XIV.

Słońce zaszło... Na wałach o wieczornej porze,
Jak zwykle — Ransdorf marzy... a tam ostrzą noże,
Gotują stos ofiarny, rozpalają płomię.
Ściemniało... postać w bieli zbliża się widomie.
Krzyżak oko wytężył... to postać niewiasty:
Skrada się poza wały, poza dzikie chwasty,
Przybliża się... to ona przed jeńca oczyma...
Pokraśniała... chce mówić, lecz oddechu nie ma —
Zdobyła się na słowo: Cudzoziemcze młody!
Uchodź stąd... uchodź prędko... złamane przeszkody,
Ułatwiona ucieczka... przez Niemen... po błoni...
Uciekaj, nieszczęśliwy! śmierć za tobą goni!
I chwyta go za rękę, i jak młode sarnię,
Bieży z wału — to dzikie zarośla ogarnie,
To przeskoczy przez kamień: Spiesz się, spiesz, mło-
Aż serce jej kołace, aż oddech ustanie, [dzianie!
A oczy jej tak iskrzą, jakby słońce we dnie,

A lice to skraśnieje, to znowu poblednie;
Ransdorf tuż za nią dąży, lecz zgadnąć nie zdoła,
Jaką śmiercią mu grozi i dokąd go woła;
Jedno tylko rozumie: że tak dni i lata
Leciałby z nią i leciał aż na koniec świata.

XV.

Nad błoń, pod starą olchę biegli zadyszani.
Tutaj Lutas ich czekał u brzegu otchłani,
Bo już odwalił kamień z pod olchy korzeni,
A loch nieogarnionej dalekiej przestrzeni
Ukazał się ich oczom. Tu się Lutas spuści,
Jak do ciemnej i strasznej piekielnej czeluści,
I zawołał: Ransdorfie! chwila uroczysta!
Przysięgnij na twych bogów, przysięgnij na Chrysta,
Że choćby przyszło płacić życiem lub swobodą,
Nie odkryjesz nikomu, gdzie te lochy wiodą!
Tam już w zamku spragnieni widzieć krwi twej fale —
Ja przysiągłem ocalić, ja ciebie ocalę.
Temi lochy do Niemna droga nie daleka,
A przy Niemnie twój rumak i łódka cię czeka,
A przez Niemen do swoich dostaniesz się snadno.
Lecz przysięgnij nie wydać przed potęgą żadną
Tajemnicy tych lochów!
Ransdorf ugiął szyję:
Przysięgam na Chrystusa, na świętą Maryę!
Rycerz Krzyża statecznie tych przysiąg dochowa.
Egle! szlachetna Egle! bądź zdrowa! bądź zdrowa!
Wspomnij czasem Ransdorfa, o dziecko swobody!
Weź ten krzyżyk — to Bóg mój!
I Krucygier młody
Wskoczył do lochu, poszedł kędy Lutas każe.
A Egle pozostała przy ciemnej pieczarze,
Odetchnęła swobodnie, zapłakała rzewno,
I bada fale Niemna źrenicą niepewną,
Aż wiatr zimny ochłodził gorące oblicze,
A z zamku doleciały śpiewy ofiarnicze.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

W Malborgu wielkiej sali zbiera się obrada.
Dwudziestu czterma okny blask słoneczny wpada
Na kamienną podłogę, na gotyckie ściany
I na orszak Krzyżaków gromadnie zebrany;
Złoci ich białe płaszcze, zaiskrza się, pali
Na hartownych pancerzach, na hełmach ze stali.
A wszyscy niemal bracia jednakiej urody,
Jednako noszą płaszcze, pancerze i brody,
Jednostajna nad hełmem rozwiewa się kita;
Tylko na każdem licu inna myśl odbita.
Owdzie twarz siwobroda, znojem ogorzała,
Rozognionym rumieńcem bohatersko pała;
Owdzie lica wybladłe, pieszczone jak cacko,
Uśmiechem zalotności, swobodą hulacką
Odznaczają czcicieli Bacha i rozpusty;
Insze zasię oblicza z zaciętemi usty,
Ze spuszczoną źrenicą, poczerniałe, chude,
Znaczą dziki fanatyzm lub świętą obłudę.
Ale na żadnem czole i na żadnej twarzy
Piętna cnót chrześcijańskich spotkać się nie zdarzy,
Bo kościelni rycerze zapomnieli ninie
Wzoru swych Patryarchów, którzy w Palestynie
Nieśli chorym w szpitalach ratunek najżywszy,
Albo świętej Maryi swój miecz poślubiwszy,
O głodzie i o chłodzie w Chrystusowe Imię
Zabezpieczali w stepach gościńce pielgrzymie;
Od nich miał wspomożenie ubogi i słaby,
Gdy o żebranym chlebie walczyli z Araby.
Dzisiaj nad Grobem Pańskim już nie pełniąc warty,
Usiadł mnich na książęcej stolicy rozparty;
Wypróbowawszy miecza na świętej posłudze,
Zatopił chciwe szpony w posiadłości cudze,
A nad sąsiednią Litwą, Prusakiem i Lachem
Wywiera swoje wpływy krzyżem i postrachem.
Nienasycona żądza, nieugięta pycha

Zagnieździły się w sercu bogatego mnicha;
Komu ślub przysiężony pokornym być każe,
Chce potęgą prześcignąć króle i cesarze;
Potworną jego piersią niespokojnie miota
Tylko pragnienie władzy, rozkoszy i złota.

II.

Nieskładny gwar rozmowy przebiega po sali.
Ze wszystkich miast i zamków tutaj się zebrali
I komtury, i wodze, i kapłani starszy,
I od króla polskiego posłannik monarszy.
I z pismem Apostolskiem goniec od Papieża,
I goniec od cesarza: bo rozterka świeża
Krzyżowców z królem polskim o miasta i kraje,
Nie małe w chrześcijaństwie trudności zadaje.
Po sali mnoga ciżba snuje się i gwarzy.
Rozmawiają półgłosem komturowie starzy
O traktatach, i jaka należy im wiara?
O prawie kanonicznem i władzy cezara,
I o prawie podbojów co sądzili dawni,
I jako się trzymana posiadłość uprawni?
Bo dzisiaj z królem polskim spór się toczy żwawy
O stare posiadłości Dobrzyń i Kujawy.
Zasię młodsza gromada rycerzów i młodzi
O turniejach niemieckich rozhowor zawodzi,
Wenecką karaceną lub mieczem się szczyci,
Wychwala oczy dziewic i kształt ich kibici,
Śmieje się hucznym śmiechem, przechwala w bezwsty-
Albo nuci rozkoszne piosnki o Cyprydzie. [dzie,

III.

Wtem weszli heroldowie poważnie do sali
I przybycie wielkiego mistrza obwołali.
Ucichnął szmer, i wielkie otwarto podwoje,
I starzec wynędzniały przez trudy a znoje,
Ubrany w płaszcz i pancerz, jak rycerze prości,
Wszedł, poprzedzon znakami swojej dostojności:
Wielkim krzyżem i mieczem. Ukłonił się braci,

I wszyscy się skłonili w pokornej postaci.
Skinął i wedle stołu zasiadł tron monarszy.
Poklękli obok mistrza komturowie starszy,
I zakonny kapelan z cicha a pomału
Począł mówić modlitwę wedle rytuału,
Prosząc Ducha świętego, który serca świadom,
By udzielił natchnienia krzyżackim obradom.
Gorzkie urągowisko! bo świętego Ducha,
Boskich natchnień od dawna Krzyżactwo nie słucha,
A Duch Pański nie gości w mordach i pożodze,
Nie udziela porady na bezbożnych drodze.
  Od czasu jak go mistrzem obrała gromada,
Teodor z Altenburga już siódmy rok włada,
Więcej duchem marsowym niźli Bożym płonie
I chwałę bojowniczą pomnożył w zakonie.
Ale szczęściem wojennem próżno się zasłania,
Kto karty historyczne swego panowania
Przed obliczem obecnych i potomnych ludzi
Obryzga krwią niewinną lub zdradą zabrudzi.
Potężny wielki mistrzu, hrabio Teodorze!
Twój wawrzyn bohaterski nie wiele pomoże:
Kto rozlał krew niemowląt, co pod Gnieznem płynie,
Kto w Kaliszu odzierał Chrystusa świątynie,
Kto w klęsce chrześcijaństwa swoją wielkość kładnie,
Kto zmowę z Szamotulskim zaprowadził zdradnie,
Kto ośmielił Sarmatę — o zbrodni nieznana! —
Zaprzedać kraj rodzinny i swojego pana, —
Próżno w laury wojenne przyozdabia głowę!
Przekleństwo nań spółczesne, przekleństwo dziejowe!
A z tej klątwy ni Cezar, ni książęta Rzeszy,
I choćby chciał rozgrzeszyć — Papież nie rozgrzeszy.

IV.

  Ukończono modlitwę — poczęta obrada.
Wielki mistrz na swym tronie książęcym zasiada;
Siedli panowie radni na dębowej ławie,
A szlachetne rycerstwo stanęło ciekawie,

Otoczone giermkami i orszakiem pazi,
Czekając, co król polski przez posły wyrazi,
Czy z pokojem, czy z wojną do mistrza przybywa
Sławny rycerz z Melsztyna, Jan, herbu Leliwa.
U wchodowych podwojów zaciągnięto straże;
Mistrz rycerstwu w półkole szykować się każe.
Słychać tętent rumaków przed bramą na moście,
Słychać łoskot w dziedzińcu — przybywają goście.
Wrzasła trąba heroldów, aż zadrgały ściany,
I mężny Leliwita, jak na bój przybrany,
Otoczon gronem giermków i sarmackiej młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą na pokoje wchodzi, —
I przeciąga przez salę pochód uroczysty.
Poseł idzie k'mistrzowi, podaje swe listy,
I odkrywa przyłbicę, i dumnie się kłania.
Znać rycerską swobodę z tego powitania,
Z mężnej twarzy i z oka, co na wskroś przenika,
Wyczytać wielkie serce w piersiach posłannika:
Że król jego potężny, że kraj jego kwitnie,
Że nie przychodzi o nic błagać czołobitnie.
Spojrzał po całej sali, po całej gromadzie,
I na rękojeść miecza dłoń rycerską kładzie,
I w takowej postawie stanąwszy z daleka,
Muskając sute wąsy, na odpowiedź czeka.

V.

Polskiej ziemi króluje od dwóch lat bez mała
Kazimierz, co go Wielkim potomność nazwała;
Dzielne plemię Łokietka w cześć ludzką urasta,
Panując nad wszystkiemi dzielnicami Piasta.
Z młodu przy boku ojca z wojną obeznany,
Wsławił się pod Dobrzyniem, zdobywał Kościany;
Krzyżacy go doznali jeszcze z tamtej chwili
I pana sarmackiego nie lekceważyli.
Lecz wiedząc, że Łokietek nie wskrześnie z mogiły,
A młodego orlęcia jeszcze słabe siły,
Podnieśli hardą głowę mnisi wiarołomni:

Bo któż się za bezprawia rachunku dopomni?
Bo w Krakowie niewiasta i pacholę włada,
Kilku starców zgrzybiałych w obradzie zasiada,
A ościenni książęta, patrzając zazdrośnie,
Cieszyli się, że Polsce nieprzyjaciel rośnie,
I sprzyjali Krzyżakom z niechęcią dla Polski:
Król węgierski, król czeski, cesarz apostolski,
Słowem wszyscy panowie chrześcijańskiej ziemi,
Wszyscy przeciw Sarmatom — a któż był za niemi?
Jakiego sprzymierzeńca mieli na widoku?
Tylko Boga, co w Niebie, i miecz, co przy boku!

VI.

Mistrz pisanie królewskie przeczytał i chowa,
A poseł w te ku niemu odzywa się słowa:
Dostojny, wielki mistrzu i wszyscy rycerze!
Pan i król mój przeze mnie pozdrawia was szczerze,
I prosi Pana Boga chrześcijańską modłą,
Aby nam w łasce Jego fortunnie się wiodło.
Przyczem wam przypomina o świeżym traktacie,
Że Dobrzyń a Kujawy nieprawnie trzymacie,
Że za starego króla zbici pod Płowcami,
Gdy warunki przymierza podaliście sami,
Gdy zakon pokonany miłosierdzia żebrze,
Mieliście tysiąc grzywien zapłacić we srebrze.
Gdzie skutki tych przyrzeczeń, opisów, umowy?
Gdzie wiara, utwierdzona rycerskiemi słowy?
Gdzie kapłańska uległość wyrokom Kościoła?
Kiedy spełnicie rozkaz, co nuncyusz woła,
I co Papież potwierdził w Apostolskim liście?
Król i pan mój rozkazał spytać uroczyście.
Oto wasi żołdacy, jakby horda dziczy,
Zakłócają spokojność naszych pograniczy;
Po miastach i po wioskach trwoga się rozniosła,
Rolnik odbieżał pługa, mieszczanin rzemiosła,
Pozabierane trzody, spustoszone zboże,
Czyż król na tyle klęski nieczułym być może?

Nie darmo jego barki purpura osłania;
Nie darmo jego czoło gwoli królowania
Namaścił Arcybiskup oliwą chryzmatu
I przypasał do boku miecz wiadomy światu;
Miecz Chrobrych, Krzywoustych, nie darmo zadzwoni,
Świeżo jeszcze w Łokietka zahartowan dłoni.
Krzyżacy! ostrze jego, oświetlone chwałą,
Od płowieckiej potrzeby jeszcze nie stępiało!
Ale pan mój, szanując powołanie wasze,
Nie pierwej wdzieje pancerz i miecz swój przypasze,
Chyba że wasza pycha otwarta widocznie
Wyroki Apostolskie lekceważyć pocznie.
Oto świeżo obleczon w poselstwa zaszczyty
Jan ze Słupca, krakowski Biskup znakomity,
Jeździł w imieniu króla w Apostolskie progi,
I przekładał uciski, morderstwa, pożogi,
Wszystko, czemeście Polskę krzywdzili zdradziecko,
Odkrył Głowie Kościoła, jako ojcu dziecko.
A ojciec chrześcijaństwa usłuchał wołania,
I ku naszym uciskom swoje ucho skłania,
I odprawę posłowi miłościwą daje,
I szle swoich legatów na północne kraje.
Posłanniki Papieża, jak sędziowie czuli,
Piotr, Prałat aniceński, i Gerard z Tituli,
Umocnieni powagą i zupełną władzą,
Żałoby wysłuchają i wyrok wydadzą,
Dopomną się krzywd Polski na waszym zakonie
I powrócą zabory uciśnionej stronie.
Już tedy ci legaci do Polski przybyli,
I z ramienia Papieża wydają w tej chwili
Rozkaz, byście stanęli dla słuchania sprawy,
Do stolicy Mazowsza, do miasta Warszawy,
Gdzie na dniu pierwszym sierpnia zasiędą w urzędzie
I sąd nuncyatury przywołany będzie.
A Kazimierz, król polski, z uprzejmemi słowy
Przysyła wam zapozew na termin sądowy,
Abyś sam, wielki mistrzu, lub przez towarzysze,

Stanął na czas i miejsce, jak w tych liściech pisze.
Tam niechaj nas rozsądza sprawiedliwość Boża,
A mistrz, w prawie uczony, Bartold z Raciborza,
Wyłuszczy naszą sprawę dokładnie i szczerze,
I obrony wysłucha, i wyrok odbierze:
Bo przyjmujemy chętnie z uchyleniem czoła
Wszelki wyrok od Głowy widomej Kościoła.

VII.

Rycerz skończył poselstwo, a wielki mistrz mówi:
Szlachetny Leliwito! odpowiedz królowi,
Że się sądy rycerskie odbywają krwawo,
Że trąba bywa woźnym, a bardysz rozprawą,
I żeśmy nie przywykli staroświeckim torem
Trudzić Ojca świętego marnym rozhoworem.
Lecz jeśli taka wola, niech zadość się stanie,
I dwa bitne narody, jakby dwaj mieszczanie,
O kawał spornej miedzy, o niedobre słowo,
Pójdziem do pana wójta na sprawę sądową.
My wypełnimy wszystko, co Papież rozkaże:
Niech zatargi rycerskie sądzą bakałarze,
Nasz zakon, jak posłuszne Kościołowi dziecię,
Przyjdzie na czas i miejsce, jako wskazujecie.
I w cesarskiem i w Boskiem prawie wyćwiczony,
Ojciec Jakób z Arnoldu, stanie z naszej strony,
Będzie przekładał prawa, na których my stoim,
A które obelżywie nazwałeś rozbojem.
Lecz nie myślcie, Polacy, że sąd jaki zdoła
Uszczuplić posiadłości Pańskiego Kościoła;
Co dzierżym w Imię Boże, albo prawem miecza,
To nam Kościół zapewnia, cesarz zabezpiecza:
Bo wszystkiemi krajami chrześcijańskiej ziemi
Włada cesarz niemiecki z prawami swojemi,
I ja mnich w mej pokorze, i twój król w swej chwale
Jesteśmy tylko jego pokorni wassale.
A Dobrzyń i Kujawy, Prusy i Pomorze,
Co się wzięło na Litwie, walcząc w Imię Boże,

Kraje nadane dawniej, lub zdobyte świeżo,
Nie do nas, lecz do władzy cesarskiej należą.
A gdy cesarz do siebie należące kraje
Kościołowi Bożemu wieczyście nadaje,
My, pokorni szafarze, służebnicy prości,
Nie mamy praw uszczuplać kościelnej własności.
A ktoby coś zamierzył lub działał w tym względzie,
Wedle świętych Kanonów niech wyklęty będzie;
A na kogo włożono takie anathema,
Nawet w mocy Piotrowej rozgrzeszenia nie ma.
Dochować wam przyjaźni trwam w ciągłym zamiarze;
Ale moje sumienie jeszcze więcej ważę.
Nie chcę, aby mi klątwa ciążyła nad głową.
Rycerzu Leliwito! masz ostatnie słowo.
  Umilknął — twarz rycerza szlachetna i śmiała
Z oburzenia pobladła i znowu skraśniała;
Na rękojeść szablicy oparta dłoń posła
Ścisnęła się gwałtownie, jak gdyby przyrosła
Do srebrnej rękojeści, jakby jednym razem
Miała błysnąć przed oczy hartownem żelazem.
Ale Jaśko z Melsztyna, posiwiały w radzie,
Pamięta, że poselstwo obowiązki kładzie,
Że temu nie przystoi okazać gniew żywy,
Kto przychodzi z pokojem i różdżką oliwy;
Więc, chociaż oburzony aż do głębi ducha,
Choć mu gniew pała w oczach i z twarzy wybucha,
Odpowie cichym głosem, z łagodną postawą:
Szlachetny, wielki mistrzu! czy oręż, czy prawo
Ma dochodzić słuszności — ja się tem nie trudnię;
Lecz poco Imię Boże wspominać obłudnie?
Czy Kościół Chrystusowy wspomagać należy
Owocem wiarołomstwa lub chciwej łupieży?
  Król polski, panujący w potędze i chwale,
Nie liczy się pomiędzy cesarskie wassale;
A jeśli jak mu każe Chrystusa nauka,
Przez pobożność w podwoje Apostolskie puka,
Wy się przeto nie karmcie daremną otuchą,

Że miecz jego do pochew przyrosnął na głucho.
Dziś przybyłem na sprawę wezwać zobopólną,
Dziś rękawicy boju ciskać mi nie wolno;
Lecz gdy króla mojego wywołacie zgrozę,
Insze może poselstwo w te mury przywiozę.

VIII.

— Przyjmiemy was, przyjmiemy, rycerzu z Melsztyna,
Spełnim, czego się po nas wasz król dopomina;
W świętej kościelnej sprawie za pierwszem wołaniem
Czy orężem, czy piórem do rozprawy staniem:
Kto jest Bożym rycerzem, tego w żadnej chwili
Ni prawo nie pokona, ni miecz nie omyli! —
Rzekł Rudolf, książę saski, z komturów najstarszy,
Zalecony orężem i ze krwi monarszej,
Co mu w piersiach płynęła; Krzyżacy go zową
Starego Altenburga ramieniem i głową,
A raczej zwaćby duchem nienawistnym w radzie,
Co złe myśli do głowy i do serca kładzie.

— Bóg — odrzekł Leliwita — Bóg słuszność wymierzy,
Bóg wskaże kogo uznał za Swoich rycerzy,
Kto cześć Jego imienia pielęgnuje lepiej,
Kto świętą Jego wiarę obszerniej zaszczepi.
Tymczasem, wielki mistrzu, starszyzno i wodze,
Spełniłem rzecz poselstwa w polubownej drodze;
Czyńcie, jak wasza wola, jak wasza uwaga.
Król mój pragnie pokoju, ale go nie błaga.
Chcecie wojny, toć na was upadnie jej wina.
Bóg was żegnaj, Krzyżacy!

I Jaśko z Melsztyna,
Otoczon gronem giermków i sarmackiej młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą z komnaty wychodzi.
Za nim szmer dał się słyszeć... Mężny Leliwito!
Wzbudziłeś niechęć jawną, ale cześć ukrytą:
Bo cnota i w występnym znajdzie hołdownika,
A szlachetna odwaga i wrogów przenika;

Czy idzie z mieczem boju, czy z różdżką przymierza,
Wróg nienawidzi wroga, lecz uczci rycerza.

IX.

Za posłem wyszła młodszych Krzyżowców drużyna.
Wielki mistrz ze starszyzną radę rozpoczyna.
— Złe wieści — rzekł po chwili — nieprzyjemna sprawa!
Powiedz, książę Rudolfie, jak ci się wydawa:
Czyliż przed całym światem mą słabość obwieszczę?
Oddam Dobrzyń, Kujawy i opłacę jeszcze?
Co powie chrześcijaństwo i wszyscy mocarze,
Jeśli wolę Papieża marnie zlekceważę?
Kędy obrócę oko, naokoło baczę,
Dokoła słyszę zawiść na szczęście krzyżacze,
Że my zbieramy kłosy, kiedy insi chwasty;
I byle tylko skinął Benedykt Dwunasty,
Wnet od Gallów, Brytanów, ze wszystkich stron świata,
Na krzyżowych rycerzów spadnie krucyata.
Żartuję z klątw Papieża, ale ich się boję.
Mów książę: jaka rada? jakie zdanie twoje?
— Wielki mistrzu! — rzekł Rudolf — krótka moja rada:
Poza mury Kościoła ukryć się wypada,
I przez ojca Arnolda oświadczyć królowi,
Że jest świętem, co własność kościelną stanowi,
Że Dobrzyń i Kujawy są już w ręku Bożem,
Że my pod ciężkim grzechem wrócić ich nie możem;
Niech je odbiera siłą, to sam się ugmatwa.
A iż się Papież gniewa — i tu rada łatwa:
Niech widzi naszych czynów dowód niezachwiany,
Że służym chrześcijaństwu, że walczym z pogany,
A starzec nasze winy rozgrzeszy z rozkoszą.
Każ mistrzu, niechaj pochód na Litwę ogłoszą.
Piękne tameczne ziemie, zyskamy je skoro,
Może w zamian tych krajów, co Lachy odbiorą;
Wiele się w Litwie zyska, a mało utraci.
A kiedy nas przypozwą Papiescy legaci,
Nie będziem mogli stanąć mimo szczerych chęci:

Bośmy świętą wyprawą na Litwie zajęci.
Papież skargi Polaków poczyta za baśnie,
I z opoki Piotrowej jeszcze nam przyklaśnie.
Skończyłem.
— Wielki mistrzu! co się do mnie ściąga —
Mówił z kolei komtur Fryderyk z Elbląga —
Dzielę księcia Rudolfa doświadczone zdanie:
Pragnę widzieć nad Litwą nasze panowanie,
Pragnę poniżyć rogi sarmackiej potędze,
I miecza nie poskąpię, i krwi nie oszczędzę,
I może się do dzieła przyczynię potrosze,
Bo wam z Litwy szczęśliwą wiadomość przynoszę.
Gdyśmy obecnej wiosny w naszych sił ogromie
I wzdłuż i wszerz po Litwie roznosili płomię,
Gdyśmy samego Wilna byli niedalecy,
Musieliśmy uciekać z pod małej fortecy.
Kiedy Litwa pustkowiem stała w jednej chwili,
Gdyśmy zboża stłoczyli, wioski popalili,
Kiedy pierzchał przed nami cały kraj przelękły, —
Na jednym zamku Pullen nasze siły pękły.
Pomiędzy wybrzeżami Niemna i Puniały
Seciny krzyżowego rycerstwa zostały,
A ze stosu ich kości, co się wiatrem bieli,
Dotąd jeszcze nie wskrzesła drużyna mścicieli.
Ale Margier, dowódca barbarzyńskiej rzeszy,
Nie długo się owocem zwycięstwa pocieszy.
W tej chwili z jego więzów, na łono swobody
Przybywa Ransdorf Warner, mój dowódca młody.
On na polu bojowem kiedy obumiera,
Został wskrzeszon do życia staraniem Margiera;
Sądzony bogom Litwy pod nóż świętokradzki,
Potrafił dziwnym cudem uniknąć zasadzki.
Trzymany cały miesiąc w niewoli złowrogiej,
On przeznał wszystkie ścieżki, wszystkie zamku drogi:
Litwini zdadzą twierdzę, radzi czy nieradzi,
Gdy na pewne zwycięstwo Ransdorf poprowadzi.

A gdy się zamek Pullen od Niemna zawładnie,
Reszta litewskiej ziemi ukorzy się snadnie;
Pęd naszego rycerstwa chyba wstrzymać może
Olgierd w Wilnie, a Kiejstut na Trockiem jeziorze.
Oto są, wielki mistrzu, z poza Niemna wieści.
Każ, niech trąba litewską wyprawę obwieści,
A gdy ziemia litewska nasz sygnał posłyszy,
Ręczę za dobre żniwo krzyżackich bardyszy.
Nad pogańską ziemicą już się słońce żarzy,
Już tam kłosie dojrzałe czeka na żniwiarzy.

X.

Waleczna Fryderyka i Rudolfa rada
K'sercu wielkiego mistrza najsnadniej przypada.
Więc podumał i skinął — i do stopni tronu
Przybliża się najstarszy chorąży zakonu.
— Pójdź — mówi — każ wyprawę otrąbić przed rze-
A chorągiew bojową niech z okna wywieszą. [szą.
Niechaj w sercu Papieża wszelka niechęć uśnie,
Niech wrogowie nie mówią, że my drzemiem gnuśnie.
A kiedy w naszych rękach część Litwy zobaczy,
Sarmacki król-pacholę przemówi inaczej.
Zapomni świetnych bitew, co wygrali starzy,
O Dobrzyń i Kujawy spytać się nie waży.
Idźcie z Bogiem, rycerze!
I powstała tłuszcza;
Teodor z Altenburga świetny tron opuszcza;
Sala głuchnie — a tylko, jak rycerstwo życzy,
Zagrzmiał z Malborskich wieżyc sygnał bojowniczy.
I tłumią się żołdacy chętni do oręża,
I sławetni mieszczanie, i wielebni księża,
I każdy po swojemu nowinę tłomaczy,
I każdy zapytuje: co ten sygnał znaczy?
I lecą chyże wieści od grona do grona,
Że znowu na niewiernych wojna uchwalona.

XI.

Czekając zmiany warty u narożnej wieży,
O północnej godzinie czuwa trzech rycerzy.

Światło smolnej pochodni uderza na ścianę,
Na przyłbice i miecze w rząd porozwieszane,
I na twarze Krzyżowców siedzących przy stole,
Na stągiew pełną wina i rogi bawole.
(Bo polubiła w Litwie krzyżacka natura
Zwyczaj pijania z rogu bawołu lub tura
I u siebie go chowa). Rozhowor się toczy:
— Ransdorfie! — mówił starszy — te pogańskie oczy
Urzekły cię, jak widzę: takiś smutny, blady,
Ani do pogadanki, ani do biesiady;
Milczysz, jak Harpokrates, wśród naszego wrzasku,
Zeskromniałeś na Litwie, jak święty w obrazku.
Prawdę mówiąc, w więzieniu nie wiele słodyczy,
Głodno i niewygodno, wiadomo wśród dziczy;
Ale zresztą na Litwie spotykałeś może
Stary kowieński lipiec i dziewczęta hoże,
A z takiemi pociechy i na sercu słodziej,
A nawet i w więzieniu prędzej czas uchodzi.
— Litwa — mówcie co chcecie — to kraj niezły wcale!
Choć mówi Pismo święte w którymś tam rozdziale,
Że ze wszystkich dóbr ziemskich, ile tylko stanie,
Mają prawo pożytku sami chrześcijanie;
A jednak dziki Litwin, co w Boga nie wierzy,
Smakuje stary miodek, godny ust rycerzy,
A w kraju, otoczonym lasami i wodą
Rodzą się czarnobrewki, co aż duszę bodą.
— Ej Ransdorfie, Ransdorfie! wiem, żeś zawsze gotów
Do pełnego puhara i pustych zalotów.
Bogdaj nade mną gromy Perkuna zawisły!
Bogdajbym nic nie pijał oprócz wody z Wisły,
Jeżeli nie odgadłem, co ci w serce kole,
I że po całej Litwie głośne twe swawole!
Nie wstydź się... toż młodości prawa i zasługi.
— Odgadłeś go, Wilhelmie — rzekł mu Krzyżak
Pojmała go w swe sieci cypryjska bogini; [drugi —
Ale miłość na Litwie dziwactwa z nim czyni:

Po anielsku coś brzęczy w jego sercu struna,
Gotów czcić węże święte, kląć się na Perkuna,
I nad wszystkie ziemianki, nad wszystkie boginie,
Eglę, córkę Margiera, ukochał jedynie;
A ślubom swego serca chcąc czynić zadosyć,
Ołtarz bogini Egle chce w Malborgu wznosić.
A chociaż cały miesiąc pod jej dachem gości,
Nic do niej nie przemówił, nie wyznał miłości;
Tam samym jej widokiem napawał się zdala,
A tutaj jej szlachetność, jej piękność wychwala.
I słuchaj: już tam było gotowe dlań zgliszcze,
Już go miało pożerać litewskie bożyszcze,
Kiedy zjawia się Egle, zadyszana, blada,
Porywa go za rękę, o śmierci powiada,
Uprowadza przez góry, przez tajemne lochy,
I ocala od zguby — a nasz Ransdorf płochy
Tak uczuł bicie serca, taki zawrot głowy,
Że kochankę pożegnał tylko czterema słowy,
I popłynął spokojnie na litewskiej łodzi.
— A nawet nie uściskał? och! to się nie godzi! —
Mówił Wilhelm ze śmiechem — ach! dziecino młoda!
Wszak tam krzyżacka grzeczność na pośmiech się poda.
Jeśli się o tem dowie Rudolf, książę saski,
Toś już na wieki wieków wypadł z jego łaski.
A dowództwo łuczników, coś dostał tak skoro,
Wierz mi, młody Ransdorfie, zaraz ci odbiorą.
Komtur elbląski mistrza oszukał zdradziecko:
Wmówił mu, żeś ty rycerz — a ty jeszcze dziecko,
Dziecko — bo taka miłość nie wiele ci wskóra;
Dobra w książce Platona, w pieśni Trubadura,
Lecz w życiu tyle warta, co w zbroi dziecina,
Co włócznia bez żelaza, co puhar bez wina.

XII.

— Bracia moi! — rzekł Ransdorf z zapałem i skoro —
Poszanujcie uczucia, co mi w piersiach gorą!

Czy mnie, com skłonił szyję do zakonnych jarzem,
Com już wykonał śluby przed Pańskim ołtarzem,
Czy mnie wolno otwierać dla miłości łono,
Pokochać córkę Litwy, pogankę niechrzconą?
Tego nie wiem — lecz w Bożem miłosierdziu tuszę,
Bo czuję, że ta miłość uświęca mi duszę.
Ale za cięższą zbrodnię, za gorszą ohydę
Snadź mi Pan Bóg poczyta, że na wojnę idę,
Jak dowódca łuczników. Czyż postąpię godnie,
Wiodąc miecze mordercze, pożarne pochodnie,
I rozbijając piersi, zapalając ściany,
Gdzie byłem nieprzyjaciel jak brat powitany?
Gdzie mię srodzy Litwini przyjęli jak swoi?
Gdzie Margier chlebem karmi, Lutas pieśnią poi?
Gdzie Egle, boska Egle, zbawia Krucygiera,
I rękę mu podaje, i serce otwiera?...
Szatan chyba nie człowiek miałby w poniewierce
Co najdroższe na świecie: chleb, pieśnię i serce!
Niemcy! ja kocham Litwę — czyż zhańbię me ramię?
Ja mój pancerz podepcę, ja mój łuk połamię,
Lecz nie pójdę na wojnę, jak zbójca z jaskini.
To cóż, że książę saski dowódcą mię czyni?
Ja lękam się... nie tego, że mi złamią szyję;
Lecz Margier niewdzięcznika spojrzeniem przebije,
Lub w piersiach pęknie serce, co tak się rozżarza,
Albo Bóg strasznym gromem ciśnie na zbrodniarza.
Odpowiedzcie mistrzowi, on na to ma władzę,
Niech mi życie odbierze — ja Litwy nie zdradzę! —
Tak mówił młody Ransdorf z rumieńcem na twarzy,
A w orlich jego oczach aż iskra się żarzy,
Drga mu serce, jak fala, gdy ją wicher wzruszy:
— Wilhelmie! wara bluźnić uczuciom mej duszy!
Choćbyś stokroć był starszy i wiekiem, i zdaniem,
Ciskam ci rękawicę z bojowem wyzwaniem;
Choćbyś stokroć wprawniejszy do miecza lub młota,
Doświadczysz, czem jest ramię, którem zapał miota!

XIII.

Wilhelm wstał i wychylił wina róg bawoli.
— Szlachetny zapaleńcze! powoli, powoli!
Starsi wskażą ci drogę — tu droga jedyna
Rycerza i kochanka, i chrześcijanina:
Prowadź przed wojskiem naszem twych łuczników stra-
Krzyż albo miecz pod Pullen swe cuda okaże. [że.
Kochasz Egle, więc dołóż chrześcijańskiej chęci,
Niechaj chrzestne polanie jej czoło uświęci.
Zdobądźcie zamek Pullen, wojownicy śmiali,
I niech się władza krzyża nad Litwą ustali,
A ty z ramienia mistrza będziesz tam jak książę.
Papież chętnie twe śluby zakonne rozwiąże,
I poczniesz z swoją Egle piękne dni wesela;
Ona wskrześnie przez ciebie w Imię Zbawiciela,
Jakeś przez nią od śmierci doczesnej ocalał.
Wilhelm skończył, i znowu róg bawoli nalał,
I wyszedł, bo już zegar wybił zmianę warty.
A Ransdorf długo dumał na dłoni oparty;
Czoło jego chmurnieje, to błyśnie pogodą,
Znać myśli, co weselą, co mu serce bodą,
Znaczno nadzieję Niebian lub zwątpienie ziemian,
Z Aniołem, to z szatanem bawi się na przemian,
I rzekł, cisnąc we dłoniach czoło niespokojne:
W imię Niebios, czy piekieł, ja idę na wojnę?
Czy zbawię, czy potępię? czy Litwę, czy siebie?
Czy się wzniosę w obłoki? czy w przepaść zagrzebię?

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

Urodzona z wyziewów w nadmorskiej krainie
Straszno gdy czarna chmura swe skrzydła rozwinie,
A lecąc po Niebiosach w niewstrzymanym pędzie
Z gniewnej piersi straszliwy łoskot wydobędzie,
I z gniewnej paszczy ciśnie błyskawiczną żmiję,
A żądłami z piorunów w starą puszczę bije,

A kędy skrzydłem wionie, kędy okiem błyska,
Już tam bucha żałobny dym pogorzeliska.
Szalony pęd jej lotu gruzami położy
Czy to chatkę poziomą, czy to kościół Boży.
Ucieka przed nią zwierząt i ptasząt gromada,
A syn człowieczy blednie i na twarz upada.
Ale trwożliwiej Litwin patrzy ku Baltydzie,
Kiedy czarny jak chmura huf krzyżacki idzie.
Nie tyle straszny piorun, co błysk ich puklerzy,
Nie tyle wściekły wicher spustoszenia szerzy:
Bo tutaj ani zboże, ni wioski, ni miasta,
Ni starzec siwobrody, ni krasna niewiasta,
Ani dziecię w pieluchach, ani mąż we zbroi,
Nigdzie się nie ukryje, nigdzie nie ostoi.
Na strzechy mają płomień, a na starców noże,
Na niewiasty rozpustę i chrzest w Imię Boże,
A na mężów litewskich, gdy do boju zową,
Mają strzelby siarczyste i chytrość wężową.
W imię twoje mordują, pustoszą nam niwy, —
O! Jezu chrześcijański, jakiś Ty straszliwy!

II.

Nad strzechy litewskiemi słychać jęk puhacza:
Oto wojsko krzyżowe ponad Niemen wkracza!
Śmierć liczy pewne żniwo po niedługiej chwili,
Bo rzadko tyle siły Niemcy zgromadzili.
Dziesięć straszliwych hufców ciągnie się koleją,
Dziesięć wielkich proporców nad ich głowy wieją.
O milę ich pancerze migocą się jaśnie,
A przy blasku ich włóczeń błyskawica gaśnie.
Gromem tętnią po błoni rumaków kopyta,
Jękiem piekieł ich trąba wojownicza zgrzyta.
A gdy trąby ucichną, z daleka ich wyda
To piosenka rozpusty, to Psalmy Dawida:
Bo tu szatan rachuby i niewiary zimnej
Umie w jedno zespolić bluźnierstwa i hymny,

Wielki mistrz z gronem wodzów i starszyzny samej,
W białej szacie jedwabnej ze złotemi lamy —
Przed nim niosą chorągiew wielką, znakomitą,
Na której w białem polu złoty krzyż wyszyto;
On na dzielnym rumaku przodkowanie bierze,
Przy nim jadą przybyli w gościnę rycerze.
Bo niemieckie książęta, hrabiowie, barony,
Jako błędni rycerze przychodzą w te strony;
Bo jedni pięknej chwały, drudzy przygód życzą,
Insi chcą się zapomódz pogańską zdobyczą,
Insi, czując za zbrodnie sumienia wyrzuty,
Spieszą dopełnić ślubów lub jakiej pokuty:
Bo w krainie Germana, Brytana i Galla
Mnich rycerzy do walki z pogaństwem zapala,
I chętnie rozgrzeszenia każdemu udziela,
Kto idzie szczepić w Litwie wiarę Zbawiciela, —
Przyrzeka, że kto zgasi żniczowe ogniska,
Ten odpust całkowity i Niebo pozyska,
Zjedna dla się Chrystusa i świętą Maryę,
Kto stu pogan nawróci albo ich zabije.
A więc każdy z bojaków te słowa pamięta
I w szeregach krzyżackich stawają książęta.
Dzisiaj belgijski Nemur z ich hufcem się wiąże,
I mężny Hanneberger, z ponad Renu książę,
I Ludwik, pan udzielny brandenburskiej ziemi,
Stają do boju z Litwą z zastępy mocnemi.
Mistrz ochoczo przyjmuje chrześcijańskich gości,
Sprasza kruków do Litwy na żer jej wnętrzności,
Wkrótce z krwawemi dzioby do jej serca wpadną...
Tylko piersi skalistej rozwalić niesnadno!

III.

Płyną straszliwe hufce bez końca, bez miary,
Lecą na ciężkich koniach niemieckie rajtary,
I mieszczanie z Elbląga, z Torunia i Gdańska,
I chorągiew zaciężna szwajcarska, słowiańska,

I niemieckich łuczników idzie zastęp chyży,
I burzące tarany, i działa ze śpiży,
(Niedawny wynalazek ogniopalnej broni,
A Litwini zaledwie zasłyszeli o niej,
A Niemcy, uzbrojeni w siłę gromowładną,
Tem pewniejsze nadzieje w swem zwycięstwie kładną).
W straży wielkiego mistrza niektóre oddziały
Noszą grzmiące rusznice, ręczne samopały;
Ale jeszcze niewprawna strzelecka gromada
Lepiej łukiem i bełtem, niźli strzelbą, włada,
I jeszcze wielkie dla się poważanie ściąga
Stary waleczny hufiec łuczników z Elbląga.

IV.

Ransdorf został ich wodzem. Ten zaszczyt mu dany
W nadziei, że tem dzielniej sprawi się z pogany,
Iż świadom ich zwyczajów, obeznan z ich mową,
Wwiedzie do twierdzy Pullen potęgę krzyżową.
On dochował przysięgi, danej Lutasowi,
I o lochach tajemnych nikomu nie mówi,
I za najświętszy dla się obowiązek kładnie,
Że ufności Litwinów nie zawiedzie zdradnie,
Że wdzięczen za gościnność, co mu w Litwie dali,
Nigdzie zboża nie stłoczy, nigdzie chat nie spali,
Że spokojnych mieszkańców nigdy nie ugniecie,
Że poszanuje starca, niewiastę i dziecię.
Taką wykonał w duchu przysięgę dostojną,
Przyjmując Przenajświętszy Sakrament przed wojną;
Lecz choć serce umocnił prawowierną modłą,
Choć go wezwanie starszych na wojnę powiodło,
I choć wojnę z pogaństwem za zasługę liczy,
Uczuwa na sumieniu wyrzut tajemniczy.
A gdy jego walecznych łuczników drużyna
Dawną pieśnię pochodu chórem rozpoczyna,
Kiedy starym się snują pogadanki, żarty, —
Ich wódz milczy, na łęku u siodła oparty,
Spuszcza oczy, jak zbrodzień, gdy u sądu stanie,

A na pochmurnem czole znać przykre dumanie;
Tylko swego rumaka zażywa ostrogą,
Chciałby pędzić jak strzała, ile siły zmogą.
Nadzieja doń się wdzięczy i szepce mu z cicha,
Że odetchnie powietrzem, co Egle oddycha.
Ale nie godzien doznać swobodnej radości,
Kto do domu swej lubej jak wróg idzie w gości,
Kto zamiast upominków, zamiast czystych kwieci,
Nad jej głową pożarną pochodnią zaświeci,
Kto niesie łuk i kołczan pełny ostrych grotów,
Któremi pierś jej braci poprzeszywać gotów,
Kto na głowę jej ojca, na święte jej bogi,
Wyostrzył miecz morderczy i topór złowrogi.
Taki kochanek potwór — ludzkości zakała,
Bluźnierstwo taka miłość, co mu w sercu pała!
Czuje Ransdorf, że idzie jak leśny bandyta,
I nieraz miecz od boku rozpaczliwie chwyta,
Targa się przebić własne wiarołomne łono;
Lecz wiara, co od dziecka w serce mu wpojono,
Rozpaczliwe dumania w pogodniejsze zmienia
I szepce mu o dziele wiecznego zbawienia:
Że jako rycerz Boży w chrześcijańskiej walce,
Nawróci lub pokona dzikie bałwochwalce,
Że przezeń może ujrzą światło wiekuiste
Synowie odrzucenia, Twoje wrogi, Chryste!
Że w bogach Litwy szatan zamieszkał widomie,
Że Żnicz to z iskry piekieł rozniecone płomię,
Że kto tylko na Litwie wytępi bożyszcza,
Kto bezbożne świątynie zamieni na zgliszcza, —
Będzie wielkim w Niebiesiech, siłę piekieł wydrze,
Jak niegdyś święty Jerzy, co łeb strzaskał hydrze.
Ale nad wszystkie myśli, myśl święta, jedyna
Wdzięczy się do kochanka i chrześcijanina:
Że lube czoło Egli przez chrzestne polanie
Zaświeci aureolą i godnem się stanie
Tego Nieba, co dzisiaj przeczuwa pierś drobna,
Tych Aniołów, do których jak siostra podobna.

O! jak to będzie błogo, wesoło i świetnie!
Papież kordem Piotrowym jego śluby przetnie,
A ona, dziecko Niebios — chrześcijanka młoda,
Drobną rączkę przed ołtarz tak samo mu poda,
Jak niegdyś w owej strasznej i szczęśliwej chwili,
Kiedy tam ofiarnicy już stos rozpalili;
Tylko na pięknej twarzy nie przestrach, nie bladość,
Lecz się dola uśmiechnie, zakraśnieje radość,
I nastaną dni piękne w szczęściu i swobodzie...

V.

Tak marzył młody Ransdorf, i rumaka bodzie,
I woła: Hej do Pullen, drużyno krzyżacka!
Ale rumak, ostrogą draśnięty z nienacka,
Wysłupił się, i spotknął, i klęknął na ziemię;
Lecz Ransdorfa żelazne nie zawiodło strzemię,
Spiął trędzlą z całej mocy, i znów rumak stawa.
Zbiegła się doń łuczników drużyna ciekawa,
Winszują, że ze szwanku wycofał się zdrowo;
Ale starzy wojacy potrząsają głową,
A Wilhelm siwobrody szepnął do kamrata:
Wolałbym nie pić wina przez całe dwa lata,
Niż widzieć, jak się rumak przed wojną spotyka,
Bo to nie dobrze wróży szczęściu wojownika.
Młody wódz!... zła nadzieja po takim wyborze,
I sam zginie do licha, i nas zgubić może.
Co nas spotka na Litwie, krew, czy miodek stary,
Na odwagę, łucznicy, zatrąbmy w puhary!
I ze skórzanej sakwy nasączył w róg wina,
Wychylił i wesołą piosnkę rozpoczyna.
Za Wilhelmem łucznicy wypili, zapieli;
Ale coś i po winie sercu nie weselej,
Ale huczna piosenka w pół taktu się utnie,
A echo gór litewskich odpowiada smutnie.

VI.

Litwa krząta się w polach, jak mrówka, jak pszczoła,
Po niwach płynie pieśnia żniwiarska wesoła,

Po lasach się rozlega róg myśliwski kręty,
Po świątyniach modlitwa i głos ofiar święty,
Pod błękitem Niebiosów szczebioce chór ptaszy,
A bojowe rumaki hasają na paszy.
Czemu ich nie siodłacie? czemu nie cuglicie?
Komu miła swoboda, komu drogie życie,
Kto pragnie zdrowia dziatwy, kto pragnie czci Bożej,
Niechaj ucho wytęży, ku ziemi przyłoży,
Niechaj dymów zapyta, niechaj wiatrów bada,
Co ów tętent oznacza? i te kruków stada,
Co się zewsząd chmurami ponad Litwę garną,
Że aż ciemno na Niebie, że aż w polu czarno?
A prędzej niech porzuca i chatę, i łowy,
Niechaj sygnał myśliwski zmieni na bojowy,
Niechaj swój łuk opatrzy, da cięciwę nową
I zostrzy na kamieniu swą włócznię stalową;
A zebrawszy w drużynę jednej matki dzieci,
Skąd przybywają kruki, niech w tę stronę leci:
Tam może pierśmi w piersi lub z ciemnej zasadzki
Uda się wam odeprzeć lub zbić huf krzyżacki.
A nie wpuszczajcie wrogów ku domowej strzesie,
Kędy chatki bezbronne rozsypane w lesie,
Gdzie nad bogi, skrytemi w dębowe konary,
Czuwa słaba niewiasta lub ofiarnik stary,
Gdzie się wasi ojcowie schadzają leniwie,
Kędy twój syn w kolebce lub siostra na żniwie!
Biada twemu plemieniu, biada twej zagrodzie!
Wróg nie włócznią, to smutkiem twe serce przebodzie.
Nie zegną się pod bronią twe ręce, twe ramię,
To je żal obezsili, to rozpacz załamie:
Bo was Niemcy przezwali dziećmi Belzebuba,
Wytępiać wasze plemię to największa chluba.
W białych płaszczach z krzyżami to goście pamiętni:
Na litewskim podwórku, gdzie ich koń zatętni,
Bądź już gotów, mieszkańcze, na twą śmierć widoczną:
Wnet ogień i żelazo gospodarzyć poczną,
Krwią bryzgną piersi starców, niemowląt, kobiece,

I rumak, co przy żłobie, i pszczółka w pasiece,
Wszystko legnie od strzały, pożaru lub młota,
Aż do drobnej jaskółki, co w oknie szczebiota.

VII.

Po Litwie wciąż plondrują krzyżackie pałasze,
A bezbronni mieszkańcy, jak pisklęta ptasze,
Widząc srogiego sępa, co już wnet uderzy,
Gromadzą się i tulą pod skrzydła macierzy,
O dziesięć mil wokoło zbierają się w grona,
Spieszy do zamku Pullen ciżba przepłoszona.
Margier otwiera wrota — spotykać wychodzi:
A dziesięć wielkich czółen i rybackich łodzi
Snuje się wciąż po Niemnie, wyściga się, spieszy
Gwoli mężów, i niewiast, i kapłanów rzeszy.
Z dziesięciu bujnych łanów wymłócono żyto,
Pięćdziesiąt tucznych wołów na pokarm zabito,
Nawarzono ałusu, nasycono miodu.
Margier ma karmić dziatwę swojego narodu,
Jako ów ptak zamorski — pelikan mu imię, —
O którym powiadają powieści pielgrzymie,
Że kiedy wygłodnieją, kiedy żer niełatwy,
Własne piersi rozdziera na pokarm dla dziatwy.
Tak i Margier, szczęśliwy, że doń przyszli swoi,
Chętnie sercem nakarmi, krwią własną napoi,
Podzieli się i chlebem, i sercem, i siłą,
Byle Litwie niegłodno i bezpiecznie było.
Do Pullen niech już idą rycerze krzyżowi:
Tam przyjąć najezdników od dawna gotowi,
Tam kamiennych toporów i włóczeń ze stali
Dawno już naciosali, dawno nakowali;
Wielkie stosy kamieni zniesiono na wieżę,
Na zgruchotanie karków zakutych w pancerze;
Wyjeździli rumaków doznanych w gonitwie —
A piersi bohaterskich nie zabraknie w Litwie.
Jeśli Krzyżak na polu Litwinów pokona,
To jeszcze twierdza Pullen, od Niemna broniona,

Z wysokiemi basztami i podziemnym lochem,
Nie tak snadno ją zdobyć siłą lub popłochem.
Na basztach czujna warta przechadza się wokół,
W zamku Margier tak mężny, tak czujny, jak sokół,
Pod ziemią strasznych bogów i Marti mieszkanie,
Tam się Litwa wspomoże, kiedy sił nie stanie.
Choćby już wzięła zamek drużyna krzyżacza,
Z Poklusem i Perkunem niechże walkę stacza,
I na pioruny bogów, na Litwy postrzały,
Niech się Krzyżak posunie, jeśli taki śmiały;
Jeżeli mąż się spodli i straci nadzieję,
Niewiasta garnek wrzątku na oczy mu wleje.

VIII.

Tak Margier sprawę Litwy ubezpieczył wcześnie;
Ale cierpiał jak ojciec — ach cierpiał boleśnie!
Gdy od stosu umknęła dziecina niemiecka,
Zgadł wyrodne uczucia w sercu swego dziecka,
I wzdrygnął się na myśli karmione kryjomu,
Niegodne córki Litwy z książęcego domu,
Tak sprzeczne z nienawiścią, co ku Niemcom chowa.
Zakipiał... drżąca ręka już była gotowa
Rzucić się na krew własną z morderczem żelazem
I uczucie z jej piersi wyrwać z sercem razem.
Ale opuścił ręce, spogląda i bada,
Że Egle taka smutna, milcząca i blada;
Pożałował nieszczęsnej, co cierpiała tyle,
I sercu ojcowskiemu dał folgę na chwilę;
Przytulił do swych piersi ofiarę niedoli,
Przebacza jej cierpienie i sam nad niem boli;
I mówił w głębi ducha: O biedna ty, biedna!
Mściwe są bogi nasze, a któż ich przejedna?
Skupi się na cię zemsta i Niebios, i ziemi.
Egle! a ja twój ojciec, rękoma własnemi
Będę musiał cię przywieść przed Boże ołtarze,
Jeśli Niebo swej zemście poświęcić cię każe!

IX.

A zemsta nieśmiertelnych nie długo się zwlekła.
Stanął przed starą Marti straszliwy bóg piekła,
Objawił, jak umknęło krzyżackie pacholę,
I dał uczuć swą zemstę, dał wiedzieć swą wolę.
Gdy wróżbiarka, Poklusa pośredniczka szczera,
Zażądała krwi Egli za krew Krucygiera,
Aby przebłagać bogów, a z Litwy zmyć zakał, —
Margier nawet nie zbladnął, nawet nie zapłakał.
Przywiódł Eglę przed ołtarz i tak mówił do niej:
Córko moja, od śmierci ojciec nie uchroni.
Tyś wydarła ofiarę z pod kapłańskich noży,
Poklus na mnie, na ciebie, na Litwę się sroży.
O! nie ściągaj na Litwę cierpienia niedoli!
Ja czuję, żeś ty młoda, że cię serce boli;
Ale twoje uczucie jest bogom w ohydzie,
Nie wolno im złorzeczyć, bo o Litwę idzie.
Tyś Krzyżaka przed śmiercią ocaliła srogą,
Umrzesz na jego miejscu — umieraj, niebogo!
Ja twój ojciec... wódz Litwy... nie cofnę się wcale,
Ja sam topór naostrzę, ja sam stos rozpalę,
I niech zgon, dokonany wedle niebios woli,
Litwę od takich grzechów na zawsze wyzwoli.
Bo na niebie, na ziemi niema cięższej zbrodni,
Niż gdy się z wrogiem złączą ziomkowie wyrodni.
Lecz wróg, zbawion od śmierci, ku większej ohydzie,
I zemścić się, i sercu urągać się przyjdzie.
Litwini! znacie moje rozkazy książęce:
Choćbym płakał jak dziecko, choćbym łamał ręce,
Zawiedźcie ją do lochów najgłębszej otchłani,
Dopóki wyrok niebios nie spełni się na niej,
A przystęp niechaj będzie każdemu zawarty,
A choćbym ja sam błagał — słyszycie mię, warty! —
Biada temu, kto tknięty żalem lub obawą,
Wpuści choćby jej ojca, pomimo łzę krwawą!
Tak mówił groźnym głosem niezachwianej woli,
Jakby serce z kamienia nic a nic nie boli;

Schmurzył czoło, brew męską nacisnął na oczy,
Lecz z jego orlich źrenic łza się nie potoczy.

X.

Ludno i gwarno w zamku przywykłym do ciszy,
Ledwie zdoła pomieścić tysiącznych przybyszy.
Uwijają się tłumy i konno, i pieszo;
Mężowie ostrzą miecze i kamienie krzeszą
Na topory i młoty, na dzidy i strzały,
(Oręż ze staroświeckich czasów pozostały),
A poważni starcowie, zszedłszy się do rady,
Opowiadają dawne krzyżackie napady,
Ciosają krzepkie drzewca do stalnych bardyszy
I uczą władać bronią młodszych towarzyszy.
Najstarszy z między starców, Lutas siwobrody,
W gromadzie wojowniczej zwija się jak młody:
Piorunny jego okrzyk na chwilę nie zmilczy;
Przywdział do góry włosiem szubę z sierści wilczej,
I sutym łbem z leśnego niedźwiedzia odartym
Przystroił siwą głowę, i napuścił hartem
Swój topór staroświecki, wypróbowan laty,
I na brusie kamiennym toczy miecz szczerbaty.
Wąsy białe jak mleko najeża do góry,
I brodę, co od szarej, kudłatej wilczury
Dziwnym blaskiem odbija; a zgrzybiała ręka,
Co trzęsła się niedawno, gdy w struny zabrzęka,
Podźwiga ciężki kamień aż na górę wieży,
I biada łbom krzyżackim, gdy na nie wymierzy!
Okrzyk wojny odmłodnił odrętwiałe kości,
Trąbka wskrzesza w nim ducha dawniejszej dzielności,
Pod bronią wyprostował pochyloną szyję,
A poczuł, że krew młoda do serca mu bije.
Tak Niemen, obumarły pod bryłą lodową,
Gdy się wiatrem wiosennym odżywi na nowo,
Silniejszym wirem pędzi ku cichej zatoce
I mocniejszemi ciosy w brzeg piaszczysty grzmoce.
Zgrzybiałej starca twarzy i mętnej źrenicy

Jakby Perkun użyczył ognia błyskawicy,
Czarodziejską potęgą tak iskrzy się zdala
I najlękliwsze piersi do męstwa zapala.
— Hej! — woła — naprzód Litwo! na mury, na wały!
Ażeby duchy ojców was nie przeklinały,
Ażeby wasze dzieci wyrastały krzepko!
Widzicie? miecz krzyżacki tuż nad ich kolebką!
Słyszycie? Psalm niemiecki już zatrząsa knieję!
Oto już dym pożarny z za lasu czernieje...
Patrzajcie, tam, na lewo! naprzeciw Puniały
Sztandar wielkiego mistrza połyska się biały!
Widzicie liczny hufiec, co tej szmaty strzeże?
Złocisto żwirowane błyszczą ich puklerze.
Do łuków, dzieci Litwy! powitajmy gości!
Zaraz się brzeg niemnowy trupami umości.
Do łuków! niechaj każdy jedną pierś rozbija,
Bo tutaj w każdej piersi niebezpieczna żmija!

XI.

Tak Lutas krzyczał z góry, ile piersi zmogą,
A dziesięć trąb rogowych ozwało się trwogą;
Od nich w każdym wąwozie i na każdej niwie
Echo po dziesięć razy zawrzasło chrapliwie.
A z tamtej strony Niemna płyną insze tony:
Dźwięk muzyki kościelnej, pięknej, wyuczonej,
I w takt łacińskiej pieśni, bez końca, bez miary,
Wysuwają się z lasu krzyżackie rajtary.
Biała chorągiew mistrza pierwszy plac zabiera,
Dalej sztandar, a na nim herb Hannebergera,
Dalej z za każdej sosny, z za dębu, z za jodły,
Różnobarwne jak kwiecie hufce się powiodły.
Żelazem wszystkie piersi, wszystkie błyszczą głowy.
Stanął naprzeciw Pullen jakby mur stalowy
Popisany krzyżami: bo wszyscy pancerni
Przywdzieli białe płaszcze — na nich krzyż się czerni,
Że na całem ich wojsku, bez końca, bez liku,
Jakby na chrześcijańskim starym mogilniku.

Litwa widzi znak śmierci — i strzela w te krzyże,
Dufając, że je zwalczy, że na wskroś przeniże,
A wzywając ku szczęściu swe bogi ojczyste,
Twojemu znamieniowi urąga się, Chryste!

XII.

Z tych okien i ze strzelnic, od Perkuna dzieci,
Jedno tylko westchnienie ku krzyżowi leci:
Egle, na śmierć sądzona, przed jutrem swej kaźni
Jeszcze marną nadzieją biedne życie draźni.
W lochu swego więzienia, przy okienku ciemnem,
Widzi, jak huf Krzyżaków snuje się nad Niemnem;
Nauczona od dziecka, że Krzyżacy podli,
Chciałaby ich przeklinać — a jednak się modli.
Westchnąć ku swoim bogom daremno się kusi,
Krzyż jest Bogiem Ransdorfa — potężny być musi;
A swych uczuć nie mogąc utrzymać na wodzy,
Jękła: Bogowie Litwy! zanadtoście srodzy!
Przygwożdżony do krzyża i w koronie z cierni,
Bóg Krzyżaków pogląda ku mnie miłosierniej;
On od śmierci mię zbawi, On te baszty skruszy,
On przyniesie pociechę bolejącej duszy.
I przyjdą tu krzyżowi wojownicy biali,
Ja obaczę Ransdorfa — i on mię ocali.
Zamiast ginąć, jak trawa, gdy ją zetną kosą,
Ja ucieknę z Ransdorfem gdzie oczy poniosą,
Nad morze, w kraj niemiecki, pod Chrystusa władzę...
Mego ojca opuszczę, moich bogów zdradzę...
Zbrodniarka!! cóż wyrzekłam? O święci bogowie!
Gdzie są wasze pioruny zadać cios mej głowie,
Skrócić moje dni młode, które zbawić życzę,
Wypalić z mego serca uczucia zbrodnicze?...
Ojcze! jam twoja córka!... gdzież moja odwaga?
Ja się cofam, gdy Poklus ofiary wymaga
Dla ocalenia Litwy! Co znaczy ta skarga?
Czemu się serce moje na dwie strony targa?...

Ransdorfie! tyś wróg Litwy! — giń w jednej godzi-
[nie...
O nie! raczej niech Egle, niechaj Litwa zginie...
Bogowie, których Niemcy, czy Litwini chwalą!
Którzyście potężniejsi, niechaj go ocalą —
Tych przeklnę, co ze wszelkiej litości wyzuci;
Tego uznam za Boga, kto nam szczęście wróci!
Tak, złamana rozpaczą, nieszczęsna dziewczyna
Modli się, błogosławi, złorzeczy, przeklina,
To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona,
Aż na surową ziemię upadła zemdlona.

XIII.

A z lasu, z poza Niemna słychać huk donośny:
Ścina topór niemiecki jedliny i sosny;
Jak szeregi bojaków ugodzone młotem,
Walą się stare drzewa z ponurym łoskotem,
Aż się echo borowe zatrzęsa z daleka.
Spłoszone ptastwo leśne chmurami ucieka,
Ulatuje nad Niemnem, nad warowni dachem,
Spieszy k'Litwie na skargę, dzieli się przestrachem.
Bogowie, co te lasy mieli pod obroną,
Z wiatrem głuche przekleęctwa na łupiezców zioną.
Ustała święta cisza nad zamczyskiem starem,
Kipi całe powietrze tysiącznym rozgwarem,
Poprzepłaszane ptastwo wrzeszczy na zatoce,
Tętni topór po kłodach, sosna się druzgoce,
Rżą rumaki rajtarów, trąbka gra sygnały,
A szumnym rozhoworem gwarzy obóz cały.
Po borze, ponad wodą i po błoni płaskiej
Echo zaledwie zdoła dopędzić te wrzaski,
W niesforną całość tonów naprędce je składa,
I zda się wciąż powtarzać: zagłada! zagłada!
Każde cieniste drzewo, co zwalone padnie,
Odsłania albo ciżbę skupioną bezładnie,
Albo hufiec szykowny już do boju gotów;
Wznosi się jakby miasto biały rząd namiotów,

Migotają proporce, jak kwiaty nad błonią;
Najwyższy namiot — kościół, już tam na Mszę dzwonią.
Mały miedziany dzwonek gdy zabrzęknął zwolna,
Umilknął łoskot siekier, i wrzawa swawolna,
I surma obozowa — w jedno mgnienie oka
Dokoła znów się cisza rozlega głęboka.
Aż ptastwo ośmielone, gdy je cisza mami,
Poczęło zwolna krążyć tuż nad namiotami,
Ucieka, to powraca, i żałośnie kwili,
I szuka drzew znajomych, i gniazd, co zburzyli.

Margier z wysokich wałów gniewnem okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska:
Widzi szereg pancerny nad Niemnem rozwity,
A tam ciosają kłody, uwiązują płyty,
By ułatwić przeprawę. Po tratwach, po moście,
Wkrótce przyjdą do Pullen nieproszeni goście.
Gotowe im przyjęcie — już się ukrop pieni,
A na polach litewskich nie braknie kamieni.
Daremnie w hełm uzbrajać i głowę, i szyję:
Wrzątek oczy zaleje, kamień łeb rozbije,
A topory, z krzemienia wyciosane świeżo,
Bohaterskim zamachem w ich serca uderzą.
Z napiętemi łukami, celując z daleka,
Ciżba Litwy na wale tylko hasła czeka.
Margier zmierzył szerz Niemna i obozowisko:

Ha! złoczyńcy! namioty rozpięli za blizko.
Nasze strzały dolecą, jeszcze pędu stanie —
Hej! puścić chmurę żądeł na ich powitanie!

I już łuk swój dębowy napiął do wystrzału,
Kiedy dzwonek za Niemnem ozwał się pomału.
U Krzyżaków ucichła wrzawa obozowa,
A chorągiew nadbrzeżna, do boju gotowa,
Uklękła — snadź się modlą. Margier łuk natęży:
Oto mistrz, ze starszyzną i z orszakiem księży,
Idzie zwolna pod namiot, gdzie kościół ubrali;
Poznał go wódz litewski pomimo oddali,

Wziął na oko — wycelił — już go ma pod strzałą,
Chciał już strzałę wypuścić; lecz serce zadrżało:
Nie! — zawołał — niech żaden nie strzela, nie mie-
Dopóki Niemcy swoich nie skończą pacierzy: [rzy,
Oni modłą zajęci poklękli na ziemi.
My nie walczym z ich Bogiem, jak oni z naszemi.
Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki,
Nie mogą się w tej chwili spodziewać zaczepki,
Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie!
Rzekł, odpuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
A sam upadłszy na twarz przed obliczem Litwy,
Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
Że się brzękot polnego konika posłyszy,
A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha,
Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

XIV.

Trwa cisza uroczysta... Wtem z lasu znienacka
Odezwała się trąba miedziana krzyżacka,
Zagrał potem głos drugi i sto głosów za nim,
Aż zabrzękło powietrze chrapliwem zgrzytaniem.
I wali się na brzegi niezliczona tłuszcza,
Na Niemen dziesięć płytów, dziesięć tratew spuszcza.
Tłum się ciśnie na pomost, aż zatapia drzewa,
A na każdej z tych tratew chorągiew powiewa.
Zadrgał Niemen — wioślarze uderzyli w wiosła,
Połowa wojsk krzyżackich żwawo się poniosła.
Margier skinął, wycelił, — i z tratew, co płyną,
Krew bryzgnęła ruczajem nad Niemna głębiną,
I zajękło sto piersi wyziewając ducha,
I sto trupów krzyżackich do głębiny plucha.
Wioślarze przyspieszają i wiosła, i drąga,
Kipi Niemen — rząd tratew pod wały nadciąga.
Z przeklęctwem wystrzeliły krzyżackie łuczniki,
Na wałach okrzyk Litwy odezwał się dziki,
I kilka mężnych trupów od strony Puniały

Stoczyło się z okopów przez urwiste wały,
Aż w niemnowej topieli drgnął łoskot ponury,
Jak gdyby stos kamieni zawalił się z góry.

XV.

Przybijają do brzegu najezdnicze tratwy;
Lecz wybrzeże urwiste, a przystęp nie łatwy,
A nad głową na wałach Litwinów gromada,
I grad ciężkich kamieni na krzyżowców spada.
Lecz choć wisi już nad nim mordercza siekiera,
Książę saski odważnie na górę się wdziera,
A wśród hucznych okrzyków, że aż słychać w lesie,
Za nim ciżba pancerna po wąwozach pnie się.
Już doszli napastnicy do połowy wałów,
Już głowy najezdnicze wolne od wystrzałów,
Kiedy na płytkim głazie w mordercze objęcia
Stary Lutas pochwycił niemieckiego księcia,
I cisnął go na ziemię tak potężnym rzutem,
Aż stęknął żwir pod ciałem w żelazo okutem,
I młotem tak mu silnie do piersi uderza,
Że aż zgrzytnął blaszany napierśnik rycerza.
Ale Krucygier zręczny, jak liszka, jak żmija,
Wstaje, skręca się, z ramion litewskich wywija,
I nim się starzec spostrzegł — tak go mieczem płatnie,
Że Lutas padł, wydając jęczenia ostatnie.
Zerwał się — jeszcze zamach ostateczny czyni,
Już mu spieszą na pomoc zawzięci Litwini,
Gdy Rudolf, książę saski, skinął na Krzyżaki:
Zabierzcie go! nam dzisiaj przyda się dziad taki!
Musi znać przejścia twierdzy — odprowadźcie dziada,
Niech go tam Ransdorf Warner najściślej wybada.
Póki z cielska zgrzybialca dusza nie uciekła,
Nim szatan poganina pochwyci do piekła —
Pod mękami niech nasze zawiadomi wodze
O murach, lochach zamku, o całej załodze.
Rzekł, a jego żołdacy w tejże samej chwili
Konającego starca na ręce chwycili,

Zbiegli z krętego wału, zanieśli do łodzi.
A choć ze starej głowy krew bystro uchodzi,
Lutas wyciągnął ręce jak szpony jastrzębie,
Chwycił jednego z Niemców i w niemnowe głębie
Strącił z łodzi — i upadł na ręce wioślarzy,
Bełkoce nieprzytomnie, coś o bitwie marzy.

XVI.

Już Niemcy wał zdobyli — do warownej ściany
Wleką burzące działa, grzmotliwe tarany.
Huknął straszliwy łoskot, aż się wstrzęsły góry.
Margier ścian swoich broni; jego głos ponury,
Choć Krzyżaków napełnia zwątpieniem i trwogą,
Ale wszyscy Litwini słyszeć go nie mogą.
Cóż litewscy bojacy? Liczba ich niedługa,
A reszta — motłoch trwożny, uciekły od pługa,
Ciska strzały na oślep, z rąk bardysze roni,
Ścianę osłania piersmi, lecz jej nie ochroni.
Grzmotnął armatni wystrzał, jak piekieł widziadło...
Runął mur, pękły balki, pół ściany odpadło.
Jeszcze chwila... a jeśli nie odeprą krzepko,
Wnet się Niemcy zapastwią nad dziatwy kolebką!
Taka myśl rozpaczliwa i okrzyk Margiera
W ich piersiach budzi męstwo, co już obumiera.
Choć zgruchotane ściany, obalone głazy,
Pierś jest murem warownym, mocniejszym sto razy
Od wypalonych cegieł i twardych kamieni;
Poczuli to litewscy męże zrozpaczeni,
I jakby nową siłą Perkun ich obdarza,
Jakby zstąpił sam Poklus ze swego ołtarza,
Tak wobec nieprzyjaznych taranów i kuli,
Nieśmiertelną odwagę w swej piersi poczuli.
W poszarpanych odzieżach, okryci kurzawą,
Dobyli sił ostatnich na obronę krwawą;
Krzycząc z ochrypłej piersi usty spalonemi,
Uderzyli zajadle na wroga swej ziemi.
Niemieckiem szwargotaniem wzywając Maryę,

Krzyżak ciężkiem żelazem każdy cios odbije.
A kiedy lotna strzała nie służy z poblizka,
Przy obalonej ścianie dwoje wojsk się ściska,
W jedną potworną całość zlewa się i splata,
Jak gdyby fala czarna, ruchoma, iskrzata.
A co raz ciężkie ciało do Niemna się zwali,
Trąba zgrzyta, krew świszcze, stal brzęczy po stali,
Ziemia stęka, jak gdyby wzruszona do głębi,
A wiatr gęstą kurzawę pod Niebiosa kłębi,
A gwarny wir bojowy kipi tak bezładnie,
Że ucho nic nie schwyci, oko nic nie zgadnie.
Wzięli górę kudłaci wojownicy w czerni:
Staczają się po wałach rycerze pancerni,
Niosą rannych i trupów znakomitszej braci;
A kto życia nie stracił, ten już siłę traci,
Zbiera pogięte hełmy, potrzaskane miecze
I ucieka od Litwy — nie zawsze uciecze:
Owdzie oszczep ciśnięty z Margierowej dłoni,
Owdzie strzała swem żądłem kamiennem dogoni,
I trupem go położy, skarze za bezprawia.
Już się tratwa po tratwie za Niemen przeprawia,
A nim jeszcze wioślarze skręcą przy zatoce,
Kamień z góry zepchnięty po ich tratwach grzmoce,
Złamie sosnowe kłody lub balki rozdzieli,
I trwożnych niedobitków pogrąża w topieli.
  Krwawe słońce zachodzi, świat grąży się w ciemnie,
Wszędzie krew na Niebiosach, na ziemi, na Niemnie,
Na twarzy bojowników, i na ich odzieży,
I na ostrzach orężów, co żer miały świeży.
Wreszcie krzyżowe hufce opuściły wały,
Tylko same Litwinów garstki pozostały;
A na ich czele Margier, na włóczni oparty,
Każe niecić ogniska, rozporządza warty;
A cała jego odzież zbryzgana posoką,
Twarz blada, krwią zabiegło bohaterskie oko,
A miecz jego morderczy, gdy się żniwo kończy,
Silnie utkwiony w ziemię krew kroplami sączy.

XVII.

Wokoło wodza ciżba strudzona i cicha
Trupy Niemców do Niemna pogardliwie spycha;
Nie odziera ze zbroi, bo za nadto spieszy.
Legł mężny Hanneberger, pan niemieckiej rzeszy,
Znany rycerz turniejów, co z żywą ochotą
Szedł z Krzyżaki na Litwę po laury i złoto;
Książę saski przez ramię dostał cięcie żwawe;
Poległ komtur z Elbląga, co radził wyprawę;
A Wilhelm, stary łucznik, co na miód się kwapił,
Zamiast kowieńskich lipców, krwi własnej się napił,
Padł przy zachodniej baszcie przywalony cegłą.
A co prostych rajtarów i knechtów poległo,
Pan tylko z górnych Niebios policzyć to może,
I na cię, wielki mistrzu, hrabio Teodorze,
Policzy krwi ich winę!

XVIII.

— Jutro plon się pożnie, —
Rzekł Margier sam do siebie i zwrócił pobożnie
Bohaterskie spojrzenie ku wieczornej zorzy. —
Ausko święta! tyś bóstwo, w tobie ogień boży,
W tem żarzewiu kraśnieje potęga i siła;
Dzięki, żeś jego iskrę w piersi nam rzuciła!
Wróg odparty na chwilę, gdy wróci na dłużej,
Krasna jutrznio! twój promień niech nam szczęście [wróży!
Do roboty, Litwini! za nami są nieba!
Zgruchotano nam mury, naprawić je trzeba.
Ciosajcie nowe ściany i kamienie znoście,
Przez noc niech stanie baszta, bo znów przyjdą goście.
Niewiasty i starcowie niech naprawią wieżę,
A mężowie od boju, spożyjcie wieczerzę,
I niech każdy wychyli miodu pełną czarę,
Najpierwszą wlać na ogień bogom na ofiarę.
Rozłammy chleb na braci pogrzebowej stypie:
Może jutro nas kurhan bojowy przysypie.
Kapłani, grajcie w gęśli, rozpocznijcie pieśnie,

Niewiasty, zaprzestańcie płakać tak boleśnie;
Kto dziś został sierotą po ojcu, po bracie,
W Litwie matkę, a we mnie brata pozyskacie.
Rzekł, złożył hełm na trawie, wyzuł się ze zbroi,
I spłakanym sierotom chleb dzieli i kroi,
I do siwego starca, i do biednej wdowy
Przepija czarą miodu obchód pogrzebowy.
Na wałach gwar i życie spokojne powraca,
Przy bojowych ogniskach wieczerza i praca,
W Niemnie iskrzą ogniska, a po całej niwie
Echo nocne odgłosy powtarza leniwie,
I krzyżackie piosenki, i modlitew szmery,
Jęk ranionych, gwar ludu i łoskot siekiery.

PIEŚŃ PIĄTA.

I.

Ransdorfowi, co pełnił odwodowe straże,
Wielki mistrz na bój pierwszy puszczać się nie każe;
Chrobre jego łuczniki o jutrzejszym świcie
Pójdą na bój morderczy na śmierć i na życie:
Starszyzna, rozjątrzona dzisiajszemi klęski,
Na jutro przepowiada swój tryumf zwycięski.
Bez dzwonu i bez pieśni, przy modlitwie cichej,
Znakomitszych zabitych pochowały mnichy,
Aby, słysząc z daleka pogrzebowe tony,
Nie brał większej otuchy poganin wzgardzony,
Albo niegodnym śmiechem szyderczej radości
Nie dał w urągowisko chrześcijańskich kości.
Wedle namiotów wodzów palą się ogniska,
A krzyżackie rycerstwo otacza je z blizka,
A przy każdem ognisku ksiądz w komży i stule
Przemawia do rajtarów pobożnie i czule,
Zagrzewa do odwagi, by walczyli śmielej,
Wróży zabitym Niebo, bo w Panu zasnęli,
I z Biblii przytacza wzory znakomite
Samsona, Machabejów, Deborę, Judytę.

I uciśnionej Litwy bałwochwalcze syny
Równa z Amorejczyki albo Filistyny,
A przekształcając Pismo gwoli swej potrzebie,
Woła z Mojżeszem: Wodze! zbierzcie lud do siebie,
Idźcie pod mury miasta, głosząc spokój Boży;
A kto was nie usłucha, kto bram nie otworzy,
Rozpocznie z tobą wojnę, — niechaj ginie zgoda.
A gdy Pan Bóg bezbożnych w wasze ręce poda,
Wszędzie mieczem straszliwym spustoszenie nieście,
Niech padną głowy męskie i głowy niewieście,
Niech sprośni bałwochwalcy giną w jednej chwili,
Aby was nieprawości swych nie nauczyli.
Przez wasze mściwe ręce Bóg niewiernych karze;
W pień wyniszczcie ich głowy, w popiół ich ołtarze!
  Takiemi okrzykami mnich wytęża płuca,
W zapale fanatycznym miota się i rzuca,
Krew mu kipi w źrenicach, a na uściech piana,
I śpiewa pieśń Judyty, padłszy na kolana:
  Panie! spójrz na obozy assyryjskiej czerni...
Niech się w niwecz obrócą, niech giną niewierni!
Napróżno w swoją liczbę ufa motłoch ślepy,
W swoje tarcze i strzały i w swoje oszczepy,
A nie wie z kim prowadzi świętokradzkie boje,
Że Ty sam kruszysz miecze, a Pan imię Twoje!
  Tak mnich pokrzepia w wojsku upadłego ducha,
A żołdactwo pobożnie kaznodziei słucha,
I nadzieję wygranej już pewniejszą liczy,
I napawa się myślą bogatych zdobyczy.
  W innym zasię namiocie mnich na tarczy siedzi,
Udziela rozgrzeszenia i słucha spowiedzi,
Bo jako napisano w zakonnym statucie:
Gotujcie się do boju w żalu a pokucie,
Bądźcie zbrojni w zasługę, a cnotą orężni,
Niewinność chrześcijańska niech serce umężni.
Krzyżactwo, pisanemu wierne zakonowi,
Jeden grzech wyspowiada, nim drugi ponowi,
Zmiata z serca wspomnienia ominionych zbrodni,

Aby nowym gadzinom lęgnąć się wygodniej.
I przy blasku smolnego drzewa lub łuczywy
Przenajświętszy Sakrament dzieli mnich sędziwy
Poklękłemu rycerstwu i knechtów czeladzi:
„Oto Baranek Boży, który grzechy gładzi!“
Dzwonek brzęczy, ksiądz pieje, a cała gromada
Długiemi szeregami na kolana pada,
A blask smolnych pochodni miga uroczyście
Między konary sosen i dębowe liście.

II.

Białe wodzów namioty na zielonej darni
Od ognia, co w nich gore, sieją blask latarni.
Stamtąd nie bierze chwały Odkupiciel świata,
Tam nikt z braci w kościelny dzwonek nie kołata:
Zamiast modłów szeptanych pobożnemi usty,
Słychać brzękot puharów i piosnkę rozpusty:
Tam śpiewak obozowy, minnesinger stary,
Wypieszczonemi takty rwie w struny cytary;
Nie pomnąc, jak jest świętą dostojność śpiewacza.
Lubieżne krotochwile bezczelne przytacza.
Pijane serce wodzów w takt bordonu tętni;
Otaczają śpiewaka rycerze namiętni,
Gromada, strojna w togi i zakonne płaszcze,
Na słowa nieprzystojne śmieje się i klaszcze.
Najdzielniejsi wodzowie, najgorliwsi księża,
Każdy ku brzydkiej pieśni uwagę natęża,
Nalewa pełny puhar niemieckiego wina
I wtórować śpiewaczym tonom rozpoczyna.
Piosenka i modlitwa, i dziki gwar szału
Nad obozem krzyżackim wznoszą się pomału,
A nieskalane echo litewskiej pustyni
Powtarza je po cichu, snadź gwałt sobie czyni.

III.

Ransdorf w swoim namiocie, jak zakonnik w celi,
Siedzi jeden, powszechnej ochoty nie dzieli.

Myśl o Egli, od czasu gdy ujrzał swobodę,
Ochrania od skażenia jego serce młode.
Bo hulacka piosenka szału i rozkoszy
Boleści rozpaczliwej z serca nie wypłoszy!
Na zgryzotę sumienia, ach, niełatwa rada,
Winem nie zalać iskry, co mu pierś przejada.
On klęczał przed ołtarzem i modlił się codzień,
Winił się na spowiedzi, jak najcięższy zbrodzień,
Przedstawiał swą niewdzięczność w straszliwej postaci,
Jako Litwie żelazem za gościnę płaci.
Ale mnich, co go przyjął na pokuty łono,
Co chciał wskrzesić do życia duszę zrozpaczoną,
Napróżno doń przemawiał w imię sprawy Bożej,
Zamiast ranę wyleczyć, rozjątrzył ją srożej.
Bo słysząc, że dla Boga walczą się te kraje,
Że zdrada w Imię Pańskie zdradą być przestaje,
Zachwiał się młody łucznik w młodocianej wierze,
I coś mu było ciężko, gdy mówił pacierze;
Pierzchły swobodne myśli z ociężałej głowy,
A piersi jakby kamień przywalił grobowy.

IV.

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:
Łucznik z pobojowiska wszedł pod namiot żwawo
Oblany krwią, osypan bojową kurzawą.
— Wodzu — rzecze — bojowe przynosim ci dary,
Jestto umierający bałwochwalca stary.
Waleczny książę saski (niechaj żyje zdrowo)!
Zwalił starego czarta siłą Samsonową,
A póki dusza w cielsku, przytomność w umyśle,
Poleca waszej cześci wybadać go ściśle
O tajnych lochach zamku, któremi się wciska,
Aby węża wykurzyć z jego legowiska.
Nie zdobyć zamku szturmem: silną ma obronę,
Jak liche gniazdo sępie do skał przyczepione;
Ale ten dziki starzec, przyciśniony nożem,

Opowie insze drogi, któremi wejść możem.
Przynosim go pod samy namiot waszej części;
Alež to silny Litwin, ze sto czartów mieści,
A całe staje ziemi zawalił swem ciałem,
A takiej długiej brody nigdy nie widziałem,
A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha,
Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha.
 Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy,
A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,
I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,
Wychodzi przed swój namiot.

V.

Tam z powisłą głową
I z przebitemi pierśmi, skrępowany w sznury,
Leżał Lutas, otulon szmatami wilczury;
Odarty z przyłbicy, i z miecza, i z młota,
Poczerniałemi usty złorzeczenia miota,
Szamoce się z więzami jego ręka wściekła,
Po jego siwej brodzie płynie krew zapiekła,
Ransdorf skinął — i z ramion rycerskiego dziada
Ocięto gruby powróz, co ręce przejada;
A starzec, jakby upiór, jakby trup mogilny,
Wstał... zachwiał się na ziemi i upadł bezsilny;
Tylko całą potęgę i duszy, i ciała
Skupił w dzikiej źrenicy, co krwią zakipiała.
Raz spojrzał na Ransdorfa, tak dziko, tak hardo,
Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą,
I jęknął: W uroczystej śmiertelnej godzinie
Witaj, młody rycerzu i chrześcijaninie!
Mianowano cię wodzem... los godzien zazdrości!
Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
Witam cię i pozdrawiam przeklęctwem mej ziemi,
Które Litwa wyrzecze nad kośćmi mojemi.
Zbawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłem, —
Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem,
Co jej niwę pustoszy... O! gdzież moja chwała?

Gdzie krew, co w tylu bitwach chrobrze się wylała?
Przeklęctwo, ej! przeklęctwo pozostanie po mnie!...
Tyś zwyczajnie jak Krzyżak, działał wiarołomnie:
Tak uczy wasza wiara i wasi Prorocy,
Za chleb ofiarowany rzucić kamień z procy,
Za ucisk płatnąć mieczem — tyś dziecko bezprawi, —
Nie winien srogi tygrys, że się we krwi pławi.
Lecz ten godzien zaginąć w piekielnej czeluści,
Kto zwierzę krwi niesyte z kagańca wypuści...
Oto krew naszych braci, płomień naszych zgliszczy
Słyszę zdala jak huczy, przelewa się, świszczy,
I gorącym potokiem leje się do łona,
I miga przed oczyma jak chusta czerwona...
Wkrótce ty sam obaczysz, co jest zgon zbrodniarza.
Zgryzota bystrym słuchem przed śmiercią obdarza:
Ja słyszę, jak z niebiosów Perkun mnie przeklina,
Jak płacze każda matka i każda dziecina,
Jak jęczy biedna Egle uwięziona w wieży,
W którą topór kapłański w tej chwili uderzy
W zamian za twoją głowę — niechaj mnie przeklina!
I tutaj moja zbrodnia, i tu moja wina.
Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała,
Niegodne dziecka Litwy uczucia wyznała?
Dlaczegom jej nie zabił? Jednem cięciem mojem
Obdarzyłbym i Eglę, i Litwę spokojem!
Czemum ci nie dał zginąć na ofiarę piekła?
Czemu ze starych oczu łza grzeszna pociekła?... —
Tak Lutas, słabym głosem rozdzierając płuca,
Na wilgotnej murawie targa się i rzuca,
I ręce to wypręża, to do prośby składa:
Młodzieńcze! jeszcze jedna została ci zdrada:
Ukazać loch tajemny... O! rycerzu krzyża!
Patrzaj, oto się Lutas do prośby poniża.
Błagam cię, wiarołomco, w imieniu mej ziemi:
Nie mów o tajnym lochu przed braćmi twojemi.
Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
Jeszcze Litwa na siłach pokrzepić się może...

Szalony! co ja czynię, i co mi się marzy?
Że wpół drogi zbrodniczej zatrzymam zbrodniarzy?!
O nie! ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!
Jak wilki do owczarni, niech podkopem wnidą,
Niech zburzą gród Margiera Niemcy wiarołomni!...
Lecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
Zemsty za pogwałcone klątwy uroczyste.
O przybity do krzyża chrześcijański Chryste!
Ciśnij z krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
Ja się zemszczę... Do łuków! do mieczów, młodzieńce!
Brońcie wejścia do lochu! bo już wróg napada!
Powiedzcie Margierowi... że w obozie zdrada,
Że Lutas... zdradził Litwę!... — Tu oddech się zatnie;
Ryknął lew strasznym płaczem — ryknienie ostatnie
Rozległo się w pustyni. Choć w krzyżackim tłumie
Nikt, krom wodza, litewskiej mowy nie rozumie,
Jednak wszyscy pobledli, każdy oddech ścina;
A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,
Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:
Oto — rzecze — poganin Chrztu świętego prosi,
Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze,
Spieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę!
I już ze stągwią wody z Niemna zaczerpniętej
Chciał nad czołem Lutasa odprawić Chrzest święty,
Przybliża się ostrożnie i wyciąga szyję:
Ciesz się, piekło! już stary poganin nie żyje!

VI.

Na ziemi poszarzało, na Niebie już świta.
Ransdorf, jak martwy posąg, jak kolumna wryta,
Stał nad trupem Lutasa — co myśli? co marzy?
Szatan mu dziką rozpacz wypisał na twarzy,
Jego czoło zmarszczkami najeża zgryzota,
Jako wicher wśród burzy, kiedy fale miota.

A w głowie kipią myśli szalone i chore,
A całe piekło cierpień w jego piersiach gore.
— Ha! prawdę powiedziałeś, o starcze złowrogi!
Nie pora zbrodniarzowi cofać się w pół drogi.
Kto raz wirem występku został uniesiony,
Już go twarda konieczność pochwyci w swe szpony,
Pchnie ze zbrodni we zbrodnie; na drodze takowej
Chcieć się wstrzymać od grzechu — to może grzech
Hańba złamać przysięgę... daną wobec krzyża, [nowy!
Mistrzowi wydać przejście, co k'twierdzy przybliża...
Chowałbym tajemnicę, ale to się znaczy:
Eglę zostawić w rękach litewskich siepaczy.
Nim wał i mur zdobędą rycerze krzyżowi,
Oni jej krew niewinną już przelać gotowi
I wydrzeć wielkie serce!... O, stójcie, zbrodniarze!
Na wieczne potępienie choć mię Pan Bóg skaże,
Zdradzę was... tajnym lochem łuczników powiodę,
I ofiarę ze stosu wyrwę na swobodę,
I mistrzowi ułatwię oblężenia pracę,
I za gościnność waszą płomieniem zapłacę.
Niech z dymem waszych dachów, z jękiem waszych
Przeklęctwo na mą głowę do Niebios poleci, [dzieci,
I tam wymodli piorun, co mi strzaska łono —
Ja przyjmę bez szemrania karę zasłużoną,
Byle Eglę ocalić — prędzej... prędzej zdrada!
I porwał róg bawoli i do ust przykłada,
I na swoich łuczników na pobudkę dzwoni,
Aż się zgrzytanie trąby rozległo po błoni,
I wywołało w lesie różnych dźwięków krocie.
Kipi obóz niemiecki, jak rój na wylocie,
A ptaszki, co już dzionek opiewały rychły,
Przelękłe nowym gwarem w pół taktu ucichły.
Ozwał się dzwonek na Mszę — gwar kipi nad wodą,
Rżą rumaki, co Niemcy na wodopój wiodą;
A z za krawędzi lasu powoli... powoli
Błysnęło jasne słońce — złej czy dobrej doli.

VII.

Litwini już gotowi — oni w nocnej chwili
I basztę zgruchotaną, i mur naprawili,
Osadzili strażami i wały, i wieże,
I bramę do warowni, i Niemna wybrzeże;
A sami do świątyni zeszli się gromadnie,
Gdzie Marti suche drzewo do ogniska kładnie,
A podnosząc do góry ociemniałe oczy,
Z podziemnemi bogami swój rozhowor toczy.
A na jej twarz promienną, na postać niewieścią
Cała Litwa pogląda z przestrachem i cześcią;
Czy wróżbiarka pobladnie, czy rumieńcem pała,
Litwa, jakby w jej twarzy swą dolę czytała,
Płomieni się i blednie. Marti stos rozżarza,
I po trzykroć obchodzi dokoła ołtarza,
I polewa na ogień krew z całopalenia,
I coraz insze bóstwo koleją wymienia.
Coraz inszemu bóstwu oddaje pokłony,
Zwraca się do zachodniej, to do wschodniej strony,
Niewidzialnego inszym przywołuje ducha,
Zdaje się o coś pyta, zda się czegoś słucha.
Aż nareszcie poczuła nadziemską wyrocznię
I chrapowatym głosem przepowiadać pocznie,
A z czarnych kłębów dymu, jak z piorunnej chmury,
Leci odgłos wyrazów drżący a ponury:
Pytałam się u bogów, w czem losu osnowa?
Ale Niebo milczenie uroczyste chowa;
Chciałam w piekle wyczytać przyszłość tej krainy,
Ale nad całem piekłem lata płomień siny;
Pytałem chmur niebieskich, ale wiatr je kręci;
Pytałam czarnych kruków, lecz żerem zajęci;
Tylko płomień żniczowy — słuchajcie z oddali —
Z jakimś się dzisiaj hukiem niezwyczajnym pali,
Uczuwam w łonie ziemi jakiś dreszcz nieznany,
A noże ofiarnicze spadają ze ściany,
Kędy je zawieszono! Czuwajcie gotowi!
Trzeba spełnić, cokolwiek Niebo postanowi:

Bo łatwiej zepchnąć górę do niemnowej fali,
Prędzej ogień zaskrzepnie, woda się zapali,
Niż z wyroków nad ludzką zawieszonych głową
Potrafimy odmienić choćby jedno słowo.
Wiele przeszło pokoleń w Litewszczyznie starej;
Ale jak Litwa Litwą nie było ofiary,
Jaka dziś ma się spełnić — biada temu, biada!
Kto z boleści zajęknie, kto sercem nie włada,
Kto z mężów aż do końca nie dotrzyma broni,
Która z niewiast przed wrogiem choćby łzę uroni!
Tak Marti wysilona chwieje się i słania.
A z wałów róg bojowy podał znak spotkania.
— Na mury! — krzyknął Margier — niech Niemiec
obaczy,
Co jest walka w rozpaczy, co jest śmierć w rozpaczy!

VIII.

Krzyżacy z nowem wojskiem, jak wczorajszej chwili
I tratwy naprawili, i Niemen przebyli,
I trzy potężne hufce zmierzają swobodniej
Od Niemna, od Puniały, od strony zachodniej;
Tylko strona południa, gdzie las i bezdroże,
Wieńcem się wojsk morderczych opasać nie może.
Książę saski, choć ranny, od strony Puniały
Rozwinął po wąwozach hufiec okazały;
Nemur, gościnne książę od Niemieckiej Rzeszy,
Pod zachodnie okopy z rajtarami spieszy
Sam wielki mistrz od Niemna, pod białym sztandarem,
I szykuje konnicę nad szerokim jarem;
Na czele swej piechoty przodkowanie bierze,
Wdziera się mimo trudu na strome wybrzeże.
A Litwa, ogarnięta potrójną obławą,
Na wszystkich trzech okopach potyka się żwawo;
W miarę jak rąk ubywa, odwagi przyrasta:
Mąż bierze łuk i włócznię, a słaba niewiasta
Kamieniami i gruzem zamierza z oddali,

Bije w głowy rajtarów i z nóg ich obali;
Tylko że słabym rękom ta praca niełatwa.
Dziś ani jedno czółno, ani jedna tratwa
Nie zostały strzaskane od ciosu kamieni.
Rzadko trupem krzyżackim Niemen się zapieni.
A nie bacząc na straty, niemiecka drużyna
Coraz wyżej a wyżej po wałach się wspina,
Czepia się na urwiskach, czepia na opoce,
I z bojowych taranów do warowni grzmoce.
Litwa stanęła piersłmi — zakipiał bój ręczny,
Zlał się w jedną gromadę oddział trzytysięczny,
I krzyki różnorodne, i szczęk różnej broni
Szalonemi rozgwary uderzył po błoni.
Naokoło warowni rzeź toczy się krwawa,
I jakby chmurny obłok kłębi się kurzawa,
I coraz się rozciąga i dłużej, i szerzej;
Czasem ogień z rusznicy jak piorun uderzy,
Czasem, bieżąc po wałach różnemi zakręty,
Grzmotnie wśród chmury kamień z wieżycy zepchnięty,
Przebija w chmurze otwór, co znowu się zlewa;
Z chmury tylko krew świszczy jak deszczu ulewa,
I walą się zabici do rzeki, do fosy,
A z twierdzy jęk niewieści kwili w niebogłosy.
Z za Niemna coraz nowi przybywają goście,
I na trupach zabitych, jakby na pomoście,
Stają nowe szeregi na pomoc mistrzowi,
Kędy huf obezsilon świeżym się odnowi.
A Litwini wciąż jedni wśród nieprzyjaciela;
Oko piaskiem nabite już niecelno strzela,
Ręce trudem złamane nie udźwigną młota,
Słabym tylko zamachem po pancerzach grzmota
Silny niegdyś ich bardysz. Koleją... koleją
Widzi Margier, że jego bojowniki mdleją.
W piersiach zachrypnął okrzyk, co był silny z rana,
W oczach krew się zapiekła, a na ustach piana.
Zatrąbił do odwrotu, i swój zastęp cały
Pod osłonę warowni zgromadził na wały,

I już pod samym wałem ujrzał krzyża znamię.
Spojrzał w oczy Litwinom, i ręce załamie:
Napróżno im wydawać wojownicze hasła,
Ostatnia iskra męstwa w ich oczach zagasła!
Ale jeszcze ostatnia nadzieja nie znika.
Niech silny grad kamieni spotka najezdnika!
I co żyje: mężowie, niewiasty i dzieci,
Jęli dźwigać stos cegieł — i gradem poleci
Tysiąc strasznych pocisków — a każdy coś znaczy:
Bo najstraszniejsza siła to siła rozpaczy!
Jak gdyby pod sturęcznym zamachem olbrzyma,
Chwieje się huf krzyżacki i pochód zatrzyma.

IX.

Od wschodniej, od zachodniej, od północnej ściany
Margier ujrzał pęd wroga kamieńmi wstrzymany;
Zwrócił się k'południowi — o straszny Perkunie!
Tu chorągiew krzyżacka odważnie się sunie
Z niedostępnych bezdróży — gdzie stara olszyna,
Gdzie się lochów tajemnych siatka rozpoczyna,
Silny hufiec niemiecki zachodzi swobodnie,
Przed hufcem młody łucznik potrząsa pochodnię,
Zapalił dach i dalej spustoszenie niesie,
I oto płomień wężem zwija się po strzesie!
Margier poznał Ransdorfa — i wzrokiem sokoła
Obrzucił całą twierdzę. — Litwini! — zawoła —
Dajcie rozbrat nadziei: już się twierdza pali.
Modlitwa nie pomoże, męstwo nie ocali.
Jedno zostało... umrzeć... O! gdyby wrogowie
Szanowali cześć niewiast, albo dziatwy zdrowie!
Litwini! ja, wasz książę, z rzewnemi modlitwy
Upadłbym do nóg jego dla zbawienia Litwy.
Ale któż Krucygiera o litość umodli?
Trzeba umrzeć... Litwini! czyż umrzem jak podli?
A na ostatnim trupie mężnego Litwina
Naszych starców i dzieci Krzyżak pozarzyna!

I będzie się na zgliszczach urągał boleści,
Naszych bogów znieważy, niewiasty zbezcześci!
O! nie dopuść, Perkunie, na Litwę tej plamy!
Jeśli trzeba się poddać — trupy im oddamy!
Zapalcie stos ofiarny! wzmóżcie się na sile,
Rzućcie na nich kamieńmi, wstrzymajcie na chwilę,
By wrogowie, przyszedłszy w nazbyt rannej dobie,
Nie przeszkodzili spełnić, cośmy winni sobie.
Jeszcze ostatnim gradem na wroga ciśnijcie!
Brat bratu, ojciec dziecku niech odbierze życie:
To lepiej, niźli zginąć od ręki siepacza!
Rzekł, i kamień z okopu co największy stacza,
I twardemi granity od końca do końca
Sto krzyżackich rycerzy w topielisko wtrąca.
Twierdza gore, bój kipi... Litwini z rozkoszą
W środku samej warowni stos ofiarny wznoszą.
Straszliwy jęk rozpaczy doszedł do podziemi;
Wyszła Marti, jak upiór, z bogami swojemi,
A zagasiwszy Żnicza — z wysileniem ducha
Ostatnią jego iskrę na stosie rozdmucha.
Ransdorf widzi z daleka swej zdrady owoce:
Marti strasznym toporem w pierś Litwinów grzmoce,
Pod ofiarnem żelazem ściele się gromada,
A kto skonał, kapłanka na stosie go składa.
Dzieci Litwy, pijane szałem i rozpaczą,
Same się zabijają, same na stos skaczą;
Niejeden dziki ojciec wśród pogorzeliska
Chwycił syna z kolebki i na ogień ciska;
A matka jeszcze trupa spalonego pieści, —
Nim ją przyszli zabijać — skonała z boleści.
Margier kapłanom w trąby odezwać się każe,
Aby się podniecała wściekłość przy ofiarze;
A sam z kilku mężnymi własne mury wali,
Strąca balki na Niemców, by nie przeszkadzali
Spełnić się losom Litwy przy ofierze krwawej.
Pociesz się, wielki mistrzu, żniwem twej wyprawy!

X.

Kiedy Litwę ogarnął jej zapał szaleńczy,
O Egli zapomniano, że w więzieniu jęczy, —
Ransdorf z ogniem i mieczem, jakby zbójca dziki,
Obiega całą twierdzę z wiernemi łuczniki,
Po znajomych komnatach snuje się dokoła,
I w ręce na nią klaszcze, po imieniu woła.
A chociaż płomień huczy, a bój zdala wrzeszczy,
Choć się z echem rozlega płacz matek złowieszczy,
Chociaż echo szaleje wpośród komnat próżni, —
On pewien, że ją znajdzie, że jej głos odróżni,
Wpadł szaleniec do lochów w ofiarnej podziemi,
To deptał bogi Litwy, to klękał przed niemi;
Wreszcie w lochach podziemnych, których nie pamięta,
Znalazł ciemne więzienie, gdzie Egle zamknięta.

XI.

Ona z piętnem boleści na wybladłej twarzy,
Siedziała w głębi lochu... coś głęboko marzy.
Promień słońca ukradkiem jej oblicze złoci:
Zbledniał krasny rumieniec wśród murów wilgoci,
Schmurniało piękne czoło, powisła jej głowa,
A na jej ustach bladość spoczęła grobowa;
Rzekłbyś, że skamieniała, jak martwa opoka,
Gdyby nie iskra życia, co strzela z jej oka.
Gdy Ransdorf ostateczne wysilenia czyni,
Kiedy pękły żelazne wrzeciądze jaskini,
Cofnęła się trwożliwie, krzyknęła boleśnie;
Patrzy nań nieprzytomna, jak na widmo we śnie.
Ransdorf, krwią obryzgany, przed dziewicą klęka:
Córko Litwy! błysnęła ostatnia jutrzenka
Nad gniazdem twego rodu — cała twierdza gore!
Przybiegam cię ocalić, och! przybiegam w porę:
Płomień ostatnie balki na dachu przepala,
A Krzyżacy do twierdzy cisną się jak fala,
A Litwini pod zamkiem rozpaczliwą zgrają
Sami się na ofiarę bogom zabijają,

Aby żywo nie wpadli pod niemiecką władzę.
Idźmy stąd, piękna Egle, ja cię uprowadzę!
Straszny dzień!... uciekajmy... czy widzisz dym czarny?
Czy słyszysz huk płomieni i okrzyk ofiarny?
Czujesz, jak tu gorąco już przepala cegły?
Spieszmy! bo droga trudna, a nasz cel odległy...
Ja ciebie uprowadzę szlaki znajomemi
Z niebezpieczeństwa wrogów, ze zgliszcza twej ziemi!
Rzekł, i patrząc z rozkoszą w oblicze dziecięce,
Chciał miłe sercu brzemię pochwycić na ręce;
Ale córka Margiera łagodna a cicha,
Skinieniem go oddala, spojrzeniem odpycha,
A w tem jednem spojrzeniu tyle sił wytęża,
Że, jak pchnięty ramieniem bojowego męża,
Cofnął się młody Krzyżak. — Stój, dziki zuchwalcze!
Kto ci mówił, żem słaba? że siebie nie zwalczę?
Co znaczą mego domu gorejące ściany?
W twoich ręku pochodnia i miecz krwią zbryzgany!
Posłuchaj mię, Krzyżowcze! och! niedawno jeszcze
Jako najsłodszą myślą biedne serce pieszczę,
Że z tobą w cudzej ziemi pędzić będę chwile,
Obowiązki dla bogów, dla Litwy uchylę,
Porzucę dom i ojca... i będzie mi błogo,
I tu nie pożałuję nikogo... nikogo!
W snach widziałam twój domek, i morskie wybrzeże,
I mury waszych zamków, i kościelne wieże;
Przysięgłam twemu Bogu, że moich porzucę,
I skłonię całe serce ku Jego nauce...
Lecz dzisiaj w moich myślach i w sercu inaczej:
Ty przywiodłeś do Pullen krzyżackich siepaczy,
Wniosłeś do mojej strzechy i miecz, i pożogę.
Dzisiaj Litwa chce ofiar — cofnąć się nie mogę.
Moja powinność umrzeć w ofiarnej postaci
Obok mojego ojca, obok moich braci.
Weź ten krzyż... mnie nie wolno nosić go na łonie:
Egle ze swemi bóstwy w jednym stosie spłonie.
Stąd nie zdołasz mię wyrwać całą swoją mocą

I nigdy się nie dowiesz: do kogo i poco
Zaślę ostatnią modłę...

XII.

Tak mówiła śmiało.
O duszo Margierowa! czemu słabe ciało
Obrałaś za mieszkanie? czemu we łzach oczy?
Czemu ten dym, co buchnął, twoją główkę mroczy?
Czemu płomień pożarny, co się mignął zdala,
Z piersi ostatni oddech gorącem wypala?
Egle traci przytomność, chwieje się i pada,
A płomień już się wgryza, sklepienie przejada,
I w głębokie podziemie od baszty przyległej
Posypały się głównie i runęły cegły.
Z pośród gruzów pożarnych, dymu i płomieni,
Porwali biedną Eglę łucznicy strwożeni,
A Ransdorf na ich czele, jako czujna warta,
Ukazuje im drogę, płomienie rozgarta;
A gdy wyszli z podziemia, on drżący i siny
Mieczem toruje drogę pomiędzy Litwiny.
Tam już z wałów ostatnie cofnęły się straże,
A twierdza jednym hukiem goreje w pożarze;
Ze wszystkich stron Krzyżacy wpadają i wrzeszczą,
A ich trąba ogłasza godzinę złowieszczą,
To chychoce jak szatan, to syczy jak żmija.
A Litwa nieprzytomnie sama się zabija:
Tam morderczym toporem brat uderza brata,
Ojciec własne niemowlę bardyszem rozpłata,
Dzika Marti ze stosu płonącego drzewa
Ostatnią dla nich pieśnię pogrzebową śpiewa,
Poleca swoim bogom dusze tych, co płoną,
I wywija w powietrzu siekierą święconą.
Ransdorf z lubą zdobyczą przebiega podwórze,
Przeciska się przez ognie, topory i noże,
I mieczem nieprzytomne wymierza zamachy;
A jego hełm i pancerz wykowane z blachy
Napaliły się w ogniu, pierś i głowę pieką.

O! w tej głowie, w tej piersi goręcej daleko!
Wrząca dusza młodziana silniej płomienieje
Od zgryzot i obawy, i trwożnej nadzieje.

XIII.

Wierni jego łucznicy, uchyliwszy głowy,
Nieśli omdlałą Eglę za obwód zamkowy,
Gdzie z pod olchy, zawarte kamieńmi i kłodą
Poczynają się lochy, co do Niemna wiodą,
W których była ostatnia obrona Litwina,
A których dziki widok tyle przypomina!
Och! bo w życiu Ransdorfa to miejsce nielada:
Tędy go wiodła miłość, tędy wiodła zdrada;
O poranku szedł tędy na czele swej młodzi,
A teraz jak kochanek szczęśliwy przechodzi.
Lecz choć sercu i męstwu dziś stało się zadość,
Czemu na jego twarzy nie kraśnieje radość?
Czemu serce nie kipi w swobodzie młodzieńczej,
Gdy szlachetne żądanie skutkiem się uwieńczy?
Już swobodny od mieczów i pogorzeliska,
Czerpa wodę z potoku, na twarz lubą pryska —
Egle dała znak życia, znać, że coś pamięta.
Swobodniej odetchnęła pierś bólem ściśnięta;
Otwarła jasne oczy — o radosna zmiana! —
I Niebem zabłysnęła dla duszy młodziana,
I sili się przypomnieć wszystkie dnia koleje:
Gdzie jest? dokąd ją wiodą? co się w zamku dzieje?
Chce, ale nie śmie pytać, a choć się zapyta,
W oczach tylko łuczników odpowiedź wyczyta:
Bo ich trwogą przeraża podziemne bezdroże,
Zguba jeszcze tak blizka — a głos zdradzić może.
Czas nagli do pospiechu! uciekajmy skoro!
Tak wołając, łuczniki na barki ją biorą,
A Ransdorf z zapaloną pochodnią na przedzie,
Znajomemi zakręty cały orszak wiedzie;
Aż w milczeniu ostrożne posuwając kroki,
Stanęli u wybrzeża niemnowej zatoki.

Tam, jak Ransdorf zawcześnie przygotować każe,
Czeka już łódź niemiecka i zręczni wioślarze.
Egle, jeszcze wpółmartwa, złożona do łodzi,
Spojrzała w stronę zamku, skąd okrzyk dochodzi,
I na krwawe płomienie, co jej dom pożarły,
I okrzyk rozpaczliwy z piersi obumarłej
Przeszył piersi Ransdorfa jak ostrem żelazem:
Puszczajcie mię do ojca! ja zginę z nim razem!
Ja przed obliczem śmierci odważnie dostoję,
Jak wszyscy bracia moi, jako siostry moje!
Tak jęknęła boleśnie, i ręce załamie,
I znów omdlałą głowę przewiesza na ramię.
A Ransdorf klęczy przed nią i słowa nie mówi,
A wioślarze, na wodza skinienie gotowi,
Zepchnęli łódź do wody... Zaszumiały wiosła,
I fala z cichym szmerem ich czółno poniosła.

XIV.

A na zgliszczach zamkowych kipi bój zajadły:
Zwęglone od płomienia ściany już opadły,
Do Niemna, do Puniały płynie krew ruczajem;
Litwini nie przestają mordować się wzajem,
Wskazują w stos ofiarny, śpiewają i jęczą,
Obryzgani posoką i pianą szaleńczą.
Jeden Margier spokojny wśród jęku swych dzieci;
Żaden mu wściekły wyraz oblicza nie szpeci.
Ujrzał zgubę, gdy Krzyżak od lochów się wciska,
Zaprzysiągł, że mu odda trupy i zwaliska,
A jako dobro Litwy, jak bogowie każą,
Ścina głowy swym braciom z uroczystą twarzą;
Nie pastwi się nad nimi jako wściekły zbójca,
Ale pełni powinność książęcia i ojca,
Aby lud bohaterski, sercem ukochany,
Nie przyszedł w pohańbienie, dźwigając kajdany.
Szukający zdobyczy wśród zamku płomieni,
Krzyżacy na morderstwo patrzą przerażeni;
Od ranka swej wściekłości wywierając dosyć,

Nie śmieją na Litwinów już ręki podnosić.
Choć biorą to szaleństwo za sidła szatana,
Do ich serca wstępuje jakaś cześć nieznana
Dla chrobrych bojowników. Już stos ledwie pała,
Już Marti wśród gorących płomieni skonała,
Już słychać słaby łoskot ledwie kilku młotów,
Margier krwawą ofiarę już dopełnić gotów
I przebić własne piersi...

XV.

Wtem z Niemna od brzega
Płynącą łódź krzyżacką z daleka postrzega:
Poznał postać Ransdorfa — rzucił wzrok sokoli:
Poznał Eglę — zapłakał... bo go serce boli.
— Bogowie! ja tu czuwam, gdzie o Litwę idzie,
A tu własna krew moja spieszy ku ohydzie!
Wyrodna krew Margiera, Egle nieszczęśliwa,
Spieszy potargać z Litwą rodzinne ogniwa,
I z młodą a najdzikszą krzyżacką gadziną
Ucieka od ofiary, kędy wszyscy giną!
Perkunie! wzmocnij rękę! oto w jednym strzale
Ja cześć jej nieskalaną od hańby ocalę!
Rzekł, i z silnego łuku wymierzył do łodzi,
Nie wierzy w trafność oka: bo mu łzą zachodzi —
Naciągnął — puścił strzałę... pobiegła ze świstem
Aż Niemen zapluchotał drganiem uroczystem.
Stanęło w oczach ojca grobowe widziadło,
A z czółna coś białego do wody upadło.
Jeszcze wystrzał, i jeszcze uroczysta chwila,
Łódź skręca się po fali, chwieje się, nachyla,
I z pluchotem jak kamień do Niemna uderza
W polerownej zbroicy ciężki trup rycerza.
Zakrzyknęli wioślarze, ratunkiem zajęci;
Jeszcze się biała płachta z falami zakręci,
Mignęła raz... i drugi po wodnym obszarze...
Uciekli na brzeg drugi strwożeni wioślarze.
A Niemen, jak dotknęła czarodziejska władza,

Znowu płynie spokojnie, znowu się wygładza,
Kręci się lekkim wirem, od słońca połyska:
Nie znajdziesz w jego łonie śladu grobowiska...

XVI.

— Spełniła się — rzekł Margier — ofiara stra-
I podchodzi do stosu, i miecza dobywa. [szliwa! —
Tam już wszyscy Litwini snem wiecznym posnęli:
Owdzie trup się czerwieni, owdzie kość się bieli,
Owdzie jęk się wydziera ostatniego ducha,
A nad stosem przygasłym jeszcze dym wybucha.
Margier kołpak soboli zdjął z rycerskiej głowy:
Witam cię, chrobra Litwo, w otchłani grobowej!
Daj świadectwo Niebiosom w uroczystej dobie,
Żem cześć twoją ocalił i zginął przy tobie!
Nie umarłaś spodlona — tylko nieszczęśliwa!
Rzekł, i szerokim mieczem pierś własną przeszywa,
Oczy wlepił w Niebiosa i trupem się ściele...
Skonał ostatni Litwin na bratnim popiele.

EPILOG.

Krzyżacy w gruzach cegieł i spalonych głowni
Długo szukali skarbów ukrytych w warowni;
Żołdactwo w popielisku długo się szamota,
Szukając starych miodów i srebra, i złota.
Wycięli stare lasy u Litwinów święte,
Zabrali tuczne trzody dotąd nieporznięte,
I zburzyli warownię, i z ziemią zrównali,
Krzyż na niej postawili i odeszli dalej.
Puszczyki zamieszkały tajemne otchłanie,
Czas objął rumowisko w swoje panowanie.
Na rycerskich popiołach to się trawka wspina,
To porosły pokrzywy i gęsta leszczyna;
Potem rolnik zaorał niwę znakomitą,
I posiał na jej łonie chleborodne żyto.

A na gładkiej, głębokiej niemnowej topieli
Czasem się biała płachta o zmroku zabieli...
Ci nie wierzą, ci wierzą — dziwny ród człowieczy!
Ktoś ci jeszcze odpowie: że to stare rzeczy,
Że z czasów, gdy Litwini byli jeszcze dzicy,
Jest to chusta grobowa Egli topielicy.
A więcej próżno pytać o przeszłość nieznaną, —
Gdzieś ją, słyszę, w łacińskich książkach zapisano.
Chcesz się prawdy dowiedzieć? — pytaj kronikarzy;
Resztę niech własna głowa, niech serce domarzy!

Borejkowszczyzna, 6 sierpnia 1854.

KĘS CHLEBA.

GAWĘDA Z PÓL NADNIEMEŃSKICH.

I.

Dziwno mi nieraz, gdy w myślach rozważę,
Jako skrybowie i pańscy pieśniarze,
Z silnemi pierśmi i z sercem ochoczem,
Skarżą się nieraz na brak żywej treści:
Że w pięknej Litwie śpiewać niema o czem,
Że im nie staje wątku do powieści.
O bracia moi! rówiennicy mili!
Za cóż swej matce bluźnicie zuchwali?
Czyście już całą przyrodę zgłębili?
Czyście już całą głąb duszy zbadali?
O! jeśli waszą unużyło lutnię
Łowić brzęk wiatru, co w zaroślach gwarzy,
Śpiewać Niebiosa zachmurzone smutnie,
Lub z Symonidem wtórzyć pieśń żniwiarzy,
Albo powtarzać szczebiotanie ptasze,
I jęki nasze, i radości nasze, —
Jeśli już dla was nie nowa nauka
Słuchać, jak serce waszych braci puka, —
To weźcie wszystko przeglądać na nowo
Przez drobne szkiełko, co mikroskop zową.

Połóżcie pod niem, co łaska i wola,
Główkę motyla lub serce człowiecze,
Łezkę, co z oczu spłakanych wyciecze,
Lub kwiat urwany z litewskiego pola —
A rozpowiedzcie sumiennie a święcie
Blask każdej barwy, każde serca drgnięcie,
Każde ruszenie drobnego atomu,
A pieśń już sama utworzy się snadnie —
A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie
Posłuchać pieśni, westchnąć pokryjomu;
A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
O! wtenczas dobre żniwo dla pieśniarzy.

II.

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
Patrzę na kawał chleba z mej wieczerzy:
W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
Cała treść pieśni żywotna i czuła.
Drobna okrucho! o gdyby ci mowa,
Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła:
O twojej doli, o rodzinnej roli,
O twojej siejbie, kwitnieniu i wzroście,
Jako się rolnik na żniwie mozoli?
Jakie tam ptastwo przylatało w goście?
Jak na twój kiełek czerwonawo-blady
Działało słońce i rosa, i cienie?
Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
Spadały z Niebios na twe spustoszenie?
Czy sute były dożynki po żniwie?
Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?
Za ile ziarnek ile dostał groszy,
Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
Czy grosz wydano dla serca rozkoszy?
Czyli na ołtarz zbytkowi i pysze?
I jak wyrobnik zakupione ziarna
Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka?...
O zlepku żytni! okruszyno marna!

Jakże twe dzieje ciekawe dla człeka!
Z twojemi losy jak ściśle się splata
I jasny pałac, i chróściana chata!

III.

Chleb — święte Słowo w Niebie i na ziemi.
W nim Bóg sam Siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją Anieli,
Człek go przyjmuje usty pobożnemi,
W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Boga z ludzkością przymierze,
A gdzie Bóg zsyła swojego Anioła,
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa.
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy;
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno Boże wyciśnie na twarzy.
W marnej okrusze barbarzyńcy prości
Przyjęli święty Sakrament Ludzkości.

IV.

O wyobraźnio, święty Niebios darze!
Jako chleb ciało, ty nakarmisz duszę,
Dzięki twym cudom, kiedy się rozmarzę,
W ziemskiego chleba malutkiej okrusze
Całą jej przeszłość wysnowywam snadnie,
Dusza przeczuje, a serce ją zgadnie.

V.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową.
To brzęk znajomy: bywało po lesie
Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się.

Z góry na górę błyskawicą biega,
Lub się po łące jak powódź rozlega.
Och! pomnę, pomnę jego brzęk poranny,
Kiedy bywało przy końcu już żniwa,
W dzień Przemienienia lub Najświętszej Panny,
Z poblizkich wiosek lud Boży zwoływa.
Spieszy w kaplicę ciżba pracowita
Święcić owoce, albo kłosy żyta.
Tam gdy swe snopki na ołtarzu złożą,
A ksiądz modlitwę poświęcalną pocznie,
Poklękły naród widzi rękę Bożą,
Jak błogosławi ich plonom widocznie,
Już wie, że polna nie przepadnie praca.

Święcone snopki na siejbę wymłaca,
Święcone ziarno po zoranej roli
Sypnie garściami na każdej rozorze,
I mówi w duchu: „Kiedy Bóg pozwoli,
Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
Toż to się wianki kłosiane posplata!

Święcone ziarno mieszając z umłotem,
Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy,
Przywykł za własne uważać te niwy,
Bo z dawna własnym użyzniał je potem;
Więc szczerem sercem odmawiał pacierze:
Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!
Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka
Poszła modlitwa wysoko... wysoko...
Bóg rzucił k'niwom miłosierne oko,
I zaruniała usiana polanka
Krzewistą runią, a całe pól łono
Jakby ktoś szatą przyodział zieloną.

VI.

Boże, przyjm dzięki pokornego ducha
Za dobrą wróżbę plonów mojej pracy!

Niech traw zbożowych nie niszczą robacy,
Ni grad, ni powódź, ni skwarna posucha!
Szlachcic Łagoda, dzierżawca tej włości,
Klęcząc na morgu, tak modłę wdzięczności
Wylewał Bogu, obchodząc swe łany,
Wznosił ku Niebu i ręce, i oczy.
Powstał z modlitwy — i ujął ochoczy
Grubą czeczotkę, kapelusz ze słomy,
I poszedł dalej ścianką wedle gaju,
Wciąż błogosławiąc Dawcę urodzaju.
I w kole dziatwy, przy skromnym obiedzie,
Stary wesoło wypił miodu czarę,
Wtórzy do śmiechu, pogadanki wiedzie
I opowiada przypowieści stare;
I cały wieczór był rozpromieniony,
Tak go cieszyły przyszłoroczne plony.

VII.

Och! między chwilą zasiewu i zbioru
Jeszcze rok cały nadziei a troski.
Biedny dzierżawco ubogiego dworu!
Przeminął dla was ów wiek pradziadowski,
Że gdy na polu nie dopisze praca,
Inszym się kształtem rachunek opłaca:
Lub służąc z kordem do pańskich zamiarów.
Lub pijąc wino z bezdennych puharów.
Zanadto żwawie, wesoła drużyno,
Rąbałaś kordem i spijałaś wino:
W pańskich puharach dziś zostały męty,
Gorzka żółć z octem dla ubogiej braci;
A biada temu, kto czynszów nie płaci,
Suszą, powodzią, lub gradem dotknięty!
A owych czynszów rachunek bez końca:
Za niwy, łąki, za wodę w kałuży,
Za dach nad głową, za promienie słońca,
I za powietrze, co na oddech służy,
Za polny kwiatek pokropiony rosą,

Z którego pszczółki plastr miodu przyniosą,
Za przelew prawa do kmiecej spółbraci
Tyle a tyle srebrników się płaci
Do rąk dziedzica.
Dziś drogie talary:
Pracuj i módl się, wyrobniku stary!
Niech cię od nędzy sromotnej wyzwoli
Garść drobnych ziarnek wrzucona do roli.

VIII.

Bóg ją przeżegnał, a czarnych pól łono
Jak gdyby szatą przyodział zieloną:
I przyszła zima, i latorośl żyta,
Wciąż rozwijając swój badylek krzepki,
Mrozem spowita, a śniegiem przykryta,
Legła jak dziecię — spocząć snem kolebki;
A w trawce drzemie, nim je Pan Bóg zbudzi,
Życie i pokarm dla tysiąca ludzi.

IX.

Bo Pan Bóg radzi o Swojej czeladzi;
Pastwiska Jego my jesteśmy trzodą.
Umocnić serce wcale nie zawadzi
Na wszelką dolę, mospanie Łagodo!
Zasiałeś niwę, modląc się pobożnie,
Bóg raczy wiedzieć, kto twą pracę pożnie.
Bogaty sąsiad, pan poblizkiej włości,
Może już dawno chleba ci zazdrości;
Widząc ruń piękną wokoło twych chatek,
I w chleb zamożny twój naród wioskowy,
Może już z panem poczynił umowy
I na twą wioskę wyliczył zadatek;
Trafił pochlebstwem do pychy magnata,
A sutym groszem do służalczej zgrai.
Jeszcze się chytrze przymili, przyczai,
Jeszcze się z tobą jak z równym pobrata;
Lecz gdy ci rękę do uścisku poda,

Wtenczas twą zgubę dopełnił już właśnie!
Ani się stary spostrzeże Łagoda,
Gdy kocim szponem krwawo go zadraśnie.
Tem właśnie dzielna probuje się głowa,
Kto zręczniej szpony mordercze przychowa.
Biada prostakom!

X.

Tymczasem na niwie
Wicher ze śniegiem swawoli burzliwie,
A chleborodnem obdarzona życiem
Śpi trawka żytnia pod białem przykryciem.
Mróz, co ją zwarzył i zakował w bryłę,
Żywotnej treści wyssać z niej nie może:
Z zimnem słowiańskiem obeznane zboże,
Nabiera hartu i krzepnie na siłę.
A słońce wyżej, wyżej się pomyka,
Wytryska ciepłem z każdego promyka.
Choć mróz i wicher srożą się okropnie,
Codzień po trosze śniegowisko topnie;
Aż ocieplone wiatry marcowemi
Puściły śniegi na polach, na łące.
Zwija się wężem strumyków tysiące,
Potok z potokiem kojarzy się, zlewa;
Lecą ze szmerem wyzwoleńcy młodzi,
I szumią gwarem wiosennej powodzi
Nadbrzeżne błonia, zarośla i drzewa.
Słońce promieńmi, jak olbrzymim grotem,
Rozbija lody, łamie i rozpryska;
Fala wyzuta z cieśni grobowiska,
Pląsa po nurtach wirowym obrotem.
Rybacy czółnem już po Niemnie płyną,
I śmiały sternik puszcza się z wiciną.
A z ponad czarnej pooranej roli
Ostatnia wilgoć kłębami wybucha.
Wiosenny wietrzyk po niwach swawoli, —
A rolnik, pełen wesołego ducha,

Wychodzi czekać i słuchać co rana
Pieśni skowronka, klekotu bociana,
I z sercem pełnem wiosennej radości
Wita przybycie pożądanych gości,
A ze skowronkiem myśl jego skrzydlata
Z rzewną modlitwą ku Niebu ulata.

XI.

Stary Łagoda, co przez całe życie
Mógł się napatrzyć, nadziwować wiośnie,
Każdą pozdrawia i wita radośnie,
Z każdą się pieści w dziecinnym zachwycie;
Patrząc z uśmiechem ku domowej strzesie,
Najpierwszą dziatwie przylaszczkę przyniesie,
Wszystkim zwiastuje najwierniej, najwcześniej,
Powrót bociana i skowronka pieśni.
I nikt od niego lepiej nie pamięta
Wszystkie wesołe a doroczne święta:
Kiedy się święci chleb, ogień, czy woda,
Nikt lepiej nie znał, jak stary Łagoda.
Gdy stary zegar, piastun jego dłoni,
Co w nizkiej izbie kołace u progu,
W noc Zmartwychwstania dwunastą wydzwoni,
Starzec powstaje i modli się Bogu;
A ponad rankiem, gdy cisza dokoła,
Kiedy snem twardym spoczywają młodzi,
Drżącemi pierśmi, ile głos podoła,
On Alleluja radośnie wywodzi.
I wtedy starzec najszczęśliwszy z ludzi,
Gdy pieśnią dziatwę i czeladkę zbudzi,
Kiedy obaczy, że wszyscy weseli,
Święconym chlebem gdy wkoło się dzieli,
Kiedy mu życzą domownicy prości:
Daj Boże za rok doczekać w radości!
Tak rok po roku jakoś się wyprosił,
Jakoś wymodlił dla starego pana,
I radość była, bo ją w sercu nosił,

Złym sercom obca, zepsutym nieznana, —
Radość niewinna, spokojna i cicha,
Co się do trawki, do kwiatka uśmiecha,
Co na twarz starą wraca uśmiech młody,
Co rzeźwi duszę widokiem przyrody.
Taki skarb w sercu nie każdemu nosić,
Kto nie pracował usilnie i długo;
Tego modlitwą nie można uprosić,
Lecz tylko nabyć cnotliwą zasługą;
Jak długie lata żywota się liczą
Przechować serca niewinność dziewiczą.
Bo czyje oko choć raz się zaprószy,
Kto raz sumienie w poniewierkę poda,
Już nie osiągnie tego szczęścia w duszy,
Jakie miał biedny, zgrzybiały Łagoda.

XII.

Jest zwyczaj w Litwie u szlachty i kmieci
Gromadką w pole iść na święty Jerzy:
Gospodarz w gronie czeladzi i dzieci
Klęka na morgu, mówi pięć pacierzy,
Ogląda pola, czy urodzaj wróżą,
Potem sąsiedzi do kółka się zbiorą,
Zabrzękną w czarki i lulki zakurzą,
Potem znów klękną modląc się z pokorą,
A w dobrej myśli, ze spokojną twarzą
Idą do domu, śpiewają i gwarzą.
— Patrzaj, Macieju! ot idą ze dworu.
Stary pan wyszedł z dziatkami i żoną,
Klękli się modlić — właśnie od ugoru
Były zasiewki garsteczką święconą.
Ja sam rzuciłem — tam wyborna skiba,
Niedawna trzebież, to widać z daleka:
A jużby Pan Bóg nie łaskaw był chyba,
Gdyby tam żyto nie wyrosło w człeka! —
Tak stary Szymon mówił do sąsiada
I nalał czarkę na trzecią już kolej:

Bądź zdrów, Macieju! niech marnie przepada,
Kto nam źle życzy — niech sam zginie wolej!
— Bądź mi zdrów, kumie! — Maciej mu odpowie
Przyjmując czarkę, którą Szymon poda. —
Za zdrowie pańskie! daj Boże mu zdrowie!
Nie darmo stary zowie się Łagoda;
Łagodna dusza naszego paniska,
Człek nie ma krzywdy u niego we dworze,
Nie tak jak inszy, co drze i uciska,
Że aż posłuchać nie dopuszczaj Boże!
U nas... grzech mówić... Tak, tak, panie kumie,
Pan nas uważa za ludzi, za braci,
Skargę wysłucha, krzywdę wyrozumie,
Niech mu Bóg za to stokrotnie zapłaci!
Niech ze swej dziatwy cieszy się radośnie,
Niech zboże jego na las patrząc rośnie!
— Ej, szkoda tylko, że rośnie przy drodze:
Mogą urzeknąć nieżyczliwe oczy.
Pan sąsiad słyszę i bardzo ochoczy,
Tutejszą wioskę zagustował srodze.
Zjedna dziedzica i nas zadzierżawi;
To sztuczka kręta, o sobie pamięta,
A w pańskim zamku na niego łaskawi
Od leśniczego do plenipotenta.
Daje pieniądze — alboż oni głupi?
Dlaczego nie brać, kiedy ktoś przekupi?
A dla dziedzica... to niewielka szkoda,
Że nas obedrą bez litości Bożej;
Czy pan Zabora, albo pan Łagoda,
Wszystko mu jedno; kto zapłaci drożej,
Ten będzie siedział na dwornym zagonie.
— A w Imię Ojca i Syna i Ducha! —
Zakrzyknął Maciej: Szymonie! Szymonie!
Nie gadaj głośno — bo szatan podsłucha:
A Bóg łaskawy strzegł nas od tej pory
Od głodu, ognia i pana Zabory!
Alboż nie słyszysz, jak jego poddani,

Każdej Niedzieli gdy się w karczmie zbierzem,
Z głodu wybladli, szmatami odziani,
Sypią przeklęctwem, jak żebrak pacierzem?
Gdy nas Zaborze dola w ręce poda,
Zgubi na zdrowiu, zgubi w gospodarce.
Posłuchaj kumie, wypijem po czarce,
Niech z nami stary wiekuje Łagoda!
Tak dwaj kmiotkowie, przy kielichu szczerzy,
Gwarzyli z sobą na sam święty Jerzy.

XIII.

A żyto rośnie, jak nikt nie pamięta.
Złoty urodzaj — święconych ziarn dzieło!
Pod koniec maja, na Zielone Święta
Zielone kłosie krasować poczęło;
Mży się jak fala polanka bogata.
Pył chleborodny jak dym nad nią lata.
W sercu rolnika pokrzepia nadzieję,
Bo łaską Bożą ponad kłosiem wieje.
Kwiecień był ciepły, a maj służy deszczem.
Będzie gaj żytni — to przypowieść znana.
Stary Łagodo! skąd taka odmiana,
Że zesmutniałeś w przeczuciu złowieszczem?
Poglądasz wkoło tęsknemi oczyma.
Na uściech twoich uśmiech się nie trzyma?
Czemu najczęściej zasklepiasz się doma?
A gdy cię kroki na pole powiodą,
Bywało z kwiatem, z grzybem lub z jagodą,
Teraz powracasz z pustemi rękoma?
Czemu w twem oku uśmiech coraz rzadszy?
Kiedy na żonę i na dziatwę patrzy?
Ani cię polny urodzaj pocieszy,
Ani twa dziatwa, co pięknie dorasta,
Ani śpiewanie pracowitej rzeszy,
Ani gwar ludzki, gdy ruszysz do miasta.
Coś ci niemiło, niedobrze na świecie,
Twą siwą głowę jakiś ciężar gniecie.

O! bo kto serca w sobie nie zagłuszy.
Kto przeżył życie z Bogiem a przyrodą,
Bystry u niego, o! bystry wzrok duszy.
Jego przeczucia nigdy nie zawiodą.
Stary Łagoda, lubo już nie w porę.
Oczyma duszy przeniknął Zaborę.
Choć serce pełne prostoty gołębiej
Myśl podejrzliwą jakby grzech odpycha.
Lecz robak w serce wgryza mu się głębiej
I jak mól w drzewie wciąż kołata z cicha:
Ej, pękną twoje najdroższe nadzieje!
Ej, praca życia marnie ci zmarnieje!...
Dzisiaj zamożny i śpichrz. i stodoła,
Jest coś i w trzosie — to krwawy pot czoła;
Ale któż zgadnie, co zdarzyć się może?
Gdzie przyjdzie spocząć na zgrzybiałe lata?
Coś z oczu patrzy źle panu Zaborze,
Z pańskiemi sługi coś bardzo się brata.
Och! jeśli z dworku cudzego wypędzą,
Przyjdzie się spotkać z cierpieniem i nędzą.
Dokąd się stary obróci Łagoda?
Chciwość nie miota jego duszą wzniosłą,
Nie szkoda zbiorów i dworku nie szkoda,
Chociaż nałogiem serce tam przyrosło,
Nie szkoda bujnych urodzajów pola, —
Smutniejsze myśli ciężą mu widocznie.
Podrosła dziatwa — a kędyż jej dola?
Zgrzybiała głowa — a kędyż odpocznie?
Choćby pracować i ciężko, i szczerze,
Ręce nie zwykły k'sosze i siekierze.
Nad kim już cięży grobowe przykrycie.
Późno mu nowe rozpoczynać życie.

XIV.

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę.
Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,

Jak się zbierają na żniwa gromadne,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptastwa śpiew mię nie omami,
Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa,
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.
Bo tamte strony ukochałem szczerze:
A taką miłość, jak miłość dziewicy,
Słodka urokiem lubej tajemnicy, —
Obcym jej uszom nigdy nie powierzę.
Bo śmieszno kwilić ku borowej sośnie,
Ku lichej trawce, co na piaskach rośnie,
Albo k'pustyni, kędy dworek stary
Pomiędzy wydmy i mokre wiszary.
Ale ta miłość, to sielskie zacisze
Tak mię zbratały z przyrodą, jak z matką,
Że nic tam dla mnie nie było zagadką, —
Zda się bywało wzrost trawy posłyszę.
I dzisiaj, kiedy wzrok ziemski przysłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę, jak żywo, starego Łagodę,
Jako się krząta po polnym zagonie;
I słuchem duszy, jak gdyby na jawie,
Słyszę na błoni nadrzecznej obszarze,
Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze,
I polny konik jak strzekoce w trawie;
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściej,
I jak pod sierpem żniwiarek zachrzęści;
Jako wioskowe żony i dziewoje
Gwarzą na morgu, chychocą i pieją
Pieśni żałosne, stare pieśni swoje,
Co wiekowały setnych lat koleją,
I z matki, z babki, z prababki podeszłej
Do ust nadobnej, krasawicy przeszły:
Pieśń o Dunaju, o krasnej kalinie,
I o kozaku, co na wojnie ginie;

A kiedy słodsze zapuka uczucie
Do prostej piersi szczęśliwą nadzieją,
Śpiewa o lubym, o zielonej rucie,
A towarzyszki z jej marzeń się śmieją;
Pieśniarka nie wie, gdy ją dumka pali,
Śmiać się? czy gniewać? czyli marzyć dalej?
Widzę, jak słonko kryje się za lasy,
A rzeźwy chłodek powiewa od rzeki,
Skrzypią ze zbożem ładowne kolasy,
Ryk trzody z błoni dochodzi dalekiej.
A tu na polu krzątają się dziewki,
By dworskich morgów dziś dożąć obszary,
W tem samem miejscu, kędy Maciej stary
Święcone ziarno rzucał na obsiewki.
Niedarmoś, księże, przeżegnał te ziarna!
Niedarmo, siewco, modliłeś się Bogu!
Wasza modlitwa i praca nie marna:
Plenny urodzaj ściele się do brogu.
Dożnijcie zagon wesołą gromadką,
Przy szumnym gwarze, przy pieśni odgłosie,
Zwińcie do wianka najpiękniejsze kłosie
Z krasną kaliną i modrą bławatką;
Zanieście panu podarek ze żniwa,
Jak zdrów doczekał, niech wesół spożywa.

XV.

Niezdrów, niewesół coś stary Łagoda —
Jak gdyby nierad z dożynkowych gości.
Dawniej przyjmował z uśmiechem radości,
Młoda żniwiarka gdy mu wianek poda;
Dzisiaj wioskowa dziwi się gromada,
Czemu zesmutniał, a twarz jego blada?
Sami u siebie pytają i gwarzą:
Kto tę zgryzotę do serca mu kładzie?
Bo przyjął wianek z obojętną twarzą,
Martwym uśmiechem dziękował gromadzie,
A gdy śpiewano dożynkowe pieśnie,
Starzec zapłakał... zapłakał boleśnie!

Łzy jego twarzy wioskowi ludziska
Dawniej widzieli — lecz zgadli, choć prości,
Że insza smutku, insza łza radości,
Kiedy to z serca pełnego wytryska,
Co, kiedy błyśnie na twarzy człowieka,
Jakby promieniem Boskim przyobleka.
Takiemi łzami w dożynkowe święta
Trafia się czasem zapłakać Łagodzie:
Ale łza smutku dzisiaj niepojęta...
Jakby tu zgadnąć, co mu serce bodzie?
Żona i dziatwa, widząc twarz złowrogą
I dumań starca częstym będąc świadkiem,
Spytać nie śmieją, a zgadnąć nie mogą,
I sami smutni leją łzy ukradkiem.
Lud, patrząc w oczy, aż zabłysną słodziej,
Nieśmiało k'stołu pańskiemu podchodzi.
Lecz pan przypomniał, że dzisiaj ma gości,
Wesołem okiem spojrzał na żniwiarzy;
Święte na Litwie prawo gościnności
Spędziło smutek z zadumanej twarzy.
Na stole, białą zasłanym oponą,
Stawią chleb cienki i słodkie owoce,
Smolone szczepy na dziedzińcu płoną,
A wiejski skrzypak skoczny taniec grzmoce.
Piskliwe tone wyciąga od ucha,
Nastraja skrzypce i dźwięku ich słucha
I znowu grzmoce. Miód, sprawca wesela,
Krąży po rękach — gwar coraz to wzrasta;
Skromny parobczak i cicha niewiasta,
I młode dziewczę coraz się ośmiela.
Podchodzą k'panu i młodzi i starzy,
Pan się uśmiecha i ochoczo gwarzy.
Dla niego kmiecie to synowie mili,
A starcy ze wsi, to bracia rówieśni;
Zaprasza gości, by jedli i pili, —
Zahulał taniec, zaszumiał gwar pieśni;
W sennem powietrzu szumi święto żniwa,

W mgłach letniej nocy z echem się rozpływa.
Pomimo pieśni, mimo tańca gwary,
Kmiecy rozhowor rozlega się głośno:
Daj Boże zdrowie! oto pan nasz stary!
Niechaj mu dziatki na pociechę rosną,
Niech syny jego na tej samej ziemi
Będą panami nad syny naszemi!

XVI.

— Oj, źle Szymonie! źle sąsiedzi moi!
Tylko u Boga miłosierdzia proście:
Wczora pan karmi, wczora żeńców poi,
Dziś szumią inni na folwarku goście.
Słyszę, nasz dziedzic, gdy jechał za morze,
Taki dał rozkaz do swych komisarzy:
Wygnać Łagodę, bo źle gospodarzy,
A wioskę jego dać panu Zaborze.
Tak, kurząc lulki a idąc do pracy,
Pomiędzy sobą gwarzyli wieśniacy.
— Wygnać z dzierżawy? co się tobie marzy! —
Rzekł na to drugi: ależ jak? i za co?
— Od czegoż głowa i rozum pisarzy?
Znajdą przyczepkę — bo za to im płacą.
Daj się im w ręce! — jak opiszą człeka,
To aż zapomnisz o swym własnym rodzie.
Ot słyszę za to, że gdzieś dach zacieka,
Aż tysiąc złotych liczą na Łagodzie.
Stary... wiadomo... do wszystkich się garnie,
Każdemu ufał, zawierzył na skoro,
Ot i podeszli... oczernili marnie...
Teraz chudobę ostatnią zabiorą...
Ze złym człowiekiem i nam sprawa krucha:
Pana Zabory niebezpieczne oko,
Dziedzic daleko, a Pan Bóg wysoko,
Zabora skargi niebardzo wysłucha.
Dobrze nam było ze starym Łagodą,
Bóg raczy wiedzieć, czy tak będzie dłużej,

Czy się tak samo nabytki powiodą?
Na dwoje wróżka, ej, na dwoje wroży!
Bywało grosza zarobi gromada,
Gdy na flisówkę parobcy popłyną;
Dziś pan Zabora, gospodarz nielada,
Każe im dworną puścić się wiciną.
Tak... tak... sąsiedzi!... — Tu starzy włościanie
Kiwnęli głową jakby w jedno hasło,
I stary Szymon rozprawiać przestanie
Tak się zadumał, że w lulce zagasło.
Wykrzesał ogień, rozpalił i pyknął,
I dalej mówił: Zły życia ostatek!
Człek do Łagody już dawno przywyknął.
Toż on, mospanie, ze mną jednolatek,
Jeśli dożyjem tegorocznej zimy,
Na święty Szymon sześćdziesiąt skończymy.
Lat ze trzydzieści, czy więcej już pono,
Jak my za niego Pana Boga prosim;
Toż kiedy cerkiew dzisiejszą święcono,
Kończy się latek trzydzieści i osiem.
Dobre panisko — ej szkoda go, szkoda!
To mówiąc, starcy rozeszli się skoro,
A w każdych uściech był stary Łagoda,
A w każdem sercu był strach przed Zaborą.

XVII.

I słusznie Marcin powiadał sąsiadom,
Że tam i gwarno, i szumno we dworze:
Przybył pan rządca, a każdy już świadom,
Że pańscy słudzy przychylni Zaborze.
Pan rządca, zrazu przystępny, łaskawy,
Z uśmiechem w uściech, jakby Anioł z Nieba,
Rozpoczął ściśle rachunki z dzierżawy.
Łagoda prostak, nie wie co potrzeba,
Nie zna przysłowia: Nie weźmiesz, gdy nie dasz,
Ani pojmuje sumienia na przedaż.
Dobrze mu za to! — pan rządca w pokorze

Zgraję pismaków do dworku napuszcza:
Na polu, w śpichrzu, w komorze, w oborze,
Wszędzie plondruje wygłodniała tłuszcza,
A każdy chmurnem spojrzeniem aż bodzie.
Tylko pan rządca ma uśmiech na twarzy,
W imieniu pańskiem staremu Łagodzie
Czyni uwagę, że źle gospodarzy:
Że śpichrze starym pobudował gustem,
Że na stodole mech kwitnie na strzesie,
Że się rozwala stary młyn z upustem,
Skąd dziedzic straty niezmierne poniesie,
Że wodospustów na łące niewiele,
Które się kopią jak najlżejszą pracą,
Że na ugorze rośnie chwast i ziele,
Skąd jasny wniosek, że rolnik ladaco.
Pióro jak wicher po papierze lata,
Kreśląc Łagody gospodarcze winy;
Rosną jedności, dziesiątki, seciny,
Każda na pieniądz oblicza się strata;
Rosną tysiące w straszliwej postaci,
Które Łagoda gotówką opłaci.
A jeszcze czynsze — to już swoją drogą,
Jeszcze we włości skrzywdzeni być mogą,
Co jedno z drugiem obliczywszy szczerze;
Z dziesięć tysięcy srebrników się zbierze.
— Tak — mówił rządca — źle, panie Łagodo!
Ulepszyć dworek miałeś dosyć pory.
Patrzaj, jak drudzy gospodarstwo wiodą!
Czemu nie brałeś przykładu z Zabory?
Ulepszył grunta, wyprowadził rowy,
Osadził drogi topolą i brzozą:
Zda się o miedzę, wszak grunt jednakowy,
U niego zboża do stodół nie zwiozą,
Taki urodzaj! — a co u waszmości?
Kąkol i chwasty, kamienie i trawy.
Musisz zapłacić, co się słusznie rości,
Potem łaskawie wyruszyć z dzierżawy.

Swojego dobra nasz dziedzic już dłużej
W podobne ręce powierzać nie może;
Wiedząc, że sąsiad, lepiej mu usłuży,
Tutejszy dworek dał panu Zaborze.
Co się mnie tyczy, ubolewam srodze,
Że z niedobremi wieściami przychodzę..
Za to wszelkiego dołożę starania,
Ażeby ulżyć waszmościnej doli;
Memu bliźniemu, wedle przykazania,
Uczynię wszystko... co możność pozwoli.
Dziesięć tysięcy, toć niemała kwota,
Wedle rachunku winieneś ją kasie;
Niech to waszmości głowy nie kłopota.
Może nie jesteś teraz przy zapasie,
To poradzimy i na to, jak możem.
Na wszystko sposób najkrótszy przywiodę:
Coś gotowizną, coś weźmiemy zbożem;
Słyszę, masz niezłe koniki i trzodę,
Wszystko w rachunku przyjmiemy, strącimy,
I dopomożem, i będziemy radzi,
Możesz we dworku przemieszkać do zimy,
Bo pan Zabora wójta tu osadzi.
A zimą wszędzie przytułek znajdziecie,
Nie umrze z głodu twojej dziatwy rzesza:
Są miłosierne zakłady na świecie,
A na Niebiosach jest Ten, co pociesza.
To mówiąc rządca łagodnie i z cicha,
Słodkiem obliczem k'niemu się uśmiecha.

XVIII.

Stary Łagoda zrozumiał nieszczęście,
Zadrżał z ohydy i zacisnął pięście;
Ogniem zabłysły przyciemniałe oczy,
A krew gorąca serce mu oblała,
Ze starej twarzy ledwie nie wyskoczy,
A gniew na czole trzęsie się i pała.
Ale rozważył i obliczył pilno

Swoje ubóstwo i starość bezsilną;
Obliczył, czego nie czuł do tej pory,
Potęgę możnych i chytrość Zabory.
Nierówna walka! — zamarzył jak we śnie,
Zwisła ku piersiom skłopotana głowa,
Na jego oczach błysła łza chwilowa:
O dzieci moje! — wyjęknął boleśnie.
Lecz krótko tryumf trwał nieprzyjacieli,
Łzę w jego oczach raz tylko widzieli;
Spojrzał ku Niebu i ducha pocieszył,
Spojrzał na wrogów i wzgardą ich przeszył.
Czy odrętwieniem bolesnem dotkniony,
Czy biorąc święte pocieszenie w wierze,
Pomimo płaczu i dziatwy i żony,
On zimnem okiem patrzał na łupieże.
Dał sobie wydrzeć całą własność świętą,
Krwawo dla dziatek zebrane grosiwo;
Patrzał z uśmiechem, kiedy ręką chciwą
Pańską pieczęcią stodoły zamknięto.
Ciężej mu było przenosić daleko
Głód własnej dziatwy, gdy się widzieć zdarza,
Jak z jego trzody udojone mleko
Dawano chartom pana komisarza,
Kiedy wprzęgano do cudzego pługa
Dwa siwe woły, co bywało pieści,
Nawet raz jeden Zaborzyński sługa
Zelżywem słowem kiedy go bezcześci.
Ale urazę odrzucił na stronę,
Ani się dąsa, ani gniewem miota;
Choć ręce słabe, barki pochylone,
Dostojnie dźwiga krzyż swego żywota.
Pogodne czoło, obojętne oko
Nie zdradza żalu, ni brzydkiej rozpaczy,
A jeśli cierpi, to gdzieś tak głęboko,
Że nikt z żyjących tego nie zobaczy.
Gdy mu służalcza uprzykrza się rzesza,
Dziatwę utula i żonę pociesza.

Wmawiał, że zawód rozpoczyna świeży,
Udawał młodość i siły ochocze,
I gdzieś daleko od Niemna wybrzeży
Wziął starą chatę i gruntu półwłocze.
Odarty z grosza, z obory i stada,
Lecz nikt nie powie, że mu duch upada.
Świetny pan rządca, gdy się w mieście zdarzy,
I pięknym cugiem przejeżdżać się raczy;
Ale Łagodzie coś bardziej do twarzy
Pogodne czoło i kostur żebraczy.
Choć dziwno zda się przyrównać do miary:
To pan wielmożny, a to nędzarz stary.

XIX.

Łagoda nie chciał kłaniać się Zaborze,
Nie czekał zimy w swoim dawnym dworze;
Z żoną i z dziatwą i z kilku talary
Poszedł w świat obcy, na nowe kłopoty.
Do starych panów wyszedł Marcin stary,
Żegnał ich z płaczem za wiejskiemi wroty;
Zeszli się insi dawniejsi poddani,
Niewiasty, dzieci, gospodarze z wioski.
Przypominali ich pobyt ojcowski,
Całując ręce i pana, i pani,
Dziękując prostą od serca wymową
Za chleb, sól pańską i za dobre słowo.
I za dawniejszą pańską zapomogę
Niosą podarki jak ofiarę świętą:
Ten garść orzechów dla dziatwy na drogę,
Drugi plastr miodu, co wczora podcięto,
Inszy w ofierze niesie chleba kawał,
Życząc, by nigdy nędzy nie doznawał.
A choć wszystkiego wypowiedzieć trudno
Prostemi słowy i mową prostaczą,
Znaczno na sercach żałość nieobłudną,
Można tym oczom zawierzyć, gdy płaczą.
Stary Łagoda doświadczył naocznie;

Jak go żałują kmiotkowie ubodzy;
Z dobrymi ludźmi gdy się żegnać pocznie,
Już łez serdecznych nie trzymał na wodzy.
I ciężki kamień z serca mu opada,
Gdy go wieśniacy pobłogosławili.
Panie Zaboro! masz głowę nielada,
Lecz w życiu takiej nie doczekasz chwili!
Bo nie każdemu i nie w każdym czasie
Tak piękną chlubą napełnia się dusza,
Jaką czuł starzec, gdy z wioski wyrusza
W starej sukmanie, w skrzypiącej kolasie.
Ujrzał nad grobem uwieńczone dzieło,
Ujrzał świadectwo swoich bliźnich grona,
Że jego życie nie marnie zginęło,
Że jego zasług nie próżna skarbona;
Wyższym go ludzie uczynili prości
W obliczu Boga, w obliczu ludzkości.
Spojrzenie wzniosłej i cnotliwej pychy
Rzucił raz jeszcze ku wiejskiej zagrodzie,
Skrył się za górą jego wózek lichy,
I nie słyszano więcej o Łagodzie.

* *
*

XX.

Nie sądźcie, moi czytelnicy mili,
Że na bezdroża zuchwale was wiodę,
Żeśmy z bitego gościńca zboczyli,
Kreśląc Zaborę i starca Łagodę,
O kęsie chleba rzecz mając w zamiarze,
Żem się zagwarzył i Bóg wie co gwarzę.
Oto daleka nadniemieńska wioska
Po to się kreśli, byśmy prawdzie wierni,
Łacniej śledzili pierwszy zaród kłoska
Do chwili żniwa, do snopa na ścierni.
Raczcie przebaczyć, że nieczyste pole,
Że obok kłosów — porosły kąkole.

Więc jako czynią na polu żniwiarze.
Jedno i drugie na snopki rozdzielę.
Jedno i drugie w oczy wam pokażę.
Byście poznali, co chleb, a co ziele,
Byście, nie mogąc rozeznać z oddali.
W chwastach zbożowej trawki nie zdeptali.
Chleb — wielkie słowo w Niebie i na ziemi.
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli.
Przed Chlebem Życia truchleją Anieli.
Człek go pożywa usty pobożnemi.
A w ziemskim chlebie jest pokarm i siła.
W chlebie Bóg życie doczesne przysyła.
Z chleba bierzemy i żywi i zdrowi.
Zbawienie ciału, zbawienie duchowi.

XXI.

Lecz biada temu, kto szydzi z pokuty.
Kto Chleb zbawienia świętokradzko spożył!
Pokarmem życia na duszy otruty
Pod swemi stopy sam przepaść otworzył.
O ziemskim chlebie też same są wnioski:
Jeśli nie wierzysz, przychodniu z daleka,
To zajdź na Litwie do najpierwszej wioski
I spytaj o to najpierwszego człeka.
Tam ci naocznie pokaże lud boży
Chleb, co się sporzy i co się niesporzy:
Jeden posila, a drugi cię zdradnie
O głód przyprawi i obdarzy bólem:
Jeden być musi zatruty kąkolem.
A drugi czysty, któż zresztą odgadnie?
Zdaje się zboże czysto i wyniosło
W blizkich zagonach wedle siebie rosło.
Razem doznało i deszczu, i suszy,
Razem pożęte, zwiezione przed burzą,
Tak samo w żarnach na mąkę się kruszy,
A przecież zdrowiu niejednako służą:
W jednem być muszą kąkolu owoce,

Lub krzywda ludzka, albo łzy sieroce.
Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
Nie kupuj w mieście ani radź sąsiadom,
Nie jedz go w ucztę ani w dni powszednie:
To chleb przeklęty, czuć od niego piekłem.
Spytaj Zabory — jeżeli nie zblednie,
To się pokaże, że kłamstwo wyrzekłem.

XXII.

Późną jesienią wracałem z podróży,
A był to wieczór i deszcz chłosnął duży;
Przez całą odzież, po twarzy, po ręku
Gdy zdrojem chłodna opłynęła woda,
Iskierka ognia błysnęła w okienku,
Dach się nasunął, — to była gospoda.
Gospody nasze, jak wszystkim wiadomo,
Klecone z bierwion, potrząśnięte słomą,
Nędzne postacią i dymem, i wrzaskiem,
Każą się we dnie omijać z daleka;
Ale w noc ciemną swych ogniów odblaskiem
Jakoś w podróży orzeźwiają człeka.
Jakoś ci głowa weselej zamarzy,
Jakbyś sam siebie odzyskał po stracie;
Bo zatęskniony do człowieczej twarzy
Chciałbyś rzec komuś: „Dobry wieczór, bracie!“
Cóż gdy na dworze ciemno, zawierucha,
A tutaj dobrem słówkiem się odezwą,
A lud zebrany rozprawia na trzeźwo,
A komin ciepłem ogniskiem wybucha?
Ni stąd ni zowąd chętka się nawinie
Przepędzić nocleg w ubogiej mieścinie.
W takiej gospodzie, choć do domu blizko,
Stanąłem tedy na noclegowisko.
Nie chcąc się nudzić w izdebce dla gości,
Wszedłem do izby kipiącej w rozgwarze;
Tam pili miodek jacyś ludzie prości,
Z dalekiej strony wiejscy gospodarze;

Siadłszy przy ogniu, co wesołość budzi,
Taki słyszałem rozhowor tych ludzi:

XXIII.

Bądź zdrów, Szymonie! Pij wesół Marcinie!
Tak... tak... starego paniska nam szkoda!
Gdzie się to stary obraca Łagoda?
Bóg raczy wiedzieć — ot marnie gdzieś zginie.
Widzisz!... odarli człeka do ostatka
I w świat puścili — aż strach, panie kumie!
Co jemu zagon i czynszowa chatka?
Wszakże on sochy udźwignąć nie umie;
A gdyby umiał, to tylko zastęka,
Nie jego siła, nie jego w tem ręka.
Co to? wiek cały przebył po szlachecku,
Jak tu przywyknąć w ubogiej chudobie?
A w lat sześćdziesiąt — to siły jak w dziecku,
Czuję to, kumie... czuję sam po sobie.
— Co to Szymonie! Bóg dobry i basta!
Przed nim nie uda kłamliwy potwarca.
Już dzięki Bogu i dziatwa podrasta,
Coraz pocieszy i wyręczy starca.
Niech tylko rękom powodzi się praca!
Niech będzie szczęśliw, kędy się obraca.
— Dziś, gdyby do nas zawitał na chwilę, —
Rzekł drugi wieśniak przyparty do ściany:
Swojego dworku, gdzie przeżył lat tyle,
Aniby poznał — takie tam odmiany!...
Prawda, że z nami bywa czasem kręto,
Za to Zabora wszędzie zysk wyciśnie,
Bo gospodarzy pięknie i korzystnie.
Ot nowe śpichrze budować zaczęto,
Nowemi gonty pokryto dom cały,
Morgują pola i kopią kanały.
Na przyszłą wiosnę zawiną się dzielnie:
Poczną pod wioską stawiać wietrzne młyny,
Budować z muru piętrowe gorzelnie,

Sprowadzą wielkie woły z Ukrainy,
Co orać będą i pracować latem,
W zimie sprzedane — grosz spłacą dukatem.
— Byłem — rzekł inszy — niedawno we dworze
Poprosić pana, by zwolnił od stróży.
Sam pan Zabora był w dobrym humorze,
Jął się przechwalać, że mu szczęście służy:
A co? powiadał, gospodarka tęga?
Niech sobie jęczy i krzyczy hołota,
Nie tak jak dawniej — stary niedołęga
Nie znał, że dworek to jabłko ze złota.
Bywało włościan żałuje i pieści,
I cóż mu wkońcu dopomogli chłopi?
Cóż tu zarobił przez latek trzydzieści?
Czeczotkę z lasu i torbę z konopi.
Ot i w tym roku u pana Łagody
Sto nędznych kopek zebrało się w gumnie;
Patrz, na rok przyszły ile będzie u mnie,
I bez modlitew, bez święconej wody!
On starożytnym zwyczajem narodu;
Poświęcał kłosy, a orał niedbale,
Latem przy żniwie więdniał na upale,
Sprzedawał za nic i umierał z głodu.
Ja się nie wdając w miłosierdzie Boże,
Pójdę o własnej gospodarskiej sile,
Pięć razy pole pod żyto poorzę,
A będzie chleba dziesięć razy tyle!
— Oj, chleb Zabory! oj chleb, panie bracie!
Niech Pan Bóg broni takiej gospodarki!
Mnie dano żyta ze dworu dwie miarki,
Ot i choroba zjawiła się w chacie,
Że już i końca nie wiedziałem lichu! —
Tak mówił Szymon, szeptając po cichu —
Naprzód zasłabła dziecina z kolebki,
Potem parobczak; a gdy ten się dźwignie,
Zaniemógł syn mój jak dębina krzepki,
Ot drugi tydzień jak leży w malignie,

Ja do doktorów — co tam doktorowie!
Jakiemiś proszki napróżno męczyli;
Ja do znachora — daj Boże mu zdrowie!
Całą chorobę odgadnął po chwili.
  Może to z wiatru? pytam u znachora,
Może złe oczy? A broń Jezu Chryste!
Pewnie was chlebem nakarmił Zabora;
W tym chlebie duchy gnieżdżą się nieczyste.
Dajcie tu kęsek — ja zło wyprowadzę. —
A gdy go żegnać i szeptać coś pocznie,
To cóż powiecie? chleb sczerniał na sadzę,
Po nim robactwo pełzało widocznie.
Ho! znam się! znam się! przepadnij moc czarta!
Słuchaj, Szymonie, — tak mi znachor rzecze: —
To czyjaś własność niesłusznie wydarta,
A to robactwo, to są łzy człowiecze.
Nie bój się! zdrowie choremu powróci!
Lecz chleb ten spalcie do jednej okruchy,
Inaczej wszyscy będziecie zatruci,
Lub was nieczyste opanują duchy. —
Więc ja do miasta następnej Niedzieli,
Kupuję żyto i wiozę do młyna;
Przy nowym chlebie wszyscy pozdrowieli,
I syn mój biedny zwlekać się poczyna.
  Tak Szymon gwarząc zdarzenie ciekawe,
Pokiwał głową i zapił tę sprawę.

XXIV.

  — Słyszałem o tem — rzekł inszy z wieśniaków:
Mówiłem żonie, że zaklęte zboże;
Lecz ona prawi: Wszędzie chleb jednaków.
A gdzie ja wezmę, jeśli nie we dworze?
Na dwornem polu pracuje gromada
Od poniedziałku do samej soboty,
Człek nie ma czasu do swojej roboty,
Cóż więc dziwnego, że w polu przepada?
Jeśli jest jakie sumienie na świecie,

Niechże Zabora przekarmi nas przecię! —
Tak nierozważna mówiła kobieta,
Poszła do dworu i przyniosła zboże,
I wnet się do nas nieszczęście przypyta,
Jakaś niezgoda, dopuszczenie Boże.
Kobiety, dzieci, a nawet ja z bratem,
Pan Bóg wie za co, nuż kłótnie i swary;
Szatan się cieszył — a co idzie za tem,
Znikła zamożność i porządek stary.
Mówię do brata: Posłuchaj mię, Janku,
Niechaj się twoja nienawiść ostudzi,
Co to za korzyść kłótnia bez ustanku?
Obraza Boga i pośmiech u ludzi.
Więc się rozdzielmy. Rozdzielmy się, powie,
Wszakżeśmy bracia, nie jacyś wrogowie. —
Poszedł do dworu, wziął półwłocz pustoszy,
I nuż się dzielić — bo szatan rozpędza.
Był jakiś zapas dobytku i groszy,
Poszło na dwoje — u obudwóch nędza!
A przy podziale, gdyśmy oba ślepi,
Wedle zwyczaju chleb na pół złamali,
Mówiąc do siebie: Jak się chleb nie zlepi,
Tak my pospołu nie będziem żyć dalej...
To w kęsie chleba — czy dacie mi wiarę? —
Jakieś robactwo znalazło się szare!
Wtedy uczułem, że czegoś się boję,
Niedobrej wróżby — i wyszło na moje.
Przy spólnej pracy, za dawniejszej pory,
Człowiek się łatwiej nakarmił, przyodział;
Dziś my nędzarze! — a to chleb Zabory
Przywiódł do domu niezgodę i podział.

XXV.

— Ej, prawda! prawda! — rzekł parobczak młody:
W chlebie Zabory nieszczęście się chowa.
Ot zapomniałeś niedawnej przygody:
Pamiętasz Hannę? i piękna, i zdrowa,

W szesnastym roku — o Boże uchowaj!
Miała iść za mąż, cieszyła się, śmiała;
Pan miarkę żyta dał jej na korowaj.
Otoż nieboga w dzień ślubu skonała.
A tamten żebrak o drewnianej nodze!
Zdrów jakby ryba, choć staw do naboru.
Pamiętasz? z wioski powlókł się do dworu,
Dostał kęs chleba — i umarł na drodze.

XXVI.

— Znają dokoła Zaborzyńskie zboże; —
Znów mówił Szymon, nad czarką schylony.
Zabora w cudze posyła je strony,
Bo doma nigdzie wyprzedać nie może.
Tam nasze żyto okrzyczano wszędzie,
Tu w wielkiem mieście i znaku nie będzie.
Tu między ludźmi niezgód co niemiara,
Tu pełno śmierci, choroba się szerzy,
Tu ludzie mędrsi, a słabsza ich wiara,
W zaklęte ziarno tu nikt nie uwierzy.
Nie tak jak w naszem miasteczku targowem!
Onegdaj kupiec spotkał mię znajomy,
Dawaj gawędzić to o tem, to o owem,
O urodzajach i ziarna, i słomy.
— No! — mówił do mnie — niech ja marnie zginę!
Dziwnego pana wy jesteście chłopi:
Garść jego zboża sypnij na wicinę,
Pewno się cała wicina zatopi.
Zdaje się rządny, gospodarz wyborny,
Lecz z nim handlować nikomu nie radzę:
Ciężki na rękę, grosz jego niesporny,
Musi mieć serce powalane w sadzę! —
O! panie bracie, mają rozum żydzi,
Zdaje się prostak, a jak rzeczy widzi!

XXVII.

Taką gawędę słyszałem w gospodzie,
I takem sobie rozmyślał w podróży:

Czemu kęs chleba, wydarty Łagodzie,
Zdrowiu ludzkiemu i szczęściu nie służy?
Czemu, gdy w jakim ukaże się domu,
Kłótnię, chorobę lub śmierć niesie komu?
Za co niewinnym trzeba karę znosić,
Jeżeli żyją u Boga w zasłudze?
Czy własnych grzechów na duszy nie dosyć,
Aby opłacać przewinienia cudze?
Czemu Zabora wesoły, bogaty?
Czemu tak bujnie wyrasta mu niwa?
A biedny rolnik z wyrobniczej chaty,
Jedząc chleb jego, nieszczęście spożywa?
Ja w mojej głowie tego nie wyjaśnię...
Karczemne baśnie — nic więcej, jak baśnie!

XXVIII.

Widziałem w mieście, jak kupcy ciekawi
Zboże Zabory chciwie obstąpili;
I myślę w duchu: Czyliż od tej chwili
Więcej tu cierpień i niezgód się zjawi?
Ale zrządzeniem tajemniczej Ręki
Sąsiedni piekarz jedną furę bierze,
Wypiekł na chleby — wziąłem dwa bochenki,
I chleb zaklęty jadłem na wieczerzę.
A Pan Bóg, karząc Swej woli bluźniercę,
Łoże niemocy zgotować mi każe,
A ten, dla kogo niosłem bratnie serce,
Bolesne na mnie jął ciskać potwarze,
I chleb, nieczystą pokalany siłą,
Krwawemi łzami oblać przychodziło.

XXIX.

Dziwne są drogi Opatrzności Bożej,
Gdy grzechy chłoszcze, a zasługę płaci!
A my zuchwali bluźnimy najsrożej.
Cierpim za naszych ojców i spółbraci:
Może w ten sposób miłosierna rada
I nasze winy na ludzkość rozkłada,

By grzechów świata zgładzić szereg długi
Spólnem cierpieniem, spólnemi zasługi?
Czy może, pełniąc za bliźnich ofiarę,
Własnej zasługi dopełniamy miarę?
Bóg raczy wiedzieć — ale zawsze biada:
Bo obcy ciężar wziął na Swoje ramię,
Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,
Kto z jego ręki kęs chleba rozłamie,
Bo tutaj każda płaci się okrucha
Boleścią ciała lub spokojem ducha.
  Czy pan Zabora, gdy oko zamruża,
Ma sen spokojny? czy go co przepłasza?
Spytaj się o to u Anioła Stróża,
Jemu wiadomo — a to rzecz nie nasza.
Lecz strzeż się chleba wydartego zdradnie,
Nie bierz, gdy pieniądz Zabora ci poda:
Boć najniewinniej na głowę upadnie
Ciężka łez kropla, co wylał Łagoda.

Listopad 1854. Wilno.

FRAGMENTA
O FILIPIE Z KONOPI.
Z NOTATY NA OKŁADCE STAREGO KALENDARZA SPISANE RYTMEM.

FRAGMENT I.

Niechaj grecki Homerus albo rzymski Maro
Kleci o Trojańszczyźnie epopeję starą;
Niech Tasso głosi dzieje Krzyżowców pałasza,
Milton raj odzyskiwa, Baka śmierć ogłasza,
Niech jeden gra na lutni, drugi na multance,
Wszak krainy rymowej bezbrzeżne są krańce.
Niech każdy nowe rzeczy jakby z rogu sypie,
Ja zaśpiewam o sławnym z Konopi Filipie.
Muzo! (czy jak inaczej dziś twoje nazwisko)

Gdy się nadto rozpędzę, bądź koło mnie blizko,
Gdy się głowa zamarzy, gdy serce zapała,
I kiedy bredzić poczną, — niech twa rączka biała
Wodą z kastalskich źródeł głowę mi pokropi,
Ażebym się nie wyrwał jak Filip z Konopi!
Przed trzemaset latami, gdzie podolskie łany,
Był cichy dwór szlachecki, Konopie nazwany,
Czy od panów Konopków, co go założyli,
Czy od gęstych konopi, co może z pół mili
Ciągnęły się przy dworku — a że grunt niepodły,
Wyrastały wysoko niby leśne jodły,
Miały liście szerokie, miały kity duże.
Tyle o dawnym dworku i nomenklaturze;
Dość, że jego panowie, ilem zebrał śladów,
Pisali się z K o n o p i z dziadów i pradziadów.
Tam, w dniu pierwszego maja, na posłaniu grubem,
W dzień świętych Apostołów Filipa z Jakóbem,
Roku, co się od dawna w mgle przeszłości topi,
Wyrwał się z łona matki P a n F i l i p z K o n o p i.
Popatrzał na świat Boży i zacisnął pięście,
I skrzywił się, jak gdyby zobaczył nieszczęście,
I wrzasnął w niebogłosy na nutę sierocą,
Jakby pytał z boleścią: A jaż tutaj poco?
I długo hałasował na kształt wojewody,
Co, przybywszy w podróży do nędznej gospody,
Złorzeczy gospodarzom, aż trzęsą się ściany:
Dlaczego tutaj pałac nie wybudowany?
Musiał wreszcie pomyśleć: Cóż po tym zapędzie?
Gdy nie można inaczej, niechaj i tak będzie!
Wydał jakieś jęczenie albo uśmiech głuchy,
I usnął zawinięty w matczyne pieluchy.
W tydzień zebrano gości, jak się zwykle zdarza,
Młodzian ochrzcon Filipem wedle kalendarza,
I łaskawi sąsiedzi popili się zdrowi,
Życząc dobrych sukcesów panu Filipowi...

. . . .

FRAGMENT II.

Bogdajby to na świecie być takim jak drudzy!
Stateczni obyczaju i zwyczaju słudzy,
Których myśli nie idą jakąś dziwną drogą,
Lecz na ubitych ścieżkach utrzymać się mogą,
Tacy nie będą nigdy samotnymi w tłumie,
Oni świat zrozumieją, a świat ich zrozumie.
Zdarza się inszy człowiek, istny pieszczoch Boży,
Któremu gdy myśl nową Pan do serca włoży,
Naprzód w czasie i miejscu trafnie go ośmieli,
I ludzi usposobi, by go zrozumieli;
A wtedy słowa jego umysły ogarną,
I pięknego zasiewu posypie się ziarno.
Lecz znowu się zdarzają pomiędzy tysiącem
Ludzie z szaloną głową a sercem gorącem,
Co, nie bacząc, gdzie mówią lub mówią do kogo,
Przekonań swego serca powstrzymać nie mogą.
Niedość silny, by zwalić starą postać rzeczy,
Taki człek wszystko zbija, wszystkiemu zaprzeczy;
W namiętności społeczne, burzą rozpędzone,
Dmucha jak przeciw wiatru, by w inszą wiał stronę;
Napróżno z całej siły zbiera w sobie ducha,
Biedne piersi mu pękną, a nic nie wydmucha!
A śmiechuż będzie, śmiechu z biednego szaleńca!
Gawiedź palcem wskazuje, przechodzień się znęca:
Słyszycie, co on roi? patrzcie, kędy tropi!
Filip z Konopi!...

. . . .

FRAGMENT III.

U Ojców Jezuitów, w miasteczku Ostrogu,
Uczył się młody Filip służyć Panu Bogu,
Mówić mądrą łaciną, czytać rzymskie prawa,
Słowem — tego wszystkiego, co szlachcie przystawa.
Tam poczęli mistrzowie poznawać go ściślej:
Myśli bywało... myśli... i nic nie wymyśli;

Do nauk brał się nieźle, lecz widzą ojcowie,
Że gdy o co zapyta lub myśl jaką powie,
Tak mu się coś nie wiedzie wpośród szkolnej rzeszy,
Że lub zgorszy bluźnierstwem, lub głupstwem rozśmieszy!
A że był drobny wzrostem i wielce ruchawy,
To bywało aż skoczy ze studenckiej ławy,
Wybieży w środek szkoły i gada, i gada,
I rękoma wywija, aż trąca sąsiada,
A oczy aż się iskrzą — taki w mowie zapał;
Koniec końców — rozśmieszył albo plagi złapał.
Na przykład: Ksiądz Retoryk raz uczył swe ucznie,
Jak trzeba pięknym stylem wysłowiać się sztucznie,
A wtedy rej łacina wiodła w polskiej mowie,
I wielce byli w modzie Olimpu bogowie,
Więc mówił ksiądz Retoryk: Trzeba zażyć pracy,
A nie gadać po polsku, jak mówią prostacy,
Ale umieć łacinę i przypiąć co chwila
Sententionem z Flakka lub wierszyk z Wirgila,
Peryody układać okrągłej budowy:
To jest właściwe signum eleganckiej mowy.
  Powtóre... uważajcie... że mówię: powtóre!
Conticuere omnes! podnieść uszy w górę!
Otóż tedy, powtóre: niechaj w twojej mowie
Najczęściej olimpijscy panują bogowie.
Zamiast mówić: ktoś mądry, dobry do porady,
Nazwij go oblubieńcem bogini Pallady;
Nie powiadaj: człek mężny, bo tak mówią prości,
Lecz powiedz, że jest pełen marsowej dzielności;
O kwiatach trzeba mówić, że to dzieci Flory,
Zboże zaś w pięknej mowie to Cerery zbiory;
Na jabłko, nie mów: jabłko, lecz owoc Pomony.
A tak wszyscy poznają, żeś człek wyuczony!
  Filip na szkolnej ławie dosiedzieć nie może:
Nie! — krzyknął — nie masz zgody, księże profesorze!
Jeden Bóg stworzył kłosy, i jabłka, i kwiaty,
Na co tu Ceres, Flora, bóstwa starej daty?
Wszak Pan Bóg zakazuje wzywać bogi cudze!

A że słynie ktoś mężnym w krajowej posłudze,
I jeżeli konieczna retoryka taka,
To już lepiej Tarnowskim nazywać wojaka,
Najlepiej bohaterem nazwać bohatera!
Ksiądz Retoryk brwi zmarszczył, jak Jowisz Homera
A mszcząc się uchybienia mistrzowskiej powagi,
Skinął na starszych uczniów — i Filip wziął plagi.
A srogich bóstw Olimpu niewinna ofiara,
Gdy po ciężkiej przestrodze pocieszyć się stara,
Każdy nóż naigrawania do serca mu topi:
Nie wyrywaj się więcej, Filipie z Konopi!
Drugi raz w Wielki Piątek jezuickie żaki,
Aby dać pobożności gorliwej oznaki,
Więc za to, że Żydowie umęczyli Boga,
Chciały wygrzmotać kijami rabina z Ostroga.
Hurmem tedy pobiegły ku jego gospodzie
(Takowe nabożeństwa były wtedy w modzie).
Dalej tłoczyć się, krzycząc wokoło siedziby,
Zaświstały kamienie, zabrzęknęły szyby,
Wysypał się rój Żydów w hałaśliwej tłuszczy,
Ktoś jeden, potem drugi do bitwy poduszczy,
I dwa groźne obozy skupiły się z blizka,
Każdy złorzeczeniami i kamieńmi ciska;
Pogruchotano kije — zwarto bój na pięści,
A żakom jezuickim snadź Bellona szczęści:
Bo tamtych większa liczba, tych męstwem ośmiela,
Pokonały wrzaskliwe hufce Izraela;
Krew nawet popłynęła — już starsi przypadli.
Pienią się zapaśnicy, biją się zajadli.
Wtem, gdzie bitwa najsroższa, gdzie najgęstsze ciosy,
Wpadł Filip, z cycerońska krzycząc w niebogłosy:
Stójcie, bracia! co widzę? cóż to w waszej głowie?
Wszak Chrystusa męczyli ich dawni przodkowie!
Cóż oni temu winni? Swawole! swawole!
Na bezbronnych!... na słabych!... O! ja nie pozwolę!
I wpadł w środek motłochu — a tam kupy wrzące
Nuż tedy grzmotać pięśćmi swojego obrońcę:

Bo tego, co on gadał, żaden nie dosłyszy,
Mniemali, że zachęcał swoich towarzyszy.
Zwijał się biedny Filip, padł na ziemię twarzą,
I gdyby nie starosta z ratuszową strażą,
Co przyszedł spędzić motłoch, pewnie dałby gardła,
Tak się zawziętość judzka na niego wywarła.
Został jeden na placu — pierzchli towarzysze;
A ksiądz Rektor, nadszedłszy, co widzi, to pisze:
Więc jako naczelnika ulicznej swawole,
Znów skazał na przykładne ukaranie w szkole.
A co tam było żartów! a śmiechów bez końca,
Że to wódz Izraela, że Żydów obrońca!
Biedny Filip z Konopi! za dobre zamiary,
Że się wyrwał nie w porę, aż trzy odniósł kary!...
. . . .

FRAGMENT IV.

Czyż wam dalsze przygody Filipa powtórzę?
Nie spisaćby ich wszystkich na wołowej skórze.
Wyszedłszy na młodziana, pracuje jak może,
Bo służył i rycersko, i na pańskim dworze.
Zawsze mu się nieszczęście jak z rękawa sypie:
Nie wyrywaj się naprzód! dobrze ci Filipie!
Czyń, jako czynią drudzy, wierz, jak każdy wierzy! —
Tak mu często radzili towarzysze szczerzy;
Ale niełatwa rada, kto nieszczęścia dziecię,
Kto Filipem z Konopi zrodzon na tym świecie.
Kiedy trąba bojowa na wojnie zazgrzyta,
On wyrywa się naprzód i pali z kopyta,
Nie bacząc, gdzie jest odsiecz — czy koledzy biegą,
Wrąbie się w środek hufca nieprzyjacielskiego;
Nim nadbieży szczęśliwa pomoc od współbraci,
Zawsze gęstemi rany swą płochość przypłaci,
A jeszcze mu nałaje obozowa władza,
Że im szyki pomieszał, że w planach przeszkadza.

Gdy insi brali łupy lub wojny honory,
On nigdy się nie stawił, bo zawżdy był chory;
Wtenczas, gdy pole bitwy hojnie krwią pokropi,
Wyrywał się z chorobą, jak Filip z Konopi.
Raz z hufcy tatarskiemi jak lew szedł w zawody,
Pan chorąży przedstawić miał go do nagrody;
Lecz Filip, jak mu często pomylić się zdarza,
Zaskarżył chorążego do regimentarza.
Skarga była prawdziwa, jak to wiedzieć możem,
Lecz chorąży przez zemstę mianował go tchórzem,
Zaświadczył, że go znalazł za wojskiem na ziemi,
(A pan Filip w tej chwili czuwał nad rannemi).
Wyrwał się biedny Filip jak raz w samą porę,
Zaskarżać naczelnika, opatrywać chore!
Służył, rzuciwszy wojsko, u dworskich podwoi.
Pan mówi: Bracia szlachta, przyjaciele moi,
Na sejmiku zakrzyczeć, niepozwolić całkiem,
Aby skarbnik piltyński był u nas marszałkiem.
Ja dzisiaj waszych wotów domagam się prosto
Za moim przyjacielem, rzeczyckim starostą!
Tedy krzyczą dworzany, szlachta zaściankowa:
Niechaj żyje starosta! niech skarbnik się schowa!
Kto nas dziś przekreskuje, jesteśmy ciekawi!
A kto inaczej trzyma, z nami się rozprawi!
— Jakto! czy my nie szlachta? czy poddani chłopi?—
Zawołał wielkim głosem pan Filip z Konopi: —
Prawda, żem na twym chlebie, mości wojewodo!
Ale mnie na sejmiku wyższe względy wiodą.
Syn Rzeczypospolitej, znam krajowe prawa,
I za tym podam kreskę, kto lepszym się zdawa.
Pan skarbnik ma i serce, i głowę nielada,
Toć jemu marszałkować sejmikiem wypada.
Choć mi szyję zetnijcie, póki serce żywe,
Ja dla pana starosty rzucę negatywę:
Tak mi każe sumienie! — Więc po takiej sprawce,
Pan go wygnał ze dworu, a dworscy szubrawce
Urągali się nad nim, że ma zmysły chore,

Że się wyrwał ze sumieniem jak raz w samą porę,
Istny Filip z Konopi!
Więc głodno i pieszo
Spieszył Filip na sejmik, kędy wszyscy spieszą;
Przekrzyczał, przekreskował i do tyla sprostał,
Że marszałkiem pan skarbnik piltyński pozostał.
Ale skarbnik piltyński, nic tego nie świadom,
Kiedy ucztę dziękczynną wydawał sąsiadom,
Kiedy szlachtę po uczcie hojnie winem kropi,
Nie zaprosił na obiad Filipa z Konopi.
Filip tedy w gospodzie ochoty zażywa,
Zajada kawał chleba, pije szklankę piwa;
A choć w duchu był wesół, lecz drudzy się śmieli,
Że porzucił sztandary dworskiej klienteli.
I dlaczegoż porzucił? że jak Filip czysto
Wyrwał się w samą porę ze sprawą ojczystą!
Ze śmiechu poszła bitwa — dzięki szerpentynie,
Dostał kreskę przez wąsy, krew z czoła mu płynie;
Więc złorzecząc sejmikom, w nędznej alternacie
Osiadł Filip z Konopi w rodzicielskiej chacie...

. . . .

FRAGMENT V.

Do chaty, jak wiadomo, trzeba gospodyni;
Więc objeżdża sąsiady i konkury czyni.
Choć srodze poraniony, chociaż niebogaty,
Dobrą mu niespodziankę naraiły swaty.
Była panna posażna z domu Doliwitów,
Skojarzenie i piękne a pełne zaszczytów.
A dziewczę takie hoże, takie raźne, słyszę,
Że mu szczerze radzili dobrzy towarzysze:
Bo dwór pana Filipa podupadał znacznie,
Bo on sprawę domową zaniedbał niebacznie.
A z owej konjunktury w małżeńskie ogniwa
Na szlachecką chudobę grosz i zaszczyt spływa.
Więc starym obyczajem poczęto konkury;

Można było sukcesa przewidywać z góry:
Pan ojciec krew żołnierską spodobał w Filipie.
Pani matka za skromność pochwały mu sypie.
Tylko bieda z dziewczyną — widział jak na dłoni,
Że się widocznie lęka, że widocznie stroni,
Że siedzi zadumana, pokryjomu wzdycha,
Smutnie główką pokiwa i łzę otrze z cicha.
Przykro patrzał pan Filip na ten znak niemiły,
Bo jej oczy nie żartem do serca się wpiły.
Może kocha innego — pan Filip się biedzi.
  Nie uważajcie na to! — cieszą go sąsiedzi —
Alboż to młode dziewczę jest panią swej woli?
Alboż może folgować swemu sercu gwoli?
Wypłacze się, przetęskni i z wesołą twarzą
Z tym pójdzie do ołtarza, z kim rodzice każą.
Zresztą, gdyby ten środek zdał się za surowy,
To można spowiednika użyć do namowy.
Wszak na tem Polska stoi!
                    Wstydź się, panie bracie!
Czyż sercu człowieczemu już woli nie dacie?
Czyż mam młodą małżonkę zakowywać sidły?
Gwałtem porywać brankę, jak Tatar obrzydły?
Razem rękę i serce! inaczej nie biorę!
  Ot i z sercem wyskoczył jak raz w samą porę!
Ale trudno poradzić, gdy się głowa stropi.
  Upamiętaj się waszmość, Filipie z Konopi! —
Tak go sąsiad ofuknie: Czas w głowie mieć olej!
Wybrałbyś piękny posag, niż te brednie, wolej.
Majątek ubożeje, idą stare latka:
Bierz co daje fortuna, i ojciec i matka!
  Radzono, by się zaraz oświadczył z amory;
Ale Filip z Konopi, w tych rzeczach nieskory,
Chciał zjednać serce dziewki: nieznacznie... nieznacznie,
Już się do niej przybliża, już z nią szeptać zacznie;
A szepcą tajemniczo... coś w głowach się marzy;
Ona poweselała, on zesmutniał w twarzy.
To jedynie przyjaciół pocieszało trocha.

Że para młodych ludzi widocznie się kocha.
Całe dni z sobą razem i wieczory razem,
Pan Filip z tajemniczym coś szepce wyrazem,
Przytłumione westchnienia znać po nim co chwila,
A ona wdzięcznem okiem k'niemu się przymila.
Czasem łzą oblanemi pożegna oczyma,
I wyjeżdża z jej domu — dni kilka go niema;
Ale dokąd i poco wymyka się zdradnie?
Tego nawet najbliższy przyjaciel nie zgadnie.
  Raz powrócił k'bogdance z niebytności długiej,
Z nim przybył nieznajomy jakiś młodzian drugi;
I pan Filip na stronę ojca, matkę bierze,
Snadź już o rękę córki oświadcza się szczerze.
Tak szepcą przyjaciele, radzi w głębi ducha,
Że nakoniec natchnienia rozumu posłucha.
  Coś długo z rodzicami ciągnie się narada,
A dziewczę to kraśnieje, to jak chusta blada.
Wyszli wreszcie — a Filip z obliczem radości
Zbliżył się do młodziana, co przybył z nim w gości,
Zbliżył się do dziewicy — i rękę im poda:
  Teraz do nóg rodzicom! do nóg paro młoda!
Rodzice zezwolili!! Więc owi przelękli,
Do nóg ojca i matki nieśmiało uklękli.
A gdy ci błogosławią: Połączcie się zdrowi!
Oni upadli do nóg panu Filipowi
  Tyś anioł dwojga ludzi!!... dobroczyńca miły!
  Aż się usta sąsiadów z dziwu otworzyły,
I rzecz stała się jasna, jak żaden nie marzy:
Że Filip widząc smutek na dziewiczej twarzy,
Zbliżył się do niej szczerze, poznał niespodzianie,
Że się kocha w ubogim, lecz zacnym młodzianie,
Że ojciec na ten związek zezwolić nie raczy,
Że ona Filipowi da rękę... z rozpaczy...
Lecz to będzie ofiara — bolesna, straszliwa!...
Więc się Filip z dziwacznym konceptem wyrywa:
Choć bolało go serce, choć kochał nad życie,
Poprzysiągł uszanować to uczuć odkrycie,

I za dwojgiem kochanków, tejże samej chwili.
Wstawiał się do rodziców, którzy go lubili.
Nim upór pana ojca przełamał ognisty,
On przewoził kochankom ukłony i listy.
I póty prosi, błaga, intrygę kojarzy,
Aż na związek serc czułych zezwolili starzy.
I jakże wyszedł na tem. Żal się Panie Boże!
Stracił bogaty posag, stracił dziewczę hoże!
Nie żal go, że cichaczem twarz łzami pokropi:
Bo się wyrwał w swatowstwo, jak Filip z Konopi.

. . . .

FRAGMENT VI.

Tedy Filip, zraniony na ciele i duszy,
Już w domu zamieszkawszy, rzadko gdzie wyruszy;
Przywiązał się do pola, do łąki, do wioski,
I w pracy swe bolesne zagrzebywał troski,
Ugaszczał dobrych ludzi, uszczęśliwiał kmiotka,
Odżyła nowem życiem domowa zagrodka.
Sąsiedzi go lubili i estymowali.
— Lubo dziwak — mówiono — choć mu mózg się pali,
Ale serce poczciwe w pracy się nie nuży, —
Trzeba o tem pomyśleć, niech rodakom służy!
Tak mówili życzliwi współobywatele,
A właśnie, że ku temu i zręczność się ściele:
Bo przyszła wić królewska do wszystkich powiatów,
Aby na sejm grodzieński wysłać deputatów.
Więc zgromadził się sejmik w powiatowem mieście,
Ziechało się i panów, i szlachty ze dwieście.
Tego, owego wybrać... ktoś krzyknął w zapędzie:
Niech pan Filip z Konopi naszym posłem będzie!
Z ust do ust gdy się braciom jego imię poda,
Przyjęto na rozwagę — i stanęła zgoda.
Tak tedy, choć się w żadne urzędy nie ciśnie,
Został wybrany posłem prawie jednomyślnie.
Wdzięczen za miłość bratnią, za tyle okrzyków,
Wydał braterską ucztę dla swych powietników.

Gdzie potężnym kielichem pijąc bratnie zdrowie,
Zawołał uroczyście: Hej, mości panowie!
Niech żyje bracia szlachta! bohaterskie plemię,
Filar złotej swobody tej sarmackiej ziemie!
—Wiwat szlachta!—ktoś krzyknął powtóre, po trzecie:
Niemasz stanu, jak szlachta, niemasz w całym świecie,
Ona jedynie godna zaszczytów, swobody!
— Mylisz się! — krzyknął Filip — na to niema zgody!
Bo jest w Polsce stan inszy — chociaż nie herbowni,
Muszą stanąć ze szlachtą i staną na równi!
— Co waść gadasz, mospanie Filipie z Konopi?
Któż to równy ze szlachtą?...
— Któż to równy? — chłopi! —
Zawołał groźnym głosem, iskrząc się oczyma: —
Których Rzeczpospolita w poniżeniu trzyma.
Kiedy my bronim granic, mościwy kolego,
Oni nam chleb gotują, naszej dziatwy strzegą.
Tam, gdzie ziemię rolniczą stworzyły Niebiosa,
Wart najlepszego herbu ich topór i kosa.
Waść niby człek rycerski — a pożal się Boże!
Szabla ci zardzewiała od pradziada może.
A patrzaj na ich pługi — czyż nie więcej warte?
Jak się błyszczą, codziennem użyciem wytarte!
Oni w swojej dostojnej a skromnej postawie
Lepiej się zasłużyli niż my, w naszej sprawie:
Warci równości z nami!... Dziś, gdym ziemskim posłem,
Patrzajcie, jaki projekt do sejmu przyniosłem:
Oto moja najpierwsza kmiotków zapomoga!
Równość w obliczu prawa, jak w obliczu Boga,
Jeden Statut dla wszystkich, zobopólna rada,
Miejsce w Izbie poselskiej, gdzie szlachta zasiada.
Patrzcie, mości panowie! czysty zysk w tym względzie!
Ileż głów zdrowej rady krajowi przybędzie!
Ile serc nieskalanych! a na ich oświatę
Wszak mamy Jezuitów kollegia bogate.
Toż w Rzeczypospolitej niedziwna nowina,
Daj mu miejsce, szlachcicu, obok twego syna!

Płać podatek do skarbu, jak i kmiotek płaci!
Szlachtę nazywasz bracią, miejże tych za braci!
Ja piję zdrowie kmiotków! hej! kto ze mną pije?
Krzyczał Filip z Konopi, wyciągnąwszy szyję,
I w serdecznym zapale ducha gorącości,
Pełny kielich tokaju wyciągał do gości.
Ale szlachta zgorszona zrywa się od stołu,
I sto głosów gniewliwych zawrzało pospołu:
— Co! mój herb Paparona przyrównać do cepa!
— Co to! szlachta mniej warta niśli gawiedź ślepa!
— Co to! chłop z moim synem ma siadywać w szkole!
— Co to! ja na podatek od szlachty pozwolę?
— Piękny poseł! na sejmie stan szlachecki zgłuszy!
Hejże, mości panowie! a obciąć mu uszy!!
I sto spojrzeń Filipa przebodło surowo,
I sto szabel zabłysło nad niebaczną głową,
I każda, jedna ostrzem, druga płazem, kropi.
Zatoczył się skrwawiony pan Filip z Konopi,
Chciał dobyć karabeli — lecz padłszy jak długi,
Wywrócił stół z puhary. — Krew i wina strugi
Pociekły po podłodze, szkła w powietrze lecą...
A gdy się zapęd szlachty uspokoił nieco,
Wywleczono z pod stołu, jak gdyby złoczyńcę,
Zrąbanego do kości, zbitego na sińce.
Ten widok jakoś szlachtę do żalu poruszy:
Ocucono Filipa, dopytano duszy,
Dali nieco pomocy i nieco pociechy,
I zawieźli Łazarza pod domowe strzechy.
Dobrze mu! jak nie wiedzieć, że los taki spotka,
Kiedy szlachtę porówna do podłego kmiotka?...
. . . .

FRAGMENT VII.

Łoże jego choroby — to łoże żebracze:
Myślicie, że ktoś czuwa, że ktoś nad nim płacze?
Ani żywego ducha! Pan Filip w swej dumie

Wyrwał się przed lekarzem, że leczyć nie umie,
Że trzeba inszym kształtem opatrywać rany;
Zagniewał się na niego lekarz zawołany
I opuścił nędzarza na łożu niemocy.
Potem Filip z Konopi wyrwał się jak z procy
Dowodzić przed plebanem, kutym Teologiem,
Że wszyscy chrześcijanie równi są przed Bogiem,
Że grzech brać dziesięcinę od ubogiej włości,
Że nie każdy zbawiony, kto Suchedni pości.
Księdzu aż uszy więdły na takie gadanie,
Powiedział, że tu noga jego nie postanie,
I dopełnił, co przyrzekł. A tu przyszła nędza:
Grosz mozolnie zebrany grosza nie dopędza,
I dworek opustoszał, i grunta w bezładzie,
A musi trzos mieć pełny, kto się w łóżko kładzie,
Nie stało i na plastry w szlacheckiej chudobie.
Tak przejęczał rok cały, złorzecząc sam sobie.
W rany weszła gangrena — a głód wnętrze wierci,
Aż po długiem konaniu doczekał się śmierci.
A kiedy dziad kościelny gromnicę mu poda,
Wyrwał się z narzekaniem, że mu życia szkoda.
Boże, Boże! tak marnie sterawszy swe lata,
Tylko Filip z Konopi mógł żałować świata!...

ZAKOŃCZENIE.

I nikt z żyjących ludzi po panu Filipie
Nie płakał na pogrzebie, nie wypił na stypie;
Nikt mu pochwalnych liter nie wyrył na grobie,
A kurhanek piaszczysty — rozsypał się sobie.
Śpi Filip, nim się na sąd straszliwy obudzi,
A pamięć jego życia w pośmiewisku ludzi:
Kto się wyrwie nie k'rzeczy, kto się w mowie stropi,
Dotąd go nazywają Filipem z Konopi.
Ktoś świadom życia jego, albo nawet świadek,
Czystych na kalendarzu dopadłszy okładek,
Wzorem owego czasu, z polska po łacinie,

Zapisał te przygody, co podaję ninie.
Jam dopadł tej rzadkości — i legendę całą
Ubrał w sukienkę rytmu, jak mi się udało;
Niekłamanym afektem służę ci, jak mogę,
Czerpaj stąd, czytelniku, zbawienną przestrogę.

Choć się uczucie w pierci, myśl do głowy cieśni,
Choćbyś jaśniej przeglądał, niż twoi spółcześni,
Nie spiesz się — moja rada — mówić do słuchaczy,
Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczy.
Nie idź za gorącemi twej duszy popędy;
Co ci korzyść przynosi, dopatruj się wszędy,
A serce miej zamknięte, chociaż twarz otwartą;
Nim się na coś poświęcisz, rozważaj: czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie, i w słowie,
Bo Filipem z Konopi każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata:
Krew, łzy i pośmiewisko — taka ich zapłata.

1854. Wilno (dom Müllera).

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

GAWĘDA.

I.

Panie Jakóbie! ot jeszcze do pary
Powiem waszmości jeden koncept stary,
Skąd się przysłowie rozeszło powoli,
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.
Ot u nas, widzisz, jest ludzi gromada,
Co to, jak mówią, na dwóch stołkach siada,
Co przez zbyteczną usłużność gotowi
Dać świeczkę Bogu, a dwie szatanowi.
Szatan, łakomy na światło jarzące,
Najpierwej takich pochwytuje w ręce,
I za dwubarwne a niepewne zdanie

Tęgiego figla płata niespodzianie.
Posłuchaj waszmość.
Pod krzyżem przy drodze
Siadywał żebrak o drewnianej nodze;
Miewał przy sobie, jak zwykle żebracy,
Różaniec, stołek, krucyfiks na tacy,
Stare kantyczki, dwie torby, dwa kije,
I drżącym głosem śpiewał Litanie.
A tam gościniec trawą nie zarasta:
Jedni do miasta, drudzy idą z miasta;
A żebrak rodem z tej samej krainy,
Znał tu każdego z postaci i z miny,
Starych i młodych, niewiasty i dzieci,
Panów i żydów, i mieszczan, i kmieci,
Wiedział kto dobry, a kto jest ladaco;
Ale przed każdym pobrząkiwał tacą,
Każdemu śpiewał piosnę jednej miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!"

II.

A nasza próżność to już rzecz wiadoma:
Nazwie marszałkiem pana ekonoma,
Albo szlachcica panem wojewodą,
Albo dziewczynę kwiatkiem czy jagodą,
Wójtem wieśniaka, kapralem żołnierza,
A trzygroszówki lecą do talerza,
I w jego sakwach gromadzi się żywo
I chleb miastowy, i wiejskie mięsiwo.
Jeszcze tu żebrak nie nagrzeszył dużo,
Gdy nazwał dziewczę jagodą lub różą;
Gorzej mu nieraz pobłądzić się zdarza,
Gdy zacnym panem nazywał zbrodniarza,
Tchórza rycerzem, dzwonnika plebanem,
A samoluba miłosiernym panem.
Wiedział to żebrak, bo znał swe sąsiady;
Lecz myślał sobie: Niema inszej rady,
Trzeba się modlić i po tacy dzwonić,

Kto wart, czy nie wart, nizko się pokłonić,
I wzniósłszy oczy powtarzać bez miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!"

III.

Raz ksiądz Bernardyn, idący po kweście,
Rzekł do żebraka: Niesłuszni jesteście;
Bo nie każdemu i nie w każdej porze
Godzi się mówić: Niech ci Bóg pomoże!
Wszak tutaj różny snuje się przechodzień,
Może zły człowiek, może jaki zbrodzień,
Co złe zamysły w swojem sercu chowa
Czyż za każdego modła jednakowa?
Wszak jeśli Pan Bóg spełni twoje modły,
To niewinnego pokrzywdzi człek podły,
Oszust prostaka otumani zdradnie,
Zbójca rozbije, a złodziej okradnie.
Nie możesz wiedzieć, co każdy z nich myśli,
Więc z twemi słowy rachując się ściślej,
Nie mów każdemu, przyjacielu stary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!"
Radzę ci mówić sumienniej i prawiej:
„Dobrym zamysłom niech Bóg błogosławi!"

IV.

A! mości księże! co mi tam do tego,
Z jakim zamysłem i gdzie ludzie biegą
Czy sprawa dobra? czy niesprawiedliwa?
Ja jestem żebrak, mnie trzeba grosiwa.
Niech złodziej kradnie, rozbójnik zabija.
Ja mojej sakwy, ja pilnuję kija.
Ja z modlitwami każdemu usłużny,
Kto mi da chleba, albo grosz jałmużny.
Na to ubogi, że Majestat błaga:
Niechaj każdemu Pan Bóg dopomaga!
Przebacz, co powiem: To skrupuły głupie!
Grosz na tabakę daj, księże Biskupie!

A jak tam sobie będziesz żył w klasztorze,
Mniejsza mi o to — niech ci Bóg pomoże!

V.

Ksiądz kwestarz westchnął na taką ślepotę,
Rzucił starcowi na tacę dwa złote,
A żebrak dalej w rzemiosło nędzarza,
Ludziom pochlebia, a Boga obraża!
Były to czasy sudermańskiej wojny,
Wszędy po kraju snuł się żołnierz zbrojny,
Ci za Zygmuntem, ci przeciw Zygmunta,
Ci palą wioski, ci pustoszą grunta,
Ci bronią kraju, a o drugich pisze,
Że w pierś ojczyzny wbijają bardysze;
A żebrak widzi, jak tam wioski gorą,
Jednak żołnierstwu kłania się z pokorą.
Trzeba napełniać moją sakwę biedną,
Czy Szwed, czy Zygmunt, to mi wszystko jedno,
Moja ojczyzna krzyżyk i rozdroże,
„Niechaj im wszystkim Pan Bóg dopomoże!“

VI.

Gdy Szwedzi idą palić nasze sioła,
Żebrak się kłania, o jałmużnę woła,
A gdy jałmużnę na tacę położą,
On pomoc dla nich przywoływa Bożą.
A kiedy Szwedów pokonywać spieszy
Pułk petyhorski, pancerny lub pieszy,
Znów żebrak bije pokłony usłużne:
Dajcie, rycerze, biednemu jałmużnę!
Niech w waszych piersiach krzepi się odwaga,
Niech waszym włóczniom Pan Bóg dopomaga!
A tak, czy Szwedzi, czy idą Sarmaci,
Każdy za modłę żebrakowi płaci;
A żebrak w służbie Chrystusa i czarta
Miedziane grosze do swych sakiew zgarta;
Choćby nogajscy naszli Tatarowie,
Gotów się modlić za szczęście i zdrowie.

I tak za szwedzkie i polskie proporce
Modląc się, zebrał — miedziaków dwa korce:
Więc włokę ziemi zakupił za korzec,
Za drugi sobie pobudował dworzec,
I z włóki gruntu miał dobre intraty;
A że gościniec był blizko od chaty,
Przeto, jak dawniej, pokorny, usłużny,
Siedział przy drodze i żebrał jałmużny.

VII.

Gdy żebrakowi tak dobrze się dzieje,
Pewnego ranku idą dwaj złodzieje,
I jeden mówi: Otóż losy szczęsne,
Jeżeli sakwy starego wytrzęsnę!
Toż, mówią ludzie, groszowity sztuka
I stąd i z owąd swoich zysków szuka!
Drugi odpowie: Oho! znam ja dziada!
Ma tam i w chacie zapasy nielada;
Nieraz tam zajrzeć brała mię ochota,
Ale brytana uwiązał we wrota.
Jakżebym pragnął obrać go do naga!
Moim zamysłom niech Bóg dopomaga!
Przeto złoczyńca, chcąc skusić biedotę,
Idzie do starca, rzuca mu dwa złote,
I wpół ze śmiechem dobrotliwie rzecze:
Pomódl się za mnie, poczciwy człowiecze!
A stary żebrak, choć znał, że to złodziej,
Lecz myśli sobie: Co mię to obchodzi?
Złożył kantyczkę, wsparł ręce u kija,
Mówi Ojcze nasz i Zdrowaś Marya,
I kończy pacierz swoją zwykłą drogą:
Twoim zamiarom niech Nieba pomogą!

VIII.

I w mgnieniu oka jego prośby słowo
Na skrzydłach wiatru stało przed Jehową.
I rzekł Przedwieczny do Aniołów grona:
Jego modlitwa niech będzie spełniona!

Stało się tedy — a złodziej nieznacznie
O różnych rzeczach zagadywać zacznie:
Pyta żebraka, jako mu się wiedzie?
Ile lat liczy? kto idzie? kto jedzie?
A żebrak, wdzięczen za uprzejmość taką,
Gwarzył z przechodniem, częstował tabaką,
Życzył mu szczęścia — a złodziej w gawędzie
Zręcznie mu z sakiew grosze wydobędzie,
Chleb, i owoce, i zapasy różne,
Co może w tydzień zebrał przez jałmużnę.
Żebrak nie postrzegł, tak zawzięcie gadał,
Kiedy go złodziej do szczętu okradał:
Bo Pan Bóg jego wysłuchał pacierze
I złodziejowi s z c z ę ś c i ł o s i ę szczerze.

IX.

Tymczasem drugi skrada się do chaty,
A brytan groźny, ogromny, kudłaty,
Zamiast zaszczekać i nasrożyć paszczę,
Jeszcze się do nóg złodziejowi głaszcze.
A ten, szczęśliwy, że się brytan garnie,
Splondrował skrzynie, zasieki, śpiżarnie.
Tu mu się dobrze pożywić wypadło:
Znalazł pieniądze, napitek i jadło,
I sutą odzież, kożuchy i świty,
Wszystkiego, panie, zapas znakomity,
Że jednem słowem, można mówić śmiało,
Tylko ptasiego mleko nie stawało.
Złodziej niegłupi — a jak się zawinie,
Wszystkie zapasy uprzątnął w godzinie;
A tak sumiennie był pracy oddany,
Że nawet ćwieki wyciągnął ze ściany.
Więc pośpiewując po sowitem żniwie,
Pogłaskał psisko i poszedł szczęśliwie.

X.

Wieczorem żebrak aż krzyknął z rozpaczy,
Kiedy swą szkodę podwójną zobaczy,

Aż targa brodę, aż płacze, aż mdleje,
Przeklina siebie, i psa, i złodzieje;
A bardziej jeszcze po sercu mu bodło,
Że mówił pacierz, by im się powiodło.
Wytaczać skargę na niewiele zda się,
Księdza kwestarza wspomniał po niewczasie,
I już naprawdę jak nędzarz ubogi
Płaczliwym głosem żebrował u drogi.
Lecz po nauce, po ciężkiej goryczy,
Już nie każdemu powodzenia życzy,
Lecz kończąc pacierz dodaje w pokorze:
Dobrym zamysłom dopomagaj, Boże!
Modlił się, kiedy wdzięczność go uniosła,
Ale już nie był żebrakiem z rzemiosła.
 Śmiano się z niego, i długo, i szczerze:
Ja cię okradnę — mów dziadku pacierze!
A stąd przysłowie powstało powoli:
„Że człowiek sprawca sam swojej niedoli."

1854. Borejkowszczyzna.

MATYSEK.

GAWĘDA.

Był Matysek chłop przed laty,
Jak drugiego nie znajdziecie,
I przystojny, i bogaty,
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nie znał biedy,
Zazdrościli mu ludziska:
Nikt nie wierzył, aby kiedy
Przyszła kreska na Matyska.

Krasawica, cud-dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:
— Mój Matysku! jestem twoja,
Będę twoja całe życie! —

Lecz ktoś inny sypnął grosza,
I wzajemność dziewki zyska,
I Matysek wziął odkosza.
Przyszła kreska na Matyska.

— Mój Matysku, nie dbaj o to,
A miłosne rzuć zachody!
Lepiej z nami użyj złoto:
Pójdziem hulać do gospody!
Tak go sąsiad cieszył w biedzie,
I całuje, i uściska.
— Dobrze mówisz, mój sąsiadzie! —
Przyszła kreska na Matyska.

Pił z rozpaczy dobę całą,
Na pociechę pół tygodnia,
Poił wszystkich co się wlało,
I sąsiada, i przychodnia;
A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska,
Jak niepyszny szedł do chaty.
Przyszła kreska na Matyska.

I od tańca, i od trunku
Zachorował tejże doby;
Lekarz przybył dla ratunku,
I napędził trzy choroby.
A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska
I odjechał w świat daleki.
Przyszła kreska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
Niechże wspomną towarzysze!
Ja testament dla nich zrobię
I każdemu coś zapiszę.
Ale w chacie nic nie było,
Prócz starego w progu psiska, —
Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kreska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co tureckim ludzie zową,
A odzieży lichej szczęty
Położyli mu pod głową,
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Nie popatrzał nawet z blizka,
Trumnę niosło czterech dziadów:
Przyszła kreska na Matyska.
Pod darniną, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie nie dzwoniono,
Bo nie stało na podzwonne.
Przy kapliczce tuż pod ścianą
Jedlinowy krzyżyk błyska,
A na krzyżu napisano:
„Przyszła kreska na Matyska."

1855. Borejkowszczyzna.

KAPRAL TEREFERA
I
KAPITAN SZERPENTYNA.
GAWĘDA ŻOŁNIERSKA.

I.

Ej, żołnierka chleb to twardy!
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Bo to młodość — taka może,
Jak dziś widzisz pan dobrodziej?!
Nie dopuszczaj, Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bladzi, wątli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku:...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

II.

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć;
A cóż we dwunastym roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?
Patrz ten krzyżyk — toż go przecię
Wysłużyłem ciężką pracą:
A jeżeli słuchać chcecie,
To opowiem, jak i za co?
Ej! to panie, czasy były!
Głodu, chłodu, jęku brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

III.

Z pod Smoleńska nasza wiara
Żwawym marszem w odwrot kroczy;
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki — ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście! —
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczyć przy ogieńku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IV.

Ostąpiły z każdej strony
Tłumy ludu, jakby fale:
I Żmudziny, i Gaskony,
I Krakusy, i Westfale.
Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chróśniaki zbiera tłuszcza,
I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły

Na tornistrze albo łęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

V.

Legł i nie wstał — chyba wstanie
Na dolinę Józafata!
Na kamrackie pożegnanie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w pułku naszym
Pacierz krzepił — jak gorzałka.
Insze pułki nie wierzyły,
Że jest przyszłość w Bożych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VI.

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało codzień z rana
Każe mówić trzy pacierze;
Co do postów: gdy golizna,
Nolens, volens, człowiek pości...
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości.
Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VII.

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne i uparte;
Miał przezwisko Szerpentyna,
Bo się panie, rąbał arte!
Dla żołnierza pierś otworzy,

Grosz ostatni wydobędzie,
Po za frontem — człowiek Boży,
Ale szatan na komendzie;
Głos mu bucha jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VIII.

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo:
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył, niewiadomo.
Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojej roli:
Choćby skonał od boleści,
Nie dopytasz, co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IX.

Gdy ruszano z stanowiska,
Stary krzyknął: Broń na ramię!
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha, — ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy;
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;
Coś się chwieje, jak napiły,
Coś się kurczy, jakby w sęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

X.

Dobył chustki, siadł na drodze
I obwiązał chorą nogę;

Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.
Lecz jak krzyknie stary gdera:
Co się troszczysz cudzą raną!
Do szeregu, Terefera!
(Tak mię w pułku nazywano).
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w ręku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XI.

A w Imię Ojca i Syna,
Jakie licho złe i dumne!
Powstał z ziemi Szerpentyna
I nuż kulać przed kolumnę.
Choć cierpienia nie okaże,
Lecz to widzą wszyscy zdala:
Krwią oblały się bandaże,
A znużenie z nóg obala;
Starzec goni resztką siły,
Lecz nie wyda z piersi jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XII.

Ot nie wytrwał — jęknął szczerze,
Zachwiał się i padł jak długi!
Przyskoczyli doń żołnierze,
Z dziesięć ramion na usługi.
Sam widocznie iść nie może,
Chce go unieść oddział cały,
Bo furgony, żal się Boże,
Gdzieś w Smoleńsku pozostały.
Nosze z płaszczów się zrobiły
I uplotły z chróstów w pęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIII.

Lecz się stary jak wyzwierzy,
Rzekłbyś tygrys z jego miny:
Cóż to? cały pułk żołnierzy
Ma się późnić z mej przyczyny?
Precz ode mnie! marsz do szyku!
Rozkazuję to pod gardłem .
Słuchaj mości poruczniku!
Podaj rapport, że umarłem.
Nie kopajcie mnie mogiły,
Nie potrzeba trąby brzęku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIV.

Pan porucznik westchnął smutnie
I szeregi powiódł w pole.
Myślę sobie: Choć łeb utnie,
Ja mu zginąć nie pozwolę!
Więc zostałem — i nie tchórzę,
I powiadam: Kapitanie!
To się za nic stać nie może,
Pan w tem polu nie zostanie.
— Cóż gdy kroczyć nie mam siły!
— Ja poniosę pomaleńku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XV.

Precz mi z radą i pomocą!
A nie przywódź mię do złości.
Mną się trudzić niema po co,
Ty masz swoje powinności.
Uważałem, Terefere,
W twym plutonie są rekruci,
Dzierżą bagnet jak siekierę,
Maszerują jakby skuci;
Trzeba, aby się rozwiły

Władze w nogach, zręczność w ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVI.

— Jestem ranny — po krwi stracie
Tak mi słabo!... skończę życie:
Słuchaj, dobry mój kamracie:
Jak do domu powrócicie,
Wiesz zaścianek, tam.. przy Niemnie,
Kędy matka moja żyje?
Schodź, pożegnaj ją ode mnie,
Oddaj krzyżyk z mojej szyje;
Opatrz domek mój pochyły
I dwa ule przy okienku... —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVII.

W ładownicy cała nędza:
Jest tu mały groszów worek,
To mi zanieś gdzie do księdza,
Poproś dla mnie o paciorek!
Matce powiedz, niech nie płacze,
Bom nie zginął jako podli;
A do frontu zbierz rębacze,
Niech się każdy z nich pomodli!
Spiesz, bo wojska już się skryły,
Już nie słychać broni szczęku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVIII.

— Dobrze dobrze! — ja doń mówię —
Nie gadajmy o tem wolej;
Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
Wszystko pójdzie w swoją kolej.
Teraz lepiej, mojem zdaniem,
Kapitana wziąć na plecy,

Do szpitala się dostaniem,
Kędy leczą się kalecy.
Tuby śniegi was zakryły,
Tubyś skonał na tym pieńku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIX.

Jak ofuknie się z hałasem,
Jak zaiskrzy się, zapłonie:
Patrz: kolumna już pod lasem!
Twoje miejsce przy plutonie.
Spiesz dopędzić towarzysze:
Za zbiegowstwo areszt, kula!
Ja, udając, że nie słyszę,
Sadzę na mój kark dziadula.
On się zwija z całej siły,
Grozi, krzyczy na mych ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XX.

Myślę sobie: Mniejsza o to,
Niech się złości, będę znosić!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć!
Człowiek spocznie sobie chwilę
I marsz naprzód, aż łeb potnie;
Do wieczoru ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.
Stary wparł się w grzbiet pochyły,
Ani słówka... ani stęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXI.

Poza wojskiem w całej drodze
Tu i owdzie ogień błyska;
Albo trupa gdzie znachodzę,

Albo ślad obozowiska.
Miałem w torbie dwa suchary,
To podróżny zapas cały.
Na popasie zjadł mój stary
I wychylił haust gorzały.
Gdy się płuca pokrzepiły,
Zyskał humor pomaleńku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXII.

Już pod wieczór widzę z dali,
Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
A konnica naprzód wali.
Szerpentyna rzekł ponuro:
Widzisz, trutniu, co to czeka,
Kto rozkazy poniewiera!
To kozactwo... nas rozsieka...
Marnie zginiesz, Terefera!
Patrz, swawole co zrobiły!
Byłbyś z braćmi, z bronią w ręku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIII.

— Żal mi ciebie... dziatwy twojej...
Pan Bóg skarał cię wyraźnie!...
Lecz poczekaj... wszak to swoi...
Ja ci zaraz sprawię łaźnię!
Patrzę tedy.. aż tu jedzie
Hu! porządnie szykowany,
Zdala działa, a na przedzie
Mameluki i ułany.
Aż od śniegu lecą pyły,
Aż powietrze drga od brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIV.

Ot na białej, dzielnej szkapce,
Jakiś jeździec ku nam kroczy,
W szarej kurtce, w nizkiej czapce,
Co mu spada aż na oczy.
Patrzę pilno... i struchlałem...
Broń prezentuj, jak na wartę! —
Krzyknął kapitan z zapałem —
To sam cesarz Bonaparte —
Szerpentyna jak odżyły
Na śnieg skoczył z moich ręku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXV.

To był cesarz... nie inaczej;
Wstrzymał konia, spojrzał groźno
I zapytał: Co to znaczy?
Gdzie wasz oddział? co tak późno?
Myślę sobie: czym półgłówek,
Żeby zaraz tracić serce?
(A francuskich kilka słówek
Nauczyłem się w żołnierce).
Więc zdobywam się na siły
I powiadam bez zajęku:
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVI.

Od początku, z tęgą miną
Całą sprawę mu wywodzę:
Co się stało z Szerpentyną,
Jak raniony padł na drodze,
Jakom kwapił się z posługą,
By go unieść do szpitalu.
Cesarz słuchał, słuchał długo,
I rzekł: Brawo, mój kapralu —
Aż mu oczy zaiskrzyły

Jakimś ogniem pełnym wdzięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVII.

Potem spytał Szerpentyny,
Jak się zowę, jak prowadzę?
I mój kapitan jedyny
Dał świadectwo mej odwadze.
Już się znaczno, że nie dąsa,
W rozrzewnieniu pozbył złości.
Jednak mruknął coś z pod wąsa
O wojskowej niekarności;
Lecz się usta nie ruszyły,
Nie wydały głośno dźwięku.
Jezu Chryste, Panie miły.
Terefere tatuleńku!

XXVIII.

Do swych piersi cesarz sięga —
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
Patrzcie dzieci, to jest wstęga.
A na ciele sam krzyż noszę!
A jak umrze Terefera,
Weń ustrójcie go na mary,
Niechaj moją pierś ubiera,
Niech ozdabia mundur stary;
Poszanujcie u mogiły,
Bo był trzyman w dobrych ręku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIX.

Więc potrząsłem hardo czołem,
Aż mi w oczach promieniściej:
Wiwat cesarz! — wykrzyknąłem,
Zawtórzyli mi gwardziści.
Nas zabrano na furgony,
Do szpitalów przyszli z rana.

Bóg niech będzie pochwalony,
Wyleczyli kapitana!
Teraz, słyszę, człek zażyły,
Gospodarzy przy Niemenku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXX.

Cóż myślicie o tym gderze?
Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
Za niekarność Tereferze
Trzy dni kazał być w areszcie.
— Cesarz — mówił — wynagradza,
Bo poczciwym szedłeś torem;
Ale, bratku, moja władza
Naruszona twym uporem.
Choć wyrwałeś mię z mogiły,
Nie popuszczę władzy z ręku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXXI.

Słusznie mówił — bo mospanie,
Czy wodzowie, czy to prości,
Kiedy rozkaz człek dostanie,
Pilnuj ściśle powinności!

* * *

Tak powiadał Terefera,
Siedząc w progu nizkiej chaty;
I rękawem łzy ociera,
I wywija kij sękaty,
I łeb siwy, łeb pochyły,
Zadumany wsparł na ręku —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

1855. Borejkowszczyzna.

CÓRA PIASTÓW.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW LITEWSKICH — 1282 ROKU.

I.

I znowu chodźcie posłuchać ciekawie,
I znowu bitwę przed oczy wam stawię,
I znowu kreślę litewskie postacie,
Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiednie,
Miękkie jak dzieci, gdy w domowej chacie,
Straszne, gdy idą w krainy sąsiednie,
Kiedy dzikości popuściwszy wodze,
Kąpią się we krwi, rabują w pożodze.
Nawet niepomny obowiązków syna,
W niedobrej chwili kreślę ich oblicze,
Gdy ich bojaków skrwawiona drużyna .
Wiedzie z sąsiady wojny napastnicze,
I w cztery strony czterma wiatry bieży
Dla brzydkiej zemsty lub brzydszej łupieży.

II.

Wstyd nie płomieni synowskiego czoła,
Że mych praojców łupieżcami zową:
Czyż ich sąsiady żyjące dokoła,
Co wyznawały wiarę Chrystusową,
Lepsze poganom podawały wzory
Bratniej miłości i świętej pokory?
Kiedy zachodni rycerze, jak fala,
Zabijać Litwę dla odpustu płyną,
Zowiąc jej synów dziećmi Beliala,
Dzikim potworem i leśną gadziną:
Czegoż się dziwić, że gromada dziczy
Głowę podniesie i żądłem zasyczy,
Gdy krew bojową Kawas mu poruszy,
Kiedy go Perkun do zemsty poduszczy?
Bardziej się dziwić, gdy dziki syn puszczy
Słodkim uczuciom da przystęp do duszy,
Gdy bałwochwalcy marsowa jagoda

Łzami czułości zaleje się hojnie,
Kiedy starcowi dłoń synowską poda,
Gdy uszanuje słabszego na wojnie,
Kiedy oszczędzi dla rycerskiej cześci
Głowę dziecięcą albo wstyd niewieści.
Spytajcie wtedy: skąd on cnotę bierze?
Gdzie on to widział? kto w nim ludzkość budzi?
Czy własne serce, albo leśne zwierzę?
Skąd się nauczył? — pewno nie od ludzi!
Gdy doń Krzyżacy pukają we wrota,
Wie, co go czeka od wyznawców Chrysta:
Starcom zaguba, niewiastom sromota,
Mężom kajdany i hańba wieczysta,
A chacie płomień, a bogom zniewaga —
Nikt nie wymodli, nikt się nie wybłaga.
I Litwin srogi: gdy twierdzę zdobędzie,
Pluska się we krwi, nie oszczędza jęku,
A miecz i ogień, zniszczenia narzędzie,
Nie dopuść Boże widzieć w jego ręku!
Jednak wśród ognia, wśród jęków skonania
Uszy zatyka i oczy zasłania:
Bo mu potrzeba być sroższym od zwierza,
A on własnemu sercu niedowierza.
Żelaznym hełmem uzbrojona głowa
Lęka się dumek, co rozczulić mogą,
A dzielna ręka w godzinę złowrogą
Od bicia serca zadrżeć mu gotowa...
Och! bo to serce bogowie odlali
Z miękkiego wosku i ze twardej stali.

III.

Stare-ć to czasy, które wam wygwarzę.
Dawno już w próchno rozpadły się ręce
Owego ludu, co w szumnym rozgwarze
Dał Trojdenowi oznaki książęce,
Co mu zwierzając przyszłość swojej doli,
Przybrał młodzieńca w uroczyste szaty,

W szkarłatną szubę i kołpak soboli,
Dał mu miecz kuty i pancerz bogaty.
Ten miecz, i pancerz, i szubę z atłasu
Dawno już wilgoć przejadła z mogiły;
Trzy łokcie ziemi i sześć wieków czasu
Tamtejszych ludzi dawno już przykryły.
W stolicy kniaziów, w odwiecznym Kiernowie,
Kurhany władców zaorane miedzą;
Śpi stara Litwa — a jej potomkowie
Nawet podania swych ojców nie wiedzą.
Zimnym toporem dąb ścinają wzniosły,
Z piersi pradziada na grobie wyrosły;
A z niego drewka szczepiąc do komina,
W święto do ognia zaprosiwszy gości,
Naród coś marzy, niby przypomina,
Majaczy powieść o starej przeszłości.
Wtedy coś burzy jego krew zaskrzepłą,
Iskra zapału odżywa w nim jawna:
Czy to z powieści, czy z kominka ciepło?
Może ten ogień tlał w duszy od dawna?
Bóg raczy wiedzieć!

IV.

Litewską stolicę
Po Narymuncie objął Trojden młody.
Już go poznały sąsiednie narody,
Gdy jeszcze sprawiał podlaską dzielnicę,
Wiedzieli o nim i cudzy i swoi,
Że mądry w radzie, a chrobry we zbroi.
Ze swej stolicy, jak ze skały sokół,
Śledził, skąd grożą najbliższe zamachy:
I Ruś, i Niemców, Mazowsze i Lachy
Bystrem spojrzeniem obrzucił naokół.
Wszędy wrogowie na Litwę zażarci,
Gotowi działać czy jawnie, czy zdradnie.
Trojden rozmyślał: kogo najprzód skarci?
Czyje najazdy uprzedzić wypadnie?

Najniespokojniej jego oko pada
Na mazowiecką dzielnicę Konrada.

V.

Syn Ziemowitów — od Białego Leszka
Dzierżył te kraje na prawach wassali.
Znajoma Litwie na Mazowsze ścieżka,
Znajome pola, gdzie krew przelewali,
I twarde mury mazowieckich grodów,
I twarde piersi tamecznych narodów.
Dziś dobra pora odznaczyć się świetnie —
Trojden wypadków mazowieckich świadom:
Konrad, pacholę siedemnastoletnie,
Sił jeszcze nie ma oprzeć się napadom;
Matka, po życia smutnego kolejach,
Mężowskiej śmierci płacząc, dogorywa;
A lud Mazowszan pracuje we żniwa,
A baronowie polują po kniejach,
A starostowie ucztują w komnatach,
A straż zamkowa usypia na czatach.
Niechże ucztują, niech bawią się sami,
Niech śpią ich straże z bardyszem we dłoni,
Aż róg litewski pobudkę zadzwoni
Pod ceglanemi ich grodów basztami!

VI.

Trojden dał hasło o rannej jutrzence.
Pokorne echo z gór, lasów i rzeki
Poniosło pilnie rozkazy książęce —
Przez dzień obiegło po Litwie dalekiej,
Że każda strona, każdy Litwy przedział
Już się wieczorem o haśle dowiedział.
I z gór i z lasów wychyliły głowę
Srogie postaci wojowniczej dziatwy;
Spieszą pod Kiernów wojska Trojdenowe,
Że ich rachunek zaprawdę niełatwy;
A wszystko krzepka, gdyby dęby, młodzież,
Chrobre jej twarze, a straszliwa odzież.

W niedźwiedzich szubach, kudłami do góry,
Przy bokach trąba i siekiera wisi,
W rękach oszczepy, korbacze, kostury.
A zamiast czapki łeb wilczy lub rysi;
A jeszcze inszy uczepił na czole
Długie kły dzika, lub rogi bawole.
A konie Litwy, oszyte w rogoże,
Parskają, spięte trędzlą wojownika.
Zdumione oko rozeznać nie może:
Jaki to potwór z lasu się wymyka?
Bo ludzkich kształtów dojrzeć tu niesnadnie,
Chyba je serce lękliwe odgadnie.

VII.

Na przedzie Litwy książę Trojden hasa:
Ma strój ozdobny junacko a suto,
Uderza w trąbę, co wisi u pasa,
W trąbę bawolą, we srebro okutą.
Kibić ma smukłą — znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki, roboty nielada,
A kita strusia, wiatrami rozwiana,
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża;
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi —
Wzrokiem przeszywa pierś nieprzyjaciela
I czułe serce niewinnej dziewoi.
Włos kędzierzawy i kita pierzasta
Igrają z wiatrem, gdy leciuchno wionie;
Zdobi wąs czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu zarasta.
Ręce niezbrojne, krom lnianej odzieży,
By tem swobodniej wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Przez jedno ramię na rzemiennym pasie
Wisi róg żubra, którym hasło dawa;

Przez drugię ramię szeroka, jaskrawa,
Zwisa siekiera, co krwi pragnąć zda się.
U boku wodza, na poprędze złotej,
Miecz długi, ciężki, niekształtnej roboty.
Rumak, obleczon czaprakiem z niedźwiedni,
I rży, i parska, snadź zwycięstwo wróży...
Truchlejcie ludy krainy sąsiedniej,
Już wam podobno nie ostać się dłużej!
Nie dla popłochu, nie na popis marny
Ten hufiec z puszczy wynurzył się czarnej!
Aż rzeźwo słuchać, gdy ziemia zatętni
Pod kopytami niezliczonych koni;
Aż echo rade, gdy wojacy chętni
Gwarliwie jadą po leśnej ustroni,
Lub z męskiej piersi, co się nic nie lęka,
Zagrzmi w sto głosów pochodu piosenka.

VIII.
PIEŚŃ POCHODU LITWINÓW.

Niech wesoło szumi las:
Kniaź do boju wezwał nas;
Umocnijmy dzisiaj ducha,
Jutro falą krew zaplucha —
Idziem w dobry czas!

Śmiało, koniu, idź na bój!
Towarzyszu dobry mój!
Kiedy pan twój wrogów drażni,
Ty nie pierzchaj dla bojaźni,
Ale mężnie stój!

W mocnych murach mieszka Lach,
Ale w piersiach jego strach;
A my Lacha w jednej chwili
Zwyciężyli, wyszydzili,
Wzięli twierdzy gmach!

Ziemię Niemców dobrze znam,
Bo dziewczęta krasne tam;

Lecz my Niemca krwią się zleli,
Krasawice uścisnęli,
Nie uciekły nam!
Gdyśmy dalej poszli w tan,
Drżały mury gdańskich ścian —
My wypadliśmy z zasadzki,
Aż pobledniał wódz krzyżacki,
Gdańskich murów pan!

IX.

Babiński zamek choć ludny i zbrojny,
Lecz mur i rycerz nie gotów do wojny.
Zwodzona brama na oścież otwarta,
Wały zarosły, ostrokół wyjęty,
Wodzowie drzemią, a żołdacka warta
W sąsiednich puszczach walczy ze zwierzęty.
Bo książę Konrad, syn Ziemowitowy,
Polubił tylko biesiady i łowy.
Niedoświadczony, zwyczajnie jak młodzian,
Ognia nad domem nie baczy i nie wie,
Że najstraszniejsze przygasłe żarzewie,
Że wróg najbliższy, kiedy najmniej spodzian.
Jeleń wysmukły przebieżał mu drogę,
Więc postanowił spolować rogacza,
I wszystkich wodzów, i całą załogę
Wezwał na łowy.
Drużyna junacza,
Barony państwa, jakby motłoch ślepy,
Marnie w ostępach łamią swe oszczepy.
Już drugi tydzień, jak goście sproszeni:
Z rana za zwierzem goni się gromada;
W południe sypia wpośród leśnych cieni;
Wieczorem gwarno do uczty zasiada.
A książę wesół — a zdrojami płyną
Miód mazowiecki i pannońskie wino.

X.

Właśnie przy zwłokach leśnego rogala
Huczna drużyna piła pogrzebowe,

Gdy łoskot trąby odezwał się zdala,
Głuchy, niepewny, stłumion przez połowę;
Raz... drugi... trzeci... ozwały się wreszcie
Okrzyki mężów i płacze niewieście.
Konrad spojrzenie zwrócił ku drużynie.
— Słyszycie — mówi — skąd ten okrzyk płynie?
— Nie, mości książę, wszak słuch mi się nie ćmi —
Odpowie Pełko starszy wojewoda:
— To jakaś w wiosce kłótnia między kmiećmi...
Kończmy kielichy, bo przerywać szkoda!
— Czyście słyszeli te trąby rozgwary? —
Zapytał książę Zbigniewa kanclerza.
— To jakiś starzec zwoływa ogary.
Spieszmy do lasu, bo upuścim zwierza.
— Widzicie łunę pożarną na Niebie? —
Rzekł ku Lassocie, staroście warowni.
Lassota spojrzał naokoło siebie:
— To nic — odpowie — to jacyś wędrowni,
Jacyś pielgrzymi, wracając z odpustu,
Przy drodze sobie naniecili chróstu.
Spocznijmy raczej, miłościwe książę,
Bo jutro rano pracowite łowy.
Niech wasza miłość swój pancerz odwiąże.
Taką dał radę starosta grodowy.
Trafiło słowo do ucha Konrada:
Odwiązał pancerz i swój oszczep składa,
I na niedźwiedni, jak w miękkiej pościeli,
Układł się książę, plemię Ziemowita.
Wzorem książęcia dworzanie posnęli.
A poza lasem znowu trąba zgrzyta,
I słychać jęki zmieszane z hałasem,
I chmura dymu zawisła nad lasem.

XI.

A Trojden w zamku — już wdarł się na wały,
Powiązał straże łyczanemi sznury;
Trąby litewskie w warowni zagrały;

Wstąpił w swe prawa zwycięzca ponury.
Litwin z okrzykiem do skarbca się wdziera
I srebra Piastów garściami rozdziela.
Drzwi od kaplicy rozdarła siekiera,
Gdzie był złocisty obraz Zbawiciela;
Zabrano srebrne wzorzyste ornaty,
Złote kielichy i relikwiarze.
Do nóg Trojdena padał ksiądz brodaty,
Pewien, że świętość uszanować każe.
Trojden popatrzał na oblicze Chrysta:
— To Bóg wasz? — spyta — za cóż Go męczycie?
Stanął, podumał — i łza uroczysta
Z oczu pogańskich polała się skrycie.
I rzekł do księdza: Ten krzyż to mi znany,
Bo go Krzyżacy na swych płaszczach noszą;
Pewno to przez nich Bóg ukrzyżowany,
Bo oni męczyć gotowi z rozkoszą.
Czemuście, pytam, stary wajdeloto,
Nie dali wiedzieć do Litwy w tej chwili?
Tam insze bogi — ale mniejsza o to —
Waszego Boga mybyśmy bronili.
Och! jak On cierpi! jak zraniony srodze!
Za cóż Go męczą ciernistą koroną? —
Tak mówił Trojden — i krzyknął na wodze,
By nic z kaplicy więcej nie ruszono.
Litwa, czcząc rozkaz książęcej potęgi,
Wyszła z kaplicy, i dalej się wali
W ciemne komnaty, gdzie chowano księgi
Pergaminowe z klamrami ze stali.
Jedne z nich świętsze a oprawne suto,
Stalnym łańcuchem do półki przykuto;
Insze obite cedrowemi deski,
Pobożna ręka zebrała dokoła:
To są Doktory, Ojcowie Kościoła,
Z nich dusza ludzka ma pokarm Niebieski;
A insze pracy niesłychanej potem
I piękne kunsztem wybornej skryptury,

Malował barwą, naprowadził złotem
Mnich Benedyktyn Świętokrzyskiej góry:
To chrześcijańskiej nauki filary:
Ewangelia lub Testament Stary;
A insze zasię pergaminu skręty,
Żywe świadectwo pięknej świata chwili —
To Marek Tullus, Horacy, Wirgili,
Starego Rzymu Relikwiarz święty.
Rzym, chrzestna matka Lechowej krainy,
Tuląc ją k'sobie niedawnemi laty,
Podarowała ten spadek jedyny,
Jak święte krzyżmo wiary i oświaty.
Piśmienne skarby Piastowie od wieka
Zbierali skrzętnie, kupowali drogo.
Ale się Litwin w książki nie zacieka:
Lęka się czarów, które w nich być mogą.
Zamknięty w klamrach może tam duch jaki
Wywoła wróżbę Litwinom złowieszczą;
Kto wie, te czarne i krasne zygzaki
W swych ostrych żądłach czy jadu nie mieszczą?
Tak się lękając nieznanej potęgi,
Trojden spoglądał na łacińskie księgi;
Wdział rękawicę — i wolumen stary
Ujął, popatrzał raz, drugi i trzeci,
I rzekł do Litwy: Wynieście te czary,
Puścić je z dymem — niechaj zło uleci.
  Więc dzika tłuszcza na księgi się miota,
Odziera klamry ze srebra i złota,
I w środku zamku suty ogień kładnie,
I skarby wiedzy rzuca nań bezładnie.
A kiedy ogień z między kart wybucha,
Gdy się pergamin kurczy i popieli,
Litwini z boku naocznie widzieli
Latającego ponad stosem ducha:
Jak biały ptaszek zwinął się w przestrzeni,
Otoczon blaskiem ze siedmiu promieni.
To był zaprawdę Duch mądrości Bożej,

Z którego Światło, Roztropność, Odwaga;
Ten Duch skrzydlaty nie mści się, nie sroży;
Kiedyś Go Litwa na klęczkach przebłaga;
On na jej głowę rzuci Swe odblaski
Ze siedmiorakich promieni Swej Łaski.

XII.

Aż dotąd w zamku był rabunek cichy:
Związana warty żołnierska drużyna,
A tłum niewieści i dwa stare mnichy
Żadnym oporem nie drażnią Litwina:
Kto niedołężny, pogląda z daleka,
Kto może uciec, trwożliwie ucieka.
Ale gdy Litwin lochów się dopyta,
Gdzie stały miody kołodzieja Piasta,
Gdy pije stare wina Ziemowita,
W zagrzanych głowach szaleństwo urasta.
Już się zwycięzca na niewiasty miota,
Na karkach starców probuje brzeszczota,
Podkłada ogień pod dębowe ściany,
Puszcza do okien kamienie i strzały.
Już dzikie pieśni, już trąby zagrały,
Zawył wrzask dziki z płaczem pomieszany;
A kędy stąpią zwycięscy gwałtowni,
Krew bryzga ziemię i ściany warowni.
Wtem most zatętnił — i co siła zmoże,
Pędzą z ostępu strzelcowie Konrada,
Zbrojni w oszczepy i w myśliwskie noże.
Pełko piorunem na Litwiny wpada,
Tratuje końmi wpół-pijane głowy,
W szerokie piersi wpędza sztych stalowy.
Prędko się Litwa z upojenia trzeźwi
Sygnałem trąby i krwawemi dzieły,
I bój gwałtowny zakipiał tem rzeźwiej,
Że chrobre piersi dawno go pragnęły.
W lekkich kolczugach wymuskane Lachy
Zwinniej harcują i mieczami sieką;

Litewskich ramion silniejsze zamachy
Zadają cięcia straszliwsze daleko.
Grzmią silne piersi, człek z człekiem się splata,
Zgrzytają miecze po pancernej blasze,
Prosta niedźwiednia i zbroja bogata
Latają w szmaty, łamią się pałasze,
Żelazne hełmy druzgoce siekiera,
Śmierć ulatuje i swe łupy zbiera.

XIII.

Dowódca zamku, Pełko siwobrody,
Z młodym Trojdenem puszcza się w zawody.
Wiek ich nierówny, ale dzielność równa,
Spotkać się z sobą pragną najgoręcej.
Dusza Trojdena ognista, gwałtowna,
Lecz Pełko w boju doświadczony więcej.
Zwarli się na pół żelaznemi ciały —
Jeden drugiego nie zachwiał, nie zdążył;
Grzmotnęli w miecze, aż skry posypały —
Lecz żaden miecza w piersiach nie pogrążył.
Ciosy Trojdena piorunem ognistym
Z góry z gwałtownym uderzają świstem.
Pełko, jak granit mchem siwym porosły,
Tępi pioruny na swem twardem łonie.
W oczach Trojdena całe piekło płonie;
U Pełki uśmiech bohaterski, wzniosły.
Miecz zda się przyrósł do prawicy dziada,
Na każde cięcie — cięciem odpowiada,
Po każdym ciosie znać, że wprawna ręka;
Lach litewskiego nie szczędzi mocarza,
Gniewem nie płonie, śmierci się nie lęka,
Życia niebacznie na sztych nie naraża.
Był to bój piękny — i Litwa, i Lachy
Stanęli patrzeć, co się zeń wywiąże.
Lach miał kolczugę, a litewskie książę
Pancerz ze szwedzkiej wykowany blachy.
Miecz u Litwina był gruby, miedziany,

Kuty po prostu w niemieckiem kowadle,
Zwijał się w rękach szybko i zajadle,
Rąbał kolczugę, lecz nie zadał rany.
A miecz u Pełki stalowy, wenecki,
Dobrze hartowny i cienki jak wstęga,
Takt jego pewny, zamach niezdradziecki,
Przekrawa pancerz, aż do ciała sięga,
A gdzie dosięże, to jak ogniem pali,
Krasny krwi sznurek wytryska z pod stali.
Lecz takie cięcia, to jak żądła pszczole
Burzą do zemsty Litwina nad Lachem:
Trojden zakipiał — i silnym zamachem
Strzaskał mu stalną przyłbicę na czole.
Pełko się zachwiał i na odlew płatnie,
Pancerz Trojdena ugiął się podatnie,
Aż prysnął rzemień, co mu pancerz spinał.
Ciężki napierśnik oderwał się z szyje;
Już w ręku Lacha wenecki puginał
Miał się dopytać, kędy serce bije,
Gdy mężny Trojden swe miedziane ostrze
Wrąbał mu w czoło — padł lacki wojewoda,
Jak dąb spróchniały, gdy się gromom poda,
Z trzaskiem po ziemi konary rozpostrze.
Pierś Lacha takty ostatnie dobija,
A usta szepcą: Jezus i Marya...
Skonał...

XIV.

Litwini wszędy górę biorą,
Lach pod ich stopy rzuca miecz z pokorą.
Jeszcze krwią płynie podwórzec zamkowy,
Jeszcze gdzieniegdzie walka kipi żwawo.
Leżą na ziemi okryte kurzawą
Szczątki zbroicy i ludzkie tułowy,
Dobija rannych litewska siekiera,
Jęk konających aż duszę rozdziera.
Już Trojden z Lachów bolesnego jęku
Może odgadnąć zupełną wygranę, —

Zamek bezbronny ujrzawszy w swych ręku,
Chce z niego zabrać łupy niezabrane,
Więc broń obejrzał, porozstawiał czaty
I poszedł w dalsze zamkowe komnaty.

XV.

Po starych komnat kamiennej podłodze
Idzie stukając miedzianym brzeszczotem;
Wiedzie za sobą swoje chrobre wodze,
A twarz zwycięzcy zlana krwią i potem.
Kibić ma smukłą, znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki roboty nielada,
A kita strusia wiatrami rozwiana
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża.
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi:
Wzrokiem przeszyje pierś nieprzyjaciela
I czułe serce niewinnej dziewoi.
Choć jest zwycięzcą wśród warowni Piasta,
Szałem wściekłości oko mu nie płonie;
Zdobi włos czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu porasta;
Ręce niezbrojne, krom lnianej odzieży,
By tem swobodniej wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Dwie mu popręgi idą przez ramiona:
Na jednej trąbka, którą hasło dawa,
Na drugiej ostra, szeroka jaskrawa,
Zwisa siekiera, już krwią napojona;
Krew na jej ostrzu jeszcze się rumieni,
Spada kroplami na tafle kamieni.

XVI.

Z głuchym łoskotem przeszli dwie komnaty,
Tylko im echo na odpowiedź tętni.

Tu stare Piasty dawniejszemi laty,
Tu ucztowali wodzowie pamiętni;
Tu zwykł i Konrad, zmordowany łowy,
Ucztować z pany, ze swymi starosty.
Na łosich rogach wsparty stół dębowy,
Dalej ławice, gdzie siada lud prosty;
A dalej sfory przykute do ściany,
Gdzie śpią ogary i łowcze brytany;
A dalej komin, co w słotną pogodę
Sowitym ogniem wybuchał po sali,
Kędy siadają starcy siwobrode,
A u ich kolan pachołkowie mali,
Gdzie z piersi mężów wesołość wybucha,
Gdzie miód i wino leje się w puhary.
Dziś ta komnata i pusta i głucha,
Ledwie rozmierzyć okiem jej obszary;
Tylko tu goszczą od końca do końca
Echo rozwlekłe i pasemka słońca
U krat okiennych.
Komin się nie węgli.
Gwar pogadanki nie kipi wesoło.
Litwini przeszli, spojrzeli wokoło,
Wreszcie do trzecich podwojów dosięgli.

XVII.

Trojden pchnął we drzwi — ciężkie rygle pękły,
Skrzypnęły rdzawe zawiasy na osi.
Litwin się cofnął, jak gdyby przelękły,
Rękę do boku... i już miecz podnosi.
Mniemał, że jakaś ukryta zasadzka,
Miał już syn puszczy zaryknąć z nałogu;
Lecz się opatrzył — to dziewica lacka
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu.
Była to Hanna, córka Ziemowita,
Rycerska siostra gnuśnego Konrada.
Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada;

Lecz jej spojrzenie ogniście się żarzy,
A wyraz strachu nie postał na twarzy.
Po ojcu wnuczka i prawnuczka Piasta,
Kędy się rodzą i Chrobrzy, i Śmiali,
Wśród szczęku broni rodzi się, wyrasta,
Dzieckiem igrała z bardyszem ze stali.
Stara piastunka nad księżniczki głową
Nuciła starą piosenkę bojową;
Gwarzyła różne ciekawe powieści
O Litwie srogiej i łagodnej razem;
Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści
Zbratał się z wojen straszliwym obrazem?
W czarnej odzieży i w białem nagłowiu,
Stanęła we drzwiach jak rycerz na straży,
Myśliwski oszczep dzierżąc w pogotowiu,
Groziła przebić, kto wnijść się odważy.
Litwin oszczepu nie lęka się pchnięcia,
Złamałby oręż, co dziewica pieści;
Lecz piękny wyraz godności niewieściej
Straszliwem ostrzem przebił pierś książęcia.
Jakiś wstyd przebiegł po zwycięzców tłumie;
Znowu spojrzała — cofnęli się srodzy,
I mową ruską, co Litwa rozumie,
Tak się ozwała do litewskich wodzy:
  Słabość dla mężnych jedyna zapora.
Nie wnijdziesz dalej, bo tam matka chora.
Książę rycerskie! bądź wiernym twej cześci,
Nasza niedola niech nas zabezpiecza.
Szanuj dom Piastów w dniu jego boleści,
Nie nadużywaj praw twojego miecza.
Prawa zwycięzcy, zdobyte gwałtownie,
Kończą się tutaj, gdzie jęczy choroba.
Masz skarby nasze, piwnice, zbrojownie,
Zabieraj wszystko, co ci się podoba,
A cześć uszanuj w godzinę złowrogą,
Bo twoje losy przeważyć się mogą.
Nie patrz szyderczo, że, słaba i młoda,

Grożę oszczepem chrobremu wodzowi:
Gdy o cześć idzie, Bóg losy stanowi,
Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
Potrafię umrzeć; lecz pokąd nie zginę,
Nie wstąpisz, wodzu, w komnaty matczyne!
Rzekła — i k'piersiom litewskiego księcia
Podnosi oszczep, na życie niepomna;
Płonie w jej twarzy wstydliwość dziecięcia,
A w oczach zapał i wola niezłomna.

XVIII.

Trojden pokraśniał, spuścił wzrok ku ziemi,
I zakłopotan do dziewicy rzecze:
Kniahini Lachów! my chrobrzy z chrobremi;
Lecz u nas w piersiach jest serce człowiecze.
Żaden zły zamiar w mej myśli nie postał,
I żal, i wstyd mi, żem zwycięzcą został;
Lecz na to wojna... ta czasem zaślepi,
Czasem się rycerz w bitwie zapomina.
Wziąłem więc zamek — to nie moja wina:
Dla czegoż wasi nie strzegli go lepiej?
Nie wskrzesić z martwych tych, co w boju padli,
Lecz każę przestać wojennej srogości;
Nie mówcie, proszę, żeśmy zbyt zajadli,
Przyjmijcie, Lachy, Litwinów za gości;
Dziś w waszym zamku zajmiemy załogę,
A jutro w dalszą puścimy się drogę!
Rzekł i na stronę wodzów odprowadza,
Wydał rozkazy do drużyny dzikiej,
I w jednej chwili Trojdenowa władza
Ucisza w zamku bojowe okrzyki.
Staje jak wryta zawścieklona tłuszcza,
Wpół taktu w bójce żelazo upuszcza;
Tylko z dziedzińca posłyszysz z daleka
Jęknie raniony lub trwożny ucieka.

XIX.

Hanna, oparta na drzewcu od włócznie,
Zdumionem okiem na Trojdena patrzy;

Bo czyn szlachetny, piękniejszy im rzadszy,
Serce dziewicze zhołduje widocznie.
Jeśli chcesz, mężu, mieć łaski Kupida,
Trefić twe włosy na mało się przyda:
Niechaj niewiasta raczej na twem czole
Pięknego czynu widzi aureolę!
Ty, strojny blaskiem twojego ramienia,
Zostaw zaloty pieszczonej młodzieży:
Niech z oczu twoich, zamiast przymilenia,
Jak błyskawica wielka myśl uderzy;
A ta, co myśli, co czyny wywoła,
Potędze twojej oprzeć się nie zdoła.
Dusza jej stanie w nadziemskim zakresie,
Dumna twym czynem przestanie być płocha,
Ołtarz dla ciebie w swojem sercu wzniesie,
Wprzódy uwielbi, potem cię pokocha.
A taką miłość, uwielbienie, chlubę,
Niełacno z serca, niełacno utraci!
Choćbyś, jak Trojden, w jej dom niósł zagubę,
Choćbyś się skrwawił posoką jej braci,
Ona, niepomna swych łez i rozpaczy,
Duszę pogrąży w tego czynu pięknie,
Wszystko zapomni, wszystko ci przebaczy,
I mimo woli przed tobą uklęknie.
Bo serca niewiast, lękliwe a drżące,
Każde wrażenie do głębi poruszy;
Czułe na piękno, jak kwiatek na słońce,
Lubią się zdumieć bohaterskiej duszy.

XX.

Trojden powrócił — a na jego czele
Już się promieni cnotliwe wesele,
I pięknym blaskiem wzrok mu się rozżarzy,
I mężne ręce jak do prośby składa;
Tak w tej postaci było mu do twarzy,
Że się spłoniła krasawica blada.
— Kniahini Lachów! wnet się bój uśmierzy;
Wrócę wam łupy, wynagrodzę straty,

Wpuśćcie mnie teraz do dalszej komnaty,
Niechaj się waszej pokłonię macierzy,
Niech trudy wojny złożywszy z mej szyje,
Z Piastowym rodem chleb i sól spożyję.
— Szlachetny kniaziu! — odpowie mu Hanna —
Możesz rozkazać, a prosisz z pokorą.
Ale twój pancerz i zbroja blaszana
Może przestraszyć moją matkę chorą;
Na twym toporze i na pochwie miecza,
Patrz: jeszcze płynie świeża krew człowiecza.
Zdejm z głowy kirys, odpasaj oręża,
A chleba z nami spożyjesz pospołu.
U moich przodków szerokiego stołu
Jest gdzie pomieścić rycerskiego męża.
Rycerstwo nasze jest przy moim bracie,
Wkrótce powróci z obławy na zwierza,
I wypijecie puhary przymierza,
I ręce sobie chętliwie podacie.
U Ziemowitów — u stołu Konrada,
Nie bój się, żadna nie grozi ci zdrada!

XXI.

Wyszła uprzedzić matkę o gościnie,
Trojden zdejmuje hełm pierzasty z głowy,
Otarł krew lacką, co po zbroi płynie,
Odpasał z ramion swój topór stalowy
I miecz swój gruby, wykowany z miedzi,
I tęskno z komnat czekał odpowiedzi.

XXII.

— Wnijdź, książę Litwy! gość w domu, Bóg w domu! —
Mówiła Hanna, rumieńcem oblana;
Wzięła za rękę pięknego młodziana,
A już jej ręka drżała pokryjomu.
Szli przez komnatę sklepioną, wysoką;
Nic nie przerywa uroczystej ciszy.
Trojden k'niej zwrócił płomieniste oko,
Coś mu się zdało, że westchnienie słyszy;

Zwiesiła główkę — a Pan Bóg-że zgadnie,
Co się tam w myśli dziewicze zakradnie?
Wtem się sąsiednia otwarła alkowa:
Tam matka Hanny, poważna matrona,
Księżniczka z Rusi, Ziemowita wdowa,
Jęczała, długą niemocą dotkniona,
I obyczajem swej rodzinnej strony
Chciała uklęknąć — lecz chwieje się, słania.

— Kniahini Lachów! — rzekł Trojden wzruszony —
Dajcie mi rękę na znak przejednania.

— Nie gub nas, nie gub i z duszą i z ciałem!
My wiemy, wiemy, czem są wojny prawa! —
Mówiła matka z wejrzeniem nieśmiałem,
A łza boleści na jej oczach stawa.

— Pokój wam, księżno! — Trojden jej odpowie,
Zgrzybiałą rękę całując z pokorą —
Nie bój się Litwy: już my nie wrogowie;
Złóż na posłanie twoją głowę chorą.
W twym grodzie Litwin tryumfował górą,
Lecz się ukorzył przed krasną twą córą.

— Hanno! — spytała mazowiecka księżna: —
Czemu Konrada nie mam przed oczyma!
Pewnie, gdy naszła drużyna orężna,
Wybiegł do walki — może go już niema!
O głowa biedna! głowa moja siwa!
Jakiegoż dzisiaj sieroctwa dożywa! —
I załamała rozpaczliwie ręce: —
Na co mi życie? na co mi zaszczyty?
Na co mi państwa i grody książęce?
Mówcie: gdzie Konrad? czy syn mój zabity?..
Wodzu Litwinów! tem samem żelazem
I mnie zabijcie... zabijcie z nim razem!

— Konrad z panami na łowach się cieszy, —
Odpowie Hanna: on nic jeszcze nie wie.
Obaczył pewnie nad zamkiem żarzewie,
Nie bój się, matko, zaraz tu pospieszy.

XXIII.

— Jam tutaj, matko! — zabrzmiał okrzyk w sali —
Potrafię chodzić po ojcowskiej ścieżce.
Niedługo będą cieszyć się zuchwali,
Z grodu mych przodków wycisnę łupieżce!
Drzwi się rozwarły, i Piast młody wpada;
Zajadłość w oku, miecz w ręku Konrada.
— A tuś, mi kniaziu!... tu na moje szczęście! —
Rzekł, k'Trojdenowi podbiegając srodze...
Trojden bezbronny ścisnął silne pięście,
Grzmotnął mu w piersi, złożył na podłodze.
Krew kipi w piersiach Piastowego syna,
Powstał z podłogi... słania się i chysta —
Miecz w jego rękach jak piorun zaśwista.
I straszna walka znów się rozpoczyna.
Litwin, hartownej podobien opoce,
Znowu mu w piersi całą siłą grzmoce.
Lecz w tejże chwili, jak jutrznia poranna
Pomiędzy dwiema grzmotowemi chmury,
Między walczących przedziera się Hanna
Rozbroić zapęd i gniew ich ponury.
— Nie sróż się bracie! posłuchaj mię wolej;
Od twojej zemsty nie wskrzesną umarli.
Wiadoma losu wojennego kolej:
Litwini wpadli — nasz zamek odarli.
Była tu walka mordercza i wściekła;
Część naszych padła, a reszta uciekła.
Nasi zwycięzcy już byli gotowi
Rozpocząć pożar i rabunek w grodzie;
Jam tylko sama wyszła ku wodzowi —
Męska szlachetność już mu duszę bodzie.
Wstrzymała walkę jego woli władza,
Łupy nam wraca, szkody wynagradza.
Wyzuł się z hełmu, odpasał miecz kuty,
A teraz gościem przychodzi w te progi.
Nie czas na żale, nie czas na wyrzuty:
Złóżcie rycerze, wasz zapęd złowrogi.

Ten, co szlachetnie usłuchał niewiasty,
Co miecz zwycięski sam na stronę kładnie.
Czyż ma żałować, że wszedł między Piasty?
Zginąć w ich zamku, zamordowan zdradnie?
Tak mówi Hanna, a jasne jej oko
Zagrało blaskiem i łzami zachodzi.
Bystrem spojrzeniem zmierzyli się młodzi,
W głąb swego serca zajrzeli głęboko,
I w bratni uścisk serdecznie się wiąże
Z książęciem Litwy mazowieckie książę.

XXIV.

W dziedzińcach zamku, u jednego stołu,
Litwa i Lachy ucztują pospołu,
Synowie Piastów gościnni, bogaci,
Hojnie rycerstwu rozdają miód stary;
A Litwa spełnia najpierwsze puhary,
Jako wspominek po umarłej braci,
Drugie w cześć Bogów i ojczystej ziemi,
Trzecie na zgodę z dziećmi Lachowemi.
Ucztują wespół zgodni i weseli,
Jak gdyby nigdy wzajem krwi nie leli.

XXV.

A druga uczta na zamku Konrada.
Jeszcze weselej i jeszcze tam słodziej:
Wróg przeciw wroga do stołu zasiada,
Obadwaj chrobrzy i obadwaj młodzi;
Toczą rozhowor o łowach i psiarnie,
O bystrych koniach i rodzajach broni.
A Hanna włosy z nad czoła odgarnie,
Patrzy w Trojdena, słów jego nie roni.
Tak zasłuchana i zaciekawiona,
Sama nie zgadnie, co się w głowie marzy;
Jeno skraśnieje, jak wiśnia czerwona,
Gdy wzrok Litwina spocznie na jej twarzy;
A sama nie wie, że swemi oczyma
Lwa straszliwego na uwięzi trzyma,

Ale król puszczy nie zwykł do łańcucha.
Nie zdoła w ciszy zachować się dłużej;
Niezwykła taić, gdy się serce burzy,
Mężna pierś jego westchnieniem wybucha.
Nalał swój puhar, wypił go w połowie:
— Kniahini Lachów! to za wasze zdrowie.
W cześć waszej córy! ja k'niej sercem płonę...
Dajcie mi Hannę, dajcie mi za żonę!
My, stara Litwa, żołnierscy a prości,
U nas długiemi słowy się nie mami.
Szerokie moje ziemice i włości;
Wiecznem przymierzem opiszę się z wami;
Książęce skarby złożę pod jej nogi;
Zrównam jej głowę z wielkimi mocarze;
Czcić będzie swoje, a ja swoje bogi,
Modlić się będzie, jak jej wiara każe;
Zostanie bóstwem na litewskiej ziemi,
Królować będzie nad ludźmi dobremi!
— Mocarzu Litwy! jam tylko niewiasta —
Odpowie matka — jam przyzwolić rada.
Konrad jest głową u rodziny Piasta:
Mocarzu Litwy! zapytaj Konrada.
— Hanno! — brat spyta — wola, czy niewola? —
Hanna oblicze w drobnych rączkach chowa:
— Trojden zwycięzca — jam branka bojowa,
Niechaj od niego zależy ma dola;
Niech waszym chęciom uczyni się zadość.
Będę nagrodą szlachetnego dzieła!
Klękła przed matką i płakać poczęła,
A przez jej oczki prześwieca się radość.

EPILOG.

Lecz może mi powiecie, żem skończył zbyt skoro?
U nas się kochankowie tak prędko nie biorą.
Darujcie, jam podania nie wysnuł z mej głowy,
Wziąłem je całkowicie z kroniki dziejowej.

Jeden wiek pisze swoje, drugi swoje prawa,
Każdemu cudzy zwyczaj dziwnym się wydawa.
Historya podania nie kłamie, jak tuszę.
Ej, dziwne Laszek oczy, a Litwinów dusze!
Litwa do pięknych czynów zapala się snadno,
Ej, to cud pięknych oczu, co sercem zawładną!
Nie wstyd być dla mężnego pod urokiem wdzięku,
I złożyć krwawy brzeszczot, co już dzierżył w ręku, —
Ej, nie wstyd bajarzowi, nie wstyd dla pieśniarza,
Sławę takiego czynu gdy ludziom powtarza!
Każda cnota, natchniona świętym Duchem Bożym,
Łacniej się upamiętni, gdy ją w pieśń ułożym.
A gdy lubim powieści z upłynionej chwili,
Dajcie ucho mej pieśni, czytelnicy mili,
A obrokiem duchownym niech was Bóg posili!

22 maja 1855. Borejkowszczyzna.

ZGON ACERNA.

CHWILA Z XVII WIEKU. — (1608 roku).

I.

Czego ten stary brytan, opuściwszy szyję,
Do furty Jezuickiej drapie się i wyje?
A wyje tak żałośnie, aż przechodzi mrowie!
O! takie skowytanie pewno zgon przepowie!
Znają w całym Lublinie jego sierść, nazwisko:
To jakiegoś żebraka wysłużone psisko,
Chce się z panem obaczyć, polizać mu ręce.
Próżno uliczne żaki i szkolne młodzieńce
Ciskają nań kamieńmi; kruchciani dziadowie
Napróżno swemi szczudły biją go po głowie:
Pies kurczy się, zaskomli w postawie pokornej,
Ale go nie odpędzisz od furty klasztornej;
Chciałby wcisnąć się milczkiem i omylić straże,
Ale Ojciec odźwierny wpuszczać go nie każe.

Wtem stateczny przechodzień we dwonek zadzwoni —
Brytan przypadł mu do nóg, rzucił się do dłoni,
Jakby prosił o łaskę błagalnym wyrazem,
Iżby w bramę klasztorną wcisnąć się z nim razem.
Przychodzień go pogłaskał: To ty, psino wierna!
Jedyny przyjacielu biednego Acerna!
Pójdziem nad jego łoże, oczy mu zasłonim:
My w Polsce tylko jedni zapłaczemy po nim!
Przy skonaniu pieszczocha sarmackiej cytary
Pożałuje pies stary i przyjaciel stary...
A reszta Polski zimna — nie wie, ani zważa,
Że w tej chwili utraca wiernego gęślarza,
Co jej chlubę poczciwie głosił w świat daleki!
Tak powiadał przychodzień — łzę otarł z powieki,
I zadzwonił powtóre, po trzecie, po czwarte;
Skrzypnęły rygle furty powoli otwarte,
I z za furty, co z ciężkim zgrzytem się rozpada,
Twarz Ojca odźwiernego wychyla się blada:
— Czego tu waszmość chcecie? tak silnie dzwonicie!
Po dziewiątej godzinie, choćby szło o życie,
Nie wolno bywać obcym za klasztorną kratą,
Chyba da Ojciec rektor zezwolenie na to.
— To idźcie do rektora i wracajcie żwawo.
— Ach! czy to wasza miłość? Sam wpuścić mam prawo:
Lekarz Albertus Oczko, miły gość w klasztorze,
Za furtę Societatis zawsze wchodzić może.
Tak mówił Jezuita z uśmiechem słodyczy;
A brytan wpadł do furty, smutnie zaskowyczy
I pobiegł w kurytarze.
— Cóż Klonowicz przecię?
Czy zdrowszy dziś, czy słabszy? nic o nim nie wiecie?
Zapytał Wojciech Oczko. — Źle — odrzekł odźwierny —
Daliśmy mu w klasztorze kątek miłosierny
Za to, że nas osławił po sarmackiej ziemi,
Za to, że szczypał zakon pismy dotkliwemi,
Że nas przezwał gangreną straszliwych bezprawi,
Co kraj cały zarazi i o śmierć przyprawi.

My mścić się nie umiemy na sprawcach potwarzy,
Bo Chrystusa znieważa ten, kto nas znieważy.
Bóg zwrócił na bluźniercę zagniewane oko —
I ów Acernus głośny, sławiony szeroko,
Przyszedł na stare lata do torby i kija,
Nędza go i zgryzota przed czasem dobija,
A kraj, co w jego pismach tak wielce spodoba,
Nie dźwignął swego wieszcza z barłogu Hioba.
Lecz przyszedł Jezuita, wziął z błota oszczercę,
Okazał niegodnemu miłościwe serce;
Gdy się nędzarz w kałuży zasłużonej wala,
Dał mu gościnny kącik swojego szpitala:
Niech świat patrzy i uzna Jezuitów czyny,
Jak chlebem odpłacamy za żądło gadziny.
Rzekł odźwierny i westchnął w prostocie gołębiej;
Westchnął i Wojciech Oczko boleśniej i głębiej:
Na starego lekarza osiwiałej rzęsie,
Jak gwiazda promienista, łza gorzka się trzęsie.

II.

— Do celi, gdzie Acernus, wejść teraz nie możem:
Rektor go pojednywa z miłosierdziem Bożem.
Dzisiaj prosił o spowiedź z pokorą i skruchą,
Rektor jego spowiedzi sam raczył dać ucho,
Sam wprowadzi grzesznika w wiekuiste wrota,
I Olejem namaści, i da Chleb żywota;
Sam wydrze jego duszę piekłu i rozpaczy.
My wrogom przebaczamy — niech im Bóg przebaczy!
Tak, wiodąc sklepieniami ciemnych kurytarzy,
Odźwierny Jezuita sam do siebie gwarzy,
Bo lekarz, w tęsknej myśli pogrążywszy ducha,
Słów jego nie uważa, przechwałek nie słucha.

III.

Przed nizkiemi drzwiczkami zakonniczej celi,
Nie śmiejąc do niej pukać, przybyli stanęli.
Stamtąd płacz dolatywał i rozmowa cicha:
To schorzały głos starca, to mocniejszy mnicha;

Aż wkońcu pełnym dźwiękiem do ucha uderzy
Uroczysta harmonia łacińskich pacierzy.
Snadź już rektor ukończył spowiedniczą pracę,
Rzekł: „E g o t e a b s o l v o, j a m v a d e i n p a c e!“
I słychać głuchy łoskot jak o trumnę młota:
To skruszony pokutnik tak się w piersi grzmota.
Odźwierny kląkł się modlić, jak ustawy każą,
Wojciech padł na kolana z uroczystą twarzą
I modlił się ze łzami: Ach! odpuść mu, Chryste!
Ścieżki jego żywota tak były cierniste,
Dni jego na tak ciężkiej upływały probie!
Przygarnij Męczennika, przygarnij ku Sobie!
Niechaj pieśniarz lechicki, w cierniowej koronie,
Godzien będzie H o s a n n a śpiewać przy Twym tronie!

IV.

W celi zabrzęknął dzwonek. Na ten sygnał cichy
Wychodzą ze swych komnat na kurytarz mnichy,
Wszystka czeladź klasztorna sypie się jak mrowie,
I dziady z pod kościoła, i szkolni żakowie.
I otwarły się drzwiczki od ubogiej celi:
A tam na wiązce słomy, na grubej pościeli,
Klęczał schorzały starzec, i ręce kościste
Podnosząc ku Niebiosom, wołał: Jezu Chryste!
Dozwól, bym godnie przyjął ostateczne chryzma,
Udziel mi zlitowania, co doznał łotr Dyzma,
Umierając na krzyżu!... Chciał dalej wieść modły,
Ale piersi schorzałe już starca zawiodły:
Tylko ustami rusza, ręce splótł na łono.
Wtem znowu uroczyście w dzwonek uderzono;
Rektor Hostyę podniósł, chory głos natęża;
Upadli na kolana laicy i księża.
„O t o B a r a n e k B o ż y!...“
Chory patrzał k'ziemi,
I sercem upragnionem, usty złaknionemi
Przyjął Chleb odkupienia... odżył w nowe siły;
Oczy jego tak dziwnym blaskiem zaświeciły,

Coś tak dziwnym urokiem twarz mu promienieje,
Że zda się nowe życie i nowe nadzieje
Poczęły igrać w tętnach młodzieńczego łona,
Wstąpiły w marny szkielet, co za chwilę skona.
Choć jeszcze nitka życia w piersiach mu nie pękła,
Lecz już dusza głęboko w Niebiosa zasiękła;
Oczy tak mu się wpiły w krucyfiks na stole,
Że ostatni dar ziemski — cierpienia i bole —
Gotów przenieść jak kamień... Ale zwolna... zwolna,
Słabnie lepianka ciała, słabnie nieudolna,
I boleść chorowita znów dotyka zmysły;
Oczy wieszcza przygasły, ręce mu powisły,
Osunął się na pościel, czując kres złowrogi.
Rektor prędko namaszcza czoło, ręce, nogi
Ostatniem pomazaniem — chory, zda się, kona...
Nie! — tylko dusza jego, w Niebo uniesiona,
Zda się z padołem płaczu zerwała widocznie.
Lekarz przerwał modlitwy: Niechaj trochę spocznie,
Niechaj zbolałą głowę przytuli na łoże,
A jeszcze siła życia zagrać w piersiach może.
Więc skończono obrządek — a ci, co klęczeli,
Szepcąc pacierz, odeszli od nędzarskiej celi;
Tylko został z gromnicą jeden Jezuita,
I stary dziad kościelny, który Psałterz czyta,
I stary Wojciech Oczko z kroplami tyzanny,
I stary wielki brytan, co jęk nieustanny
Ronił po kurytarzach. Acernus śpi błogo;
Już mu łza nie pomoże, leki nie pomogą;
Jeszcze ocknie się trochę, by pożegnać ludzi,
A potem, znów gdy zaśnie, aż na Sąd się zbudzi.

V.

Ściemniało... noc zapada. U głowy Łazarza
Lampa długim płomieniem krwawo się rozżarza,
Knot napojony tłuszczem i skwarczy i czadzi,
Ogień pała nierówno — jaskrawiej, to bladziej;
A po wilgotnej celi, po sczerniałej ścianie,

Mżą się ruchome cienie, jak duchów latanie.
Piękna była w tem świetle blada twarz Acerna:
Wąs przyprószon siwizną, a broda pomierna,
W uściech nieco uśmiechu, z jakim sypia dziecię,
Na czole zmarszczki cierpień — ślad życia na świecie,
Jedna ręka na piersiach, jakby boleść dławił,
Druga w górę wzniesiona, jakby błogosławił.
Bo może dusza wieszcza błogi kraj oblata,
Żegna swoją ziemicę, odchodząc ze świata.
Może gromadę ziomków przeprasza najczulej,
Co kielich jego życia goryczą zatruli,
A on, gdy cierpliwości braterskiej nie stało,
Ciskał nieraz w ich czoła satyryczną strzałą.
Już mu Pan Bóg odpuścił — przeznał dobre chęci;
Odpuśćcie jego winę i ludzie zawzięci!
Bo jego cała wina, że czuł nadto żwawo,
Że jęcząc opatrywał swoją ranę krawą!!
  Acernus śpi, jak gdyby w zachwyceniu Bożem;
A stara jego harfa, wisząca nad łożem,
Nietknięta od nikogo, zda się, pieśnią dycha,
Niedosłyszanem drganiem pobrząkiwa z cicha.
O! wierna towarzyszka marnego rzemiosła,
Tak się z duszą pieśniarza zbratała i zrosła,
Że stęskniona po panu zagrała boleśnie,
Że przeczuła pieśń duszy, którą śpiewa we śnie,
I poczęła mu wtórzyć — znane jej zadanie
Drganiem strun odbić serca śpiewaczego drganie.
Och! po tylu westchnieniach, tylu pieśniach burzy,
Czyż nakoniec cherubów muzyce zawtórzy
Na wieczny odpoczynek nad znużoną głową?...

VI.

  A w celi tak coś straszno i tak coś grobowo,
Że czuć obecność śmierci, nim jeszcze zapuka:
Wojciech smutny, że leków nie pomoże sztuka,
Głowę oparł na ręku, wzrok wlepił w Acerna,
A łza starej przyjaźni, rzewna, miłosierna,

Zastygła w jego oczach. Lampa ledwie błyska,
Migają płachty cieniów, jak czarne zjawiska,
Wiatr uderza do okien, wzdycha Jezuita,
A dziad chrapliwym głosem Miserere czyta.

VII.

Wieszcz ocknął się ze drzemki i słodko uśmiecha;
Przyjacielsko powitał starego Wojciecha,
I rzekł doń: Miły Oczko! wierzyć nie możecie,
Gdziem to ja latał we śnie — och! po całym świecie!
Śniłem, że jestem Flisem... w ładownej komiędze,
Zda się, szybko nurtami wiślanemi pędzę;
Od źródeł płowej Wisły do Gdańskiego grodu,
Obiegłem całą przestrzeń, jak niegdyś za młodu.
A cała ta kraina, na żyznym zagonie
Usiadła, jak pieszczocha, u Boga na łonie;
Jakie tam żyzne pola, jakie piękne lato,
Jak tam w wioskach wesoło, jak w miastach bogato!
Jakie echa dla pieśni w tej miłej zaciszy,
Hukniesz kędyś nad Wisłą — trzy powiaty słyszy!...
Wzniosłem się na powietrze — wytężyłem oko,
I widziałem Ruś piękną, całą Ruś szeroką.
Do odwiecznego Lwowa zawitałem gościem,
Krążyłem nad Kamieńcem, nad krzepkim Zamościem,
Zlatałem Busk, i Sokal, i Horodel stary,
Przesnułem się świętymi w Kijowie pieczary.
Zakrążyłem raz jeszcze — i spadłem jak ptaszę
Na puszcze roksolańskie, stare puszcze nasze:
Wszędy mię było pełno... Zajrzałem do kwiatka,
Byłem pszczółką, gdzie żwawa krząta się gromadka,
Przyniosłem kroplę miodu dla pszczółek i dla się,
Skosztowałem go nieco: upoił mię zda się,
Upoił aromatem macierzystej niwy...
I od wioski do wioski latałem szczęśliwy,
Widziałem prace ludu pasterskie i rolne,
Dzieliłem jego trudy i życie mozolne,

Zabiegłem w jego serce, przeznać duch człowieczy,
I widziałem tam pięknych, siła pięknych rzeczy!...
Kochałem go i dawniej: małeć to zasługi...
Och! gdybym drogę życia przechodził raz drugi,
Tylkobym z ludem wiejskim zbratał się najściślej,
I jemu wszystkie pieśni, wszystkie oddał myśli:
Tam się serce odmładza, tam dusza korzysta;
Pieśń byłaby dźwięczniejsza, a myśl bardziej czysta.
Możni mi ją zbrudzili, uczeni, bogaci,
Zarazili mi serce niechęcią do braci...
Gdyby mnie otaczali wyrobnicy prości,
W dniachbym mego cierpienia nie bluźnił ludzkości,
Nie bluźnił Panu Bogu!!... Gromiąc błędy cudze,
Ani mi się marzyło o własnej zasłudze.
A pole do zasługi szerokie mi dano:
Całą drogę cierniową, krzyżami usłaną,
Gdzie przez ostre kamienie, pokrzywy i osty,
Przez Golgotę do Nieba prowadzi szlak prosty.
Chrystus szedł tym gościńcem, ale szedł inaczej;
Mnie dano krzyż — jam dźwigał, klnąc moich siepaczy!
Kląłem głośno — jak niegdyś modlił się Psalmista,
Przy dźwięku świętej harfy, co była tak czysta...
Gdy święcone jej struny skalał śmiech mój zimny,
Już przestała wydzwaniać modlitwy i hymny;
I duch mój obumierał, nie czując swej straty,
Stał się gorzki jak piołun, jak oset kolczaty...
Przyszła ciężka choroba i nędza złowroga,
I przykrzejsze od nędzy miłosierdzie wroga.
Chleb mój jadłem z popiołem, zwiądłem jako trawa,
Lecz modlić się z Dawidem nie miałem już prawa,
Bo w dniach mojej boleści bluźniłem Jehowie...

VIII.

— Ej, panie Fabianie! — Wojciech mu odpowie —
Zbyt się brzydką rozpaczą unosisz w tym względzie.
Pan Bóg za twoje pieśni karać cię nie będzie,
Zgorszeniem się potomnych serca nie napoją:
Poczciwa chęć natchnęła każdą pieśnię twoją.

Wszak w Worku Judaszowym i Zwycięstwie bogów
Pragnąłeś zedrzeć larwę szkodliwych nałogów;
A swojemu krajowi usłużyłeś godnie:
Jak Herkules potwory, tyś zwyciężał zbrodnie.
Acernie! twoją chwałę wiek przyszły zobaczy,
Tylko w ostatniej chwili nie daj się rozpaczy!
Tak starca Wojciech Oczko przekonywać zacznie,
I rękę uściskając, bada puls nieznacznie.
A w pulsach krew zastygła kipi gorączkowo,
Podsycona marzeniem i żwawą rozmową.
Po mętnych jego oczach blask przebieżał wilczy;
Drżą mu spalone usta.. ale jeszcze milczy;
Chmurnieje mu na czole troska frasobliwa;
Zbiera ostatek myśli, co już się rozrywa;
To cały pokraśnieje, to jak mur pobladnie;
Z ust mu się wymykają gorączkowe brednie;
Oczko chce dać lekarstwa, przemawia doń z cicha,
Lecz on już głosu nie zna, a rękę odpycha;
Wzrok jego bezprzytomny, jak winem pijany,
Wlepił się nieruchomie w jeden kątek ściany,
I w wilgotnej komnaty ponurem przezroczu
Widzi kształty, dla innych niedojrzane oczu.

IX.

I szepce: Ha! to śmiesznie: ktoś mi mówił wczora,
Że ja zwalczyłem zbrodnie, jak Herkul upiora,
Że mi Polska zostanie wdzięczna i pamiętna,
Żem zmazał z jej oblicza kalające piętna.
Tak!... żółć z mojego pióra... wygryzła ich wady!...
A cóż znaczy na ścianie ot ten lichwiarz blady,
Co z brodą szafranową i z postawą lisa?
Jako smok afrykański, krew słonia wysysa,
Tak on wysysa biednych, krew ludzką wypija...
A cóż znaczy ta druga pełzająca żmija,
Co się wszędy doczołgnie, co się wszędy wetrze,
Przedaje wyrok sędziów, przedaje powietrze,

Co na haczyk swej wędki uczepiwszy złoto,
Wyciąga dusze ludzkie i znaczy sromotą?...
Poco tu ów świętoszek najszkodliwszy z ludzi,
Co z rzemiosła cześć bliźnich rozdziera i brudzi?
Słuchajcie, jak on wzdycha! patrzcie, jak się modli!...
Wszak w Polsce od mych pisem zginęli już podli,
Jak muchy od cykuty!!... A toż co za dziwa?
Woźny do trybunału sprawę przywoływa;
Przychodzą dwaj pieniacze ku sędziowskiej radzie:
Jeden swoje dowody — drugi halerz kładzie,
Chce przekupić statutów przysięgłego stróża;
Patrzcie, jak się dłoń sędziów przedłuża... przedłuża,
I kościstemi palcy złoto k'sobie zgarta!...
Czego chce ta niewiasta ze wstydu odarta,
Co przedaje wstyd innych?... Patrzaj na tych graczy:
Jeden z twarzą wybladłą, z wyrazem rozpaczy,
Majątek i poczciwość na rzut kości ciska!...
Czy widzicie ohydne uczuć targowiska?
Czy słyszycie jęk smętny, co aż serce targa?
To ubogiej sieroty żałościwa skarga,
Na której całe mienie już chciwością pała
Złoczyńca we lwiej skórze — ludzkości zakała!
Patrzcie... wysuwa szpony... Ktoś puka we wrota:
Tłoczy się do drzwi możnych podłość i głupota;
Przymila się pochlebca do Plutusa dzieci,
Jak jaskółka za latem, on za szczęściem leci...
Patrzajcie, jak obżarstwo zapalczywie zmiata
Zagraniczne przysmaki ze stołu magnata!
Patrzajcie, jak lenistwo po sutej biesiadzie,
W aksamitnych wezgłowiach spoczywać się kładzie,
A panu za gościnność wdzięcznie a uprzejmie
Przedaje swą szablicę i swój głos na sejmie!...
Wszak już takich występków nie ma Polska nasza,
Od czasu, gdym je skarcił w mym W o r k u J u d a s z a?
Robactwo się nie pastwi nad społecznem ciałem??
Więc nienapróżno żyłem — niedarmo śpiewałem —

I Pan Bóg mię nagrodził w miłosierdziu świętem,
Że hydrę nieprawości znękałem ze szczętem!...
Lecz patrzajcie: tam szatan poruszył się w ciemnie...
Czego on tak chychoce? urąga się ze mnie!
Urąga się z mych pieśni, co miałem w pokorze
Zanieść jako zasługę przed Oblicze Boże!...

X.

Na wspomnienie szatana struchlał Jezuita,
Dziad kościelny pobledniał, kropielnicę chwyta
I podał egzorcyście. Ksiądz pokropił ściany:
Vade, vade, sathanas! — wyjęknął zmieszany
I gęsto krzyżem żegna chorego i celę: —
Odejdź, odejdź do piekieł, ciemności aniele!
— Nie! szatan nie odchodzi, nie lęka się krzyża...
Lecz patrzcie.. gość promienny do mnie się przybliża,
Uśmiechem uspokaja, gdy się serce trwoży...
Bądź mi pozdrowion, gościu, posłańcze ty Boży!
Ja czytam w jego oczach wyrok przebłagania,
Wiankiem cierni jak tarczą głowę mi osłania,
Aby potwór zabójczy nie zbliżył się do mnie...
Patrzajcie... ja nie marzę... ja mówię przytomnie.
Ja widzę ich — obadwaj latają w przestrzeni,
I obadwaj promiennym blaskiem otoczeni;
Lecz z jednego blask krwawy płomieńmi wybucha,
A w środku czarna postać straszliwego ducha.
Jakże dzikie szyderstwo czytam w jego twarzy!
Jaka zabójcza groźba na oczach się żarzy!
Straszno mi... módl się księże... krop święconą wodą,
Bo mię jego źrenice przepalą, przebodą...
O!... teraz mi już lepiej... przyleciał duch biały,
Jego tęczowe blaski całkiem mię obwiały,
A promyk z jego oczu aż mi serce głaska...
O, Hosanna! Hosanna! Zbawienie i Łaska!...
Czyż dla mnie takie szczęście? dla mnie taka chwilka?
Za kilka łez gorących, za mych cierni kilka,
Za miłość pól rodzinnych, com kochał z zapałem,
Za piosnki... których jeszcze — ach! nie dośpiewałem...

Co znaczy taka miłość? co znaczą te pieśnie? —
Teraz czuję, co mogłem... ale już niewcześnie...
O! gdyby jeszcze wskrzesnąć, gdyby pożyć więcej!
Dziśbym kochał goręcej i śpiewał goręcej,
Nie doznawałbym wstydu, co mię dzisiaj miota,
Żem zmarnował niebacznie cel mego żywota...
Wiele mi było dano — wiele się dopomną...
Biada mi!...
I odwrócił głowę nieprzytomną,
I kościstemi dłońmi zasłaniając oczy,
Wołał, że duch ciemności już mu piersi tłoczy,
Że mu nad samem uchem straszliwy wróg świata
Nicestwo jego życia na oczy wymiata.
— Uspokój się — rzekł Oczko — to gorączkę znaczy.
— Módl się — powtarzał kapłan — broń się od [rozpaczy,
Bo to szatan, jak zwykle, straszy przed skonaniem.
Padajmy na kolana — pomódlmy się za nim!
Poklękli... ale chory snadź jeszcze nie kona,
Silnie kipi mu w piersiach modlitwa stłumiona,
Choć słów nie wydobędzie z zachrypłego gardła,
Znaczno z promiennych oczu, że myśl nie umarła.
Jeszcze usta bełkocą to słowa nadziei,
To psalm pokutujących — Miserere mei;
A w starej jego harfie, co wisi na ścianie,
Znów po strunach przebiegło harmonijne drganie.

XI.

Zaskrzypiały drzwi w celi — i ksiądz rektor wchodzi,
A za nim ciżba mieszczan, i starzy, i młodzi:
Zeszła się na skonanie garstka prawowierna, —
To sławetni sąsiedzi, to krewni Acerna.
I spojrzeli po sobie i szepcą do ucha:
Jeszcze stary nie oddał Panu Bogu ducha.
Przecięż był rajcą miejskim.. jak duszno w tej celi!
Jakie twarde wezgłowie!... słoma na pościeli!
Wstyd... umiera, jak nędzarz... a mógł zebrać grosza.
Tak powiadał pan Andrys do pana Bartosza.

— Zachciałeś! — mówił Bartosz — ot harfa na ścia-
Jeszcze mu teraz w głowie piosenka i granie. [nie!
Oj, piosenki... piosenki... chciałbym słyszeć zdala:
Dziwnie muszą odbijać od murów szpitala.
Patrzaj, jak zmizerniało, jak mu się wychudło;
Tak to puszy poetów hypokreńskie źródło!
Jeździł dawniej do Gdańska ze szkutem i tratwą,
A w Gdańsku to nie żarty... tam o pieniądz łatwo:
Szyper przywozi pańską pszenicę lub żyto,
To go Niemcy nakarmią, napoją sowito,
A jeszcze, jak to u nich stary zwyczaj każe,
Od łasztu sprzedanego dają po talarze.
Mając z kopę talarków — o mocny mój Boże!
Wcale niezły handelek zaprowadzić może.
Człek nakupił atłasu, tabintu, jedwabi,
A u nas taki towar zawsze kupca zwabi,
Potem handelek szerszy, potem jeszcze szerszy...
A on w Gdańsku cóż robił? — rzucił się do wierszy,
I opisywał flisów rozliczne przygody,
Nadwiślańskie wybrzeża, wioseczki i grody,
I powrócił do domu z całym poematem,
I chciał się swemi rytmy popisać przed światem
Bywało kopę groszy zaledwie gdzieś złowi,
To zaraz do Krakowa i szle drukarzowi.
Sława rośnie po świecie — a tu długi rosną;
Więc rusza do lichwiarza z postawą żałosną:
Daj grosza na zastawę, ulituj się, bracie!
A nasz Fiksel lubelski, waszmoście go znacie,
Nim da halerz, to przezna cały człeka zasób,
Bierze lichwę w dwójnasób, albo we trójnasób:
Cóż za dziw, kiedy potem dług ze długu rośnie?
— Tak, tak, panie Bartoszu! — odpowie żałośnie
Pan Stach, co był w kościele starszym sodalisem:
Niechby sobie nakoniec zabawiał się Flisem;
Lecz go duma szatańska jeszcze dalej niesie:
Na księży Jezuitów bryknął w swym Ekwesie.
Wyniosła go pod Niebo Aryanów tłuszcza;

Lecz Pan Bóg takich rzeczy płazem nie przepuszcza,
I patrzcie, jakie zebrał niedowiarstwa plony!
— Tak, tak — rzecze pan Krzysztof, Aulicus rzeczony,
Bo służył w pańskich dworach: — mniejsza z Jezuity;
Ale jeśli plebujesz, sukmaną okryty,
Pocznie pańskim splendorum złorzeczyć niegodnie,
Wojewodów zadraśnie, hetmany ubodnie;
Gdy swawolnemu pióru popuściwszy wolę,
W jasny naród szlachecki satyrą ukole:
To musi z głodu umrzeć za karę bezprawi —
Niech się robak nie dziwi, że go lew zadławi.
Z panami najbezpieczniej, kiedy człek najsłodziej:
Dzisiaj Worek Judaszów bokiem mu wychodzi...
— Albo to, czy przystało mieszczańskiemu bratu —
Zarzucił pan Mikułasz, rajca skabinatu:
Gdy się sędzia żydowski puszy we swej chwale,
Jakby zasiadł w koronnym wielkim trybunale!
Potrzeba być obrotnym, wzbudzać postrach w Żydzie:
Stąd zyski i przezyski, stąd gotówka idzie,
A na szali Temidy ważąc adwersarzy,
Gdzie położą funt pieprzu, niech słuszność przeważy.
A u niego bywało sprawiedliwość kuta,
I dla niewiernych Żydów wertuje statuta.
Cóż za dziw, że zubożał sądowniczą władzą?
I głowę mu przekrzyczą, i grosza nie dadzą!
Tak rozprawiali z sobą sławetni mieszczanie; —
A harfa po raz trzeci zabrzękła na ścianie,
I chory siłę w piersiach odzyskał nieznacznie,
I jakby w takt jej brzęku odzywać się zacznie:

XII.

Obywatele miasta, sąsiedzi i krewni!
Dziękuję wam za pamięć, dziękuję najrzewniej.
Już sądziłem, że umrę (to cios najdotkliwszy),
Was ani pożegnawszy, ani przeprosiwszy...
Zbliżcie się, dajcie ręce... w ostatniej godzinie
Niech przed wami testament śmiertelny uczynię!...

Tu obecni spojrzeli, zdumieni po trosze,
Jakby zdając się pytać: Skąd nędzarz ma grosze?
I komu je zapisze? — Dobrze-ć, panie bracie! —
Odpowie pan Mikułasz, rajca w skabinacie. —
A wy zasię, sławetni i zacni mężowie,
Zważajcie pilnem uchem, co Acernus powie,
Aby, gdy ciało jego już opuści dusza,
Uroczyste zeznanie zanieść do ratusza,
A tam przed urzędniki i ad legis mentem
Ugruntować je pismem, stwierdzić juramentem.
Słuchajcie, bo to wielce uroczysta chwila!!
A chory blade czoło na rękę pochyla,
Odgarnął długie włosy, co mu twarz cieniły,
I z piersi ostatecznej dobywając siły,
Tak jął mówić:

XIII.

Oświadczam w mym przytomnym stanie:
Żem wierzył w Kościół święty, naukę, podanie,
Że żyłem wedle jego praw i obyczaju,
Bo to wiara mych ojców i mojego kraju.
A jeżeli przed laty targnąłem się śmiało
Na to, co moim oczom zdrożnem się wydało,
Niech pobożni Ojcowie, wasza niechęć znika,
Jak to mi Bóg odpuścił usty spowiednika. —
Tu uderzył się w piersi, a westchnąwszy skrycie,
Uczynił nizki pokłon Ojcu Jezuicie. —
Tę miłość, która pierśmi władała mojemi,
Przekazuję mej matce — rodowitej ziemi.
Nie przestanę z za grobu, gdzie mię Pan Bóg zowie,
Modlić się o jej szczęście, o społeczne zdrowie,
O zgodę panów radnych, o pomyślność kmieci;
A jeśli moja prośba do Pana zaleci,
To mam dobrą otuchę, że skrócę jej nędzę,
Od niej głód, mór, pożogę, szarańczę odpędzę.
Jakiż dam upominek dla miłego miasta,
Gdzie mi dano naukę, gdzie młodość podrasta,
Gdziem piastował urzędy na sędziowskiej ławie?

Cóż mu prócz kości moich w pamięci zostawię?
Ja kocham piękny gród nasz — ale tego mało.
O! jeżeli potomność otoczy mię chwałą,
Jeśli się opromieni moja chęć i praca,
Niech wszystek marny promień to miasto ozłaca.
Ja z krain wiekuistych tu wytężę oczy,
Moja rzewna modlitwa te dachy otoczy,
Wieże waszych kościołów i urzędów ławy,
Abyście sąd ludowi wymierzali prawy.
Tymczasem, bracia moi, cni obywatele,
Nie gardźcie temi rady, których wam udzielę,
W których całą życzliwość, co się w sercu mieści,
Testamentem oddaję z łoża mej boleści.
Miasto moje rodzone! tyś jest grodów kwiatem,
Pan Bóg dał ci być pięknem, ludnem i bogatem,
Król nowe przywileje coraz ci stanowi:
Bądźże wdzięczne a wierne Bogu i królowi!
Czemu pod twemi dachy tyle wiar się mnoży?
Czemu u was w pogardzie jeden Kościół Boży?
Dlaczego w rzeczach wiary tyle zdań was dzieli?
Czemu twoi duchowni Chrysta zapomnieli?
Czemu serce światową rozkoszą oddycha?
Dlaczego harde głowy podnosi im pycha? —
Zaklnijcie stan szlachecki, na Boga was proszę:
Niech rzuci buntownicze zjazdy a rokosze;
Niech raczej jednomyślnie, jak czynili starzy,
Wspólnemu dobru gwoli z królem się kojarzy.
 Zaklnijcie deputatów, co do nas w tej chwili
Na trybunał koronny zjechać się raczyli:
Niechaj czynią sąd ludziom sumienny a ścisły,
By bicze pomsty Bożej nad nami nie zwisły,
Aby tych pięknych murów, gwoli złej przemocy,
Nie rozbiła łza wdowy, albo jęk sierocy...
 Wy zasię, cni mieszczanie, do sądów się zbierzcie,
I napiszcie uchwałę, i mieczem uderzcie
Przedajność i bezbożność, co ku złemu uczy,
Lichwiarstwo, co krwią ludzką pasie się i tuczy,

I wybiegi pieniactwa, co do zguby pędzą,
I zbytki, które kiedyś opłacimy nędzą.
Niech kocha gród rodzinny każde małe chłopię,
Niechaj grzech fundamentów jego nie podkopie,
Niech cnota jego mury ugruntuje święcie...
To testament Acerna — to jego zaklęcie.
Na dowód, że się wszystko wedle prośby stanie,
Dajcie rękę, przesławni lubelscy mieszczanie!
Rękę waszemu bratu!... Cofacie się od niej?
Och! dajcie wasze słowo, a skonam swobodniej!...
Wyciągnął drżące dłonie. Zmieszany widocznie,
Cofnął się tłum zebrany, nie wiedząc, co pocznie,
Wzajem patrzy na siebie i do drzwi się skupia;
Jakby mu się wydało, że ta ręka trupia,
Że te słowa zapału — to z gorączki brednie.
Chory westchnie głęboko, twarz jego poblednie.
A wzrok, co jeszcze ogniem błyskawicy pała,
Wlepił na czarną ścianę, gdzie harfa wisiała.

XIV.

Harfo moja poczciwa, narzędzie ty Boże!
Komuż ja cię zapiszę? w czyje ręce złożę?
Lublin złowrogie miasto dla pieśni Sarmaty...
Pamiętam, kiedy tutaj przed dwudziestu laty
Umarł Jan z Czarnolasu, a ja, płacząc smutnie,
Pytałem: komu dzisiaj zostawisz twą lutnię?
A któryś z dobrych ludzi rzekł pochlebne słowa:
To twój spadek, Acernie — cythara Janowa...
Och! jeżeli to prawda, żem godzien tej łaski,
Patronie pieśni polskiej! Janie czarnolaski!
Jeżelim twoją lutnię odziedziczył w darze,
Słabo grałem — lecz grałem, jak mi serce każe.
Może popsuł jej struny niewdzięczny harfista,
Ale z rąk mych wychodzi nieskalana, czysta,
Jak była w twoich rękach — świętości nie traci:
Grałem przy niej dla Boga i dla miłej braci...
Mistrzu mój! ty w Niebiesiech zarzutu mi nie dasz,

Że choć jeden brzęk struny puściłem na sprzedaż;
Świadkiem moim niech będzie Bóg, serca świadomy,
Świadkiem ziemia lechicka i ten barłóg słomy,
Na którym dogorywam... Są tam łzy goryczy...
A ktokolwiek ten spadek po mnie odziedziczy,
Ktokolwiek będzie na niej ciągnął hymn ten samy,
Niechaj struny oczyści od tej rdzawej plamy.
Niech nie gardzi starego pieśniarza przestrogą:
Bo dźwięki chrapowate urodzić się mogą,
Staną się niepodatne jego słowa wieszcze,
Zamiast serca łagodzić, porozjątrza jeszcze,
Zamiast dusze oczyścić, jeszcze je poplami,
I stanie przed sąd Boży z próżnemi rękami,
Jak niewierny najemnik... Za pieśnię goryczy
Zapłatę jego żniwa czyż mu Bóg policzy?
Czyż, widząc jego chwasty, gorzko nie zapyta:
Dlaczegoś nie pracował, jak dobry najmita?...
O! kto nie chce mieć zgryzot i łez na ostatku,
Ktokolwiek pieśnię moją odziedziczy w spadku,
Niech ją samą miłością rozkołycha szczerze,
Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze!
A choćby kiedy ludzie zimni a nieczuli
Octem mu czarę życia i żółcią zatruli,
Choćby mu zgryzła serce jadowita żmija,
Niech nektar niesie braciom, a żółć sam wypija...
Bogdajby słowa pieśni nikogo nie bodły!...
A szkodliwszy od żółci panegiryk podły
Niech od ciebie, śpiewaku, będzie zawsze zdala,
Niech mojej staroświeckiej harfy nie pokala.
A jeśli mój następca płocho a niebacznie
Niegodnemu pieśń chwalczą pobrząkiwać zacznie,
Ty, pomnąc, żeś służyła piosenkom Acerna,
Pęknij pod jego ręką, moja harfo wierna!...
Tu głos wieszcza potężniał... potężniał pomału,
A twarz jego nabiegła rumieńcem zapału,
I drgają jego palce, jakby dźwięki chwyta.
Czegoś się zakłopotał Ojciec Jezuita,

Lica jego pobladły — i rzekł do lekarza:
Uśmierzajcie tę gorączkę, co mu krew rozżarza...

XV.

— Acernie! Pan Bóg z tobą — rzecze Oczko z cicha —
Hamuj zapęd twej piersi, gdy się rozkołycha;
Nie daj się dobrowolnie rozwijać malignie,
Wypij nieco tyzanny, to ci krew ostygnie.
— Nie trwóżcie się — rzekł chory — o bracia naj-
Krew już i bez tyzanny zastyga w mej piersi. [szczersi!
Ja czuję, że przeżywam mój ostatek ducha;
Lecz nim zgaśnie kaganiec, niech żywiej wybucha!
Przy ostatecznym blasku nim zgore oliwa,
Może się jaka prawda z cieniów wydobywa;
Dajcie niech się wynurzy, póki myśl migota..,
Wiesz, jakem szukał prawdy przez mój ciąg żywota...
Boże mój! czemuż właśnie prawda się odsłania
W ostatecznej godzinie... w godzinie skonania?...
Jak myśl kipi! a słowa powoli się wleką,
A jeszcze mój testament do końca daleko;
A tutaj jedno z drugiem kojarzy się tłumnie,
A tutaj biedna głowa marzy bezrozumnie,
A tutaj serce rwie się, rozpada na części...
Czyż chwilom ostatecznym Pan Bóg nie poszczęści?
A muszę, nim pożegnam oblicze tej ziemi,
Wygadać mój testament przed ludźmi dobremi,
Wygwarzyć wszystkie bóle, wszystkie me rozkosze...
Na czem to ja stanąłem?... pomóżcie mi, proszę!

XVI.

I ja byłem szczęśliwy — ja... dziś nędzarz stary!
I mnie niegdyś kochano — kochano bez miary;
Nie dorównałem inszym gładkością urody,
Lecz miałem nieco sławy — byłem jeszcze młody —
A młodość, głośne imię i dostatku nieco,
Zdoła zawsze podziałać na duszę kobiecą.
Jam ją kochał... och! kochał... o przepuść mi Boże!
Więcej niż własną duszę — niźli Ciebie może!

Przy niej cała mej duszy skupiła się siła,
Myśl ukradziona pieśniom u jej stóp gościła;
Jej obraz wciąż przede mną, uczucia me drażni;
Widziałem ją na jawie okiem wyobraźni,
A w snach moich, w snach pięknych, ona wciąż się
Przebaczcie, Aniołowie! ale waszej twarzy [marzy...
Niepodobna tak piękną i tak Boską zostać,
Jak ja oczyma duszy widziałem jej postać!...
Spełniły się wyroki... przeszło dni niewiele,
I kapłan nasze ręce połączył w kościele;
Nastała chwila szczęścia — przelotna a skora,
Przyszła snem — i uciekła, jako senna zmora...
Piękne były jej słowa, gdy rzewna jak dziecię,
Schyloną moją szyją rączkami oplecie,
I zda się całą przyszłość w moje ręce składa.
A ja myślałem w duszy: O biada mi, biada!
Jeżeli na tem czole spłoszę kiedy radość,
Jeżeli temu sercu nie uczynię zadość!...
I czyniłem modlitwy Przenajświętszej Pannie,
By tak wspólnem uczuciem goreć nieustannie...
Musiałem źle się modlić przed Dziewicą świętą:
Bo prośb nie wysłuchano, modłów nie przyjęto...
Nie spełniłem jej szczęścia, jak to mi się marzy:
I zapał uroczysty uleciał z jej twarzy,
Powszednia jakaś próżność i zimna rachuba
Już owionęła duszę pięknego cheruba,
Egoizm w taką szatę jej postać przyodział,
Że trudny stał się myśli i uczuć z nią podział...
Wreszcie jednego serca było jej za mało,
Jej myśl biegła gdzieindziej, jej serce kłamało:
I pierzchły mego szczęścia urocze widziadła,
I gadzina zazdrości do piersi się wjadła.
Zabójcze żądło w piersiach czułem tak boleśnie,
Ból przerywał sny moje, modlitwy i pieśnie,
Obrzydził mi naturę, od pracy odpędza...
I przyszły w dom niezgoda, zgryzota i nędza,
Zdrowie mię opuściło, a w długiej chorobie

Byłem nieznośny ludziom, nieznośny sam sobie...
Cóż za dziw, że tak długo cierpiąc nadaremnie,
Towarzyszka żywota odeszła ode mnie?
Rzuciła mię w chorobie?... Sąsiedzi i krewni!
Ulitujcie się nad nią! któż jej los zapewni?
Niech jej Bóg po mym zgonie lepszą dolę zdarzy:
Och! dosyć za swą płochość poniosła potwarzy!...
Powiedzcie jej sąsiedzi, żem w ostatniej chwili
Niedolę mego życia przebaczył najmilej.
Niechaj ma duszę moją na życzliwym względzie,
Niech sama mi przebaczy, niech szczęśliwa będzie.
Ja tam z wysokich Niebios, jeśli Bóg pozwoli,
Dopomogę modlitwą do jej lepszej doli.
Oddajcie jej ten pierścień z życzliwemi słowy,
Bo grób doczesnych ślubów zdejmuje okowy.
Tu ręką cisnął czoło, jakby zbierał zmysły,
A łzy długo tajone ze źrenic wytrysły;
Stęknął... i głosem cichym, urwanym co chwila,
Dokończyć pożegnania jeszcze się wysila.

XVII.

— Bracia moi, ziomkowie dobrzy towarzysze!
Żebraczym testamentem cóż ja wam zapiszę?..
Dobry Wojciechu Oczko, cóż zostanie tobie?
Ty w życiu, we złej doli, w ostatniej chorobie,
Zawżdy byłeś mi bratem — więc nie wzgardź ofiarą:
Mam pieśni Horacego i Biblię starą,
Tam znajdziesz pokarm duszy, tam sercu osłodę...
Lubiłem zbierać księgi w moje lata młode,
I zebrałem przez życie mnogie foliały;
Ale na starość książki na chleb się przedały,
Bom często łaknął chleba... biada niedołędze!
Tak odzież po odzieży, a księga po księdze
Rozbiegły mi się z domu... Mam jeszcze opończę:
Zabierzcie ją, Bartoszu, gdy ja żywot skończę,
Bo mnie włożyć do trumny dość starej sukmany..
Mam pałasz damasceński srebrem dźwirowany,
Przyda się wam, Krzysztofie, do wojennej sprawy;

Lecz go sami musicie wykupić z zastawy...
Wy, panie Mikołaju, ot ten krzyżyk weźcie,
Oddajcie waszej żonie, poczciwej niewieście,
Co w ostatniej chorobie z dobrocią kobiecą
Przysłała mi jarzyn lub owoców nieco...
Przeżegnaj twoją dziatwę — niech przyjmie gromada
Ostatnie pozdrowienie szpitalnego dziada...
Powiedz dziatwie, że kiedy w trumnie się położę,
Przyślę z Nieba gościniec — przeżegnanie Boże...
Wam zaś, panie Jędrzeju, cóż oddam w ofierze?
Przymijcie psa mojego, niech wam domu strzeże;
Niedługo się naprzykrzy, strzegąc wasze wrota:
Zabije go poczciwa po panu tęsknota...
Oto, bracia, już wszystko, co miałem na świecie...
Jeszcze mam do was prośbę... czy spełnić zechcecie?
Wszak byłem waszym ziomkiem, każdy tego świadom:
Sercem, głową i pismem służyłem sąsiadom;
Wszakże pospołu z wami całe życie prawie
Czyniłem sprawiedliwość na sędziowskiej ławie;
Wszak niegdyś mem imieniem było miasto dumne...
Złóżcie więc kilka groszy na żebraczą trumnę,
Poślijcie na podzwonne, pomyślcie o stypie
Dla żebractwa... co piaskiem oczy me zasypie...
A teraz... Bóg was żegnaj! odchodzę w świat nowy...
Ciężą mi... och! jak ciężą cielesne okowy!...
A w kościanym szkielecie dusza niecierpliwa,
Jako z klatki ptaszyna... targa się... wyrywa...
Chce lecieć na swobodę... do słońca... do ciepła...
Chryste... rozwiąż jej więzy...
Tu mowa zakrzepła,
Chory usnął... i cisza nastąpiła w celi.
Obecni bicie serca i oddech przycięli.
Zegar wybił godzinę — a gdy echo kona,
Ozwała się na ścianie harfa nieruszona
Raz i drugi — a potem wszystkie struny pękły.
Oczko wokoło siebie rzucił wzrok przelękły,
Zbliżył się do chorego — wziął za puls — i płacze:

Już przed Bogiem stanąłeś, lechicki śpiewacze,
Módlcie się!...
I obecni poklęknęli bladzi;
I stał się cichy rozruch w klasztornej czeladzi;
Jezuita krzyż skreślił nad umarłą głową,
I Requiem aeternam wyciągnął grobowo;
Zahuczał dzwon kościelny, ile jęku stanie,
Głosząc po całej Polsce Acerna skonanie...

DOŚPIEWEK.

Nazajutrz stał się w mieście rozruch i żałoba:
Trup, co leżał w szpitalu, na łożu Hioba,
Złożono w pyszną trumnę na spoczynek w ziemi,
Obitą aksamitem, frendzlami srebrnemi;
Na trumnie leży harfa z porwanemi struny;
Cały kościół obito w grobowe całuny;
Zebrani na trybunach szlachta i panowie
Tak płacą hołd zapóźny zasłużonej głowie.
Kraj, który patrzał zimno, gdy zabija nędza,
Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza.
I sowity był pogrzeb — i naród się cieśni,
I w sto głosów śpiewano rekwialne pieśni,
I Ojciec Jezuita z wysokiej ambony
Wyliczał jego zasług szereg niezliczony;
I polskiego Acerna pochwała wymówna
Aż z łacińskim Horacym i Nazonem równa.
A gdy trumnę sierocą złożono na mary,
Stanęły cechy miejskie ze swemi sztandary,
Muzyka trybunalska smutne grała marsze,
I rajce skabinatu — ławniki najstarsze,
Nieśli trumnę do grobu — a potem na stypie
Szlachta wino rozlewa, grosz ubogim sypie,
I hojnie łza wytryska oczmi pijanemi —
Krzyczy: Vivat Acernus! chluba naszej ziemi! —
Ale łezką serdeczną nad grobem ofiary
Zapłakał stary Oczko — i z nim brytan stary,

Co błądząc po cmentarzu zwieszał smutną szyję.
Zgadł Acernus, że straty pana nie przeżyje:
Przez trzy dni wył nad grobem — na czwarty dzień
Zwlekł kędyś stare kości, — już go nie widziano. [rano

* *
*

Od śmierci Acernowej trzeci wiek upływa,
A jeszcze pieśnią jego tchnie lechicka niwa,
Jeszcze jego nagrobek marmurowy, stary,
Pokazują przychodniom u lubelskiej fary.
Czcili go ludzie dawni — uczcijcie współcześni,
Męczennicy żywota, męczennicy pieśni!
Ojcze! jeżeli pragniesz przekonać twe dziecko,
Jak są wiersze i piosnki zabawką zdradziecką,
To przyprowadź je tutaj, a opowiedz wiernie
O żebraczym szpitalu i biednym Acernie;
A jeśli łzę postrzeżesz na oczach młodzieńca,
Jeśli ten wzór do piosnki jeszcze nie zniechęca,
Odżałuj twego syna — Nieba go wybrały
Do cierniowej korony i do palmy chwały!

Lipiec 1855. Borejkowszczyzna.

TRĘZLOWE.

GAWĘDA KU SZLACHECKIEMU ZBUDOWANIU.

I.

Hej, młokosy, żal mi was!
Niby stary znacie czas,
Niby wiecie o narodzie:
Jak żył szlachcic na zagrodzie,
Jak na zamku władał pan,
Jak się w celi modlił mnich;
Znacie w Polsce kilka zmian,
I sądzicie naród z nich.
Ej, do czarta taki sąd!
Tysiąc błędów idzie stąd,
Tysiąc bredni ciśnie druk,

A tych druków owoc masz!
Będzie bredził późny wnuk,
Jak za matką *Ojcze nasz*,
Przenaturzy, przeklnie, złaje
Staroświeckie obyczaje,
Zarumieni twarz.

II.

Ot! mówicie w jeden głos:
Że brat szlachcic służby niósł,
Że w magnackim karmion dworze,
Swego zdania mieć nie może,
Że za lichy gruntu morg,
Że za kufel, miedzi trzos
Swe sumienie dawał w borg,
Swój sejmowy przedał głos.
Jużci... jużci... jakoś tam
Były grzechy — ja to znam:
Służebnością ginął świat,
Zaściankowy podlał brat...
Ale nieraz mierny stan
Z panem zęby gryzł do dziąsł,
I niełatwo jasny pan
Zaściankową bracią trząsł:
Mimo hardej swej postaci,
Musiał w braci — uznać braci.

. . . .

III.

Gdy nie wierzysz, zobacz sam:
Ja ci mały przykład dam.
Żył przed laty w gronie braciej
Stary żołnierz, Bardysz Maciej.
Świat splondrował wprost i wstecz,
Z mnogich wojen wrócił zdrów,
A na starość chrobry miecz
Już zawiesił u swych głów.
Włókę gruntu czynszem wziął,

Zaprowadził ule pszczół,
Zaprowadził stado klacz,
Wyhodował hartów smycz,
Na jarmarkach był to gracz,
Na zwierzynę był to bicz.
Płacił czynsz na święty Jerzy,
Panu czołem nie uderzy;
Lecz kto z braci mu zawierzy,
Jak na brata licz!

IV.

Konie jego — znaczny ślad
Jeszcze dawnych polskich stad:
Maść gniadawa albo kara,
Pół Araba, pół Tatara,
Co to z wiatrem idzie w lot,
Co się z człekiem umie zrość,
Co przeczuwa cugli zwrot,
Co kierować myślą dość,
Co to czuje, że jest żyw
Z owsa, siana polskich niw,
Co wśród boju, wśród pałaszy,
Wie, że broni swojej paszy,
I już leci z całych sił,
Gdzie bojowy ujrzy pył,
Gdzie usłyszy trąby zgrzyt;
A zapałem samym syt,
Nie pomyśli przez trzy doby,
Gdzie spoczynek, gdzie są żłoby, —
Czuje męski wstyd.

V.

Sześć rumaków, jakby strzał,
Stary Bardysz w stajni miał.
A że nie chciał gnuśnieć marnie,
Toć i charty z jego psiarnie,
Czy przez gęsty sadząc płot,
Czy to w poprzek polnych miedz,

Mogły z wiatrem w zawód biedz,
Mogły ptaszka dognać w lot.
Lisa zwrotów już nie ucz,
Bo to stary majster zdrad,
Zając umie w błędny klucz
Gmatwać skoków swoich ślad;
Lecz odprzęgnij sfory stal,
Każ za zdrajcą lecieć w dal,
Ruszą zwierza wierne psiska
Z najskrytszego legowiska —
Jeno w łeb mu pal!

VI.

Stary Bardysz lubił ruch,
Był do konia jeszcze zuch,
Lubił z charty latać w pole,
Przypominać swe swawole
I sąsiadom dawać wzór
Hartowności czasów swych,
I w ostępie stać jak mur,
I odyńca brać na sztych,
Lub z rusznicy — kuli treść
W niedźwiedziowe kudły wpleść.
To też starca wielbił lud;
Powiadano ze wszech stron:
Bardyszowe konie — cud,
Dzielne charty trzyma on!
I rusznicę ma nielada,
Koniem, chartem, strzelbą włada;
Lecz nad charty, strzelby, konie,
Duch dzielniejszy w sercu płonie
U starego dziada.

VII.

Doma sławy mając dość,
Dalej... dalej począł rość:
Między pany, kasztelany,
Maciej Bardysz już był znany.

Pan miejscowy zwrócił twarz,
Myśliwemu wielce rad,
Od którego szlachcic nasz
Trzymał czynszem gruntu szmat.
Był to wielce możny człek,
A książęciem z wieka w wiek,
A tak hardy, że to wciąż
Kasztelaństwem wszystkim dmie.
Więc oświadcza wielki mąż,
Że Macieja poznać chce.
Lecz Macieja myśli insze:
— Co mi z tego? płacę czynsze;
Łask nie trzeba mnie!

VIII.

Rad ze swoich hardych słów,
Łaskę szlachty skarbi znów.
Lecz z panami trudne żarty:
Pan kasztelan wciąż uparty,
Znów przysyła dworzan dwóch,
By do zamku starca zwać;
A choć może dworski słuch
Harde słowa dał mu znać, —
Był z Bardysza wielce rad,
Przyjął w zamku za pan-brat,
Puhar miodu przepił doń;
A że był to łowów czas,
Wyciągając pańską dłoń,
Prosił jutro z sobą w las.
Tak uprzejma pańska łaska
Bardyszowe serce głaska, —
To już nałóg w nas.

IX.

A nazajutrz, hejże! hej!
Życie wrzało w głębi kniej:
Spolowano dwa obchody,
Legł pod strzałem warchlak młody;

A dzik stary w susach złych
Bardyszowi zgubę niósł,
Lecz się potknął na sam sztych,
Jak nieżywy padł na wrzos,
Bardysz zręcznie skoczył w tył
I strzał celny w łeb mu wbił.
Hucznym krzykiem cały dwór
Salutował celny strzał,
Dźwiękiem trąbek szumiał bór,
Że ktoś w sercu jakby grał;
I za dzika starą głowę
Pito huczne pogrzebowe,
Miód się zdrojem lał.

X.

Rzekł kasztelan: Teraz dość!
Dajmy dzikom w lasach rość;
Ot w zaroślach piękna łączka,
Puścim charty na zajączka,
Puścim gończe między chróst,
Dojeżdżaczy puścić w tan!
Rozkaz pobiegł z ust do ust.
— Panie Bardysz! — rzecze pan —
Okazały waścin chart,
Zobaczymy, co on wart.
Chcę pohasać konno sam,
Jeśli łaska daj mi smycz,
A na wzgórku staniesz tam
I obroty nasze licz.
Przed tak dzielnym, jak wy, starcem
Popisowym ruszę harcem,
Jak na Hordy dzicz!

XI.

Smycz z chartami ujął w dłoń,
Wskoczył na koń — parsknął koń;
Wtem głos gończych jęknął głuchy,
Wybiegł szarak długosłuchy,

Stanął słupem, patrzy w bok,
Wypatruje kędy biedz,
Stulił uszy, sprężył skok
I wzdłuż żółtych polnych miedz
Rwie do lasu z całych sił,
Aż się za nim kłębi pył.
Więc kasztelan ruszył w czwał,
Charty przed nim lecą w sznur,
Jakby jeden wicher gnał
Długie, wązkie pasmo chmur:
Zwierza, strzelca, chartów, psiarnię
Lekką taśmą pył ogarnie
Z żółtych pól i gór.

XII.

Długosłuchy pojął rzecz,
Skluczył na bok... charty w przecz, —
Dziarski rumak, czoło stada,
Już dopada, już dopada, —
W kasztelanie kipi krew.
Palnąć z konia miał już wczas,
Kiedy pędząc mimo drzew,
Zając skluczył drugi raz,
Chyłkiem... chyłkiem z góry w dół
Poplątane ścieżki snuł.
Niedaremnym strachem gnan,
Coraz w dalszy sadzi kres;
Już go z oczu stracił pan,
Jeno węchem tropi pies.
Wedle ścianki po manowcu
Od mogiłek w chróst jałowcu
Już dobiegał, już miał wpaść —
Gdy kasztelan zajął tył:
— Nie uciecz esz w chrósty waść!
Hedźha, psiska! z całych sił!
Zając skluczył po raz trzeci,
Nieprzytomny w pole leci,
Aż się kurzy pył.

XIII.

Na rumaka wyszedł pot,
Całą niwę tropem zgniótł.
W lewo, w prawo zając myli,
Już odleciał na pół mili,
Już go w knieję pędzi czart,
Kroków może trzy czy dwa;
Lecz Bardyszów zręczny chart
Już dogania, już go ma.
Pisnął zając w smutny głos,
I do góry oczka wzniósł,
I zduszony trupem padł,
Kiedy pan z kopyta grzmi,
Dobiegł, z konia skoczył rad,
I pogłaskał dzielne psy,
I ze skoków dał odprawę,
I otrąbił swoją sławę,
Jak za dobrych dni.

XIV.

Bardysz śledził każdy zwrot:
— Jak z partesów! jakby z nót!
Dzielny rumak, dzielne psiska!
Dzielne serce u paniska!
Jak on z koniem umie grać!
Jak szykowny każdy ruch!
Jak myśliwca zaraz znać!
I na wojnie pewno zuch!
Co mi po tem, pan czy czart?
On przyjaźni mojej wart!
Po wojacku rękę dam,
Po bratersku rzeknę doń:
Że kasztelan, co mi tam!
Ja myśliwca ściskam dłoń!
I uczynił, jak powiedział,
Bo nie dzieli bogactw przedział,
Kogo łączy broń.

XV.

Pan utroczył zdobycz swą,
Sadzi kłusem — trąby grzmią.
Dwór winszuje — stu lat życzy.
A on, charty dzierżąc w smyczy:
— Mości Bardysz! — krzyczy w głos —
Skarb posiadasz a nie psa!
Za tę zdobycz, co mi wniósł,
Sto dukatów każdy da;
Bo to rozkosz, mówię wam,
Z taką psiarnią kiedy szczwam!
Jaka zmyślność! jaka maść!
Jak przeskoczył dzielnie rów!
Sto dukatów! bierzesz waść?
Żądasz więcej?... śmiało mów!
Tam u waści głodno, chłodno,
Ja mu psiarnię dam wygodną,
Będzie żyw i zdrów!

XVI.

Bardysz wiedział, co to cześć,
Hardej mowy nie mógł znieść,
Lecz w łowieckim dziś zapale
Nie uważał na nią wcale;
Bo nie pański złota trzos,
Lecz myśliwski cenił duch.
Więc z daleka krzyknie w głos:
— Kasztelanie! jesteś zuch!
Na mą przyjaźń teraz licz,
Niech ci służy moja smycz;
Na pamiątkę charta bierz,
Który z tobą dzielił znój,
Niech uszczwany każdy zwierz
Przypomina afekt mój.
Weź pamiątkę w mej chudobie,
A pieniądze schowaj sobie
Na twych dworzan rój!

XVII.

Magnat skraśniał gdyby mak,
Targnął wąsy — gniewu znak;
Lecz że szlachtę skarbił wkoło,
Wypogodził dumne czoło,
I braterski przyjął dar,
Mimo świetny pański ród.
Wtem myśliwski zagrzmiał gwar,
Pito wino, pito miód.
A gdy orszak ruszył z kniej,
Pan rozmyślał w duszy swej:
Hardy szlachcic! mądry snadź!
Obyczaje pańskie wie:
Stu dukatów nie chciał brać,
Podarunek daje mnie!
On rozumie, że w łask drodze
Ja go hojniej wynagrodzę:
Pana odrzeć chce!

XVIII.

Tak panowie w każdy czas
O rachubę winią nas!
Daj mu serce jak na dłoni,
A on za to trzosem dzwoni,
I rozumie, że za grosz
Można kupić cały świat,
Wioskę, ziemię, łany zbóż,
Dusze ludzkie z liczbą chat,
Kupić sobie roje sług,
Serca niewiast, koni cug!
Skąd się wzięły, dziwna rzecz,
Takie myśli do ich głów!
Trzeba w dzieje zajrzeć wstecz...
A to przedmiot inszy znów!
Więc zostawmy refleksye:
Kto z faworów pańskich żyje,
Niechaj żyje zdrów!

XIX.

Przeminęło kilka dni;
Stary Bardysz ani śni,
Gdy doń w gości przybył z rana
Pan koniuszy kasztelana.
Był to starzec, jak i on,
Zaściankowy sobie człek,
Lecz przybyły z dalszych stron,
Służył panom cały wiek.
Tak w ukłonach zginał grzbiet,
Że służalca poznasz wnet.
Tylko męstwa dawał ślad,
Kiedy konia puścił w czwał;
Bo, mosanie, z młodych lat
On godniejszą przeszłość miał:
Służył w wojsku wraz z Bardyszem,
Był w chorągwi towarzyszem,
Szturmem zamki brał.

XX.

Jak z Bardyszem oni dwaj,
Tak był tedy cały kraj:
Jeden dworak, człek bez woli.
Drugi rolnik, pan swej roli.
Dworak życia nie miał nic.
Blady, słaby, wątłych sił;
Rolnik czerstwy, zdrów jak rydz,
Chociaż czarnym chlebem żył.
Dworak młodszy kilka lat.
Choć z panami za-pan-brat,
Lecz posiwiał, snadź od trosk.
Aż na niego spojrzeć żal!
Pan koniuszy był jak wosk,
A pan Bardysz jako stal, —
Że kto spojrzy, każdy powie:
Komu takie dano zdrowie,
Pana Boga chwal!

XXI.

— Kopę latek — Kopę zim!
— Jakże zdrowie? — Krucho z niem!
I tak dalej — gadu... gadu...
Przyszedł wreszcie czas obiadu: —
Zadymiła wdzięczna woń,
Wnieśli flaszę na ich dwóch,
Poszła czarka z dłoni w dłoń,
Misa barszczu znikła w puch,
Potem suty z kaszą zraz
I gorzałka drugi raz!
Bardysz kazał miodek wnieść, —
Wychylono — powstał gwar,
Rzekł koniuszy: Dobra wieść!
Pan kasztelan szle ci dar!
Ej, rotmistrzu! dar nielada:
Dzielny rumak z jego stada,
Dzielny ze wszech miar!

XXII.

Stary Bardysz zmarszczył brew,
Zakipiała harda krew
I pomyślał: Co u kata?
To za charta snadź zapłata!!
Poczerwieniał, zjeżył wąs;
Lecz rozwaga przyszła w czas, —
Więc bez żadnych rzecze dąs:
Łaska pańska żywi nas!
Pan Kasztelan zna swój stan,
Chce żyć z ludźmi jako pan
Mój podarek licha wart,
Lecz hojniejsza jego dłoń:
Co inszego dzielny chart,
Co inszego dzielny koń.
Za pamiątkę tak zaszczytną
Moją wdzięczność czołobitną
Raczysz odnieść doń.

XXIII.

Puhar w puhar — razy z sześć
Kazał rotmistrz miodu wnieść.
Potem wyszli na krużganek:
Tam pod stajnią koń, kasztanek.
Skakał, wił się gdyby wąż,
Targał tręzlę z całych sił,
Jeżył karczek, parskał wciąż.
Kopytami żwirek bił.
Rzekł koniuszy: Widzisz waść,
Co za kształty! co za maść!
Dobrze wróżyć można z niej!
A w tem oku jaki blask!
Wdzięcznem sercem przyjąć chciej
Kasztelańskich fawor łask!
Bardysz tylko kiwnął głową,
Z pod nawisłej brwi surowo
Spojrzał jako żmij.

XXIV.

Lecz złagodził wkrótce twarz.
Wdzięczny uśmiech znowu masz;
Koniuszemu rzekł z powagą:
Gratias ago! gratias ago!
Pan wspaniały — rzeczcie mu,
Żem z rumaka wielce rad.
Co zaś do was — w Polsce tu
Jest obyczaj z dawnych lat:
Biorąc konia albo cug,
Dla stajennych cudzych sług
Trza podarek jakiś dać;
Tręzlowego to się zwie.
Tedy wdzięcznie przyjmij wać,
Na co jeno stało mnie:
Składam waści na ofiarę
Pistoletów dzielnych parę —
Spodobacie snadź.

XXV.

Wyniósł tedy piękną broń,
Koniuszemu wcisnął w dłoń.
Patrzcie! — rzecze: to broń przednia,
To po Turkach jeszcze z Wiednia.
Gdy mój ojciec w gradzie kul
Wezyrowski namiot brał,
Jak Sobieski, dzielny król,
Pistolety jemu dał.
Tu arabskie słowa są.
A jak biją kroków sto!
Gdy nie wierzysz, to sam strzel,
Lub ja, pozwól, próbę dam!
Rzekł — i śmiało wziął na cel
Łeb rumaka — i w łeb sam
Palnął kulką o trzy kroki;
Rumak wydał stęk głęboki,
Trysły mózgu, krwi potoki
Do stajennych bram.

XXVI.

I bez ducha trupem padł
Kasztelańskich czoło stad.
— Teraz kwita! — Bardysz powie:
Nie zawstydzą nas panowie.
Ma kasztelan żart za żart.
To, coś widział, odnieś doń:
Co inszego rączy hart,
Co inszego dzielny koń.
Ja, mospanie stary szpak,
Ja się nie chcę mieniać tak.
Jam w pamiątce charta dał,
Wynagradzać ni się waż!
Oto teraz celny strzał
Porachunek zrównał nasz!
Tak powiadał dziad wyniosły,
Aż mu wąsy w górę rosły,
Aż kipiała twarz.

XXVII.

Od bogatszych większy dar
Mnieby wstydził ze wszech miar.
Jam żołnierskiej człek natury,
Lubię pościel z końskiej skóry:
Upominek mi się zda,
Ale zysków Boże broń!
Warta charta skóra ta,
A zadrogi byłby koń.
Raczcie dzięki moje nieść
Za pamiątkę i za cześć.
Jakem z reszty spłacił dług,
Nie zapomnij moich słów.
A gdy zręczność poda Bóg,
Dam pamiątkę panu znów.
Waść, koniuszy, masz tręzlowe,
Pistolety zabierz owe,
I bywaj mi zdrów.

1855. Borejkowszczyzna.

WIELKI CZWARTEK.

OBRAZ WIOSKOWY.

I.

Był Wielki Czwartek — poranek marcowy —
Na czarnych polach topniał lód zakrzepły,
Śpiewał skowronek, wiatr chystał się ciepły
I ciepłe myśli napędzał do głowy.
Człowiek skwapliwszy do Boga i świata,
Bo coś mu serce wiosenniej kołata.
Po sinem Niebie kilka chmurek płynie,
Nad czarną ziemią mgła ranna się ściele:
Nad cichą wioską, po czarnej równinie
Huczy dzwon stary — bo dziś Msza w kościele.
I przed drewnianą, zamszoną dzwonnicą,
I pod kościoła pochyloną ścianą,
Dzisiaj lud Boży zgromadził się rano.

Bo każdy przyszedł z wielką tajemnicą
Swe całoroczne i błędy, i bole
Wyznać u kratek do ucha plebana,
A w łzach, gdy ciężka zasklepi się rana,
Spożyć Chleb życia przy Chrystusa stole.
Nim organista kościółek otworzy,
Wedle dzwonnicy kupi się drużyna;
Jeden się modli, grzechy przypomina,
A drudzy gwarzą, by czas zeszedł sporzej.
Jest o czem gwarzyć, jak zwyczajnie wiosną:
Czas ruszyć z sochą — a tu niema chleba;
Woły do pracy pokarmić potrzeba,
A trawy jeszcze nieprędko wyrosną!
Sianka niewiele w ubogiej odrynie,
Ostatnia wiązka skarmi się co chwila;
A ruń z pod śniegu źle się coś wychyla,
Bóg raczy wiedzieć, czy nas głód ominie?
A choć u wszystkich w jednakiej chudobie
Jednaka dola i myśl w jednej stronie,
Miło z sąsiadem pogawędzić sobie,
Wedle dzwonnicy siadłszy na bierwionie,
Pokiwać głową po szczerej gawędzie:
Tak, tak, sąsiedzie! Bóg wie co to będzie!

II.

Lecz brzękły klucze w ręku organisty, —
Przeszedł przez cmentarz, mrucząc święte Psalmy.
A starcy mówią: Dziś dzień uroczysty!
Choć na czas myśli znikome oddalmy,
Zdajmy swą dolę na wyroki Boże,
A jakoś biedę przekołacem może.
I w rdzawym zamku zaskrzypiał klucz stary,
Dzwon stęknął, mruczy, chwieje się, kołycha;
Za organistą do wioskowej fary
Tłoczy się ciżba gromadnie a z cicha;
A choć stąpają najciszej jak mogą,
Odbija łoskot echo pod podłogą.

III.

Kościół ubogi, — w ołtarzu po prostu
W ciemnych lichtarzach cztery żółte świeczki,
I stary obraz wiejskiego pokostu,
Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
We dwóch ołtarzach, na prawo i lewo,
Jest Matka Boska i święty Antoni;
Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
A patron święty ma lilię w dłoni.
Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
Na szorstkich rękach małe dziecię niańczy.
Tuż przy ambonie dwa konfesyonały,
Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
I w czarnych ramach obraz wypłowiały,
Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
Cztery chorągwie, a każda podarta,
U skromnych ławek utkwione na boku:
Tam święty Michał pokonywa czarta,
Tam święty Jerzy pastwi się na smoku.
Wojciech odbiera palmę z rąk Anioła,
I śmierć do tańca wszystkie stany woła.

IV.

Skrzypły drzwi boczne, — wioskowa gromada
Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski
Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
Prosić u Niebios przed spowiedzią łaski;
Przypadł do świętych Ołtarza podnóży,
Aż głuche echo odhuknęło w sklepie.
Wtedy pacholę, co mu do Mszy służy,
Dziecięcym głosem M i s e r a t u r trzepie.
I C o n f i t e o r z ust dziecinnych płynie
Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

V.

Powstał ksiądz pleban i poszedł pomału
W nawę kościoła do konfesyonału.
Błysła promieniem jego twarz, jak święta,

Skreślił znak krzyża — cofnęły się świadki,
I najpierwszego z rzędu penitenta
Przyzwał skinieniem przed pokutne kratki;
Złocistą stułę skrzyżował na łono,
Ukrył się w chustkę kraciastą, czerwoną,
I począł badać aż do głębi ducha...
Co tam gadali, Bóg chyba podsłucha.

VI.

Tak jeden, drugi, i trzeci, i czwarty,
Zalani łzami, odeszli od kratek.
W bocznych ołtarzach snadź z piersi rozdartej
Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
Już ksiądz nie słyszy, ale Pan Bóg słyszy,
Jak z serca ciężka odpada im żmija,
Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy,
Siedem Ojcze nasz i Zdrowaś Marya.
A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogrojcu,
Wyspowiadana modli się gromada,
Kiedy ostatnie mówi Chwała Ojcu,
Z kościelnych okien słońce na nich pada.

VII.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta,
A pleban ciągle za kratkami siedzi,
Lud to się przyszłą spowiedzią zaprząta,
Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
I klęka jeden, potem drugi po nim
Przed Matką Boską i świętym Antonim.
Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
Jeden do pana odezwał się śmielej,
Drugi swe żyto może przedał drogo,
Trzeci w gospodzie hulał co Niedzieli,
Albo na bratnią gospodarkę siada,
Albo przekosił granicę sąsiada, —
Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym a krwawym mozole

Złamał Niedzielę — i pracował jeszcze, —
Lub się ze skargą na Opatrzność miota:
Oto są grzechy kmiecego żywota.

VIII.

Pleban, co z ludem przepędził swe życie,
Być jego Ojcem wziął za powołanie,
Błędów ich serca świadom należycie,
Najskuteczniejsze lekarstwo ma na nie.
Słówko porady, a słówko pociechy,
Szczere zaklęcie na Chrystusa rany, —
A już wytrysła łza żalu za grzechy,
Już grzesznik został z Bogiem pojednany;
Lekki na duchu od brzemion sumienia,
Odszedł rozgrzeszon — godzien rozgrzeszenia!

IX.

Tak po kolei, z pokutników grona
Wiejska dziewczyna wedle kratek stanie:
Młoda snadź dusza, pokorą wiedziona,
Święte Kościoła spełnia przykazanie.
W łagodnym wzroku, w uśmiechu dzieciny
Jeszcze nie świta żadna myśl namiętna;
Na jej obliczu nie dopatrzysz winy,
Bo grzech od razu wyciska swe piętna.
Czy może życia gorycze i bole
Tutaj przywiodły jej duch udręczony?
I tego nie znać: bo na jasnem czole
Niema zadraśnień z cierniowej korony,
Co to do głowy wpija się i wjada
I boli w mózgu, jak rana głęboka,
Na czole z karbów jak z liter układa
Historyę życia, czytelną dla oka.
Tu jeszcze czoło jakby karta biała,
Złoci się na niem niewinna swoboda;
I piękną była pokutnica młoda,
Gdy się, jak wstydząc, do kratek zbliżała:

Tak się rumienić grzesznik nie jest w stanie,
To nie wstyd hańby, lecz zakłopotanie.

X.

Ksiądz nad nią znamię nakreślił krzyżowe;
Ona się żegna i klęka u kratki,
Białą oponę zarzuca na głowę
I ręce składa — cofnijcie się, świadki!
Niechaj nikt na nią nie pogląda zdala,
Nikt nie natęża ciekawego ucha:
Bo jeden wyraz jeśli kto podsłucha,
Już całą spowiedź dziewiczą pokala.
Dajcie, niech z Bogiem rozgada się szczerze,
Na drogę życia weźmie umocnienie;
Ona niedługo miejsce wam zabierze,
Bo taka spowiedź — krótka, jak westchnienie.

XI.

Ale już kwadrans trwa spowiedź dziewczyny,
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Zegar kościelny wybił pół godziny,
I trzy kwadranse, i godzinę całą —
A ona, płachtą płócienną okryta,
Jeszcze na miejscu klęczy pokutniczem;
A stary pleban z ojcowskiem obliczem
Jeszcze coś szepce i o coś ją pyta.
Kończy się wreszcie spowiedź uroczysta,
A pokutnica, drżąca i wybladła,
Do stóp świętego trybunału padła,
A na jej oczach błyszczy łza kroplista.
Kapłan się modlił dłużej, niż zwyczajnie;
Wyraz pochmurny pokrył jego lice:
Musiał usłyszeć wielkich grzechów tajnie —
I nie rozgrzeszył młodą pokutnicę.
Och! jeśli wina najcięższa ją brudzi,
Jeżeli godna czyśćowej katuszy,
To już w tej chwili miała czyściec w duszy,

Gdy po raz pierwszy spojrzała na ludzi!
Gdy ludzkich źrenic ciekawych tak wiele
Tysiącem żądeł w jej serce się wpiły,
Chciała płacz wstrzymać — lecz nie stało siły,
Bolesne łkanie jękło po kościele.
Wreszcie się zrywa i oczy zasłania,
Między filary najciemniejsze kroczy,
Kędy na ścianie wisiał na uboczy
Obraz Maryi, Matki przebłagania.

XII.

Tymczasem spowiedź szła dalszą koleją:
Przychodzi jeden, i drugi, i trzeci,
Wyznając winy, łzy pokutne leją
Mężowie, starcy, niewiasty i dzieci;
Kolejno skruchą oczyszcza się rzesza,
Ręka kapłańska każdego rozgrzesza.
Coraz mniej ludzi u konfesyonału,
A dziad kościelny na wotywę dzwoni,
Gdy stary wieśniak z siwizną na skroni
Do świętych kratek zbliżył się pomału.
Ukląkł pokornie, przeżegnał się zwolna,
Westchnął głęboko, czapką twarz zasłania,
A dusza prosta, do kłamstwa niezdolna,
Poczęła swoje grzechowe zeznania.
Niewielkie muszą być grzechy w człowieku,
Co w cichej wiosce i z ludźmi prostemi
Przebył wiek czynu — już we wspomnień wieku
Spokoju bliźnich nie zmąci na ziemi:
Bo krew, co krąży powolniej a czyściej,
Dojrzałe myśli do spokoju zowie,
I szał miłości albo nienawiści
Nie zagra w sercu, nie zakipi w głowie.
Próżno się z chóru organista zżyma,
Że pora służby odprawować Boże:
Starzec niedługo plebana zatrzyma,
Bo taka spowiedź długą być nie może;

Msza święta wyjdzie za kwadrans najdalej —
Śmiało niech świeczki zakrystyan pali!

XIII.

Tymczasem starzec wciąż gada swe winy,
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Wybija kwadrans, bije pół godziny,
I trzy kwadranse, i godzinę całą.
Już zakrystyan, sztuka niecierpliwa,
I sam się krząta, i chłopców napędza;
Już organista I n t r o i t przegrywa,
Aby wywołać od spowiedzi księdza;
Już świeczki gorą u Pańskich ołtarzy,
Pokutne Psalmy zmówiła gromada, —
A pleban jeszcze starego spowiada,
Widać wzruszenie na obudwóch twarzy.
A gdy nakoniec po spowiedzi długiej
Starzec padł na twarz, ksiądz mówił pacierze,
To na ich oczach znaczno było szczerze,
Że się spłakali i jeden i drugi.
A jednak znaczno, że łzami cierpienia
Jeszcze grzechowy nieomyty zakał:
Bo ksiądz starcowi nie dał rozgrzeszenia,
A starzec głośno, jak dziecię, zapłakał.
I długo leżał przed konfesyonałem,
Chociaż nań ludzie patrzą, jak na dziwo,
I długo płakał jęczeniem zbolałem,
W kościste dłonie tuląc twarz sędziwą.
A pleban powstał — i po krótkiej chwili
Już się w ubiorze przed ołtarz ukaże;
Zaśpiewał G l o r i a! — w dzwony uderzyli,
Jak w Wielki Czwartek rzymski Kościół każe.
A ciżba ludu oblega balaski
I serdecznemi modli się wyrazy,
By prędzej przyjąć utwierdzenie Łaski,
I Ciało, i Krew Baranka bez zmazy;
Łączy modlitwę z ofiarą ołtarza
I Mękę Pańską boleśnie rozważa.

XIV.

Ksiądz ujął palmę i czyta we Mszale,
Co o tej Męce święty Łukasz pisze;
A organista, fałszując klawisze,
Chrapliwym głosem śpiewa Gorzkie Żale.
Naród się modli — komu głosu stało,
Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
Żaki kościelne dobitnie a śmiało
Odpowiadają: Laus, Tibi, Christe!
Stare klekotki w ich swawolnej dłoni
Grzmotnęły razem, skrzypiąc na swej osi,
Gdy dziewięć razy na Sanctus się dzwoni,
Gdy się Hostya lub kielich podnosi.
Ale najgłośniej grzmotnęła klekotka,
Że aż się zatrząsł drewniany Dom Boży,
Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy,
Gdy się odwróci do narodu środka,
Dzierżąc Chleb Ducha nad usty głodnemi,
Spowiedź powszechną odprawuje z niemi.
Słudzy kościelni tejże samej chwili
Białą oponą balaski przykryli.
Lud rzędem klęka ze skruchą na twarzy,
Ręce na piersiach jak do trumny składa;
Mężowie, dzieci, niewiasty i starzy,
Każdy się w duchu raz jeszcze spowiada.
Ksiądz, przeżegnawszy ten orszak tak liczny,
Z ołtarznych stopni idzie ku gromadzie,
I powtarzając tekst ewangeliczny,
Hostyę świętą w każde usta kładzie.
Każdy pożywa, płonąc od radości,
Że dziś sam Chrystus w jego piersiach gości.
A odchodzący od kratek balaski,
Weseli wszyscy, i młodzi, i starzy,
Znać w każdych oczach namaszczenie Łaski,
A spokój Pański zamieszkał na twarzy.
Czy to na długo?... Mój Boże! mój Boże!
Czemu tak słaba ta dusza człowieka?

Na progu chaty, na cmentarzu może,
Stargać ten pokój jakaś hydra czeka!
A póki dzionek zaświta jutrzejszy,
Ileż chmur ciężkich zawiśnie nad głową!
Nasz skarb spowiedzi co chwila się zmniejszy —
My nieszczęśliwi i grzeszni na nowo!
Lecz byle dobrej nie zabrakło chęci,
Łza i Chleb Życia są zawżdy dla rzeszy;
Gorzej tym, których kapłan nie rozgrzeszy,
Co od Bożego Stołu odepchnięci,
Którzy się tulą z płaczem za filary,
Jak ta dziewczyna i ten wieśniak stary.

XV.

W stronie kościoła — wiejski topór cieśli
Już wybudował tarciczną ciemnicę,
Już ją ubrali w kobierce i świece,
Już tam Najświętszy Sakrament zanieśli:
Rytuał rzymski jak zalecił wszędy,
Wielko-Czwartkowe spełniono obrzędy.
Naród hojnemi zalewa się łzami,
Modli się szczerze i w piersi kołata,
Że przed lat niegdyś dwoma tysiącami
Chrystus w ciemnicy był więźniem Piłata.
Ksiądz, co się trudził od świtania słońca,
Zrzuciwszy ornat, chce wytchnąć po pracy;
Już organista spieszy się do końca,
Już mu nie wtórzą wioskowi śpiewacy;
Już naród Boży, co gwarzył w przedsieni,
Znaczno po głosach, że odszedł daleko;
Nawet żebracy, pieśniami strudzeni,
Już się na szczudłach do szpitala wleką.
A jeszcze klęczą przed Najświętszą Panną
Nierozgrzeszeni i cierpiący srodze,
Starzec i dziewczę, ze łzą nieustanną
Gorące czoła tuląc ku podłodze,
Jakby wyciągał chłód ziemi surowej

Winę z ich serca lub boleść z ich głowy.
Starzec wstał pierwszy, i co starczy siła,
Wsparty na kiju szedł, modląc się Bogu;
Dziewczyna jeszcze dłużej się modliła,
Powstała, wyszła, przyklękła na progu,
I tam się krzyżem jeszcze przeżegnawszy,
Ku wiejskim polom kieruje bieg żwawszy.

XVI.

Za stodołami są wiejskie mogiły,
Drewniane krzyże zbiegły się gromadą;
Za mogiłami stoi dąb pochyły,
Dalej drożyna, co do lasu jadą,
A przy drożynie, wedle leśnej ściany,
Sterczy grobowiec z piasku usypany.
Znać z przeszłorocznych sczerniałych badyli,
Że tu rósł oset i pokrzywa dzika;
U nóg zmarłego drzewko się nie chyli,
Nie zbudowano nad głową krzyżyka.
Wiatr, co z sosnami przyległemi gwarzy,
Nie lubi kwilić na tutejszym grobie;
Przeleci czasem — mogiłę znieważy,
Rozsypie piasek i odlata sobie.
Nie pytaj w wiosce, czy prawdy, czy baśni:
Co to za dzika zacisza grobowa?
Bo ci niechętnie odmrukną pół słowa,
Ale pytania żaden nie objaśni.
Tu nawet z wioski nie zabiega trzoda,
Ranny skowronek nie wywodzi treli.
Biedną mogiłę zdaje się przeklęli
I Bóg, i ludzie, i sama przyroda.
Za lat pięćdziesiąt, jak zwykle na świecie,
Jakowyś urok mogiłę osłoni,
Podanie jakieś do niej się przyplecie,
I będą dziwy opowiadać o niej.
Dzisiaj ten kopiec jeszcze nazbyt świeży,
By o nim składać piosenki lub pieśni;

A biedny człowiek, co w tym piasku leży,
Był taki samy, jak i wszyscy grzeszni.
Nie Szwed, nie Tatar — starej skazki wzorem —
Ani był rycerz doświadczony w sile,
Nawet po śmierci nie chodził upiorem,
To i cóż gadać o jego mogile?
Toć chyba jaki żebrak z pod kościoła,
Wziąwszy jałmużnę, modląc się za zdrowie,
Jeśli wie dzieje tutejszego sioła,
O tej mogile kilka słów ci powie.

XVII.

Był to syn biednej wdowy na zagrodzie,
Która już także w Bogu odpoczywa;
Składał piosenki bywało we żniwa,
Zimą na skrzypcach wygrywał w gospodzie;
Na wszystkich ludzi poglądał surowie,
Chociaż rad bywał w każdym wiejskim tłumie;
O dziwnych dumkach, co snuł w swojej głowie,
Gada bywało — a nikt nie rozumie.
Na rok przed śmiercią zamilknął, jak ściana.
Jak nawiedzony, dotknięty niemową;
Potem do ludzi zbliżył sie na nowo,
I pijał z ludźmi od nocy do rana;
A gdy w gospodzie nie było nikogo,
Pijał sam jeden, bez końca, bez miary;
Snuł się po polach niedeptaną drogą,
Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary,
I piewał pieśni, usiadłszy przy sośnie,
Rad, że mu echo odhuka donośnie.
Tak przez półrocze, czy coś więcej pono,
Pijąc i piejąc o swojej niedoli,
Głowę przez trunek i pieśń odurzoną
Cisnął rękoma — wołał, że go boli,
Że serce drze się, że puls coraz prędszy,
Że z piersi oddech wybucha gorętszy.
Chciano go leczyć — uciekł od lekarzy,

Mówiąc, że żaden ulgi nie przyniesie,
Że mu najlepiej, gdy błąka się w lesie.
Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani dworu, ni gospody niema,
Gdzie młode dziewczę nie igra z sercami,
Przysięgnie miłość — i pewnie dotrzyma.
— Tam mi pozwólcie, abym pędził życie!
Puśćcie mię! — wołał w szalonym obłędzie —
Tam złożę piosnkę — otóż obaczycie,
Że jeszcze takiej nie było... nie będzie!
I znowu, bredząc, widział dzikie mary,
I znowu światu złorzeczył boleśnie;
Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,
Przeklinał pieśnie, układając pieśnie.
Wkońcu w obłędach i sam tak się mami,
Że i przeklinał, i gadał pieśniami.
Niektóre z piesień chwyciły dziewczęta
I dzisiaj pieją w sianokos lub żniwo;
Insze, tak mądre, że czart nie spamięta.
Głosiły dolę w przyszłości szczęśliwą:
O złotych pługach, pod któremi trawa
Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
O wielkich sercach, z których kropla krwawa
Całe stulecia uszczęśliwiać może;
O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
A czasem w lesie rękoma wpół chwyta
Brzózkę, jedlinę, albo głogu ciernie,
I nawpół z płaczem, wpół z uśmiechem pyta:
Czy będziesz kochać — ale kochać wiernie? —
Nareszcie żadnych przełożeń nie słucha,
Nic nie pił, nie jadł — i pobledniał srodze,
I tu na piasku przy ustronnej drodze,
Oddał nieszczęsny Panu Bogu ducha.
Nieprędko biednych poszukali szczętów.
A gdy znaleźli, gdzie leży syn wdowi,

Tutaj mogiłę wyryli trupowi,
Bo bez Najświętszych umarł Sakramentów.
I myślą sobie: Ziemia swojej niwy
Choć z umarłego niech wyciągnie troski.
Ale szaleniec, w życiu nieszczęśliwy,
Jeszcze nieszczęście sprowadził do wioski.
Nie więcej, w tydzień trzy trójki pocztowe
Z urzędnikami do wsi naszej lecą;
A kiedy każdy zatrwożony nieco
Zdejmował czapkę, uchylając głowy, —
Kazali przysiądz każdemu z współbraci,
Że ów nieszczęsny zapaleniec młody
Umarł z puchliny, z nadużycia wody;
Kto nie przysięgnie, sowito zapłaci.
Jedni płacili z duszy po talarze,
Drudzy przysięgli — Bóg za to ich karze
Czy na dobytku, na dziatwie, na sobie,
Inszemu ogniem poszła roczna praca.
Nie dziw, że dzisiaj, wspomniawszy o grobie,
Każdy z wieśniaków rozmowę odwraca;
W każdym ku niemu wstręt znajdziesz jednaki,
Bo jego pamięć dała się we znaki.

XVIII.

Dziewczę pobiegło, kędy oczy wiodą,
Aż do rozwianej wiatrami mogiły.
Tam już u kopca był starzec pochyły,
Jakby za wspólną zeszli się ugodą.
Znać, że się zeszli dla wspólnej przyczyny
Nierozgrzeszeni dzisiejszego rana,
Że dobry Pan Bóg przez usta kapłana
Nie raczył ciężkiej odpuścić im winy.
Lecz czyliż wina, co cięży ich głowy,
Z polną mogiłą ma związek jakowy?
Coś straszliwego wykroczyli pono
Względem szaleńca, co tu pogrzebiono;
Lecz jaka wina wspólnie ich kojarzy?

Kiedy ją zmażą? jakiemi zasługi?
O to nie pytaj u wiejskich plotkarzy:
Bóg tylko jeden, a pleban wie drugi.

XIX.

Podarty całun białego śnieżyska
Gdzieniegdzie ciągnął po dolinach smugi,
Gdzieniegdzie strumyk z lodów się wyciska,
Plączą się k'niemu i jeden, i drugi,
A opłókawszy poorane niwy,
Snują ku rzece swój pęd hałaśliwy.
A wzgórki suche, — na kopcu mogilnym
Żółty żwir piasków świeci się z daleka.
Na tle błękitu bije rysem silnym
Kształt klęczącego przy grobie człowieka.
W modlitwie starca gwałtowności niema:
Klęczy schylony i wsparty na dłoni —
A mówiąc psalmy, na książkę co trzyma,
Kiedy niekiedy gorzką łzę uroni;
A kiedy ręką łzy ocierał z powiek,
Gdy siwe włosy odgarnął z nad czoła.
Dziewczę ujrzało, że to znany człowiek,
Wesoły grajek z sąsiedniego sioła.
Trudno przypuścić, by zmarłemu szkodził,
Albo ku niemu knował złe zamiary:
On go grać uczył, do gospody wodził,
Jako brat w pieśni, jak przyjaciel stary;
Znany jak człowiek dobrego sumienia,
Z dobrymi ludźmi spędził mnogie lata.
A czemuż dzisiaj nie wziął rozgrzeszenia
I przyszedł płakać nad grobem kamrata?
Na widok starca zmieszana dziewczyna
Chciała się cofnąć do leśnej uboczy:
Lecz starzec spojrzał, i coś przypomina,
I wlepił chmurną źrenicę w jej oczy...
Zaśmiał się dziko: Ha! to jakieś czary!
I ty przychodzisz płakać na tym grobie!

Dwoje morderców u grobu ofiary!
Ha!... znam ja ciebie — słyszałem o tobie!
Czego tu szuka kłamana obłuda?
Poco tu przyszłaś, zalotnico płocha?
Zakłócić spokój — to ci się nie uda!
Przebłagać cienia — to za późno trocha!
Dziś biedny Szymon śpi martwo w swej trumnie,
A dusza poszła w czyścowe ogniska,
Skąd na nas chyba przeklęctwami ciska,
Groźnie spogląda ku tobie i ku mnie.
Nas dwoje tylko ukochał na ziemi, —
A my co za to? w zamniemaniu podłem
Jad mu podali rękoma własnemi!
Ty rozpacz — ja śmierć na niego przywiodłem.
Dwoje zabójców... nad jednemi szczęty,
Zbyt obciążamy jego kości w grobie!
Dajże tym piersiom choć raz pokój święty,
Płocha dziewczyno! a idźże stąd sobie!
Tak groźnie mruknął — i znów książkę bierze,
Na dłoń się wsparła jego głowa siwa,
I zaczynając przerwane pacierze,
Pokutne psalmy znowu odczytywa.
Ale na głowę dziewczęcą bez siły
Za nadto ciosów dnia jednego spadło:
W jej oczach ćmi się, jej lice pobladło,
Chwieje się, klęka na piasek mogiły.
Co czyni — sama nie pamięta zgoła,
Chwyta garść żwiru i ciśnie do czoła,
I tłumiąc jęki, których pierś nie zmieści,
Ledwie na ciche łkanie się zdobędzie.
Poruszył starca ten widok boleści:
Wypłacz się, dziecię, to ci lepiej będzie!
I sam, podawszy tę radę w niedoli,
Zapłakał cicho, lecz rzewnemi łzami.
Łza zaraz ulży, kiedy serce boli,
Zwłaszcza gdy inny podzieli ją z nami.
Czasem łzę jedną okupiłbyś drogo,

W ściśnionem sercu gdy krwi bije fala;
Ale nie zawsze oczy płakać mogą,
Nie zawsze kamień z serca się odwala.
W dniach udręczenia szczęśliwsi, im szczersi,
Wsi i natury wychowańcy prości;
Nieraz bohater, mąż hartownej piersi,
Słabej niewieście jej łez pozadrości.

XX.

Dziewczę płakało — a gdyby jej łezki
Przesiąkły żwirem aż w grobowe łoże,
Spadły na piersi z pod grobowej deski,
Biedny umarły wnet wskrzesnąłby może:
Tyle w tych kroplach, co z pod serca biegą,
Siły żywotnej i żalu szczerego.
Gdy płacz szeroki, jak posłannik Nieba,
Ulżył boleści pocieszeniem nowem,
Dziewczę uczuło, że sercu potrzeba,
Aby z kimkolwiek podzielić się słowem;
I już nie bacząc, czy starzec się chmurzy,
Tak przed nim boleść serdeczną wynurzy

XXI.

I wy!... mój Boże!... smuci mię i dziwi —
Wy jeszcze na mnie rzucacie zakały,
Ojcze Tarasie! wy niesprawiedliwi!
Jak Bóg na Niebie, jak dzień mamy biały,
Klnę się na męki, co mi serce gniotą,
Jeślim zgrzeszyła — to chyba pustotą...
Musiał ci mówić: jak, gdzie, w jakiej chwili,
Gdyśmy raz pierwszy siebie obaczyli?
On był przychodzień, w naszej wiosce obcy,
Ze starą matką gdy tu chatę wzięli.
Często wioskowi gniewali się chłopcy,
Że Szymon z nimi zabawy nie dzieli,
Tryumfowali, że nie taki hoży,
Śmieli się z niego, że odludek Boży.
Lecz ja lubiłam jego rzewną postać,

Jego głos tęskny, jego twarz sierocą.
Dziwną go Pan Bóg udarował mocą,
Że mógł spojrzeniem aż głąb serca dostać.
Kiedy się zbiorą sąsiadki, sąsiady,
Jakąś pustotę albo żart uczynim, —
On tylko spojrzał, a każdy z gromady
Płochego żartu zawstydził się przy nim.
Choć żadnem słówkiem, choć żadną przestrogą
Nie upokarzał rówienników grona —
Bóg raczy wiedzieć, co te oczy mogą...
Ja sama nieraz byłam zawstydzona,
Kiedy bywało nie strzegę się ściśle,
Kiedy coś powiem, czego nie pomyślę.
Nim go poznałam, i ja byłam płocha,
Lubiłam żarty wioskowej młodzieży;
Ale na niego popatrzawszy trocha,
Poczułam jakoś, co mi się należy.
I gdy bywało on samotny w tłumie,
Ja w jego oczy poglądałam rada,
I zawsze jakoś serce wyrozumie,
O czem on myśli lub o czem zagada.
A i on nieraz, aż uczułam trwogę,
Umiał odgadnąć, co ja myśleć muszę...
Jak się to działo powiedzieć nie mogę;
Tak jakoś Pan Bóg stworzył nasze dusze...
Czyśmy się prędko poznali, kochali?
Ojcze Tarasie, tego coś nie pomnę...
Lecz było ze mną tem gorzej, im dalej:
Gdy go nie widzę — już dni nieprzytomne,
Już sny bezładne — nawet żyć niemiło...
A tam nad rzeczką, pod wierzbą pochyłą,
Jest stary kamień — tam, gdy wieczór złoty,
On lubił siadać, wracając z roboty,
Lubił spoglądać na łąki zielone,
Na ciemne lasy, na błękitne Nieba.
Jakoś pod wieczór zawsze w tamtą stronę
I mnie bywało wychodzić potrzeba:

To naszych owiec zbłąka się gromadka,
To do sąsiadów posyła mię matka,
Albo mój dziadek wśród pustej gawędki
Przypomni sobie, siedząc u wieczerzy,
Że nie opatrzył w zatoce więcerzy,
Albo na trawie zapomniał swej wędki.
Ojcze Tarasie! wszak pamiętasz dziada:
Był bardzo srogi! — rada czy nierada
Muszę tam spieszyć — a kiedy się zjawię,
To siedzi Szymon na kamiennej ławie,
Da dobry wieczór i o czemś zagada,
To muszę słuchać, rada czy nierada...
Czy go kochałam? nie wiem ani trochy;
Bo to kochanie świat różnie uważa:
Parobczak chciałby wyjść na gospodarza,
Dziewczynie przykre łajanie macochy,
Więc mówią sobie: Już tego za wiele!
Kochać się będziem, weźmiem ślub w kościele,
I półwłócz gruntu weźmiemy we dworze;
Na weselisku poskaczem, wypijem,
Przecięż na starość nie pójdziemy z kijem,
Bóg nas na ludzi wyprowadzi może.
Dla mnie z Szymonem nie takim obrazem
Stawała przyszłość we szczęście bogata:
Byle ogródek, rozwalona chata,
Lecz będziem razem — zawsze z sobą razem.
Szymon powiadał: Marto moja, Marto!
O inszem życiu i mówić niewarto.
Będziem ubodzy — ja ci piosnkę sklecę
O Panu Bogu, o wiośnie, o rzece,
O czem ty zechcesz — mam piosnek nawałem,
Ja w pieśni nową utoruję drogę;
Od pewnej chwili... gdy ciebie poznałem,
O wszystkiem piosnki wyśpiewywać mogę.
Lecz, Marto moja! marzenia na stronie —
Nim się nam życia wypełnią rozkosze,
Nim się ja ojcu twojemu pokłonię,

Nim u twej matki o rękę poproszę,
Nim przed ołtarze poprowadzę ciebie, —
Powiedz mi szczerze, jak Pan Bóg na Niebie:
Czy ty mię lubisz? — bo ja szczęście ziemi,
Chwilki nie myśląc, w twoje ręce złożę;
Ale ty, Marto, broń Boże! broń Boże!
Twe płoche myśli puścisz za drugiemi!
To wtenczas biada całej naszej doli:
Ostatnia nitka mego szczęścia pękła!
Szymon zapłakał, jam przed nim uklękła:
Niech Bóg — mówiłam — niech Bóg nie pozwoli,
By serca nasze w jakiejkolwiek dobie
Miały się zmienić, ostygnąć ku sobie!
Szymon szczęśliwy chciał coś odrzec na to:
Lecz było późno — zerwałam się z ławy...
Czy to ze szczęścia, czy może z obawy,
Serce mi drżało, gdy wbiegłam do chaty.
Aż wpół oślepłe źrenice u dziada
Postrzegłszy bladość — zaprzestał gawędki:
Co tobie, Marto? czegoś taka blada?
Napij się wody! Bieg musiał być prędki!

XXII.

Na przyszłą wiosnę miał być ślub z Szymonem.
Marzyłam o nim, liczyłam tygodnie,
Po tysiąc razy w sercu rozmarzonem
Pytałam siebie, czy miłość nie chłodnie?
Lecz serce zawsze mówiło radośnie,
Że silniej bije, że uczuciem rośnie.
A on czy kochał? — dobrzem to wiedziała,
Inaczej wierząc grzeszyłabym srodze;
Wciąż jedną myślą jego głowa pała,
Wciąż w jego duszy nowy skarb znachodzę.
Ale my biedni — wśród mozolnej pracy
Nie sposób zawsze bywać przy kochanku,
Nie sposób być tam, gdzie się myśl obraca,
Nie sposób serce pieścić bez ustanku.

Potrzeba było grosza na wesele,
Na zapowiedzi i na zaręczyny;
Więc biedny Szymon, nie czekając wiele,
Przystał na flisa do dwornej wiciny.
Insi szli, pieśni śpiewając ochocze,
A on był smutny, jak jodła na grobie...
I ja nieszczęsna nie wierzyłam sobie,
Jak też potrafię przeżyć to półrocze...
Straszny był wieczór, gdyśmy się rozstali!
Jego wspomnienie aż dotąd mię męczy —
Gdyśmy słuchając szumu rzecznej fali,
Wsparli się, milcząc, na mostu poręczy,
I jakby jedną myślą ożywieni,
Błądzili wzrokiem po Niebios przestrzeni...
Ojcze Tarasie! choć żyłeś lat wiele,
Takiego Nieba nie widziałeś może:
Ciemne chmurzyska nad lasami ściele,
Tłoczy wierzchołki czarnych jodeł w borze,
Pokrywa mgłami i rzeczkę i błoto,
I serce jakąś naciska tęsknotą;
Z każdej mgły mara wysuwa się blada,
Złowrogi przestrach jakby z deszczem pada.
A tutaj boleść znęca się nad duszą,
Że się potrzeba rozłączyć na dłużej;
A takie Niebo niedobrze coś wróży,
A tam na Niemnie głębiny być muszą,
I pełno wiosek, pełno miast przy Niemnie,
A tam dziewczęta piękniejsze ode mnie...
Mówiłam pacierz do Aniołów Stróży,
Wzywałam rzewnie ich opieki świętej,
Aby go strzegli od fali, od burzy,
A jego serce od jakiej ponęty...
Szymon mi mówił: Bądź zdrowa! bądź zdrowa!
Wrócę zdrów, wesół, przyspieszę wesele.
Przeklęty będzie, kto przysiąg nie chowa!
Półrocze czasu — och, jakże to wiele!
Sercu kobiety wielu się spodoba...

Och! to półrocze, jakaż długa próba!
Uklękłam przed nim i złożyłam ręce:
— Niechaj sam Pan Bóg pokarze mnie biedną,
Gdy przez półrocze chociażby myśl jedną
Komu innemu, niż tobie, poświęcę!
Związek wieczysty, święty i niewinny,
Za nadto silnie serca nam skojarzył,
Aby ktoś inny jeszcze nam się marzył,
Aby nas zdołał zajmować ktoś inny.
Tu nawet żadnej nie będzie zasługi,
Bo mi do duszy nie przypadł nikt drugi,
Nikt nie przypadnie — mogę ręczyć śmiało,
Bo gdy raz serce ciebie pokochało,
To już nie znajdzie w całym świata tłumie,
Choćby się chciało przeniewierzyć zdradnie,
Nikogo w świecie, co mię tak odgadnie,
Co wszystkie moje dumki wyrozumie.
Tyś mi za nadto po małej iskierce
Rozpalił głowę i rozpieścił serce.
Takem mówiła... Uwierzył — uścisnął...
Zapłakał tylko — i przyszło rozstanie...
Księżyc coś dziko przyglądał się na nie
I krwawem światłem nad nami zabłysnął;
Raził mi oczy jego blask iskrzaty,
Kiedy spłakana wracałam do chaty.

XXIII.

Po takich chwilach jeszcze marzym w nocy,
Miłą przeszłością słodzim stan sierocy.
Ale poranek... to skończenie świata!
Piekło na ziemi, gdy przymkniesz oczyma,
A myśl najpierwsza w głowie zakołata:
Już jego niema!
Co począć z sobą?... z tym dniem — co natrętny
Już bije w oczy promieńmi, jak nożem?
Z jutrem?... z Niedzielą?... a toż dzień pamiętny,
Tośmy się w domu spotykali Bożym,

To na cmentarzu, to w chacie sąsiada...
Albo wieczorem — och! gdy wieczór pada,
Czy iść nad rzekę? siąść na kamień znany
I tam skamienieć? — Nie pójdę w tę stronę!
Bo jeszcze przyjdzie szał niespodziewany,
Zeskoczę z mostu i w rzece utonę...
Czy iść na pole?... O! nie! tam przy gruszy
Wiliśmy niegdyś wianki z polnych ziółek!...
Może do ludzkiej przytulić się duszy?
Straszno! nie lubię moich przyjaciółek!
Bo przyjaciółka wie, czem mnie zatrzyma,
O czem ja mówię, o czem marzyć rada;
Najpierwsze słowo, co do mnie zagada:
Już jego niema!!...
Dowodzą ludzie, że jest takie ziele,
Co można łyżkę lub wiadro nawarzyć,
Wypić i przespać dni, tygodni wiele —
Och! jak to błogo! byle spać i marzyć,
A w tem marzeniu miewać sny prorocze!
O! takbym spała przez całe półrocze!
Lecz takie ziółko rośnie za morzami —
Nam trzeba czuwać, żyć i śmiać się marnie...
Ojcze Tarasie! jakież to męczarnie,
Pierwszy poranek gdy zostaniem sami!
Serce ci pęka, z bolu nie wytrzyma,
Jeszcze się nieraz zapomnisz w tej chwili,
I myślisz sobie: on troski umili...
Lecz się ocykasz, że jego już niema!

XXIV.

Tak dzień upłynął na strasznej torturze —
Przyszła noc znowu — i znowu świtanie...
Któż te męczarnie wypowiedzieć w stanie?
Za nadto boli — ja ich nie powtórzę...
Przed jedną matką, w której pełna wiara,
Serce cierpiące całkiem się odsłania;
Lecz moja matka — ona nazbyt stara,

Gdzież jej zrozumieć boleści kochania?
Przeszło dni kilka, nawykłam z niedolą...
Chciało się płakać, lecz chciało się spółki:
Wezwałam k'sobie wierne przyjaciółki,
Te naśmieszyły, że aż boki bolą.
Nazajutrz ciężka zajęła mię praca,
Smutek złagodniał — i już nie powraca.
Lecz do snu dawne wspomnienie się ciśnie,
Bom jedną myślą zawsze uniesiona;
Czuję, że kocham, więc Szymona przyśnię,
Ale już mglisto śniłam twarz Szymona;
Potem w snach moich i twarz, i postawa
Już jakby obłok niewyraźnie stawa.
A jednak ogniem jednych uczuć pałam,
A jednak szczerze Szymona kochałam.
Tak, nim w połowie ubiegło półrocze,
Rozrywać smutek czułam się w potrzebie;
Już przyjaciółek zabawy ochocze
Coraz mię częściej nęciły do siebie.
Gorzkiem przeczuciem, jak gdyby chorobą,
Ciągle dręczona, czułam, jak to boli,
Pragnęłam smutek złagodzić powoli,
Uciec od myśli, nie być sama z sobą.
Kiedy łzy z oczu lały się goręcej,
Ja biegłam śmiać się do rówiennic rzeszy;
Ten memu sercu spodobał się więcej.
Kto najweselszy, najprędzej rozśmieszy...
Ojcze Tarasie! tak jak mnie widzicie,
Ja w duszy mojej tak niegdyś bogata,
Co dotąd rzewnie patrzałam na życie,
Poczęłam śmiać się z życia i ze świata;
Śmiałam się nawet, płocho uniesiona,
Z naszej miłości, z siebie i Szymona.
— Tak przeszły znowu dwa czy trzy tygodnie —
On zawsze w myślach, choć nie tak go cenię.
Czasem mi z cicha powiada sumienie,
Takiemi śmiechy że śmiać się niegodnie;

Że Szymon, we mnie taką widząc zmianę.
Gorzko zaboleć w głębi duszy może;
Dziwne wyrzuty aż dotąd nieznane
Gryzły mię z rana, gdy oczy otworzę,
Gdy jakaś władza w głębi piersi skryta
O całodzienny rachunek zapyta...
Och! niepodobna być z sobą sam na sam!
Mówiłam, ręce łamiąc rozpaczliwie:
Idę do ludzi — pracuję we żniwie,
Albo na łące śmieję się i hasam.
Zwano mię pustą — a nikt i przez chwilę
Nie chciał odgadnąć, co ten śmiech porusza!
Miałam przyjaciół, przyjaciółek tyle,
Przecięż nie zgadła ani żywa dusza:
Ani mój dziadek, co stawiąc więcierze,
Często się chwalił, że zna świat nielada,
Ni moja matka, co modląc się szczerze,
Zawsze bywało o sumieniu gada;
Ni rówiennice — przecięż są młodemi,
Młodego serca tajniki znać muszą...
O! gdzie tam! gdzie tam! dobrze śmiać się z niemi,
Lecz trudno duszy rozmówić się z duszą...
Jedenby Szymon zgadł w najprędszym czasie,
Ale go niemasz na nieszczęście moje.
A mówiąc szczerze — och, ojcze Tarasie!
Już jego przyjścia czułam, że się boję,
Że będzie cierpiał nad moją odmianą, —
Chciałam go widzieć, nie będąc widzianą.
— Zagłuszyć wyrzut, co dręczył kryjomu,
Nigdzie nie lepiej jak w rówiennic kole;
Więc byle chwilka, wymykam się z domu,
Z towarzyszkami śmieję się, swawolę.
A kiedy czasem, wracając z roboty,
Któryś parobczak zjawi się do grona,
To jeszcze więcej śmiechu i pustoty,
To jeszcze bardziej byłam ożywiona.
Z taką się myślą oswajałam co dnia:

By durzyć chłopców... tak sobie... bez celu...
Czy to, broń Boże, taka wielka zbrodnia
Kochać jednego a bawić się z wielu?
Wszak to miłości przeszkadzać nie może,
A mego serca żaden nie przebodzie;
Gdzie tam ich kochać? at, stworzenia Boże!
Dobrze się pośmiać, potańczyć w gospodzie.
Wszak kiedy Szymon powróci na końcu,
Już wieczny rozbrat ze światem uczynim;
Biedne chłopczyska — oni zgasną przy nim,
Jak małe gwiazdki przy pogodnem słońcu.
A czyż to lepiej, gdy się głowa pali,
Od smutnych dumek kiedy serce więdnie?...
Tak sobie myśląc, wciąż dalej a dalej
Życie pustoty wiodłam nieoględnie.

XXV.

Młody parobczak, syn strzelca z pod gaju,
Chłopiec wesoły, piśmienny, bogaty,
Często a gęsto miewał we zwyczaju
Do mego dziadka zachodzić do chaty.
Czasem się zdarzy, kiedy niema dziada,
Muszę go przyjąć, rada czy nierada.
O niczem mówić nie lubił poważnie,
Ale z nim śmiać się tak było wesoło,
Że myślę sobie: ot tego podrażnię,
Na tem coś wygra całe nasze sioło!
Bogaty, wesół — on w każdą Niedzielę
Zamówi skrzypce i miodu zakupi.
Spogląda na mnie — trochę go ośmielę,
Niechże się kocha, kiedy taki głupi!
Jam siebie pewna: nie pokocham przecię
Oprócz Szymona nikogo na świecie.
I tak się stało... Bywało co święta
Aż drży gospoda od tańca i skrzypiec;
Wdzięczne mi były wioskowe dziewczęta,
Lało się zdrojem i piwo, i lipiec;

A ja, spokojna na mej drodze cnoty,
Śmiejąc się w duchu, przyjmuję zaloty.

XXVI.

Jednej Niedzieli szło gwarniej niż zawsze.
Poczęło zmierzchać i nastało ciemno;
Skrzypce głośniejsze, tańce były żwawsze,
A młody strzelec wciąż tańcował ze mną;
I w jego ręku trzymając me ręce,
Wiodłam ochotę i tańce złowieszcze;
W tańcu swawolę, wymykam się, kręcę,
A tak chychocę, że jak nigdy jeszcze...
Wtem, jak mi później ludzie powiadali,
Wszedł do gospody podróżny z tłomokiem,
Dokoła powiódł jakiemś dziwnem okiem,
I w ciemnym kątku siadł sobie w oddali.
Tak patrzał na nas godzinę, czy więcej;
Już go poznali niektórzy sąsiedzi,
A ja, swawoląc coraz to goręcej,
Anim zważała, kto tam w kątku siedzi.
Wtem dał się słyszeć łoskot na podłodze,
Jakiś jęk głuchy przerwał skrzypiec tony;
Przypadli ludzie przerażeni srodze...
Podano ognia — to Szymon zemdlony!
Czyż trzeba mówić, żem zbladła, krzyknęła?
Że w serce moje uderzył grom Boży?...
Całą szkaradę mej płochości dzieła
W jednym momencie uczułam najsrożej...
Ludzie podbiegli, po imieniu zową,
Twarz mu skropili i podali wody.
Szymon się ocknął, popatrzał grobowo,
Jeszcze się zachwiał i wyszedł z gospody.
Wybiegłam za nim. — Szymonie! Szymonie!
Zlituj się! przebacz! powitaj mię z drogi! —
Ale on spojrzał jakby duch złowrogi,
I poszedł dalej — tu, ku lasu stronie.
Ja go dopędzam, uklękłam na drodze;
Lecz mię odepchnął rękoma drżącemi;

— Zabiłaś, Marto! zabiłaś mię srodze!
Zabiłaś wiarę we wszystko na ziemi!
Przeklęte trzykroć to plemię człowiecze!
Ten świat nie dla mnie... Bywajcie już zdrowi! —
Znów zastąpiłam drogę Szymonowi,
Lecz znów odepchnął i słowa nie rzecze.
Poszedł do lasu — mnie zamrok uderzył,
Padłam i w ziemię uderzyłam głową;
A gdy chłód nocny nieco mię odświeżył,
Przyszłam do chaty, bredząc gorączkowo.

XXVII.

Przez dwa tygodnie leżałam w maglinie,
Ze strasznej śmierci pasując się siłą...
A gdy mię Pan Bóg z choroby podźwignie,
Już w naszej wiosce Szymona nie było.
Mówili ludzie, że ledwie oddycha,
Że się zabłąkał w najciemniejsze knieje,
Że jakieś piosnki wyśpiewywa z cicha
I dzikim śmiechem szydersko się śmieje;
Że nigdy słowa nie mówi do człeka,
Że tak się błąka całe dni i noce,
Że dreszcz ogarnia, słuchając z daleka,
Kiedy z nim leśne echo zachychoce...
A tutaj w wiosce, w zagrodniczej chacie,
Dogorywała jego matka w nędzy.
Chciałam ją cieszyć po syna utracie,
Lecz mię przeklęła — uciekłam co prędzej...
Przyszłam nazajutrz — i znowu przeklina...
Tylko już w samej ostatniej chorobie
Nie przeszkadzała czuwać mi przy sobie
I nie nazwała zabójczynią syna.
Spędzałam przy niej długie chwile czasu,
Czuwałam nad jej ostatnią godziną...
On się raz przywlókł pod chatę matczyną...
Ujrzał mię w oknie — i wrócił do lasu.
Matka umarła — a jego nie było;

A gdy ją gmina pogrzebła wioskowa,
Przyszedł, zapłakał nad matki mogiłą,
Lecz do nikogo nie powiedział słowa...
Potem się zjawił — ale w jakim stanie!
Blady, odarty, upadły do tyla,
Że gdzie przed świtem, nim jutrznia powstanie,
Już on w gospodzie kielichy wychyla,
Dziwne piosenki bełkoce bezładnie,
I znowu pije, póki z nóg nie spadnie.
Zadrzemie chwilkę, wstanie i znów woła:
— Dajcie mi czarkę! precz z życiem przeklętem! —
Chciałam doń mówić — nie poznał mię zgoła...
A może poznał, bo spojrzał ze wstrętem,
Zgrzytnął zębami, odwrócił się żwawie,
Wychylił czarkę i zasnął na ławie...
Tak stargał życie — i po krótkim czasie
Nieszczęśliwego nie było na świecie!...
Ojcze rodzony! ach, ojcze Tarasie!
Jak na spowiedzi teraz wszystko wiecie...
Dzisiaj w kościele — ot tak, słowo w słowo,
Odkryłam rany mojego sumienia.
Lecz że zabójstwo ciąży nad mą głową,
Pleban mi dzisiaj nie dał rozgrzeszenia,
I kazał tutaj modlić się w pokorze,
Aż się przebłaga miłosierdzie Boże! —
I tak dziewczyna, pasując się w męce,
Długo płakała, twarz ukrywszy w dłonie;
A stary Taras, załamawszy ręce,
Jęknął serdecznie i tak mówił do niej:

XXVIII.

— Późny żal przyszedł do twojego serca.
Za późno wracasz na poprawy drogę...
Ja ci okropną pociechę dać mogę,
Że jeszcze drugi jest jego morderca!
Tyś rozpoczęła nierozważnym szałem,
A ja zabójstwa jego dokonałem.

Jaż przecię starzec — gdzież moja rozwaga?
Ja, com doświadczył tyle w życiu mojem, —
Ogień piekielny, co się w sercu wzmaga,
Jam mu podniecił gorącym napojem.
Słuchaj!
— On długo błąkając się w lesie,
Wpół nieprzytomny, prawie wpół umarły,
Jakoś ku mojej przywędrował strzesie,
Do drzwi zapukał — drzwi mu się otwarły.
Poznał mię prędko — zapłakał boleśnie,
I całą siłą rzucił się na szyję:
— Ojcze — zawołał — znasz, jak serce bije,
Bo tyś mię uczył, jak się składa pieśnie!
Kłamstwo, mój ojcze, że jest cnota w świecie,
Że za ród ludzki żyć i umrzeć warto...
Ty znałeś Martę — och! to święte dziecię!
Ojcze, weź książkę! pomódl się nad Martą!
Już Marty niema — już śmierć w jej źrenicy —
Ona zginęła! stracone nadzieje!
Choć jeszcze żyje, choć jeszcze się śmieje,
To ziemny robak z śmiechem zalotnicy! —
Tak wpiwszy we mnie swe źrenice krwawe,
By zebrać oddech, całe piersi sili,
I wszystko w jednej wypowiedział chwili,
Zaśmiał się gorzko i upadł na ławę.
Łzy mi stanęły, żal ścisnął się w łonie...
Chciałem go cieszyć najprędzej, najprościej,
Rzekłem wesoło: Źle czynisz, Szymonie,
Że z jednej sądzisz o całej ludzkości!
Ona zdradziła — ty cierpisz! ja wierzę;
Lecz śmiej się z tego — jedyny ratunek:
Potrzeba w inszej pokochać się szczerze,
Ale tymczasem — trunek na frasunek!
Mam tu miód stary — wypij, to pokrzepi!
— O nie, mój ojcze! — tak Szymon odpowie —
Jam niegdyś pijał, nadwerężył zdrowie,
Piłem w cierpieniu — nie było mi lepiej.

Niechaj ten pije, który rąbie drzewa,
Pracuje z pługiem, albo trzody pasie;
Lecz my próżniacy — ach, ojcze Tarasie!
Nas dostatecznie piosenka rozgrzewa,
Boleść rozpala, a myśl ogniem piecze,
Już i tak serce rozpęknąć się może! —
A jam nalegał: Człowiecze, człowiecze!
Zrozumiej życie, szanuj dary Boże.
Że dziś czy jutro ma cierpieć z nas który,
O tem już dawno przewidziano z góry.
Trunek, co duszę wpół martwą ożywi,
Co w stare kości wlewa siły młode,
Nie dla tych dany, którzy są szczęśliwi,
Lecz dla cierpiących — po łzach na osłodę! —
Tak nalegałem, bom kochał Szymona,
Sądząc, że w smutnym uleczę obłędzie,
Że gdy wstręt pierwszy do czarki pokona,
To już weselszy i szczęśliwszy będzie.
Więc go zakląłem: jeśli jest kolegą,
Kocha mnie, ludzkość i Boga samego,
Niech pokosztuje.
Skosztował z kielicha,
Wypił aż do dna — nalał drugi, trzeci.
Chciałem go wstrzymać — już rękę odpycha,
Już dzikim ogniem jego oko świeci:
Pić mi podajcie! — tak zakrzyknął wściekle —
Ogień piekielny niech pali się w piekle!
Nalej mi miodu, gorzałki czy smoły!...
Zdrowie zdrajczyni!... pij ze mną Tarasie!
Pił i nalewał już martwy na poły,
I krzyknął: Pijmy! teraz już po czasie!
Spełniona dola... Przeklęty, przeklęty,
Kto pierwszą kroplę w moje usta wsączył!...
Krew już do piersi nawala się wzdętej...
Nalałem czarę — do dna będę kończył:
Dopytam może, gdzie jest szczęścia meta...
Niech żyje ludzkość! niech żyje kobieta!

Tak pierwszy puhar spełniwszy złowrogi,
Pobrnął do wioski lasami i jarem,
I tam do reszty zgubił się puharem,
I tu nieszczęsny spoczął wedle drogi...
To my, dziewczyno — myśmy go zabili,
I brama piekieł wspólnie nam otwarta...
Przyjaciel Taras i kochanka Marta
Do ostatecznej przywiedli go chwili,
Bo podbudzając niebacznie, z daleka,
Rozpłomienili namiętności człeka...
Ty z jego serca wypleniłaś wiarę
W godność ludzkości, którą wyssał z mlekiem;
A ja ognistą podałem mu czarę,
Aby do reszty przestał być człowiekiem.
Kto z nas winniejszy — Bóg kiedyś rozważy:
Tyś go na duszy, jam zabił na ciele...
Nam się zdawało, że takich zbrodniarzy
Kapłan od razu rozgrzeszy w kościele.
Lecz nas odepchnął, wskazał za pokutę
Własne sumienie i modlitwę łzawą;
Aż w dzień Zaduszny mieć będziemy prawo
Znów nasze myśli gorzkie i zatrute
Otworzyć przed nim... Tu, u grobowiska,
Krzepmy modlitwą serce, co usycha;
Dosyć rozpaczy! niechaj modła cicha
Ulecza boleść, co serce naciska.
Męczennik serca, co leży w tym grobie,
Może już przebył czyścowe otchłanie,
I nam odpuścił winy przeciw sobie,
I nas przed Bogiem uniewinnia za nie.
Módlmy się tylko!
Wsparł głowę na ręku
I czytał psalmy pokutne ze łkaniem;
Dziewczyna głosem bolesnego jęku
Słowo za słowem powtarzała za nim.
Wieczorne słońce z za góry, z za chmury,
Rozlało uśmiech po ziemskim obszarze,

Rzucając promień złotawej purpury
Na las, na wioskę, na pokutne twarze;
A w mgłach wilgotnych od wybrzeża rzeki
Na Anioł Pański jęknął dzwon daleki...

EPILOG.

Och! gdyby życie było poematem,
Jakżebym pięknie skończył moją powieść!
Że Szymon wskrzesnął, aby szczerzej dowieść,
Że się pojednał z ludzkością i światem;
A przebaczywszy, że cierpiał tak wiele,
Już swojej Marcie dałby rękę czułą;
Pleban te ręce powiązałby stułą,
Taras ze skrzypką przyszedł na wesele...
Lub coś rzewnego obmyśliwszy raczej,
Skreślibym obraz w całej pendzla sile,
Że Marta, długo płacząc na mogile,
Jednego ranka umarła z rozpaczy...
Ale ja prawdzie muszę być posłuszny,
Muszę być wierny i w miejscu, i w czasie.
Więc za półrocze przyszedł dzień Zaduszny,
Ksiądz widział skruchę w Marcie i Tarasie,
Dał rozgrzeszenie ze szczerego łona;
Więc otrzymawszy miłosierdzie Nieba,
Czuli, że życiu wypłacić coś trzeba,
I zaniechali mogiły Szymona.
Wiatr rozwiał piaski i — zielsko porosło,
Po zgniłych kościach opląta się żmija...
Taras odnowił pieśniarza rzemiosło,
Siedzi w gospodzie i miodek popija;
A co sam lubi, to i drugim radzi,
Że na frasunek trunek nie zawadzi.
Po dniach pokuty i ciężkiej spowiedzi,
Marta znów w tańcu wodziła orszaki.
Zjawił się chłopak — już nie wiem kto taki,
Prosił o rękę, dał na zapowiedzi,

Więc poszła za mąż — i co idzie za tem.
Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże,
Wszystko jak trzeba... O Boże mój, Boże!
Czemu to życie nie jest poematem?!

23 marca 1856. Borejkowszczyzna.

GARŚĆ PSZENNA.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Stary Szczepan, wójt od wieka,
Był jedynym wójtem w świecie,
A takiego jak on człeka
I ze świecą nie znajdziecie.
Głowa tęga, dusza prawa,
Tak za swoją stał gromadę,
Że najkrętsza przyjdzie sprawa,
On najlepszą dawał radę;
I co w świecie rzecz nieznana
Lub należy do rzadkości,
Że lubiony był od pana
I lubiony w całej włości.
Tak wszystkiemu czyniąc zadość,
Był jak ojcem swojej wioski;
Ale starość to nie radość,
Przyszedł wkońcu wiek dziadowski.
Już o kiju suwa kroki,
Oko blaskiem już nie pała,
W plecach urósł garb szeroki,
Mądra broda pobielała.
Więc przed swymi tak się biedzi:
Czas odpocząć mi nareszcie!
Rada w radę — i sąsiedzi,
Już innego wójta weźcie!
Moja głowa trzech nie zliczy,
Bo zwyczajnie stara, siwa.
A gromada jak zakrzyczy:

Dolaż nasza nieszczęśliwa!
Cóż to waści, panie bracie!
Przykro ojczyć w swej chudobie!
Czy nam zguby pożądacie?
Z taką mową idźcie sobie!
A dopóki ręka Boska
Trzyma waści w równej mierze,
Póty cała nasza wioska
Wójta sobie nie wybierze.
W prośby, w groźby on i oni;
Rzeczy wzięły rzewną postać, —
I dowiedli jak na dłoni,
Że on wójtem musi zostać.
Lecz starości gdy dogonim,
Życie ludzkie jak na włosku:
Więc im radził po ojcowsku,
By następcę wybrać po nim, —
Bo się potem swar obudzi,
Walka pocznie się złowroga,
I zgorszenie dobrych ludzi,
I obraza Pana Boga.
— Na to zgoda! — zawołali, —
Szczepan mówi święte słowa!
Ale na co szukać dalej?
Jest tu dziatwa Szczepanowa.
Ma trzech synów — dzielne chłopcy,
Każdy wart być na urzędzie,
Im wioskowy ład nieobcy,
Niech z nich jeden wójtem będzie.
Ale który?? — Ot i spory,
Już się teraz powaśnili.
Jeden mówi, że Hrehory,
Drugi mówi, że Wasili,
Insi znowu z włości grona
Piszą karby na Szymona.
Ojciec widzi, że mozoła,
Że do gwarnej przyjdzie zwady;

Siwe włosy zgarnął z czoła
I tak mówił do gromady:
  Jest tu lepszych gospodarzy,
I w wyborze ciężka bieda, —
Lecz jeżeli wam się marzy,
Że się który syn mój przyda,
Wasza łaska w tem widocznie.
Lecz do wójta droga długa!
Nim gromadzie służyć pocznie,
Niech pokaże, co za sługa:
Ot widzicie! właśnie pora
Poznać, jakie w którym czyny:
Pan na wiosnę śle Hrehora
Do Królewca na wiciny;
Wasil rusza w pańskiej sprawie
Aż w Krakowskie, panie bracie!
Szymon został przy mnie w chacie,
W Ukrainę ślę Szymona,
Niechaj soli nam przystawi,
Bo w miasteczku nazbyt droga;
Wiem, że każdy z nich się sprawi,
W tem już łaska Pana Boga.
Ale który z cudzej strony
Większą korzyść nam przyniesie,
Będzie wójtem postawiony,
Będzie ojczył w naszej strzesie.
Za rok może o tej porze
Bóg mi życia nie odbierze,
Wszystkich trzech zbadamy szczerze,
Nie omylim się w wyborze!
  I gromada w serce bierze
Pana wójta złote słowa,
Nie wiesz, dziatwo Szymonowa,
Że-ć gromadzkie oko strzeże!

II.

  Jak raz za rok tejże pory
Już z Królewca statki płyną,

I najstarszy syn Hrehory
Już powrócił z swą wiciną.
I zebrała się gromada,
Dano miodu, dano piwa;
I Hrehory opowiada
Troje cudów, troje dziwa:
Jaki byt u Niemców miły,
Jaki przepych niesłychany,
A najbardziej mu się wbiły
Kapelusze i kaftany.
— Co tu mówić o siermiędze?
Król dziwaczny, niesłychany,
Zaraz po niej znaczno nędzę;
Skrojmyż świty na kaftany!
A słomiane kapelusze,
Pańszczyźniany ubiór chłopa!
Już u Niemców — przyznać muszę,
Zaraz znaczna — Europa!
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
Ten nie będzie wójtem po mnie!

III.

Wraca Wasil z pod Krakowa,
Opowiada tonem zucha,
A gromada wszystkie słowa
Najuważniej zdala słucha.
— Co to! — mówi— mowa jaka!
Proszę pana, jakie pieśnie!
Każdy nuci krakowiaka,
Gdy my piejem tak boleśnie.
Gdzież tu piosnka brzmi swobodniej?
Każde słowo, każda nuta
Tak goryczy łzą zatruta,
Że aż echo wzdycha od niej!
Wiecie, bracia, co poradzę?
Rzućmy nasze piosnki stare,

W krakowiaka tańczmy miarę,
A ja rej wam poprowadzę.
  Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
Ten nie będzie wójtem po mnie!

IV.

  Wraca Szymon z Ukrainy
Opowiada dziwne dziwy;
Lecz ze swymi tak szczęśliwy!
Ukraińca nie znać z miny!
  — Dobrze — mówi — w tamtej stronie
Milę dojrzy, choćby ślepy,
Ciągłe stepy, ciągłe stepy,
Niedojrzane okiem błonie!
A jak spojrzy w kraj daleki,
Aż zatęskni się wędrowiec,
Do swych sosen, do swej rzeki,
Do swych wzgórków, gdzie jałowiec,
Że chociażby w Ukrainie
Nasypano góry złota,
Popędziłaby tęsknota
Do swej wioski — ku rodzinie
Jedna tylko rzecz nielada,
Czego sobie stamtąd życzę,
To pszenica! — z Niebem gada!
A kłosiska gdyby bicze!
Więc tamecznych plonów cuda
Uzbierałem mieszek spory;
Ej, spróbujmy! nuż się uda
Ukraińskie mieć nam zbiory!
A każdemu z was, sąsiedzi,
Dam po garści na początku...
  Ojciec słuchał w swym zakątku,
Westchnął zamiast odpowiedzi;
W tem westchnieniu zamiast słowa
Wrzała chlubna myśl wójtowa,

Myśl ojcowska — znać ją z twarzy.
Syn mej wiosce korzyść zdarzy.

V.

I zawołał z uniesieniem:
Z głupich ust głupia nowina!
Kto niemieckiem chce odzieniem
Pokryć ciało Słowianina;
Kto ku obcym skłonił duszę,
O pilścianej czapce marzy,
Kto słomiane kapelusze
Znalazł sobie nie do twarzy, —
W obce stroje niech się stroi,
Niechaj zdrów zakrywa oczy:
Latem czoło skwar uznoi,
A w jesieni deszcz przemoczy!
Głupi! jeszcze więcej głupi,
Kto rozumie, że szczęśliwy,
Że swojskiego ducha skupi
W jakiejś piosnce z cudzej niwy,
Kto pogardza grunt ojcowski,
Kto ku cudzym rzeczom skory!
Nie przyniosą nic dla wioski
Ni Wasili, ni Hrehory!
Lecz kto w obcej będąc ziemi,
Miał ku swoim chęć niemarną;
Kto pszeniczne zebrał ziarno,
By je krzewić między swemi;
Kto o świecie mówi skromnie,
Kto zatęsknił po swej stronie, —
Ten zostanie wójtem po mnie:
Będziesz wójtem ty, Szymonie! —
A gromada ze słów rada,
Daje okrzyk, bije w dłonie,
Plon z pszenicy przepowiada:
Będziesz wójtem ty, Szymonie!

1856. Warszawa.

CIEŚLA.

GAWĘDA LUDOWA.

Na cmentarzu przy drodze
Budowano kaplicę.
Zmówić pacierz zachodzę,
Przejrzeć grobów tablice.
O południu skwar piecze;
Wytchnij nieco, człowiecze!
Robotnikom i cieśli
Z wioski strawę przynieśli;
Więc ucichły siekiery,
Czeladź na trawce siadła,
A spędzając znój szczery,
Szturm przypuszcza do jadła.

* *
*

Stary cieśla co żywo
Zrównał postać pochyłą,
Dobył lulkę, krzesiwo,
Pyknął dymkiem, aż miło!
Zadumał się — uśmiecha,
Poweselał na twarzy
I wyraźnie, choć z cicha,
Sam do siebie tak gwarzy:
Kowal puka w kuzience,
Pali odzież i ręce,
Sierp naostrzy lub radło,
Zrobi topór, lemiesze,
Stuknie, puknie w kowadło
I zarobek wykrzesze;
A w gospodzie go czeka
Pogadanka, napitek,
Bo z takiego człowieka
Dobry wiosce pożytek.
Cieśla z niczem powraca
Od siekiery i pługa,

Choć ciężka jego praca,
Choć i większa zasługa.

* *
*

Młynarz puścił zastawki,
W kosze zsypuje zboże, —
I już dosyć zabawki,
Odpoczywać już może!
A jego trzódka syta,
Żona żyje w rozkoszy,
Dadzą mu miarkę żyta,
Dadzą mu kilka groszy;
Od dobrego człowieka
I podchmiele go czeka!
Cieśla z niczem powraca
Od siekiery i struga,
Choć jego cięższa praca,
Choć i większa zasługa!

* *
*

Skrzypek piśnie na kwincie,
Zagra taniec lub drugi, —
Już on pełen zasługi,
Już podarki mu czyńcie!
Ma pieszczoty dziewczęce,
Uścisk od chłopca zucha,
I grosz sypie się w ręce,
I szklanica nie sucha;
I co milsze rozkosze,
Niż szklanica i grosze,
To, że serca człowiecze
Jakby dłonią zagarta!
Prawda... prawda, nie przeczę,
I skrzypica coś warta;
Lecz cieśli licha płaca,
Nikt nie ściska, nie mruga,

Choć jego ciężka praca,
Choć i większa zasługa.

* *
*

Ot i dzieci, i młodzi,
I starcowie pochyli,
Wszystko i w każdej chwili
Przez me ręce przechodzi.
Czy się rodzą dzieciska,
Ot i kłopot dla głowy!
Pracuj, cieślo wioskowy,
Bo potrzebna kołyska;
Ja nie proszę zapłaty,
Ja pracuję z rozkoszą, —
Ksiądz przyjeżdża do chaty,
Mnie na chrzciny nie proszą;
Dla chłopaka ladaca
Cieśla zabawkę struga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* *
*

Chłopak rośnie w młodziana,
Już mu chce się zalotów...
„Oj danaż moja, dana!“
Ruszyć w swadźbę już gotów.
Czyż nie cieśla wyciosa
Nowy wózek chłopcowi?
Jak okują kolosa,
To bywajcie już zdrowi!
Już go dziewczę nie minie:
Na tym wózku zuch wielki!
Czy on miły dziewczynie?
Czy wóz mojej ciesielki?
Toż pytanie nielada!
A gdy celu dolata,
Cieśli, starego dziada,

Nie zaprosi na swata;
Pieniędzmi się wypłaca,
Więc już zniewaga druga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* *
*

Kiedy lato przeminie,
Dni dożynek nadbiegą,
Stołu trzeba drużynie
Dębowego, równego.
Hejże, z heblem i piłą
Spiesz się, cieślo, do dzieła!
Ja stół ciosam aż miło,
Wdzięcznie bracia przyjęła;
Lecz gdy jadło przynieśli,
Kiedy napitek płynie,
Jakoś w bratniej drużynie
Zapomnieli o cieśli...
A on ich mozół skraca,
Wprawia sosznik do pługa...
Oj, lichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* *
*

Młodzian przeżył wiek długi,
Zstarzał i umarł wreszcie.
Spieszcie do cieśli, spieszcie,
Nie odmówi posługi.
On kolebkę mu zrobił
Wielce sztucznej roboty,
On mu cacka sposobił,
On go stroił w zaloty;
Dziś — nagrodzą Niebiosa! —
Niech mu trumnę wyciosa.
Robię trumnę — jak caca,
Szeroka, kształtna, długa...

Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* *
*

Te mnogie ulów kłody,
Co stoją wedle płota,
I te wioskowe wrota,
Co strzegą pól od szkody,
Krzyże na mogił rzędzie, —
Wszystko mój trud bez mała;
A teraz, Bogu chwała,
Ot i kapliczka będzie!
Niechaj wioska wychwala,
Niech nagradza kowala,
Niech młynarza opłaca;
Do mnie Anioł Stróż mruga,
Że cicha moja praca,
Ale dobra zasługa!

* *
*

Jeszcze jedna myśl dumna
Dodaje mi ochoty:
Że będzie moja trumna
Nie partackiej roboty!
Bom wyuczył nielada
Kilku z wioskowej młodzi,
Jak się z sznurem obchodzi,
Jak się toporem włada.
Więc starca w każdym domu
Będzie zastąpić komu!
Gdy mi życie Bóg skraca,
Żałość będzie niedługa;
Poczciwa była praca,
Dobra będzie zasługa!

1856. Warszawa.

RYCERZ NA CZATACH

CZYLI PIEŚŃ RYCERSKA O HERBIE ŁŻAWA

Z PODANIA HERALDYCZNEGO.

I.

Kiedy panował w Polsce Biały Leszek,
W czasach niezgody i krwawych zamieszek,
Żył, jako stara kronika wspomina,
Rycerz Belina.

A herb miał dawny, jak świat zapamięta:
Na hełmie ręka rycerska ucięta,
Na tarczy zasię z krzyżem miecz stalowy
I trzy podkowy.

Zrodzon szlachcicem, choć miał miękkie serce,
Musiał rad nierad oddać się żołnierce,
Kędy się uczył, zręczniej niż my piszem,
Machać bardyszem.

Dodawszy k'temu żelazną kolczugę,
Pancerz kowany i kopię długą,
I hełm z wizyrem do okrycia powiek, —
Straszny był człowiek!

Swego rumaka, co wolałby paszę,
Strojno, rycersko zakowywał w blasze;
Czaprak, nagłównik, napierśnik i siodła
Blacha obwiodła.

Bo rycerz bywa w rozmaitej doli,
Lepiej się okryć bezpieczności gwoli:
Bo ani strzała, ni miecza zamachy,
Nie ugną blachy.

Nieszczęście jeno, że gdy dusza trwożna,
To serca blachą zakować niemożna;
A choćby zakuł, to i w takiej zbroi
Jeszcze się boi.

Rycerska służba krwawego Gradywa,
Dobrze zważywszy, niewielce straszliwa:

Gdy insi niosą na szwank swoje zdrowie,
Ukryj się w rowie;

A gdy wygrana, gdy twierdza zdobyta,
Kiedy żołnierstwo do łupów się chwyta,
Wymknij się na przód, a łupu dopadłszy,
Bierz co bogatszy.

A takim kształtem kierując swe życie,
Mieszek i chwała urosną sowicie,
Zwłaszcza gdy rycerz, wróciwszy z oddali,
Hucznо się chwali.

Tak doświadczeniem własnem nauczony,
Sprawiał Belina rzemiosło Bellony,
Z chrobremi męże wielkich czynów chwała
I nań spływała.

A choć na wojnie krył się za rycerzy,
Chociaż się strachał, gdy trąbą uderzy,
Lecz, krzepiąc serce, a mówiąc pacierze,
Wawrzyny bierze.

II.

Pewnego razu, z hufcy polskiemi
Bojował Roman, kniaź Halickiej ziemi,
Kędyś nad Sanem w granicach sąsiada
Nocleg przypada.

Zwolniono konie, puszczono na paszę,
Odjęto hełmy, odpięto pałasze,
I wedle ognisk drużyna szczęśliwa
Wczasu zażywa.

A jak rycerski obyczaj mieć każe,
Dokoła gęste postawione straże,
A dalej czaty w krąg obozowiska
Stanęły z blizka.

Więc na pagórku, gdy się noc poczyna,
Przodową czatę sprawował Belina;
Takie hetmańskie było rozkazanie
(Odpuść mu Panie!).

Samemu... w polu... w pośród nocnej głuszy...
Toć i najśmielszy upadnie na duszy:
Wróg w każdej chwili, nie dopuszczaj Boże,
Uderzyć może.

A tutaj księżyc, jak na złość, na zdradę,
Ciska z za chmury swoje światło blade;
Przy jego blasku kamień, krzak lub trawa
Człekiem się zdawa.

A tu las blizki gałęzie rozpostrze,
Tu sterczą jodły, jakby włóczeń ostrze,
Wiatr je kołycha, chwieją się konary
Jak dzikie mary.

A szelest wiatru, co swe tony zmienia,
Wielce podobien do jazdy tętnienia;
Zgadnij kto mądry: czy to ruskie syny,
Czy krzak leszczyny?

Tak sobie w myślach rozważa Belina,
Niesprawiedliwość hetmańską przeklina,
Modli się, słucha, patrzy nadaremno,
Bo wszędy ciemno!

Jak ów syn puszczy, co zającem zową,
Uważnym słuchem, z podniesioną głową,
W jesienny wieczór rozważa i bada,
Jak liść opada;

Słupi się, staje i strzela oczyma,
Wprawdzie nie blednie (bo rumieńca niema),
Lecz byle szelest posłyszał z daleka,
W pole ucieka:

Tak mąż Belina wśród nocnych straszydeł
Zazdrości orłom i potężnych skrzydeł,
Chciałby od wiatru, księżyca i lasu
Uciec zawczasu.

I jak polityk każdą rzecz oblicza:
— Na co to wojna z książęty Halicza?
Jakowa korzyść i w jakowym względzie
Polsce przybędzie?

A zresztą... nie wiem... i korzyść być może;
Lecz taki hetman, to pożal się Boże!
Poco na czaty, kędy pewno zginę,
Wysłał Belinę?

Zważywszy zresztą Opatrzności plany,
Zmrok ciemnej nocy na to został dany,
By szlachcic, sławny parantelą znaczną,
Wyspał się smaczno.

Jam przecię szlachcic i spałbym ochoczo...
A jak, broń Boże, Rusiny oskoczą?
Zabiją... zginie dostojność jedyna,
Mój herb Belina!

Więc patrzy, słucha, myśli po kolei;
Posłannik Niebios — sen oczy mu klei,
I chrobry rycerz na swej chrobrej szkapie
Snem twardym chrapie.

We śnie rozważa najmądrzej, najprościej,
Że sen jest tylko przedsionkiem wieczności,
I że Rusini wnet na śmierć złowrogą
Posłać go mogą.

Śpi ciało męża, ale czuwa dusza,
I oto marzy: że las się porusza,
Że nieprzyjaciół tysiąców tysiące
Skaczą po łące.

Że sam kniaź Roman już pali z kopyta
I chrobrą ręką za gardło go chwyta...
— Ratuj, kto poczciw z sarmackich rycerzy!
Kto w Boga wierzy!

Tak ze snu krzyknął i w nogi od lasa,
Porywa trąbkę wiszącą u pasa,
I z całych piersi swój sygnał złowrogi
Zagrał do trwogi.

Wśród ciemnej nocy góry i doliny
Odpowiedziały na sygnał Beliny;
W obozie popłoch wywołało hasło,
Sto trąb zawrzasło.

— Na koń, rycerstwo! — chrobry hetman woła,
Trwożliwy bezład zakipiał dokoła,
Ów szuka zbroje, ów konia na dworze
Znaleźć nie może.

Gdyby zaprawdę wrogowie w tej chwili
Na potrwożone wojsko uderzyli,
Rycerstwo snadno w takowym bezładzie
Trupem się kładzie.

Belina trąby obozowe słyszy,
Poznaje gwary swoich towarzyszy;
Gdzież nieprzyjaciel, co zda się szedł drogą?
Niemasz nikogo!

Żegna się krzyżem, przetarł oczy senne,
Patrzy w ciemności otchłanie bezdenne:
Zda się coś huczy, zda się coś porusza —
To polna grusza!

Tymczasem wojsko do szyku stanęło,
Już się gotuje na bojowe dzieło;
Gdzie i z kim zasię? niełatwe problema,
Gdy wrogów niema.

Harcują w polu i czaty i straże,
Ale dokoła nic się nie ukaże;
Belina wespół z drugimi harcerze
Zwija się szczerze.

Radośnie krzyczy, że niemasz nikogo,
Że towarzysze spać bezpiecznie mogą,
Że to nie Rusin, ale go napadło
Senne widziadło.

Lecz po obawie znów przyszła obawa!
Bo król był srogi, gdzie idzie o prawa:
Za marny popłoch nieuważne straże
Śmiercią się karze.

Więc przeczytano wojenne statuty,
Płacze Belina w kajdany okuty,

Już kosa śmierci zawisła surowo
Nad chrobrą głową.

Król winowajcę osądzić poleca;
Zeszła się tedy sądownicza wieca,
Na której hetman i przyboczna rada
Belinę bada.

Może go czasem wrogi przekupili,
By dawszy sygnał w niestosownej chwili,
Sprowadził wojsko na swoją obronę
W przeciwną stronę?

Rycerz Belina, mąż prawego ducha,
Kiedy bolesnych zarzutów wysłucha,
Przejęty strachem pobledniał widocznie
I płakać pocznie.

I padłszy do nóg Białemu Leszkowi,
Wszystko jak było, całą prawdę mówi:
Jak liche krzaczki wyobrażał z trwogi
Za hufiec mnogi.

Jak rozmarzony, stojący na zimnie,
Snem niewinności małą chwilkę zdrzemnie;
Jako przyśniwszy, że Rusin weń mierzył,
W trąbę uderzył.

Król Leszek Biały w dostojnej postaci
Słuchał go, słuchał — i powagę traci,
A usłyszawszy, jako śnił Belina,
Śmiać się poczyna.

Wojewodowie, hetmani, kanclerze,
Każdy serdecznie za boki się bierze,
Szczerego śmiechu nie powstrzymać mocą,
Wszyscy chychocą.

Po krotochwilnym śmiechu tylu osób,
Wyroku śmierci podpisać nie sposób;
Więc rada w radę, wydał król surowy
Wyrok takowy:

Aby mu z herbu podkowę odjęto,
A z hełmu rękę zbrojną i uciętą,
By się śmiesznemi nie wstydziło czyny
Gniazdo Beliny.

I już rycerskie odmieniając miano,
Łżawym Belinie zwać się rozkazano;
To znaczy: kłamcą — że swemi sygnały
Zwiódł obóz cały.

I herb ów nowy dziś Łżawym się zowie,
Zostali z herbem starym Belinowie,
I stąd się wiodą w kolei wiadomej
Dwa różne domy.

A śpiący rycerz rozpowiadał długo,
Że herb swój nabył wojenną zasługą;
Lecz nie oszukał kłamliwemi słowy
Karty dziejowej.

Stała się znaną niedobra przygoda,
I wiek wiekowi ze śmiechem ją poda,
By poszła powieść z dziadów aż na wnuki
Dla ich nauki.

III.

My, potomkowie protoplastów owych,
Zeszliśmy z dawnych warunków dziejowych:
Zamiast, jak starzy, wywijać bardyszem,
My książki piszem.

Dziś mądra ludzkość, kiedy śpi po trudzie,
Rozstawia czaty, a piśmienni ludzie
Winni dać hasło: gdzie? u jakiej drogi
Postępu wrogi?

Biadaż ci, biada, piśmienny skryptorze!
Jeśli ze strachu kędyś w nocnej porze
Dasz mylne hasło, wzbudzisz mylne czyny,
Wzorem Beliny!

I zamiast tego, co widzisz na straży,
Będziesz nam bajał, co ci sen wymarzy,

Gdy marną trwogą twój sygnał poruszy
Nasz spokój duszy!
Bo mszcząc się ludzkość za obłędu winę,
Nazwie cię Łżawym, jak męża Belinę,
Z twojego kłamstwa przez wieków koleje
Świat się naśmieje.

1850. Borejkowszczyzna.

STARE WROTA.

POEMAT.

„Dowieść na mię nie mogą, abym co komu uprosił: bo się za tak u Króla Jegomości Pana mego wdzięcznego i udatnego nie mam, anim jest, ani być chcę. Jeden jednak na się grzech powiem: woźnicy Króla Jmści, który mię kilkanaście lat wozi i ze mną u dworu zstarzał, a nigdy mię nie przewrócił, uprosiłem wielką wakancyę w żupach, groszy 20 na tydzień, aby w starości głodem nie umarł. Jeślim tem zgrzeszył, proszę odpuszczenia."

Ks. Piotr Skarga. Na artykuł o Jezuitach odpowiedź, rozdział I.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

W roku zbawienia tysiącznym pięćsetnym
Dziewięćdziesiątym i dziewiątym pono,
Zygmunt, którego Trzecim narzeczono,
Panował w Polsce. Czy był królem świetnym?
O czem zamyślał? co czyni? jak żyje?
Czyim dał ucho poszeptom zdradzieckim?
O tem szeroko piszą historye;
Jeśli chcesz wiedzieć, przeczytaj w Piaseckim.
My się nie wdajem w historyczne sprawy,
Bo strach rozbudzić krytyków z Warszawy.
W skromniejszej mierze trzymając się płota,
Tylko Zygmunta wspomniawszy nawiasem,
Chcę wam opisać staroświeckie wrota,

Przy starym dworku pod litewskim lasem.
Och! dawno chaty zwaliły się ściany,
I las wycięto, zorano na grunta,
I jeszcze większe nastały odmiany
Od owych czasów Trzeciego Zygmunta.

II.

Onego czasu Zakon Jezusowy
Był panem serca i królewskiej głowy.
Próżno Zamojski zżyma się na sejmie,
Pacta conventa, że monarcha targa, —
Król Jezuitom serca nie odejmie,
Bo jego serca pilnował Piotr Skarga.
Święty Piotr Skarga! wśród synów Loyoli
Wyrósł, zestarzał, — i wierzył w ich cnotę;
Grzmiał z kazalnicy w słowa szczerozłote,
Żył i pracował zakonowi gwoli.
W ręce obłudy dał się nieobłudnie,
I w piersiach uczuć niezgłębioną studnię,
I męską wolę, i rozumu siły
Złożył Piotr Skarga na starszyzny ręce.
Już posiwiały, już k'ziemi pochyły,
Przechował w duszy wierzenie dziecięce.
Z wesołą twarzą, w pokornej postaci
Kwapił się spełnić swych starszych rozkazy.
W świętych źrenicach sam nie mając skazy,
Nie mógł jej dojrzeć na sercu swych braci.
Czy w Sandomierzu, gdy szlachta zebrana
Na Jezuitów wykrzykuje veto,
Czy trzeba wstydzić błędy Aryana,
Albo się ścierać z uczonym Helwetą,
Czy to rycerstwo na koń się sadowi,
Czy idzie z wojny z bogatym obłowem,
Czy rokoszanin zagraża królowi, —
Staje Piotr Skarga z piórem i ze słowem.
On broni świętych Tajemnic ołtarzy,
Zasłania Kościół od błędnej szarańczy,

W bitnych pancerzach odwagę rozżarzy,
W togach senatu szczepi duch poddańczy.
Dwoi się Skarga, i kędyż go niema,
Gdzie woła Kościół lub ziemia rodzima?

Mąż wielki sercem, potężny w wyrazy,
Nie dziw, że został filarem Kościoła,
Że pańskie serce u Zygmunta Wazy
Takiemu człeku odjąć się nie zdoła.
Gdy go królewskie zawiodą nadzieje,
Kiedy mu serce przepełniają żale,
Czegoż się dziwić, że duszę wyleje
Przed Piotrem Skargą przy konfesyonale?
Że gdy, jak ojciec od swawolnych dziatek,
Doznał zniewagi szlachty czy magnata,
Już Zygmunt tęskni do spowiednich kratek
Skarżyć się Skardze na ból, co przygniata?
Że kiedy dworskie pochlebstwo owionie,
Gdy mu dworują koronni panowie,
Tęskliwem okiem patrzy ku ambonie,
Bo tam z ust Skargi o prawdzie się dowie?

A Skarga kochał Zygmunta Trzeciego,
Bo w jego sercu postrzegał grunt żyzny,
Bo w łzach pokutnych, co mu z oczu biegą,
Widział deszcz hojny dla plonów ojczyzny.
Może ze strachem, z boleścią ukrytą
Popierał głowę króla słabowitą;
Może zwodniczym blaskiem nieomamion,
Znał, jak mu cięży pomazańców toga,
I może nieraz modlił się do Boga
O większą siłę dla Zygmunta ramion, —
A znając dobrze, skąd się krzepkość bierze,
Na drogach Pańskich umacniał go w wierze.
I grunt był żyzny, i siewca nielada,
A czemuż ziarna nie wyrosły Boże?
Ten chyba na to odpowiedzieć może,
Co losy plemion i wieków układa.

III.

Ledwie bywało dziewiąta godzina,
Wydzwoni ranek na zamkowej wieży,
Król z brewiarza jutrznię rozpoczyna,
(Bo się pilnował kapłańskich pacierzy),
A na pokojach u tronowej sali
Już się panowie i dworscy zebrali,
I szepcąc cicho prze królewskie zdrowie,
Czekali, rychło dzwonek się odzowie.
Potem dworzanin, który pełnił straże,
Otwiera pańskie komnaty i woła:

— Królestwo Ichmość zaraz się ukaże,
Tędy przechodzić będzie do kościoła.

I wchodził Zygmunt i obok królowa. —
Chylą się czoła w cześć Królewskiej Mości;
Lecz król milczenie uroczyste chowa,
Jeno skinieniem pełnem uprzejmości
Powita dworzan i przez salę kroczy,
K'ziemi spuściwszy swe promienne oczy.
Wtedy i słowa wyszepnąć niemożna;
Bo król rachunek przed spowiedzią czyni.
Wyszedł w krużganek — a ciżba pobożna
Już do zamkowej tłoczy się świątyni.
Wszyscy w milczeniu, a wszyscy po parze,
Senat za królem, a dworscy po przedzie,
Idą w krużganku kryte kurytarze,
Co z zamku prosto do kościoła wiedzie.
Pod baldachimem z bogatej purpury
Ukląknął Zygmunt lub krzyżem się ściele;
A tam kapelan, albo Biskup który,
Czyta Mszę świętą, — a w całym kościele
Szmer taki cichy, jak liści osiny,
Kiedy się trzęsą przy świetle księżyca;
Posłyszysz nawet, kiedy parsknie świeca,
Lub czyje serce z cierpienia lub winy
Jęknie westchnieniem.

Kiedy Msza się czyta,
Czarny cień jakiś przesnuł się pomału:
Siwy jak gołąb stary Jezuita,
Piotr Skarga, zasiadł do konfesyonału.
A kiedy kapłan kreśli znamię krzyża
I Ewangelii odczyta ostatek,
Król lub królowa powoli się zbliża,
A Skarga ucho nachyla do kratek.
Króla z kapłanem spowiedź w cztery oczy
Długa i rzewna — widać, jak łzy leje!...
Och! tę rozmowę, którą z Bogiem toczy,
Gdyby raz jeden podsłuchały dzieje,
Może ich karty brzmiałyby inaczej;
Lecz insze ludzkie, — insze sądy Boże!
Kapłan dla skruchy grzesznemu przebaczy,
Ale historya przebaczyć nie może.
Znowu Msza święta. Wyspowiadan szczerze,
Zygmunt Sakrament Przenajświętszy bierze
Z rąk księdza Skargi — a tak pokrzepiony
Na całodzienne dźwiganie korony,
Do panów radnych przybliża się śmielej,
Na swe dworzany poględa weselej.
Opuszcza kościół, i święconą wodą
Krzyż na swem czole i na piersiach kładzie;
I znów krużgankiem panowie go wiodą,
Gdzie ma przodkować państwa wielkoradzie,
Przyjmować posły ościennych mocarzy,
Lub słuchać sejmu, który szumnie gwarzy.
Tak było codzień — a w każdą Niedzielę
Król we świątyni bawił za południe.
Tam się lud mnogi na kolana ściele, —
A Ojciec Skarga odzywa się cudnie:
O świętej Wierze, o bratniej miłości,
Słowami prawdy i kamień przebodzie,
Panów prowadzi ku braterskiej zgodzie,
Sędziów ku pracy i sprawiedliwości,
W żołnierstwie ducha pobożnego szczepi,

I nie przestaje powtarzać słów Pana,
Aż pojmą głusi, aż obaczą ślepi,
Aż rzewny naród padnie na kolana.
Wtedy Apostoł z promienistą twarzą,
Wesół na sercu, schodzi z kazalnicy.
Panowie tłumnie k'niemu się kojarzą,
Biją mu czołem dworscy urzędnicy;
Rycerstwo, jakby na widok hetmana,
Stawa do szyku, aby uczcić księdza;
Lud go pozdrawia — a bieda i nędza
Ciśnie się przy nim, ściska za kolana.
A siwy starzec, zawstydzon jak panna,
Na wszystkie strony skromny pokłon dzieli;
Spieszy do swojej za klauzurą celi,
Kędy go czeka praca nieustanna,
Kędy go czeka swobodne zacisze,
Kędy się modli i swe księgi pisze.

IV.

Przez lat trzynaście pełniąc służby Boże,
Skarga pracował piórem, sercem, głową;
Ranek miał w zamku, cały dzień w klasztorze,
Chyba, że znowu do zamku pozową.
Król, który pragnął, aby starość święta
Na długie lata chowała się krzepko,
Codzień bywało najwierniej pamięta,
Aby go dworską odsyłać kolebką.
Ale Apostoł, pełen ducha mocy,
Brzydził się blaskiem wytwornej karocy.
I tak powiada: Do czego te dziwy?
Królu i Panie Wielce Miłościwy!
Ścieżka do zamku z klasztoru mi znana,
Ani daleką, ni błędną mam drogę;
Staremu rzeźwiej przechodzić się z rana,
Więc chodzić pieszo i pragnę, i mogę.
Zbawiciel świata, większy Pan niż Skarga,
A przecież wierną otoczony rzeszą,

Po piaskach judzkich święte stopy szarga,
Z miasta do miasta przechodząc się pieszo.
  Ale król na to: O mój księże miły!
W trzydziestu leciech Chrystus nie był stary:
Ale w te lata, z waścinemi siły,
Nie porywaj się z Chrystusem do miary!
  Chciał Skarga mówić coś o świętym Pietrze,
Swoim Patronie — ale król nie słucha.
A że nastało zimniejsze powietrze,
Nastała w mieście śnieżna zawierucha,
Więc wyszukano na królewskiej stajnie
Skarbniczek mały, wygodny, niekryty,
Co o godzinie szóstej jednostajnie
Szedł pod mieszkanie księdza Jezuity,
Wiózł go co ranek pod świątynię dworną,
A o południu pod furtę klasztorną.

V.

  Od lat trzynastu już odtąd co rano
Ów niepoczesny skarbniczek widziano,
Zielonej barwy, z koły wysokiemi,
Trząsł się po bruku czy po równej ziemi.
A stary konik, bułany, niewielki,
Cichej natury, jak właśnie dla księdza,
Szedł sobie stępo zaprzężon w dyszelki, —
Stary woźnica lejcem go popędza.
  Woźnica strojny ze złotem błękitno,
Miał pas wzorzysty i kołpaczek rysi;
Policzki jego jeszcze zdrowiem kwitną,
A wąs srebrzysty aż do pasa wisi.
Rodem był Litwin, nazwiskiem Szeliga,
Sługiwał dawniej na wojskowym żołdzie,
A gdy piątego krzyżyka dościga,
Był dojeżdżaczem przy panu Gasztołdzie.
Potem go bieda — na świecie zwyczajnie —
Wypchnęła z Litwy rodzinnego sioła;
Został woźnicą przy królewskiej stajnie
I księdza Skargę woził do kościoła.

Ksiądz Skarga, wózek, i postać woźnicy,
I zasłużony koń bułanej maści,
Zwykli do siebie przez latek trzynaście,
I ludzie do nich zwykli na ulicy.
Gdy rankiem przemkną bywało przez miasto,
Stragarze wiedzą, że szósta godzina;
Kiedy wracają, to znaczy dwunastą:
Stary skarbniczek wskazówka jedyna.
Wtedy się cisną i wielcy i mali
Popatrzeć w oczy świętego człowieka:
Ów czołem bije, ów Chrystusa chwali,
A owa dziatwę prowadzi z daleka,
Bo ma otuchę, że Apostoł Boży
Błogosławieństwo na jej głowę włoży.

VI.

Stary Szeliga był chlubny nielada,
Takiego człeka że mu wieźć wypada, —
I zazdroszczono jemu tych zaszczytów;
Ale on, z dworskich żartując poswarek,
Jeździł codziennie, wiernie jak zegarek,
Do Jezuitów i od Jezuitów.
Tak do swej służby ułożył się zdatnie,
Że woził Skargę jak żaden z czeladzi:
Na jednem miejscu bułanego zatnie,
Na jednem miejscu o kamień zawadzi;
Gdy wraca prożen w południowej chwili,
Z jednego miejsca przygląda się miastu,
W jednej gospodzie szklanicę wychyli, —
To był obyczaj już od lat trzynastu.
A gdy wychodzi i ociera wargi
Z szumiącej piany piwnej albo miodnej,
Znaczy, że w zamku niema księdza Skargi,
I że Szeliga cały dzień swobodny.

VII.

A iż czas ludzi najlepiej odsłania,
I łacno poznać gdzie poczciwe lice,

Tedy wzajemny węzeł miłowania
Kojarzył Skargę i jego woźnicę.
Szeliga biedak — tym kluczem najprościej
Serce się Skargi otwarło Szelidze;
Sterał swe lata w wojennej fatydze —
Toć drugie prawo do jego miłości.
Jak na woźnicę miał talent nielada:
Konia nie chłoszcze, z przeklęctwem nie fuknie,
Trzy razy tylko o kamień gdzieś stuknie,
W porę zamilczy, w porę coś zagada.
Dla świętych dumań mając cześć i względy,
Nigdy się pierwszy ozwać nie odważył;
Lecz zmiarkowawszy, że ksiądzby pogwarzył,
Ochoczem sercem stanie do gawędy.
Wiedział co mówić i do jakich osób,
Więc Skarga ucho dawał mu ochocze.
O czem gadali i w jaki to sposób?
Oto wam próbkę rozmowy przytoczę.

VIII.

— Mróz, miły bracie! czy waści nie chłodno?
— Ręce pokrzepły, miłościwy księże!
Choć mam opończę ciepłą i wygodną,
Chłód i przez szubę do kości dosięże.
Krew już nie grzeje, to i cóż za dziwy?
Starość nie radość, księże miłościwy!
Śmierć w oczy patrzy!
— Niepotrzebna trwoga:
Bliżej do grobu, to bliżej do Boga! —
Odpowie Skarga — zresztą miły bracie,
Tam w Niebie cieplej.
— Cieplej, księże miły,
Niżby naprzykład ot w tej starej chacie,
Co nad jej okny wiszą lodu bryły,
Szybki pobite od wczorajszej burzy,
A, jak uważam z pieca się nie kurzy.
Pokiwał głową i na chatę blizką
Skierował swoje woźnicze biczysko.

— A któż tu mieszka? — spytał Skarga rzewnie.
— Wdowa płatnerza... Pomnę ich przed laty:
Tu miał domostwo, tu stały warsztaty,
Dogadzał żonie, jak gdyby królewnie,
Bo było z czego: w Batorowskie czasy
Pancerze, hełmy były bardzo w modzie;
Miał ich w sklepiku ogromne zapasy
Ku prześwietnego rycerstwa wygodzie.
A był to z dziadów, z pradziadów zbrojownik,
U nich rzemiosło szło z ojca na syna;
Bywało pancerz, czy koński nagłownik,
Z żelaznej blachy jak z wosku wygina!
Później postarzał, oślepnął i ginie:
Robota rzadsza, a tu człowiek chory,
Król miłościwy, panujący ninie,
Już do pancerza nie to, co Batory!
Zresztą dziś szlachta bogaciej się stroi:
Wzdycha do lekich weneckich pancerzy.
Już jej domowej nie pokazuj zbroi,
Radaby błyszczeć, jakby święty Jerzy!
A tu... jak Niemcy do miasta nalazą,
Jak poczną stawiać nowomodne kramy,
Sprowadzać szwedzkie z za morza żelazo, —
Gdzież my prostacy z nimi się zrównamy?
Holał nieborak od doby do doby,
I jego mieszek chorzał na suchoty,
A tu z kramkami wędrujące Szkoty
Dawaj go leczyć od ocznej choroby!
I wyleczyli... po trosze... po trosze,
Zabrali oczy i życie, i grosze...
Została żona — poczciwa starucha,
I troje dziatwy — pacholęta jeszcze...
Patrz Wasza Miłość: ot i w ręce chucha!
Nędza nie puści kogo porwie w kleszcze!
A tego roku drogi chleb i mięso,
I wiązki drzewa za szeląg nie dostać:
Nie dziw, że wdowy skurczyła się postać,

Nie dziw, że dzieci od głodu się trzęsą.
Ojciec kuł ludziom pancerze za młodu,
Chronił ich piersi od bojowej kuli,
A dzisiaj dziatwy ginącej od chłodu
Nikt nie ochroni — nikt nie da koszuli!
  Tak stary bajał jednego poranka...
Och! bo i jego był los taki samy!
Machnął biczyskiem i zaciął bułanka,
Stuknął o kamień i wjechał do bramy.
A ojciec Skarga, co zawsze przy sobie
Miał rzymski stylus i tabliczki z wosku, —
Co nieszczęśliwym w utrapienia dobie
Z rychłą pomocą spieszył po ojcowsku, —
Zapisał imię nieszczęśliwej wdowy,
Pożegnał starca i ruszył swą drogą:
I już nazajutrz pacholik zamkowy
Zaniósł jej wsparcie — Bóg-że wie od kogo!
A kiedy pełniąc stare obyczaje,
Krzepił Szeliga w gospodzie swe zdrowie,
Bóg wie dlaczego coś mu się wydaje,
Że i miód słodszy, i weselej w głowie.

IX.

  Tak często gęsto, niby nieumyślnie,
Jakieś słóweczko do rozmowy wciśnie;
Wiedział z kim gada i wiedział jak gadać.
Skarga, co ludzi przywyknął spowiadać,
Bywało zręcznie za słówka go chwyta,
Daje woźnicy wygadać się dłużej,
A z jego bajań zawsze się wynurzy
Jakaś niedola, gdzieś nędza ukryta.
Skarga dochodził po nitce pajęczej,
Gdzie jaki dłużnik, co go lichwiarz dręczy,
Kogo nękają bezbożni pieniacze,
Lub jakie bóle komu serce ranią;
Gdzie biedne dziewczę rozpaczliwie płacze,
Stojąc nad grzechu straszliwą otchłanią;

Gdzie brat ku bratu oddycha niezgodą,
Gdzie z sąsiadami poswarki zawiodą:
A żadna powieść nie była naprożna:
Bo owdzie grosza, tam serca jałmużna
Rzucona zręczną dłonią apostoła,
Rozjaśnia serca, rozpogadza czoła.
Szeliga wszystko wygwarzył otwarcie:
Lecz była hardość w sercu tego dziada!
Kiedy dla innych kołatał o wsparcie,
Nigdy o własnej nędzy nie zagada!
Bystra źrenica księdza kaznodzieje
Rychło się wpiła w skrytą pierś Litwina, —
Niby nieznacznie pytać go poczyna,
O dom rodzinny, o dawne koleje:
Jak to z Gasztołdem biło się niedźwiedzie?
Co go ze służby pancernej wywiodło?
Czemu szlacheckie zaniechawszy godło,
Został stajennym? i jak mu się wiedzie?
Czy na swą Litwę wrócić kiedy życzy?
Czy jakich krewnych i przyjaciół nie ma?
Z czego żyć będzie, kiedy leje woźnicy
Już się w zgrzybiałych ręku nie utrzyma?
Gdyby go pytał głosem jałmużnika,
W politowania smutnego sposobie,
Pewnieby Litwin zaciął się sam w sobie
Bo on dla żalów piersi nie odmyka,
Cierpi gdy nędzę wyspowiadać musi,
Chlebem jałmużny pewnie się zakrztusi;
Ale badany znienacka a zdatnie,
Niby gawędząc o deszczu i suszy,
Stary Szeliga wpadł w księdzowskie matnie,
Wysączył przed nim każdą kroplę duszy.
I kapłan przeznał Litwina odludka
Od pacholęcia, od pieluch bez mała;
Powieść to była i prosta i krótka,
A jednak Skardze łezkę wywołała.

X.

Ojciec Szeligi był szlachcic ubogi,
Mieszkał pod Wilnem na Litwie głębokiej;
Miał włókę gruntu i lasu trzy włoki,
Orał, polował i rąbał się z wrogi.
A jak wiadomo, w Jagiellońskie lata
Mniej było szlachty na żołdzie magnata;
Czy sejm, czy sejmik czy rycerskie koło,
Szlachta chowała zbożne obyczaje,
I częściej panom stawi harde czoło,
Niźli im swoje sumienie przedaje.
Bywało wtedy u szlachty i braciej
Ubożej w domach, lecz w sercach bogaciej.
Swoboda była nie słowem lecz faktem,
Bo jej umiano strzedz nie po pijanemu.
Jeśli kto ziemię trzymał za kontraktem,
To jeno groszem opłacał się panu;
Wypłacał czynsze po niedrogiej cenie
Na święty Marcin lub na święty Jerzy;
Lecz miał swobodne ramię i sumienie,
Bo to oboje do kraju należy.
Rzadko kto służył w nadwornej chorągwi
U kasztelana albo wojewody;
Doma sycono i piwa, i miody,
Nie zaglądając do magnackiej stągwi.
Ojciec Szeligi ręką pracowitą
Karczował lasy i zasiewał żyto;
Miał swoje stada i po lasach barcie,
Miał pobożności i cnót w sercu wiele;
Pościł w sobotę, chmielił się w Niedzielę
I świętą prawdę ciął ludziom otwarcie.
Łacińskich nauk nie zaszczepiał w synie,
Bo tylko Credo umiał po łacinie;
Lecz za to grzmotnąć niedźwiedzia z półhaka,
Lub kosić trawę na zielonej błoni,
Karczować pole lub dosiadać koni
Dzielnie wyuczył swego jedynaka.

A kiedy wojna nadeszła z Wołoszą,
To na nią syna wyprawił sowito,
Kazał stać murem za Rzeczpospolitą,
Miecz mu do boku przypasał z rozkoszą, —
I dusza ojca była wielce rada,
Że stary pancerz k'piersiom mu przypada.
Złożon do boju nasz młody Szeliga
Z radością oręż rodzicielski dźwiga.
  Z pod Obertyna, gdzie zwijał się żwawo,
Powrócił zdrowy i okryty sławą;
Ale krom sławy nic więcej nie dopnie,
Bo łupów nie brał, na zyski nie patrzy;
Hetman rozdawał zaszczyty i stopnie,
Ale tam rękę przeciągał bogatszy,
A za bogatszym, jak obyczaj każe,
Byli rotmistrze i regimentarze.
O tamtych czynach dobrą pamięć chowa
I król, i hetman, i karta dziejowa.
A jego pracom któż uczynił zadość?
Własne sumienie i ojcowska radość.
Dosyć mu było: zwycięzca Wołoszy
Znów orze ziemię i niedźwiedzie płoszy;
A gdy pan Gasztołd wyprawił obławę,
Tak zręcznie dzika na oszczep przebodzie,
Że przypadł k'sercu panu wojewodzie
I już porzucił gospodarską sprawę.
Sądząc, że czegoś dosłuży się może,
Został myśliwym w gieranońskim dworze.
  Ojciec był nierad tej jego dworszczyźnie:
  — Lepiejbyś poszedł Wołochom w niewolę!
Na jasnych dworach chcesz dopędzać dolę,
A tu się dola wioskowa wyśliznie.
Czy ci niemiła domowa zagroda?
Czy mało chleba? czy może zła woda?
Czy tu złe knieje? czy tu złe nadzieje?
Nad twoją strzechą słomianą i starą
Patrz, jak się Niebo dobrotliwie śmieje?

Mierzyć ci hojną obiecuje miarą!
A tam na dworach, dokąd chętka wzywa,
Zyski niepewne, strata niewątpliwa:
Bo strata czasu na służebnym chlebie,
Dla Boga, kraju, dla samego siebie.
Tam twoja wola nietwoją się stanie;
Tam zaprzedałeś twój sen i czuwanie;
Tam każde słowo musisz mieć na wodzy.
Wiesz, jak bogatym hołdują ubodzy?
Służąc w ich barwie, nie dopuszczaj Boże,
Nawet myśl twoja zaprzedać się może!
Boś ty najemnik, i Bóg wie za kogo
Nieść twoją głowę rozkazać ci mogą!
Nie jedź, mój synu! lub jeśli ci mile,
Idź w dworską służbę — ja nie błogosławię,
Bo wiem, że do nas powrócisz za chwilę,
Może powołan ku godniejszej sprawie!
  Nie błogosławił — a młody Szeliga
Jechał do dworu i już barwę dźwiga,
Hasa po kniejach, jak dojeżdżacz lichy...
Poszedł swą drogą, bo w Niebiesiech pono
Nad głową szlachty, za grzechy jej pychy,
Już służebnictwa klątwę wyrzeczono!
  Ojciec umierał i przyzywał syna;
Syn nie mógł przybyć po błogosławieństwo,
Bo była zręczność popisu jedyna,
Obława sławna! Całe Wielkie Księstwo,
Wszystko co żyje, na wyścigi bieży
Polować z królem do puszcz Białowieży.
Sądził Szeliga w zamniemaniu płonnem,
Że król, gdy zręczność łowiecką obaczy,
Weźmie go k'sobie i mianować raczy
Łowczym nadwornym, a potem koronnym;
A wtedy żywot rozpocznie szczęśliwszy
I pana ojca przekona, co umie...
Lecz król młodzieńca ani widział w tłumie,
A ojciec umarł, nie błogosławiwszy.

Odtąd dworszczyzny burzliwym odmętem
Płynął Szeliga, przykuty do łodzi.
Już ani pytaj, jak mu się powodzi,
Bo krzyż ojcowski swym promieniem świętym
Już się nad głową jego nie migota,
Dróg nie oświeca błędnego żywota...
Przez nieuwagę popsował raz sieci,
Że wilk ścigany z ostępu wyskoczy:
Pan się rozgniewał, i groźno zaleci
Aby mu więcej nie stawał na oczy.
Wypchnięty z dworu, nie postał już doma,
Bo się płochości sam przed sobą sroma.
Obliczył grosze — kwota ich zbyt mała;
Ubiegłe lata obrzucił oczyma —
Większa połowa marnie się sterała;
Obliczył zdrowie — to jeszcze się trzyma.
Więc dalej na świat poszedł zbierać plony
Po inszych dworach Litwy i Korony.
W dworach Kierzgajłów, Kiszków, Chlebowiczy,
Terał swe zdrowie, wodząc pańskie psiarnie.
Chciał doznać w życiu rodzinnych słodyczy,
Pojął małżonkę — wnet nędza ogarnie.
A kiedy insi zbierali wawrzyny
Z królem Batorym na inflanckiej wojnie,
On na niedźwiedzia ostrzył rohatyny,
Lub w pańskich waśniach walczył niedostojnie.
Gniotła go nędza, więc byle zapłacą,
Nadstawiał ramię, Bóg wie gdzie i za co!
Wziął ranę w czoło — nie gdzieś przy fortecy,
Lecz służąc świadkiem u sądowych kratek;
Niedźwiedź na łowach szarpnął go przez plecy
I wyrwał zdrowia krzepkiego ostatek.
A więc w Krakowie we szpitalu leży,
Żona bez chleba — on sam bez odzieży;
A syn, którego Niebo mu przysłało,
Rosnął bez nauk, jak istota podła,
Nie mógł ojcowską pocieszyć się chwałą,

Coby go kiedyś między ludzi wwiodła.
Cierpiał Szeliga — lecz się nie użala,
Bo nad swą strzechę wolał zamki cudze, —
Po tyloletniej po dworach usłudze
Czuł, że sam winien, idąc do szpitala.
 Szczęściem, Bobola, wielki podkomorzy,
Człek miłosierny, polubieniec króla,
Zwiedzając domy, gdzie jęczeli chorzy,
Nad jego losem rzewnie się rozczula.
Niepiśmiennemu, jak strzelec zwyczajnie,
Co nie miał zdrowia, co już był niemłody,
Jakież się mogły nastręczać zawody?
Wzięto Szeligę do królewskiej stajnie.
Zapłakał z razu, mając barwę nosić;
Lecz gwoli żony i dziecka potrzebie
Zaparł się herbu i samego siebie, —
I tak niedoli doświadczył już dosyć.
Nowy chleb jego — zwyczajnie woźniczy,
Choć to u króla, lecz zawsze sromota,
Wśród upokorzeń, wśród ciągłych goryczy,
Boleść na sercu, chociaż barwa złota.
Ale ta świetność i hańba rzemiosła
Przez lat trzynaście do serca już wrosła.
Tylko gdy Skarga k'wyznaniu zachęca
I trącił serca bolejącą strunę,
Szeliga ryknął płaczem potępieńca:
 — Czyż ja tu kości do grobu usunę?
Jaż, niegdyś szlachcic!... czyż mi Bóg przeznacza
Włożyć do trumny mój bicz poganiacza
Och! gdyby nieco grosza ku potrzebie,
Znówby woźnica wskrzesnął na szlachcica,
Szedłbym na Litwę o żebranym chlebie,
Tambym przebłagał mogiłę rodzica,
Wykupił dworek, com stracił z mej winy,
I zakopany w ustroniu dalekiem,
Kształciłbym syna pomiędzy Litwiny,
I tambym umarł niezależnym człekiem.

Dajcie mi, księże, lekarstwo na ranę!
Zedrzyjcie ze mnie złocistą sukmanę!
Gdy znosić nędzę — niech tam znoszę nędzę!
Niechaj odżyję przed zawarciem powiek!
Z pługiem rolniczym i w szarej siermiędze,
Karczując grunta, przypomnę, żem człowiek!

XI.

Takiemi słowy dzieje swojej zguby
Gwarzy Szeliga, jadąc z Częstochowy,
Kędy składano uroczyste śluby
Za powrót króla szczęśliwy i zdrowy.
Bo powróciwszy ze szwedzkiej stolicy,
Przetrwawszy morskie i wojenne burze,
Zygmunt uczynił ślub Bogarodzicy
Uczcić jej święty tron na Jasnej Górze.
Skarga, towarzysz nierozdzielny króla,
Jeździł go przywieść przed Pańskie ołtarze,
I rzewną mową słuchaczów rozczula,
Oddając wota, jak ślub święty każe.
Wzruszon woźnicy powieścią rzewliwą,
W głębi swej duszy rozmyślał człek Boży:
Trzeba z pomocą pokwapić się żywo;
Ale podarek starca upokorzy.
Tu niestosownie jałmużna się poda,
Kędy za pracę należy nagroda.
W Polsce są grosze na takie potrzeby,
Dla sił steranych jest opieka prawa;
A po starostwach zasłużone chleby
Król szczodrobliwie swej szlachcie rozdawa.
Wprawdzie, na przekór zasłużeńszej braci,
Biorą starostwa młodzieńcy — magnaci,
Ale z nich słusznie należy coś starszym:
Szeliga walczył w swoje młode lata,
Potem wiek terał przy dworze monarszym,
Niechże spokojnie życia dokołata.
Przecięż starostwa niemożna dlań prosić...

Lecz niechaj z głodu nie giną biedacy,
A kilka groszy dożywotniej płacy
Będzie mu dosyć — i aż nadto dosyć.
Zapomożony, a wdzięczen królowi,
Niech rzuci służbę, gdzie nędza uciska,
Niechaj na Litwie dom przodków odnowi,
Niech utraconą dostojność odzyska.
Tu sprawiedliwość z miłosierdziem w parze —
Trzeba dopomódz, bo sumienie każe.
Tak pomyślawszy, w upatrzonej chwili
Skarga odważnie stawił się przed tronem,
I serce króla tak rzewnie rozkwili,
Że pożądanym ucieszył się plonem.
Król zdzierżał słowo, bo nazajutrz rano
Już mieli mandat bocheńscy żupnicy,
Aby Szelidze, dworskiemu woźnicy,
Dwadzieścia groszy w tydzień wypłacono.
Ów dar Szeliga przyjął najszczęśliwszy,
I nic dziwnego, bo kwota nielada,
Bo na dzisiajszą wartość policzywszy,
Toć trzysta złotych do roku wypada!
A choć się Skarga nie przyznał otwarcie,
Że on wyprosił pożądane wsparcie,
Jednak Szeliga wpadł na domysł skory,
Komu był winien swe dworskie fawory.
Nie szedł dziękować, bo do swego czynu,
Wiedział, że Skarga nie przyzna się za nic;
Ale swą wdzięczność bez końca, bez granic
Przekazał żonie i zaszczepił w synu.
I wszyscy troje następnej Niedzieli,
Wiedząc, skąd przyszła Niebieska opieka,
Szli do spowiedzi i krzyżem leżeli,
Modląc się z płaczem za dobrego człeka.
A gdy Szelidze łzy pobożne biegą,
Jednym był tylko skrupułem dotknięty,
Że to grzech może modlić się za niego,
Bo ojciec Skarga już za życia święty.

XII.

A z barwy dworskiej gdy się raz wyłuszczy,
Gdy ze służalca przekształcił się w człeka,
Poszedł Szeliga, gdzie Litwa daleka,
Gdzie dworek ojców pustoszał na puszczy.
Niełatwe tutaj czekały nań sprawy,
Lecz go wzmacniały szlachetne pochopy;
Grunta rodzinne wykupił z zastawy,
Sam zwalił w lesie bierwion cztery kopy,
Zwiózł je do domu, a coraz to żwawszy,
Sam ociosywał kłody ku budowie,
A dobrych ludzi na pomoc przyzwawszy,
Począł odnawiać ojczyste pustkowie.
Jak kiedy bocian z wędrówki powraca,
Ledwie powitał olszynę rodzimą,
Zaraz go czeka i nielekka praca,
Naprawić gniazdo uszkodzone zimą:
Tak i Szeliga, dworów wychowanek,
Razem z bocianem krzątać się nie leni;
A nim stąd bocian odleciał w jesieni,
Dworek Szeligi już stanął, jak wianek.
Pod ciemnym lasem, z wysokiego wzgórka
Domek podnosił swe łamane szczyty,
Ciosany z jodły a słomą poszyty,
Otoczon gęstym parkanem podwórka.
Z polnych kamieni, naprzeciw mieszkania,
Zmurował lamus z dwóch piąter, jak wieżę;
Chorągiew z herbem jego dachu strzeże,
A kilka brzozek cudnie go osłania.
Zdobiły chatę: ogródek wzorzysty,
Przyzba, i ganek, i kominy z cegły,
A stara jabłoń i klon gałęzisty
Sowitym cieniem pół dworku zaległy.
Wjazd stanowiły staroświeckie wrota,
O dwojgu słupach z furtką i przełazem,
Z dachem ze słomy, okute żelazem, —
Zajechać do nich aż brała ochota.

Bo dziwna sztuka u litewskich cieśli,
Że nasza brama zawżdy gościa złowi;
Kogo bogowie pod wrota przynieśli,
Już jak magnesem ciągną ku dworkowi.
Wiejskiego cieśli zaklęta siekiera
Takim je wdzięcznym uśmiechem ubiera,
Myśl gospodarza tak wyżłabia zdradnie,
Że brama, krzepko na rygle zabita,
Ledwie podjeżdżasz — sama się rozpadnie,
Radosnym skrzypem przybyłego wita.
Skąd takie cuda? czy to z duszy szczerej,
Co rada gościom przychylić Niebiosa?
Lub czarodziejstwo ciesielskiej siekiery
Jakieś nad bramą zaklęcie wyciosa?
Trudno odgadnąć — to tylko wiadomo,
Że w jednej Litwie stawią takie wrota,
Z czubiastym daszkiem, uplecionym słomą,
Na którym świeci uśmiech i szczerota,
Co w dzień i w nocy, wśród lata i zimy,
Zdają się mówić: „Serdecznie prosimy!"

XIII.

Szeliga, wrócon do swojego świata,
Uprzejmem sercem z sąsiady się brata;
Jako myśliwy i rolnik z rzemiosła,
Oszczepu z sochą pilnował naprzemian,
Spraszał do siebie miłościwych ziemian,
A gęsta trawa nigdy nie wyrosła
Pod jego wroty. Jak ziemianin prawy,
Miłe z sąsiady prowadził zabawy.
W wonnym ogródku, pod ciemnemi klony
Zasiadał z gośćmi na dębowej kłodzie,
I miód pienisty, w sklepie ochłodzony,
Lał w sporą czarę; szły żarty przy miodzie,
A czasem rzewne i poważne słowa,
Albo piosenka jakaś obozowa,
Śmieszna, choć czasem niezbyt świętobliwa,
Jak stary nałóg z ust mu się wyrywa.

Takich piosenek nauczył się sporo
Przez swe żołnierskie i dworskie tułactwa;
Lecz myśli święte zawżdy górę biorą:
Był sodalisem Jezuitów bractwa.
Zwykle w Niedzielę lub w dniu jakim świętym
Nosił baldachim ponad Sakramentem.
Sługiwał do Mszy, wiódł księdza pod rękę,
Niósł na Asperges kropielnicę z wodą,
A Matce Bożej śpiewając piosenkę,
Ora pro nobis! grzmiał piersią tak młodą,
Że trudno zgadnąć, czy to człek ten samy,
Co w barwie dworskiej z chmurnemi oczyma,
Powożąc Skargę, u zamkowej bramy
Ledwie bywało lejc w ręku utrzyma.
Bo to powietrze rodowitej kniei
Wzmocniło piersi, jak zbawczą oliwą,
A myśl otuchy i lepszej nadziei
Otarła z czoła zmarszczkę kłopotliwą.
Wąs długi, siwy, co na piersi spada,
Wzniósł się do góry junacko a młodo;
Błękitne oczy iskrzą się pogodą,
Czerstwe policzki kraśnieją u dziada.
Każdego roku jeździł do Warszawy
Odebrać grosze, co miał z łaski króla;
A błogosławiąc kęs chleba łaskawy,
Ubogich wspiera, sieroty przytula.
Swojego rodu zapewniając dolę,
Wykształcał syna w jezuickiej szkole;
A resztę chleba, co urodzi niwa,
Z dobrymi ludźmi wesoło spożywa.
A kiedy czasem zawieja, czy słota,
I nikt nie przyjdzie osłodzić mu życie,
On tęsknem okiem spoglądał na wrota,
Jakby ich błagał o gości przybycie.

XIV.

Tak żyjąc z ludźmi, albo czyniąc modły,
Starzec lat kilka doma gospodarzył,

Kiedy mu gościa Niebiosa przywiodły,
O którym nawet i we śnie nie marzył.
Był to ksiądz Skarga, dla zakonnej sprawy
Jadący tędy do Wilna z Warszawy.
Przypomniał sobie woźnicę Litwina,
Rozpytał o nim u ludzi w podróży,
I — co dobremu sercu nie nowina, —
Przyszedł obaczyć, jak mu szczęście płuży.
Wesołem hasłem w szlacheckiej chudobie
Skrzypnęły wrota, kiedy je otworzy.
Szeliga szczęśliw, nie wierzył sam sobie,
Że jego chatę nawiedza mąż Boży.

XV.

Wyrocznia króla a Polski ozdoba,
Filar potężnej Jezuitów rzeszy,
Skarga serdecznie z Szeligą się cieszy,
W szlacheckim dworku snadź wielce podoba.
Świętyż był wieczór i pełen radości,
Z dawnym woźnicą co przepędził społem!
A gdy wieczerzać siadł za jego stołem,
Niech mu kasztelan krakowski zazdrości!
Bo się senator żaden nie poszczyci,
Że kiedy Skargę przyjmował w gościnie,
By święte usta umoczył w węgrzynie,
Choć go prosili męże znakomici.
A tu bez prośby, bez żadnej odmowy,
Przy plastrze miodu i przy misie mleka,
Nie upokorzył biednego człowieka,
Wypił z nim miodu puharek cynowy.
A po wieczerzy, kiedy się krzątano
Zasłać mu łoże jak najmiękcej zda się,
Pod siwą głowę on sam posłał dla się
Ostre i twarde z błot litewskich siano.
Wszystkich domowych pobłogosławiwszy,
Klęknął gdzie zimna ceglana podłoga,
W gorących modłach błogosławił Boga,

Że dzisiaj zesłał dzień mu najszczęśliwszy.
Za ciernie życia, co musim przenosić,
Za ból codzienny, co nam serce targa,
Jednej nagrody byłoby już dosyć:
Przyśnić sen taki, jak miał Ojciec Skarga.
Bo okiem duszy musiał widzieć żywo
Bóstwo promienne, a ludzkość szczęśliwą,
A najszczęśliwszy — to stary Szeliga;
A on sam klęczy pod Niebiosów progiem,
Prawicą w piersi bije się przed Bogiem,
Lewicą ludzi z padołu podźwiga...
Takie sny święte, wolne od zakały,
Nad głową Skargi ulatać musiały.

XVI.

Nazajutrz, ledwie do świtu się bierze,
Już Ojciec Skarga z brewiarzem w dłoni
Klęczy pod cieniem klonu i jabłoni
I cichym głosem odmawia pacierze.
Godzi się wierzyć, że Niebo poruszy
Ten jego pacierz pokorny a święty.
Bo człowiek Boży, mąż potężnej duszy,
Nietylko własnem zbawieniem zajęty.
Tam burza miota Chrystusa Kościołem,
Tam jego zakon szkalują potwarce,
Król z senatorskiem i rycerskiem kołem
W ciągłej niezgodzie, w ustawnej poswarce.
Jest nad czem płakać, jest modlić się o co!
Skarga pojmuje, czego Polsce trzeba:
Modli się rzewnie, aby Pan Bóg z Nieba
Ku Kościołowi pospieszył z pomocą,
Ażeby króla uzbroił wytrwaniem,
Stan senatorski dobrej rady tchnieniem,
Rycerską szlachtę zgodnem przywiązaniem,
Pobożnem sercem i bitnem ramieniem;
I Panu Bogu w opiekę oddaje
Ubogich kmieci, którym tu najgorzej;

Wszystkie koronne i litewskie kraje
Serdecznie stawi przed Majestat Boży.
Płyną godziny, a Skarga nie baczy,
W modłach zapomniał swej ziemskiej istoty.
Już się przez klonu gałęziste sploty
Słoneczna siatka na trawie majaczy;
Już do obory, chroniąc się gorąca,
Z rosistej paszy powracają trzody;
Już i Szeliga, strzelec siwobrody,
W leśnym przesmyku ubiwszy zająca,
Wsparty na strzelbę u płotu z daleka,
Na koniec modłów niecierpliwie czeka.

XVII.

Skończone modły. Ksiądz Skarga wychodzi,
Pozdrowił starca przed chatniemi drzwiami.
Szeliga, widząc, że jego dobrodziej
Już niezajęty modłą ni myślami,
Przystąpił k'niemu, ścisnął za kolana,
Sędziwą głowę nachylił ku ziemi,
I namaszczoną prawicę kapłana
Ze czcią całował usty życzliwemi.
Cały pokraśniał, jakby się zdawało,
Że jakiej prośby hamuje porywy;
Nareszcie oczy podniósłszy nieśmiało,
Rzecze do niego:
— Ojcze miłościwy!
Wiem, komum winien dziękować po Bogu
Za dobry byt mój, za dzisiejsze życie:
Wyście biedaka dźwignęli z barłogu,
Dzisiaj mię w dobrym dostatku baczycie.
Król miłościwy z waszej snadź namowy,
Dośmiertnej płacy przysłał mi nadanie:
Więc odkupiłem dworek pradziadowy,
Mam chleb i zdrowie, las i polowanie;
Mam przywrócone szlacheckie nazwisko,
Dobrych sąsiadów i kościół tak blizko!

Czegoż chcieć więcej? Tu od pierwszej chwili
Odżyły domu mego fundamenta;
Wyście mnie pewno pobłogosławili,
A wasza ręka — już ja wiem, że święta!
Przez was my tutaj szczęśliwi a zdrowi,
Więc nie odmówcie jeszcze jednej cześci:
Pobłogosławcież mojemu rodowi!
Mój syn niedawno skończył lat dwadzieści,
Już odbył szkołę księży Jezuitów,
Skąd mu się nieco łaciny przyniosło;
Doma nie dojdzie wysokich zaszczytów,
Niech idzie sprawiać rycerskie rzemiosło.
Już dziś szablicą ręki nie skaleczy,
A strzela celno, a oszczepem władnie;
Niechaj tych darów używa przykładnie,
By kiedyś służyć Pospolitej-Rzeczy.
Tutaj na Litwie oświecone książę,
Krzysztof Radziwiłł, wileński wojwoda,
Zbiera chorągiew, — bieży szlachta młoda,
Niech i mój chłopak z drugimi się wiąże.
Już mu kupiłem karacenę nową,
Kopię lekką a składną do ręki,
Rumak szlachecki z domowej stajenki,
Lecz pewnej cnoty — wszystko już gotowo.
Jutro młodzieniec miał wyjechać w drogę,
Gdy szczęsne losy was przyprowadziły;
Więc przeżegnajcie, dajcie mu przestrogę,
Przyjmijcie spowiedź, dobroczyńco miły!
A jeśli żądań nie będzie za wiele,
To jeszcze prośba... dzisiejszego rana
Pobłogosławcie miecz jego w kościele,
Połóżcie ręce na czoło młodziana;
A już ja wierzę w głębi mego ducha,
Że stąd mu przyjdzie fortunna otucha.

XVIII.

Skarga wysłuchał, podumał i rzecze:
Człowiek uradza, Bóg wyrok stanowi!

Skądże wam przyszło, pobożny człowiecze,
Oddawać syna księciu Krzysztofowi?
Wszak to dyssydent! na birżańskim dworze
Z wiary praojców stroją sobie żarty:
Młodzian wszystkiego nasłuchać się może,
I będzie z łona Kościoła wydarty.
Nie wódź tam syna!
— Już o tem myślałem, —
Rzecze Szeliga — lecz młodzieńcze łono,
Choć silnie kipi rycerskim zapałem,
Ale i wiarę dobrze mu wpojono.
Przysiągł na Boga, na Najświętszą Matkę,
Na swych rodziców, na zbawienie duszy,
Że się w nowotną nie uwikła siatkę,
Że wiary ojców nigdy nie naruszy.
Znam jego serce — i śmiało wam ręczę,
Że on, co przyrzekł, to dotrzyma szczerze!
Skarga pomyślał: Już wierzę wam, wierzę,
Nietyle w głowę, co w serce młodzieńcze.
Lecz mój Szeligo! wszak wiedzieć musicie,
Że wojewoda wileński, Radziwiłł,
Dawno do króla jakąś niechęć żywił,
Może i teraz zamyśla co skrycie.
A pewno, starcze, widziałbyś to nierad,
By twój potomek (uchowaj go Chryste!)
Wystąpił zbrojno, jako konfederat,
Zabijać braci, drzeć prawa ojczyste,
A gdy się ciżba swawolna rozhula,
Za grosz magnacki targnąć się na króla!
Aż drgnął Szeliga; podumał, zapłakał,
I z cicha jęknął: To cóż, że my prości?
Za cóż, mój Ojcze, rzucasz taki zakał
Na dom doznanej krajowi wierności?
Jeżeli chłopca podły grosz spokusi,
Jeśli sumienie odstąpi wyrodka,
To o tem przecię zapamiętać musi,
Że go ojcowskie przekleństwo tu spotka,

Że chleb, na którym rozwinął swe siły,
Trochę nauki, co ma ku ozdobie,
I zdrowie ojca, co stał u mogiły,
To wszystko winien królowi i tobie —
Tobie, mój Ojcze!... Ach! czyżem ja po to
Uczył go imię błogosławić Skargi,
By mój potomek, okryty sromotą,
W imię magnata miał z królem zatargi!
Ty kochasz króla — a my, szlachta stara,
My się przewrotną nie skazim przemianą.
Ojcze mój, ojcze! twój król, twoja wiara
Na wieki wieków naszemi zostaną!
 Skarga rozrzewnion prawicę mu poda
I z dobrotliwym uśmiechem zawoła:
Kusisz mię, starcze! O, zgoda już, zgoda!
Poczciwi ludzie, jedźmy do kościoła!

XIX.

 Jak słowo mówić, gotowa kolaska;
Cug się cisawych rumaków wyściga;
Krakowskie czasy przypomniał Szeliga,
Siedzi na koźle i z biczyska trzaska.
Starego Skargę, ze czcią jak należy,
Młody Szeliga wsadza do kolaski:
Raz pierwszy błyska w rycerskiej odzieży,
Ma zbroję, pancerz, przyłbicę, przepaski;
Tylko rycerzem zwać się nie ma prawa,
Bo mu przy boku miecza nie dostawa.
Wsiadł na rumaka, co parskał na stronie,
Ze strzałką na łbie, z jedną białą nogą;
Starzec zacmoknął, zaświsnął na konie,
I wóz wyruszył wywijaną drogą;
A za kolaską, gdzie siedzieli starce,
Leciał młodzieniec, wyprawiając harce.
Stary woźnica, jak za dawnej chwili,
Coś sobie dumał, popuściwszy wodze,
Stuknął trzy razy o kamień na drodze,
I pod kościelną dzwonnicę przybyli.

Pleban już wiedział, jacy goście lecą,
I kazał kościół oświetlić wspaniale.
Skarga wszedł, klęknął, pomodlił się nieco,
A potem zasiadł w konfesyonale.
Młody Szeliga zabrzęknął wesoło
Strojem żelaznym, z którym tak mu pięknie,
Przyłbiczny wizyr uchylił na czoło
I przed kratkami pokuty uklęknie,
I drobne grzechy młodzieńczego ducha
Spowiednikowi wyszeptał do ucha.

XX.

Grzechów niewiele w młodocianej duszy,
A Spowiedź święta trwa nie jedną chwilę;
Bo tyle przestróg, bo rad było tyle,
Nim w drogę życia szczęśliwie wyruszy!
Starzec i kapłan, dobrze dróg tych świadom,
W młodym wędrowcu dobre chęci budzi,
Aby się pilno przypatrywał śladom
Chrobrych, i mądrych, i cnotliwych ludzi.
A znając Skargę, możem ręczyć śmiele,
Że w tej spowiedzi była treść obfita:
O wierze ojców, o Pańskim kościele,
Król był na placu i Rzeczpospolita.
Czy pięknie mówił? tego nikt nie zgadnie,
Bo rzecz spowiedzi — tajemnica Boża...
Spłakany młodzian płoni się, to bladnie,
Gdy od pokuty odchodził podnoża.

XXI.

Kościelny dzwonnik cztery świeczki pali,
Skarga wziął ornat — i wyszła Msza święta;
A Szeligowie, jak gdyby chłopięta,
Starzec i młodzian w komże się ubrali,
W Ofierze Pańskiej świadomi posługi,
Jeden do Mszału, a do dzwonka drugi.
Stary Szeliga, wnet po Agnus Dei,

Uderzył w dzwonek i świeczkę rozżarza,
Zmówił Psalm wiary, miłości, nadziei,
Młody Szeliga klęknął u ołtarza;
A Ojciec Skarga, jak Opatrzność święta,
Czule przeżegnał głowę penitenta,
A gdy lud wszystek uklęknął przykładnie,
W usta młodziana Chleb Żywota kładnie.

XXII.

Wkrótce Ofiara skończyła się krwawa,
A kapłan, święte zrzuciwszy ornaty,
W komży i stule przed ołtarzem stawa,
Skinieniem woła młodzieńca przed kraty.
Młody Szeliga u balasek klęka;
Skarga poświęcił jego miecz stalowy,
A gdy podawał, zadrżała mu ręka,
I tak rzewnemi przemówił doń słowy:
— Synu! w żołnierstwie najpierwsza otucha,
Pancerzem wiary gdy umocnisz ducha!
Siła złych rzeczy jest w sercu człowieczem,
Z temi walcz naprzód — niech zawżdy ci będzie
Tarczą modlitwa, sprawiedliwość mieczem,
To chrześcijańskie bojowe narzędzie.
Na ten rynsztunek silnych bark potrzeba
I silnej ręki, i woli nielada;
Lecz do tej zbroje znijdzie łaska Nieba:
Najwyższy Hetman — Chrystus ci ją wkłada.
Wtenczas ci tylko będzie siła dana,
Co nieprzyjaciół zgromi i popłoszy,
Jeżeli w sobie zwyciężysz szatana,
Ducha złej pomsty, łakomstwa, rozkoszy!
Nie zbierze łupów, kopie pokruszy
Ten, kogo szatan obedrze na duszy!
Nie stań się jako uliczni żołnierze,
Co jeno straszą bezbronnych żelazem;
Lecz pod chorągwią i króla rozkazem,
Idź wojny pańskie odprawować szczerze.

Zostaw w pokoju, rycerski człowiecze,
Cichego ziomka, co siedzi w swej chacie;
Bóg będzie z wami, gdy gniewy i miecze
Na nieprzyjaciół koronnych schowacie.
Sprawuj się doma, jako owca cicha,
W bitwie jak lwica, co męstwem oddycha!
Trudny twój zawód! Nim z wrogiem się zetrze,
Już cię tysiące niewygód otoczy:
W głodzie, wśród deszczu i na zimnym wietrze,
We krwi i ranach, ty miej duch ochoczy.
A nie śmiej w duszy ostudzać zapału,
Nie śmiej folgować nic twojemu ciału;
Bo ciało twoje — to jeno mur żywy,
Którym się grodzą macierzyste niwy.
Pomnąc, że w tobie twych ojców otucha,
I miast, i wiosek, i świątyń Jehowy,
Idź w Imię Ojca, i Syna, i Ducha,
Spraw się rycersko i powracaj zdrowy!

XXIII.

Rzewnie spłakani do domu wrócili,
Kędy już skromna czekała biesiada.
Skarga, dziś z postem, parę rybek zjada,
Szklanicę wody źródlanej wychyli,
I już nasycon składa Bogu dzięki.
Powstał, a wszyscy k'niemu przyskoczyli,
Wszyscy się cisną do kapłańskiej ręki.
Kapłan każdemu dał uścisk życzliwy,
I błogosławi wszystkich gość dostojny.
Stary Szeliga znowu niespokojny,
Chce o coś prosić.
— Ojcze miłościwy!
Nim wasze konie miarkę owsa zjedzą,
Raczcie poświęcić mój domek ubogi,
Moją obórkę, moje sienne stogi,
Moją pasiekę, co leży pod miedzą!
— Niech wam Bóg szczęści! — ksiądz Skarga od-
Zwracając k'niemu swe spojrzenie czułe; [powie,

— Powiedzcie jeno memu pachołkowi,
Niech tu przyniesie i komżę, i stułę.
Jeśli mię Pan Bóg wybrał za narzędzie,
Gdy grzesznych modłów wysłucha choć w części,
Wierzaj mi, starcze, że ci dobrze będzie,
Że ci się tutaj we wszystkiem poszczęści.
Za to, żeś dźwignął ojcowskie zwaliska,
Kapłan cię żegna, przyjaciel uściska.

XXIV.

Podano komżę, stułę i kropidło,
Skarga się ubrał i modlitwę czyta,
Pokropił domu zamieszkane skrzydło:
Niech spokój Pański nad wami zaświta,
Niech wasze głowy Anioł Stróż osłania,
Niech błogosławi i sny, i czuwania!
Wszedł do komory, gdzie się chowa jadło,
Pokropił wodą i dodał co prędzej:
Bogdaj wam nigdy łaknąć nie wypadło;
Bogdaj tu było przytulisko nędzy!
Ty znasz co nędza, Szeligo mój drogi.
Dzisiaj dostatek widzę, dzięki Bogu;
Dajże mi słowo, że żaden ubogi
Nie wyjdzie głodny od twojego progu!
Szeliga rękę przycisnął do piersi,
Świętą przysięgą jego oko gore.
Wszyscy rzewniejsi i ku bliźnim szczersi
Wyszli ze Skargą poświęcić oborę.
Skarga się żegna i modlitwę czyta,
Pokropił ściany i znowu zawoła:
Niech wam Bóg sporzy nabiału do syta:
Niech tu zaraza nie zawita zgoła.
Żyjcie szczęśliwi pod Boską opieką,
A bądźcie czyści i biali, jak mleko.
Więc poszli dalej, by poświęcić ule.
Kapłan się żegna i modlitwę czyta;
Potem, spojrzawszy na Szeligę czule,

Rzecze: Niech korzyść mnoży się obfita,
Niech się wam zbożne zamiary powiodą,
Niech sporną pracą uwieńczą się ręce.
Żyjcie, jak pszczoły, miłością a zgodą,
Zapłońcie światłem, jak świece jarzęce.
Niech w duszy waszej tak cnota się chowa,
Jak w plastrze miodu patoka miodowa!
Tak poświęciwszy pola, łąki, płoty,
Wraca do dworku stary Jezuita,
I tu stanąwszy przed nowemi wroty,
Skropił je wodą i modlitwę czyta;
A jego oko promieniem się żarzy,
Iskra zapału migoce na twarzy:
Wrota! — zawołał — ku szlacheckiej chacie
Wy, co radośnie wrota odmykacie,
Niechaj Stróż Anioł pilnuje was codzień
Od złego gościa lub złego sąsiada!
„Niechaj się tędy nie przemyka zdrada;
Niech waszych skrzydeł nie odemknie zbrodzień.
Jeśli ktokolwiek z jaką myślą zdradną
Zechce tu wkroczyć, łaską czy przemocą.
Niechaj te wrota na głowę mu spadną,
Niechaj mu głowę i piersi zgruchocą."

XXV.

To były tylko słowa życzliwości,
Które mąż zacny wypowiedział święcie;
Ale słuchacze wioskowi a prości
Jakieś w nich dziwne widzieli zaklęcie.
Skarga odjechał znów w koronne strony,
Błogosławiący i błogosławiony.
Stary Szeliga rozmyśla w ukryciu
Lub gwarzy o nim z chlubą co Niedzieli,
Jego sąsiedzi, co pierwszy raz w życiu
Głośnego Skargę naocznie widzieli.
Długo i szczerze zjawiskiem zajęci,
Rozpowiadali — szlachcic szlachcicowi —

Jego życzliwe dla Szeligi chęci,
Jak on wygląda, co czyni, co mówi.
Jako mu syna błogosławił w drogę,
Święcił domowstwo, dobytek bogaty,
Jakiemi słowy udzielał przestrogę
I jako zaklął wrota jego chaty.
Wszyscy pobożni nieśmiało, z oddali,
Na tajemnicze wrota spoglądali;
Każda litewska bogobojna dusza,
Jeśli do jakich czuje się bezprawi,
Jeśli sumienie jakiś grzech zaprósza,
Już się do dworku Szeligi nie zjawi.

XXVI.

We starym dworku mniej już było gwarno;
Za to, kto przyszedł — przyjaciel i prawy,
Nikt nabożeństwa, spoczynku, zabawy
Nie zatruł w chacie jakąś zdradą czarną.
Mleka do sytu, a pszczółki się roją,
Łąki do pasa, i krzewi się zboże, —
O! dzięki Skardze, że bytnością swoją
Błogosławieństwo sprowadził tu Boże!
Któż jasną radość na Szeligi czole,
Któż jego szczęście wypowiedzieć w stanie,
Gdy często gęsto birżańskie pacholę
Wdzięczne od syna wiezie mu pisanie?
A w każdym liście kipi dusza młoda
Żądzą do bojów, do czynów, do sławy;
W każdym donosi, że książę wojwoda
Zawsze ku niemu dobry i łaskawy;
Że chociaż dumny, oblicza nie cofa,
Lecz swoim drużbą poufale zowie,
(Bo jak z przed wieka jego pradziadowie,
Młody Szeliga miał imię Krzysztofa).
Aniele Stróżu! niechże twoje oczy
Na długo starca pilnują i strzegą,
Niech twoich skrzydeł święty cień otoczy

I serce jego, i domowstwo jego!
I łaska Niebios nie była odmienna:
Jednako wszystkie płynęły mu chwile,
Aż przyszła jutrznia zachodu promienna,
Zgrzybiałość, drzemka — i krzyż na mogile;
I jest otucha, że dla jego duszy
Poczciwej pracy złote gwiazdy świecą...
A jego dworek pochylił się nieco,
Uschły gałęzie na cienistej gruszy,
Klon począł żółknąć, bo wszystkiemu pora,
Czas wiekuisty na wszystko się targa;
A tylko wrota, które zaklął Skarga,
Stoją tak krzepko, jak ciosane wczora.
Słomiany daszek choć kwitnie zielono,
Choć furtka nieco ku ziemi osiada,
Lecz wrota krzepkie, sto lat jeszcze pono
Wprowadzać będą dobrego sąsiada.
Niech sobie starcy wśród długiej gawędy
Ubolewają, że ludzkość zepsuta:
Przecięż poczciwe nie walą się wrota,
Nikt ze złą myślą nie przechodził tędy,
Nikt nie szwankował, ani swój, ni cudzy...
Czyż w cnotę ludzką trzeba wierzyć święcie?
Albo nie wierzyć w księdzowskie zaklęcie,
Że ojciec Skarga tak bajał, jak drudzy?
Co o tem trzymać — czy to, albo owo?
Przyszłość pokaże — dziś daremna praca.
Patrzmy na dalszą stronicę dziejową,
I gdzie się młody Szeliga obraca.

STARE WROTA.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie
W twym wiekuistym, w twoim sennym grobie
Coś nagrzeszyła w niebacznym obłędzie,

Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,
A twoim cnotom swą łaską przyczyni
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,
W naszych im sercach krzewić się dozwoli!...
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni:
Nie dla zgorszenia, ale dla poprawy,
Pozwól w twój obraz przypatrzyć się mgławy,
I nie poczytuj nas za świętokradce,
Nie miej za winnych synowskiej obrazy,
Jeśli się zdala przypatrując matce,
Na jej obliczu odkryjemy skazy.
My dobrze serce naszej matki znamy:
Ona tam w Niebie jedną żądzę żywi,
By jej synowie byli od niej samej
Bardziej cnotliwi i bardziej szczęśliwi.
Nam dla przestrogi ona sama powie,
Co nabroiła, kiedy była młoda.
Niewiele grzechów liczy na swej głowie, —
Grzech jej najcięższy miał imię — Swoboda.
  Nie ta swoboda, którą ma od Boga
I myśl człowiecza, i niebieski ptaszek,
Co nie dla marnych stworzona igraszek,
Co wie, skąd idzie i dokąd jej droga,
Pilnując kręgu, jak słońce na Niebie,
Ciepło i światło sieje wkoło siebie,
I zna to dobrze, że gdyby zakresie
Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
To zamiast szczęścia, które daje światom,
Straszliwe światu skończenie przyniesie.
Córką zniszczenia jest inna swoboda,
Czynem i słowem w karby nieujęta,
Do której hasło najpierwszy ten poda,
Kto chce narzucić niewolnicze pęta,
Co aby snadniej zhołdować lud Boży,
Sam się poniży, sam się upokorzy.
Na nim się wesprzesz, jakby na opoce,
A on się śmieje w głębi swego ducha,

On weźmie pierwsze swawoli owoce,
A karę błędu — ten, kto go usłucha.
Tak niegdyś w Polsce miłościwe pany
Mówiły szlachcie: Co te nasze prawa?
Ten król, choć przez nas swobodnie obrany,
Na naszą wolność nieżyczliw się zdawa.
Nasze statuta, choć własne pisanie,
Niedobrze płużą braterskiej swobodzie:
Wszakżeśmy szlachta — a szlachcic, mospanie,
Choć na zagrodzie, rówien wojewodzie.
Hej! kogo losy krajowe obchodzą,
Do mnie niech spieszy, co żywiej a sporzej!
Stanę na czele, a pod moją wodzą,
Król się poniży, prawo upokorzy!
Nic nie zważajcie, żem ja wojewoda,
A baczcie we mnie szlachcica i brata:
Mam chleb i wino, co to ust nie szkoda,
Przyjmę was chętnie, czem chata bogata!
A ślepa szlachta, krzycząc w niebogłosy
Na ucisk tronu i niesłuszność prawa,
Pod sztandarami wojewody stawa
I z jego gwiazdą połącza swe losy,
Z jego zachceniem łączy swoje modły,
Z jego orężem swe szable ochocze, —
Już się za kruszec zaprzedaje podły,
Za stągiew miodu, za gruntu półwłocze
A do pańskiego rydwanu przykuta,
Już zapomniawszy co wolność prawdziwa,
Śni jeszcze szlachta, że swobód używa,
Obiera króla i pisze statuta.
Senne rojenia! niedorzeczne chęci!
Pomiędzy kilku władza się rozdziela;
Potężnych domów mnodzy są klienci,
Lecz trudno w kraju o obywatela.

II.

Krzysztof Szeliga na birżańskim dworze
Urastał w łaskach książęcia Krzysztofa.

Postać miał dziarską, a spojrzenie hoże,
Dłoń, co się nigdy przed szablą nie cofa,
Umysł przytomny, a poczciwe serce, —
Czemuż tych darów na lepsze nie użył?
Gdyby krajowi poświęcił w żołnierce,
Jakby się pięknie wsławił i zasłużył!
Jeszcze za życia Zygmunta Trzeciego,
Zamek birżański gdy oblegli Szwedzi,
Młody Szeliga wraz z drugim kolegą,
Zebrawszy ciżbę zamkowej gawiedzi,
Sprawił wycieczkę i śmiałym obrotem
Niemałą klęskę napastnikom zadał;
A kiedy Birże poddały się potem,
On w różnych miejscach na Szwedów napadał.
Obok książęcia na bitwach niósł zdrowie,
I z chrobrem sercem do rozprawy staje:
Nadstawiał piersi, aby się wrogowie
W głębsze litewskie nie przedarli kraje.
Był to niedługi zawód wojowniczy,
Co w lat dwadzieścia znowu się ożywił:
Bo gdy po przodkach Birże odziedziczy
Książę koniuszy, Bogusław Radziwiłł,
Szeliga, zawsze Radziwiłłom wierny,
Podzielał księcia wyprawy bojowe,
Pod Beresteczkiem wiódł hufiec pancerny
I Kozaczyznę poraził na głowę.
Już czoło jego siwizną się prószy
Ozdobne w laury ojczystej zasługi;
Lecz z owych laurów żartował w swej duszy,
Bo on krajowi nie służył, jak drugi,
Jeno zdobywał łaskę u magnata,
Co chciał krajowi dowodzić przemocą;
Poszedłby, zda się, i na koniec świata,
Biłby się zawżdy, nie pytając o co;
I przy tureckim stanąłby sztandarze,
Jeżeli książę koniuszy rozkaże.

Na świetnym dworze księcia Bogusława
Nie było mowy o Rzeczpospolitej:
Szlachta — narzędzie pańskiej myśli skrytej,
Gdzie jeno skinie, wszędy hurmem stawa,
Ani pytając tego, co na przedzie?
Czy dobrze wiedzie i dokąd zawiedzie?
Na zjazdach szlachty, Szeliga niebacznie,
Kierowan ręką, z której pragnął złota,
Rokosze w wojsku poszeptywać zacznie,
I na powagę królewską się miota,
I z owym mieczem, co poświęcił Skarga,
Na Pomazańca Pańskiego się targa.
Skarga już nie żył, i ojciec już nie żył,
Otworem stały do swawoli drogi,
Nikt go nie ujął słowami przestrogi,
Nikt pogardliwem okiem go nie zmierzył.
A łaska pańska ku niemu się wdzięczy,
A przepych dworski tak nęci z daleka,
Że, oplątany jak w siatce pajęczej,
Z rozkoszą własnej woli się wyrzeka.
I nie pojmował, jak szlachta wśród wioski
Może brać sochę lub siekierę w ręce,
Mieć inną barwę krom Radziwiłłowskiej,
Mieć inne myśli, niż myśli książęce.

III.

Tak go zajęły te względy łaskawe,
Że ani spojrzał na rodzinne ściany;
Ojcowski dworek wypuścił w dzierżawę,
A czynsze z niego — przegrywał z dworzany.
Domek, co niegdyś ojcowska siekiera
Wyciosywała ze skrzętnym mozołem,
Dziś drewnianemi szczudły się podpiera,
Jak stary żebrak, jak dziad pod kościołem.
Słomiana strzecha pokryła się cała
Mchy zielonemi i plamy czarnemi;
W oknach gdzieniegdzie szyba pozostała,

Ganek i przyzba osiadły ku ziemi.
Gruszę cienistą wycięto z przed chaty,
W ogródku chwasty wyrosły krzewiście,
A klon uwiędły, zeschły, rosochaty,
Ledwie niemnogie i żółte miał liście.
Pszczółki rzuciły opróchniałe barcie,
Gęste pokrzywy wyrosły u płota.
Stare, poczciwe i zaklęte wrota
Zdają się prosić o lepsze podparcie.
A między ludźmi jeszcze jest podanie,
Jak ojciec Skarga poświęcał je nowo,
I swe zaklęcie jak położył na nie,
Aby runęły nad zdradziecką głową.
Lecz dzięki Bogu wrota nie runęły,
Choć niepodparty słup ledwie się trzyma:
Na Starej Litwie, w dziedzinie Jagiełły,
Są grzeszni ludzie, ale zdrajców niema.

IV.

Wieczność nad światem krąży nieprzerwanie,
Zmienia się oracz, chociaż jedna niwa;
A na cmentarzach, na kościelnej ścianie,
Coraz to nowy nagrobek przybywa, —
I jeśli zważysz — w tejże samej chwili
W nowej kolebce nowy gość zakwili.
Przyszłość z przeszłości wyradza się starej
Tak pomalutku, tak niepostrzeżenie,
Jak drobnej brzozy lub dębu nasienie
Wyrasta listkiem, wystrzela w konary,
I jak najstarsi ludzie nie przypomną,
Latorośl marna, uboga, maleńka,
Już dzisiaj wiechą wieńczy się ogromną,
Jej pień starzeje, olbrzymieje, pęka,
Sieje dokoła krzewiste nasiona,
A żółte próchno wysypuje z łona.
W każdym niebieskiej jutrzenki rozświcie
Kończy się życie i poczyna życie:

Kwiat stugodzinny, i człowiek stuletni,
I historyczna tysiąców lat era,
Czy słońce świeci posępniej, czy świetniej,
Za każdą chwilą rodzi się — umiera.
Nie dojrzy żaden dar jasnowidzenia,
Jako świat Boży oblicze przemienia,
Jak rozwinięty w swych prawach swobodnie,
W jednej godzinie starzeje i młodnie.

V.

Niepostrzeżonym, nieznacznym obrotem
Przeszło nad Polską pół wieku z okładem.
Zmarł Zygmunt Trzeci, a w dziesięć lat potem
Władysław poszedł za ojcowskim śladem;
Korona Polska, jak wieńce cierniowe,
Przygniotła Jana Kazimierza głowę.
Jak w losach człeka, tak w losach narodu,
Pan Bóg dopuszcza chwile ciężkiej doli,
Czy to za grzechy brojone za młodu,
Czy w dowód łaski, czy nauce gwoli.
Ojciec niebieski w gniewie, czy w rozwadze,
Różdżkę Swej chłosty podnosi na dzieci,
Całe narody da klęskom pod władzę,
A chmura nieszczęść jak z wiatrem naleci.
Uderza w gromach piorun po piorunie,
Wszystko druzgoce, obala i pali;
Gdy jeden obłok zdaje się przesunie,
Patrzcie! horyzont już czernieje dalej,
A w nowych kłębach czarnego chmurzyska
Nowy grom huczy, nowy piorun błyska,
I nowy wicher zadyma z pod chmury —
Łamać, obalać, co zostało jeszcze...
Ojcze ludzkości! Strażniku natury!
Kiedyż te znaki ustaną złowieszcze?
Kiedyż się skończy burza, klęsk niesyta?
Kiedyż się skończy to serc naszych drżenie?
Kiedyż poranek radosny zaświta,

I błysną jutrzni różowej promienie?
Och! czas już światu poweseleć od niej!
Czas sercom ludzkim uderzyć swobodniej!

VI.

W doli narodów, nim burza Jehowy
O ściany kraju uderzy w zapędzie,
Bóg najprzód miesza stary ład domowy,
Żywioły bytu porozprzęga wszędzie,
Ześle bezsilną niemoc na sternika,
Oczy czeladzi ślepotą zaciemni;
Ginie porządek, święta zgoda znika,
Stają się wszyscy wrogowie wzajemni.
A gdy się waśnią, gdy wstecz idzie praca,
Gdy fundamenta podkopali sami,
Uderza piorun i ściany wywraca,
I już społeczność jęczy pod gruzami.
I swe bolesne opatrując rany,
Każdy na drugich gdy swe winy zwala,
Grom, który został na pomstę przysłany,
Z niebacznej ciżby śmieje się z oddala;
Wicher, co bije w nieszczęśliwe zgliszcze,
Z urągowiskiem po ruderach świszcze.

VII.

Tak w owe czasy, nim w Polskę strzeliły
Cztery pioruny ze czterech stron świata,
Pan porozdwajał, pogmatwał jej siły,
Z gościńca przodków odbieżał Sarmata.
Bezrząd na wszystkiem swoją pieczęć kładzie,
Nosi jej cechę już Rzeczpospolita,
A niegdyś baczny na wszystko Lechita
Stał się porządnym — jedynie w bezładzie.
Panowie radni oblegają króla
I za starostwa sprzedają swe wota;
Szlachta na sejmie po gospodach hula,
Pijanem słowem na wszystko się miota.

Rzuca na króla i na senat zakał,
Każdą myśl jego zabija w jutrzence.
Och! często, często boleśnie zapłakał,
Często załamał Jan Kazimierz ręce,
I tęskne myśli posyłał za morze,
Gdzie tron ojcowski posiadł mu kto inny,
Gdzie lud monarchom posłuszny, powinny,
Gdzie król poddanych uszczęśliwiać może.
A tutaj... tutaj gdzież jest tronu władza?
Naród do szczęścia sam sobie przeszkadza.
Tu groźna północ od Szwedów i Rusi
Dwiema chmurami z daleka się sroży;
Tutaj Chmielnicki, prawdziwy bicz Boży,
Kraj naddnieprowy oderwać się kusi,
Krwią lacką spluskał ukraińskie stepy,
A niema środków postawić mu czoła.
Sejm tylko jeden uczynić to zdoła.
Ale sejm polski, gwarliwy a ślepy,
Gdzie dola kraju, gdzie obrona dziatek,
On się targuje z królem o podatek.
Jęczą na nędzę i szlachta, i pany,
Jednak tym jękom trudno dawać wiary,
Bo dzisiaj w ziemi, kopając kurhany,
Mnogie znajdujem grosze i talary,
Na których stemplem ówczesnych myncarzy
Odbite rysy Kazimierza twarzy.
Snadź w owe czasy chciwość, czy obawa,
Kryły przed sejmem, że grosza jest dosyć,
I trudno było o szeląg uprosić
W imieniu kraju lub w imieniu prawa.
Senator chowa swe grosze do skrzyni,
Mnich się bogaci, panoszy bez granic,
Szlachcic o zbytki dwór królewski wini,
A na pobory nie zgadza się za nic.
Każdy od nędzy rzekomo się garbi,
W liczbie podatku niedoboru kreski;
Zakłopotany koronny podskarbi,

Zakłopotany podskarbi litewski.
Wojsko bez żołdu sztandary opuszcza,
Poborca grosze roztrwania bezładnie, —
A na sejmikach wykrzykiwa tłuszcza:
Że król niebaczny, że podskarbi kradnie,
Że wszystek zasób wyciągnięto z chatek,
Że przyjdzie z głodu umrzeć na ostatek.
A patrz po kraju, kędy grosz się trwoni
Za jedną szczyptę zamorskiego ziela!
Co sług! co potraw! co psów, a co koni!
Jak tryska wino! jak huczy kapela!
Patrz, ile kanak z dyamentu warty
W stroju mężczyzny, białogłowy, dziecka!
Jakie sobole, tygrysy, lamparty!
Rzeczpospolita zbytkuje szlachecka.
Za dwie wieczerze nadwornej szarańczy
Można uzbroić chorągiew husarzy;
Lecz szlachta szumi, o swobodach gwarzy,
Na grobie kraju śmieje się i tańczy;
Ani chce wiedzieć, że tu wnet naskoczy
Groźny Chmielnicki, Szwed albo Rakoczy.
Gdy się na głowę zwala Siedmiogrodzie,
Kozak i Rusin gdy do walki zowie,
Na wałach fortec jaśni starostowie
Sieją warzywa, jak gdyby w ogrodzie.
Mur z bastyonem rozbijając stary,
Budują z niego śpichrze i browary.
Rzadko gdzie w domu szlachcica-rycerza
Był koń, zbroica lub miecz w pogotowiu;
Żołnierz koronny, zbyt folgując zdrowiu,
Wlókł z sobą łóżka i pościele z pierza.
Na wież obronnych niedawne zwaliska
Wspina się koza i ogryza chwasty;
Na straży żołnierz dziesiąty, dwunasty,
Bo reszta hula, albo lud uciska.
  Czegoż nie działał ów motłoch, łakomy
Na cudze grosze, majętność i domy!

Na niewinnego potwarze wymiata,
Mówiąc: Ten zdrajca, ten z wrogiem się brata,
Ten ranił sługę, co był pod mą władzą,
Ten ukradł konia, co do mnie należy!
Więc do hetmana niewinnych prowadzą,
A ich domostwa oddają łupieży;
Mordują, ranią, gdy rabować nie dasz,
Biorą co wola i niosą na przedaż.
Zamiast starszyznę mieć w zacnej powadze,
Szemrał na króla, rotmistrze, hetmany,
Składał swe zjazdy żołdak zbuntowany
I groźny oręż podnosił na władzę.
Rzadko kto mawiał: Dopomóż mi Boże!
Sławo! ja głowę dla ciebie położę!
Częściej słyszałeś z ust rycerskiej braci:
Służę i czartu, jeśli mi zapłaci!

VIII.

Boleść rwie serce, gdy musimy w pieśni
Wspomnieć te czasy, kreślić te obrazy.
Patrząc na Polskę płakali spółcześni:
Piękna ziemico! zgubionaś sto razy!
Świetna wśród bitew, nieszczęśliwa doma,
Nie drżysz przed Szwedem ani Zaporożem,
Lecz sama własnym zabijasz się nożem,
Grób sobie kopiesz własnemi rękoma!
Nie winuj obcych, że z chciwym zapałem
Biegną ku tobie, czując twe niezdrowie:
Tylko narzędziem Pańskiem są krukowie,
Co lecą martwem nasycić się ciałem.
Nie oni zgonu twojego przyczyną:
Kraje przez siebie, nie przez obcych giną.

IX.

Poczęły trwożne szerzyć się pogłoski
O nieprzyjaznym dla Polski sąsiedzie;
Że podkanclerzy, zdradny Radziejowski,

Na zgubę braci szwedzkie hufce wiedzie.
Tuż za pogłoską szedł i skutek spieszno:
Runęły w Polskę zastępy Wandali,
A gród poznański, i Kalisz, i Leszno
W ręce zwycięzców wodzowie oddali.
Wojewodowie i kasztelanowie,
Co w wolnym kraju i wyznać sromota,
W pokornem piśmie i w pokornej mowie
Królowi Szwedów składali swe wota.
Janusz Radziwiłł wnet przeszedł do Szweda,
Wiodąc za sobą szlachtę z Litwy całej,
I poszła dalej zwycięska czereda,
Wkrótce ją mury warszawskie ujrzały.
Uszedł król polski ze swojej stolicy,
Coraz po kraju tułając się dalej;
Pierzchli koronni niegdyś pochlebnicy,
Co jeno łaski u tronu szukali.
Opuszczał króla silny i bogaty,
Szedł i Szwedowi swą przychylność kłamał.
Biedny mieszkaniec zaściankowej chaty
Spojrzał dokoła — i ręce załamał;
A obcy pychy poszeptom zdradzieckim,
Przysiągł nie zdradzić króla i swej ziemi,
Naostrzył brzeszczot rękami chrobremi
I szedł do swoich łączyć się z Czarnieckim.
  Stefan Czarniecki, mąż kuty z żelaza,
Z niewielką garstką nie zdradził swej wiary:
W nim kraj rodzony, w nim Kazimierz Waza
Widzieli męża, co jak granit stary,
Zaległszy morza wściekłego wybrzeże,
Sam jeden lądu od powodzi strzeże.
A w tym niezłomnym wiekowym granicie,
Przy którym fala ściele się bezwładnie,
Jakież skry ognia! zaraz w nich ujrzycie,
Za lada starciem jak piorun wypadnie.
  Ruś gości w Wilnie, Chmielnicki we Lwowie,
Szwed zajął Poznań, Warszawę i Kraków;

Już wszystkie grody stołeczne Polaków
W rękach zdobywców, jak nędzne pustkowie.
Trzy wielkie wichry w całej swojej sile
Kiedy na jedną budowę gruchnęły,
Zda się dziedzina Piasta i Jagiełły
Będzie na troje rozdarta za chwilę.
Niemasz wyboru dla prawego męża,
Jeno polegnąć pod domowem zgliszczem;
Lecz mądrzy mówią: Może coś uzyszczem,
Pójdźmy się kłaniać temu, co zwycięża.

X.

Książę Radziwiłł, litewski koniuszy,
Dawno szwedzkiemu kłania się królowi;
Jego klienci, na wszystko gotowi,
Na stronę szwedzką przeszli z całej duszy.
Tylko gdzieniegdzie trzyma się na wodzy
Kupa mieszczanów lub szlachta ubodzy.
Pomimo pochlebstw, pomimo popłochu,
Gdzieś garstka z garstką jeszcze się sprzymierza,
Ostatni szeląg, ostatnią garść prochu
Niesie za sprawę Jana Kazimierza,
Ostatnie takty bolejącej piersi
Składa w modlitwę za Rzeczpospolitą.
Lecz tacy ludzie, biedniejsi im szczersi,
Jakże się muszą opłacać sowito!
I szwedzki żołdak, i służba książęca
Ściga stronników sarmackiego króla,
Pod ich strzechami najbezkarniej hula,
Nad ich rodziną pastwi się i znęca;
A byle cienie, byle powód marny,
Niesie miecz rzezi i ogień pożarny.

XI.

Ale po burzy znowu się rozwidni, —
Poczęła świtać jutrznia lepszej doli.
Szlachta od Szwedów cofa się powoli,

Przejrzeli ślepi — a zdrajcy ohydni,
Gdy nowe knować poczęli zasadzki,
Stanął w Tyszowcach akt konfederacki.
A w Częstochowie jedno serce mnicha,
Które wspierała Przenajświętsza Panna.
Tysiące szwedzkich zastępów odpycha,
Daje się słyszeć wesołe: Hosanna!
Z echem i z wiatrem rozwiał się dźwięk pieśni
Po całym kraju, jak dobra otucha;
Powiat z powiatem kojarzy się ciaśniej,
Szwedzkich rozkazów już mało kto słucha.
Sandomierz, Lublin już w ręku Polaków,
Już głoszą powrót Jana Kazimierza,
Nazad zdobyte Warszawa i Kraków,
Czarniecki wszędy jak piorun uderza.
A ludzie dobrzy, łatwowierni, prości,
Co szli do Szweda w prostocie swej duszy,
Już się zrzekają ohydnych sojuszy,
Naród powraca do swej powinności.
Już tylko tacy przy wrogu zostali,
Co chcieli nękać swą ziemicę biedną:
Kilku magnatów i klienci mali,
Co z magnatami chcieli być za jedno.

XII.

Krzysztof Szeliga za nadto swą dolę
Skojarzył z losem księcia Bogusława;
Spólne ich bojów, ich przewinień pole,
Dzielić im tylko spólny los zostawa.
Już dziś nie poznać owego młodziana,
Któremu Skarga święcił miecz na boje;
Twarz jego dzisiaj zmarszczkami zorana,
Znać, że sumienia cierpi niepokoje.
Głos powinności ku matce swej ziemi,
Którego wszystka szlachta usłuchała,
Czyż w jego piersiach nieprawość oniemi?
Czyż w jego myślach nigdy nie zapała?

O! znaczno walkę we szlachetnej duszy!
Ciężka tam w głębi odbywa się proba.
On nieraz myśli: Niech książę koniuszy
Trzyma ze Szwedem, czy z kim się podoba;
Moja powinność tam, gdzie mojej braci,
W szeregach króla, w obronie tej niwy,
Gdzie złożył głowę mój ojciec sędziwy,
Gdzie mię z narodem krew powinowaci.
Przeciw tym myślom myśl zdradna a płocha
Stawiła czoło potężnie i srodze:
Czyż rzucić księcia, który tak mię kocha,
Kiedy tu silną chorągwią dowodzę?
Ja tutaj mnogie skarby mam pod strażą,
Z łupów wojennych uzbierałem krocie;
Wrócić do swoich — to oddać je każą,
Oddać kmiotkowi, wdowie lub sierocie.
Rzucić dostojność, którą tutaj pieszczę,
Pozbyć się grosza — toć cała ruina;
Zostać żołdakiem, potem słuchać jeszcze,
Gdy człek skrzywdzony łupiezcę przeklina...
Nie, już za późno... już pozostać wolę:
Po mojej drodze zaszedłem daleko;
Wypieszczonemu na książęcym stole,
Wracać do wioski — pić wodę i mleko...
Przy łasce księcia, przy wojennym łupie,
Nie taką wioskę ja wkrótce zakupię.
Tak, by zagłuszyć sumienia zgryzoty,
Szeliga w swego namiotu ustroni
Przeglądał pilno swój strój szczerozłoty,
Srebrzysty oręż, suty rząd na konie;
A obliczając swe przyszłe rozkosze,
Przyszłe znaczenie — dodawał kryjomu:
Zmienią się czasy, i króla przeproszę,
I jak bohater powrócę do domu.
Bluźniercze myśli! bezrozumne cele!
Bo się w dziejową świątynię nie wdziera:
Nie dosyć męstwa albo ran na ciele,

Bo świętość sprawy czyni bohatera:
Imię mężnego na nic się nie przyda,
Gdy czyje czoło piętnuje ohyda.

XIII.

Pod wioską Prostki, na pruskiej granicy,
Szwed, już z dziedziny sarmackiej wygnany,
Leżał obozem — a dwa polskie pany,
Dwaj macierzystej ziemi najezdnicy:
Książę koniuszy, Bogusław Radziwiłł,
I podkanclerzy polski, Radziejowski,
Nowe Szwedowi podawali wnioski,
By wrócił w Polskę i kraj uszczęśliwił,
Że tamta ziemia ku niemu stęskniona
Znowu poddańcze wyciągnie ramiona.
Elektor pruski, obecny naradzie,
Co swoje hufce ze Szwedem połączył,
Co radby z Polską na zawsze już skończył,
Przyrzeka pomoc i warunki kładzie.
Radzono długo... noc była już ciemna,
Były tam plany, i spory, i swary;
Wreszcie nastała ugoda wzajemna,
Przybito dłonie, podano puhary, —
I cichy toast okrążył trzy razy:
Niech żyje zguba Kazimierza Wazy!
Szeliga z wartą księcia Bogusława
Stał przy namiocie tuż za samem płótnem,
Słyszał jak gwarna toczyła się wrzawa,
Słyszał toasty z ich proroctwem smutnem;
Ale mu serce nie zadrgało zgrozą,
Zaśmiał się — szepnął: Giń, Rzeczpospolita!
Gdy starą Polskę na marach powiozą,
Toć nowy w świecie porządek zaświta.
Szwedzkim stronnikom już zręczność się poda
Wypłynąć na wierzch, bo ich teraz pora...
Już nie starosta, jak marzyłem wczora,
Lecz będę hetman, kanclerz, wojewoda;

Wezmę urzędy, których nie dościga
Nawet Radziwiłł, nietylko Szeliga.
A dusza ojca, stary duch woźniczy,
Co patrzy na mnie ze zgrozą rozpaczy,
Kiedy me wszystkie honory policzy,
Jakże mi chętnie odstępstwo przebaczy!
I w drugim świecie nagany mi nie da,
Że szlachcic polski był stronnikiem Szweda.

Ledwie to wyrzekł, aż oto z łoskotem
Trąbka zagrała przed samym namiotem,
I śpieszny goniec zapytał u straży:
Czy tu król szwedzki? czy ucha udziela?
I czy z listami tu się wejść odważy?
A listy pilne od wojska Forgela.
(Ów zasię Forgel był szwedzki generał,
Który szedł kilku tysiącom na czele,
Był dwakroć jeńcem, ale teraz śmiele
Znów się do Polski za Wisłę przebierał).
Wpuszczono gońca, a na wielkiej radzie
Siła zapytań razem go osypie.
Niedobre wieści: bo przy wiosce Lipie
Czarniecki dopadł Wandalów w nieładzie;
Krwawemi strugi zalało się pole,
Trupem poległo Szwedów dwa tysiące;
Nim się poranne ukazało słońce,
Generał w polską dostał się niewolę.
Król szwedzki zgrzytnął i zatupał nogą,
Elektor pruski coś zamruknął z cicha,
Pan Radziejowski pogląda złowrogo,
Książę koniuszy blednieje i wzdycha.
Goniec złej wieści wymknął się z namiotu
I kędyś zniknął w obozowem kole.
Szeliga otarł wielką strugę potu,
Co mu gorąco płynęła po czole,
I dziecko Litwy niespokojne szczerze,
Że jego naród swe tryumfy bierze.

XIV.

Cicho w namiocie — i król, i książęta
Zwiesili głowy pod myśli nawałem.
Wtem cisza nocy znowu potrząśnięta,
Ale złowrogim na trwogę sygnałem.
Król wybiegł... słucha... to nuta nieswojska!
— Na koń, żołnierze! do zbroi! do broni!
Lecz w tejże chwili nad uchem zadzwoni
Bogarodzica — hymn polskiego wojska.
Zaledwie szwedzka rusza się gromada,
Troisty hufiec na karki jej wpada.
Książę koniuszy wyskoczył z namiotu,
Dopadł rumaka — lecz go hufiec ściga,
Jeno zakrzyknął: — Hej, mości Szeliga!
Ze swą chorągwią zastaw się u płotu;
A jeśli napad podstąpi zdradziecki,
Pilnuj się waszmość na miejsca wyborze,
By miłościwy król jegomość szwedzki
W ręce się polskie nie dostał broń Boże!
Król szwedzki uszedł; lecz jego zamiary
Przeniknął hufiec pancerny litewski,
I wielki hetman, Wincenty Gosiewski,
Przyskoczył, mając najemne Tatary, —
I wtejże chwili zręcznie oskrzydlili
Pancerne hufce księcia koniuszego.
Napróżno pułki brandenburskie biegą,
Napróżno szwedzkie rycerstwo się sili, —
Już dzielne polskie i tatarskie zuchy
Rozbiły hufiec birżańskiego księcia.
Książę z Szeligą, bojąc się ujęcia,
Na rączych koniach szukają otuchy.
Hufiec Tatarów rączo ich dościga:
Pojmany książę, pojmany Szeliga.

XV.

Chwała zwycięstwa, jak kronika pisze,
Na Gosiewskiego zaświtała głowie;

A korzyść walki dobrzy towarzysze
I perekopscy wzięli Tatarowie.
Sześć pułków szwedzkich, dwa pruskie sztandary,
Dwa hufce polskie i armat bez miary,
Bez miary jeńców okowywa pęty
Hetman litewski Gosiewski Wincenty, —
I dobrze pewien, że wiadomość miła,
Radosne gońce do króla posyła.

XVI.

Przy boku króla był Radziwiłł drugi,
A krewny księcia koniuszego blizki,
Mąż znakomity przez zacne zasługi,
Michał Kazimierz, ordynat nieświeski.
Jego staraniem, choć z bronią pojmany,
Książę koniuszy zgubie się wyślizgnie;
A jego wojsko i wszystkie dworzany
Kazano wygnać, jak śmieci w ojczyźnie,
Ażeby żadne nie zostały ślady,
Że szlachcic polski był zdolen do zdrady.
Książę koniuszy, choć swojej krainie,
Swemu królowi zawinił się srogo,
W Słucku, Nieświeżu, Mirze, Tykocinie,
Fortece szwedzką osadzał załogą,
Dobywał Brześcia, — dziś zbity na głowę,
Jak buntownika Gosiewski go bierze;
Lecz potem z królem pojednał się szczerze
I sprawiał różne urzędy krajowe.
(Czy urzędując nagrodził te straty,
Które krajowi poczynił tak świeżo?
To są wypadki już późniejszej daty,
Co do powieści naszej nie należą).

XVII.

Szeliga tedy, występny banita,
Wygnan od ziomków za rodzinne płoty;
Lecz za to bogacz, a myśl jego skryta

Mało się troszczy tem piętnem sromoty.
A hetman, nieco łagodząc mu winę,
Nim się dopełni wygnanie złowieszcze,
Kilka dni czasu zostawił mu jeszcze,
Aby mógł przedać ojcowską wioszczynę.
Szczupły-ć to dworek — mało go obchodzi;
Jednak Szeliga skorzystał z pozoru,
Aby na Litwie, wśród tamecznej młodzi,
Jednać stronniki dla szwedzkiego dworu.
Pojechał tedy w rodowitą stronę,
Gdzie od młodości nie postał i nogą;
Cztery rumaki, w karocę wprzężone,
Pędzą ku Litwie pośpiesznie, jak mogą.
I któżby poznał po tak długim czasie
Syna woźnicy w tej pańskiej kolasie?
Na pacholęciu przed dawnemi laty,
Gdy wyjeżdżało z ojcowskiego domu,
Nie świecił w oczy strój taki bogaty,
Twarz była młoda, a czoło bez sromu.
Za nim leciały, jako towarzysze,
Błogosławieństwa ojca i kapłana;
Dziś jego głowa z kraju wywołana,
Przeklęctwo ziomków nad nią się kołysze.
I kraj się zmienił, że poznać niemożna:
Tak było pięknie, tak było zielono!
A teraz dymem wsi i miasta płoną;
Świątynie ręka odarła bezbożna;
Nie słychać w polu śpiewania żniwiarzy;
Kryje się w lasach trwożliwa drużyna;
A gdy człowieka napotkać się zdarzy,
Ten gorzko płacze i Szweda przeklina;
Zboża spalone, nagie świątyń mury,
Wszędy zniszczenie, gdzie oko dościga...
I gorzko, gorzko zaśmiał się Szeliga,
Dworek swych ojców gdy zobaczył z góry.
Runęły śpichrze, gołębnik, stodoła,
Dom pochylony do upadku gotów,

Klonów i gruszy nie było już zgoła,
Rosły badyle w ogródku bez płotów.
Znaczno, że wszędy przeszedł czas pożerczy,
Wszystko bolesne przypomnienia budzi;
Tylko przed wjazdem stara brama sterczy,
Zaklęciem Skargi pamiętna u ludzi.
Westchnął Szeliga — a z dumnego oka
Trysnęła łezka, gość niespodziewany;
Lecz się opomniał i spojrzał z wysoka,
I począł nowe osnowywać plany.

XVIII.

— Ten, kto ma złoto, ma wszystko na świecie.
Co mi tam szkodzi wygnańca nazwisko?
Banita polski — nie zginiony przecię;
Na ziemi szwedzkiej znajdę przytulisko,
Tam kupię dobra — grosz popłaca wszędzie;
Ale nie żegnam mej rodzinnej włości:
Gdy się król szwedzki na siłę zdobędzie,
My znowu tutaj zawitamy w gości.
Odbiorę własność może w rok najdalej
I wygnam z kraju tych, co mnie wygnali.
Tu będzie pałac, na nim herb kamienny,
Gniazdo Szeligów odnowić potrzeba.
Stary mój ojciec, królewski stajenny,
Aż się uśmiechnie z wysokiego Nieba.
Bo cóż za złoto okupić się nie da?
I cześć powróci, którą wyrok plami,
Bylebym tylko między Litwinami
Zjednał co więcej stronników dla Szweda...

XIX.

Kiedy tak dumał, rumaki jak z procy
Leciały pędem na dworku zwaliska.
Oś czterokonnej wspaniałej karocy
Pod stare wrota z mozołem się wciska.
(A wrota wązkie, bo tędy od wieka

Szedł prosty wózek, lub wjeżdżał gość konny,
Bo wiedział starzec, że się nie doczeka,
Iż go odwiedzi urzędnik koronny,
I nie dla karet szerokiej postaci
Budował wrota, lecz dla szlachty braci).
Za ciasno było synowskiej kolebce,
Uwięzły konie, woźnica je płaży.
Szeliga zadrżał pobledniał na twarzy,
Coś niedobrego przeczucie mu szepce.
Konie zarwały, oś o słupy grzmoce,
Spróchniałe słupy pękły od zamachu, —
I cały ciężar dębowego dachu
Z głuchym łoskotem pada na karocę.
Przegniła słoma i krokwi gromada
Całkiem przykryły woźnicę i pana, —
Trzaska się w szczęty karoca złamana
I cug rumaków na kolana pada;
Nakoniec targnął i odrzucił w stronę
Dwa trupy ludzkie, na miazgę stłuczone...

XX.

Więc *Stare wrota* nad zdradziecką głową
Już dopełniły swojej powinności!
Tak sobie ludzie powiadali prości,
Przypominając księdza Skargi słowa:
Kto tędy przejdzie z jaką myślą zdradną,
Niechaj te wrota na niego upadną!
Czy prawdę mówią? niepodobna dociec:
Czy mało baśni nagada prostota?
Tutaj, jak zwykle, winien stary ojciec,
Że nazbyt wązkie wybudował wrota;
Winien woźnica, że źle konie lecą,
Że zakierował i rady im nie da;
A może zresztą i syn winien nieco,
Że rzucił króla, a przeszedł do Szweda.

14 lipca 1856. Borejkowszczyzna.

SPIS RZECZY.

UTWORY EPICKIE.

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.